

JULIAN HUDSON



**CZARNY
ALERT**

 SDK

Julian Hudson

CZARNY ALERT

Tłumaczenie:

Ryszard Długotęcki

Tczew

2009

Tytuł oryginału: Black Alert At Gonzo Station

© 2007 Julian Hudson.

All rights reserved.

© for the Polish translation by Ryszard Długołęcki

Opracowanie graficzne i projekt okładki: Agencja Reklamowa ZENIT www.zenitreklamy.pl

Redakcja: Jarosław Bartosiński

Skład i łamanie: ANDYTEX, Warszawa

Druk i oprawa:

ARSPOL Sp. z o.o. Bydgoszcz

ISBN 978-83-928215-2-6

Wydanie I Tczew 2009

Wydawca

Sprzedaż Dobrej Książki Alicja Bartosińska

83-110 Tczew, ul. Piaskowa 3

tel. (0-58) 777-43-28

fax (058) 777-32-05

e-mail: jarbart@vp.pl

Książkę można zamówić pod adresem:

„L&L” Firma Dystrybucyjno-Wydawnicza Sp. z o.o.

80-298 Gdańsk, ul. Budowlanych 64F

tel./fax: (058) 520-35-37 fax: (058) 344-13-38

infolinia: 0-801-003-110

www.11.com.pl

www.ksiegarnia-11.pl

Treść tej książki jest fikcją. Pojawiające się w niej osoby, miejsca, wydarzenia i opisane tu sytuacje są wytworem wyobraźni autora. Wszelkie podobieństwa do rzeczywistych zdarzeń czy osób, żyjących lub zmarłych, są całkowicie przypadkowe.

Poświęcone pamięci Dennisa, który otworzył mi oczy na życie oraz pamięci oficerów i marynarzy, którzy oddali swe życia na pokładzie USNS Stark.

Pragnę podziękować mej Matce Billie za Jej nieustająco dobry humor i pełną oddania miłość, mojej drogiej Elwirze za umacnianie mnie swoją otuchą i zachętą, Argiemu, całej braci w Village Pub w Breckenridge, w Colorado, a także Royowi, Rybie i Timowi w McKee Bridge, w Oregonie, za Ich wsparcie oraz naszemu Panu za moją inspirację.

Podziękowania dla Rona Bauforda, autora „Pałacu Zagadek” oraz dla Departamentu Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych.

Przedmowa

W niedzielę, 9 października 1994, w czasie gdy obowiązywała strefa zakazu lotów, a siły NATO kontynuowały swoje negocjacje z Irakiem, na pokładzie lotniskowca *USNS George Washington* doszło do wydarzenia, które do tej pory utrzymywano w ściśle strzeżonej tajemnicy. Fakt, że okoliczności towarzyszące temu wydarzeniu nie zostały wcześniej ujawnione jest zadziwiający, gdy weźmie się pod uwagę znaczną ilość wmieszanych w nie osób z personelu cywilnego i wojskowego. A co nawet bardziej godne uwagi, to fakt, że jego reperkusje w zakresie kierunku wojskowego planowania przyszłych rodzajów sprzętu komputerowego były tak poważne, że poddano ponownym przemyśleniom problem wydatków obronnych i to bez jakichkolwiek przecieków do prasy. Na szczęście jednak, w czasie *rutynowej* kontroli bagażu dyplomatycznego lotu do Londynu, urzędnik celny zdołał przejąć kopię Nr 37NGW1850004F35 akt Pentagonu, poufny dokument, omawiający szczegółowo cały bieg wydarzeń, jakie miały miejsce tej październikowej niedzieli.

Wszystko poniżej jest rekonstrukcją tego raportu z pewnymi przystosowaniami jego tekstu do bardziej czytelnej formy, opisującej wszystkie wydarzenia, które w tym fatalnym dniu miały miejsce w całej społeczności wojskowej, ze szczególnym skupieniem uwagi na *Grupie Szóstej*, ugrupowaniu bojowym, krążącym po Morzu Arabskim nieopodal wejścia do Zatoki Perskiej, w miejscu znanym jako Baza Gonzo.

Na wiele lat wcześniej

Wszystko było ciemnością. Żadnego dźwięku, żadnych obrazów, żadnych wspomnień. John Latchkey uprzytomnił sobie, że wydobywa się powoli ze stanu nieświadomości kiedy zaczął stopniowo rozpoznawać jakiś głos, mówiący gdzieś, ponad nim, po koreańsku. Oczy jego otworzyły się z trudem, jedno po drugim. Unosząc głowę do poziomu zdał sobie sprawę, że spogląda prosto w otwór lufy pistoletu. Była czarna i znajdowała się wprost przed nim, nie dalej niż o sześć cali, mierząc nieporuszenie w środek jego czoła. Utrzymując wzrok utkwiony w lufę zaczął sprawdzać odniesione uszkodzenia. Ból z licznych skaleczeń i stłuczeń przenikał całe jego ciało. Szczególnie niepokojące było ostre klucie w lewym kolanie i coś, co odczuwał jako stróżkę potu lub krwi, spływającą powoli w dół z okolic bólu głowy, pulsującego ponad lewą skronią, a wszystko to towarzyszyło jego kurczowemu pragnieniu, żeby utrzymać absolutnie nieruchomą postawę.

Latchkey próbował dokonać bilansu sytuacji. Uświadomił sobie, że jest przywiązany do ciężkiego, drewnianego krzesła i że pojedyncza, słaba, nieosłonięta żarówka kołysze się łagodnie nad nim w małym, zadymionym pokoju, w którym oprócz posiadacza pistoletu, który mógł w każdej sekundzie wydmuchnąć mu mózg z czaszki, znajdował się jeszcze jeden człowiek.

Pamięć Latchkey'a zaczęła odtwarzać kolejne wizje: jego *F/A-18*, kuli ognia, rozdzierania się spadochronu, gwałtownego uderzenia przy lądowaniu, krwi, wleczenia go, rzucenia na drewnianą podłogę i wreszcie ocknięcia się w tym, co go właśnie otacza.

Odzyskał świadomość w połowie przesłuchania, prowadzonego przez co najmniej jednego człowieka, który przysuwał trzymany przez siebie pistolet coraz bliżej czoła Latchkey'a. Marka i typ broni były trudne do ustalenia, ale ręka ją trzymająca była pewna i nieporuszona. Mankiety marynarki w zasięgu jego pola widzenia były znoszone i bez emblematów. Być może, to w ogóle nie był mundur. Toczona w pomieszczeniu rozmowa zaczęła stawać się zdecydowanie jednostronna.

Latchkey potrzebował więcej informacji. Ryzykując jakąś reakcję ze strony posiadacza pistoletu, bardzo powoli odwrócił głowę od broni nieco w prawo i przesunął wzrok w kierunku drugiego głosu. Oficer, najwyraźniej koreańskiej marynarki wojennej, siedział w drugim kącie pokoju, kołyszając się do tyłu na podobnym drewnianym krześle. Palił końcówkę skręcanego ręcznie papierosa i spoglądał na mężczyznę, który trzymał w ręku życie Latchkey'a. Rozmowa stawała się coraz bardziej gwałtowna, aż w pewnym momencie siedzący na krześle wyciągnął lewą rękę, wskazał wprost na Latchkey'a i wykrzyknął jakiś rozkaz.

Latchkey poczuł nagle ostry, przeszywający ból po lewej stronie głowy i w tej samej chwili został ogłuszony hukiem pistoletu, strzelającego mu w okolicę ucha.

Rozdział Pierwszy

Granica Izraelsko/Jordańska. Na północ od Morza Martwego

20:22 czasu lokalnego (17:22 GMT)

Zakładając nawet, że znacie i pamiętacie jeszcze zawiłą drogę pomiędzy miejscami zagrożonymi wybuchem, jakie pozostały tu wciąż na długo po przeprowadzonym rozminowaniu i że nie ufacie spoinom, wiążącym zbombardowany most na rzece Jordan, leżący wprost na północ od Morza Martwego, już na ziemi niczyjej, to jednak zdecydowałibyście się chyba na poruszanie się po tym terenie nocą. Bo gdybyście wjechali tutaj za dnia, nigdy nie udałoby się wam stąd wyjechać. Warunkiem wstępnym dla każdej grupy, która miałaby na tym terenie prowadzić częstą tu nielegalną działalność, było bowiem spotkanie się w połowie drogi pomiędzy „ich” stroną a „naszą”, w nocy, samotnie i bez broni.

Księżyc na nowiu wisiał nisko, w półśmiechu, jakby z aprobatą dla uzgodnionej wymiany. Niski żołnierz o gburowatym wyglądzie wygramolił się ostrożnie z *jeepa*, zaparkował go między piaszczystymi wydhami i czekał na sygnał. Doświadczony informator, przebył wystarczającą ilość razy tą marną imitacją drogi, aby poznać już dobrze większość jej zakrętów i odgałęzień. Choć mógł bezpiecznie kierować swoim pojazdem także w środku nocy, godzina była wystarczająco wczesna, aby dać mu pewne poczucie anonimowości w wieczornym ruchu ulicznym, a wystarczająco późna dla jego nieoświetlonego pojazdu, aby przekroczyć granicę nie będąc zauważonym.

Żołnierz stał obserwując okolicę, z sercem wystukującym tą jego sekretną wiadomość. I oto, światło latarki błysnęło trzy razy. Chrząszczące kroki zaczęły brnąć w piachu w kierunku przodu *jeepa* i zaledwie tu dotarły, duży wojskowy but uniósł się z gruntu i wsparł na zderzaku. Charakterystyczny odgłos otwierania metalowej zapalniczki gazowej i kóleczka, krzeszącego płomyk, był dla żołnierza jeżeli nie czymś innym, to już jednak oznaką pewnego zaufania. Doświadczenie uczyło, że sztuczne, wymuszone słowa mogą przynieść śmierć. Przy tego rodzaju spotkaniach najbardziej wymownym świadectwem jest język ciała. Głos, łamiący się pod wpływem napięcia, może przesunąć rozjemczą szalę na korzyść tego

drugiego. Uśmiech może potwierdzić, że wszystko jest dobrze, może jednak kryć zdradę, jeżeli ona istnieje. Nawet Nowy Testament opisuje Judasza, wskazującego na Niego przez użycie znaku pocałunku w Jego policzek, zamiast przez wypowiedzenie jakiegoś słowa, które w swym wysiłku ukrycia strachu mogłoby ujawnić kłamstwo. Oko miewa trudności w samodzielnym wyłowieniu którejkolwiek z takich nieprawidłowości, ale przemówcie tylko, a dobrze wyćwiczone ucho może zwiększyć wnikliwość pojmowania wystarczająco, aby odkryć każdy fałsz.

Nowoprzybyły podniósł do ust świeże cygaro, odgryzł jego koniec i cmokając rozpałał je w płomyku, korzystając nie tylko z jego żaru, ale i odbłasku, który pozwoli żołnierzowi dostrzec uśmiech na jego twarzy. Żołnierz był pewny, że ten odległy ogieniek pozostawił w ukryciu jego zdziwienie, że spotykał go tak młody przeciwnik. „Jakimi to wyrachowanymi upodobaniami musiał zawładnąć ten dziewiętnastolatek, aby uzyskać stopień majora w palestyńskiej armii, jeżeli istotnie był majorem i jeśli w ogóle był rzeczywiście członkiem armii”, pomyślał sobie. „Gdyby w tym momencie, wraz z końcowym uściskiem dłoni, miała spotkać mnie śmierć, przysłałiby przecież kogoś starszego”. Jeśli nawet jego ciekawość była dostrzegalna, major nie zdradził się z tym. Młody oficer rozpałał spokojnie swoje cygaro, pozwalając płomykowi nadal wykonywać swoją nocną pracę. Nie spuszczał z oka wzroku żołnierza, powoli i spokojnie uniósł rękę do wewnętrznej kieszeni. Wydobył z niej ostrożnie dużą kopertę i położył ją na masce *jeepa*. Żołnierz wolno wyciągnął po nią rękę, pochwycił ją i przeliczył jej zawartość. Przybliżył się teraz o niewielki krok do ucha majora. Choć jego językiem ojczystym był hebrajski, mówił po angielsku.

- Ciężarówka wojskowa, wioząca pułkownika i kierowcę, przyjedzie do miasta dziś wieczorem, nie wcześniej niż o 22,30. To jest za około dwie godziny. Kiedy tylko wyjadą z przedmieść, a nie jestem dokładnie pewien którędy, to na resztę podróży połączą się z eskortą. Jesteście na nich przygotowani?

Major nie odpowiedział. Stał, szukając w twarzy żołnierza jakiegoś małego szczegółu, który dałby mu powód do wątpliwości w dokładność informacji. Tak, jakby czekał, czy nie zadrzą wskazówki urządzenia rejestrującego tętno i oddech. Niczego takiego nie było. Serce żołnierza przyspieszyło gwałtownie, kiedy major zatrzasnął wieczko zapalniczki. W czasie sekundy, której potrzebowały jego oczy, aby ponownie przyzwyczać się do ciemności, jego gość zniknął. Żołnierz, bogaty pieniędzmi w garści,

wskoczył do swego *jeepa* i zapalił silnik. Nawrócił wóz i popędził w ciemność, zdecydowany nie zapalać świateł zanim nie dotrze co najmniej do mostu. Zajęło mu to całe dwadzieścia minut. W każdym z pięciu poprzednich przypadków, w których uzgodnił podobny handel, rozważał szansę wyjścia z tego z życiem. Teraz, kiedy znów mu się to udało, uśmiechał się do siebie na myśl, że jego żądania wyższego wynagrodzenia zostały jednak zaakceptowane. To była jego najwyższa, jak dotychczas, zapłata i nie było to wszystko wcale trudniejsze. Im więcej razy pozostawał przy życiu, tym bardziej, co wiedział, stawał się dla nich wartościowy. Potrzebowali jego i jego informacji bardziej, aniżeli obawiali się zdrady. A jednak, do licha, mógł zażądać pięć razy więcej za tą konkretną transakcję i pewnie zapłaciliby mu chętnie. Wiedzieli przecież, że choć był dla nich prawdziwą okazją, stawki na chwilę obecną były ciągle względnie niskie.

Jeep przedostał się w końcu bezpiecznie przez most i po dalszych osiemdziesięciu milach podjechał do głównej bramy Izraelskiego Centrum Badawczego w Rechow.

Rozdział Drugi

Baza lotnicza, Bahrajn. Lot dyżurny AWACS 24

21:37 czasu lokalnego (17:37 GMT)

Dzięki nieprzerwanej życzliwości małego suwerennego państewka, Bahrajnu, Stany Zjednoczone miały przez pewien czas całkiem dobry dostęp do południowych części Zatoki Perskiej. Gdyby jednak kogokolwiek zapytać, w odpowiedzi można by zwykle usłyszeć: „Och, mamy tu w Bahrajnie sporo okrętów i personelu marynarki wojennej, masę statków, no i oczywiście, tankowców pobierających ropę”. Większość pytanym nie wiedziałaby nawet, że na wyspie w rzeczywistości znajduje się jakaś baza lotnicza. Lotnisko w Al-Muharraq, ogólnie znane jako Baza Lotnictwa Wojskowego Bahrajnu, bardziej z powodu swej bliskości do cieśniny Ormuz, niż z racji swojej rzeczywistej rangi, stale utrzymywało drugą co do ilości liczbę startów i lądowań wśród wszystkich lotnisk poddanych zatokowym zakazom, choć większość z tych działań można było określić terminem: „nie zwracające na siebie uwagi”. Rzędy brzuchatych hangarów i samolotów, stłoczone wokół pasów kołowania, były świadectwem co najmniej sprawności parkowania. W zatoczce parkingowej numer pięć stała, oczekująca swej kolejki do startu, kolejna wersja wysoce udanego *Boeinga 707*, turbośmigłowego *320B E-3B* z wznoszącym się ponad nim dużym talerzem radaru. Oczami i uszami regionu Zatoki Perskiej był Powietrzny System Ostrzegania i Kontroli AWACS. Poprzez zazębiające się loty zmianowe z Saudyjczykami lub wydłużanie czasu trwania indywidualnych dyżurów, zebrano niewiarygodną ilość 350.000 godzin nieprzerwanie prowadzonej obserwacji.

Aby pomóc utrzymać wysoki poziom funkcjonowania załogi, każdy samolot został wyposażony w zaopatrzoną w pełni minikuchnię, lodówkę, trzy łazienki a nawet rozkładane łóżko polowe. Wszystko to jednak było niczym w porównaniu z pozostałym wyposażeniem tego jednego z najbardziej kosztownych samolotów operacyjnych dzisiejszego świata. W gruncie rzeczy, wyposażenie zainstalowane na pokładzie AWACS 24 kosztowało więcej, aniżeli budowa samego samolotu. Obracająca się sześć razy na minutę trzydziestostopowa kopała rotacyjna *Westinghouse APY2* jest

najpotężniejszym radarem lotniczym. Jego przypominająca półmisek konstrukcja, zdolna do działania zarówno nad lądem, jak i nad wodą, jest umieszczona wysoko nad kadłubem samolotu na pylonowych podporach. Zasięg *APY2* może zostać zwiększony zmianą wysokości lotu, co umożliwia rozszerzenie zasięgu jego normalnie używanego pola widzenia do około dwustu czterdziestu mil we wszystkich kierunkach. Może on wytropić nieprzyjacielskie sygnały elektroniczne nawet w ich stanie biernym, przechwytyjąc dane nawet wtedy, kiedy nie są one transmitowane. Standardowy zespół około piętnastu operatorów jest rozmieszczony przy konsolach obrazujących aktualną sytuację obserwowanego obszaru, ustawionych w rzędach po trzy. Posługując się fotoelektrycznymi pisakami świetlnymi, komunikują się oni z pokładowymi *IFF* i *AIDS* (automatycznym systemem identyfikacyjnym) zarówno samolotu przyjacielskiego jak i nieprzyjacielskiego, zapewniając operatorom pełną informację przez pokazanie na ekranie opisu sytuacji każdego wybranego miejsca, dotykane go świetlnym pisakiem. Przy użyciu *GPS*, globalnego systemu lokalizacyjnego II oraz *Joint STARS*, radarowego systemu nadzoru ataku celu, faktycznie nic w obrębie zasięgu nie pozostaje niezauważone. Bieżąca sytuacja jest rutynowo przekazywana do Bahrajnu, dowódcom, pilotom w okolicy oraz drogą satelitarną do Pentagonu. Ta sieć wysoce wyrafinowanego sprzętu została także „utwardzona”; określenie oznaczające okrycie całego sprzętu komputerowego obudową, chroniącą go przed działaniem energii, wytwarzanej w wielkich ilościach w czasie ataku nuklearnego. System *AWACS*, współpracujący harmonijnie z całą wspólnotą wojskową, jest najlepszy na świecie w swojej klasie.

Cztery *E-3B* i jeden *E-3C* były stacjonowane w Bahrajnie, ale ich działania nie były jedynymi lotami, przybywającymi tu i opuszczającymi to miejsce, które stało się jednym z kilku pewnych i bezpiecznych lotnisk sojuszniczych w regionie. *RSAAF*, Królewskie Siły Lotnicze Arabii Saudyjskiej, z niemałym wsparciem Stanów Zjednoczonych, pomagały umacniać siłę wojskowego lotnictwa Bahrajnu. Samoloty *AWACS*, choć obsługiwane przez amerykańskie załogi, były zakupywane i opłacane przez Saudyjczyków, ale poza jedną eskadrą *F-15D*, wszystkie pozostałe samoloty należały do sił powietrznych Stanów Zjednoczonych. Na długo przedtem, zanim Irak, w poszukiwaniu bezpieczeństwa finansowego, zaczął spoglądać poza własne granice, samoloty te latały do Bahrajnu, aby pomóc w nadzorze i ochronie Zatoki Perskiej. Oficjalną linią postępowania było oczekiwanie, że *RSAAF* zapewnią wszelkie potrzebne wsparcie tym, czym

wówczas były. SAC, Dowództwo Lotnictwa Strategicznego i TAC, Dowództwo Lotnictwa Taktycznego. Jednakże, po wielu próbach takiego zabezpieczenia nieba nad Zatoką, Pentagon zdał sobie sprawę, że Saudyjczycy po prostu nie są zdolni do efektywnej ochrony tak rozległego obszaru.

W początkach roku 1994, kiedy stale trwała wojna między Irakiem a Iranem, a *Grupa Szósta* znajdowała się jakieś pięćset mil na południe od tych terenów, dla Szefów Sztabów Połączonych stało się jasne, że trzeba tu czegoś więcej. Zdecydowano więc, aby pod pozorem prowadzenia akcji „*Cover Charge*”, nasilić działania w tym rejonie.

Dla realizacji tego zadania, Generał Wilson wystąpił o przekazanie mu następujących uzupełnień:

a) dwóch eskadr *F-15D*, włączając w to trzy *F-15MTD*. Samoloty te, przeznaczone do demonstrowania techniki manewrowania, z ruchomymi przystawkami, zamontowanymi z przodu skrzydeł dla zwiększenia ich siły nośnej i zmniejszenia oporu czołowego, były także wyposażone w prostokątne dysze odrzutowe, pozwalające uzyskiwać kierunkowaną siłę ciągu w manewrach, dokonywanych w czasie startu i samego lotu. Wszystkie one były w składzie 67 TFS, Taktycznego Dywizjonu Myśliwskiego, z 18 PACAF, Lotnictwa USA Rejonu Pacyfiku,

b) jednej eskadry *F-16C Fighting Falcons* i jednej eskadry *F-16E Agile Falcons*. Te drugie miały większe, kompozytowe skrzydła i mocniejsze silniki, aniżeli ich wcześniejsze odpowiedniki. Zespół ten, zwany oficjalnie *Eskadrą Pokazową*, wchodził w skład 496 TFS. Demonstrowane w plenerze w celu przekonania i skłonięcia RSAAF do dodatkowych zakupów, maszyny te miały też, jak oczekiwano, pokazać swoje możliwości Egipcjanom, którzy w tym czasie rozważali właśnie wzmocnienie swoich *F-16B*,

c) dwóch *EC-135A* i jednego *EC-135C 707-320B*, stratosferycznych samolotów-cystern,

d) jednego *EC-135K*. Był to przystosowany *-135A*, zaopatrzony w bogate wyposażenie łącznościowe dla wspomoczenia dowódczych i kontrolnych zadań CINC, Głównego Dowództwa,

e) jednego *EC-135N ARIA*, (samolotu zaawansowanego monitorowania), świeżego nabytku, eksploatowanego przez 4950 dywizjon doświadczalny ASD jako stacja przekaźnikowa głosu i danych telemetrycznych, wspomagająca lądowe i morskie stacje odbiorcze NASA i DoD, Ministerstwa Obrony,

f) jednego *EC-130H* z 41 *ECS*, Eskadry Dowodzenia Elektronicznego, „Compass Call”, przystosowanego *C-130*, zaplanowanego do zagłuszania łączności nieprzyjacielskiej,

g) trzech helikopterów morskich *CH-3B*, h) dwóch transportowców *C-130*,

i) dwóch helikopterów *Sikorsky UH-60G Black Hawk* oraz

j) dwóch helikopterów *HH-3E Jolly Green Giants*.

Na liście tej pojawiły się, z tej lub innej przyczyny, także i różne inne typy sprzętu, jak choćby nowiutki transportowy pionowzlot *CY-22A*, który w jednym z sześciu hangarów na oddalonym końcu lotniska przechodził właśnie niewielkie modyfikacje.

Uprzednio każdy członek załogi *AWACS* zakończył solidny posiłek, wysłał kilka pocztówek i odebrał swoje rozkazy. Odprawy były bardzo podobne do innych, dokonywanych w lotnictwie wojskowym przed kolejnym lotem z tym wyjątkiem, że najstarszy rangą dowodzący lotem nie był pilotem, bo w eskadrach *AWACS* obecna jest na pokładach wyższa władza. Podpułkownik lub ktoś równoznaczny stopniem staje na czele każdej zmiany i jest odpowiedzialny za wszystkie aspekty misji. Załodze przekazywane są wskazówki co do takiego kursu lotu, aby utrzymać i wzmoczyć ogólny stan swoistej czujności. Z tego właśnie wysokiego stopnia czujności *28 Dywizja Lotnicza*, *562 AWACS* z *9 Grupy Sił Lotniczych* była szczególnie dumna.

Kiedy kapitan Michael O'Grady i jego załoga wyszli na oświetlony pas startowy, i przechodzili obok rzędu *CH-3B helo*, a następnie szli za czterema *E-3S* na północnym krańcu bazy, nikt nie podejrzewał, że ta właśnie zmiana będzie czymś innym, aniżeli codzienną rutyną. To znaczy, jeżeli zakładało się, że kontrolowanie strefy zakazu lotów na południe od trzynastego drugiego równoleżnika, tego rodzaju ogromnej cysterny, rozbudowanej wokół bagien południowego Iraku, oraz irytujące, jeśli nie niebezpieczne, ciągłe przemieszczanie się przez ten region irańskich samolotów, można było nazwać zwykłą rutyną. Każda sześciogodzinna szychta, wypełniana przez eskadry *AWACS* była żmudna i pełna napięcia. Kiedy zaś *Komisja Śledcza Sił Zbrojnych*, w związku z tragicznym zestrzeleniem irańskiego *Airbusa* i katastrofalnym incydem innego omyłkowego ostrzału, dokonanego w czasie misji zwiadowczej w irackiej strefie zakazu lotów, przekazała odpowiednie zalecenia pokontrolne, sprawność łączności rozpoznawcze pomiędzy misjami *AWACS*, a różnymi jednostkami

gromadzącymi informacje, została jeszcze znacznie podniesiona.

O'Grady, niski mężczyzna, niewiele po czterdziestce, podszedł do swego samolotu dowódcy by przeprowadzić obchód inspekcyjny, podczas gdy reszta załogi gramoliła się na pokład. W czasie, kiedy rozpoczęli oni swoje przedstartowe czynności sprawdzające, każdy z członków grupy znajdującej się w głównej części kadłuba samolotu zdążył już zająć przydzielone mu stanowisko i z chwilą, kiedy pokładowe generatory zaczęły działać, załoga rozpoczęła procedury startowe. Wreszcie O'Grady pokazał obsłudze naziemnej wzniesione kciuki, a porucznik Bill Gwynn, na prawym siedzisku, przesunął ku przodowi przepustnicę, aby rozpocząć kołowanie.

Kapitan wyjrzał z kabiny w kierunku grupy budynków, znajdujących się na odległym końcu lotniska. Choć był urodzony i wychowany w Stanach, jego irlandzki akcent był ciągle wyraźny. - Wieża, tu lot 24, sprawdzanie zakończone i czekamy na zezwolenie - powiedział.

- Dobry wieczór, O'Grady - przyszła znajoma odpowiedź. - Piękna noc. Wiatr około dwunastu węzłów, widoczność ponad sto, czyste niebo, prawdopodobnie bez zaburzeń.

- Całkiem niezłe, tylko którejdy teraz? Wiesz, że po ciemku nie mogę odnaleźć drogi bez mapy.

- Słuchaj, O'Grady, wyprowadzałeś tę starą kupę śrubek więcej razy, niż ja jadłem ciepłych posiłków. Potrafiłbyś to już zrobić we śnie .

- No dobra, ale jeżeli gdzieś się tam zgubię, a zobaczę, że wjeżdżam właśnie na przystanek końcowy, dostaniesz rachunek za bardzo drogi bilet parkingowy.

- Kiedy dotrzesz do północno-wschodniego końca czterdziestego ósmego, O'Grady, pozostań na swej pozycji, bo mamy tu jednego *Eagla* na podejściu do lądowania.

- Tak jest, wieża. - i kiedy *E-3B* podciągnął do skrajów pasa startowego, O'Grady wyłączył swoje słuchawki, wychylił się ku przodowi i spojrzął w prawo. Tam, gdzie pas startowy w swym długim biegu do brzegu wody przechodził w trawiaste zarośla, hen, gdzieś tam, gdzie jego światła traciły już swój blask, pojawił się szybko w polu widzenia dwumiejscowy *F-15E* z *555 TFTS*.

- Spójrz no tylko, Mike - powiedział Gwynn. - Czego on tam nie ma. Światła lądowania, wypuszczone koła, opuszczone klapy, wysunięte hamulce powietrzne. Chłopie, co za widok. Chciałbym choć jeden raz dostać szansę polecieć jedną z tych zabawek.

- Chciałbyś. No dobra chłopaki! Puśćmy w ruch tą balię.
 - Człowieku, spieszy ci się, czy co? powiedział Gwynn, świadom nutki zazdrości w głosie O'Grady'ego. Kiedy koła Eagle'a zetknęły się miękko z ziemią, przed 707, czekającym cierpliwie swojej kolejki na pasie, uniosła się w powietrze chmura pyłu i głośnie grupka mew.
 - To trochę oczyści nam pole startu - powiedział rzeczowo O'Grady, łącząc się ponownie z wieżą.
 - To był bardzo ładny pokaz. Czy możemy teraz zabierać się z tej wyspy?
 - W porządku O'Grady, macie zezwolenie na sześć-zero, lokalne podmuchy piętnaście węzłów, południowo-zachodnie, bez pułapu. Dobrej drogi.
 - Och, wieża, dziękujemy serdecznie. Myślałem tu przez chwilę, że nie przejmujecie się zbyt tym, co się z nami stanie.
 - Opiekuj się tylko dobrze Bobem Stanfordinem i jego chłopakami.
 - Och, czyż nie robię tego zawsze? - powiedział O'Grady przełączając się na odbiornik pułkownika Roberta Stanforda. - Jesteśmy wszyscy gotowi, panie pułkownika. Co u pana?
 - Dziękuję, Mike. Wszystko gotowe.
 - W porządku, niech pan dobrze trzyma swoją czapkę. - Skinął głową Billowi i stopniowo pchnięcie dźwigni napędu potoczyło samolot po przedpolu, a pilot zaczął skręcać maszynę w lewo. O'Grady uwielbiał startować w nocy, poczynając od tego ostatniego skrętu, z rzędami żółtych i niebieskich światełek, splecionych powtarzającymi się czerwonymi, błyskającymi nagle przed oczami, co zawsze przypominało mu włączanie świateł na domowej choince.
 - Dajcie mi pełną moc. - Zarówno Bill Gwynn jak i jego mechanik przesunęli przepustnice tak daleko do przodu, jak tylko się dało i zespoły silnikowe ożyły z rykiem.
- Kiedy zaczęli toczyć się ciężko po pasie startowym, Gwynn wykrzykiwał prędkość: - 50 węzłów... 60... 80... 100... 120... 160... *V-jeden...V-R zamienna ... V-dwa.* - O'Grady ściągnął mocno drążek na siebie i AWACS 24 uniosł się miękko w powietrze. Gwynn wciągnął podwozie i O'Grady rozpoczął długi dołot w prawo, około stu mil na północ, aby spotkać swego powracającego z trasy odpowiednika, AWACS 21. Dziesięć minut później, na dwudziestu tysiącach stóp, O'Grady przełączył się na 128 megaherców.
- Choć pułkownik Stanford, od momentu kiedy tylko poczuł, że koła

odrywają się od pasa, był w kontakcie ze swoim z kolei odpowiednikiem na pokładzie *AWACS 21*, O'Grady nie spieszył się ze zgłoszeniem się do swojego.

- *Lima-Lima*, tu *Zulu-Camp*. *Lima-Lima*, tu *Zulu-Camp*. Czy mnie słyszysz, Turney?

Po kilku sekundach znajomy głos kapitana Wiliama Turnable'a zachrypiał w słuchawkach.

- Tu *Lima-Lima*. Czekaliśmy na ciebie, Mike.

- Jesteście gotowi lecieć do domu chłopaki? Wydajesz się trochę zmęczony, William.

- Też byś był, gdybyś miał taki dzień jak my, O'Grady. Te dwie fregaty, które Irańczycy mają w Cieśninie, znów zaczęły się szwendać. Zdaje się, że jest jakiś ruch na pozycjach *Silkwormów* na wybrzeżu. Jest parę *Migów*, latających w tę i z powrotem nad Zatoką, zupełnie jakby to była ich własność, a żeby było jeszcze ciekawiej, to kończy mi się gaz.

- Nigdy nie myślałem, że usłyszę o dniu, w którym skończył ci się gaz, Will. Przecież zawsze masz się czym wtrącić do rozmowy - zauważył pogodnie O'Grady.

- Nie we mnie się skończył gaz, idioto, tylko w zbiornikach.

- No więc, sytuacja jest normalna, czy tak?

- Niby tak, ale uważaj Mike - powiedział poważnie Turnable. - To niby proste, spędzić masę czasu, trzymając na oku strefę zakazu lotów, ale pilnuj tyłów, bo tam ktoś podkręca regulator.

- No cóż, jestem pewien, że nasi dwaj szefowie trzymają sprawy mocno w rękę.

- Zgadzam się. Ach, przydałoby się jedno zimne.

- To wypij też jedno za mnie, a potem uderz w kimono.

- Wypiję. Szefowa zawsze mówi, że wszystko dla ciebie, więc do zobaczenia rano, Mike.

- Dobra, *Lima*. Trzymamy za słowo. Ty stawiasz.

O'Grady nie wiedział, że tego dnia będzie musiał poczekać trochę dłużej na to wychylenie szklaneczki w barze.

Rozdział Trzeci

Egipt. Lotnisko w Kairze

20:54 czasu lokalnego (17:54 GMT)

Kapitan Mantu Lu był spóźniony. Linia lotnicza wywarła już wystarczający nacisk na pilotów, by dla utrzymania sprawności samolotów akceptowali pewne zmiany w utrzymaniu wysokich standardów, a teraz z kolei przynaglano do ścisłego przestrzegania nowych, napiętych rozkładów lotów.

W pomieszczeniach załogi kapitan Lu, niski, przysadkowaty, pospolicie wyglądający mężczyzna, skontrolował krótko wagę ładunku i listę pasażerów. Miał właśnie ponownie obliczyć potrzeby paliwowe na przelot do Seulu przez Delhi, kiedy wszedł miejscowy szef i dość szorstko zapytał go, dlaczego nie jest jeszcze na pokładzie. No i Lu musiał wysłuchać reprimendy za swoje opóźnienie, jako że lot 534 otrzymał już pierwsze wezwanie pasażerów do samolotu. Po kilku słowach usprawiedliwienia Lu podpisem pokwitował samolot i mruczając pod nosem, że nigdy nie mówiono do niego w taki sposób, skierował się do głównej hali, spotykając się po drodze z drugim pilotem. Weteran z piętnastoletnim doświadczeniem nie potrzebuje pouczeń, jak to należy prowadzić swoje sprawy, toteż uważał to za straszny blamaż. Jakkolwiek mogło być trochę prawdy w tym, co powiedział jego szef, Lu był bardzo szanowany przez kolegów i w ciągu tych wszystkich lat jego praktyki zawodowej po raz pierwszy został ostrzeżony, że w jego aktach może znaleźć się raport o jego opieszałości.

Zwykle, gdy kapitan przybywał do kokpitu, jego mechanik miał już zestaw wszystkich danych wprowadzony do komputerów *INS*, wewnętrznego systemu nawigacyjnego. Tak więc Lu przypuszczał, że po wykonaniu kilku pojedynczych gestów pozdrowień dla niego i głównego stewarda, wszystko co powinien był zrobić, to zapiąć pas, dokonać szybkiej kontroli przed lotem i ruszyć w drogę. Osiem lat na -747 przekonało go, jaki to wytrzymały i pewny samolot i że można uzupełniać wykonanie wszelkich pozostałych niezbędnych czynności nawet w czasie kołowania. Na niezszcęcie, tego właśnie wieczoru, technik także się spóźnił i zamiast

przybyć około czterdziestu minut przed wywołaniem lotu, teraz pospiesznie przeglądał zapisy danych dla *INS*.

Maszyna 747-200 była w swoim czasie uznawana za najlepiej wyposażoną w najnowocześniejsze urządzenia nawigacyjne. Dwustabilny przełącznik autopilota, którym pilot lub drugi pilot mogli przechodzić z jednego systemu nawigacji do drugiego, był umieszczony w centrum górnego pulpitu sterowniczego. Pierwsze przesunięcie tego przełącznika w prawo zaznaczało namiary Lądowania a następnie włączało System Lądowania (ILS). Pierwsze kliknięcie przełącznika w lewo umożliwiało lot według namiarów kompasu (HDG), następne kliknięcie w lewo, jedynie o pół cała dalej, umożliwiało lot przy użyciu wewnętrznego systemu nawigacyjnego (*INS*).

Na pokładzie samolotu były trzy takie systemy LTN 72R *INS*. Pilota, drugiego pilota i technika pokładowego. Serie kontroli i ponownych kontroli ze strony projektantów systemu wyeliminowały możliwość wszelkich błędów, z wyjątkiem tych rozmyślnych. Pamięć systemu zawiera szczegółowe, nieprzerwane rozpoznanie aktualnej pozycji samolotu. System działa przez stałe dokonywanie odczytów szybkości maszyny, wysokości na jakiej się ona znajduje oraz jej ruch postępowy nad powierzchnią globu. Aby móc wystartować z pomocą tego systemu, technik pokładowy, jeszcze w czasie postoju samolotu przy bramce dla pasażerów, wprowadza do systemu zestaw danych, określających to, co nazywa się punktami kontrolnymi trasy. Kiedy tylko włączony zostaje autopilot, samolot będzie kierowany automatycznie od jednego punktu kontrolnego do następnego, co pozwala maszynie lecieć niezależnie od jakiegokolwiek systemu GPS czy naziemnego. Obecnie zachodnie linie lotnicze wymagają, aby każde wprowadzanie danych do tego systemu było dokonywane jednocześnie przez wszystkich tych trzech członków załogi, ale w roku 1994 niewiele linii lotniczych miało tą wczesną odmianę maszyn typu -747-200 i przeważnie pozostawiano jeszcze wówczas całą tą robotę samemu tylko technikowi. Wszystko, co miał on zrobić, to wprowadzić do systemu prawidłowy szereg numerów identyfikacyjnych kolejnych punktów kontrolnych trasy, wyznaczających przebieg zaplanowanej drogi i resztę pozostawić *INS*. Raz uruchomiony, *INS* poprowadzi samolot do pierwszego punktu, następnie do drugiego i tak dalej. Każdorazowo można było wprowadzić jedynie siedem takich punktów trasy. Dlatego w przypadku lotu, wymagającego oznaczenia dwudziestu lub więcej punktów, technik powinien czekać, aż jeden punkt trasy został osiągnięty, zanim zastąpi go wprowadzeniem następnego

z listy. Jakkolwiek procedura wprowadzania tych koordynat jest prosta, sprawą kluczową dla powodzenia jest, by ściśle poinformować system, kiedy jeszcze samolot stoi na terminalu i zanim wystartuje, gdzie dokładnie ten samolot się znajduje. To oznacza, że należy wprowadzić do komputera dokładną szerokość i długość geograficzną położenia portu lotniczego, by system przyjął to jako punkt zerowy. Wówczas *INS* może odczytać następny po tym zerowym, kolejny punkt drogi i ustalić ścieżkę lotu niezbędną, by do niego dotrzeć.

Cały ten system posiada wbudowane mechanizmy, które mogą pomóc uczciwie przykładającemu się do swej pracy technikowi wychwycić i skorygować błędy na długo przed przybyciem reszty załogi na pokład. Najpierw technik siada na lewym siedzisku i wprowadza do jednostki *INS* pilota dane, identyfikujące startowy punkt zero i dalsze punkty trasy i czeka na akceptację. Następnie przesiada się do komputera drugiego pilota i powtarza całą operację. Jeżeli jeden lub więcej zapisów nie zgadza się ściśle z tymi pierwszymi, wprowadzonymi do komputera pierwszego pilota, wówczas system *INS* nie zaakceptuje danych z jednostki drugiego pilota, uruchamiając odpowiedni sygnał ostrzegawczy wraz z identyfikatorem dźwiękowym. W tych okolicznościach technik powinien powtórzyć całą procedurę, dopóki nie uzyska zgodności obydwu jednostek. Kiedy to nastąpi, technik przesiada się ostatecznie na swoje siedzisko i powtarza całą procedurę po raz trzeci, dopóki precyzyjnie nie wypełni przedstartowych wymogów, dotyczących nawigacji lotu.

W dniu 1 września 1983, samolot Koreańskich Linii Lotniczych, wykonujący lot *KA007*, także zresztą *Boeing 747-200*, został zestrzelony przez rosyjski samolot myśliwski *SU-15*. Koreański samolot wystartował z Anchorage na Alasce, dotarł do swego pierwszego punktu kontrolnego trasy w rejonie Bethal i ruszył nad Pacyfik w swą długą drogę do Seulu w Korei. Za każdym razem system *INS* potwierdzał, że maszyna osiąga kolejne punkty kontrolne: *NABIE*, *NUKKS*, *NEEVA*, *NINNO*, *NIPPI* i tak dalej. Tak. System potwierdzał osiągnięcie kolejnych punktów i prowadził maszynę do punktu następnego. W wyniku dochodzeń, prowadzonych po zaistnieniu w tym locie tragicznego wypadku, i po zbadaniu czerwonych skrzynek samolotu, dokonanych zresztą nie bez wielu trudności, także i politycznych, ustalono jednak, że system *INS* kierował bez poprawek samolot do następnego punktu kontrolnego nawet wtedy, gdy maszyna zbaczała aż na

odległość około 100 mil od wyznaczonego kursu.

W wyniku tych badań wysunięto trzy teorie, które wydawały się najlepiej tłumaczyć dlaczego samolot, podczas swego lotu w kierunku zachodnim, zbaczał tak bardzo na północ ze swej właściwej trasy. Po pierwsze, przypuszczono, że technik pokładowy, jeszcze na terminalu w Anchorage, pomylił się przy wprowadzaniu startowych, początkowych koordynat „zerowych”. Jeżeli pomyłka ta, ot, choćby zwykłe przedstawienie dwóch cyfr, przekonała system, że samolot parkuje na terminalu o jakieś 100 mil dalej na południe niż rzeczywiste miejsce jego parkowania w Anchorage, to wówczas, kiedy system *INS* został włączony do nawigacji lotu, skierował on samolot znacznie dalej na północ, niż to było dla tego lotu zaplanowane, bo usiłował wyrównać tą właśnie różnicę 100 mil. Po drugie, jeżeli załoga przypadkowo pozostawiła przełącznik w pozycji „lot według kompasu”, (*HDG*), samolot leciałby na zachód, kierując się wskazaniem kompasu a nie *INS-u*. Rzeczywisty kurs, przyjęty przez lot *KA007*, wynosił 246 stopni i utrzymywany był przez cały czas aż do Kamczatki i Sachalinu, gdzie samolot został w końcu zestrzelony. I wreszcie, że pilot mógł zorientować się, że przy wprowadzaniu do *INS* odpowiednich danych popełniono błąd i rozmyślnie zdecydował się kontynuować lot, posługując się wskazaniem kompasu. Mógł mieć w świadomości dwa znaczące przypadki pilotów, którzy tuż po starcie, zorientowawszy się, że do systemu *INS* wprowadzono błędne dane, zawrócili maszynę i polecili z powrotem do Anchorage, zrzucając po drodze cały swój zapas paliwa, aby na miejscu zresetować koordynaty *INS*. Linia lotnicza zareagowała na te działania jednoznacznym ostrzeżeniem, że każdy pilot, który w przyszłości uczyni coś podobnego, otrzyma odpowiednio ostrą reprymendę, co oznaczało zwolnienie z pracy.

Każda z tych trzech wersji mogła spowodować, że maszyna lotu *KA007* poleciała zbyt daleko na północ, naruszając dwukrotnie, jak to miało miejsce, rosyjską przestrzeń powietrzną. Kiedy to się wydarzyło i koreański samolot znalazł się w tej przestrzeni, w pobliżu wybrzeży Kamczatki przełatywał samolot wywiadowczy *RC-135 Cobra Ball*, próbujący zebrać dane o testach rosyjskich rakiet balistycznych. Czterosilnikowy *RC-135*, choć nieco mniejszy od *Boeinga 707*, pod pozostałymi względami bardzo go przypomina i na pierwszy rzut oka mógł wyglądać bardzo podobnie do koreańskiego *-747-200*, szczególnie z większej odległości i w nocy. Rosyjski pilot mógł więc pomylić *-747* ze *-135* i choć meldował do bazy, że

migające światła pozycyjne samolotu są stale włączone, otrzymał jednak rozkaz otwarcia ognia.

Ten dramatycznie pechowy *KA007* nie był jedynym lotem, mającym podobne problemy nawigacyjne. W opisywanym bowiem dniu lotu, pilotowanego przez kapitana Lu, jego technik pokładowy, Denny Typi, działał w znacznym pośpiechu. W przeciwieństwie do załóg zachodnich, gdzie dobry kontakt i pomoc są osiągalne od kapitana aż po ostatniego członka załogi, zasady wschodniej hierarchii nie pozwalają na zadawanie pytań przełożonym na temat podejmowanych decyzji lub na prośbę o pomoc, szczególnie, gdy czas nagli. Typi, po wprowadzeniu danych do drugiego komputera, otrzymał ostrzeżenie, że koordynaty te nie zgadzają się z danymi komputera pierwszego pilota. Zamiast ponownie wprowadzić dane, zlekceważył ostrzeżenia, skasował koordynaty u pierwszego pilota i przebieścił dane z komputera drugiego pilota do *INS* pierwszego tak, że obydwie one stały się teraz zgodne.

Właśnie w tym momencie kapitan i drugi pilot przybyli do kokpitu. Typi przesiadł się na swoje miejsce, między innymi czynnościami uruchomił swój *INS* i zdecydował się mieć cichcem na oku wszystkie trzy komputery na wypadek jakichś rozbieżności w czasie lotu. Trzej członkowie załogi zajęli swoje miejsca i wymieniali właśnie oficjalne pozdrowienia, kiedy rozległo się pukanie do drzwi.

- Wszyscy na pokładzie a drzwi zamknięte, panie kapitanie - powiedział główny steward, wścibiając głowę.

- Dziękuję - odpowiedział kapitan, spoglądając na zegarek. - Czynności przedstartowe wykonamy po drodze. Ruszamy.

Samolot zajął swoją kolejkę w tłoku, jaki panował tego wieczora i w momencie, kiedy koła oderwały się od pasa startowego „22-prawy”, lot miał już szesnastominutowe opóźnienie.

Chociaż fakt ten rozważano w następnym dniu podczas dochodzenia, historia miała odnotować, że w porównaniu z innymi wydarzeniami, które wymusiły awaryjne lądowanie lotu *KA534*, ten akurat miał mniejsze znaczenie.

Rozdział Czwarty

Baza Gonzo. USNS George Washington CVN-90

23:19 czasu lokalnego (18:19 GMT)

USNS George Washington, który przed kilkoma zaledwie miesiącami uzyskał gotowość bojową, był najnowszego typu lotniskowcem o napędzie nuklearnym i miał zająć pozycję na Morzu Arabskim. Jego pokład lotniczy o długości trzystu trzydziestu jardów jest jednym z najdłuższych, jakie pływają po morzach i oceanach, a *GW*, jak go się czule nazywa, jest uważany przez każdego z sześciu tysięcy trzystu członków załogi, za najwyższej klasy morską platformę lotniczą, jaką dotychczas zbudowano.

Na pokładzie, mimo ciemności choć oko wykol, trwała zwykła krzątania załogi, której członkowie ubrani byli w świecące zimnym światłem kurtki w kolorach, odpowiadających rodzajom czynności, wykonywanych przez każdego czy każdą z nich. *Czerwone Kurtki* ładowały uzbrojenie. *Żółci* kierowali ruchem podczas gdy *Zieloni* podczepiali do katapulty numer dwa następną maszynę do startu. *Niebiescy* zabezpieczali samolot przed stoczeniem się poza krawędź pokładu, podczas gdy *Purpurowi* napełniali go paliwem. *Biali* sprawdzali, czy załogi przestrzegają odpowiednio procedur bezpieczeństwa, a Szef Lotów był jak zwykle na posterunku. Zbliżała się akcja *Błękitny Grom* i cały statek był pełen ożywienia. Trzy *F/A-18 Hornet* już wróciły. Cztery *F-14D Tomcat* ustawiały się właśnie w pięćdziesięciosiekundowych odstępach w kolejce do lądowania, a reszta, dwie *Cysterny* oraz *Hawkeye*, znajdowała się niedaleko za nimi. Kiedy liny starały się wylapać wszystkie haki cumownicze lądujących maszyn, jakie dotykały pokładu, obsługa usuwała kolejno każdy przybyły samolot na pobocze właściwego toru lądowania i to tak szybko, jak to tylko możliwe. Wycie wiatru, wiejącego z prędkością trzydziestu pięciu węzłów, zagłuszało wszystko na pokładzie i było masę okazji, by załoga pokładu lotniczego, ze słuchawkami pełnymi dźwięków, nie słyszała samolotu za sobą, ślizgała się na przesiąkniętym paliwem pokładzie lub po prostu włąziła w drogę komuś innemu. Z okien Szefa Lotów, wysoko nad tą kotłownią, ta wieczorna sesja mogła wyglądać jak rozprzężona panika, ale w rzeczywistości,

cały ten ciąg lądowań odbywał się gładko. Wobec perspektywy nowego video-koncertu, przedstawianego tego wieczoru w messie, nie dziwiło, że załogi działały skutecznie i sprawnie. Nikt nie chciał dostać dodatkowych obowiązków tego właśnie wieczoru.

W zupełnym przeciwieństwie do zatłoczonej, hałaśliwej atmosfery górnych części okrętu, w pomieszczeniach, z których składała się dwuipółakrowa przestrzeń robocza pod pokładem, było względnie spokojnie. Główny mechanik, Jim Spreg, kończył właśnie usuwać z *F/A-18* jeden z rejestratorów danych, kiedy komandor Brian Davis, urodzony i wychowany w północnym Michigan, doświadczony weteran dwóch kampanii, podszedł cicho do Sprega i klepnął go w ramię.

- I co myślisz, Joe? - powiedział Davis z oznakami pewnego zaniepokojenia.

- Nie jestem pewien, panie komandorze - powiedział Spreg. - Nasz stolik do seansów spirytystycznych wygląda teraz na bardzo zajęty, ale liczę, że dostanie pan następną rundę, jeśli pan sobie życzy.

- To zależy od tego, czy będziemy mogli utrzymać to diabelstwo dłużej niż dwie sekundy w stanie zdolnym do działania. - Obaj poszli teraz w kierunku schludnego pokoju, w którym sprawdzano i naprawiano elektronikę lotniczą.

Spreg kręcił w zafrasowaniu głową.

- Przecież dziś popołudniu wszystko znów działało!

- No cóż, Joe - powiedział Davis, - wypróbowaliśmy ją tu trzeci raz i wypada dobrze.

- Dlatego wyciągam te taśmy. Może pokażą nam coś, czego nie zauważyliśmy.

- Być może. Chcesz teraz zrobić z nich wydruk?

- Tak, panie komandorze. Nie ma to, jak od razu - powiedział Spreg z zapałem. - Chcę przecież, tak samo jak pan, żeby ta zabawka pracowała. Mój brat był jednym z najlepszych pilotów w Wietnamie i gdyby miał jedną z tych maszynek w swoim *F-4*, poradziłby sobie. Jeżeli w jakiś sposób mogę panu pomóc uratować paru ludzi, a jednocześnie parę naszych maszyn, to zrobię to za każdą cenę, nawet jeśli to oznacza, że stracę „*Four Girls' Night Out in Las Vegas*”.

- To leci dziś wieczorem? - powiedział trochę kpiąco Davis. - No nie, nie chciałbym, żebyś stracił...

- W porządku panie komandorze - przerwał Spreg, wyciągając kasety z ich obudowy. - Wie pan, mojemu przyjacielowi przed dwoma dniami

udało się wślizgnąć do pomieszczenia kontroli i nie tylko przerobić instalację *VCR*, żeby można było nie tylko pokazać nagranie na dużym ekranie, ale także skopiować je na taśmę. Komandor Davis zaśmiał się z pomysłości Joego.

- A poza tym, każde krzesło w sali zostało i tak zarezerwowane już tygodnie temu, zanim dowiedzieliśmy się, że kolega ma zamiar coś skopiować.

- Myślałem, że każdy dostał miejsce.

- Dostali, łącznie ze mną, ale ja swoje straciłem. - Spreg spojrzął na Davisa, niepewny czy uśmiechnąć się, czy nie.

- Jak mógł ktokolwiek na *GW* stracić jeden z najbardziej cennych biletów, jakie się nam trafiły od czasu, kiedy na pokładzie zjawił się Hefner z kilkoma swoimi króliczkami?

- Niech pan będzie spokojny, komandorze. To mi się opłaciło.

- Sprzedałeś go?

- Nie, wymieniłem.

- No cóż, mam nadzieję, że masz za to tygodniową przepustkę, kiedy wrócimy do domu, bo inaczej, to zostałeś obrabowany.

- Niezupełnie to, ale coś równie dobrego. Wymieniłem bilet na stary, popsuty *VCR*, który pański skromny rozmówca podszczypał i pobudził do życia. No i w zamian za ten show, który dzisiaj tracę, zdobyłem własną kopię taśmy i w pełni sprawny *VCR* na dodatek.

Davis pogratulował swemu mechanikowi tego szczęśliwego trafu.

- Dobra robota, ale skąd wiedziałeś, że dasz radę naprawić tą maszynkę, kiedy handlowałeś za nią bilet?

Spreg skończył wyciągać dwie taśmy cyfrowe i podłączył je do dekodera, połączonego z laptopem i drukarką. Rejestrator danych w *F/A-18* odnotował każde z ostatnich poleceń, udzielonych dodatkowo w czasie pierwszych trzydziestu sekund testu, przeprowadzonego w czasie lotu wcześniej tego wieczoru i obecnie do Sprega należało przygotowanie komputerowego wydruku wszystkich danych do przeanalizowania ich przez Davisa i jego personel.

- No cóż, panie komandorze - kontynuował Spreg. - Kiedy piloci mają problem z takim sprzętem, jak *VCR* i to na takiej odległej wyspie, jak nasz *GW*, nie mogą pojechać do swojego lokalnego specja od napraw *TV*, żeby go ponownie uruchomił, więc najczęściej przynoszą go do mnie, żebym zobaczył, czy mogę go naprawić. Więc on przyniósł, a ja nie mogłem. Rozumie Pan co mam na myśli?

- Chcesz powiedzieć, że nie mogłeś, ale mógłbyś móc? - powiedział Davis lekko zakłopotany. Spreg nie odpowiedział, tylko roześmiał się. Roześmiał się i Davis, kiedy zdał sobie sprawę, że przyłączył się do nich jego pierwszy zastępca, komandor porucznik Peter Hunter.

- Brian, spodziewałem się że zastanę cię tu na dole. Jesteś gotów?

- Tak naprawdę, Peter, to mam zamiar puścić kantem dzisiejszy wieczór, jeśli nie masz nic naprzeciw - zauważył Davis, wyciągając bilet z kieszeni. - Sądzę, że lepiej zostaną tutaj z Joe i zobaczę, czy dla tego wszystkiego nie da się wypracować jakiegoś rozwiązania.

- Oczywiście, że nie zgłaszam sprzeciwu. Ale stale usiłuję ci to powiedzieć, Brian, że cały ten nasz biedny, przeciążony, rozpieszczony mały kramik potrzebuje po prostu szybkiego kopa w gacie. Jeżeli chcesz mojej opinii, to wszystko, co musisz zrobić, to zwiększyć czułość i startować raczej dopiero około siódmej, zamiast drugiej czy trzeciej, do czego dotychczas tak nam było spieszo. Przekonasz się, że toto będzie dokładnie pilnować bieżącej roboty i sprowadzi tą zabawkę bezpiecznie z powrotem, jak po sznurku. A poza tym, za jeden z takich papierków proponowano mi tygodniowy pobyt w cudownej samotni, wysoko w skałach Colorado - powiedział Hunter, biorąc skwapliwie bilet pomiędzy wyciągniętych palców swego szefa. - Wy dwaj możecie tu zostać, jeśli chcecie, ale moim zdaniem nie znajdziecie niczego poza jednym czy dwoma niepewnymi przełącznikami.

- Może masz rację, Peter. Ale tak i tak, mamy zamiar wszystko skontrolować.

- Ciągłe chcesz sprawdzać to koniecznie dziś w nocy? - zapytał nieco zdziwiony Hunter.

- A jakże - odpowiedział Davis. - Pogoda, jak okiem sięgnąć, doskonała i nie znajdziesz nigdzie wiatorku.

- Czy nie jest to takie popychanie spraw trochę na siłę, biorąc pod uwagę, że mamy utrzymać jej działanie tylko przez ponad dwie minuty dziennie?

- Być może, ale przyrzekłem admirałowi, że uruchomimy to w czasie weekendu. A poza tym, może nocne lądowanie, to będzie właśnie to, czego potrzebujemy, żeby dobrze podskoczyła nam adrenalina.

- I tak to na pewno zadziała. Przyjdę i odszukam was po imprezie, jeżeli nie będziecie potrzebowali mnie wcześniej. Ja przynajmniej mam wszystko na bieżąco - powiedział Hunter wychodząc.

- Czemu nie poszedł na wcześniejszy seans? - powiedział Spreg, stukając w klawiaturę terminalu.

- Sądził, że późny seans będzie mniej hałaśliwy, niż te wcześniejsze.

- Jeżeli tak, to będzie niezłe zaskoczenie. Kiedy część zgrai tłoczyła się do środka po swoją godzinkę zabawy, reszta ze zmian wieczornych pracowała poza godzinami, żeby sobie zagwarantować, że żaden sadystyczny oficer nie będzie miał powodu, żeby wydłużyć im służbę. Ponieważ oni jako ostatni mają oglądać na własne oczy kusicielki w całym ich blasku, buda będzie chyba rozwalona na kawałki.

- No to dalej, Joe. Zobaczmy, co to może nam powiedzieć. - Obydwaj odczytywali tekst wydruku i po paru minutach jego szczegółowego badania, Davis nagle wskazał palcem określony punkt na czytanej stronie. Spreg pobiegł do samolotu, z jednego z dwóch urządzeń osłonowych pod lewym skrzydłem wyciągnął płytkę obwodu drukowanego i przyniósł ją do warsztatu.

- Panie komandorze - powiedział Spreg, - gdyby pan osobiście usiadł w kokpicie i ponownie wykonał te symulacje z zabezpieczeniami zwiększonymi o pięćdziesiąt, przekona się pan, założę się, że ona jest już gotowa do pracy.

- Już mówiłeś to przedtem!

- Wiem, ale tym razem jestem całkowicie pewny, że jest w porządku.

- No dobra - zgodził się Davis. - Kiedy będziesz ją podłączał, pójdę i wdrapię się na pokład.

W jakąś godzinę później byli gotowi, by solidnie to wszystko wypróbować.

Rozdział Piąty

Izrael. Tel Aviv

22:27 czasu lokalnego (19:27 GMT)

Ruch wojskowych pojazdów na terenie państwa Izrael zawsze był ożywiony i różnorodny. Jednakże po upadku, a później po odzyskaniu niepodległości przez Kuwejt, cały personel wojskowy został postawiony w stan pełnej gotowości. To z kolei spowodowało ogromne zwiększenie ilości ciężarówek wojskowych, których wzmożoną krzątaninę można było łatwo zaobserwować. Pułkownikowi Ashmere dano polecenie wzięcia udziału w serii manewrów czołgów, prowadzonych na pustyni Negev. Chociaż został nieco rozhartowany przez miesiące działania klimatyzacji w Centrum Badawczym, cieszył się na myśl o tej misji, nawet jeśli to naprawdę oznaczało przebywanie w temperaturze 120 stopni F w cieniu.

Jego młody kierowca spędził większość ich porannej jazdy na południe, w kierunku Tel-Awiwu, na nieprzerwanym opowiadaniu o tym, ile to mil musiał przejechać ostatnio, jak bardzo chciałby otrzymywać dzień wolny częściej niż jeden na dziesięć dni i jak to armia pozbawia go kontaktu z jego żoną i dziećmi. Pułkownik, od czasu do czasu, odmrukiwał coś współczująco w odpowiedzi, ale jego myśli płynęły ku celowi, w jakim on, uznany miejscowy specjalista od napraw sprzętu artyleryjskiego, mógł zostać posłany na pustynię, by pilnować chłopaków jeżdżących w kółko czołgami i usiłujących przechytrzyć w tym piasku jeden drugiego seriami sprytnych sztuczek, stosowanych przy wielu poprzednich okazjach jedynie pod okiem jego pierwszego zastępcy, majora Liefsteina, którego obecność zupełnie wystarczała dotychczas do kontrolowania sytuacji. Wykluczył jakies szczególne znaczenie tych kilku sztuk amunicji, które wieźli w tylnej części pokrytej brezentem ciężarówki, oraz także znaczenie osoby swego kierowcy. Tak więc, jego ciekawość wzmożła się. Jeszcze trochę czasu i będzie wiedział, czy pojawił się jakiś interesujący zwrot w jego służbie, czy to po prostu kolejna, bezużyteczna wycieczka, by obserwować obserwatorów.

Niebawem uwagę kierowcy przyciągnął stale gęstniejący ruch, w jakim się znaleźli, kiedy tylko wjechali na peryferie miasta. Przy każdym kolejnym świetłach ruch gęstniał. Wielkie ciągniki z naczepami blokowały ulicę, zakreślając szerokie łuki, by pokonać kolejny zakręt. Policjanci na służbie robili co mogli, żeby utrzymać płynność ruchu, ale po dziesięciu minutach od wjechania na przedmieścia Tel-Awiwu zrobiło się naprawdę kiepsko. System ulic jednokierunkowych, z pięcioma pasmami jezdni, powinien przecież utrzymać przejezdność samochodów. Kiedy włączają się zielone światła, wszyscy rzucają się do pokonania następnych stu stóp i manewrują dla zajęcia korzystnej pozycji jedynie po to, aby utknąć ponownie. Odnosiło się wrażenie, że z każdą taką próbą okoliczne pojazdy zwierają się coraz ciasniej wokół pułkownika i jego kierowcy. Kiedy na jednym ze skrzyżowań stanęli po raz trzeci z kolei za wysokim furgonem, dwa wielkie, przegubowe ciągniki z naczepami zatrzymały się przy nich, po jednym z każdej strony. Inny wielki ciągnik stanął tuż za nimi, tworząc tak szczelne ich obramowanie, że stało się praktycznie niemożliwe, by ktokolwiek z zewnątrz, z wyjątkiem kogoś dysponującego helikopterem, mógł dostrzec jakikolwiek fragment ich małego wojskowego pojazdu. Pułkownik sięgnął po radio i zaczął informować o swej trudnej sytuacji, ale jego transmisja została w jakiś dziwny sposób zagłuszona. Nagle drzwi szoferki po obydwu stronach otworzyły się i pasażerowie zostali siłą wywleczeni ze swego pojazdu, zanim zdążyli sięgnąć po broń. Jednocześnie, w dolnej części naczepy, stojącej po ich lewej stronie, zaczęło się dziać coś dziwnego.

Najpierw dwa ramiona nośne wbiły się w asfalt i pojawiła się nisko umieszczona ruchoma płyta, wsuwająca się pod pojazd pułkownika. Następnie cztery duże podnośniki przystąpiły do unoszenia pojazdu z powierzchni jezdni na tyle, by można było wsunąć pod jego koła dwa zestawy płóz: jeden pod przednie, a drugi pod tylne. Płozy te dźwignęły teraz cały ciężar pojazdu, który został podniesiony do poziomu naczepy, stojącej po prawej stronie. Wówczas, zdało się, cały bok tej naczepy jakby się złożył, odstaniając pustą komorę, zawierającą jedynie małą wciągarkę, linę i hak. Kiedy płozy osiągnęły poziom podłogi naczepy, hak został zahaczony, silnik ruszył i pojazd został wciągnięty na swych płozach do komory.

Cała operacja zajęła nieco ponad minutę. Kiedy światła zmieniły się wreszcie na zielone, wielkie drzwi zasunęły się, hydrauliczna płyta zniknęła pod spodem naczepy, tam skąd się pojawiła, a kierowca i pasażer wojskowego samochodu znaleźli się ze związanymi rękami i nogami w przednim furgonie. Kiedy ruch uliczny kontynuował swój etapowy pęd ku

swobodzie, wielkie pojazdy rozjechały się teraz w różne strony, znikając w ogólnym zamieszaniu. Minęło następnych dwadzieścia minut zanim zniecierpliwiona eskorta, znajdująca się o jakieś dziesięć mil na południe od miasta, zaczęła dostrajać swoje radia dla zlokalizowania spóźniającego się pułkownika i jego samochodu. Trop był już jednak zupełnie zimny, jak każdy porządny świadek, który nie widział niczego.

Rozdział Szósty

Washington DC. Pentagon

13:56 czasu lokalnego (19:56 GMT)

Dwie rzeczy obudziły wiceadmirala Pata Swansona, śpiącego tego dnia na sofie w swym gabinecie. Choć była to sobota, biuro Dowództwa Operacji Morskich w Zatoce, jak zawsze, nie było zamknięte. Admirał zdecydował się wykorzystać swą godzinę lunchu, by odrobić trochę zaległości w spaniu, które powstały poprzedniej nocy. Pierwszą był dźwięk budzika, który nastawił zaledwie przed godziną, a drugą komandor-porucznik John Latchkey, który szeroko rozsunął zasłony, by popołudniowe słońce rozświetliło pokój. Podczas gdy Swanson rozpoczął swoje ablucje w niewielkim zlewie w przyległej szafce, Latchkey zaczął porządkować pokój, przekazując admirałowi w międzyczasie najświeższe wiadomości.

- Budzę pana przed drugą, panie admirale, zgodnie z życzeniem. Czarna kawa i bułka z borówkami, wraz z popołudniowymi pakietami, są na biurku. Ma Pan na swoim biurku te akta na temat poprzednich operacji lotniskowca wewnątrz Zatoki Perskiej. Są całkiem cienkie. Jak pan wie, panie admirale, przed operacją *Pustynna Burza* nie wydaliśmy zgody na wprowadzenie do Zatoki żadnego superlotniskowca z powodu ograniczeń dostępnej przestrzeni manewrowej i narażenia na miny w tym obszarze. *Independence* jest obecnie na służbie i radzi sobie z sytuacją zadowalająco. Admirał Tyson dał całkowicie jasno do zrozumienia, że, pomijając następną *Pustynną Burzę*, nie zgodzi się, by następny lotniskowiec wpłynął do tego rejonu w czasie, kiedy kontynuuje się tam stawianie min.

Swanson skończył wycierać ręce i usiadł za swym biurkiem na dużym, obrotowym fotelu z lotniczym oparciem.

- Jutro o dziesiątej ma pan spotkanie z Bobem Dewey'em, w południe lunch z pułkownikiem Chipsem, a pan Welesley chciałby mieć od pana telefon, aby ustalić spotkanie osobiście z panem i z szefem.

John Latchkey, bystry, sprawny oficer, z włosami blond, złamanym nosem, wyłatanym operacyjnie lewym kolanem i uszkodzonym kręgosłupem, uszkodzeniami odniesionymi w czasie swych lotów bojowych, które odbywał jako pilot walczący w konflikcie koreańskim, skończywszy swój zwięzyły przegląd aktualności stał przed biurkiem Swansona. Wojenne urazy

Latchkey'a wygoiły się na tyle, że nie odczuwał on już teraz stałego bólu, ale jego niewielkie, choć widoczne utykanie spowodowało, że mógł albo wycofać się ze służby w marynarce, albo przejść do wykonywania „mniej obciążających” obowiązków. Swanson zachęcił go do podjęcia tych drugich, proponując mu stanowisko, na którym miał stać się jego prawą ręką.

Ogólnym obowiązkiem Latchkey'a stało się więc zajmowanie się potrzebami admirała i on, jak to ujął jego najlepszy przyjaciel z Akademii, „czynił to w sposób godny podziwu”. Na osobiste życzenie Swansona, John Latchkey dołączył do jego personelu przed dwoma laty, tuż po tym, jak admirał został promowany do Pentagonu. Latchkey był u Swansona dowódcą operacyjnym na jego ostatnim okręcie i Swanson nie krył swego przekonania, że komandor-porucznik przyniósł mu szczęście i to od momentu, kiedy się tylko poznali. Fama głosiła, że noc po wieczorku zapoznawczym, odbywanym przed wypłynięciem w morze, zakończyła się tym, że Latchkey odwiózł Swansona do domu jakąś piękną trasą, podczas gdy w tym samym czasie na drodze, którą Swanson zwykle jeździł, wydarzył się we mgle ciężki karambol z udziałem wielu samochodów. Kiedy w dwa dni później opuszczali rankiem basen portowy, Swanson, wychylając się przez burtę, nie zdołał zauważyć, że ktoś niewłaściwie zabezpieczył bramkę, o którą właśnie oparł się admirał. Kołek mocujący bramkę odskoczył pod naciskiem ciężaru ciała i kiedy Swanson miał właśnie spaść do wody, ręka Latchkey'a była tam na czas, by go uchwycić. Krążyła również historyjka o tym jak to po kilku dniach na morzu Swanson narzekał na temperaturę, jaką miało parę butelek jego ulubionego napoju, dostarczonego do jego kwatery. W czasie przelewania portweinu do małej kryształowej karafki, którą trzymał w salce konferencyjnej, admirał zauważył, że niektóre z butelek są ciepłe. Później więc, tego samego dnia, przekazał cierpką uwagę szefowi zaopatrzenia, wspominając mu o tym fackie. Otrzymał przeprosiny z prostoduszną notatką, proszącą admirała, by zechciał określić w stopniach Fahrenheita wymaganą temperaturę napoju, której sobie życzył. „*PORT 62*”, nadeszła w odpowiedzi zwięzła notka. Historyjka kończy się na komandorze-poruczniku Latchkey'u, zażegnującym w porę całkiem niebezpieczną zmianę kursu*. To było rozstrzygające. Od tego czasu, gdziekolwiek znaleźlibyście wiceadmirała Pata Swansona, John Latchkey był w pobliżu.

* Słowo „port” oznacza w języku angielskim także lewą burtę lub w ogóle lewą stronę (Przyp. tłum.)

Nie żeby admirał naprawdę potrzebował jakiegoś szczególnie opiekuńczego oka. Jeżeli w ogóle go obserwowano, to jedynie po to, by zobaczyć, jakie to wykona następne mistrzowskie posunięcie. W skarpetkach mierzył sześć stóp i trzy cale, miał bujną czuprynę srebrno-szarych włosów, brodę harmonizującą z posturą i oczy z błękitu; człowiek, do którego każdy zwróciłby się w krytycznym momencie i tak właśnie często bywało. Zdobył sławę już wcześniej w swej karierze, ignorując nadlatujące pociski i pozwalając wielu, którzy inaczej zginęliby w *Zatoce Świń*, znaleźć bezpieczeństwo na jego statku. Dowodził *Szóstą Flotę*, która wpłynęła w głąb tak zwanej „linii śmierci” w zatoce Wielkiej Syrty, przy wybrzeżu Libii, aby, jak ujął to Tyson, „sprawdzić te wody” i ponownie wykreślić tę linię. W jego opinii Kaddafi nie miał większych praw do tych wód niż wieloryby, lecz do tego czasu nikt nie ośmielił się nazwać po imieniu blefu przywódcy libijskiej rebelii. Kroniki opisują jak Libia wysłała swych najlepszych pilotów, by odepchnęli flotę z powrotem na Morze Śródziemne i jak przegrała. Pat Swanson dowiódł, że jest prawdziwym przywódcą i świetnym marynarzem i otrzymał awans do stopnia wiceadmirała oraz stanowisko w Pentagonie.

Od tego momentu, jak przyznaje, miał kilka przypadkowych potknięć w okresach spokoju, lecz w okresach napięcia działał po mistrzowsku. Jego największą zaletą, jak zgodnie wskazywało wielu z jego otoczenia, była zdolność do poruszania się na podstawie przeczucia i działania raczej instynktownego, niż w oparciu o książkową wiedzę, czy manipulowanie procentami. Niejeden jego morski towarzysz był świadkiem, jak podejmował działanie przy nierównych szansach i stawiał jednak na swoim. Po dwóch latach za biurkiem zyskał wiele szacunku u swych kolegów w Pentagonie i Organie Wykonawczym. Bystrej przenikliwości Swansona, z jego zdolnością wskazania zatopionej skały tam, gdzie wielu widziało jedynie prostą żeglugę, przypisywano uniknięcie niejednego nieszczęścia.

Admirał podniósł wzrok na Latchkey'a i zapytał:

- Coś jeszcze, John?

Komandor wiedział, co pytający ma na myśli.

- Nie, panie admirale. Dam panu znać natychmiast, kiedy coś usłyszymy.

- A więc dobrze. To byłoby wszystko.

Latchkey opuścił gabinet Swansona nie przez główne, ale przez boczne, małe drzwi w drugim końcu pokoju, mieszczące się z tyłu, za stołem i krzesłami salki konferencyjnej. Gabinet komandora-porucznika był mały,

ale bardzo dobrze wyposażony. Pisma były wysyłane mieszczącymi się piętro niżej urzędowymi kanałami łączności, które w zamian przesyłały do Latchkey'a wszelkie znaczące materiały, kierowane do wiadomości Swansona. Gdy zachodziła potrzeba, komandor mógł wysłać w imieniu admirała bezpośrednie rozkazy do każdego w terenie i odbierać podobne na specjalnych częstotliwościach lub telefonicznie. Kiedy Latchkey powrócił do swych obowiązków, Swanson usiadł przy biurku, wziął niedojedzoną bułkę, nastawił dekodery na przegląd materiałów *NAVCOM*, następnie zebrał leżące na biurku raporty i przeszedł w kierunku leżanki, by na niej zapoznać się z nimi. Zupełnie nie zdawał sobie sprawy z tego, że ten krótki odpoczynek będzie ostatnim, z jakiego będzie mógł skorzystać w ciągu następnych co najmniej 24 godzin.

Rozdział Siódmy

Zatoka Perska. Złota Foka

00:06 czasu lokalnego (20:06 GMT)

To musiało być doskonale zsynchronizowane. Jakikolwiek złe obliczenie ze strony zespołu i cała misja zostałyby przesunięta na godziny nocne. *Jardavian* była pod obserwacją już wówczas, kiedy z platformy wiertniczej *Tazmania* pobierała zaopatrzenie dla *Sabalan*, jednej z dwóch dawnych brytyjskich fregat, którymi Irańczycy operowali przede wszystkim w Cieśninie Ormuz. Następnie obserwowano jak płynęła ona około godziny pełną szybkością aż na środek „górnego” toru wodnego, używanego przez tankowce, zdążające ku szybom naftowym na północy. Później, zwolniwszy do dziesięciu węzłów, wykonała zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i spędziła resztę czasu na powrotnym krążeniu. Ten rodzaj procedury operacyjnej był wielokrotnie przedmiotem dyskusji w przebiegu rozmów pokojowych pomiędzy Irakiem a Iranem, ale udowodnienie, że jakiegokolwiek ruchy jednostek pływających wewnątrz Zatoki Perskiej były czymkolwiek innym, aniżeli możliwe do przyjęcia za dobrą monetę zwykle manewry statku, było w najlepszym razie trudne. *Jardavian* była typowym przypadkiem w tym względzie. Mała w pojęciu standardowego tonażu statków w Zatoce, miała około tysiąca ton wyporności i całą nadbudówkę umieszczoną w tyle statku. Otwarta przestrzeń ładunkowa w przedniej części statku, na całej swej długości, aż do wejścia dziobowego, była pusta. Robiąc około piętnastu węzłów, trzymała prosty kurs, nieświadoma tego, co znajduje się akurat przed nią.

A mała plamka, która balansowała i kluczyła przed statkiem tuż pod powierzchnią wody, była nadmuchiwanym pontonem, lecz sposób, w jaki był on nadmuchiwany i rodzaj jego silników, czyniły go wszystkim, tylko nie rozwiązaniem typowym. Energię zapewniały mu akumulatory w komorach wodoszczelnych, dające wystarczająco mocny elektryczny napęd rufowy kiedy ponton był na powierzchni. Cztery inne, obudowane osłonami śruby, umieszczone ponad linią wodną i poza czterema narożnikami łódki, zapewniały z kolei napęd w zanurzeniu. Dwie z nich, rufowe, były połączone poprzecznym elementem, co zapewniało niezmiennie utrzymywanie

ruchu w linii prostej ku przodowi. Dwie przednie mogły być sterowane wspólnie w dowolnym kierunku. Na komendę można było szybko upuścić powietrze z łódki, a wówczas łódka zanurzała się poniżej linii wodnej, napęd rufowy wyłączał się, a pracę zaczynały cztery narożne śruby. Siedmioosobowa załoga na pokładzie łódki korzystała wówczas z aparatów do oddychania, podczas gdy sternik zwiększał ujemną pływalność, kierował przednie śruby w dół tak, że przód pontonu zwiększał kąt nurkowania i zupełnie zanurzał łódkę i jej pasażerów. Nawet z jej szybkością ośmiu węzłów w zanurzeniu i około dwudziestu węzłów na powierzchni, jej zasięg był wciąż znaczący przy jej możliwością płynięcia przez około sześć i pół godziny. Łódka mogła być następnie ponownie napełniona ze zbiorników sprężonego powietrza aż do uzyskania dodatkowej pływalności, dziobowe siły ciągu kierowane były ku górze, dopóki tylko głowy nurków nie pojawiają się na powierzchni. Dodatkowa porcja powietrza zapewniała wynurzenie łódki i ponowny start napędu rufowego. Przy odpowiedniej wprawie, przejście to mogło być dokonane sprawnie i, co najważniejsze, niemal bezdźwięcznie. Opracowana w Australii i testowana w Loch Ness, taka „*Din-dzi*”, jak to eufemistycznie wymawiają ci, którzy się nią posługują, jest doskonałym dodatkiem dla całego inwentarza *Złotej Foki*. Inwentarza, który nie ustępuje żadnemu innemu, a należy do zespołu, nazywanego przez inne kolory „*Śmietanką*”. Każdy zespół *Fok* marynarki wojennej otrzymał swój indywidualny kolor, wskazujący rodzaj działalności, w której jest wyspecjalizowany. Czerwone Foki pracują z instalacjami nuklearnymi, podczas gdy w tym przypadku złoto wybrano dla oznaczenia szczególnych zdolności tego zespołu do przeprowadzania „operacji specjalnych”. Przyjęło się też powszechnie, że *Złote Foki*, tak jak śmietanka, zawsze wypłyną na powierzchnię.

Problemem, przed którym miesiąc wcześniej stanął admirał Swanson, było takie ulokowanie *Złotych Fok* i ich ekwipunku, by osiągnąć ich największą skuteczność. Ich celem było zdobycie irańskich jeńców przez przyłapanie ich na nielegalnej czynności stawiania min. Aby to zrealizować, *Złote Foki* potrzebowały bazy w pobliżu torów wodnych. Najbliższą osiągalną był Bahrajn, ale z powodu znacznych odległości, wchodzących w grę w przypadku tego portu, nie można było oczekiwać, żeby jakikolwiek zespół mógł dokonać pomyślnie pojmania jeńców, unikając przy tym wykrycia. Swanson wystąpił o zezwolenie na postępowanie zgodnie z pomysłem, z którym nosił się od dłuższego czasu i takie zezwolenie otrzymał. Przy wszystkich tych urządzeniach podsłuchowych, rozmieszczonych pod

powierzchnią wody wokół całej Zatoki, żaden ruch statku nie mógł w zasadzie pozostać niezauważony, a jako że pragnął on, by ostateczne miejsce przeznaczenia zostało utrzymane w tajemnicy, spowodował wdrożenie pierwszej fazy swego planu. To, czego potrzebował, to supertankowiec z parzystymi śrubami oraz kapitan i załoga, którzy bez pytania zastosują się do ścisłych instrukcji. Swanson wiedział, że wiele załóg tankowców zredukowano do około dwudziestu ludzi i kiedy dwie trzecie z nich są po służbie albo śpią, pozostaje jedynie do siedmiu członków załogi, zajętych w każdym momencie pracą na statku. Gdyby poszczególne zmiany udało się tak zaplanować, aby przed „wypadkiem” główny inżynier był na służbie sam, wówczas kapitan mógłby dokładnie wybrać moment zastopowania silnika i zdecydować o ilości ludzi, potrzebnych inżynierowi do dokonania naprawy.

Szczęśliwie dla admirała, w drodze do Zatoki znajdował się właśnie *San Bernardino*, z poleceniem pobrania ropy w uruchomionej ostatnio ponownie rafinerii na wybrzeżu saudyjskim. Skontaktowano się więc z Amerykańskim Towarzystwem Naftowym dla uzyskania odpowiedniej zgody. Towarzystwo zezwoliło marynarce wojennej, by posłużyła się jednym z jego helikopterów dla zabrania oficera marynarki, ubranego jak jeden z ich starszych rangą pracowników i posiadającego odpowiedni list polecający i podrzucenia go pod pozorem dorywczej inspekcji na *San Bernardino*, na pogawędkę z kapitanem i głównym mechanikiem. Kiedy już oficer ten znalazł na pokładzie, po skrupulatnym spełnieniu wymogów protokolarnych i po przewidzianym obchodzie statku, przybysz poprosił kapitana o wezwanie swojego głównego inżyniera dla wspólnego spotkania na deptaku, długim przejściu do części dziobowej, gdzie mogliby poufnie porozmawiać. Tam, po sprawdzeniu różnych elementów uwierzytelniających, kapitan i główny inżynier zostali powiadomieni, że prawdziwą przyczyną wizyty jest prośba do nich, by upozorowali awarię tankowca.

Chociaż dano kapitanowi wyraźnie do zrozumienia, że żadne uzasadnienie tej akcji nie może zostać mu przedstawione, wskazano też, że dzięki realizacji tej niecodziennej prośby Marynarki Wojennej, możliwe będzie uzyskanie o wiele skuteczniejszej kontroli nad ruchami Irańczyków i Irakijczyków w Zatoce. Po przeczytaniu listu od swych przełożonych, zatwierdzającego pomysł i po zorientowaniu się, że oczekiwane działania nie zagrażą życiu kogokolwiek na pokładzie, obydwaj wyrazili zgodę na zastosowanie się do każdego z osobna i wszystkich razem poleceń. List wskazywał, że mieli oni, pod pozorem jakiejś awarii, zatrzymać lewy silnik i

zestaw napędowy tuż przed wejściem do Zatoki pozwalając, by statek kontynuował podróż jedynie na prawej śrubie. Od tej chwili mieli oni pozostać na jednym pracującym silniku tak długo, dopóki nie osiągną ustalonego układu współrzędnych w połowie drogi w głąb Zatoki. Ta pozycja po zachodniej stronie Zatoki znajdowała się bardzo blisko instalacji naftowych, które przed sześcioma miesiącami zostały uruchomione przez Saudyjczyków. Ponieważ wiele załóg tankowców woli zachodnią stronę toru wodnego, wszystko więc będzie wyglądać normalnie. Inżynier został poproszony o spowodowanie takiej awarii, której usunięcie wymagałoby około czterech godzin pracy, po wykonaniu której lewy silnik zostałby ponownie uruchomiony a tankowiec kontynuowałby pozostałą część drogi w głąb Zatoki. Dziennik okrętowy winien odnotować wizytę, lecz nie jej cele, a szczególnie nie awarię, ponieważ musi wydawać się, że obydwa silniki statku pracowały stale przez całą drogę. Pozostałą część załogi należy zająć pracą. Gdyby pojawiły się jakiegokolwiek meldunki o niecodziennych odgłosach, takich jak dudnienia czy jakieś wibracje, lub o dostrzeżeniu jakichś przedmiotów w wodzie, miano przeprowadzić pobieżną kontrolę i meldunki te oddalić. Pod żadnym warunkiem w dokumentacji nie mogą pozostać jakiegokolwiek nietypowe raporty.

Po otrzymaniu odpowiedzi na kilka dalszych, ubocznych pytań, zarówno kapitan jak i główny inżynier zaakceptowali ten plan i oficer marynarki wspiął się na pokład helikoptera *Jet Ranger* dla odbycia powrotnego lotu do Bahrajnu, pozostawiając obydwu swych rozmówców na drodze powrotnej do swych kajut. Jeden z nich odnotuje później wizytę w dzienniku, podczas gdy drugi, mając przed sobą dziesięć dni na opracowanie sprawy, przygotowuje całe wydarzenie.

Po potwierdzeniu odbycia tego spotkania, Pat Swanson powiadomił *Louisville* w Bazie Gonzo, wspierającą Szóstą Grupę na Oceanie Indyjskim, by przyjęto na pokład wizytującego oficera, przybywającego z osobistą wiadomością dla kapitana. Następnego dnia śmigłowiec transportowy *CH-3* wylądował na lotniskowcu *George Washington* i w czasie, gdy rozpoczęto uzupełnianie zapasu paliwa, kurier Swansona odbył na okręcie rozmowę z wiceadmirałem i kapitanem dla przedyskutowania planu. Choć standardowym wymogiem operacyjnym Sił Specjalnych były dwie łodzie podwodne, uzgodniono, że *Philadelphia* będzie musiała w pojedynkę radzić sobie z wykonaniem zadań, dopóki nie dołączy do niej druga łódź, *Topeka*, będąca już w drodze. Następnie *CH-3* przerzucił oficera nad

wynurzoną już *USS Louisville* i przygotował się, by opuścić go delikatnie na czekający w dole kadłub.

Dla ułatwienia tej przesiadki kapitan Barrow zatrzymał swą łódź w miejscu, żeby *Sea King*, utrzymując się pod wiatr o kilka jedynie stóp i prostopadle nad pokładem dziobowym, mógł opuścić swego pasażera szybko i gładko wprost w ramiona oczekujących go podwodniaków. Powyżej, z wysoka, kapitan Barrow obserwował swojego gościa, wspinającego się ku niemu na spotkanie.

- Melduje się komandor porucznik Mike Latchkey, sir. Poroszę o pozwolenie wejścia na pokład.

- Proszę, komandorze. Miał pan dobrą podróż?

- Tak, sir. Zupełnie bez problemów; dziękuję - odpowiedział Latchkey, ściskając wyciągniętą dłoń.

- Czy ma pan jakichś krewnych w wojsku, komandorze? - zapytał Barrow, spoglądając badawczo na zacienioną do połowy twarz swego gościa.

- Tak, sir. Mój starszy brat pracuje dla admirała Swansona.

Barrow skinął głową.

- Nazwisko wydało mi się znajome, ale nie mógłbym uwierzyć, że admirał mógłby wysłać Johna, swoją prawą rękę, aż tutaj, taki kawał drogi, tylko po to, by się ze mną spotkał.

- Tak, sir... to znaczy, nie, sir - powiedział Latchkey z szerokim uśmiechem.

Kapitan Barrow odsunął się nieco od swego oficera służbowego, przesłaniającego mu widok i obserwującego światła floty i popatrzył na Mike'a Latchkey'a. Tom Barrow poznał Johna Latchkey'a kilka lat temu na ceremonii wodowania i w porównaniu z tym, co sobie przypominał, czas jakby stanął w miejscu. Stał teraz przed nim John Latchkey, taki, jak wyglądał przed mniej więcej dwoma laty. Wysoki, jasnej cery, z bujną czupryną koloru słomy, szczupły, ale wyglądający na twardego. Gatunek żeglarza, którego spodziewacie się zobaczyć jako dziobowego na *Stars and Stripes* lub balastującego *Hobie Cat*. Gdybyście, mając obok siebie Mike'a lub John'a, zostali pokonani na trasie regat, to stałoby się to przypuszczalnie tylko dlatego, że wy sami popełniliście jakiś błąd, albo że ścigaliście się z o wiele szybszą łódką.

- A więc, o co chodzi, Mike? - zapytał Barrow, jak gdyby tego nie wiedział.

- Otóż, sir, powinien pan otrzymać bezpośrednio od admirała Swansona kopię ogólnych rozkazów.

- Otrzymałem. Rozkazy są wystarczająco jasne, choć wygląda z pewnością na to, że czas, jaki mamy spędzić na tym pokładzie, został przedłużony.

- No cóż, panie kapitanie, może nie. Admirał Swanson rozkazał mi powiadomić pana, że komora ciśnieniowa wewnątrz wschodniej podpory platformy wiertniczej jest gotowa do akcji. To może oznaczać, że pańscy ludzie mogą się wymieniać, sir. Ale, co ważniejsze, *Złote Foki* będą teraz mogły oddalić się z *Louisville* niezauważone. Większość ich ekwipunku może być także składowana wewnątrz tej samej podpory. Wbudowano tam specjalne pomieszczenie dla tych celów. Platforma posiada czterdziesto-dwuosobową załogę dla utrzymywania działań wiertniczych, ale pięciu z nich zostało tam umieszczonych przez nas, dla wykonania zadań specjalnych, kiedy zajdzie potrzeba. Mam też przedstawić Panu resztę udzielonych mi instrukcji co do przybycia *Złotych Fok* na pokład, co nastąpi w ciągu około trzech dni, oraz co do przygotowania tankowca *San Bernardino* do udzielenia wam osłony.

- Gdybyśmy nawet dosłownie przykleili się do kadłuba tego statku, czy ktoś nas nie usłyszy, szczególnie podczas przechodzenia przez Cieśninę?

- Admirał Swanson jednak chciałby tego spróbować, ale jeśli i pan tego zechce, sir. Nasze wyposażenie jest wystarczająco czułe, aby z odległości wielu mil odróżnić jedną śrubę od drugiej, ale admirał jest przeświadczony, że przy wyłączeniu lewego silnika na pokładzie *San Bernardino* przed wejściem do Zatoki, połączony odgłos pracy śruby *Louisville* i jednej śruby tankowca może być bliski pożądanego efektu, szczególnie dla tamtych, niedoświadczonych, wschodnich uszu, używających w dodatku sprzętu z czasów II Wojny Światowej.

- Warto spróbować - powiedział Barrow, unosząc brew, jakby oczekiwał już niecierpliwie bliskiego przeciwiczenia tego rozkazu. Nie wyglądał na rozczarowanego.

Siedmiu członków *Złotej Foki* przybyło na pokład zgodnie z planem, a nieco ponad tydzień później *Louisville* miała spotkanie z rufą *San Bernardino*, jak tylko wszedł on do cieśniny Ormuz. W ściśle oznaczonym czasie *Sonar* zawiadomił, że lewa śruba tankowca stanęła i Barrow Wprowadził swoją łódź dokładnie pod jego pusty kadłub. *San Bernardino* Płynął ze stałą prędkością dwunastu węzłów, przygotowując się do długiego skrętu

w lewo, wokół wąskiej cieśniny, a *USS Louisville* płynęła pod nim, zwalniając tak, by utrzymać swoją śrubę w tym samym położeniu, jak znajdująca się ponad nią śruba tankowca. To był długi i żmudny dyżur. Poziom koncentracji, niezbędny dla czterogodzinnego prowadzenia tak ciasnego manewrowania mógł bardzo szybko znużyć niejednego sprawnego marynarza, ale cała załoga *Louisville* była przygotowana do tego zadania. Gdzieś ponad nimi kapitan *San Bernardino* obserwował z mostku, jak wolno przepływali obok *Sabalan* i jej siostrzanego statku *Sahand* i czekał na cokolwiek, co mogłoby dać znak, że zostali zdemaskowani. Znał on dobrze ten rodzaj kilwaterny, jaki pozostawiał za sobą jego tankowiec i kiedy obserwował jego zmianę i wyraźny wzrost prędkości statku o pół węzła, próbował odgadnąć, do czego to szykuje się Marynarka Wojenna. Kapitan zżył się bardzo ze specyficznym dudnieniem pod swymi stopami i chociaż stał jakieś dwadzieścia pięć piętér nad poziomem morza, a jego statek szedł bez jednego silnika, mógł wyczuć podwyższoną wibrację, powodowaną przez intruza. Od tej chwili kapitan pozostawał już stale na stanowisku, wykonując zwroty wolno i rozważnie i zachowując stałe obroty, aby utrzymywać niewspółmierność pracy obydwu śrub na minimalnym poziomie. Około pięciu godzin później, po rozebraniu i ponownym złożeniu całkowicie sprawnej pompy, główny inżynier zadzwonił na mostek i zameldował, że naprawa została zakończona i że *San Bernardino* jest gotów do ponownego uruchomienia zespołu silnikowego.

Kapitan Barrow, który prowadził pogrążoną w ciszy łódź od momentu jej „przyklejenia się” do tankowca, pozwolił teraz *Louisville* ześlizgnąć się łagodnie, miękko i cicho na dno. Całkowicie zatrzymując silnik spowodował, że łódź tonęła powoli pod własnym ciężarem z minimalnym jedynie zrzuconiem balastu. Przez sześć minut, potrzebne do tego, by *Louisville* ostatecznie zastygła w bezruchu, konieczne było manewrowanie płaszcami dziobowymi, aby odpowiednio obrócić łódź dla znalezienia płaskiego, poziomego odcinka dna. Ostatnią rzeczą, z którą ktokolwiek z załogi chciałby mieć do czynienia, było spędzenie tygodni, lub w razie potrzeby, nawet miesięcy, na przebywaniu na pokładzie łodzi podwodnej, która miałaby dwudziestostopniowy przechył.

Po kilku dniach przygotowań członkowie zespołu *Złotej Foki* założyli swój sprzęt do głębokiego nurkowania, opuścili *Louisville* przez przedni luk i popłynęli w stronę platformy, odległej o jakieś dwieście jardów. Choć widoczność, z powodu prowadzonych właśnie działań wiertniczych, była

słaba, a chwilami zerowa, Digger poprowadził zespół wprost do dalszego boku najbliższej podpory platformy i zaczął przesuwac się ku górze w poszukiwaniu śladów drzwi. Po paru minutach, około czterdziestu stóp od dna, znaleźli umieszczoną we wgłębieniu dźwignię, której poruszenie wymagało czterech silnych rąk. Ogromne drzwi, nieustępliwe w tej masie wody na zewnątrz i wewnątrz, otworzyły się w końcu. Kolejno siedmiu nurków dostało się do środka i przepłynęło w górę odległość pozostała do powierzchni wody. Podpora, średnicy około trzydziestu stóp, choć przypominająca treningowe zbiorniki, używane w Marynarce do symulacji misji ratunkowych, była nieoświetlona i grubo porośnięta wodorostami. Kiedy się wynurzyli, zauważyli, że ktoś już był tu przed nimi. Skonstruowano tu rozległą powierzchnię użytkową, zajmującą połowę dostępnej przestrzeni, wyposażoną w drabinę, prowadzącą w dół do poziomu wody, w stojaki, wieszaki i pojemniki magazynowe, zawierające kompletne zestawy wyposażenia podwodnego. Zespół wspiał się na tą prowizoryczną platformę i po zapaleniu świateł zaczął badać niektóre z interesujących szczegółów.

- Wszystko tak, jak w domu - powiedział Phil do wszystkich i nikogo, sprawdzając kompresor.

- Właśnie - odpowiedział Bill, przeglądając stertę jakichś mokrych ubiorów i aparatów tlenowych. - Wszystko z wyjątkiem kuchennego zlewu.

- Coś takiego! - powiedział Buddy, spoglądając na informację, którą ktoś przymocował do prowadzącej w górę drabiny. Digger podszedł do niego i odczytał co następuje:

„Ten obsługiwany ręcznie dźwig dochodzi tylko do pomieszczeń w nadbudówce mieszkalnej i może być użyty jedynie w nagłych przypadkach. Dociera do pomieszczenia magazynowego, ukrytego pod dużymi, pustymi pakami. Nie używajcie pojemników w czasie postoju pociągu na stacji. Telefon nie może być używany do rozmów prywatnych. Proszę kwitować razem i osobno całe to wyposażenie, które zamierzacie używać. Wyłączcie światła i przed otwarciem drzwi opuśćcie siedzenie po waszej prawej stronie. Jak możecie się zorientować, tu jest sześć stóp powyżej poziomu morza (w zależności od pływu) i dźwig musi być używany ostrożnie. Pracownicy platformy nie zostali poinformowani o istnieniu tego nowego nabytku. Jeżeli przygotowano holownik dla zabrania was na brzeg, czekajcie z otwarciem dolnej dźwigni zanim nie zobaczycie, że ona się sama obraca. Holownik najpierw wyładuje swój ładunek, a następnie szybko obróci się pod

platformą i zatrzyma się na krótko pod tymi drzwiami. Wyjdźcie szybko i zejdźcie pod pokład tak, żeby nie zaalarmować nikogo powyżej, no i zamknijcie za sobą drzwi. Ponieważ na zewnątrz nie ma klamki, jeżeli chcelibyście wejść tu ponownie, użyjcie jednego z przewidzianych do tego kluczy”.

Doug znalazł więcej mokrych ubiorów. Canny sprawdzał sprzęt radiowy, a w czasie, kiedy Chancy nurkował w skrzyni ze specjalnym uzbrojeniem, Phil ściągnął brezent ze sterty sprzętu na lewym skraju powierzchni podłogowej.

- No i cóż my tu mamy? - powiedział Phil, podnosząc przykrycie.

Reszta *Fok* zgromadziła się wokół.

Buddy podniósł jedną z pozostałych osłon, leżących na wierzchu i powiedział:

- Ho, ho, ho! Tego mi właśnie zawsze brakowało.

Wziąwszy głęboki wdech wszyscy połączyli się w jednym wesołym okrzyku:

- „*Din-dzi!*”

Tuż po północy, *Jardavian* kontynuowała swój jednostajny, ociężały kurs z prędkością piętnastu węzłów, a oleiste, lekko wzburzone wody Zatok i łagodnie pluskały o kadłub. Canny zapewnił „*Din-dzi*” dodatnią pływalność, wystarczającą dokładnie na tyle, by wszystkie siedem masek wynurzyło się nad powierzchnię wody. W przeciwieństwie do stałego, spokojnego i lekkiego poruszania się pod powierzchnią, „*Din-dzi*” zaczęła teraz wznosić się i opadać razem z falami. Podobnie jak Wielkie Jeziora, tak i ten obszar wodny staje się czasem bardzo niemiły i trzeba było niezłej ręki, by utrzymać łódkę tuż pod powierzchnią wody. Jeżeli nawet na pokładzie *Jardaviana* ktoś obserwował ekran radaru, *Złota Foka* była ciągle zbyt nisko w wodzie, by ją dostrzeżono.

Canny ustawił łódkę w doskonałej pozycji, około trzydziestu jardów przed i tuż przy zawietrznej burcie zbliżającego się kadłuba. Im bliżej podpływali, tym bliżej ku burcie statku kierował łódkę Canny. Na najbliższym odcinku około pięćdziesięciu stóp, jakie mieli teraz do przebycia, „*Din-dzi*” i jej załoga byli najbardziej narażeni, wkraczając teraz w niebezpieczny moment. Gdyby teraz statek zmienił nagle kurs i skierował się prosto na nich, nie byłoby dość czasu na zanurzenie się lub usunięcie z drogi. Ale niebezpieczeństwo minęło, bo topornie wyglądający statek utrzymał swój

kurs. Canny otworzył zawór, napełniając boki łódki sprężonym powietrzem, wyłączył cztery śruby, kiedy uniosły się one ponad linię wody i włączył kopnięciem napęd rufowy. Zwiększył prędkość jedynie do dziesięciu węzłów pozwalając, by *Jardavian* zaczęła ich wyprzedzać i poczekał, by śródokręcie znalazło się całkowicie przed nimi, po czym trochę przyspieszył. Załoga już zrywała z siebie butle i maski i mocowała do lewych butów duże zaciski. Bryzgi od kadłuba rzucały małą łódką, ale zespół zwracał na to niewiele uwagi. Rufa zaczęła się teraz wypiętrzać nad nimi, a po błyskawicznym ruchu ręki Canny'ego, „*Din-dzi*” zaczęła teraz płynąć z prędkością piętnastu węzłów z tyłu, tuż za nadbudówką *Jardaviana*.

Digger i Buddy, każdy z kuszą, wystrzelili w górę, ponad nadburcie tylnego pokładu, przymocowane do lin chwytaki z włókien węglowych. Jak tylko haki chwyciły, Phil i Buddy wpięli do lin swoje nożne hamulce. Każdy taki hamulec składa się z zacisku, przymocowanego do śródstopia lewego buta. Luka w zacisku, otwierając się, pozwala linie przesuwając się swobodnie. Wraz z zamknięciem zacisku użytkownik obciąża linę i podnosi ciało, a hamulec, rodzaj klina zaciskowego, wbija się w mokrą linę, dźwigając wagę wspinacza. Mała listwa na szczycie hamulca umożliwia prawej stopie zwiększenie nacisku na klin zaciskowy. Kiedy ramiona ciągną nogi w górę, klin odwraca się, odsuwając się od liny i uwalniając zacisk, następnie powraca do poprzedniego położenia, stosując ponownie hamującą blokadę. Ten ciąg ruchów przypomina oglądanie kogoś na tyczce pogo. Zamiast jednak podskakiwania po ziemi, tu ciało posuwa się szybko i zgrabnie w górę po śliskiej linie. W kilka chwil Bill i Phil dostali się na balustradę, a tuż za nimi dotarli tam czterej pozostali. Canny został, by obsługiwać ich „*Din-dzi*”. Dwie pary oczu zajrzały przez balustradę. Teren wydawał się czysty. Digger i Buddy podciągnęli kolana, odłączyli zaciski i skoczyli cicho na pokład, przesuwanie się szybko w mrok. Bill, Phil, Chancey i Doug, kolejno podążyli cicho za nimi.

Bill i Phil, czyli William i Fillmore, zazwyczaj przyjmowali na siebie te „cięższe” role. Byli niewielkiego wzrostu, ale twardzi jak skała. Kiedy tylko noże lub tłumiki były w użyciu, ci dwaj zawsze potrafili wiedzieć wzajemnie, co robi ten drugi. Sprawiali wrażenie bliźniaków, pracujących w tandemie. Od momentu, kiedy poznali się w Annapolis, wiedzieli, że każdy z nich ma zamiar zostać *Foką*, pracowali zespołowo, myśleli zespołowo i - co wykazały wyniki ich końcowych testów - wybijali się jako zespół. Dla „oczyszczania”, to znaczy, siłowego wkroczenia, niweczącego

cicho wszelki opór, aby reszta mogła przejść, czy „sprzątania”, ochrony tyłów, aby dać innym czas na oczyszczenie terenu, ci dwaj byli najlepsi, jakich miała Marynarka Wojenna. Digger cieszył się, że ich ma, szczególnie teraz. Schwytanie dziesięciu czy dwudziestu ludzi nie jest aż tak trudne. Wiele razy przedtem, w czasie treningu, brali do niewoli grupy większe niż ta. Tu jednak niebezpieczeństwo tkwiło w nieznannej liczbie ludzi, rozmieszczonych w licznych kabinach na ośmiu pokładach. Każdy z nich mógł dać pozostałym sygnał alarmowy. Dlatego też, jako że niektórzy byli na służbie, a inni nie, niektórzy spali, a inni pracowali gdzieś niżej, można było popełnić niejedną pomyłkę. Ryzyko w postaci radiooperatora, wysyłającego sygnał alarmowy, grzebiących przy czymś mechaników czy robotników, wychodzących właśnie tylnymi drzwiami, stwarzało Diggerowi i jego sześciuosobowemu zespołowi jedyne w swoim rodzaju problemy.

Tym co miało dać *Złotym Fokom* wielką przewagę przy wykonywaniu tego zadania był fakt spędzenia przez nich ostatnich dwóch dni na uczeniu się na pamięć topografii statku i oswajaniu się z każdą klatką schodową i każdym korytarzem tak, że potrafili chodzić po statku z zawiązanymi oczami. Tym niemniej, ponieważ rozkazy wyrażały życzenie, by brać więźniów żywcem, największym utrudnieniem, jakie stawało pomiędzy sukcesem a fiaskiem takiej misji, było usiłowanie zdobycia statku bez konieczności zabicia kogokolwiek. Po pierwsze, trzeba było wiedzieć dokładnie, gdzie się kto znajdował w kluczowym momencie zaskoczenia. Kilka pierwszych uderzeń winno być zadanych jednocześnie i bez ryzyka. To dlatego Bill i Phil wyszli na czoło, jedną bowiem sprawą było zlokalizowanie każdej osoby, przebywającego na statku, a całkiem inną, pojmanie ich wszystkich żywcem. Najchętniej używano noży, a cel dla każdej używanej broni winien mieścić się nisko i być precyzyjnie określony. Ale, jeżeli nawet zostało ugodzone kolano czy udo, zawsze jakaś zabłąkana ręka zranionego może przecież sięgnąć po pistolet lub nóż. Działając w dwójkach, lider każdej pary weryfikuje wyniki ataku na daną grupę, a następnie posuwa się dalej, podczas gdy jego partner pozostaje na miejscu na tyle czasu, żeby móc sprawdzić czy więźniowie nie mają broni palnej i przykuć ich do czegoś solidnego, po czym podąża za liderem. Później, na co ma się nadzieję, wszyscy więźniowie zostaną przeniesieni do messy na trzecim pokładzie, pod klucz.

Bryza o prędkości ośmiu węzłów, wiejąca przez pokłady *Jardaviana*, działała jak tłumik miękkich stąpanień, które przemieszczały się po statku.

Zespół rozdzielił się. Bill ruszył na mostek prawymi schodami, Phil lewy. Digger i Buddy znaleźli boczne drzwi i zeszli do dolnych pomieszczeń, a Chancey i Doug do kajut. W ustalonym momencie Bill i Phil ruszyli. Bill rzucił najpierw szybkie spojrzenie przez małe okienko w drzwiach do wnętrza słabo oświetlonej sterówki, stanowiącej mostek. W środku stał oficer, oparty o tylną ścianę. Za sterem młody sternik, z prawdopodobnym trzecim cieniem, mającym gdzieś z tyłu, spoglądał na kompas. Bill sprawdził zamocowanie tłumika na pistolecie, spróbował klamki i czując, że drzwi ustępują, otworzył je na oścież. Wystrzelił pociski bezpośrednio jeden po drugim do trzech osobników, których zobaczył, następnie cofnął się i zamknął drzwi. Kapitan, sternik i drugi marynarz wydali kilka jęków, chwycili się za nogi i padli jak kłody na ziemię. Teraz wpadł do środka Phil, szybko ocenił niezdolność rannych do działania i kiedy jego partner ponownie wskoczył do sterówki, by zabezpieczyć teren, pobiegł do pomieszczenia radiowego, dwoje drzwi dalej.

Tymczasem pod pokładem, Chancey i Doug zdołali dostać się do pomieszczeń załogi i otworzyli dwoje z siedmiu drzwi. Korytarz był wąski, ciemny i cichy, jeśli nie liczyć głębokiego dudnienia silników, dochodzącego od strony rufy i słabego, srebrnego odbłasku światła, widniejącego pod jednym z drzwi na drugim końcu korytarza. Uzbrojeni w pistolety powietrzne, strzelające kulkami gazu, przesunęli się kolejno obok każdej kabiny aż do miejsca, gdzie światło przedostawało się na korytarz. Chancey sięgnął do klamki, a kiedy Doug stanął pod kątem prostym do wejścia, Chancey pchnął drzwi i dał nura do środka, prawie zwalając się na kubeł i szcztokę, które ktoś pozostawił w spiżarce. Chancey sięgnął kurczowo ściany, niemal wbijając się w nią palcami, by nie zwalić niczego z półek i zakończył swój występ, leżąc na podłodze z twarzą o kilka cali od dość paskudnie wyglądającego zmywaka do podłogi. Doug spojrział na niego, szczerząc zęby w szerokim uśmiechu i wyciągnąwszy rękę, podniósł go na nogi. Zgasił światło w spiżarce, podczas gdy Chancey, wyklinając pod nosem, że na planach tego typu statków nie zaznaczono w tym miejscu żadnej spiżarki, ruszył do sąsiedniego pomieszczenia, ignorując ciche docinki partnera. Obaj zniknęli w kajutach i po kilku słyszalnych, głuchych uderzeniach, pojawili się ponownie, uśmiechając się do siebie jak dwóch ośmiolatek po splądrowaniu słoika z cukierkami. Po otwarciu następnej pary drzwi zabieg został powtórzony i za chwilę dwa kciuki powędrowały w górę. Jeszcze dwukrotnie obydwie *Foki* zatroszczyły się o podobny

przebieg spraw. Po zamianie pozycji na drugim końcu korytarza, Chancey przeładował pistolet. Doug odebrał jedno z tych spojrzeń, pytających: „Co się święci?” i w odpowiedzi przecząco pokręcił głową. Chancey skinął głową w kierunku ich następnego celu i ruszyli w dół, do maszynowni.

W tym czasie Digger i Buddy byli w najniższej części statku, znacznie poniżej linii wodnej. Mieli świetny pomysł na to, gdzie można znaleźć miejsce, w którym mogły być przeprowadzane te podejrzewane działania, jeżeli w ogóle ich tu dokonywano. Cokolwiek potwierdzałyby raporty wywiadu, jedynym sposobem, by dowiedzieć się, czy *Jardavian* naprawdę stawiała miny, było dostanie się na jej pokład. Odkryli interesujące ich miejsce na tyłach ciemnego pomieszczenia magazynowego, tak głęboko w sercu części rufowej statku, jak tylko mogli dotrzeć. Drzwi z przeświecającym z pod nich światłem i odgłosy rozmowy dwóch członków załogi potwierdzały przypuszczenia, że ich cel jest tuż, tuż. Charakterystyczny syk powietrza, uchodzącego pod dużym ciśnieniem, wzmógł ich nadzieje. Digger i Buddy przyłożyli na chwilę uszy do drewnianego przepierzenia, próbując zorientować się czy wewnątrz znajduje się więcej niż dwóch członków załogi.

Lider zespołu *Złoty Fok* popatrzył na przyjaciela i uśmiechnął się. Współpracowali z sobą bardzo sprawnie z wielu powodów. Jednym z nich był fakt, że Digger był urodzonym przywódcą, a Buddy nie miał aspiracji, dotyczących takiego rodzaju odpowiedzialności. Buddy czuł, że jego własne uzdolnienia były wykorzystane najlepiej dla zabezpieczenia odwrotu, przy pilnowaniu tylnych drzwi, ich późniejszemu zamknięciu, zgaszeniu światła i tak dalej. Biorąc na siebie wszystkie uboczne „prace”, które należało przecież sprawnie wykonać, pozwalał Diggerowi kierować realizacją głównego zadania, dotyczącego zasadniczego celu, który był już teraz tak blisko.

Być może było tak i z tej przyczyny, że Digger był zaręczony z siostrą Buddy'ego. Poprosiła ich kolejno, by strzegli jeden drugiego, ponieważ obu ich kochała jednakowo. Kochała Diggera, bo - jak to sama ujęła - „był najlepszy”, kochała też Buddy'ego, ponieważ „był największy”. Ale główną, być może, przyczyną ich tak znakomitego współdziałania było to, że byli dla siebie najbliższymi z przyjaciół. Takich przyjaciół, jakich każdy chciałby posiadać. Ufali sobie i podziwiali się wzajemnie, szanowali i kochali się jak bracia, a do tego mieli do siebie pełne zaufanie. Digger, choć urodzony w Ameryce, spędził większość swego dotychczasowego życia w Australii,

dorastając razem z owcami, które wymagały stałego wypasania i nawracania od szkody. W rezultacie, kiedy tylko narastało napięcie, albo też po paru piwach, zaczynały mu się wymykać słowa w australijskim dialekcie. Buddy natomiast pochodził z Bronxu i dumny był z tego, że wydostał się z życiem z tego swego szczególnego sąsiedztwa. Jego maksymą było: „Najlepszym miejscem do życia to Marynarka, a cała reszta to dodatek”. Kiedy miał około dziesięciu lat, ojciec zabrał go na film *Goldfinger*. Z momentem, w którym zobaczył kilka początkowych kadrów z Jamesem Bondem, wpływającym do portu tuż pod powierzchnią wody, noszącym czapkę z przymocowaną na szczycie kaczka, wiedział już kim chce zostać: nurkiem, który płata ludziom różne figle. Jego nazwisko było dla Diggera wystarczająco obce i długie, by prawie zawsze mylić się w jego wymowie, tak więc jego najbliższy przyjaciel, a za nim wkrótce wszyscy inni, nazywali go tym, czym był i zawsze będzie: ich kumplem, *Buddym*.

Digger spróbował klamki drzwi. Nie były zamknięte. Ciągłe tylko dwa głosy dochodziły ze środka. Odetchnęli głęboko i wpadli do środka. Przed dużą komorą ciśnieniową, pracującą przy stole pełnym zapalników, stało dwóch tęgich, obnażonych do pasa Irańczyków, którzy zamarli na krótką chwilę, dość jednak długą dla Diggera, by zbliżyć się do nich wystarczająco dla dokładnego wybrania celu. Dał im sygnał ręką by podnieśli ręce w górę. Buddy, przesuając się szybko łukiem z tyłu za tymi dwoma przy pracy, skontrolował, czy nie mają broni i odsunął ich od stołu przed sprawdzeniem następnych dwojga drzwi. Digger rozejrzał się wokoło. W rogu pomieszczenia stała koja, a tuż przy niej drewniana skrzynia, na której stały trzy używane kubki od kawy i dymiąca popielniczka, czekająca na opróżnienie. Buddy skinął głową i przesunął się po obwodzie, zajmując pozycję poza światłem drzwi wejściowych, z dobrym widokiem na koję. Digger wskazał dwóm więźniom koję i upewniwszy się, że dobrze na niej usiedli, podszedł do komory, trzymając ręce z tyłu, zwrócony w kierunku lekko wahających się uchylnych drzwi. Minęło kilka chwil zanim usłyszeli hałas; ktoś się zbliżał. Drzwi odchyliły się do tyłu i do środka wszedł trzeci członek załogi. Rzucił okiem na odzianego na czarno obcego i podszedł do dwójki na koi, wyrażając swoje zdziwienie na temat przybyszów, nie zauważając nawet, że drzwi zamknęły się za nim. Wszystko odbyło się tak spokojnie, jak się zaczęło. Digger zatrzasnął dwa zestawy kajdanek na ich przegubach, łącząc ze sobą całą trójkę, która bez oporów poszła za nim w górę po schodach, z Buddym pilnującym tyłów. Także i główny mechanik

oraz jego pomocnik już wspinali się właśnie po drabinach. Kiedy tak każdy członek załogi, kuśtykając i potykając się, pokonywał swą drogę do messy, Phil, działający w charakterze szefa sali, rozsadzał kolejno każdego z nich, mocując jego kajdanki do stołu. Digger czekał, dopóki nie przybył Bill i potwierdził, że na statku nie pozostał nikt bez dozoru, z wyjątkiem tych kilku, szybko i skutecznie uspionych w swych kojach. Pozostawiając resztę swego zespołu do pilnowania pomieszczenia pełnego przymusowych gości, wspinał się kondygnacją schodów i wyszedł na pokład. Zawsze przeżywał satysfakcję z udanej misji, ale ta właśnie, wraz z tym rześkim wiatrem i słonym pyłem wodnym, który czuł teraz na twarzy i ze świadomością, że nikt nie został poważnie ranny, przepełniała go szczególnym zadowoleniem.

Sięgnął do swego wodoszczelnego plecaczka, wyciągnął radio, dostroił je i powiedział:

- *Swallows* do *Bird Dog*, *Swallows* do *Bird Dog*, odbiór.
- *Swallows*, tu *Bird Dog*, odbiór - natychmiast nadeszła odpowiedź.
- Tu wszystko zabezpieczone.
- W porządku *Swallows*, pięć minut.
- *Swallows* kończy.

Przez słoną kurzawę wodną mógł już usłyszeć odgłos dwóch turbośmigłowych *General Electric T-700*. Kiedy wspinał się na mostek i zwoił prędkość statku do kilku węzłów, zagrział nad nimi *Black Hawk*, zawisając w powietrzu. Z jego drzwi, o trzydzieści stóp nad pokładem, wypadły dwie liny i dziewięciu żołnierzy piechoty morskiej szybko zjechało po nich na pustą przestrzeń towarową *Jardaviana*. Rozsypali się po statku, jedni do messy, inni do tych, którzy ciągle jeszcze spali w swych kojach, a dwu z nich szybko podążyło w kierunku mostka, by spotkać się z *Fokami*. Ale tu również nie było nikogo. *Złote Foki* już odpłynęły.

Rozdział ósmy

Koreański lot 534. Do Seulu przez Delhi

23:19 czasu lokalnego (20:19 GMT)

Na pokładzie sześćoletniego *Boeinga 747-200*, trzydzieści trzy tysiące stóp ponad północną częścią pustyni Arabii Saudyjskiej, wszystko pozornie szło znakomicie. Pasażerowie zamawiali napoje i dokonywali wyboru dań kolacyjnych. Technik Typi, oceniwszy, że kurs, pokazywany przez jego laserowy żyrokompas Littona był tak bliski nakazanych parametrów, że właściwie trudno było mówić o jakiejś różnicy, kontynuował monitorowanie położenia punktów kontrolnych trasy, w miarę jak się one przesuwały. Do tej chwili wszystko szło dobrze. Drugi pilot, siedzący spokojnie i czekający na powrót kapitana, umożliwiający mu kilka chwil prywatności w przedniej łazience, był w masce tlenowej. Górny salonik przypadkowo pełny był oficerów podobnej rangi z różnych linii lotniczych, udających się gremialnie na jakieś seminarium, a także różnych uczestników wycieczek turystycznych z egipskiej agencji turystycznej. Ponieważ pozycja kapitana w spółce pozwalała mu na znacznie większą swobodę działania w zakresie ustalania jego udziału w obciążeniu pracą i nadzorowaniu bieżących procedur, aniżeli to ma miejsce w przypadku pilotów zachodnich, kapitan zdecydował się na szeroką aktywność towarzyską. Choć mogła być ona oceniana przez niektórych jako podejmowana nieco na pokaz, to jednak kapitan cieszył się tą chwilą kilku godzin swobody, spędzanych z dala od kabiny pilota. Po tym, jak został niedawno potraktowany, uważał teraz, że zasłużył na trochę relaksu, szczególnie po zaoszczędzeniu spółce znacznej ilości paliwa w locie z Kairu. Bo po odlocie z Kairu o szóstej zero-zero, kapitan Lu, próbując nadrobić swoje opóźnienie, zdecydował nie przełączać się natychmiast na swój wewnętrzny system nawigacyjny *INS*. Zamiast tego postanowił kierować się wskazaniem kompasu i ustalił kurs prosto do drugiego punktu kontrolnego trasy, unikając całkowicie posłużenia się punktem pierwszym. Niektórzy piloci stosują tą procedurę, żeby zarobić punkty u kierownictwa, jako że oszczędza to zarówno czas jak i paliwo i w normalnych warunkach pozwoliłoby to na nadrobienie opóźnienia lotu 534, istniejącego już w momencie odlotu i na przybycie do Delhi zgodnie z planem.

Korytarz powietrzny, przewidziany dla ich lotu, wiódł loty pasażerskie na południe, ku zachodniemu wybrzeżu Zatoki Perskiej, wokół koniuszka terytorium Iranu i na północny wschód do Delhi. Przelatywanie nad samym Iranem zostało ograniczone od czasu, gdy przed dziesięciu laty rozpoczęła się wojna z Irakiem. Na nieszczęście dla pasażerów, technik Typi był przeświadczony, że z nawigacją wszystko jest w porządku. Chociaż możliwość popełnienia takiego błędu została wyeliminowana we wszystkich najnowszych egzemplarzach Boeingów, to nikt nie wiedział, że w rzeczywistości technik wprowadził jeszcze w czasie postoju maszyny przy terminalu na lotnisku w Kairze dwie cyfry „zero” do oznaczenia położenia punktu postoju samolotu powodując, że system *INS* przyjął, iż wystartowali z miejsca o jakieś sto mil na zachód od lotniska w Kairze i zaczął pracownicy wyrównywać tę „omyłkę”, spychając samolot stale na wschód. *INS* został włączony dopiero po dotarciu do drugiego punktu kontrolnego trasy i poprowadził dalej ten lot po takim kursie, na którym, jak wyliczał, miały znajdować się kolejne punkty kontrolne, trasą w rzeczywistości o wiele bliższą irańskiej granicy, aniżeli to było dozwolone. Wielu kontrolerów lotnictwa marynarki wojennej jest przekonanych, że zazwyczaj wypadki zdarzają się raczej w wyniku całej serii błędów, czy decyzji, aniżeli jednego tylko, poważnego uchybienia. Już w tym momencie odliczanie bojowe, prowadzone przeciwko lotowi 534 przez odpowiednie służby naziemne w Iranie, osiągnęło poziom: „Uderzenie pierwsze”. Odchylenie toru lotu winno być rozpoznane najpóźniej przy drugim punkcie kontrolnym trasy. Teraz, po skrócie trasy dokonanym przez kapitana, zastosowanie *INS* zostało opóźnione, a zorientowanie się przez drugiego pilota w tym nowym kursie miało nastąpić na znacznie późniejszym etapie lotu. Zamiast minąć pierwszy punkt kontrolny o trzy minuty później, aniżeli to miało miejsce, minęli go już całkowicie. I teraz, kiedy włączono *INS*, by poprowadził lot prosto do drugiego punktu na trasie, wydawało się, że wszystko przebiega znakomicie. Dopiero kiedy minęli punkt piąty, drugi pilot zaniepokoił się o ich właściwą pozycję. W normalnych warunkach powiadomiłby natychmiast pierwszego pilota o powstałej niezgodności.

Zważywszy jednak cały wstyd za dopuszczenie, by niewykryty w porę błąd zabrnął aż tak daleko i przypuszczalne oburzenie kapitana, jakie ściągnie na siebie za przerwanie jego działalności towarzyskiej, drugi pilot nie uczynił niczego. Następstwa tego zaniechania miały uruchomić łańcuch wydarzeń, które doprowadzić miały tą najważniejszą osobę, prowadzącą końcowe dochodzenie do odkrycia także i tego, jak doszło do jednego z

najbardziej chytrych i dokonanych z premedytacją aktów przebiegłości od czasu Pearl Harbour, podjętego dla zadania ciosu marynarce wojennej Stanów Zjednoczonych. Powstałe stąd następstwa spowodowały niszczycielskie skutki, które do tej pory kołyszają w Waszyngtonie łodzią politycznego rozsądku. Jakkolwiek ślady tych wszystkich pułapek i tematów zastępczych, na jakie napotymano przez cały dzień dochodzeń w tej sprawie, prowadził także głęboko do serca wywiadu marynarki wojennej, historia odnotuje też, że koreański lot 534 był kluczowym składnikiem całości wydarzeń, jakie rozegrały się wokół incydentu w *Bazie Gonzo*.

Rozdział Dziewiąty

Baza Gonzo. USNS George Washington CVN-90

00:25 czasu lokalnego (20:25 GMT)

Komandor Brian „Hotrod” Davis spojrział w lewo przez osłonę kokpitu swego *F/A-18 Hornet* na światła flotyli, płynącej w jego kierunku. Przeleciał z szybkością dwustu węzłów nad rufą *George Washingtona* po jej prawej stronie, na wysokości dwóch tysięcy stóp właśnie w chwili, kiedy dwa *F-14D Tomcat* oraz *EA-6B* były umieszczane w katapultach dla wyjścia w powietrze i przejęcia na następne cztery godziny wieczornej służby obserwacyjnej. Wystartują na długo przedtem, zanim on będzie gotów do lądowania. Kiedy po raz nie wiadomo który z kolei dokonywał wewnętrznych czynności sprawdzających, odezwało się radio.

- *Hotrod*, tu *Portal Central*.
- Słyszę cię, *Portal*, odpowiedział Davis.
- Jesteśmy gotowi dla ciebie, *Hotrod*.
- No to strzelam.
- Przełączam teraz na komandora Huntera.

Davis wycisnął numery komandora Huntera i czekał na spokojny głos swego pomocnika startowego, który da mu sygnał do rozpoczęcia lądowania.

- Jesteśmy tu wszyscy gotowi, jeżeli i ty też, Rod - odezwał się Hunter, skracając jak zwykle swój sygnał wywoławczy.

Davis sprawdził instrumenty. Kabina wyglądała tam samo, jak w każdym innym *Hornecie*: trzy spore przystawki ekranowe, dające pilotowi najświeższe informacje o wszelkich czynnościach samolotu z tym wyjątkiem, że teraz Davis sięgnął do jednego z nowych przycisków, dodanego do ich zwartych szeregów, jakie miał przed sobą i wcisnął go. Natychmiast ekran systemu *HUD* przybrał nowy wygląd. Była tam, jak zwykle, wymagana wstępna wysokość samolotu, monitory szybkości i wysokości, ale teraz dostępna była także pewna dodatkowa informacja. Mała, jasna, poruszająca się w centrum kropka, wskazywała pozycję samolotu. Na zewnątrz niej większe kółko, z nieruchomym kwadracikiem w środku i z czterema oddzielnymi odczytami danych, rozmieszczonymi wokół jego boków,

regulowało swój rozmiar i pozycję w miarę, jak samolot zbliżał się do pokładu lotniskowca. Dwa górne i dwa dolne odczyty poruszały się stopniowo powyżej i poniżej wymaganej ścieżki lotu. Dwa po bokach wskazywały prawy i lewy kąt pochylenia w stosunku do środka pokładu. Czerwone światło, umieszczone najwyżej jak było można na tablicy rozdzielczej, tuż poniżej HUD, zaczęło migać, ostrzegając Davisa, że samolot zboczył poza wymagane parametry. Potwierdzało ono jednocześnie, że cały system był włączony i pracował, oczekując, by *Hornet* znalazł się w punkcie, w którym pilot spojrzy, zlokalizuje pokład lotniskowca, zgłosi swą gotowość i wyląduje.

Davis spojrział jeszcze raz na zewnątrz kabiny, na migocące w pobliżu światła. Niebo było czyste, a ćwiartka księżycy świeciła jasno, ale uczucie samotności i pewnej bezbronności było spotęgowane przez fakt, że przygotowywał się przecież do zdjęcia rąk z przyrządów.

- Przechodzę teraz na kontrolera lotu, Pete.

- Jesteśmy stale z tobą, Rod - powiedział Hunter. W ciemnym kącie Bojowego Centrum Informacyjnego, głęboko w sercu *George Washingtona*, komandor obserwował uważnie na umieszczonych przed sobą ekranach identyczną jak w *Hornecie* kopię HUD. Studiował także kompletny zestaw parametrów lotu samolotu, między innymi wysokość, siłę ciągu i szybkość maszyny, kłapy, hamulce i rezerwy paliwa. Chociaż Hunter nie mógł oczywiście ze swego wygodnego obrotowego fotela pilotować samolotu na odległość, to mógł przynajmniej dokonywać na odległość pewnych regulacji stopnia czułości systemów *F/A-18*, na przykład gazu i ustawienia kłap, mógł też wyrównywać skutki przeciwnych wiatrów, akceptować kurs. W nagłym przypadku, gdyby jakaś część samolotu zawiodła, Hunter mógł nawet odpalić katapultę fotela pilota.

Obydwaj, Davis i Hunter, obserwowali każdy swoje ekrany, które zostały teraz zgrane ze sobą. Systemy sprawdzały silniki i pompy, połączenia wzajemne z lotniskowcem i oceniały przebieg kontroli wewnętrznej. Na środkowej części ekranu Huntera, obok pulsującego czerwonego światła, pojawił się zielony sygnał potwierdzenia od Davisa, kiedy tylko zaczął on rozmowę z Hunterem, swym zastępcą, potwierdzając wszelkie poruszenia samolotu i wymieniając te ruchy, które miałby wykonać zastępca, gdyby był w tej chwili pilotem..

- Tu wszystkie systemy działają - powiedział Davis, nieco zdziwiony stopniem podniecenia we własnym głosie.

- Mamy sygnał do schodzenia, komandorze.

- No to zrobmy to. - I Davis zdjął dłonie i stopy z przyrządów sterowniczych. Po raz pierwszy w operacjach lotniskowca samolot, kierowany przez własnego autopilota na pokładzie, miał się skierować w ten końcowy skręt, a następnie polecieć prosto w dół, na pokład, wypuścić podwozie i hak, dać chwilowo pełny gaz, a później wyłączyć silniki.

Davis zaczął teraz opisywać bieg wydarzeń.

- Dwa tysiące stóp... kurs 120... 200 węzłów... Skręca w lewo. Wysuwają się hamulce. Hej, zdaje się, że ona tym razem ma zamiar naprawdę działać. Wysuwają się klapy. Wolne obroty. Klapy do połowy. Kurs do zero-osiem-pięć, ciągle skręca. Prędkość spada do 160... wysokość 1200. Prawie na kursie 280,, wyrównuje. Klapy trzy czwarte. Dodaje gazu. Kurs 280. Zmniejsza obroty. Skrzydła idą do poziomu. Klapy trzydzieści stopni. Więcej gazu. Prędkość 150. Schodzi na osiemset. Wchodzi teraz na podejście. Gładka jazda. Wysokość sześćset. Skręca w lewo. Więcej gazu. Troszkę się spóźnia, podnieś czułość, Peter.

- Podnoszę o dwie kreski - potwierdził Hunter.

- Ładnie bierze zakręt, jak po sznurku.

Włączyło się zielone światło, a czerwone przestało migać, kiedy dziób *Horneta* ustawił się w jednej linii z rufą lotniskowca. Duże kółko, które dotychczas pozostawało nieruchome, teraz zmniejszyło się i zaczęło wędrować po ekranie HUD. W miarę, jak samolot nieprzerwanie korygował swoją pozycję, mała kropka przesuwiała się ku granicy stale malejącego kółka. W momencie, kiedy *Hornet* wyrównał, poryw wiatru uderzył w bok samolotu i za moment mała kropka skoczyła poza granice bezpieczeństwa. Lewy wskaźnik zaczął pokazywać liczby w kolumnie minusowej wskazując, że *Hornet* zawędrował na tym kierunku poza bezpieczne okienko lądowania. Zielone światło zgasło, a pojawiło się ponownie pulsujące czerwone i rozległ się alarmowy sygnał dźwiękowy. Gdyby kropka pozostała na zewnątrz okienka dłużej niż trzy sekundy, system przerwałby lądowanie i włączyłby pełny gaz, ale szybko powróciła ona do środka. Szarpnięciem sterem i powiększeniem siły ciągu system skierował małą jasną kropkę z powrotem do centrum i sygnały ostrzegawcze ustały. Kółko, kurczące się teraz jeszcze bardziej, w miarę jak lotniskowiec był coraz bliżej, żądało od systemu coraz intensywniejszej pracy, by utrzymać parametry w normie. Davis kontynuował swój raport.

- Dobre poprawki, nieźle sobie radzi. Kurs 120. Teraz klapy pod pełnym kątem. Prędkość zmniejszona do 140. Więcej gazu. Większe hamowanie. Schodzi na 500.

System potwierdził, że na kilka finałowych sekund lotu automatycznie podniósł czułość na poziom dziewiąty.

Peter Hunter obserwował z rosnącym zadowoleniem, jak gładko to wszystko przebiegało, dokładnie tak, jak oczekiwali. Bardzo chciałby być na górze i obserwować naocznie lądowanie, ale pozostawił to reszcie załogi. Nie mniej niż pięćdziesiąt dodatkowych par oczu, wyglądających spoza stosu węzów i gaśnic z tyłu za wieżą, było wlepionych w *Horneta*. Załoga *George Washingtona* oczekiwała tego pierwszego nocnego sprawdzianu z wielkimi nadziejami. To był punkt kulminacyjny setek godzin ich pracy i dodatkowych dyżurów. Teraz kilku szczęśliwców obserwowało, jak światła *Horneta* podskakiwały i kluczyły w swej drodze ku pokładowi.

Nadnercza Davisa zaczęły pompować szybciej, kiedy tylko dojrzał rząd światełek naprowadzających na pas.

- Schodzimy na 400 stóp. Zwalniamy do 135. Wchodzimy w lot ślizgowy.

Okienko niezbędnych parametrów lotu skurczyło się teraz do wymiarów srebrnej dolarówki, a jasna kropka stale już teraz igrała z niebezpieczeństwem, ale *Hornet* kontynuował niepowstrzymanie. Za każdym dotknięciem kropki do obramowania błyskały światła i rozlegał się sygnał, ale system zdołał jakoś utrzymać wszystko w wymaganych granicach.

- 300. Dziób w dół. Zwis na prawe skrzydło. 250 stóp. Wyrównuje. Prędkość 130. Wygląda dobrze.

Znowu światła i sygnały. Światła pokładowe, już tylko jardy od niego, popędziły na oślep na Davisa, a wysokość tonacji jego głosu rosła w miarę, jak pokład ogromniał przed nim. Było mu trudno utrzymać ręce z dala od drążka i gazu, ale twardo ograniczał się do swoich czynności kontrolnych.

- Raz, dwa, trzy, podwozie wypuszczone i zablokowane. Widzę przednie klapy. Jest hamowanie. Hak opuszczony. Przeciwoślizgowe wyłączone. Hak gotów do użycia. Gotów do siadania. 200 stóp! Znow ma prawy zwis! Ster szarpie! Skrzydła w poziomie! Większe hamowanie! 150 stóp! Dziób w górę! 100 stóp! Skrzydła w poziomie! Nad rampą. Pełny gaz! Dotknięcie! Dobry chwyt! Hamulce! Gaz zero! - Davis nagle zdał sobie sprawę, że ścisnął tak mocno rączkę uchwytu, iż trwało kilka sekund zanim wyplątał z niej palce.

- Wspaniała robota, Brian! - wrzasnęło mu w słuchawkach.

- Dzięki Pete. Do zobaczenia niebawem - odpowiedział Davis, starając się uspokoić. Potwierdził odbiór wskazań *Żółtej Kurtki*, sygnalizującego mu odłączenie liny hamującej, włączył mechanizm składania skrzydeł i

dodał gazu na tyle, by móc kołować ku prawej burcie. Odkrył, niestety, że nogi dygotały mu tak bardzo, iż powróciło do niego to samo intensywne odczucie chwilowego strachu, jakie przypominał sobie z tych kilku swoich pierwszych nocnych lądowań, odbytych przed kilkanaście laty. Manewrowanie samolotem z włączonym silnikiem, na śliskiej nawierzchni, po nocnym lądowaniu, szczególnie blisko dziobu okrętu, może w rzeczywistości być bardziej niebezpieczne, niż jakakolwiek inna część lotu. Narzucił sobie spokój i bez pośpiechu toczył maszynę ku prawej burcie. Kiedy osłona uniosła się nad nim, kabinę wypełnił odgłos wiwatów i oklasków załogi pokładu dziobowego. Davis podziękował im gestem ręki. Do boku maszyny przytoczono schodki i pojawiła się znajoma twarz.

- Wspaniała robota, sir - powiedział z uśmiechem Barry, jeden z szefów samolotów *Hornet*. - Kapitan chciałby zamienić z panem słówko w *CIC*, kiedy będzie pan miał wolną chwilę, panie komandorze. Myślę, że chce następną próbę wykonać osobiście.

- Czyżby? - powiedział Davis z pewnym powątpiewaniem. - Słuchaj, Bazle, trzymaj całą załogę z dala od maszyny, dopóki nie zrobimy jej pobieżnego przeglądu, dobrze?

- No pewnie, panie komandorze. Utrzymam tych łowców pamiętek w bezpiecznej odległości. Davis zszedł z góry w ramiona wielu sympatyków, pragnących uścisnąć jego rękę.

Nagle na pokładzie rozległ się imponujący głos szefa lotnictwa.

- Słuchajcie ludzie, zróbcie komandorowi Davisowi trochę miejsca do oddychania. Z powrotem na stanowiska. I pospieszcie się, albo zainstalujemy autopiloty we wszystkich naszych samolotach i pošlemy paru z was, chłopaki, na zieloną trawkę.

I kiedy tłumek rozproszył się, gwizdząc i tupiąc, Davis udał się szybko na dół na spotkanie z kapitanem. Każdy umundurowany, którego mijają na tej drodze przez schody i przejścia, przekazywał mu jakąś formę gratulacji, zanim ostatecznie nie postawił stopy w *Centrum Dowodzenia*.

Z półmroku ciemnego pokoju wyszedł admirał Lodgers.

- Dzień dobry Davis. Chciałem być tutaj, kiedy *LSO* przekaże ci ten raport.

Oficer nadzorujący lądowanie wystąpił naprzód.

- Komandor Davis, numer 303 - powiedział, spoglądając w notatnik. - Przyjmujemy tu za normę pięćdziesiąt pięć sekund. Pan lądował w sześćdziesiąt. Za nisko. Za wiele gazu. Za wysoko nad rampą. Trzecia lina. Wynik ogólny dobry.

Była chwila ciszy, potem zapaliły się wszystkie światła i zgromadzony okazały tłumek zagrział salwą oklasków.

- Dziękuję panie admirale, ale to wszystko Pete i jemu powinniśmy dziękować.

- Wszyscy wiemy, że Pete wykonał wspaniałą robotę - odpowiedział Lodgers, ściskając dłoń Davisa. - Ale to było od początku twoje dziecko. Poza tym, to daje mi okazję do otwarcia paru butelek naszego najlepszego szampana. Tak wiele czuwaliśmy ostatnio, że dobrze jest mieć coś co podnosi na duchu. Tony?

Porucznik Tony Clifford podał Davisowi papierowy kubek.

- *Za ALARMS*. I niech Bóg ma w opiece maszynę i wszystkich, którzy nią latają.

Piętnastu zgromadzonych członków załogi spełniło toast, odstawiło kubki i powróciło na swoje stanowiska, a admirał wziął Davisa na bok.

- Nie dotykałeś czasem sterów po drodze?

- Kusilo mnie rzeczywiście parę razy, sir. Ale nie, Pete trzymał maszynę pod kontrolą na całej trasie.

- A zatem, gratulacje. Twoja ciężka praca na pewno się opłaciła.

Admirał Lodgers podprowadził Davisa do miejsca, w którym stał Hunter.

- Pete, Brian uparcie nalega, że to ty powinieneś przeprowadzić następny test.

Hunter potrząsnął głową.

- O nie, sir. Pomogę je wszystkie zaplanować, skonstruować, zamontować i pokierować nimi, sir. Ale latam tylko na klawiaturze. Całą chwałę pozostawiam ekspertom, takim jak Brian. - Poza tym wstąpiłem do marynarki, by pływać. Gdybym pragnął latać, wstąpiłbym do lotnictwa, jako pilot, panie admirale.

- W porządku, Pete. Wszyscy znamy twoje sarkastyczne poczucie humoru - powiedział Lodgers z szerokim uśmiechem. - Ale nie chodził bym w koło, obwieszczając zbyt głośno takie nastawienie. Mógłbyś obudzić się pewnego poranka i odkryć, że zostałeś załadowany na tylne siedzenie *Tomcata*. Ale poważnie, Brian, ile będziesz potrzebował czasu, zanim spróbujesz jeszcze raz?

- To zależy od danych. Pete i ja przejrzymy je dzisiejszej nocy i zobaczymy czy były jakieś problemy. Jeżeli ich nie było, to nie widzę przeszkód, by odbyć następną rundę jutro. Pete?

- Wydaje mi się, że tak.
- Wspaniale - zawtórował Lodgers. - Im prędzej będziemy mieli tą rzecz już po wstępnych testach, tym będziemy bliżej stanu gotowości *ALARMS* do akcji. Prawda, Brian? - Ton jego głosu był znów normalny, twardy i stanowczy.

- Tak jest, sir - Davis spojrzął na Huntera, licząc na potwierdzenie, ale admirał nie czekał na odpowiedź.

- Dobrze. Potrwa jeszcze jakiś czas, zanim zostaniecie wyróżnieni odznaczeniami, które wam dzisiaj przyznano, więc zostawiam was tutaj.

Konradmirał Bili Lodgers odwrócił się, rozejrzał się wokół by upewnić się, że wszyscy wrócili do pracy i opuścił *CIC*. Chociaż to uzdolnienia techniczne komandora Davisa utrzymały go samego przy życiu i w dobrym stanie w czasie testowania *ALARMS*, *Systemu Automatycznego Lądowania i Zdalnego Prowadzenia*, to jednak tym, co wszyscy mieli wkrótce podziwiać, była jego niezachwiana odwaga.

Rozdział Dziesiąty

Zatoka Perska. USNS Louisville 724

23:52 czasu lokalnego (20:52 GMT)

Na tyłach przednich pomieszczeń torpedowych siedmiu członków *Złotej Foki* kończyło właśnie napełniać swoje zbiorniki mieszanką *Helix*, gdy wszedł kapitan Barrow.

- Otrzymałem właśnie wiadomość z dowództwa. Chcą, żebym złożył wam, chłopcy, gratulacje za dobrze wykonane zadanie.

Digger wytarł ręce w ręcznik i uściśnął dłoń kapitana. - Dziękuję, sir. Cały zespół wykonał wspaniałą robotę. Co będzie z jeńcami?

- Nie jestem pewien, Digger. Wiem na pewno, że zostali zabrani do aresztu w Bahrajnie, ale dokąd stamtąd, to można już tylko zgadywać. A tak w ogóle, chłopaki, jeżeli nie jesteście teraz zajęci, to chciałbym postawić wam jakąś kolację, zanim się spakujecie.

- Wyruszamy gdzieś, sir? Myślałem że zostajemy tutaj, żeby...?

- Też tak sądziłem, ale pomówimy o tym później, jak będziemy już coś przegryzać. - Foki przerwały swój codzienny kierat i podążyły za kapitanem Barrowem przez wąskie korytarze do jadalni. Była pusta, nie licząc kilku maszynistów, dojadających jakieś naleśniki. Widząc wchodzących kapitana i nurków, szybko przełknęli kilka pozostałych im kęsów i wyszli.

Po dokonaniu wyboru spośród jednych z najlepszych dań, oferowanych gdziekolwiek na okrętach marynarki wojennej, zespół usadowił się przy jednym z długich stołów, aby posłuchać o tym co ich czeka.

- Jakie są wasze mocne punkty? - powiedział Barrow, kosztując truskawkowego placka. - Poza tymi niewątpliwymi, oczywiście.

Digger zaczął w odpowiedzi przedstawiać kolejno: - Buddy jest naszym nawigatorem. Może walczyć z najlepszymi i chociaż reszta zespołu może nie zgodzić się ze mną, jest u nas najlepszym pływakiem. Bill i Phil, ci przy końcu stołu, są naszymi ekspertami od uzbrojenia. Mówią mi jakiej broni będziemy potrzebować, wskazują także drogę. Wychodzą zwykle na czoło w walce wręcz i torując drogę dla reszty z nas. Canny, ten tutaj, jest naszym facetem od wyposażenia. Jego zadaniem jest upewnić się, że cały sprzęt, jaki zdecydowaliśmy się zabrać na daną akcję, jest sprawny i że

niczego nie zapomnieliśmy. Do tego jest też naszym kierowcą i radiooperatorem. Może pilotować wszystko co ma urządzenia sterujące i wiele razy wydostawał nas bezpiecznie z wielu poważnych problemów. Myśleliśmy o przydomku „*Can't-he*” dla niego, ale znacznie częściej mu się wszystko udaje, niż nie. Chancey, przydomek dany temu tu, naszemu etatowemu ryzykantowi, no i ten oto Doug, to nasz duet nurków głębokościowych. Wszyscy dajemy sobie radę w ekstremalnych warunkach nurkowania, ale kiedy ktoś z nas musi zejść naprawdę głęboko, wtedy ci dwaj zgłaszają się na ochotnika.

- No a ty, Digger? - zapytał Barrow, kończąc opróżnić swój talerz.

- Ja? No cóż, ja zajmuję się najczęściej materiałami wybuchowymi. Zostałem przeszkolony w zakresie wszystkich typów tego wyposażenia używanych przez nas, a także w większości tych, używanych przez Wschód, a znajdowanych przez nas w terenie. Jeżeli zespół jest w niebezpieczeństwie, próbuję nawet rozbroić niektóre z nich. Ale najczęściej przygotowuję je do działania i uruchamiam.

- Jak sobie radzisz z przygotowaniem i uruchomieniem nowego typu pod nazwą *Porcupine*?

- No więc, czytałem o nich, sir, ale sądziłem, że zabierze to jeszcze dalsze sześć miesięcy, zanim zostaną one dopuszczone do użycia w polu. Sam nigdy nie miałem ich w ręku, ale nie powinny być zbyt trudne w obsłudze szczególnie, że w przeszłości podkładaliśmy wiele tych czułych *Dingersów*.

- No, dobrze. Kto z was jest wspinaczem?

- Najlepszym wspinaczem jakiego mamy jest Doug. Zabrał nas kiedyś na coś całkiem pionowego, sir. - Kapitan Barrow wytarł usta serwetką i popił mały łyk kawy.

- Czemu te pytania, jeśli wolno zapytać, panie kapitanie?

- No cóż, zaczyna nas bardzo niepokoić przemieszczanie niektórych stanowisk *Silkwormów*, kontrolujących cieśninę swym polem rażenia. Wydaje się, że przygotowują się tam do ich użycia. Nie ma tu wielkiej różnicy, czy te rakiety będą skierowane przeciw nam, czy jakimś innym zagranicznym statkom, bo i tak stale musimy kontrolować sytuację, szczególnie od kiedy cała nasza uwaga skierowana została na linię północnego wybrzeża. Jeżeli naprawdę zdecydują się na ich użycie, to nie moglibyśmy odpuścić im uderzeniem z powietrza bez nasilenia tarć z Iranem, a zastosowanie ostrzału z morza dałoby im jedynie pretekst do strzelania do wszystkiego, co tylko pływa. - Kapitan przypatrywał się pilnie reakcji siedzących przed nim nurków.

- A więc? - włączył się Phil.

- A więc to, czego my, albo powiedzmy raczej, nasi przywódcy, chcieliby od was, to to, żebyście tam weszli i ulokowali na wyrzutniach tych *Silkwormów* pewne małe, złośliwe urządzenia, dające nam przewagę na wypadek, gdyby ktoś tam pociągnął za spust. - Nastąpiła długa chwila milczenia, w czasie której Barrow obserwował badawczo tych silnych i sprawnych młodych mężczyzn, których miał przed sobą.

- Sir - powiedział Digger, - proszę nie brać tej ciszy za brak ochotnego ducha. To nie jest tak, żeby ktoś z nas opierał się temu wyzwaniu; jesteśmy dalecy od tego. Potrzebujemy po prostu trochę więcej informacji.

- Jasne - powiedział Barrow, wyciągając kawałek papieru z wewnętrznej kieszeni. - Popatrzcie, tu jest wykaz tyłu *Porky*, ile, jak sądzimy, będziecie potrzebować. Macie tu także ich wagę a także listę różnych niebezpieczeństw, z którymi się przypuszczalnie spotkacie w czasie całej akcji. Najpoważniejszym z nich jest stroma ściana skalna, na którą będziecie musieli się wspiąć natychmiast po osiągnięciu brzegu. Jest ona, niestety, pionowa i gładka jak szkło, bez dostrzegalnych występów, które zwykle tak się przydają przy każdej wspinaczce. Dlatego właśnie Irańczycy nie umieścili tam żadnych posterunków. Oni sądzą, że nie ma sposobu, by ktokolwiek mógł ją przebyć, chyba, że przy pomocy helikoptera, oczywiście.

- Ile mamy czasu, by to przejrzeć, sir? - powiedział Digger niskim głosem.

- Mniej więcej godzinę. - Barrow wstał. - Zostawiam was z tym. Jeżeli będziecie mnie potrzebować, będę w swojej kajucie. - Uśmiechnął się i zostawił ich dla przedyskutowania ich wszelkich możliwych decyzji.

Foki zgromadziły się teraz wokół swego przywódcy.

- Zdobądź nam mapę topo tego terenu, dobrze? - powiedział Digger i Chancey opuścił pomieszczenie.

Bill usiadł na narożniku stołu. - Czy da się w jakiś sposób użyć naszych harpunów, żeby umieścić linę na tej skale?

Digger przejrzał papier, który zostawił im Barrow. - Według tego opisu ściana ma sto osiemdziesiąt stóp wysokości, więc nie. Chcą, żebyśmy przenieśli dziewięć tych *Porky* na drugą stronę kanału, w górę po ścianie i dalej, przez trzy mile piasku i skał, ze śladową osłoną małych kęp drzew, zlokalizowali dwie wyrzutnie *Silkwormów*, oddalone o dalsze około trzystu jardów i ulokowali *Porky* na każdej z nich, a do tego umieścili tuż obok dwie zapasowe sterty tego towaru.

Doug pochylił się ku przodowi by włączyć się do rozmowy. - Co myślisz o tych nowych, o *Porky, Digger*? Słyszałem, że są naprawdę czułe, a ponieważ są nowe, no to trzeba po ich nastawieniu sprawdzać dobrze ich odbiornik, żeby zapewnić dobry odbiór naszego sygnału. Nie chcemy chyba pchać się w te wszystkie kłopoty tylko po to, żeby przekręcić przełącznik i przekonać się, że nic się nie dzieje.

- Zgoda. Jestem o nie dość spokojny, jak sądzę, ale był z nimi taki problem, że niektóre wybuchały w czasie, kiedy podkręcano im czułość. Nie jestem pewien, czy chciałbym stać się uczestnikiem takiego testu. - Wszedł Canny z mapą i rozłożył ją przed nimi.

Digger spojrzął na Buddy'ego. - I co myślisz? Buddy pochylił się i zaczął badać cały teren.

- Wygląda na to, że wybrali miejsca na wyrzutnie tutaj, na tych dwóch polankach, w kępie drzew, blisko podziemnego źródła. Kiedy się tam już dostaniemy, ta osłona powinna przynajmniej dać nam szansę zbadania terenu w sposób niezauważalny. Dostanie się na miejsce, no i powrót, to już całkiem inna sprawa. Na pierwszej mili nie widać żadnej osłony. Tu widać gdzie rozmieścili dwie wysokie wieże do obserwacji linii brzegowej, ale, jak powiedział kapitan, mogą dokładnie obserwować linię brzegową dopiero na południe od brzegowego urwiska. No i mają ponownie widoczność od północnego krańca urwiska. Choć mają dobry widok aż do samego początku plaży, naprawdę wygląda na to, że możemy dać sobie radę. Teren jest pagórkowaty, jest trochę osłon, więc dobra wiadomość jest taka, że jeśli będziemy ostrożni, to będziemy w stanie wślizgnąć się do środka i wydostać się z powrotem. Zła wiadomość jest taka, że wspinaczka na tą skałę będzie bardzo trudna i zajmie wiele czasu.

Digger przechylił się w tył na krześle. - To będzie do zrobienia. Czy coś jeszcze?

Buddy zwrócił się do Canny'ego. - Czy myślisz że będziemy mieli problem z ukryciem *Din-dzi*?

- Nie. Kiedy jest zupełnie opróżniona z powietrza, powinna pozostać na miejscu. Cała sztuka polega na zakotwiczeniu jej na tyle daleko, żeby odpływ nie odstąpił jej lokalizacji. Jest jednak pewna decydująca sprawa. Biorąc pod uwagę fakt, że cała droga powinna być odbyta w zanurzeniu i uwzględniając różnicę strefowego czasu, będziemy musieli odbyć przeprawę z najbliższego punktu na zachodnim wybrzeżu. To rzuci nas na sam północny koniuszek Omanu, co oznacza, że będziemy potrzebowali pojazdu i zaopatrzenia na podróż tam i z powrotem.

- A to znów znaczy, że będziemy musieli ruszyć mniej więcej za godzinę - odrzekł Buddy, spoglądając na zegarek.

- Tak jest - powiedział Digger zwijając mapę. - Buddy i ja pójdziemy porozmawiać z kapitanem. - Obydwaj skierowali się do kwatery kapitana, podczas gdy reszta sprzątała talerze.

Pomieszczenie kapitańskie było malutkie, nawet jak na standardy marynarki wojennej. Kiedy zajrzeli przez otwarte drzwi, kapitan Barrow siedział za swoim małym, pojedynczym biurkiem, głęboko pochylony nad jakimś papierami. - Wejdźcie panowie. Czy mogę wam zaproponować szklanczkę? - powiedział, wskazując na parę butelek stojących na podręcznym stoliku.

- Nie, dziękujemy, sir. Możemy już wkrótce ruszać.

- A więc, postanowiliście zabrać się do tego?

Digger usiadł przed kapitanem Barrow, pozostawiając Buddy'ego, stojącego przy drzwiach.

- Niezupełnie, sir. Sądzymy, że rozpracowaliśmy sprawę, ale z wyjątkiem kilku punktów.

- Stromy brzeg?

- Tak, sir. Bez wysokiego stopnia pewności, że na niego wejdziemy, sprawa jest po prostu nieaktualna.

- No dobrze, a jeżeli przypuścimy, że marynarka znalazła tu jakieś rozwiązanie, czy jest coś jeszcze?

- Potrzebowalibyśmy ciężarówki lub czegoś w tym rodzaju na przejazd do wybrzeża. Skok z helikoptera może zwrócić zbyt wiele uwagi. No i szczerze mówiąc, sir, nie znalazłem niczego, co by wskazywało, że opanowaliśmy problemy przedwcześniejszych detonacji, które tym *Porky* ciągle się przydarzają.

- Słuszna uwaga, Digger - przyznał Barrow, sprawdzając zegar na ścianie. - A oto co wiem na ten temat: jeżeli chcecie zabrać się do tego, admirał Swanson pomoże wam na tyle, na ile tylko jest w stanie. Po pierwsze, za około czterdzieści pięć minut przy platformie wiertniczej zatrzyma się łódź, żeby zabrać was i waszych ludzi na brzeg. Będziecie ubrani jak robotnicy platformy wiertniczej, kończący zmianę. Łódź zabierze was do Bahrajnu, gdzie ci naftowcy zazwyczaj wysiadają. Tam spotka was porucznik Charlie Fielding z ciężarówką. W wozie będzie całe wyposażenie, potrzebne wam do przedostania się przez kanał i wejścia na tą skałę.

- A co z minami?

- Porucznik Fielding skończył właśnie trening w posługiwaniu się *Porky* i będzie mógł zademonstrować wam, jak powinniście te urządzenia nastawiać.

- Panie kapitanie, ta wycieczka jest już chyba wystarczająco ryzykowna bez zabierania ze sobą jakiegoś zawodowego typu z marynarki? - Kapitan spojrział na niego marszcząc brwi. - O, przepraszam, sir. To nie jest zamierzony brak szacunku. Ale, w końcu, jest przecież powiedziane i ustalone, że moje chłopaki pracują jako zespół.

- Rozumiemy to, w jaki sposób odczuwasz to, Digger, ale on ma po prostu zamiar przeprowadzić was wszystkich przez to urwisko i to wszystko. A więc trzeba albo iść z nim albo nie iść wcale.

Digger, zastanawiał się przez chwilę. - Czy ma pan coś przeciwko temu, żebym przedyskutował to z moimi ludźmi?

- Oczywiście nie, ale niech to nie potrwa zbyt długo. Przyptyw zaczyna się o drugiej trzydzieści rano, jeśli chcecie z niego skorzystać, a wtedy przez około dziesięć minut fale przyboju dokładnie pokrywają teren całej plaży. To będzie zależało od was z jaką ilością porannego światła chcecie mieć do czynienia.

- Tak jest, sir - powiedział Digger, dołączając do Buddy'ego przy drzwiach.

- Gdybyście potrzebowali czegokolwiek, dajcie mi po prostu znać.

- Dobrze, sir - powiedział Digger i obojwaj pozostawili kapitana z jego papierkową robotą. Kiedy wracali do swoich kolegów, przygotowujących aparaty do podwodnej podróży na platformę, Buddy roześmiał się.

- A więc, nawet kapitan rozważał sprawę przyptywu, co?

- Tak, ale mnie martwi to, że jeśli mamy spotkać łódź najwyżej za czterdzieści minut, to musiała ona wypłynąć z portu około dziesięciu minut temu. A jeżeli jest jakiś porucznik, czekający na nas z całym niezbędnym wyposażeniem, to musieli załadować ciężarówkę dobrych parę godzin temu. Zdaje się, chłopie, że ktoś tu nas wyprzedza.

- Z pewnością.

Piętnaście minut później, ubrani do głębokiego nurkowania, opuścili ciepłą, suchą ciasnotę *Louisville* i przepłynęli dwieście jardów do platformy wiertniczej. Po wejściu do wnętrza podpory wypłynęli na powierzchnię, zatrzymując się przy sposobności na chwilę dla dekompresji. W końcu wspięli się na platformę magazynową, gdzie wytarli się dobrze ręcznikami i założyli wyznaczone im suche ubrania, które ktoś starannie dla nich

przygotował. Kiedy już wszyscy byli gotowi, Digger zgasił światła i odsunął pokrywkę wizjera w drzwiach. Dokładnie o ustalonym czasie do podpory zaczęło zbliżać się zielone, migające światło, kiwając się i zataczając na wodzie. Kiedy gang pojedynczego diesla stał się głośny Digger otworzył drzwi, obserwował przez chwilę, jak jego ludzie skaczą na pokład i na końcu, zatrzasnąwszy drzwi za sobą, poszedł za ich przykładem. Powitało ich dwóch członków załogi, ale poza jednym czy dwoma „cześć”, nikt nie powiedział wiele więcej. Kiedy łódka odbijała od platformy, zostali gestem skierowani pod pokład, gdzie pozostawali, tak długo, aż zacumowali, nie w samym Bahrajnie ale przy małym molo, sąsiadującym z bazą lotniczą. Małeńka dobudówka przystani była jeszcze zupełnie okryta mrokiem, kiedy *Foki* wspinały się po drabinie na nabrzeże. Wymieniono parę uścisków dłoni i Digger poprowadził swoich ludzi wzdłuż mola na słabo oświetlony, dość oddalony parking. Pomiędzy dwiema starymi, rdzewiejącymi ciężarówkami stał piaskowego koloru *Range Rover* z napędem na sześć kół i podwójną tylną osią, cały pokryty drogowym pyłem. Przedłużony tył wozu i bagażnik dachowy były po brzegi wyładowane sprzętem. Kiedy zespół przechodził obok pojazdu, okienko od strony kierowcy opuściło się, odsłaniając uśmiech, który stawał się coraz serdeczniejszy.

- Podrzucić was? - zapytał zachęcająco jakiś głos. Digger pozostawił resztę, podziwiającą samochód i zbliżył się do okna. Miała ciemną, gładką skórę azjatyckiego pochodzenia, lat około dwudziestu ośmiu, a jej ciemne oczy, prawie całkiem czarne, spoglądały w górę na Diggera z odcieniem uznania. - Słuchaj Digger, może byście tak ty i twoi ludzie, wsiedli do samochodu i pojechali ze mną na przejażdżkę? - Jej głos był chłodny i opanowany, z jakimś nieuchwytnym odcieniem wyrafinowania, pasującego do typu jej urody.

- A kim pani jest, jeśli wolno zapytać? - odpowiedział Digger.

- Charlie Fielding. Powiedziano mi, że ty i twoi ludzie chcecie trochę powędrować i szukacie przewodnika? - Digger z ociąganiem, idąc naokoło wozu na stronę pasażera, dał ludziom znak żeby wsiadali. Zwiększona długość *Rovera* pozwalała zmieścić w jego tylnej części dodatkowe siedzenie na całą szerokość pojazdu i zachować jeszcze dostatecznie dużo miejsca na sprzęt. Fielding uruchomiła aluminiowy V-8, włączyła reflektory, ruszyła z parkingu i skręciła w stronę mostu, który wprowadził ich już na terytorium Bahrajnu i dalej na groblę, która łączy go ze stałym lądem.

Digger wykorzystał kilka następnych chwil, by obserwować ją przy pracy. Była wyższa niż sądził początkowo, z sięgającymi do ramion kruczoczarnymi włosami, które wydawały się migotać w mijanych światłach. Nosiła szare robocze szorty, jej nogi wydawały się długie i smukłe, z małymi stopami, ukrytymi w parze *Birkenstocksów*. Jej ciemnozielona bluzka, do połowy rozpięta, miała ten szczególny wygląd, typowy dla munduru, z rozmieszczonymi wszędzie kieszeniami i naszywkami. Musiała być przyzwyczajona do pracy w ekstremalnych temperaturach, pomyślał Digger, jako że klimatyzacja nie była włączona, a pod jej pachami nie było charakterystycznych wilgotnych plam. Z ciągle opuszczonym okienkiem kierowcy i rękawem trzepocącym na wietrze, Fielding wiedziała, że jest dokładnie obserwowana. Nie wydawało się jednak, by ją to zbytnio interesowało; patrzyła przed siebie, na drogę. Spoglądając często w pięć wstecznych lusterek, pozwalała Diggerowi uzyskać pełny obraz.

Digger przełknął trochę ze swej australijskiej dumy i powiedział stanowczo: - nikt mi nie powiedział.

Fielding, uśmiechając się do swego własnego przypuszczenia, że Digger podniesie tą oczywistą rzecz, nadal ignorowała myszujący wzrok swego pasażera.

- Nie możesz obwiniać za to kapitana Barrowa. On też był utrzymywany w nieświadomości, tak jak ty. Admirał sądził, że gdybyście wiedzieli, moglibyście się nie zdecydować na przyjazd.

- I przypuszczalnie miał rację.

- Czy potrafisz mówić *Farsi*, Digger? - zapytała Fielding, mrużąc nieco oczy przed nadjeżdżającymi światłami.

- Mówić czym?

- Językiem perskim - wyjaśniła Fielding z nutką złośliwej ironii.

- Trochę, w razie konieczności.

- A ja potrafię płynnie i możesz tego potrzebować.

- Jeżeli tego potrzebujemy, to oznacza, że nie potrafimy uniknąć zwracania na siebie uwagi - powiedział chłodno Digger.

- A może to właśnie płynne mówienie tym językiem można uznać za umiejętność niezwracania na siebie uwagi - odpowiedziała Fielding. We wnętrzu *Rovera* zapadła cisza, w której Digger rozgryzał w myślach tą uwagę. Wjechawszy do miasta Fielding skręciła w lewo, pojechała zgodnie z przydrożnymi znakami do bazy lotniczej, zatrzymała się przy głównej bramie i po przejściu różnych procedur identyfikacyjnych podjechała do

miejsca, gdzie rozsiadł się w ciszy i w światłach reflektorów *C-130 Herkules*. Zatrzymała ich kobieta-porucznik i sprawdziła dokumenty Fielding. Po kilku krótkich słowach przez telefon komórkowy, pani porucznik kiwnęła kierowcy potakująco głową. Podjechali naokoło ku tyłowi samolotu, gdzie trafili na otwarte wejście w momencie, kiedy cztery zespoły silnikowe właśnie zakaszały życiem. Kobieta-pilot poprosiła ich o wejście do środka, przejście w górę pochylni, a sama usiadła za sterem. W czasie potrzebnym całej ósemce pasażerów do zapięcia pasów, *Range Rover* został należycie umocowany, pochylnie podniesione, wejście zamknięte i wiekowy już, ale ciągle jeszcze sprawny i powszechny w użyciu transportowiec, zaczął gramolić się w powietrze.

Digger zwrócił się ku Fielding, która teraz ukryła swe włosy pod czapką i po raz pierwszy uśmiechnął się.

- Wygląda na to, że ta operacja była planowana od dość długiego czasu?

Fielding kiwnęła przytakująco głową.

- Co najmniej od wczorajszego ranka. - Otworzyła kieszeń na lewej piersi i wyciągnęła kawałek papieru.

- Co to jest? - zapytał Digger biorąc go od niej.

- Przykro mi, Digger, ale mamy przed sobą aż dwa poważne cele. Tu wszystko zostało ci przedstawione.

Digger zaczął czytać.

- Posłuchaj - kontynuowała spokojnie, przysuwając się nieco bliżej. - Wiem, że w rzeczywistości nie potrzebujecie pomocy w zabezpieczeniu tych *Silkwormów* i jestem pewna, że gdyby was przycisnąć, to wykonalibyście tą robotę bez większych problemów. W końcu, jak mi powiedziano, jesteście przecież najlepsi w tym interesie. Ale ja tu jestem po to, żeby udzielić wam pomocy w pokonaniu tej skały i żeby pokazać wam, jak uzbroid *Porky*. Nie jestem tu po to, by wchodzić wam w drogę.

Odwrócił się ku niej, chowając rozkazy do kieszeni.

- Ćwiczyłaś na nich?

- Oczywiście.

- W takim razie musieli rozwiązać te problemy - powiedział jakby do siebie.

- No, cóż, nie za bardzo - wtrąciła Fielding. - One ciągle jeszcze mogą wybuchnąć przedwcześnie, ale nie wtedy, kiedy postępuje się z nimi odpowiednio.

- To po co w takim razie używamy ich, jeżeli są tak niebezpieczne?

- Widzisz, *Silkwormy* mają bardzo dużą szybkość początkową. Potrzebowaliśmy więc czegoś, co będzie wystarczająco szybkie, żeby przechwycić *Silkworma*, zanim zdąży on opuścić pochylnię startową. Od momentu zapłonu rakiety nasz *Porky* ma jedynie jedną setną część sekundy, by wy czuć moment jej startu i zdążyć unieruchomić ją jeszcze na rozbiegu wyrzutni.

- Ależ mamy przecież całe tony sprzętu, który może tego dokonać - powiedział nieco zdezorientowany Digger.

- Tak, ale *Porky* jest zaprojektowany tak, żeby rozpoznać różnicę pomiędzy odpaleniem rakiety a zwykłymi, ogólnymi wstrząsami, które mogą pojawić się choćby przy transportowaniu wyrzutni na inne miejsce. Nasze *Porky* będą one tak ustawione, żeby zniszczyć wyrzutnie w czasie kiedy będą faktycznie w użyciu, a nie wtedy, kiedy będą przemieszczane w inne miejsce, choć i taką możliwość też mamy.

- Ciągle jeszcze nie rozumiem.

Fielding wskazała na *Rovera*.

- W mojej torbie mam aparat nadawczo-odbiorczy. Mogę nim ustawić je tak, by wybuchły jedynie przy starcie rakiety, albo też przy pierwszym wstrząsie, kiedy nie chcemy żeby je przenoszono, albo zdetonować je po prostu na życzenie. Jest oczywiście pewne ryzyko, ale to, jak sobie poradzimy z tym ryzykiem, zależy od nas. Kiedy będziemy już mieli wszystkich na szczycie skały możesz postanowić, czy pozostawić mnie tam dla pilnowania sprzętu, kiedy wy ruszycie naprzód, czy zabrać mnie z wami na całą trasę, a wtedy ja będę w pobliżu i pozostanę w cieniu na wypadek, gdybyście mnie potrzebowali. Masz dobrze naoliwiony i dokładnie zgrany zespół. Ja tymczasem, no cóż, ja jestem do zastąpienia. Szczerze mówiąc myślę, że Marynarka jest zdecydowana narazić raczej mnie, aniżeli kogoś z was. Gdyby komukolwiek miało się coś stać w tej akcji, to raczej mnie.

Mam przecież cechy zewnętrzne łatwe do rozpoznania przez różne grupy irańskie, a jak zauważyłeś, przy waszej misji jest ogromnie ważne, żeby wszyscy, no może z wyjątkiem mnie, wyszli z niej z życiem. Nawet gdyby to miało oznaczać przerwanie wykonania bieżącego zadania, masz zachować całkowite bezpieczeństwo. Wasza reputacja w tym względzie jest wprost rekordowa. Dlatego wybrano was zamiast *Marines*. No więc, popatrz na mnie jako na członka waszej grupy, ale członka jednorazowego użytku. - Usadowiła się wygodniej i z ulgą wyciągnęła ręce nad głowę.

Digger obserwował, jak dzielnie guziki jej bluzy wytrzymują spore napięcie. - To może być trudniejsze niż ci się zdaje.

Fielding sięgnęła po jedną z toreb i wyjęła nieregularnego kształtu blok z bocznym otworem. - Posłuchaj tylko - powiedziała, - to jest wystarczająca ilość materiału wybuchowego, żeby rozwalić ten samolot na milion kawałków. A to jest - ciągnęła dalej, podając mu mały walec, - odbiornik i korektor czułości.

Wziąwszy od Fielding małą rurkę Digger obejrzał ją dokładnie, a ona odpięła pas i przysunęła się do niego nieco bliżej, nieświadoma tego, że jej delikatne perfumy zaczynają wypełniać nozdrza Diggera.

- Tu, w połowie rurki, są urządzenia nastawne. Jeżeli przekręcisz górną część w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, włączasz odbiornik. Wciśnij ją teraz aż do końca i wtedy dokręć ją na gwincie, obracając ją nadal w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Palec przymocowany do jej wierzchołka powinien teraz znaleźć się poniżej tej powierzchni miny, która zostanie zakryta wtedy, gdy mina przywrze magnetycznie do jakiejś innej, metalowej powierzchni. Gdyby nawet udało się komuś usunąć ją stamtąd bez eksplozji, będzie musiał usunąć detonator, no a wtedy, kiedy tylko pociągnie go albo przekręci przeciwnie do ruchu wskazówek zegara, spowoduje wybuch.

Fielding wzięła obydwa przedmioty i odłożyła je z powrotem do swojej torby.

- Jakież problemy?

- Jeżeli jakież przyjdą mi na myśl, dam ci znać - powiedział Digger, ostentacyjnie ziewając. - A chwilowo, to chyba krótką drzemką nadgonię zaległości.

Fielding rozważała przez chwilę to zdecydowanie lodowate przyjęcie, zgotowane jej także i przez pozostałych i kiedy popatrzyła na nich, dojrzała, że reszta grupy już odpoczywała. Niektórzy spali oparci o ścianę kadłuba, dwaj na podłodze, ale jeden, Buddy, przyglądał się jej uważnie. Nie było to gapienie się, ale spojrzenie dyskretnej obserwacji. Fielding odpowiedziała przelotnym uśmiechem i ruszyła do kabiny pilota, pozostawiając zespół jego snom.

Rozdział Jedenasty

Zatoka Perska. Fregata USNS Stork FF-36

00:54 czasu lokalnego (21:54 GMT)

Kiedy kapitan Chuck Fulton, dowodzący fregatą *Stork*, otrzymał przed rokiem propozycję eskortowania tankowców w górę i w dół Zatoki Perskiej, zaakceptował to chętnie i bez momentu zastanowienia. Minęło już trochę czasu od kiedy był czynnym świadkiem akcji, prowadzonych w Wietnamie i w Korei, więc skory był do zakasania rękawów i zabrania się ponownie do roboty. Niski, z łysiną nad swoją dużą, okrągłą twarzą, ciągle paradował z jednym z tych uśmiechów, z którymi spędził setki godzin na przepatrywaniu horyzontu, pośród żywiołów i wszelkiego typu wiatrów, aż do pełnej siły huraganów. Dobry człowiek, ale taki, co to często rąbie otwarcie swoje zdanie. Chociaż przynosiło mu to w przeszłości sporo kłopotów, ciągle jeszcze zwykł tak właśnie przedstawiać sprawy, dodając do tego zwykle najlepszy ze swych uśmiechów. To, co w tej chwili i przede wszystkim zaprzętało umysł Fultona, kiedy tak stał na mostku, spoglądając na światła *Mishtosh*, to stan i pozycja trzech tankowców, które powierzono mu w opiekę. Od czasu, kiedy Saudyjczycy ponownie otworzyli swój port, ruch tankowców oraz jednostek amerykańskiej marynarki, wznawiających niektóre swe obowiązki eskortowe, nasilił się znacznie. Konwój, płynący na południowy wschód w kierunku cieśniny Ormuz, składał się z brytyjskiego trałowca *Lipton*, przybyłego na miejsce przed około dwiema godzinami i idących za nim tankowców *Rajah Queen*, *Mishtosh* i *Shkirto*, z fregatą Fultona *USS Stork*, osłaniającą tyły. Kapitan Fulton odłożył noktowizor i wyjrzał przez okno, które miał przed sobą.

- Niech ktoś da sygnał tym cholernym zagranicznikom i powie im, że mają trzymać się w szyku! Przecież mają iść w konwoju, a nie płątać się po całej Zatoce! I powiedzcie temu, co będzie do nich mówił, żeby trochę zacisnął zęby. Jeżeli nie możemy utrzymać tego towarzystwa w szyku grzeczną prośbą, to wyciągnę coś cięższego. Gdzie moja kawa?

Jego pierwszy oficer ruszył, żeby pogadać z łącznością, a Fulton dostrzegł swój kubek, spoglądający na niego z parapetu. Załoga nie przejmowała się zbytnio tym, że ich kapitan wydzierał się od czasu do czasu, jako

że najczęściej głęboko się z nim zgadzali. Tyle, że trudno im było powstrzymać się od uśmieszków.

- Mamy tu niezły pokaz siły - kontynuował Fulton. - Musimy teraz polegać na Anglikach, że oczyszczą Zatokę przed nami, ponieważ ktoś, gdzieś, dziesięć lat temu zdecydował, że nie potrzebujemy już więcej budować własnych trałowców. My nawet wypuszczamy do przodu tankowce, bo kiedy przyjdzie uderzenie, ich kadłuby radzą sobie z miną lepiej, niż nasze. Fajna z nas fregata amerykańskiej Marynarki Wojennej!

Pierwszy oficer, Don Carlton, wrócił na mostek. - Przepraszam, panie kapitanie. *Mishtosh* zgłasza, że ma jakieś kłopoty z urządzeniem sterowym. Z trudem utrzymuje kurs.

Fulton przeczeszał palcami kilka pasemek włosów, pozostałych mu jeszcze z lepszych czasów, podniósł wypalony do połowy niedopałek cygara, leżący przed nim na popielniczce na parapecie okiennym i zapalił go. Pyknął kilka razy, usiłując zyskać jakąś ulgę dla swych skołatanych nerwów i jakby doznawszy jej trochę, wydmuchnął wielki kłęb dymu wprost w okno i powoli powrócił do równowagi.

- No dobra, powiedzcie im, żeby lepiej naprawili to, zanim dojdziemy do cieśniny, bo inaczej zostawimy ich z tyłu. Nie mamy nikogo wolnego, żeby został z nimi, więc będą musieli sobie poradzić sami. Nie mam najmniejszej ochoty na to, żeby statek tej wielkości, przechodząc przez cieśninę, z powodu problemów ze sterowaniem siadł na mieliźnie i zablokował cieśninę dla całej naszej reszty. Ci Irańczycy byliby tym wprost zachwyceńni. Ile to potrwa, zanim tam dojdziemy?

- Około dwóch godzin, sir.

- Dobrze. Jeśli mnie to wystarczy na ogolenie się i prysznic, powinno też wystarczyć *Mishtosh* do naprawienia tego ich steru. Pilnuj ich, Dan. Jeżeli mówię „naprawienia”, to mówię to poważnie. - Fulton wręczył Carltonowi swój kubek, jakby oczekiwał, że ten go ponownie napełni, ale zrobił ruch ku wyjściu. - Są jakieś wiadomości o tych *Silkwormach*?

- Nie, sir.

- A o kanonierkach?

- Nie, sir. Po wstępnych ruchach zajęły pozycje po obu stronach kanału. Ale ciągle jest tam jeszcze masa miejsca do przejścia.

- Dobrze. Ale w razie jakiegokolwiek zmiany przyjdź i znajdź mnie. Nawet gdybym miał na sobie tylko ręcznik. Zrozumiałeś?

- Tak jest, sir.

- Kiedy znajdziemy się już po drugiej stronie, powinniśmy mieć przynajmniej parę godzin zanim zabierzemy następną grupę do środka. To powinno dać Willy'emu wystarczająco dużo czasu, żeby naprawił tą pompę olejową, o którą tak mi ciągle suszy głowę. - Wyszedł przez prawe drzwi i popatrzył na niebo. Usłyszał dobiegający z pewnego oddalenia odgłos dwóch małych łodzi, ściganych po Zatoce reflektorami z *Topple*. Łodzie te, szybkie i zwinne, były bardzo zwrotne, ale nie mogły się równać z wodolotem *Topple SRH* marynarki wojennej. Ten to dopiero puł wysoko nad wodą na swych czterech płozach i musiał robić co najmniej pięćdziesiąt węzłów, kiedy przelatywał koło *Storka*. Mając na pokładzie jednego *Phalanxa* i wyrzutnię leciał, muskając wodę jak żuraw z długą szyją, wracający na ląd. Jego dwie wydłużone turbiny pozostawiały niewiarygodny kilwater, kiedy tak pędził ku tym irańskim pontonom. Fulton ruszył pod pokład z gorącym życzeniem, aby Irańczycy dali *Topple* jakiś pretekst do wysłania ich na dno, raz na zawsze.

Rozdział Dwunasty

Washington DC. Pentagon

16:01 czasu lokalnego (22:01 GMT)

Komandor John Latchkey odłożył słuchawkę i w tej rutynie odbywających się jednocześnie działań, jakiej nabywa się pracując w siłach zbrojnych dla kogoś z wysoką rangą, zapukał do drzwi swego szefa. Bez czekania na odpowiedź nacisnął klamkę i wszedł. Jego dowódca, z połówkowymi okularami na nosie i rękami splecionymi za głową, siedział za biurkiem, patrząc w przestrzeń.

- Panie admirale, porucznik Fielding zadzwoniła właśnie, by powiedzieć, że *Złota Foka* jest już w drodze.

- Czy powiedziałaś jej o jej dodatkowym zadaniu?

- Powiedziałem.

- Bardzo dobrze. Jak sadzisz, jak wyglądać będą ramy czasowe ich działań?

- Przyjmując, że nie będą mieli po drodze żadnych większych przeszkód, liczę, że obóz zostanie założony za jakąś godzinę od tej chwili. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze powinni ruszyć w drogę przez kanał o drugiej trzydzieści.

- Świetnie. Może jednego szybkiego drinka zanim pójdziemy?

- Tak, panie admirale. - Latchkey podszedł do biblioteczki, odsunął małe szklane drzwiczki, otworzył małą lodówkę i nalał pół szklaneczki. Na biurku Swansona zadzwonił telefon.

- Odbieram - powiedział Swanson wciskając połączenie. Dzwonił Tom Lasier, zastępca do spraw morskich doradcy prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego. - Co się dzieje, Tom?

- Słuchaj Pat - powiedział Lasier. - Nie wiem na ile to jest ważne i czy coś z tego wyniknie, ale proszono mnie, żeby przekazać ci to tak szybko jak tylko możliwe, ponieważ niektórzy tu uważają, że to może być prawdziwe. - Latchkey postawił na biurku Swansona jego małą szkocką i powrócił do swego biura.

- Wiesz, że zawsze chętnie wyrażam moje opinie, kiedy jestem o nie proszony, Tom - kontynuował Swanson.

- Dziękuję, Pat. Nie jest to właściwie problem Marynarki ale towarzystwo spotyka się o siódmej, żeby przedyskutować dokładniej tą sprawę i chciałbym przedtem poznać twoją zasadniczą reakcję na to wszystko.

- W porządku, o co chodzi?

- Dasz wiarę, że Irańczycy mogą być po prostu gotowi do zawieszenia każdej z osobna i wszelkiej działalności antyamerykańskiej w zamian za pomoc i pewne udogodnienia?

- Chyba nie mówisz tego poważnie? - powiedział Swanson, pocierając czoło z konsternacją.

- Mówię poważnie. Pewien irański oficjel przysłał nam w imieniu swoich naczelnych głupków w Zatoce, pewną propozycję. Szkoda, że nie było mnie tam, kiedy ona nadeszła, ale musiałem przejrzeć jakiś nieważny sondaż. W każdym razie wygląda na to, że oni uznają teraz, iż wojna z Irakiem odbiła się fatalnie na ich zasobach i chociaż negocjacje toczą się nadal, to, jak się wydaje, pogodzili się już z perspektywą konieczności przywrócenia jakiegoś pokoju ze swymi sąsiadami i pragną wszcząć z nami wstępne rozmowy. Skończyły im się zupełnie części zapasowe do tych paru *Eagle*, które kiedyś im sprzedaliśmy i tak naprawdę, to cała wydolność ich obrony powietrznej została prawie zupełnie wyczerpana. Jelcyn, pomijając treść ich umowy nuklearnej, zamknął im obecnie drzwi do przedłużenia starych umów wojskowych, więc liczą teraz na jakiś szmal od nas. No i teraz posłuchaj: zasugerowali nam, że gdybyśmy byli gotowi sfinansować znaczną część ich programu wewnętrznej odbudowy oraz zapewnić im amerykański personel i specjalistyczną wiedzę, byłiby gotowi zaprzestać wszelkich działań skierowanych przeciwko nam. Powiadają, że są gotowi oczyścić zupełnie Zatokę dla umożliwienia bezpiecznych działań żeglugowych i niezależnie od utrzymywania silnej straży na swej granicy z Irakiem, odłożyliby broń i przyłączyliby się do pozytywnych wysiłków dla wprowadzenia pełnego pokoju w regionie, włączając w to także Izraelczyków. Czy to nie jest fantastyczne?

Swanson odłożył okulary i westchnął. - Przykro mi, jeśli nie uchwyciłem tu wszystkich implikacji, Tom. To był długi tydzień. Z pewnością nikt tego wszystkiego nie bierze poważnie?

- No cóż, właśnie że tak, biorą to poważnie - Lasier mówił dalej - Faktycznie, to niektóre najwyższe szarże mówią nawet, że nie można sobie pozwolić na nic innego. Bo jeżeli jest w tym wszystkim jakakolwiek wiarygodność, to byłibyśmy głupi, nie podejmując każdego możliwego wysiłku, żeby użyć tego wszystkiego dla naszej korzyści.

- Słuchaj, nie chcę być aż takim sceptykiem, ale czy nikt tam u was przez ostatnie sto lat nie czytał gazet? To po prostu musi być jakaś fałszywka. Czy upewniliście się w ambasadzie co do autentyczności tego wszystkiego?

- Tak i oceniono to jako wiarygodne.

- Tom, lepiej żeby to nie wyszło nigdzie na zewnątrz - powiedział Swanson, siadając wygodniej na fotelu. - Przecież, jeżeli tylko rodacy tego wysokiego irańskiego urzędnika dowiedzą się, że próbuje on złożyć nam takiego rodzaju ofertę, to na pewno powieszą go za paznokcie od kciuków.

- Wiem tylko, że wystarczająco dużo ludzi uważa, iż warto się tym zająć, szczególnie od kiedy sam Szef posyła te bombowce do Bahrajnu. Z perspektywą broni nuklearnej na swym progu, czyż nie chciałbyś także postępować łagodnie?

- Łagodne postępowanie to jedna sprawa, ale układanie się z zaprzyśiętymi wrogami, to już całkiem inna.

- Może oni, po prostu, odczuwają już zmęczenie wojną.

- Ależ tak, na pewno, tak samo jak to, że może możesz przypiąć psu skrzydła i uczyć go latać.

- Żeby być szczerym, Pat, nie wiem co myśleć. Może kiedy zobaczyli, jak przylatują nasze B-1, ich rząd został zmobilizowany do włożenia nam stopy w drzwi. Kto wie?

- No dobrze Tom, przypuśćmy na moment, że ten list jest szczerzy. To co w takim razie ten rząd irański ma zamiar zrobić? Pójść do swoich ludzi i powiedzieć: „Dzięki za te wszystkie ofiary życia, które wasze rodziny przez całe generacje poświęcały na wykopanie Szacha, no, ale teraz, to my mamy właśnie zamiar pozwolić, żeby weszli tu Amerykanie z wielką forszą i wspaniałymi zachodnimi pomysłami i chcemy, żebyście wszyscy traktowali ich jak przyjaciół”? To się po prostu nie wydarzy. A gdyby nawet, jakimś cudem, to się istotnie stało, to muszą wiedzieć, że wysunęliśmy tak wiele zastrzeżeń, że musieliby stać się naszym pięćdziesiątym pierwszym stanem, zanim byśmy rzeczywiście przekazali im jakąś prawdziwą, żywą gotówkę.

Lasier nie odpowiedział.

Swanson zaczął wyczuwać, że Tom, tak jak inni, po prostu chciał chyba wierzyć i to kosztem logicznego rozumowania, że w tej całej propozycji jest jakaś prawda.

- Oto co myślę: to jest albo podstęp, żeby się dowiedzieć czy jesteśmy naprawdę tacy durni, na jakich czasami wyglądamy i rzeczywiście

otrzymać jakąś pomoc i to bez stawiania przez nas zbyt wielu warunków, albo to jakaś sztuczka. Wiedząc jak mało oni nam ufają i jak małowodne są nasze chłopaki myślę, że oni mają nadzieję, iż to przecieknie do prasy. A jeżeli spróbujemy się zgodzić i spowodujemy, że ich rząd będzie przecież wtedy głupio wyglądał, no to muszą pewnie mieć jakiś sposób na to, żeby jeszcze z dziesięć razy, jak nie więcej, zmienić swoje stanowisko. Już przez samo poważne potraktowanie tej propozycji możemy uczynić masę szkody temu, co jeszcze pozostało z naszej wiarygodności. Przypuszczam, że jest to pewien rodzaj taktyki opóźniającej. Prawda, że poza ich nieustannymi operacjami stawiania min, nie widzieliśmy od pewnego czasu, żeby próbowali robić coś naprawdę głupiego. Ale myślę, że coś dla nas pichcą. Co, tego nie wiem, ale to wszystko brzmi dla mnie wyjątkowo podejrzanie, Tom.

- Może masz rację. Dlatego też prosiłem o twoją opinię. Znasz tych facetów tak dobrze jak wszyscy. Czy pozwolisz, że przekażę dalej twoje uwagi?

- Oczywiście. Wiem, że w zasadzie uzgodniono, żeby przerwać na razie walki z Irakijczykami, ale dlaczego mieliby oni teraz chcieć zmieniać całą swoją filozofię w stosunku do Zachodu? Przedtem też brakowało im pieniędzy. A co do Izraelczyków, no cóż, to już naprawdę za dużo do przeknięcia

- Zobaczmy. Jestem ci bardzo wdzięczny za twój wkład, Pat.

- Nie ma sprawy. Tak czy inaczej, to wszystko będzie wkrótce nieistotne. Kiedy już skończymy z kopaniem tyłka Irakijczykom, nikt w całym regionie nie odważy się spróbować czegośkolwiek.

- Dobranoc, Pat. - Swanson delikatnie odłożył słuchawkę i kończąc swojego drinka miał już przy sobie Johna Latchkey'a. - Dziękuję, John. Nie za wiele, jest jeszcze trochę wcześniej.

- Sir, *Zielona Foka* potwierdziła, że przybędą do Bahrajnu w ciągu sześciu godzin, żeby zastąpić *Złotą Fokę* na *Louisville*.

Swanson skinął głową. - My przynajmniej kierujemy sprawnym statkiem. Chciałbym móc to powiedzieć o tych chłopakach na górze.

- Sir? - być może był to brak snu, bo admirał Swanson zawsze zachowywał bardzo lojalne podejście do swoich przełożonych nawet, kiedy nie zgadzał się z nimi zupełnie, toteż Latchkey był cokolwiek zdziwiony uwagami swojego szefa.

- Nic, nic, John - odpowiedział admirał, podnosząc szklaneczkę.

- A propos, nasi nowi więźniowie czują się dobrze i grzecznie czekają pod kluczem.

- Bardzo dobrze, John. Mam zamiar skoczyć do siebie i wziąć prysznic. Powinienem być z powrotem za kilka godzin.

- Tak jest, sir. Komandor Latchkey wyłączył osobistą linię telefoniczną admirała, przełączając ją na swoją własną i zanim wrócił do swego biura, poczekał aż Swanson założy płaszcz i szalik i zamknie drzwi. Latchkey oczekiwał z niecierpliwością na wieczorny mecz raketki z jednym ze swych odpowiedników. Niestety dla niego, jego mecz, jak również planowane spotkanie ze wspaniałą porcją wieprzowiny na słodkawką, przewidzianą w programie, wszystko to miało pójść na marne.

Tego wieczoru, tuż po 21:30, kiedy zadzwonił telefon z wiadomością, że ogłoszono alarm, Latchkey rzucił wszystko i wrócił z największym pośpiechem do swego biura po to tylko, by znaleźć admirała i prawie wszystkich tych dowódców, którzy byli natychmiast osiągalni, już zgromadzonych wokół stołu w sali posiedzeń.

Rozdział Trzynasty

Baza Gonzo. USNS Philadelphia 721

02:17 czasu lokalnego (22:17 GMT)

Służbę pełniła samotnie. Od momentu, kiedy *Louisville* odplynęła do Zatoki, *Philadelphia* ciągnęła teraz podwójne obowiązki. Nie, żeby oznaczało to zbyt wiele dodatkowej pracy, ponieważ wodne głębie pod Grupą Szóstą były od długiego czasu spokojne i z wyjątkiem jednej lub dwóch jednostek rosyjskich, obserwujących ich z dużej odległości, nie działo się tu zbyt wiele. Harry Davidson spędził dwie trzecie swego życia pod wodą, wliczając w to ostatnią promocję na kapitana *Philadelphia* otrzymaną przed czterema laty. Chociaż był twardym, mocnym mężczyzną, wyglądał względnie szczupło, jak to zwykle u marynarzy, z tą ziemistą cerą, która jest wynikiem długotrwałego przebywania bez słonecznego światła. Z arystokratycznym błyskiem w ciemnych oczach roztaczał atmosferę zaufania, która jest zasadniczym wymogiem wobec każdego kapitana tych jednostek, przenoszących jedne z najbardziej śmiertelnych broni świata. Ale, tak naprawdę, to chyba tylko dwóch, może trzech ludzi z jego załogi widziało kiedykolwiek jego uśmiech. Davidson mówił, że służba na okręcie podwodnym to nie zabawa i chociaż nie miał nic naprzeciw temu, by jego ludzie od czasu do czasu wyładowali się w messie i mieli trochę rozrywki, to w czasie pracy wymagał całkowitego profesjonalizmu. Niezwykle w tym twardym reżimie było to, że on sam był z natury znakomitym humorystą. Jakkolwiek jego załoga starała się nie uśmiechać otwarcie, jego dowcip i komentarze utrzymywały na pokładzie tą nieco lżejszą atmosferę, pozwalającą załogodźci napięcie długich godzin służby. Był człowiekiem stosunkowo małomównym, ale jego ludzie lubili przebywać w jego towarzystwie. Kiedy Davidson po raz pierwszy przejął władzę na *Philadelphii*, postanowił spożywać posiłki wspólnie z członkami załogi, aby poznać ich trochę bliżej. Odkryli, że miał słabość do motocykli, choć nie było to coś, co uwielbiałby od dzieciństwa.

Kiedy był młody, wielu z jego kolegów szkolnych usiłowało sprowokować go do działania obrzucając go przezwiskami, a jednym z najbardziej ulubionych było: „*Harley*”. Od tego czasu wzrastał z niechęcią do tych

maszyn i wszystkiego, co one oznaczały, a szczególnie do reputacji, jaką cieszyły się one w latach sześćdziesiątych.

Ale oto, pewnego dnia, kolega zaproponował Davidsonowi podwiezienie na dworzec lotniczy, a ponieważ nie po raz pierwszy skorzystał z tej pomocy, zaakceptował chętnie tą propozycję. Kiedy już tylko godzina została do odlotu, jego kolega podjechał przed główne wejście, ale nie swoim samochodem, tylko nowiutkim *Harley'em Davidsonem*. Davidson nie miał już czasu na zorganizowanie czegoś innego i choć szczerze zdenerwował się na kolegę, że ten nie uprzedził go o rodzaju tej nieuchronnej obecnie przejażdżki, założył z godnością zapasowy hełm i mocno się trzymał. Kiedy jednak ten oficer dowództwa zsiadł z maszyny w pobliżu terminalu, był już w pełni przekonany, nie tyle specjalnie do *Harley'ów*, ile do jazdy motocyklem w ogóle. No i w następnych dziesięciu latach zgromadził jedną z największych na całym północnym wschodzie kolekcję *Triumph'ów*.

Od początku tego rejsu załoga nazywała swojego kapitana „*Harley*” i choć wiadano, że to mu nie przeszkadza, nigdy nie próbowano tego robić w zasięgu jego słuchu. Davidson usłyszał przypadkiem, raz czy dwa, jak użyto tego imienia, ale nie zwracał sobie tym głowy aż tak, jak to miało miejsce w jego młodszych latach. Uznał, że jego wstępne spotkanie z załogą zbliżyło ich wzajemnie i nadal starał się spożywać co najmniej raz w tygodniu te wspólne posiłki.

Kapral Beadle obserwował, jak jego *S.A.P.S*, nagle ożył. - Mostek, tu *Sonar*.

Davidson sięgnął do przycisku. - *Sonar*, tu mostek.

- Kontakt, namiar *jeden-dwa-pięć*. Nowy kontakt, określony na *tango-dwa-dwa*.

- Co tam masz, Beadle?

- Klasa *Typhoon*, robi około trzydziestu węzłów, kurs prosto na *Grupę Szóstą*, sir.

- Dobrze. Zaraz tam będę.

- *Sonar*, tak jest.

Davidson wezwał porucznika McClusky. - McClusky?

- Kapitanie?

- Nastaw czajnik na gotowanie, dobrze? Wkrótce możemy cię potrzebować.

- Rozszczepienie, tak jest. - Do tej chwili zajęcie McClusky'ego było niemal rutyną, trzymaniem „czajnika” na wolnym ogniu. Ale w języku

Davidsona „czajnik na gotowanie” oznaczało: „Bądź przygotowany na manewrowanie z dużą szybkością”. Za kilka minut pręty zostaną uniesione, by zwiększyć temperaturę i cały statek będzie wiedział o zbliżającym się podjęciu akcji.

Kapitan poszedł ku przodowi i zastał Beadle'a, nadzorującego obserwację kontaktu. - I co, kapralu?

- Z pewnością *Typhoon*, sir, no i nie jest sam.
- Interesujące. - Davidson pochylał się nisko, aby przyjrzeć się zielonym śladom. - Czy nasza kolekcja danych ma cokolwiek? - wyszeptał cicho kapitan do wolnego ucha Beadle'a.

- Sądzę, że słyszę co najmniej trzy inne. System teraz to potwierdza.

- Coraz ciekawsze.

- Tak jest, sir. Jest potwierdzenie trzech innych. Jeden *Typhoon* i trzy *Foxtroty* określone na *tango-dwa-trzy*, *dwa-cztery* i *dwa-pięć*. Beadle wszedł do zbioru odpowiednich danych.

- Świetnie, Beadle. Davidson wyprostował grzbiet i poprosił nieco sarkastycznie - zrób to proszę, dla mnie i trzymaj ich na oku. Odwrócił się i zobaczył swego pierwszego oficera, komandora Mike'a Young'a, stojącego w drzwiach. - Podnieś nas na dziewięćdziesiąt, Mike. Musimy to zgłosić. - Young skinął głową i wyszedł.

Kiedy anteny wynurzyły się na powierzchnię, depeche pomknęły w drogę do wiceadmirała Lodgersa na pokładzie *George Washingtona*, krążącego o dziesięć mil na północ od nich. Ku wielkiemu rozczarowaniu Davidsona, odpowiedź stwierdzała po prostu, że *Philadelphia* ma zachować swą pozycję, obserwować, czekać i na bieżąco informować admirała.

Rozdział Czternasty

Zachodni Iran. Rhinestone

02:28 czasu lokalnego (22:28 GMT)

To nie był zwykły *jeep*. Choć wyglądał na zwykły, przydziałowy, dwa lub trzy dodatkowe elementy wyposażenia czyniły ten pojazd bardzo niezwykłym. Chociaż jego pierwotny kolor był przysłonięty przez gromadzony na nim przez 30.000 mil kurz i piasek, jego sylwetka miała ten charakterystyczny wygląd, jaki miały wszystkie *jeepy*, czyniąc trudnym do określenia, gdzie kończyła się jego część zewnętrzna, a zaczynało się wewnątrz. Mający być rzekomo częścią oryginalnej dostawy, zakupionej dla Szacha, wjechał na teren Iranu około sześć miesięcy temu, prowadzony przez Burtona. Wyposażenie dodatkowe zostało wbudowane przez wojska inżynieryjne przed opuszczeniem Stanów i chociaż nieosiągalne dla dzisiejszego nabywcy tego *jeepa* typu *C.J.*, było w pewnych kołach naprawdę bardzo poszukiwane.

Dla człowieka w terenie największym problemem było zawsze to, jak zapewnić sobie bezpieczną łączność radiową w rozmowach z bazą. Choć stosowanie kodów pozwalało na to, by treść wiadomości pozostawała trochę niejasna, to jednak lokalizacja nadawcy była zawsze trudna do ukrycia. Każdy posterunek nasłuchowy z prawdziwego zdarzenia potrafił zlokalizować namiar i zakres większości sygnałów i jak to niezmiennie bywało, to ostatnie, wysyłane już rozpaczliwie wołanie, podpisało już wyrok śmierci wielu dobrym agentom. W tej sytuacji służby *Działu Badań i Rozwoju* wynalazły nową metodę postępowania. Po pierwsze, zaprojektowali oni ukryty za kołem zapasowym niewielki pojemnik, w którym umieszczono kilka małych aparatów nadawczo-odbiorczych. Następnie, tak przerobili przednią rurę, doprowadzającą powietrze do silnika w czasie przejeżdżania strumieni, aby stała się częścią przekaźnika kierunkowego. Zamiast zwykłego podnoszenia jej do pionowej pozycji, rura ta mogła zostać skierowana pod każdym możliwym kątem ku przodowi *jeepa*. Kiedy tylko jeden z małych aparatów nadawczo-odbiorczych, miniwersja urządzenia *E-Systems EHF 44L*, był włączony i ustawiony pionowo na piasku, *jeep* odjeżdżał o jakieś dziesięć mil. Rura zostawała wtedy wycelowana w ogólnym

kierunku aparatu, a następnie, przy użyciu miniaturowej anteny *phased-array*, można było namierzyć jego dokładną lokalizację. Chociaż radio na pokładzie jeepa odbierało wiadomości bezpośrednio przez urządzenie *AM/FM*, wmontowane pod deską rozdzielczą, modulujące amplitudę i częstotliwość fal, przesyłanie wiadomości mogło się teraz odbywać za pośrednictwem zdalnych przekaźników, ułożonych na piasku. Użycie bardzo wysokich częstotliwości *UHF* pozwalało transmitować wiadomość wprost do nich, ale uniemożliwiało jakikolwiek podsłuch, chyba że przekaźniki te znalazłyby się bezpośrednio w zasięgu wzroku. Sygnał był następnie przetwarzany i wysyłany w drogę przy pomocy silnej, choć szybko wyczerpującej się baterii, której moc umożliwiała odbiór wiadomości przez *AWACS* i *SATCOM*. Każdy sprzęt namierzający mógł w tej sytuacji jedynie wysledzić raczej lokalizację zdalnego przekaźnika, aniżeli lokalizację samego jeepa. Kiedy irańscy strażnicy przybywali dla przeszukania terenu, nie znajdowali już niczego poza dużą dziurą w ziemi w miejscu, gdzie eksplozja rozerwała przekaźnik na kawałki. Transmisje zwykłych komunikatów, o treści otwartej dla niewtajemniczonych, kierowca jeepa odbierał bezpośrednio, przy użyciu konwencjonalnych metod. Pulsujące światełko wskaźnika oleju informowało go, że nadawana jest jakaś wiadomość i jeżeli był sam, mógł ją zapisać i rozkodować później.

Następnie wojskowy zespół inżynierów zamontował w *jeepie* unowocześniejoną wersję *GPS II*. Standardowy *GPS* składa się jedynie z odbiornika, pozwalającego użytkownikowi ustalić swoją pozycję z dokładnością do około dwudziestu stóp. Ta wersja II, *Dash II*, jest wyposażona także w nadajnik, pozwalający dowódcom otrzymać dokładną informację co do lokalizacji użytkownika. W przypadku tego właśnie agenta, użycie nadajnika byłoby traktowane jako dekonspiracja i wszczęto by procedury ratunkowe, ponieważ wrogowie potrafią także wytropić transmisje *GPS*. I wreszcie, w przednich i tylnych światłach jeepa zlokalizowano urządzenia podsłuchowe z żółtym, kierunkowym wskaźnikiem świetlnym, przeznaczonym do informowania kierowcy o wszelkich samonaprowadzających się przekaźnikach, będących w użyciu w promieniu pięciu mil.

Ponieważ rząd Stanów Zjednoczonych zadał sobie wiele trudu w udoskonaleniu tego samochodu i w jego dostarczeniu do Iranu bez dekonspiracji, nikt nie miał zamiaru powierzyć ten środek transportu jakiemuś zwykłemu terenowemu agentowi. Kierowca tego unikalnego pojazdu leżał

właśnie na brzuchu na krawędzi brzegu, przewieszzonego o tysiąc stóp ponad poziomem pustyni, obserwując długi sznur świateł, toczących się w oddali ku północy. Miał rzadkie wąsy i paskudnie wyglądającą bliznę, biegnącą przez lewą połowę twarzy. Na rondzie kapelusza jego munduru pułkownika Grupy Irańskich Sił Specjalnych tkwiły okulary słoneczne. Z noktowizorem w rękę i krótkim cygarem w ustach człowiek ten wyglądał na wrednego i agresywnego. Jego ciemne oczy mrużyły się od czasu do czasu, jakby tolerując, podobnie do ogona antylopy gnu, muchy i robactwo, unoszące się wokół jego twarzy.

Urodzony w Ameryce, pochodzenia irańskiego, wyszkolony przez Marynarkę Wojenną, posiadający stopień majora, przyznany mu przez służbę, do której był obecnie wypożyczony, to jest przez Departament Wywiadu Wojskowego - Teatr Działań w Azji, kierowca ten nadawał się idealnie do wykonywania obecnego zadania. Swojej bezbłędnej irańskiej gwarze potrafił nadać zręczliwy odcień. Studiował wewnętrzne zasady i metody działania miejscowych patroli, a chociaż nigdy przedtem jego noga nie postąpiła w Iranie, wyglądał i działał tak, jakby był członkiem Irańskich Sił Bezpieczeństwa Wewnętrznego już od czasu, kiedy był na tyle dorosły, żeby potrafić napisać swoje nazwisko. Nazwisko, które spoczywało dumnie w aktach w Waszyngtonie. Nazwisko, które wybrał po dokonanej w wieku dziecięciu lat ucieczce z domu: Leonard Michael Barton.

Leżał na brzegu tego urwiska, jak niezliczoną ilość razy przedtem, obserwując czołgi i ciężarówki nadjeżdżające i odjeżdżające od granicy z Irakiem. Instynktownie starał się wyostrzyć słuch. Uwagę jego przykuł gang zbliżającego się silnika, nadjeżdżającego leżącą za nim gruntową drogą. Rzadko ukrywał swojego *jeepa*, ponieważ dla wydostania się z kłopotów wolał raczej posłużyć się swymi umiejętnościami, aniżeli ukrywaniem się. Przekonał się zresztą na własnej skórze, już na samym początku, że oficerowie sił bezpieczeństwa są bezczelni, głośni i rzucający się w oczy i nigdy nie znizyliby się do ukrywania swojego samochodu.

Wstał, wyciągnął z kieszeni małą metalową rurkę, wbił ją w ziemię i poszedł w stronę drogi, w marszu opuszczając na twarz okulary słoneczne. Kiedy dotarł do swojego *jeepa*, zatrzymały się przed nim dwie duże ciężarówki, a ich światła zmusiły go do przysłonięcia oczu. Było dobrą wiadomością, pomyślał major, że nie było *jeepa*, prowadzącego tą defiladę, bo wskazywało to na nieobecność starszych oficerów. Posłużył się więc starym chwytem z demonstrowaniem zimnego, pełnego rezerwy zachowania. Podeszedł do ogromnej chłodnicy, wypiętrzającej się teraz przed nim i po

prostu stanął przed nią z rozstawionymi nogami i założonymi rękami. Gdyby w prowadzącym wozie była jakaś ważna szarża, wkrótce wysiedli by, żeby zadać mu szereg pytań. Zamiast tego, kiedy właśnie zdał sobie sprawę z obecności pewnej liczby żołnierzy, gadających w tylnej części wozu, odsunęło się okienko i jakiś głos wykrzyknął w południowo-irańskim dialekcie.

- Czy jakiś problem, sir?

Major podszedł do drzwi kierowcy, wspiął się na stopień, pociągnął głęboko z cygara i wydmuchnął dym w twarz kierowcy. - Co do diabła robicie tu chłopcy na tej drodze? Nie wiecie, że cały ten obszar jest zastrzeżony tylko dla niezbędnego personelu? Jak mamy kontrolować drogi ucieczki naszych tchórzliwych braciszków, kiedy pozwalamy takim wozom jak ten wjechać tu sobie i wyjechać kiedy tylko zechcą?!

- Och, tak jest, sir - nastąpiła nerwowa odpowiedź kierowcy. - Ale my naprawdę mamy odpowiednie rozkazy - sięgnął do swojej bluzy. Zanim kierowca miał możliwość wyciągnąć papiery, poczuł lufę przyłożonego do głowy pistoletu rosyjskiej produkcji.

- Tylko spokojnie, żołnierzu.

- Jesteśmy właśnie w drodze do Khartreen!

- Aha. Pokaż mi to, powoli. - Major wziął papiery, zszedł ze stopnia i podszedł z powrotem do swego *jeepa*, najwidoczniej żeby zadzwonić. Wiedział, że w ciężarówce jest radio, które mogli włączyć i nastawić, ale musiał spróbować rozegrać to w taki sposób, aby to wszystko wyglądało na rutynowe działanie, ze szczególnym naciskiem na upewnienie się, że jego obecności tutaj nie ujawnią nikomu po swoim przybyciu do miejsca przeznaczenia. Sięgnął do środka wozu i chwycił za słuchawkę. Teraz, kiedy musiało już stać się dla nich jasne, że zamierza zatelefonować i sprawdzić te ich rozkazy, Barton sięgnął do kieszeni i nacisnął mały włącznik. Niedaleko zagrzmiał wybuch. Barton kucnął przed swoim *jeepem*, jakby dla uniknięcia nieprzyjacielskiego ognia i zaśmiał się cicho do siebie kiedy kilku ludzi, łącznie z kierowcą, wybiegło z bronią w rękę żeby zobaczyć co się stało.

- Czy nic się panu nie stało, panie pułkowniku? Co to było? - zapytał kierowca.

Barton wstał i otrzepał się. - Dziękuję poruczniku; nic mi się nie stało. Muszę chyba robić się nerwowy w moim starszym wieku - i kiedy objął ramieniem barki porucznika, zaczął się śmiać. - Właśnie podkładałem kilka min w tej okolicy i jednej z nich musiało przyjść do głowy żeby przedwcześnie wybuchnąć. Wie pan, część tego sprzętu, który otrzymaliśmy

ostatnio, musiała być wadliwa. Czasami myślę, że stajemy się tak biedni, że kradniemy naszą amunicję od Irakijczyków.

Wszyscy się teraz do nich przyłączyli. Wracali do ciężarówki razem, śmiejąc się i rozmawiając.

- Słuchajcie. Trzymajcie się blisko siebie. Jestem tutaj, ponieważ były meldunki, że siły nieprzyjacielskie używały takich jak ta okolic na urządzenie zasadzek na wozy takie jak wasze. Wieciecie sporo broni i amunicji, prawda? Wystarczyłoby do uzbrojenia małej grupy buntowników. Bądźcie ostrożni.

Kierowca wspinając się z powrotem na swoje siedzenie, skinął głową z aprobatą.

- Dziękuję panie pułkowniku i pan także.

- A przy okazji - kontynuował Barton, zwracając porucznikowi jego papiery, - im mniej ludzi, którzy wiedzą co ja tutaj robię, tym lepiej. Nie ma sensu, żebym podkładał miny, jeżeli nikt nie miałby zamiaru tu się pojawić, co?

- Tak jest, panie pułkowniku, rozumiemy.

Prowadząca ciężarówka zgrzytnęła wrzucanym biegiem i ruszyła z miejsca. Kiedy przejeżdżała druga, żołnierze siedzący z tyłu wychylili się tak daleko, jak tylko mogli, żeby oddać mu obowiązkowy, wyzywający salut, który Barton odwzajemnił w podobny sposób i światła zniknęły z pola widzenia. Szybko wskoczył do *jeepa*, zapalił V8 i odjechał w przeciwną stronę, w kierunku leżącej niżej doliny. Wiedział, że musi wystać wiadomość o zaobserwowanym konwoju, ale było jeszcze i coś więcej. Nie potrafił dokładnie tego określić, ale to coś powodowało w nim niepokój i to nie był dobry znak. Planował jechać drogą wzdłuż urwiska tak długo jak można, aż zacznie ona prowadzić w dół. Wówczas mógłby podłożyć przekaźnik, zjechać w dół do głównej drogi, przesać wiadomość i skryć się w konwoju. Kolumna tocząca się ku północy, którą niedawno obserwował, składała się głównie z żołnierzy regularnej armii, więc nie powinno być jakiegokolwiek problemu.

Kiedy major Barton zjeżdżał szybko w dół ze zbocza, nie wiedział, że jego noktowizor nie był jedynym, będącym tej nocy w użyciu na tym wzgórzu. W parę minut po tym, jak *jeep* Bartona opuścił wzniesienie, jakaś inna maszyna także zastartowała i niedbale ruszyła w tym samym kierunku. Barton, jadąc teraz coraz szybciej, sprawdził deskę rozdzielczą i zauważył, że niewielkie, żółte światełko jego małej skarżypytki zaczęło migać ostrzegawczo..

Rozdział Piętnasty

Zatoka Perska. Lot dyżurny AWACS

01:45 czasu lokalnego (22:45 GMT)

Pułkownik Robert Stanford wstał od swego biurka na dwudziestu dziewięciu tysiącach stóp nad Zatoką, zlustrował wzrokiem swoich ludzi, poprawił słuchawki, spojrzął w dół na monitory i obserwował przez moment różne światełka, przesuujące się cicho i łagodnie przez ekrany. Wysoki, szczupły, z niewielką ilością siwizny w ciemnych włosach, Stanford miał nieduże wąsiki w wojskowym stylu, baretki kampanii: wietnamskiej, koreańskiej i Pustynnej Burzy, a przy sobie niezależne urządzenie zdalnego sterowania, pozwalające mu rozmawiać w czasie swej wędrówki po samolocie z każdym członkiem swojej grupy. Jego zespół techników siedział w rzędach po trzech w poprzek kabiny, każdy z własnym monitorem CRT i zestawami łącznościowymi. Wszyscy pracowali w ciszy nad realizacją swego zadania, którym było monitorowanie nieba nad Zatoką Perską.

Ich maszyna, ten zwrotny, wytrzymały, elastyczny, odporny na zagłuszenie samolot obserwacyjny, był jedną z najbardziej zaawansowanych technologicznie maszyn na świecie, z *Dowodzeniem i Kontrolą, Systemami Łączności (C3), Środkami Przeciwwzakłóceńnymi Łączności (C3CM), Zabezpieczeniem Komputerów i Łączności (COMPUSEC i COMSEC)* oraz prostym w użyciu systemem obserwacji morskiej. Wszystko to znajdowało się pod komendą pułkownika Stanforda, człowieka, który był w najlepszej formie, kiedy spędzał dzień w takim właśnie miejscu swej pracy.

- Panie pułkowniku? - powiedział sierżant Jennings.
- Tak, Frank.
- Jeszcze dwa *Migi*, zbliżające się od Shiraz.
- To już będzie teraz pięć? - zapytał Stanford, podchodząc do miejsca, gdzie siedział Frank.
- Sześć, sir. Pięć *Migów* i jeden *Eagle*.

Stanford rzucił okiem na zegary stref czasu, a później spojrzął przez ramię sierżanta. - Odrobinę za wcześnie na te ich poranne pokazy, nieprawdaż?

- Trochę, ale widzieliśmy już te rutynowe kontrole granicy nawet tak wcześnie, jak o zero-trzy-zero-zero, panie pułkowniku. Pamięta Pan, jak przed dwoma miesiącami widzieliśmy osiem Migów w szyku, robiących sobie taką wycieczkę?

- Tak, ale to towarzystwo płacze się teraz po całym obszarze. Tak jak-by byli pochłonięci czymś innym, niż wczesnymi porannymi patrolami.

- Może lecą tylko skontrolować jakąś miejscową łączność, żeby zobaczyć, jak sobie radzi ich straż graniczna.

- Mogą także czegoś szukać - Stanford wyprostował się i spojrzął do tyłu, w kierunku swojego biurka.

- Panie pułkowniku? - przerwał technik łączności pierwszej klasy, Jim Wallis.

- Tak, Jim.

- Właśnie odebrałem rozkaz skierowania się dalej na południe. Wydaje się, że jakieś rosyjskie łodzie podwodne rozwijają działalność na południe od Grupy Szóstej i chociaż ci przeciwpodwodniacy z ASW trzymają w tej chwili wszystko mocno w rękę, to jednak chcą, żebyśmy mieli oko na te rzeczy, tam w dole. Czy chce pan rozmawiać osobiście z pułkownikiem Barkerem?

- Nie, w porządku. Pójdę pogadać z naszym kierowcą.

Stanford ruszył do kabiny pilota, omijając po drodze przeszkody.

- O'Grady?

- Tak, panie pułkowniku - odpowiedział niemal serdecznie O'Grady.

- Jakieś czerwone łodzie podwodne podchodzą trochę za blisko do Gonzo, a więc, O'Grady, zwrot o sto osiemdziesiąt i sprowadź tam w dół nasze tyłki tak szybko, jak tylko możesz. Stanford wyszedł bez czekania na odpowiedź.

O'Grady przechylił swego 707 w lewo, kładąc go na kurs powrotny i w dół, poniżej dwustu. - Zadzwoń do mojej żony i powiedz, że mam zamiar znowu być tu w górze całą noc!

- Czy ona ci wierzy - zapytał Gwynn, - kiedy mówisz jej, że będziesz latał po niebie przez całą noc?

- Nie. Myśli, że znalazłem jakąś szulernię i przepuszczam połowę forsy na wino, kobiety i śpiew.

- No więc - kontynuował Gwynn, - to czemu nie powiesz jej, żeby pewnej nocy zabrała się z tobą i zobaczyła, co ty tu wyprawiasz?

- Co, mam to zrobić i utracić szacunek dla samego siebie? Ty musisz

chyba żartować. - O'Grady obejrzał się na swego technika i powiedział oblizując wargi, - myślę, że czas zabrać się do kanapek, Trent.

- Słusznie. Z mięsem czy z serem? - zapytał Trent, sięgając do chłodziarki.

- Obydwie. Czy zostawiliście mi trochę musztardy w tej waszej lodówce?

Trent wyciągnął szyję, by zajrzeć do wnętrza zamrażarki. - Przykro mi, Mike. Zużyłeś resztę w czasie naszej ostatniej wycieczki. Myślę że to była Bologna.

- No to ładnie. A ta Bologna jest faktycznie niezła. Ale myślę, że ktoś musiał jednak grzebać przy tej mojej ulubienicy, kiedy nie patrzyłem. Tego właśnie potrzebuję... piękna noc, robota do wykonania i nie ma mojej musztardy. Kiedy wrócimy, zgarnij gdzieś dla mnie choć kilka słoiczków, dobrze?

Trent podsunął mu kilka zapakowanych kanapek. - Zdobądź sam te swoje słoiki, O'Grady. I bez martwienia się o ciebie mam dosyć problemów z pamiętaniem o moich korniszonach.

- Co? Korniszonki? No tak, to dopiero jest naprawdę dobre. Jestem pewien, że kilka tych twoich ogóreczków orzeźwiłoby mnie znakomicie.

Jego technik z ociąganiem podał mu słoik, podczas gdy Gwynn meldował do Bahrajnu o ich nowym kursie.

W tylnej części kadłuba sierżant Frank Jennings logował nowy kontakt. - Wychwyliłem małe coś na pasażerskiej.

Stanford usiadł przy swoim radarze i popatrzył.

- Potwierdzenie?

- Właśnie odbieram, sir - Jennings nastawił częstotliwość identyfikacji pasażerskiej i dotknął ekranu swoim fotoelektrycznym pisakiem. Kilka sekund później, obok konturu samolotu pojawiła się na ekranie informacja: „Koreański lot 747 z Kairu”.

- Mam to - powiedział Stanford. - Jaki jest jego kurs, Frank?

- Zero-dziewięć-cztery, lub coś koło tego - odpowiedział Jennings.

- To wprowadzi ich prosto nad koniuszek Omanu, przez cieśninę i do serca południowego Iranu - powiedział beznamiętnie Stanford.

- Zgadza się.

- Ile mamy czasu, jeżeli nie zmienią kursu, Frank?

- Około dziewięćdziesięciu minut.

- No więc dobrze. Na razie miej ich na oku i zobacz czy zdadzą sobie

sprawę z tego, gdzie naprawdę się znajdują, a ja znajdę kogoś, kto wie, jak odczytywać tablice częstotliwości.

- Panie pułkowniku - mówił dalej Jennings, - jeszcze jedna para *Mi-gów* wchodzi na scenę, - 29 *Fulcrum*. Piękny obrys, sir. Odległość trzysta dwadzieścia mil; zbliżają się do końca Zatoki i kierują się na południe. Robi się pracowity poranek.

- Masz rację.

- Może wracają z małego zwiedzania. Dolatują teraz do swojej granicy. Też nie są ciasno ustawieni, luźny szyk jak zwykle.

- Aha, może... O rany, co za bezczelność tych facetów. No dobra, wyostrz to wszystko. Nie chcę, żeby się nam to wymknęło z ręki.

W kabinie pilota O'Grady wyrównał lot i powiedział do mikrofonu: - Jesteśmy na kursie, panie pułkowniku.

- Dziękuję.

- Panie kapitanie, AWACS 26 dostał rozkaz startu alarmowego, żeby przejąć obowiązki na północy - powiedział Gwynn.

- To zły znak, wygląda na to, że możemy mieć przed sobą długą noc.

Gwynn wyciągnął chustkę i wytarł czoło. - O rany, wiele bym dał za to, żeby sobie teraz miło, długo popływać.

- Ach tak, Bill? Trent, czy mówiłem ci kiedyś o tym, jak to parę lat temu Gwynn i ja wzięliśmy sobie przepustkę w Hiszpanii?

- Nie - odpowiedział Trent pochylając się do przodu.

- Pierwszego wieczoru Bill i ja popłynęliśmy hotelowym promem przez zatokę San Antonio do dużego miasta. Wcześniej skończyliśmy to, co niby miało stać się naszą wieczorną przechadzką dla zdrowia, w której ja byłem bardziej zwycięzcą niż przegranym, czy grałem białymi czy czarnymi. Przeszliśmy obok małego otwartego basenu na patio, leżącym na tyłach hotelu *Del Grippio* i znaleźliśmy coś w rodzaju wodnej taksówki, kursującej po zatoce. Po dwunastu minutach rock and rolla w tej łódce wiosłowej, krótszej niż dziecinne łódeczko, dotarliśmy jeszcze raz bezpiecznie do miękkiego lądu i wzięliśmy kurs prosto na salon gier. Tu, chociaż limit szybkości na terenie całej Ibizy był mniejszy niż sto kilometrów, obydwaj, on i ja, przepuściliśmy po dwadzieścia doliczów za trzydzieści minut za kierownicą *Ferrari*, robiącego ze trzysta pięćdziesiąt mil na godzinę. Przy naszym jednym palcu na gazie i kciuku na hamulcu, dwie miniatutki pędziły naokoło toru, a czasami naokoło pokoju. W miejscowej podrywalni kupiliśmy na kredyt kolejkę drinków, stawiając w zastaw nasze życie i w końcu ciąg dalszy odbywał się już na parkiecie, gdzie zapytałem jakąś

laleczkę „Czy przyszła się tu zabawić”, aha, i „Czy chce zatańczyć” i jeszcze „Czy umie choć trochę po angielsku?” I wszystko tylko po to, żeby odkryć, że jedna z tych paru, które jednemu z wyżej wymienionych odpowiedziały „tak”, przybyła tu tak naprawdę z pewnego małego, stałego łądu na południe od Kanady. A tak faktycznie, to jej rodzice mieszkali w małym miasteczku, około piętnastu mil od miejsca, gdzie ja się wychowywałem. O rany, ci faceci z biura podróży mieli nielichy pomysł przekonując nas, żebyśmy wydali tą całą forszę na podróż trzy tysiące mil tylko po to, żeby móc zatańczyć z dziewczyną, która mieszka nad naszym miejscowym sklepikiem z frytkami i rybami. A ja myślałem, że pójde w tango z paroma miejscowymi. Ale nie z takimi miejscowymi. Co za zawód! No dobra; żeby skrócić tą długą historię powiem wam tylko, że ostatecznie zostawiłem ją w spokoju, odszukałem tego oto Gwynna, siedzącego z pewnym trudem na niewłaściwym końcu stołka barowego i starałem się ustalić, czy ma już dosyć. Powiedział, że wypił tylko jednego drinka i nawet go nie skończył. „No przecież nie mogę być zalany po jednym drinku” - powiedział. Ale ponieważ nie mogłem dokładnie ustalić, gdzie kończą się jego przekrwione oczy, a zaczyna się skóra twarzy, zresztą tego samego koloru, więc wszystkie wątpliwości rozstrzygnąłem na jego korzyść. A kiedy głowa klapnęła mu z powrotem na bar, wyjąłem mu z garści galonową puszkę piwa i zawlokłem go do drzwi, które wychodziły prosto na esplanadę. Zacząłem się śmiać, a on chyba zaczął płakać, ale później się uśmiechnął. Kiedy ja zacząłem się śmiać głośniej, to on zmienił się na twarzy. Potem puścił pawia, no to wtedy ja się zmieniłem na twarzy. To on się na to zaśmiał, a wtedy ja puściłem pawia, no i skończyło się na tym, że ruszyliśmy do domu. Nie mam zamiaru twierdzić, że było trochę późno, ale kierujący promem jadł właśnie śniadanie, kiedy dotarliśmy wreszcie do małego, ale bardzo trudnego ciągu schodów, które prowadziły z powrotem na patio przy *Del Grippo*. Wszystkie światła były już wyłączone, więc mieliśmy trochę kłopotów z równowagą i tak naprawdę skrabaliśmy się po tych schodach całkiem chwiejnie. Na górze Gwynn oświadczył, że chce wziąć odświeżającą kąpiel w basenie i wspinał się dalej na podwyższenie. Powiedziałem mu żeby nie był śmieszny i, co prosiło się o zmianę moich dożywotnich zobowiązań, usiłowałem mu wytłumaczyć, że całkiem się przemoczy, a ja będę musiał dać nura za nim i go wyciągać, a nie jestem na to przygotowany. Próbował jeszcze wchodzić następnymi długimi schodami na teren basenu, więc chwyciłem chłopa w pól i ściągnąłem do patio.

Weszliśmy do hallu akurat na czas, żeby zamachać odchodzącym gościom na pożegnanie, być świadkiem gaszenia świateł i burczenia jego opustoszałego żołądka. Później tego poranka wstaliśmy, wzięliśmy prysznic i o trzeciej po południu wyszliśmy na zewnątrz, do patio, na śniadanie. Ku naszemu zdumieniu był tam jakiś ogromny hiszpański facet. Miał jakieś cztery stopy i pięć cali wzrostu, jeżeli to był w każdym calu facet, a chyba był. Z wężem ogrodowym w rękę napełniał, powiadam, *napełniał* basen wodą. Bo nasz basen został poprzedniego wieczoru opróżniony dla oczyszczenia. O świcie, kiedyśmy wrócili, jedyną rzeczą w basenie był jakiś miniaturowy żywy inwentarz i kilka raczej wątpliwych pozostałości. - A ty, mój przyjacielu - powiedział O'Grady, wskazując na swego drugiego pilota, - miałbyś teraz paskudnie rozłupaną facjatę, gdybyś dał wtedy nura do tego basenu.

Wśród lekkiego nabijania się i żartów, jakie teraz nastąpiły, Trent upuścił pomidora pomiędzy przełączniki, Gwynn porozlewał swoją wodę sodową po całej podłodze, a O'Grady usiłował zetrzeć z koszuli ślady po konserwowych ogórkach.

- O'Grady? - w słuchawkach O'Grady'ego odezwał się głos pułkownika Stanforda.

- Tak... panie... pułkowniku? - wymamrotał z trudem O'Grady, usiłując w tym samym czasie mówić i przełykać kęs.

- Sto osiemdziesiąt pięć i równe dwadzieścia pięć, masz to? - Jedzenie trzymane w ustach zaczęło nagle dławić O'Grady'ego.

- Co takiego, panie pułkowniku? - zapytał pilot, a kawałki kanapki wypadły mu z ust.

- Tor lotu, O'Grady! Tor lotu. Mamy w tej chwili masę *Migów* w górze i naokoło, więc lepiej się przygotuj. Tu, w naszej okolicy, sprawy mogą się paskudnie ułożyć.

- Już się tak układają - odpowiedział O'Grady, rozglądając się wokół.

Rozdział Szesnasty

Zachodnie Wybrzeże Omanu. Złota Foka

01:53 czasu lokalnego (22:53 GMT)

Mała, ustronna plaża była pusta, nie z powodu zimna czy doniesień o rekinach, ale z powodu wielu min zagrzebanych w piasku tuż pod jego powierzchnią. Północny skrawek wybrzeża Omanu i towarzyszące mu wysypki leżały bardzo blisko kipiących wód Cieśniny, lecz wyglądały na bardzo odludne. Choć omańscy żołnierze zachowywali się zwykle przyjaźnie, to jednak po ucieczce Szacha, kiedy Iran zaczął prowadzić w regionie bardzo agresywną politykę, uczynili tą część linii brzegowej bardzo niegościnną. Także i obecnie, jedynie miejscowe siły porządkowe mogły tu łapać ryby i obserwować statki, przechodzące przez cieśninę Ormuz.

Do porannego świtu pozostawało jeszcze ciągle kilka godzin. Ciepłe fale pluskały o długi skalisty brzeg i nie było tu nikogo, kto byłby świadkiem, jak zacienione światła *Range Rovera* łagodnie podskakują i przemykają się idącą w dół ścieżką, tuż nad jedną z wielu maleńkich zatoczek.

Jakiś czas przedtem, ośmiu pasażerów na pokładzie *Herkulesa* siedziało tak spokojnie, jak czynił by to każdy w czasie oczekiwania na moment tak nietypowego wysiadania. Koła *Range Rovera* były zabezpieczone dobrym umocowaniem do drewnianej płyty, a duże spadochrony, które miały być wyrzucone przez drzwi jako pierwsze, zostały odpowiednio przygotowane. *Złote Foki* nakładały swój sprzęt do swobodnego spadania i spadochrony, podczas gdy pilot naprowadzał ich na wysokości dziesięciu tysięcy stóp nad strefę zrzutu. Kiedy drzwi rozsunęły się powoli, do wnętrza kadłuba wtargnęło na powitanie chłodne, nocne powietrze. Czerwone światło zmieniło się na zielone i w jednym szybkim ciągu ośmiu nieproszonych gości zaczęło opadać na ziemię Omanu. Skok ze swobodnym spadaniem, wykonany w czasie dnia, może być wystarczająco niebezpieczny nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach, ale tu, w środku nocy, jedynie z małym elektronicznym czujnikiem, włączającym alarm na wysokości dwóch i pół tysiąca stóp, brak widoczności jedynie nasilał niewiarygodny rzut adrenaliny, zmuszający wszystkie zmysły do największego wysiłku.

Spadochrony w kształcie skrzydła otworzyły się kolejno i każdy z członków zespołu poczuł to jakże miłe szarpnięcie, kiedy pasy uprząży uchwyciły ich ciała między udami i nagle zwolniły opadanie. Digger wyskoczył pierwszy i dzięki odliczeniu trzech dodatkowych sekund przed szarpnięciem za uchwyt, także jako pierwszy poczuł piaszczysty busz pod sprężynującymi nogami. Przed zebraniem czaszy swego spadochronu wyciągnął małą lampkę z dwucalową przysłoną nad soczewką i wetknął ją w ziemię, kierując światółko ku niebu. Było ono wystarczająco jasne dla każdego w górze, kto szukał takiego sygnału, aby dostrzec go wyraźnie i skierować ku niemu swój zbaczający tor opadania. Zanim Digger ściągnął linki, miękkie uderzenia innych stóp w grunt tego pustkowia wskazały, że pozostali także wylądowali bezpiecznie. W czasie, gdy kopano dół dla ukrycia ich niezawodnych środków transportu, Digger wyłączył lampkę. Jak tylko zadanie to zostało ukończone, zapalił ją ponownie i wymierzył w kierunku *C-130*.

Przysadzisty transportowiec obniżył się teraz do trzech tysięcy stóp, przygotowując się do swego lotu około dwumilowym odcinkiem na południe. *Herkules* pochylił swój dziób i rozpoczął ostre nurkowanie w kierunku miejsca lokalizacji zespołu. Z opuszczonymi klapami, wygaszonymi światłami pozycyjnymi i otwartymi tylnymi drzwiami, miękko nadlatywał w kierunku Diggera i jego kolegów, oczekujących swojego *Range Rovera*, który miał być tu dostarczony załadowany do pełna i, na co mieli nadzieję, w znakomitym stanie. *Herkules* kontynuował swą drogę zbliżania, jakby podchodził do lądowania. Ale zamiast wysunąć podwozie, płynął dalej, a jego silniki tańczyły na lekkim wietrze swoją piękną pieśń. I oto nagle znalazł się nad nimi, na wysokości nie większej niż dwadzieścia stóp nad buszem. Ogromne spadochrony wystrzeliły z tylnych drzwi, potrzebowały sekundy do pełnego wypełnienia się i wtedy jednym gigantycznym targnięciem chwyciły drewnianą platformę i wyszarpane ją w chłodne wieczorne powietrze. Do momentu uderzenia platformy w ziemię spadochrony zwolniły szybkość jej opadania do pięćdziesięciu mil na godzinę i zanim siła bezwładu mogła zrzucić pojazd w tym czy innym kierunku, wyboiste lądowanie, dokonane na odcinku trzydziestu stóp, zatrzymało *Rovera* w martwym, ale pełnym kurzu punkcie. *C-130* oddalał się teraz, idąc płynnie w górę, a jego miękki pomruk cichł w uszach, kiedy *Złote Foki* ruszyły naprzód, by sprawdzić obecność uszkodzeń. Kiedy pasy mocujące *Rovera* zostały zwolnione, rzucono okiem na układ kierowniczy i zawieszenia.

Silnik zastartował przy pierwszym obrocie kluczyka, a wskaźniki szybko potwierdziły, że podwójne zbiorniki były prawie pełne i że wszystko pracuje normalnie. Doug przekonał się, że szcelinowe osłony przednich świateł są dobrze umocowane, podczas gdy Buddy dokonywał końcowego sprawdzenia załadowanego sprzętu. Było sporo pracy przy uwalnianiu sześciu kół, żeby mogły zjechać z tego, co pozostało z lądownika i kiedy wszyscy już wsiedli, ruszyli w drogę w kierunku przesmyku, kierując się teraz własnym wyczuciem.

Skalista linia brzegowa, ze swoją poplątaną dróżką, lawirującą pomiędzy skałami i głazami wzdłuż krawędzi urwistego brzegu sprawiała, że jazda była dość ryzykowna. Niebezpieczeństwa i zagrożenie zsunieniem się i upadkiem do zatoki znaczyły jednak niewiele w porównaniu z tym, co ich jeszcze czekało. Canny siedział za kierownicą, a przy nim Digger jako nawigator. Fielding była wciśnięta pomiędzy Douga, Buddy'ego i Chancey'a. Bill i Phil siedzieli z tyłu.

Digger, mając wzrok wlepiony w mały odcinek dróżki, pojawiający się w światłach, zastanawiał się nad pewnymi pytaniami. Czy mogą zostać zatrzymani przez jakiś nadgorliwy patrol straży granicznej? Czy zostaną odkryci w czasie drogi przez cieśninę? Jak trudna okaże się ściana klifu i ile czasu zabierze im wydostanie na górę zespołu i sprzętu?

Kiedy tak *Rover* podskakując przebijał się przez ciemności, a jego przesłonięte światła reflektorów starały się wykryć na czas następny wybój czy dziurę, każdy członek zespołu zamknął się w tej szczególnej samotności, której każdy mężczyzna i kobieta w armii nauczyli się wychodzić naprzeciw. Można by wybaczyć osobie postronnej uznanie tych ośmiu milczących podróżnych za grupę, wracającą z jakiejś pijackiej imprezy albo za trzon drużyny baseballowej, wracającej do domu po ciężkiej porażce, a każda z tych ocen nie mogłaby być dalsza od prawdy. Ktoś mógłby to nazwać „spokojną cierpliwością”, a inny „zamkniętą w sobie świadomością”. Lecz dla tych, którzy umieją ją stosować i polegają na niej w tych specyficznych momentach, poprzedzających wkroczenie w burzę, to jest pożądane odprężenie. Dla niektórych jest to szansa na wyłączenie pytań i wątpliwości na temat: „jak to pójdzie”, a także możliwość uspokojenia tego nieustannego potoku danych, które kłębią się w mózgu, usiłującym przewidzieć te momenty, w których sprawdzana będzie zdolność każdego z nich do dokonania trafnej oceny sytuacji.

Nie trwało długo i *Rover* prześlizgnął się wokół peryferii nadbrzeżnego

miasta Al-Khasab, podążając wzdłuż wąskiego, piaszczystego szlaku, który wyprowadził ich na cypel i skierował na północny wschód, w kierunku samego koniuszka Omanu. Od momentu, kiedy po raz pierwszy postawili stopy na ziemi Omanu, minęło czterdzieści minut i kiedy Canny zatrzymał *Rovera* w obniżeniu terenu, poza lewym poboczem drogi, zapanowało poczucie ulgi. Canny zgasił silnik i wyłączył światła, a pasażerowie wysypali się z wozu. Wiedzieli z grubsza ze zdjęć lotniczych, które Fielding wręczyła im w czasie lotu, kiedy zakładali swoje czarne ubiory, jak wygląda teren i zagrożenia, ale teraz, żeby zobaczyć to z pierwszej ręki, poszli aż na krawędź skalnej szczeliny i przykucnęli za małą kępą zarośli, górujących nad zatoczką. Wszystko było nie tak jak się spodziewali.

Bill wskazywał w dół na zawietrzną skałkę, leżącą tuż pod zboczem łagodnego spadku ku plaży. O skałkę tą, po jej prawej stronie, oparta była mała, w połowie ukryta, prowizorycznie sklecona budka.

- Od jak dawna to jest tutaj? - szepnął Digger do Fielding.
- Nie wiem. Na zdjęciach to się z pewnością nie pojawiało.
- Jak dawno temu one były robione?
- Nie wiem, ale teraz to tutaj jest, więc co z tym robimy, jedziemy gdzie indziej?
- Może nie. Digger przelażł do miejsca, gdzie patrząc w dół, na zatokę, leżeli Phil i Bill. - Czy sądzicie, że moglibyście tam zejść i sprawdzić ten szałas?
- Nie ma sprawy, - odpowiedział Phil.
- Dobra.

Bill i Phil zamienili po cichu kilka słów, po których nastąpiło coś, co wyglądało na rzut monetą. Po sprawdzeniu swego ekwipunku obydwaj wymknęli się niepostrzeżenie w ciemność, podczas gdy pozostali ruszyli do pracy. *Rover* został rozładowany, a Doug i Canny zaczęli ścinać tyle długich, rosochatych gałęzi, ile tylko mogli znaleźć, nie tylko by zamaskować siatkę, ale także, aby zamieść ich ślady.

Tymczasem w dole, na plaży, dwóm nowoprzybyłym gościom samotny szałas wydawał się pusty, przynajmniej z pewnej odległości. Był sklecony z dryfującego drewna i kawałków blachy falistej, z wykorzystaniem części skalnego wgłębienia na jedną ze ścian. Duży otwór, umieszczony z tyłu, wychodził na trawiaste zbocze, biegnące w dół, aż do swej podstawy, podczas gdy drzwi prowadziły wprost na plażę. Bill ruszył przez zbocze tak, by zejść tuż za drewnianą konstrukcją, pozostając stale wystarczająco wysoko,

żeby stale widzieć dobrze swego kolegę z zespołu. Phil zbliżał się z boku, starając się w miarę możliwości nie stąpać po piasku plaży. Osiągnąwszy punkt najbliższy wejściu, Phil położył się płasko. Sięgnął do pojemnika przy pasie i wyciągnął coś, co wyglądało jak radio ze słuchawkami. Włożywszy w uszy miniaturowe słuchawki podłączył cienki kabelek do szczytu radia i włączył je. Można by wybaczyć każdemu obserwatorowi przypuszczenie, że oto jeden z elitarnego zwiadowczego zespołu *Złoty Fok* ma zamiar zrobić sobie przerwę w akcji i złapać prognozę pogody albo posłuchać gospodarza swego ulubionego, całonocnego programu *talk show*. Phil wyciągnął urządzenie przed siebie, około dwa cale nad piaskiem i zaczął nim wolno, tam i z powrotem, zataczać przed sobą łuki. Jednocześnie, cał po calu podpełzał coraz bliżej drzwi. Przy mniej więcej dwudziestym piątym łuku zamarł na moment w bezruchu, ale po chwili przesunął się o szerokość ciała w prawo i kontynuował swe przeczesywanie.

W górze, ponad nimi, praca szła sprawnie. Biorąc pod uwagę potrzebną im ilość ekwipunku zdumiewające było dla wszystkich, że cały potrzebny sprzęt zostało upchnięty wewnątrz *Rovera* i na nim. Poza wyładowaną już normalną ilością ekwipunku do nurkowania, różnych pojemników, broni i sprzętu radiowego, były tam jeszcze trzy inne bagaże.

- Dziwię się, że udało ci się umieścić tutaj cały ten sprzęt - powiedział Chancey, szamocząc się ze zdjęciem największego wora z dachowego bagażnika. Ten Chancey, który normalnie nie miałby kłopotu z rozładowaniem w pojedynkę fortepianu.

- To jest nowa wersja *Dingy* - powiedziała rzeczowo Fielding.

- Nowa? - zakwestionował Chancey.

- Tak, większy zasięg.

- Dobra, będziemy jej potrzebowali, razem z tym wszystkim.

- Ale co z Diggerem i Doug'iem?

- Przywieźliśmy dwa *MUT*-y, ale bądźcie ostrożni, to jedyne dwa, jakie mamy w marynarce.

Chancey, na jej pełne troski spojrzenie, wzruszył ramionami, że jednak ktoś mógł wątpić w jego umiejętności. Jeden po drugim, różne worki, małe i duże, zostały przeniesione do początku szlaku zejściowego na plażę. Rozwinięto dużą, nieregularnego kształtu osłonę, która była w ostatnim worku i zarzucono ją na dach *Rovera*. W ciągu zaledwie dwóch minut pojazd został wtopiony w otoczenie i kiedy narożniki przestonięto jeżynami,

można było z łatwością przyjąć, że *Rover* może tu przez całe miesiące pozostać niewykryty.

Tymczasem na plaży Phil ponawiał swoje manewry, przeczesując każdy element otoczenia po trzy razy dodatkowo, zanim dostał się wreszcie do otwartego wjazdu w przedniej części szałas. Bill stał ponad linią dachu szałas, obserwując Phila czujnie i mocując latarkę do lufy swego lekkiego karabinku maszynowego. Phil dotarł do wejścia i wolno, przechylając się wokół narożnika szałas, zajrzał w ziejącą pustkę omiatając swoją echosondą teren za wejściem. Zadowolony, że wszystko było bezpieczne i pewne, Phil wstał, odłożył radio i słuchawki, sięgnął po latarkę i tłumik i uczynił krok ku bocznej ścianie szałas, by sprawdzić co z kolegą. Bill zszedł o kilka pozostałych stóp do krańca zbocza i podniósł pięć palców. Obydwaj zaczęli odliczać. Na cztery, Phil uczynił krok z powrotem ku wejściu. Na trzy, Bill przesunął się do tyłu i przykucnął pod oknem szałas. Na dwa Phil odbezpieczył swój automat. Na jeden, obydwaj wzięli głęboki oddech i zacisnęli chwyt na broni. Zero. Bill zaświecił swoim wąskim snopem światła przez otwór w tylnej części szałas w kierunku skały, a Phil zaświecił swoim, kierując światło dokładnie w przeciwny narożnik. Przymrużone oczy dwóch intruzów zostały powitane widokiem połowego łóżka, kilku drewnianych skrzynek, propanowej kuchenki, czarnego garnka i kubka. Obydwaj odprężyli się, a latarki natychmiast zgasty. Phil jeszcze raz oświetlił krótko podłogę wewnątrz szałas i wydało mu się, że dostrzegł jakiś błysk. Opuścił rękę wzdłuż swego boku i natrafił na niewielką, cienką nitkę, która została zawieszona w poprzek wejścia, około stopy nad piaszczystą podłogą. Wszedłszy ostrożnie do środka, zbadał każdą stronę wejścia by zobaczyć do czego przywiązana jest nitka i sprawdził garnek i kubek. Ostrożnie przekraczając nitkę, szybko wrócił na zewnątrz do czekającego na niego Billa.

- I co sądzisz? - wyszeptał Bill.

- Ktokolwiek korzysta z tej meliny, nie był tu już dosyć długo. Plamy na kubku są stare, a garnek jest zimny. Dam znać reszcie i oczyszczę trasę, a ty idź i pomóż innym.

Bill wrócił drogą, którą przyszedł, a idąc, przecierał płasko piasek przed sobą. Phil skierował dwa długie i jeden krótki błysk światła w górę, do miejsca, gdzie czekali Digger i Buddy. Natychmiast reszta zespołu złapała za wszystkie istniejące rączki i uchwyty i zaczęła znosić sprzęt po miękkim zboczu. Digger z jednym z ładunków był już w połowie drogi w dół, kiedy

Bill zameldował: - Wszystko w porządku. Szafas pusty, przynajmniej na razie.

- Dobra Bill, dziękuję. A Phil?

- Zaczyna dla nas oczyszczać drogę przez plażę.

- Dobrze. - Zniesienie wszystkiego na plażę zabrało około dziesięciu minut. Zajęli teraz pozycję w miejscu, skąd nie było widać schronu, przy nawietrznym końcu zatoczki, tuż po drugiej stronie wylaniającej się z wody skały. Doug został postawiony na straży, podczas gdy pozostali otwierali już bagaże i zaczęli składać swój nowy środek transportu. W przeciągu około pięciu minut *Dingy II* była gotowa. Była dłuższa i węższa, z małą osłoną nad dziobem, zmniejszającą jej współczynnik oporu. Następnie zajęli się swoimi własnymi potrzebami, zakładając swe ubiory, zbiorniki i maski.

- Czy mogę, Digger? - powiedziała Fielding, wręczając wszystkim zgromadzonym wokół pontonu batony energetyczne.

- Oczywiście, mów - zgodził się Digger, krzyżując ręce.

Zacząła mówić płynnie i spokojnie, z ujmującym uśmiechem. Stała oto przed nimi kobieta, jeden z najstarszych członków grupy, mająca omówić parę szczegółów związanych z dodatkowym wyposażeniem, które mieli zabrać. Nikt z nich nie wiedział, że w Nowym Jorku spotykała się z mężczyzną, starszym od niej o dziesięć lat, maklerem giełdowym, mającym dość pieniędzy, by mogła łatwo kupić sobie całą plażę pełną modeli męskich, kobieta, która mogła położyć przed sobą listę tylu niebezpiecznych, a zakończonych sukcesem misji, że wystarczyłoby tego na wypełnienie całego, długiego życia. A mimo to, była teraz tutaj, porzucając zupełnie bezpieczeństwo i komfort swego domu na Long Island, by stanąć naprzeciw bardzo profesjonalnej grupy młodych ludzi, tuż przed ich wyruszeniem na misję, przypuszczalnie najbardziej niebezpieczną z tych, które dotychczas podejmowali jako zespół. Zdali sobie sprawę, że po raz pierwszy patrzą w oczy tak bardzo zdecydowanej kobiety. Żadnego makijażu, uroda nieco maskowana próżnością; zespół zaczynał postrzegać Fielding z zupełnie innej strony. Jako kobietę, która robiła to co robiła, bo była w tym dobra i lubiła być taką. Fielding zlustrowała ich badawcze spojrzenia.

- Słuchajcie. Zgłosiłam się na ochotnika do tej roboty, ale zrobiło to także wielu innych. Przyznaję, że nie przeszłam takiego treningu w nurkowaniu w Little Creek, jaki wy przeszliście żeby osiągnąć tak wysoki poziom gotowości bojowej. Ale ci sami džentelmeni, którzy wybrali was

do tej misji, wybrali także mnie spośród trzydziestu pięciu najlepszych ludzi we flocie, by doposażyć was w pewne wspinaczkowe detale. W rzeczywistości, miałam wprowadzić paru z was na szczyt tego urwiska, a jest to sklasyfikowane jako działanie na pierwszej linii. Formalnie rzecz biorąc, mój pobyt tutaj jest nielegalny, ale ponieważ macie wspiać się na skałę i podłożyć parę *Porky*, to jestem tutaj, by pomóc wam zrobić te obydwie rzeczy.

Fielding szybko rozsunęła zamek błyskawiczny na przedzie jej tekstylnego ubioru i ściągnęła do tyłu obydwa boki jego górnej części, ukazując dwie doskonale uformowane, okrągłe piersi. Wysunęła je nawet do przodu, jakby przyzwalając, żeby cały zespół dobrze im się przyjrzał. Choć było ciemno, światło księżyca, wydobywające z mroku skórę jej ciała, było wystarczające, by wszyscy mogli dojrzeć, gdzie kończą się jej barki a zaczynają się piersi.

- To że mam takie dwie wcale nie oznacza, że będę pękać, a jestem też pewna, że wasze, powiedzmy, koniuszki, nie różnią się od tych licznych innych, które miałam okazję oglądać.

Zanim ktokolwiek mógł ukryć zdziwienie tym jej gestem, Fielding zasunęła zamek z powrotem.

- Jak widzicie, potrafię być tak ordynarna, jak pierwszy lepszy facet, więc kiedy już widzieliście te obydwie, możemy wrócić do naszego zadania. Jeżeli w jakimkolwiek momencie w ciągu następnych sześciu godzin ktokolwiek z was odniesie wrażenie, że nie wykonałam swoich obowiązków tak jak oczekiwaliście, macie moją pełną zgodę na to, żeby to opisać i posłać raport prosto do admirała Swansona. Uważam, że nigdy nie należy mieszać zadania z seksem, więc odpoczynek zapewniony, panowie. Ponieważ jestem tutaj dla wykonania zadania, żaden z was, na pewno, nie będzie miał szansy, by mnie „bliżej poznać”, jeśli rozumiecie, o co mi chodzi. W tym co robię jestem najlepsza, a prawdziwym powodem, dla którego zdecydowałam się zgłosić do tego zadania było to, że jeśli będę wybrana, będę pracowała z najlepszą jednostką *Fok*, jaką ma Marynarka Wojenna, to znaczy z wami. Kładę moje życie w wasze ręce na tyle, na ile wy zechcecie złożyć swoje życie w moje.

Powiedziawszy swoje spojrzała na Diggera, który, tak jak inni, wyglądał trochę zakłopotany całą tą sytuacją i ciszą, jaka teraz nastąpiła.

- No, tak, eh, dobrze, co jeszcze masz dla nas? - odpowiedział, odyskując panowanie nad sobą.

- W tych workach są dwa *MUT*-y, miniaturowe podwodne środki transportowe. Są o wiele mniejsze i lżejsze od tych, do których byliście przyzwyczajeni, ale tak samo szybkie, a dwukrotnie bardziej sprawne. Wymiary, zarówno silników jak i akumulatorów, zostały jak widać znacznie zredukowane. Szczególnie ważne jest to, Digger, że wszędzie na terenie Zatoki, łącznie z wodami przybrzeżnymi, możecie posługiwać się nimi bezpiecznie i bez obawy, że ktoś was usłyszy. Są bardzo ciche. - Wskazując na niewielką stertę przedmiotów wielkości cegły, leżących w piasku, kontynuowała. - Te tutaj to *Porky* albo *Piggy* jak je nazywamy. Na domarszu czterech z nas będzie niosło po jednej z nich w odpowiedniej uprzęży. Te dwa worki, tutaj, to potrzebny nam sprzęt wspinaczkowy. Tu są dwie paczki sprzętu radiowego, dwie paczki *Stickerów*, przeznaczonych dla kanonierki i dwie paczki z zapasem zaopatrzenia.

Wręczyła Diggerowi *Stickery* i pod pas mocujący na środku łódki załadowała jakiś inny pakunek, razem z resztą sprzętu. Zespół stał i patrzył, jak zostają dociągnięte ostatnie mocowania. Digger spojrzał na zegarek, odwrócił się i spojrzał na swych przyjaciół, z którymi przez ostatnie cztery lata razem pracował i razem się bawił, przyjaciół, których nie chciał stracić.

- Dobra, panowie, jeszcze coś. - Wszyscy skupili się ciałniej. - Jesteśmy tu dość wcześnie. Odpływ właśnie się zaczął, więc nie będziecie musieli płynąć z pełną szybkością. Buddy mówi, że kurs zero-dziewięć-trzy powinien doprowadzić was prosto do małej plaży u podnóża klifu. Będziecie mogli płynąć na powierzchni, dopóki nie osiągniecie drugiej strony kanału. Niech Canny decyduje, jaką poprawkę trzeba wziąć na rąd. Doug i ja dołączymy do was już po drugiej stronie, bo musimy zająć się najpierw odrobieniem jeszcze jednej, małej pańszczyzny. Jakieś pytania? - Digger popatrzył wokół na twarze, szybko pokrywane smarowanym na skórę, maskującym czernidłem.

Doug zdecydował odezwać się pierwszy. - Dig, czy powiedziano ci dokładnie, ilu ludzi możemy napotkać?

- Nie, niezupełnie. Może być dziesięciu, może być dwudziestu. Nie wiem.

Wtedy odezwała się Fielding. - Czy wszyscy mają swoje identyfikatory? - Wszyscy odwrócili się by spojrzeć na nią.

- Zdjęliśmy swoje wiele godzin temu - powiedział Bili z zadowoloną miną.

Stali obserwując ją w ciszy, wszyscy z wyjątkiem Diggera.

- Fielding zdjęła swój zanim wyjechała ze Stanów - powiedział.

Na kilku twarzach pojawił się na moment pytający wyraz, kiedy Canny przełamał chwilowe zakłopotanie.

- Dobra. Mam jeden dla ciebie. No a co będzie, jeżeli uda się nam tu wrócić i okaże się, że tutejszy mieszkaniec Cabot Cove*: właśnie się ponownie wprowadził? Z tego co widziałem nie ma tu zbyt wielu miejsc, przez które możemy się stąd wydostać.

* wieś z kryminałów Jessiki Fletcher (przyp. tłum.)

- Kiedy tu się dostaniemy, będziemy musieli przejść właśnie tędy - odpowiedział Digger. - Czy coś jeszcze? Dobra, niech każdy robi teraz wszystko jak dobra maszyna; admirał liczy na nas.

Członkowie *Złotej Foki* założyli swoje maski, poprawili oporządzenie, sprawdzili zegarki, ściągnęli łódkę do wody i zostawiając Diggera i Doug'a na plaży, weszli do łodzi, włączyli napęd rufowy i wślizgnęli się cicho w ciemność. Digger zaciągnął dwa *MUT*-y na fale, podczas gdy Doug wyglądał za nimi piasek i dołączył szybko do swego kolegi, tkwiącego już w mętnej kąpieli. Włączyli obydwaj swoje aparaty oddechowe, uruchomili napęd *MUT*-ów i ruszyli w kierunku dwóch irańskich fregat, oczekujących spokojnie w odległości mili, w cieśninie Ormuz.

Rozdział Siedemnasty

Stacja Gonzo. USNS Philadelphia 721

03:21 czasu lokalnego (23:21 GMT)

- Bez zmian, panie kapitanie. Typhoon *Petrov* i trzy Foxtroty, *Sift*, *Hundle* i *Osti* stale utrzymujące kurs. Odległość pięć mil. - *Beagle* był zdziwiony opanowaniem we własnym głosie. Uprzednio tylko raz jego systemy monitorujące kontrolowały cztery kontakty równocześnie i było to na Morzu Północnym, przed dwoma laty, gdzie zgrupowanie większej ilości różnych jednostek było zrozumiałe, gdy było się tak blisko ich północnych portów.

Kapitan Davidson wrócił na mostek i podniósł słuchawkę z widełek.

- Dzień dobry wszystkim. Mówi kapitan. Wiem, że wasze telegramy powinny zostać przesłane, ale chcę żebyście wszyscy byli w pogotowiu. Mamy tu czterech rosyjskich rozrabiaków, idących tym kursem i chociaż mogą przybywać tu nawet na ryby, nie mamy zamiaru niczego ryzykować. Stan gotowości.

Gongi i czerwone światła sprowadziły ludzi truchtem na stanowiska. Kapitan odłożył słuchawkę i zwrócił się do swego pierwszego oficera, komandora Mike'a Younga.

- No dobra, więc co sądzisz?

- Nie jestem pewien - odpowiedział Young. - Coś w rodzaju silnego patrolu. Mogą płynąć, żeby tu naokoło trochę powęszyć.

- We czwórkę?

- Tak, wiem - powiedział Young, przytakując lekkim skinieniem głowy. - Może moglibyśmy sprawdzić, czy ta grupa była już przedtem namierzona w takiej formacji?

- Racja. Sądzę, że musimy także sprawdzić, czy sami możemy powęszyć trochę na własną rękę. - Young zostawił kapitana w stanie głębokiego namysłu nad skontaktowaniem się z admirałem. W międzyczasie, w małym pomieszczeniu o dziesięć stóp przed mostkiem, kapral *Beagle* wlepił oczy w ekrany, śledząc cztery nierozpoznane obiekty i prowadząc czynności rozpoznawcze na całym swoim sprzęcie wspierającym. Poza dwoma *Sonarami IBM BQQ6*, *Beagle* korzystał z *Raytheon BQS 13*, przystawki rozmięszczenia sferycznego do *BQQ6*, z *Ametek BQS 15* czynny/bierny dla

wyłączania wysokich częstotliwości, z *Raytheon BQR 19* czynny dla sterowania wysokimi częstotliwościami, oraz z holowanej siatki *Western Electric BQR 15 bierny*. Na dodatek do tego wszystkiego, miał do dyspozycji jeszcze jeden system. Choć nie był on jeszcze w pełni gotowy, Beagle nie mógł się doczekać, żeby włączyć ten nowy nabytek, nad którym się tak napracował i zademonstrować go swojemu kapitanowi. Ponieważ na zanurzonych okrętach nie można korzystać z radaru, ten nowy komputer *IBM 7000C* był tak zaprojektowany, aby dać Beagle'owi i kapitanowi na mostku kolorowy obraz taktycznych pozycji *Philadelphii* oraz każdej innej jednostki pływającej, tworzony z uśrednionych danych, zebranych ze wszystkich czujników na pokładzie jednostki. Pokazywał wszystko dwuwymiarowo na kolorowym monitorze *Sony AS 2048* i Beagle był przekonany, że z taktycznego punktu widzenia zmieni to przebieg działań bojowych łodzi podwodnej przez zaprezentowanie lokalizacji ich sąsiedztwa. Od momentu, w którym jakieś trzy miesiące temu *Philadelphia* wyszła w morze, Beagle spędzał każdą wolną chwilę na rozpisywaniu i ponownym przerabianiu programu. Choć był w pełni skoncentrowany na bieżącej sytuacji, miał wrażenie, że gdzieś w głębokich zakamarkach jego podświadomości, ostatnie kilka kawałków układanki tego programu właśnie wskoczyło na swoje miejsce.

W tym samym momencie, jak gdyby jego kapitan pozyskał jakieś wyższe formy pojmowania, Davidson, w towarzystwie komandora Younga, pojawił się tuż za nim i zapytał tak głośno, by być słyszany przez słuchawki: - czy jest jakaś szansa na wypróbowanie naszej nowej zabawki, kapralu?

- Jeszcze nie, sir. Muszę nad nią jeszcze trochę popracować.
- Ile potrzebujecie czasu?
- Nie jestem pewien, sir. Myślę, że rozgryzłem przyczynę jej ciągłego zawieszania się. Sądzę, że jest to jakoś związane z...
- Oszczędźcie mi szczegółów kapralu i ściągnijcie tu Thompsona, żeby was zastąpił na ten czas, kiedy się do tego zabierzecie i kiedy to już dokończycie.
- Tak jest, panie kapitanie - kiedy Davidson i Young wyszli, Beagle podniósł swój interkom. Jak tylko wrócili na mostek, główny mechanik Bob Danwall wręczył kapitanowi komunikat.
- Z lampy sygnalizacyjnej, panie kapitanie - powiedział wręczając mu tekst.

Davidson przeczytał go po cichu, sięgając po interkom.

- Kapralu, zabierzcie się do tego natychmiast, dobrze?
- Natychmiast, sir - potwierdził Beagle.
- Mike, zobaczmy czy będzie można przekonać admirała, żeby dał nam trochę więcej czasu. - Davidson wysłał na *George Washingtona* jeszcze jedną prośbę i wrócił do swojej kabiny.

Kiedy Davidson klapnął na swoją miniaturową wersję fotela, zadał sobie pytanie, czego ci dawni wrogowie Zachodu mogliby chcieć od niego i jego współtowarzyszy, znajdujących się na pokładach *Szóstej Grupy*. Cemu cztery łodzie miałyby połączyć się i zbliżyć się do nich nie gęsiego, ukrywając swój stan liczebny, ale rozproszeni w formację, dającą jego systemom, już na samym początku, pełną możliwość ich wykrycia i monitorowania ich ruchów? I czemu właśnie teraz? W zmiennych momentach kulminacji zimnej wojny, kiedy atmosfera podczas ściśle obserwowanych działań robiła się gorąca, takie oczywiste zagrożenia dla statków flot zachodnich, spowodowane przez tworzenie takiej jak ta formacji, mogły być wybaczone jeśli nie dopuszczalne. Ale teraz, przy odprężeniu w stosunkach pomiędzy nową Republiką Rosyjską, a U.S.A, i przy łączeniu wysiłków obydwu dawnych przeciwników dla rzeczywistego zmniejszenia zagrożenia nuklearnego, Rosjanie rozpaczliwie wręcz usiłovali namówić U.S.A, do przesyłania im coraz większej ilości pieniędzy na pomoc i wsparcie. Więc czemu miano by pozwolić któremukolwiek dowódcy na zorganizowanie takiego pokazu siły jak ten?

Siedział przez moment, patrząc na obraz wielkiego *Nautilusa*, wiszący nad jego biurkiem i wspominając ponownie to, co powiedział mu jego ojciec w dniu, w którym udawał się w coś, co okazało się być ostatnim rejsiem jego służby. „David”, powiedział, nazywając go po imieniu, co zwykł czynić w tych momentach, kiedy chciał przykuć uwagę syna. „Jeżeli kiedykolwiek zdecydujesz się zostać podwodniakiem, to będą takie chwile, w których staniesz wobec decyzji, które są oparte tylko na zwykłych przecuciach. Pływamy w ciemności, używając uszu w miejsce oczu i nikt nie jest w stanie ci powiedzieć, co to niepewne uczucie wątpliwości może uczynić dla trzeźwego myślenia, którego kapitan potrzebuje... tej jasności, która jest niezbędna dla pokonania przeciwności, zanim one się pojawią. Ale wszystko o co proszę, to tylko to, żebyś, jeśli kiedykolwiek znajdziesz się w takiej sytuacji, pamiętał kilka rozsądnie dobranych słów, przekazanych mi przez starego przyjaciela. Nigdy nie znałeś tego swego wuja, mojego brata, ale on był od lat dowódcą łodzi podwodnych, o piętnaście lat starszy ode mnie i o

wiele mądrzejszy. Otrzymał swój trzeci awans, zanim nawet skończyłem szkołę średnią i chociaż rzadko o nim mówię, często o nim myślę. Nigdy nie znałem swojego ojca, a mój brat, Tommy, przejął tę rolę, jakby to był jego cel w życiu. Wychowywał mnie tak, jakbym był jego własnym synem. Tuż przed jego wyjściem w ten tragiczny rejs, on jakby przeczuwał, że coś ma się wydarzyć. Poprosił mnie na stronę, posadził przy sobie tak, jak ją teraz siedzę z tobą i udzielił mi pewnej małej rady. To ta rada, której ja udzielani teraz tobie, więc posłuchaj, jak ona brzmi:

*„Póldupki mojego zadka i policzki mojej twarzy dostawały twardą szkło-
tę i były posiniaczone więcej razy, niż mogę to sobie przypomnieć. Noszą
na sobie blizny po tych niezliczonych momentach, kiedy, jeden po drugim,
stawały w obliczu bólu. Ale umrę z uśmiechem na ustach za przyczyną każ-
dej z tych śmierci ludzi moich i innych, której zapobiegła ta właśnie odpor-
ność i wytrzymałość tego mojego obijanego zadka i za przyczyną tej rado-
ści i ulgi, jaką dawały mi serdeczne uściski ludzkich dłoni, jakie później
następowały”.*

Stary podwodniak długo ścisnął syna zanim wstał z ławki i zszedł na molo, jak się okazało, po raz ostatni i teraz Davidson zastanawiał się, jak tysiące razy przedtem, czy jego ojciec, tak jak Tommy, czuł, że nadchodzą-
ce nieszczęście było już blisko. Za każdym razem, kiedy wspominał ten moment, zastanawiał się czy on sam także będzie kiedykolwiek miał to podobne uczucie i podobną pogawędkę ze swym własnym synem. Davidson zaśmiał się sam do siebie. Jakaż to miał szansę na to, by mieć syna? Nie mógł nawet zapewnić sobie wystarczająco długiego czasu pobytu na brzegu, żeby znaleźć sobie żonę. Być może, nie za bardzo się starał. Być może żadnej nie chciał. A może w duchu tak bardzo chciał uniknąć takiej właśnie rozmowy, że zrobiłby wszystko dla zapobieżenia temu, by się wydarzyła, włączając w to swój własny ożenek. Poszukiwanie jakiejś kochającej osoby, nawet sporadyczne, stało się już chyba sprawą przeszłości.

Pukanie do drzwi wytrąciło Davidsona z toku jego myśli. Mike Young wszedł bez czekania na odpowiedź.

- Przepraszam panie kapitanie, że pana niepokoję, ale sądzę, że pragnąłby pan to wiedzieć. Zmienili kierunek. Są teraz na kursie zero-zero-pięć.

Rozdział Osiemnasty

Baza Gonzo. USNS George Washington CVN-90

03:26 czasu lokalnego (23:26 GMT)

Konradmiral Bill „Lucky” Lodgers stał na mostku flagowym, o jedno piętro wyżej od głównego mostka, obserwując start dwóch *Vikingów* ASW S-3G, wysyłanych dla bacznej obserwacji najnowszych gości, kiedy marynarz przyniósł kolejny komunikat. Był to już trzeci w ciągu piętnastu minut.

ZO31012ZOC

OD: PHILADELPHIA DO: CINCARA //P00002//

PROSZĘ O ZEZWOLENIE NA WYJŚCIE I WCZESNY KONTAKT
Z NASZYMI GOŚĆMI.

DAVIDSON.

KONIEC...

Marynarz wyszedł, a Lodgers położył depezę na biurku i otworzył jedno z dużych okien z prawej burty. Spojrzał w dół, tam, gdzie księżyc na nowiu tańczył tysiące małych kroczków na falach leżącego poniżej oceanu, w dół aż do głębin, gdzie *Philadelphia* oczekiwała na zatwierdzenie swego wkroczenia do akcji. Czy mógłby czymś uzasadnić powstrzymanie Davidsona i jego ludzi przed osłanianiem *Grupy* tak właśnie, jak najlepiej potrafią? Wyobraził sobie Harry'ego Davidsona, siedzącego przy stole z mapami, w ciszy, ale z niecierpliwością czekającego na odpowiedź. Na pewno nigdy nie pozwoliłby swoim ludziom dostrzec, że zapalił się do czegoś, albo że jest czymś zniecierpliwiony, ale znając Davidsona tak dobrze jak go znał, Lodgers mógł prawie widzieć ten błysk w jego oku, pojawiający się w niecierpliwym oczekiwaniu na ruszenie w pościg. Nie, Davidson nie wykazywał czegokolwiek, co można by przyjąć za oznaki jego podniecenia. To raczej były oznaki ochoczej akceptacji swej odpowiedzialności za zapewnienie ochrony admirałowi. Jak mógł odmówić mu podjęcia tego zadania, które było tuż pod ręką?

Kiedy bryza i słone powietrze wypełniły mu nozdrza pomyślał o rozmowie, którą odbył przed opuszczeniem gabinetu admirała Waltera.

- Bill, tu są twoje zapieczętowane rozkazy. Będę miał więcej spotkań z Gerry Tysonem i jestem pewien, że kiedy raz skończymy z oczyszczaniem z min, damy ci zgodę na wejście do Zatoki. Pamiętaj, że ci Irakijczycy mają wielką chętkę ruszyć na swoich kmiotków z południa i choć zamknęliśmy na razie ich przestrzeń powietrzną, mogą mimo wszystko znów spróbować czegoś głupiego. Jeżeli jest się zagrożonym, to trzeba oczywiście chronić granice. Ale dopóki stosownie cię nie powiadomimy, twoja postawa musi pozostać jedynie defensywna, przynajmniej na razie.

- Wygląda na to, że przed nami pracowity okres, Sandy.
- Tak, więc lepiej trzymaj rękawy podwiniete, na wszelki wypadek.
- Nie martw się, będziemy mieli oczy otwarte.
- No to powodzenia, Bill - powiedział Walters wyciągając rękę.
- Dziękuję, mam wrażenie, że będziemy go potrzebowali. - Lodgers wymienił ze swym szefem uścisk dłoni i ruszył w stronę drzwi.
- A mimo wszystko, chciałbym ruszyć z tobą.
- Wiesz co Sandy, ja też tego bym chciał. Do zobaczenia.

Lodgers ponownie skupił uwagę na przepływającej w dole wodzie. Dokonywał przeglądu swoich wrażeń, jak gdyby chciał odtworzyć to uczucie jakiegoś niepokoju, którego doświadczył w gabinecie admirała Waltera. Ale teraz nie odczuł żadnego.

- Panie admirale? - To był obsługujący go kapral piechoty morskiej Billings, z gorącą kawą.

- Dzięki - powiedział Lodgers, ujmując kubek w złączone dłonie. Zaczaj wolno popijać kawę, obserwując jak odległe światła wybrzeża Omanu, w wyniku tych ciągłych, okrężnych poruszeń okrętu, podejmowanych dla utrzymania stałej prędkości przepływu powietrza nad pokładem startowym, wędrują teraz długim łukiem nad dziobem i w prawo.

Billings odsunął się, robiąc miejsce dla kapitana Brada Gumej'a, ogromnego mężczyzny, który wchodząc na mostek admirała z łatwością wypełnił sobą całe drzwi.

- Panie admirale, Davidson jest teraz wprost na południe od nas, w odległości około ośmiu mil i ciągle prosi o zezwolenie na zbliżenie się do tych czterech kontaktów. Melduje, że Rosjanie zmienili kurs na zero-zero-pięć i wciąż wyraża chęć przechwycenia ich, zanim podejda zbyt blisko.

- Czy jest coś od tych z ASW?
- Tak. Wysłali im około pięć minut temu budzenie telefoniczne kilkoma sygnałami Sonaru.
- Czy przekazałeś to wszystko admirałowi Swansonowi?
- Tak jest.
- No i co sądzisz, Brad?
- Wiem, że została nam tylko jedna łódź, sir, ale w mojej ocenie to jest dokładnie ta sytuacja, w której właśnie potrzebujemy pomocy łodzi podwodnej. Jeżeli oni podejda do naszego dziobu na pięćset jardów i wynurzą się, może będziemy musieli wykonać jakiś poważny manewr. A więc, kiedy ciągle jeszcze mamy trochę czasu, czemu by nie dać *Philadelphii* możliwości do działania i rozejrzenia się? Możemy się przynajmniej zorientować jakie są ich zamiary, zanim nie dostaną się zbyt blisko.
- No tak, ale co będzie, jeżeli się rozdziela? Przecież wtedy będziemy potrzebowali *Philadelphii* właśnie tutaj.
- Być może, ale jeżeli mieli w planie otoczyć nas i pograć sobie w jakąś grę dla wywołania napięcia, to nie sądzę, żeby wówczas mogli przybywać w tak rozproszonej formacji jak to właśnie robią. Wiedzą, że mamy ich w naszym polu widzenia i chociaż prawdopodobnie wiedzą, że mamy tylko jedną łódź podwodną, nie sądzę, żeby mieli zamiar czegoś próbować. Przebieg całej ich akcji, jestem pewien, został uzgodniony na długo przedtem, zanim pozbyliśmy się *Louisville*. Oczekują po nas, że będziemy roztropni i nadmiernie ostrożni, więc zrobmy coś nieoczekiwanego. Wyślijmy Harry'ego, żeby sobie z nimi pogadał. Możemy też uprościć całą sytuację w naszym rejonie, oddalając się trochę od nich i idąc z pełną szybkością dalej na północ do wejścia do Zatoki.
- No dobrze Brad, zgadzam się, ale upewnij się, że Davidson będzie trzymał się z dala od kłopotów. Zdobył świetną reputację zachowywaniem spokoju w czasie konfrontacji, ale niepokoi mnie ten stosunek czterech na jednego.
- Mam do niego zupełne zaufanie, Bill, a poza tym, z dwoma *Wikingami*, gotowymi w każdej chwili do wkroczenia, jakikolwiek posunięcie z ich strony oznaczałoby pewne nieszczęście.
- Mam nadzieję, że masz rację. - Kapitan Gurney zostawił admirała ponownie jego własnym myśлом. Teraz, kiedy Lodgers jeszcze raz wyglądał przez okno, zdał sobie jednak sprawę z obecności jakiegoś irytującego wrażenia, złego przeczucia, którego kilkakrotnie doświadczał już przedtem.

Ciągle miał jeszcze czas, aby cofnąć rozkaz, ale czemu? Z powodu przecucia? Ponieważ to nieokreślone, dręczące wewnętrzne odczucie usiłowało mu coś powiedzieć? Wiele dobrych decyzji podjęto na podstawie przecucia. A może taka konfrontacja mogłaby właśnie zapewnić pewien wgląd w zamiary przybyszów, a on sam mógłby na tej podstawie podjąć działanie wcześniej, niż później. Lodgers zamknął okno i powrócił do swego biurka, ciągle sącząc swoją kawę. Podniósł interkom, łączący go z głównym mostkiem.

- Tak, panie admirale?

- Wszystko w porządku?

- Tak jest, sir. Trzydzieści pięć węzłów, widoczność osiem mil, wszystko spokojne, panie admirale.

- Dziękuję, komandorze. - Delikatnie odłożył słuchawkę telefoniczną na widełki i wyszeptał do siebie - to jest prawda, co mówią. Na szczycie z pewnością jest bardzo samotnie.

Mimo, że miał zobaczyć *Philadelfię* ponownie, przez resztę swojego życia miał przeklinać dzień, w którym podjął decyzję jej wysłania. Zanim mógł rozmawiać ponownie z kapitanem Harrym Davidsonem, miał spędzić na pokładzie *George Washingtona* trzy i pół najbardziej wstrząsających godzin swego życia.

Rozdział Dziewiętnasty

Północno-wschodni Iran. Rhinestone

03:38 czasu lokalnego (23:38 GMT)

Barton ponownie zatrzymał swego jeepa. Czekał i nasłuchiwał. Nocne powietrze było spokojne, ale przy tej ciągle skrzypiącej rurze wydechowej, nawet głosy ptaków nie docierały do niego. Za każdym razem kiedy się zatrzymywał, wyłączał silnik i nasłuchiwał. Albo jego urządzenie ostrzegawcze było wadliwe, albo posuwali się za nim bez użycia silnika. Podbiegł kawałek drogą, żeby zajrzeć za ostatnie wzniesienie, ale żadnych świateł, żadnego hałasu... nic. Pobiegł z powrotem do *swego jeepa*, umieszczone w tyle koło zapasowe uniósł z jego osady i wyciągnął nadajnik. Szybko odchodząc w bok na jakieś pięćdziesiąt stóp, wcisnął urządzenie w grunt, wyciągnął antenę i włączył je. Po powrocie *do jeepa* zwolnił hamulec ręczny i pozwolił, by koła poddały się sile grawitacji i zaczęły toczyć się w dół pochyłości, jaką miał przed sobą. Po upływie około minuty tego cichego zjazdu, Barton wrzucił wysoki bieg, pozostawiając światła zgaszone i kiedy wóz nabrał szybkości trzydziestu mil na godzinę, pozwolił, by silnik zaskoczył. Po pięciu minutach ostrych skrętów w lewo i w prawo dotarł do niziny i odjechał na około dwie mile od urwiska. Tu zjechał na pobocze drogi, zakręcił, ustawiając przód wozu w kierunku nadajnika i wyłączył silnik. Pstryknął kilka włączników i elektryczny silniczek ożył miękkim, jęklwym dźwiękiem, podnosząc poziomą rurę z miejsca jej zamocowania na lewym przednim błotniku. Włączył następny włącznik i rura obróciła się w lewo i w górę, w kierunku, z którego przyjechał. Rura jakby zawahała się na moment, wędrowała w górę i w bok, ale kiedy znalazła swój cel, zatrzasnęła swoje mocowania. Barton podniósł słuchawkę radiową i zaczął mówić szybko po angielsku.

- *Rhinestone do Black Beauty. Rhinestone do Black Beauty.*

Natychmiast jego głośnik zatrzeszczał odpowiedzią.

- Tu *Blue Note*. Słuchamy, *Rhinestone*.

- Nadciągający wiatr w kierunku zachodnim o sile dziesięciu stopni. Silne wiatry mogą spowodować wiele zniszczeń. Za nim idzie układ wysokiego ciśnienia. Temperatury w połowie osiemdziesiątych. Front

atmosferyczny z towarzyszącym bardzo wysokim ciśnieniem spodziewany w waszym rejonie w ciągu trzech godzin. Będę sprawdzał tak daleko na zachód, jak to tylko możliwe. Obserwuję pilnie. To wszystko.

- *Black Beauty, Blue Note*, wyłączamy się.

Barton sięgnął w dół i odpalił detonator. Rura powróciła do swego poprzedniego położenia i Barton odjechał *jeepem* od skalnej ściany w kierunku odległego, długiego rzędu świateł, które kontynuowały swój dudniący ruch na północ w rozświetlonym księżycową poświatą kurzu północno-zachodniego Iranu. Choć miał świadomość, że jedzie ku zagrożeniu, nie wiedział, że będzie stale śledzony aż do chwili, kiedy oddali się od swojego *jeepa* po raz ostatni, ze złamaną nogą i niemal śmiertelnie wykrwawiony.

Rozdział Dwudziesty

Zatoka Perska. Lot dyżurny AWACS 24

02:46 czasu lokalnego (23:46 GMT)

- Panie pułkowniku?
Stanford podniósł wzrok znad swojego biurka.
- Tak, Frank?
- Ten koreański pasażer stale utrzymuje swój kierunek.
- Jak duże jest odchylenie od kursu?
- No cóż, sir, jego kurs wynosi zero-dziewięć-cztery, podczas gdy powinien być ponad jeden-sześć-dziewięć.
- Dobra, dość tego. Kapralu Willis?
- Tak jest, sir?
- Odszukajcie częstotliwość, której używa ten Koreańczyk i powiedzcie im, że za około dwadzieścia minut, nie, zróbcie z tego dziesięć minut, będą lecieć w przestrzeni powietrznej Iranu. Muszą wykonać zwrot na południe na kurs jeden-osiem-zero na trzydzieści minut, a następnie skrócić na wschód. Jasne?
- Tak jest, sir - odpowiedział Willis.
- Panie pułkowniku? - głos sierżanta Jacka Berensona zabrzmiał trochę niespokojnie.
- Tak?
- Właśnie otrzymałem wiadomość od *Rhinestone*, sir.
- Chwileczkę. - Stanford wstał i przeszedł do miejsca w którym siedział Berenson, wziął od niego kartkę, przeczytał ją szybko i wręczył mu ją z powrotem. - Dobra, proszę to przekazać.
- Tak jest, sir. Czy życzy pan sobie, żebym powiadomił *Rhinestone'a*, że oni już coś zorganizowali?
- Nie, Johnny. Jestem pewien, że on wie. A poza tym, ma pewnie pełne ręce roboty.
- Sir, nie mogę wywołać Koreańczyka - powiedział Willis.
Pułkownik poszedł na tył samolotu, do ostatniego rzędu techników.
- Co masz na myśli, mówiąc, że nie możesz się połączyć?

- Sprawdziłem nasze instrukcje, sir. Jak pan wie, jest jedna częstotliwość podstawowa i pięć innych możliwych, którymi powinni się posługiwać w zależności od wysokości i położenia. Próbowałem wszystkich i nic.

- Spróbuj ponownie - rozkazał Stanford.

- Koreański KA534 z Kairu, czy słyszysz mnie, odbiór? - Podkreślił głośność małego głośnika, który miał przed sobą, tak by jego szef mógł słyszeć. - Nic poza zakłóceniami. To wszystko, co otrzymuję na wszystkich częstotliwościach. Albo ich radio jest uszkodzone, albo śpią tam przy włącznikach, albo mają je w jakimś innym ustawieniu, o którym nie wiemy.

- Ile czasu zajmie wam sprawdzenie wszystkich możliwości, Willis?

- Dziesięć minut, może mniej. Może pilot opuścił kabinę, a drugi pilot nie zna angielskiego.

- To by mnie też nie zdziwiło, ale nawet gdyby nie wiedział, jak się to mówi po angielsku, powinien potwierdzić odbiór nawet po koreańsku. A poza tym, musieli przecież zauważyć, że ich wskaźniki włączyły się. Próbuje nadal.

- Tak jest, sir - odpowiedział Willis.

- Panie pułkowniku?

- Tak, Frank?

- Jeżeli Koreańczycy będą nadal lecieć tym kursem, na którym są obecnie, to wyjdą prosto nad wyrzutnie *Silkwormów*, które Irańczycy ułokowali tuż przy cieśninie.

- Dziękuję, Frank. To wszystko, co chciałem usłyszeć. Andersen? - Stanford spojrział w kierunku głównego pulpitu telekomunikacyjnego.

- Sir?

- Słuchałeś tego wszystkiego?

- Tak jest, sir. Połączyłem się teraz z ich głównym biurem w Seulu.

- Dobrze. Może tam ktoś będzie mógł nam powiedzieć, czy ich chłopaki w ogóle używają radia. Mamy około trzydziestu minut, zanim Koreańczycy naprawdę znajdą się w kłopotcie, a więc ciągle jeszcze jest czas na to, żeby ich przestrzec. Jeżeli coś przyjdzie wam do głowy, dajcie mi znać. Nie mam zamiaru mieć tu zabłąkanego Koreańczyka, który daje tym idiotom okazję do zrobienia tu prawdziwego bałaganu! I niech ktoś połączy mnie z generałem Wilsonem!

Rozdział Dwudziesty Pierwszy

Cieśnina Ormuz. Złota Foka

03:52 czasu lokalnego (23:52 GMT)

Złota Foka przebyła cieśninę w dobrym czasie i była teraz w zanurzeniu. W międzyczasie *MUT-y*, z *Diggerem* i *Dougiem* na pokładzie, przebyły już spory dystans mimo, że musiały zmagać się trochę z przyływem. *Digger* nadal płynął przez środek cieśniny ku *Sabalan*, podczas gdy *Doug* zbliżał się do *Sahand*. Kiedy *Doug* zaczął się wynurzać, gęsty olej, nagromadzony tu w wyniku ożywionego ruchu tankowców, którego ten tak ceniony obszar wodny doświadczał przez lata, zaczął oblepiać jego maskę. Kiedy jego głowa wynurzyła się na powierzchnię, wyłączył silnik i zdjął maskę, żeby ją przetrzeć. W odległości około stu jardów, wypiętrzająca się w mgle wczesnego poranka, stała *Sahand*.

Starzejąca się irańska fregata, zakupiona jeszcze przez Szacha przed około piętnastu laty, widziała wiele akcji w czasie II Wojny Światowej. Chociaż w zakresie osiągnięć technicznym jej wiek stawał się już zauważalny, zewnątrz, otoczona masą świateł, dumnie prezentowała nową powłokę szarej farby, tego typowego koloru okrętów liniowych. *Doug* rzucił jeszcze jedno szybkie spojrzenie, założył z powrotem maskę na głowę, ponownie uruchomił *MUT-a* i ruszył w kierunku steru fregaty. Choć malowanie nie wyglądało na starsze, niż kilkutygodniowe, *Stickery*, które sprawdził przed wypłynięciem, miały ten sam kolor co kadłub. Skupił się na najbliższym celu i przebiegł w myślach całą procedurę, usiłując wyobrazić sobie wszelkie problemy, przed którymi mógł stanąć: trafić na jakiś wyraźny prąd... sterować blisko burty na poziomie powierzchni i bez uderzenia w kadłub... sięgnąć po pakunek na piersiach... wyciągnąć go... włączyć... przymierzyć go do kadłuba... poczekać na falę, która podniesie mnie wyżej i sięgnąć w górę, by umieścić *Stickera* w miejscu, którego nie dosięga woda.

Cień przed nim zaczął przybierać konkretne kształty i *Doug* wykonywał teraz precyzyjnie całą procedurę. Kiedy miał właśnie sięgnąć ponad linię wodną i umieścić urządzenie blisko śruby napędowej, głośne dzwonienie spowodowało, że o mało go nie upuścił. W tym samym momencie, kiedy

Doug miał właśnie przytwierdzić magnetyczne podłoże miny do zewnętrznej powierzchni kadłuba, ktoś postanowił zastartować jeden z silników *Vosper*. Doug ocenił sytuację, poczekał, aż zwolni się jego tętno, sięgnął w górę i umieścił minę w miejscu, gdzie krzywizna kadłuba była już łagodna. No tak, z pierwszą poszło łatwo. Prąd odpychał go od kadłuba. Powtórzenie całej procedury po drugiej stronie okrętu wymagało nieco większej koncentracji. Ukończył jednak całe zadanie bez żadnych incydentów, spojrział na zegarek, sprawdził swoje położenie i odpłynął przez cieśninę w kierunku nadbrzeżnych urwisk, gdzie przy odrobinie szczęścia, reszta *Złotych Fok* wkrótce zacznie otwierać swój cały interes.

Rozdział Dwudziesty Drugi

Stacja Gonzo. USNS Philadelphia 721

03:59 czasu lokalnego (23:59 GMT)

- Davidson ustawił *Philadelfię* na głębokości czterystu stóp, o tysiąc jardów na wprost przed czterema rosyjskimi łodziami i wezwał załogę do zajęcia stanowisk bojowych. Zabrzmiały gongi i dodatkowe grupy marynarzy przybyły w przeciągu sekund na swe stanowiska, chwytając w pośpiechu należyne ekwipunek.

- Mostek, tu *Sonar*.

- Tu mostek.

- Nie jestem całkowicie pewny, sir, ale myślę, że możemy ponownie spróbować.

- Dobrze.

- Czy mógłby pan włączyć ten dodatkowy monitor, który chief zainstalował przed panem i dać mi kilka chwil czasu? Spróbuję mieć coś dla pana za około pięć minut, panie kapitanie.

Davidson spojrział na pusty ekran dużego monitora na konsoli przed sobą. - No to się pospiesz. Jeśli kiedykolwiek miałyby zdarzyć się sytuacja, w którym ten twój sprzęt mógłby okazać się przydatny, to jest to właśnie teraz.

- Tak jest, sir.

- Panie kapitanie?! - zabrzmiał okrzyk pierwszego pomocnika *Beagle'a*.

- Tak, Thompson, słyszę.

- Zwalniają do piętnastu węzłów.

- Stale w tym szyku?

- Tak jest, panie kapitanie. Czwórka rozstawiona na przestrzeni dwustu jardów. Stale zwalniają. Do dziesięciu węzłów. Stale zwalniają.

- Chief, dajcie mi dziesięć węzłów i ster trzydzieści w prawo. Chcę, żeby moje wyrzutnie rufowe były skierowane na tą bandę.

Young przysunął się bliżej do swego kapitana. - Panie kapitanie, a co z innymi?

- Jeżeli zawrócą i odpłyną, to dobrze. Ale jeśli zaatakują, chcę być

ustawiony w prawidłowym kierunku. Pozwolę, żeby tą resztą, która zawróci, zajęły się *Vikingi*. Załadować przednie i tylne wyrzutnie. Chcę być całkowicie przygotowany.

Kiedy Young głośno przekazywał te rozkazy, dowódca zażądał teraz dwudziestu stopni w prawo na sterze z taką jedynie sterownością, by, wykonać zwrot o 180 stopni bez zbytejnej utraty tej pozycji blokującej, którą obecnie zajmowali.

- Mostek, tu *Sonar*.

Davidson sięgnął do przycisku. - Mostek!

- Sir, trzy łodzie zatrzymały się.

- Czwarta?

- Łódź prowadząca ciągle robi dziesięć węzłów.

- Kierunek?

- Ten sam, sir, zero-zero-pięć.

- Odległość?

- Pięćset jardów i zmniejsza się.

- Jakies sygnały, że uzbrowili którąś ze swych wyrzutni?

- Żadnych, sir.

- Beagle? Jesteś już gotowy z tym twoim podglądem?

- Prawie, sir.

- Dość tych „prawie”, puść wreszcie w ruch tą zabawkę.

- Tak jest, panie kapitanie. O, właśnie się pokazuje! - Wszyscy wokół stali teraz czekając na dalsze wydarzenia. Kiedy ich łódź zwracała się ciężko w prawo, Chief odliczał głośno stopnie zwrotu. Jego dokonanie zajęło dwie minuty.

- Wszystko stop.

- Wszystko stop, tak jest - zabrzmiała powtórka rozkazu. Odezwały się dzwonki potwierdzenia. Stali czekając przez dobrą minutę i właśnie, kiedy kapitan miał niecierpliwie sięgnąć jeszcze raz po interkom, ekran zamigotał życiem. Początkowo nic, poza jakimś chłamem i zniekształceniami. Ale w chwilę później, nagle, jakby kopnięty przez zdenerwowanego użytkownika, monitor buchnął pełnym obrazem sytuacji taktycznej. Teraz, na niebieskim tle pojawiła się biała sylwetka *Philadelphii*, zwrócona w stronę prawego dolnego rogu obrazu. Za nią, stale zbliżająca się, była widoczna czarna łódź najbliższego Rosjanina.

Davidson był pod wrażeniem. - Dobra robota, kapralu, weźcie pięćdziesiąt doliczów z podręcznej kasy. No a gdzie są inne?

- Jeszcze chwilkę, sir. Teraz pójdzie sytuacja taktyczna. - Powoli punkt

widzenia zaczął się zmieniać, a czarne i biała łodzie podwodne przemieściły się wokół, bez zmiany swoich pozycji względem pozostałych. Obraz przedstawiał teraz widok czołowy. Do dwóch sylwetek na przedzie dołączyły teraz trzy inne, czarne, w dalszej odległości.

- Wspaniała robota, Beagle. Co mam do wyboru?

- Proszę zdecydować, panie kapitanie. Widok z góry? - Obraz graficzny przesunął w koło pięć łodzi i obrócił je tak, by widziano je z góry. - Taktyczny odwrócony? - Ponownie obraz przekręcił się w koło, by spojrzeć spod rufowych wyrzutni straży tylnej. - Gdziekolwiek pan sobie życzy, sir.

- Dajcie mi jeszcze raz widok czołowy, dobrze?

- Tak jest, sir. Tylko jeszcze jedno, panie kapitanie.

- Tak?

- Ten obraz, chociaż dokładny, jest opóźniony. To nie jest to, co system *GPS*, gdzie obrazy są opóźnione o chwilę lub dwie. Tu informacja jest oparta na połączeniu danych z *SAPS*, *Sonarów* i całego naszego pozostałego wyposażenia, rozpoznającego środowisko, temperaturę wody i inne dane, a następnie uśredniającego 10000 na sekundę końcową informację. Dlatego system może działać z opóźnieniem aż 15 do 30 sekund.

Zanim kapitan zdołał odpowiedzieć, zgłosił się ponownie Thompson.

- Mostek, tu *Sonar*.

- Thompson?

- Przepraszam, że przerywam, sir, ale czy mógłby pan spojrzeć na to, co ja tu widzę: łódź prowadząca podchodzi bokiem na około pięćdziesiąt stóp od naszej lewej burty.

- Dziękuję, *Sonar*. Jaką ma prędkość?

- Dziesięć węzłów, panie kapitanie.

- Bardzo dobrze.

- *Sonar*, tak jest.

- Chief, daj mi dziesięć węzłów i trzymaj równo z nimi. Nadzór Ogniowy, dajcie mi namiary ogniowe na tango dwa-trzy, dwa-cztery i dwa-pięć. Czy tylne wyrzutnie załadowane?

- Tylne wyrzutnie załadowane i uzbrojone, tak jest - potwierdzono z Nadzoru Ogniowego. Bob Danwall powrócił na swoje siedzisko za stanowiskiem sterowym i zwiększył prędkość *Philadelphii* do pięciu węzłów.

- Ster zero-zero-pięć.

- Steruję zero-zero-pięć, tak jest, panie kapitanie.

- Natychmiastowa cisza. - Davidson dał znak Danwallowi, żeby przejął mostek, a sam z Yungiem poszedł naprzód, do Sonaru, gdzie bok przy boku siedzieli Beagle i Thompson.

Pierwszy odezwał się Beagle, kręcąc głową, jakby nie mógł całkiem uwierzyć w to, co słyszy. - Sir, słyszę jak oni rozmawiają.

- Dobrze. Możesz dać to na głośnik? - Beagle włączył system audio. Początkowo nie było słychać niczego poza dziwnymi, falującymi i pełnymi szumu dźwiękami, ale następnie usłyszeli całkiem czysto jakiś głos.

- To po angielsku, sir - powiedział Thompson, cokolwiek zdziwiony. - I oni nie rozmawiają między sobą, oni mówią do nas.

- Hej, tam - powiedział głos. - Czy mnie dobrze słyszycie? - Język był angielski, ale akcent niewątpliwie rosyjski.

Głos Davidsona był miękki, ale nagły.

- Kapralu, nagrywajcie to wszystko, dobrze? Wracam z powrotem żeby dostać się tak blisko lewej ściany, jak tylko można. Słyszę nie tylko jego, ale także i innych członków ich załogi.

- Oh, będzie pan ich słyszał całkiem dobrze, panie kapitanie, odpowiedział z uśmiechem Beagle. Young postępował tuż za kapitanem. Ruszyli do tylnej części mostka i stali tu przez chwilę.

Davidson wziął głęboki wdech i odezwał się znacznie głośniej, niż mówiło się zwykle na pokładzie łodzi podwodnej.

- Hej, tam, słyszycie mnie?

- Czy mówię do kapitana Barrow czy do kapitana Davidsona?

Davidson odwrócił się, posłał swemu koledze zdziwione spojrzenie i szepnął: - czy on mówi poważnie? - Young wzruszył ramionami. Davidson ponownie wziął głęboki wdech i odwrzasnął z powrotem.

- A kto jest, że tak powiem, przy telefonie?

- Nie ma potrzeby krzyczeć panie kapitanie. Słyszemy pana zupełnie dobrze, dziękuję.

Davidson szepnął ponownie: - za kogo ten facet się uważa? Pojawił się przed nim Beagle. - Panie kapitanie - powiedział bardzo cicho, - pozostałe trzy łodzie ruszyły za nami.

- Tym samym kursem?

- Tak jest, sir. Tym samym kursem i tą samą prędkością.

Davidson skinął głową i kiedy Beagle miał właśnie odejść, jego dowódca chwycił go za ramię i zapytał miękko: - czy słyszysz co tam się dzieje?

- No cóż, dziwne, że pan o tym wspomniał, sir, ale zdaje mi się, że słyszę raz na jakiś czas, jak jeden albo dwóch z nich śmieje się.

- Śmieje się?
- Tak jest, sir, jakby to wszystko było świetnym kawałem. - Davidson ponownie skinął głową i Beagle powrócił na swoje stanowisko.

Jeszcze raz odległy głos zadał pytanie.

- Czy ma pan jakiś problem, panie kapitanie?

Davidson postanowił wydać się odprężonym.

- Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

- A pan nie odpowiedział na moje - nadeszła odpowiedź.

- Nazywam się Barrow - powiedział z przekonaniem Davidson.

- Dobrze, panie kapitanie Barrow, ja nazywam się Dubrownymj.

- Co pan i pańscy koledzy robicie w tym obszarze, panie kapitanie Dubrownymj?

- Jesteśmy tu, żeby dokończyć pewne ćwiczenie. Czy ma pan z tym jakiś problem?

- Tak, rzeczywiście mamy. Wie pan doskonale, że mamy tu grupę z lotniskowcem, ulokowaną w Zatoce Omańskiej dla ochrony naszej żeglugi.

- Tak, wiemy o *Grupie Szóstej*. Ale co to ma wspólnego z nami?

- Wasz kierunek i kurs wskazuje, że zamierzacie otoczyć naszą grupę.

Jak pan wie, to jest manewr, który ma swoje ograniczenia.

Tym razem odgłos śmiechu słychać było już zupełnie wyraźnie.

- Ha, ha, panie kapitanie, co oznacza to „nie, nie”?

- Panie kapitanie Dubrownymj, pan wie doskonale co mam na myśli.

My nie zbliżamy się bardziej niż na jedną milę do waszych okrętów, a wy zwykle nie podchodzicie bliżej niż na pięć do naszych.

Chociaż czoło Davidsona było nadal spokojne i suche, czoło komandora Younga wyglądało, jakby nadrabiało za nich obydwu.

- Wie pan równie dobrze jak i ja, że zbliżaliśmy się już do siebie nawzajem wiele razy w przeszłości i to na bardzo bliską odległość.

- Tak, ale to było między takimi jak my i nie dotyczyło okrętów na powierzchni.

- Kapitanie Barrow, przecież pan też zbliżył się na milę do naszych okrętów.

Davidson zaryzykował. - Tak, ale, o ile pamiętam, wy też tam byliście żeby dotrzymać mi towarzystwa.

- No więc co za różnica?

- No, tym razem jesteście tu we czwórkę. I to nas właśnie niepokoi.
- No tak, szczególnie że tu jest tylko jeden z was. A dokąd popłynął ten wasz drugi, panie kapitanie?

Davidson poczuł się rozbrojony i uśmiechnął się do komandora. - No nie, najchętniej wyrzuciłbym faceta za burtę. - Odwrócił się, żeby kontynuować dialog. - Panie kapitanie Dubrownij, czy pan oczekuje ode mnie że-
bym uwierzył, że pan i trzy inne łodzie zdecydowaliście się, tak od ręki, wybrać naszą lokalizację na przeprowadzenie sobie jakiegoś ćwiczenia?

- Właśnie tak.

- A gdyby tak odwrócić role i to ja chciałbym przeprowadzić manewry blisko jednego z waszych lotniskowców, czy pan by mi pozwolił je kontynuować?

- Dobre pytanie, panie kapitanie, ale to są wody międzynarodowe i my jednak będziemy kontynuowali nasze działania. Coś jednak panu powiem. Jesteśmy teraz przyjaciółmi, nieprawdaż? Chcę powiedzieć, że nie ma już przecież tarć między naszymi dwoma narodami. Nasze zamiary są ściśle pokojowe. Nie podejźmy zbyt blisko do waszego lotniskowca, ale dokończymy to, co przybyliśmy tu wykonać i wtedy spokojnie odejdziemy.

- Jak blisko zamierza pan podejść do naszego lotniskowca, panie kapitanie Dubrownij?

- Nie wiem na pewno, może na dwa tysiące metrów, może na jeden.

- Aha, nie może mi pan powiedzieć dokładnie.

- Przykro mi, panie kapitanie, to wszystko co mogę panu powiedzieć.

Wie pan, mam swoje rozkazy.

- Tak, a ja mam swoje. Będę panu towarzyszył w tym treningowym ćwiczeniu.

- Wolelibyśmy, żeby pan tego nie robił, ale znowu, mówiąc uczciwie, przypuszczam, że my także nie możemy pana powstrzymać. - I ponownie z poza grodzi dał się słyszeć śmiech, co zaczęło działać Davidsonowi na nerwy.

- Bardzo dobrze. Pójdziemy za wami i będziemy obserwować, ale, panie kapitanie, niech pan robi wszystko, żeby trzymać się ponad jedną milę od naszego lotniskowca, bo inaczej będę zmuszony interweniować.

- Interweniować? Ha ha. Nie będzie pan musiał interweniować, panie kapitanie. Nie zamierzamy zrobić panu i pańskim kolegom żadnej krzywdy, tak jak pan, jestem tego pewien, nie zamierza uczynić żadnej krzywdy nam. Miło mi było pana poznać, panie kapitanie Barrow.

Tym razem przyszła kolej na załogę *Philadelphii*, by wybuchnąć śmiechem, ale szybko powróciła cisza po szybkim spojrzeniu Davidsona, który spokojnie odwrócił się do Younga i powiedział - Mike, chcę żebyś szedł za tą beczką brei tak blisko, jak tylko możesz. Ale najpierw podnieś nas na tyle wysoko, żeby powiadomić admirała. I pospiesz się. Nie chcę, żeby ten dowcipniś wycinał jakieś zwariowane numery wprost na naszych oczach i żeby to mu uszło na sucho. Mam zamiar zamienić parę słów z kapralem Beagle. Chcę, żeby obserwował tego faceta jak jastrząb.

- Tak jest, panie kapitanie.

Rozdział Dwudziesty Trzeci

Washington DC. Pentagon

18:12 czasu lokalnego (00:12 GMT)

Admirał Pat Swanson, odświeżony i rześki po prysznicu i zmianie mundur, powrócił do swego gabinetu. Zapalił światła, zamknął za sobą drzwi i właśnie wieszal swoją czapkę i szalik w swej małej, wnękowej szafce, kiedy wszedł John Latchkey, niosąc filiżankę świeżej kawy.

- Odebrałem właśnie wiadomość od *Rhinestone*, sir.

- Dobra wiadomość czy zła? - zapytał Swanson, wracając do swego biurka.

- I dobra i zła - odparł Latchkey, z większym jednak naciskiem na to drugie. - Potwierdza on nasze rozpoznania satelitarne o przemieszczaniu pozycji ich jednostek obrony pogranicza. Treść jego raportu jest następująca: „Największy konwój widziany od jakiegoś czasu. Ciężka, powtarzam, ciężka artyleria, do ośmiu tysięcy żołnierzy, zgromadzonych na jego kierunku, około trzech godzin od granicy z Irakiem”. No i jest jeszcze jedno. *Rhinestone* jest śledzony.

- Czy to coś poważnego?

- Jeszcze nie, ale przez te sześć miesięcy, które tam spędził, teraz wspomniął o tym po raz pierwszy.

- Gdzie się skierował?

- Na wybrzeże, przypuszczalnie gdzieś w okolicę Hendijarn.

- Mamy tam coś?

- Nie za bardzo, sir. Najbliższa możliwa pomoc to *Pave Hawk* na *La Salle*.

- No dobrze, postarajmy się coś wybrać, John, coś, co potrafi szybko tam podejść i równie szybko odpłynąć. A w międzyczasie daj im znać i upewnij się, że będą w gotowości na wszelki wypadek.

- Tak jest, sir.

- Powiadom mnie, jak tylko będziesz coś miał, żebyśmy mogli dać mu znać, że możemy go stamtąd wydostać, jeżeli będzie to niezbędne. Polecałem go do tego zadania po tym, jak pracowaliśmy razem w Libii, więc mogę przynajmniej tyle zrobić, żeby zapewnić mu jakąś pomoc w potrzebie.

- Tak jest, sir - odpowiedział Latchkey i powrócił do swego gabinetu.

Swanson sięgnął po kubek. Kiedy ciepła kofeina przywróciła rumieńce jego policzkom, oczy Swansona powędrowały ku zdjęciu w ramkach, zajmującemu honorowe miejsce w narożniku jego biurka.

Służbowe mieszkanie admirała Swansona mieściło się w odległości jedynie kilku mil. Był zadowolony z tej bliskości, a do swego domu starał się jeździć tak często, jak tylko mógł.

Jego stała rezydencja znajdowała się w San Diego, w Kalifornii i pomimo długiej i uciążliwej drogi, którą trzeba było odbywać, żeby wrócić na zachodnie wybrzeże, podejmował jej trudy także najczęściej, jak tylko mógł. Choć pomieszczenia jego rancza, umiejscowionego na szczycie nadbrzeżnego uskoku wyciszyły się bardzo, kiedy jego dwie córki wyjechały na studia, a przed trzema laty, po śmierci jego żony, wypełniły się już tylko pustym milczeniem, ciągle jednak tęsknił za tym, by usiąść przy stole warsztatowym na werandzie, z widokiem na Pacyfik i kontynuować swoje hobby. Powrócił w myślach do swej ostatniej wizyty w domu.

Pokrywał wtedy plastikową warstewką kadłub i pokład, przystrajając swój trzymasztowy szkuner, wykonywany w skali jeden do pięćdziesięciu i przyrzekając sobie, że zanim następnym razem wyjedzie z domu, dokończy co najmniej żagle i takielunek masztów. Kiedy więc kierowca taksówki zadzwonił do drzwi, z ociąganiem wniósł model z ciepła popołudniowego słońca do wnętrza domu, zamknął drzwi na taras, chwycił swoją teczkę, włączył system alarmowy, rzucił ostatnie, długie, nieruchome spojrzenie na swój majstersztyk, w wyobraźni przesłał pocałunek żonie Dianie i wyłączył światła. Było tak, jak zwykł spędzać życie, mówiąc „do widzenia” temu czy innemu. A jeżeli nie mówił „do widzenia” swej rodzinie, którą opuszczał dla swej załogi i jeżeli nie był wcześniej witany okrzykami „Witaj znów w domu”, to działo się tak, po raz kolejny, z powodu służby.

Na biurku zadzwonił telefon, przywracając go do rzeczywistości o wiele szybciej, niż by sobie tego życzył. - Tu Swanson. - Kiedy słuchał głosu, rozwodzącego się o jakimś problemie międzyresortowym, dotyczącym finansowania i kredytów, jego wzrok padł ponownie na fotografię.

- Halo, halo. Panie admirale, czy pan tam jest? - zabrzmiało mu w uszach.

- Eh, tak, jestem. Co pan mówił? - Swanson odchrząknął i monotony głos dzwoniącego kontynuował rozmowę. Pat Swanson będzie mógł spełnić obietnicę, którą sam sobie złożył i skompletować takielunek w czasie

swego następnego wyjazdu do San Diego, lecz nie wcześniej, nim trochę więcej siwych włosów i parę nowych zmarszczek pojawi się w lustrze.

Rozdział Dwudziesty Czwarty

Zachodni Iran. Rhinestone

04:16 czasu lokalnego (00:16 GMT)

Major Barton miał teraz trudności z utrzymaniem swego *jeepa* na drodze. Silnik pojazdu, nieco niestandardowy, 380-konny V8, ciągnący 85 mil na godzinę po długim, wijącym się szlaku, prowadzącym do drogi 72 do Ahwaz, radził sobie dobrze z prędkością. To tylko nadmierne zainteresowanie Bartona tylnym lusterkiem powodowało, że od czasu do czasu koła zbaczały z drogi. Przed nim przetaczał się ogromny konwój ciężarówek, cystern i pojazdów opancerzonych, zmierzających w kierunku samego środka południowej granicy z Irakiem. Ich przyćmione światła reflektorów świeciły od lewej strony, światła stopów były widoczne już po prawej.

Jego plan dołączenia do konwoju, przewidywał późniejsze wykonanie gdzieś skrętu w lewo i skierowanie się w stronę wybrzeża. Był przekonany, że może zgubić swoich prześladowców, chyba że dysponowali jakąś ciężką bronią. Był świadom, że jeżeli tylko zwiększy dystans od nich do pięciu mil lub więcej, wtedy mogą mieć kłopoty z zatrzymaniem go. Gdyby tylko mógł znaleźć jakąś drogę na skróty do brzegu i zgubić ich na pustyni. Być może patrol, który napotkał na górze, zadzwonił i dokonał jakiegoś sprawdzenia, może jakiś wredny pracownik ochrony, szukając jakichś uciekinierów, natrafił na jego ślady. Ktokolwiek to był, z pewnością wziął go teraz na muszkę. Przez ostatnie dwadzieścia minut żółty migacz ostrzegawczy w jego *jeepie* kontynuował swoją pracę już bez przerwy.

Barton zatrzymał wóz około stu jardów przed skrzyżowaniem. Konwój, długi może na dwadzieścia mil, robiący około 25 mil na godzinę, poruszał się w zwartym szyku, co pozostawiało niewiele, albo nie pozostawiało jakiegokolwiek miejsca do wciśnięcia się w kolumnę. To może nieźle wyglądać z pewnej odległości, ale jest bardzo niekorzystne dla sprawnego poruszania się całego konwoju. Cały bowiem problem jest w tym, by poszczególne wozy, jadące w konwoju, zachowywały między sobą pewną równą odległość. Wówczas, kiedy dowódca konwoju wyda rozkaz zatrzymania się, wszystkie wozy mogą zatrzymać się praktycznie jednocześnie. I na odwrót, kiedy pada rozkaz startu, wszystkie one mogą swobodnie ruszyć,

praktycznie równocześnie. Nie ma więc opóźnienia w starciu tylnych wozów w stosunku do wozów prowadzących. Zapobiega to występowaniu ruchu wahadłowego konwoju, przypominającego ruch węża, którego przednia część ciała rusza, zanim jego ogon zacznie nadganiać stracony dystans.

Barton dostrzegł po lewej stronie większy niż zwykle odstęp między dwiema ciężarówkami, zbliżającymi się do skrzyżowania, gdzie jego *jeep* czekał cierpliwie. Włączył więc bieg i wjechał na skrzyżowanie dokładnie wtedy, kiedy pojawiła się ta okazja. Ścinając nieco zakręt, udało się Burtonowi i jego oponom *Goodyear* wykonać na prędkości około 30 mil dwudziestostopowy uślizg w prawo, prosto w nadjeżdżający sznur pojazdów, bez zsunięcia się z trasy. Przyspieszając do sześćdziesięciu mil wysunął się z linii i zaczął wyprzedzać jadące przed nim ciężarówki i czołgi. Co pewien czas światło jakiejś pary reflektorów wozu, piszczącego na kolejnym zakręcie, zbliżało się do niego i wtedy nurkował za osłonę następnego pojazdu.

Wokół niego, wśród cichego spokoju tej zacofanej krainy, hałas i wyziewy setek diesli włączały przycisk najwyższych obrotów jego nadnerczy. Burton, jak gdyby nie był już wystarczająco podminowany obrazem tych goniących go i siedzących mu na karku, musiał teraz jeszcze zajmować się ciężkimi warunkami jazdy, wyższymi oficerami, rozmieszczonymi w *jeepach* po całym konwoju i kilku funkcjonariuszami bezpieczeństwa, jadącymi incognito pomiędzy szeregowymi żołnierzami, starając się przy tym wszystkim nie przeoczyć sposobnego skrętu w lewo, w kierunku na południowy zachód.

Jakby to jeszcze nie wystarczało, żeby utrzymać na czerwonej linii średnią napięcia nerwowego tego dywersanta pierwszej klasy, Barton musiał spieszenie zwrócić uwagę na wiszące nad nim ciemne niebo, rozświetlone teraz księżycową poświatą, bo ponad ogłuszającym hałasem łomocących kół, skrzypiących osi i ponad dudnieniem czterocylindrowych diesli, nadleciał nagle przenikliwy ryk silników odrzutowych. Osoba podróżująca przez jakiś kraj napotyka wiele interesujących rzeczy, ale czasami szybkość jadącego autobusu czy pociągu, albo uparta niecierpliwość kierowcy, mogą bardzo skrócić czas obserwacji. A kiedy oczom obserwatora trochę się poszczęści i dopadną one widoku niezidentyfikowanego obiektu latającego, są zdecydowanie niechętnie temu, by oderwać się od swego celu. Powiedzmy, że szybki rzut oka za okno chwyta coś niezwykłego, lewa ręka stara

się natrafić na rzucony gdzieś beztrosko aparat fotograficzny, głos wykrzykuje do kierowcy, usiłując uzyskać więcej czasu. W jakiej był odległości? Jaki jest duży? W ciągu zaledwie kilku przelotnych sekund nawet wyćwiczony obserwator, kiedy proszony jest później o dokładne przypomnienie sobie wszystkich istotnych faktów, może mieć trudności w dokładnym opisanu takiej spotkanej przelotnie formy i kształtu. Iluż to już obserwatorów zadawało sobie później pytanie, czemu, do licha, nie mieli pod ręką aparatu fotograficznego, załadowanego i gotowego do pracy. Ileż to analiz jakiegoś niepowodzenia było podstawą do podejmowania solennych zobowiązań, co do stałego trzymania przy prawej ręce gotowego do użycia miniaturowego polaroidu, ale, niestety, podejmowanych po to tylko, by już nigdy więcej nie spotkać swojej drugiej takiej życiowej szansy.

Barton wiedział, że ma tylko jedną albo dwie sekundy. Odwrócił więc oczy od mniej więcej dziesiątki ludzi, pouczepianych w pudle jadącej przed nim ciężarówce i w momencie, kiedy ogarniał go ogłuszający ryk, szybko spojrzął w górę. Kiedy samoloty śmignęły mu nad głową, jego pamięć, jak komputer, ruszyła ścieżką wytrenowanej procedury.

„Ilość: Dwa. Typ: *Mig-29 Fulcrum*. Prędkość: około 250 węzłów. Wysokość: 100 stóp. Kierunek: południowo-wschodni. Własność: Iran. Uzbrojenie: każdy po dwa *Exocety*. Punkt docelowy: nieznany. Informacje dodatkowe: każdy z nich ma dwa zbiorniki paliwa dalekiego zasięgu. Żaden z samolotów nie ma włączonych świateł pozycyjnych. Poprawka. Właśnie je włączyły”.

Zniknęły tak szybko jak się pojawiły. Przenikliwy odgłos z ich dysz wylotowych przez moment zatrzeszczał ogłuszająco, a potem cichł aż do szumu w miarę oddalania się *Fulcrumów* po nocnym niebie. Kiedy pamięć Bartona wcisnęła kilkakrotnie przycisk „*zachowaj*”, jego uwaga powróciła do bieżącego zadania. Rzucił szybkie spojrzenie na żołnierzy, siedzących w tyle jadącej przed nim ciężarówce i czyniących wszystko co w ich mocy, żeby na tej wyboistej drodze nie utracić swego miejsca siedzącego, nacisnął pedał gazu i śmignął w kierunku czoła konwoju, ku następnej ciężarówce. Ciężarówka po ciężarówce, cysterna po cysternie, wyprzedził wreszcie je wszystkie. Niektórzy z żołnierzy, których mijał, machali do niego lub unosili wyzywająco karabiny i Barton za każdym razem odwzajemniał ich gesty. Im więcej wyprzedzał pojazdów, tym bardziej stawał się pewny siebie i choć nawet byłby gotów zaakceptować ryzyko przedostania się aż do prowadzącego wozu, był zdecydowany znaleźć jednak wcześniej przydatne odgałęzienie drogi. Jeżeli byli tu jacyś wyżsi rangą oficerowie, dowodzący

tą kolumną przetaczających się oddziałów, znalazłby ich właśnie gdzieś na czele. Nie byłoby im zbyt trudno zatrzymać go, zapytać o jego rozkazy, czy potwierdzić jego tożsamość. Jeden szybki telefon do podanego fałszywie przełożonego i cała jego ochronna osłona zostałaby zdmuchnięta. Ale Burton był już uprzednio w podobnych opałach i wydostawał się z nich różnymi sztuczkami, wyslizgując się z matni ku bezpieczniejszej przystani, gdzie mógł podejmować na nowo swoją działalność.

I oto nagle, na trzydzieści jardów przed nim, pojawiła się jakaś przerwa w jednostajnym ciągu lewego przydrożnego rowu. Burton, widząc przed sobą wyraźną drogę, wyrwał się z kolumny, wcisnął hamulec i skręcił na południowy zachód w piaszczysty szlak, wzniesając chmurę pyłu w czasie jazdy. Kiedy szybkościomierz zaczął zbliżać się do sześćdziesiątki, ocenił sytuację. Podał przez radio ruchy wojsk, wydostał się z gór, dołączył do ogromnej grupy wojsk kierujących się w stronę Iraku, a następnie odłączył się od niej. Myślał z nadzieją, w miarę jak światła konwoju przygasaly w jego lusterkach wstecznych, że może teraz zgubił już ostatecznie swoich prześladowców. Z każdym zakolem i zakrętem drogi, z każdą milą pyłu, jaki pozostawiał pomiędzy sobą a wybranym przez niego terenowym zjazdem z drogi, miał przecież coraz większą szansę na całkowite pozbycie się ich. Kiedy wiatr zaczął wyc na przedniej szybie, sięgnął ręką ku górze i potarł włosy na karku. Uczucie niepokoju opuszczało go. Odruchowa potrzeba stałego oglądania się w poszukiwaniu jakichś błędzących za nim reflektorów zaczęła zanikać, ale jedynie po to, by zastąpiło ją coś nowego. Coś, co zaczynało pukać do drzwi zdrowego rozsądku. Zastanawiał się co to było. To było coś, co widział, ale na co nie zwrócił uwagi. Coś, co kwestionowały jego zmysły. To było coś związanego z tymi *Migami*. Pozwolił by ster przejął jego wewnętrzny autopilot a jego „otwarcie pliku” zaczęło ponownie odtwarzać taśmę z tego krótkiego spotkania. *Migi* były z pewnością w pełni obładowane, ale kierowały się na południowy wschód, przypuszczalnie z powrotem do swojej bazy. Poleciały nad terytorium Iraku i teraz wracały do domu. To nie budziło zastrzeżeń, bo nawet, jeżeli niosły pełne uzbrojenie, to przecież zawieszenie broni znosiło potrzebę jego użycia. Pogwałcili przestrzeń powietrzną Iraku, to prawda, ale dopóki niczego nie wysadzili w powietrze, mogło to być przyjmowane za rekonesans.

Irańczycy ciągle robili Irakijczykom to samo. Czemu nie były ścigane przez irackie *Migi*? Może ich miejscowy radar znów nie zadziałał. Poza tym leciały tak nisko, że nie zdziwiłoby to Bartona, gdyby nawet Amerykanie mieli trudności w ich wykryciu. Były uzbrojone w *Exocety*, ale to

była broń głównie przeciw okrętom, normalnie nie używana poza Zatoką. Lecieli nisko nad własnym konwojem cystern i ciężarówek, zadowoleni z odkrycia, że ich koledzy ponownie przygotowywali się do umocnienia obrony ich granicy. Więc cóż to mogło być? Wiedział jedynie, że było to coś niedobrego, naprawdę niedobrego. Ale co to było, tego po prostu nie mógł dojść. Całkowicie ufał swemu instynktowi. Kiedy domagał się on od jego rozumu, żeby popracował nad jakimś problemem, Barton rzadko pytał, czy jest to konieczne.

Kiedy informacje zaczęły krążyć tam i z powrotem w jego świadomości, jakby jakieś wewnętrzne sito miało nadzieję znaleźć przypadkowo mały błysk złota, który uczyniłby cały wysiłek wartym zachodu, Barton zwrócił ponownie swoją uwagę na otwartą przed nim drogę i na stojące przed nim zadanie. Sprawdził wskaźniki. Miał jeszcze paliwo na dwieście mil, bez korzystania z rezerwy. Poziom i temperatura oleju były w normie i nic się nie działo z tyłu za nim. Tak więc major Barton, zadowolony, że nawet jego światełko ostrzegawcze przestało teraz migać, poprawił się na siedzeniu i przygotował się na czekającą go długą jazdę.

O pięć mil za nim inny komplet kół, które musiały poczekać siedem minut zanim trafiły na odpowiednią lukę w konwoju, także zatrzymał się nagle z chrzęstem, przed wyłaniającym się zjazdem z drogi. Po krótkim zbadaniu śladów kół, świeżo odbitych w piasku, on również ruszył w stronę wybrzeża.

Rozdział Dwudziesty Piąty

Zatoka Perska. Lot dyżurny AWACS

03:25 czasu lokalnego (00:25 GMT)

Poziom hałas wokół pułkownika Stanforda, narastający stopniowo w czasie kontynuowania operacji nawiązania kontaktu z Koreańskimi Liniami Lotniczymi, wzmógł się w ostatnich trzydziestu minutach aż do stałego gwaru.

- Przepraszam, sir. Wciąż nie ma odpowiedzi - meldował przepraszająco Willis.

- No cóż, próbuj dalej. Jack, masz coś?

- Nie, sir, jeszcze nie. Ciągle rozmawiam bezpośrednio z ich koreańską centralą w Seulu. Na początku mieli trudności w znalezieniu kogoś, kto mówi po angielsku na tyle, żeby zrozumieć kto ja jestem i o czym mówię, ale w końcu połączyli mnie z ich dyrektorem operacyjnym. Teraz jednak czekam na linii już około pięciu minut. Mają trudności ze znalezieniem kogokolwiek, kto mógłby nam pomóc.

- Panie pułkowniku?

- Tak, Frank.

- Dwa *Migi*, idące w górę na dwudziestu tysiącach stóp, kierują się prosto na Koreańczyka.

Stanford ruszył z powrotem do swego biurka i spojrzął na swoje monitory.

- No tak, wiedziałem. Wiedziałem. Jeżeli nie będziemy ostrożni, ten Koreańczyk może spowodować niezłe kłopoty w naszym miasteczku nad rzeką. Willis, próbuj dalej. Jack, połącz się z Bahrajnem. Przekaż im najświeższe wiadomości o tym co tu się dzieje i powiedz im, żeby dali tu *F-16* albo jakąś inną osłonę. Następnie upewnij się, że wszyscy, ale to wszyscy, mają to wszystko na oku. Nie mam zamiaru pozwolić, żeby jakiś azjatycki amator przejażdżki kradzionym samochodem zrujnował mój dzień! Tak, Jack?

- Tak jest, sir.

- Co się dzieje z tymi chłopakami? Mają tylko około 10 minut do wkroczenia na teren irańskiej przestrzeni powietrznej i jeżeli nie połączymy się z nimi do tego czasu, to będziemy potrzebowali całej pomocy, jaką tylko możemy uzyskać. - Stanford opadł na krzesło przy swoim pulpicie sterowniczym, przecesał włosy palcami i sam do siebie pokręcił głową. - Czy ci idioci naprawdę nie wiedzą, gdzie się znajdują?!

Rozdział Dwudziesty Szósty

Koreański Lot 534. Do Seulu przez Delhi

03:28 czasu lokalnego (00:25 GMT)

Denny Typi zaczynał się już teraz pocić na dobre. Starsi oficerowie nie lubią korygować błędów innych członków załogi i z pewnością, z chwilą przybycia do Seulu, to wszystko źle się skończy dla Typi'ego. Siedział więc jak mysz pod miotłą, usiłując sobie wyobrazić, czy uda mu się wyjść z tego wszystkiego cało, bez wspomnienia ani słowem o czymkolwiek. Wiedział, że ponieważ mieli do wykonania długi zakręt w lewo, wokół południowego wybrzeża Iranu, urządzenie *INS* skieruje ponownie samolot na jego prawidłowy kurs na podejściu do Delhi. Wszystko co miał teraz do zrobienia, to ocenić jak daleko znajdowali się obecnie w przestrzeni powietrznej Iranu. Trzykrotnie już przeglądał dane i zaczynał mieć poważne wątpliwości co do ich aktualnej pozycji. Pod usilnym zastanowieniem podjął decyzję. Oceenił, że odbywanie lotu o pięćdziesiąt mil dalej na wschód nie powinno wywołać u Irańczyków jakiegoś szczególnego zaniepokojenia, a ponieważ w Seulu słyszał rozmowy innych techników o niektórych ich wycieczkach w przestrzeń powietrzną Iranu, odbytych bez spowodowania zbytnej szkody ich karierom, zdecydował się siedzieć cicho.

Na nieszczęście dla niego decyzja ta miała okazać się bardzo kosztowną. Ci dwaj z załogi zupełnie nie wiedzieli o tym, że dwa irańskie *Mig* kierowały się wprost na nich i że ktoś przełączył ich radia na częstotliwość używaną przez koreańskie linie lotnicze regionalnie w drodze do Paryża, zamiast na częstotliwość powietrznej kontroli lotów w Bahrajnie. To było drugie fatalne zdarzenie.

Rozdział Dwudziesty Siódmy

Baza Gonzo. USNS Philadelphia 721

04:33 czasu lokalnego (00:43 GMT)

Kapitan Davidson przyjął od Younga gorący kubek kawy i ponownie rzucił okiem na nowiutki *IBM 700C*. Uważnie obserwował na tym monitorze, jak z tyłu trzy rosyjskie łodzie podwodne zaczęły manewrować. Obserwacja sonarowa pokazywała, jak środkowa łódź zaczęła schodzić coraz głębiej. Na pierwszym planie widniały sylwetki dwóch większych, prowadzących łodzi, biała i czarna, robiących po dziesięć węzłów bok przy boku. Z tyłu, najniższa łódź nadal schodziła głębiej, podczas gdy lewa łódź zaczęła podchodzić do samego serca ich strefy.

- Mostek, tu *Sonar*.
- Słucham - odpowiedział Davidson, sięgając po interkom.
- Zmieniają formację, panie kapitanie.
- Też to widzę. Przejrzyj wszystkie kontakty.
- Sir, *Typhoon* obok nas po lewej, trzy *Foxfrotty* za rufą, *Grupa Szósta* na północy. Brak innych kontaktów, sir.
- Bardzo dobrze. - Sylwetki łodzi w ich nowym szyku, ustawiające się w szeregu za rufą *Philadelphii* zaczęły zwiększać głębokość i w miarę jak przesuwały się niżej na monitorze obserwacyjnym, płynąca najgłębiej z tych trzech przeszła w lewo, a pozostałe dwie zeszyły za nią. Davidson przez chwilę drapał się w głowę.
- Co do diabła ci faceci wyczyniają?

Chief Danwall, który obserwował monitor wraz z *Beagle'em*, wrócił na mostek.

- Czy ta prowadząca łódź jest może przykrywką, odciągającą nas od miejsca, gdzie potoczy się cała akcja?

Davidson utkwiał w skupieniu wzrok w monitor. - Być może, ale kiedy już wszyscy pozostajemy i tak względnie blisko siebie, mam zamiar pozostać z *Dubrownym*. - Davidson przerwał na chwilę. - Spójrz na to. Dwie dolne łodzie schodzą głębiej.

Członkowie załogi, mający stanowiska tuż za mostkiem, mieli dobrą widoczność tego najnowszego nabytku na mostku. Ale powoli, bez ruszenia się oficjalnie ze swych stanowisk, inni też zaczęli spoglądać przez ramię i wyciągać szyje, żeby uzyskać choć krótki rzut oka na pracujący system.

Davidson sięgnął ponownie do włącznika. - *Sonar*, tu mostek.

- Tak, panie kapitanie.

- Beagle, jak głęboko może zejść najniższa łódź, zanim ten system obserwacyjny zacznie mieć kłopoty z utrzymaniem jej obrazu?

- Nie powinno być problemu, panie kapitanie. Jedynie, im bardziej się oddalają, tym mniejsze stają się ich wizerunki, jak przy odjeździe kamery. W tej chwili pracuję nad parametrami odległości. Kiedy wprowadzę je do obrazu, będzie pan mógł odczytać przybliżone prędkości i odległości pomiędzy panem a różnymi kontaktami.

- To brzmi nieźle, kapralu, ile to zajmie czasu?

- Miejmy nadzieję, sir, że nie więcej niż jeden dzień.

- Dzień? Zabierz się do pracy nad tym jak tylko skończy się to całe zamieszanie, tak szybko, jak tylko możesz, Beagle. Oh i jeszcze jedna rzecz.

- Sir?

- Czy jest szansa żebyś zmienił kolory?

- Kolory, sir?

- Tak. Możemy uważać się za białych w świecącej zbroi, ale myślę że raczej kolor czerwony, niż czarny, dodałby innym łodziom nieco realizmu, nie sądzisz? Całe pomieszczenie niemal parsknęło śmiechem, ale udało im się utrzymać zasady etykiety.

- *Sonar*, tak jest.

Rozdział Dwudziesty Ósmy

Baza Lotnicza w Bahrajnie. TAG-i

03:42 czasu lokalnego (00:42 GMT)

„Start alarmowy, start alarmowy, start alarmowy! TAG-i - start alarmowy”. Ryk megafonów rozbił spokój załóg lotniczych, siedzących cicho w „sali gotowości”. Niektórzy czytali, inni grali w karty, jeszcze inni chwyтали kilka dodatkowych chwil snu, ale wszyscy byli ubrani i gotowi do akcji. Kiedy dźwięk alarmu wypełnił pomieszczenie, chwycili swoje hełmy i wybiegli prosto na asfalt i do przyległego hangaru, wspinając się szybko do kabin trzech *F-16 Falcon* z 555. Każdy samolot był wyposażony w cztery *Sparrow AIM-7F*, które miały być już niedługo stopniowo wycofywane z użycia i cztery *AIM-120 AMRAAM*. Załogi wbiegały po drabinkach, podczas kiedy obsługa naziemna odłączała przewody zasilania agregatów prądotwórczych, usuwała pokrywy i zawleczki z pocisków oraz kliny spod kół. W kilka sekund silniki *Pratt & Whitney F100-PW-220* ożyły z rykiem.

Major Dan „Tag” Hinkley zakończył szybką, wstępną procedurę startową i wyprowadził dwa pozostałe *F-16* z jasnych świateł hangaru w ciemność porannego przedświtu, a ich zespoły silnikowe gwizdały miękko w chłodnym porannym powietrzu. W ciągu kilku sekund ich koła już toczyły się w kierunku początku pasa startowego, o jakieś pięćdziesiąt jardów dalej.

- *Tagi* obok?
- *Tag* dwa kołuje.
- *Tag* trzy kołuje.
- Wieża, tu *Tag* jeden z towarzystwem, gotowi i z prośbą o zezwolenie na start.
- Przyjąłem, *Tagi*. Pas startowy czysty, podmuchy do pięciu węzłów. Zezwolenie na dziesięć-zero, wasza Delta jeden-pięć-zero.

Major Hinkley, z podążającymi tuż za nim dwoma kolegami z zespołu, wyprowadził dziób swojego *Falcona* na początek pasa startowego i lewą ręką pchnął do przodu dźwignie gazu, wyczuł wycięcie rowka dopalacza i pchnął go do przodu tak daleko jak się dało. - *Tagi* startują. Delta jeden-pięć-zero.

- Przyjąłem, *Tagi*. Wasz cel - dwa irańskie *Flogger*y i przypuszczalnie dwa *Fulcrum*y.

- Zrozumiałem. - Trzy *F-16* wzniosły się w nocne niebo z dopalaczami buchającymi ogniem, wciągnęły podwozia i położyły się w prawy skręt w kierunku Cieśniny.

W słuchawkach pojawił się teraz świeży, zawsze spokojny głos z lotu dyżurnego AWACS.

- *Tagi*, tu *Yankee-trzy*. Wasz wektor zero-dziewięć-osiem. Mamy tu dwóch bandytów, kierujących się na koreański samolot pasażerski, który właśnie zawędrował w irańską przestrzeń powietrzną i leci w kierunku północnego krańca Cieśniny. Nie przechwytujcie *Migów*, zanim one nie skierują się na was. Nie przekraczajcie granicy irańskiej przestrzeni powietrznej. Otrzymacie dalsze instrukcje.

- Przyjąłem, *Yankee-trzy*.

- Będę wam doradzał stosownie do okoliczności.

- Jest już jakiś kontakt z Koreańczykiem?

- Nie ma, *Tag-jeden*. Pracujemy nad tym.

- Przyjąłem, zaraz będziemy.

Major Dan Hinkley zaczął zastanawiać się nad swoim przeciwnikiem. *Flogger-23* i *Flogger-21* wyglądały z pewnej odległości zupełnie podobnie. Ważący do 16 ton, ze zmienną geometrią skrzydeł, jednomiejscowy następca *Fishbed-21*, miał sporo elektroniki i turboodrzutowy silnik *Tumansky R-29B'*, rozwijający 27.500 funtów siły ciągu. Z zasięgiem 900 kilometrów i maksymalną prędkością 1190 węzłów na wysokości 36.000 stóp, posiadał 4 uchwyty do podwieszania rakiet i dwa działka 23 mm. Jego radar impulsowy powietrze-powietrze był, według dzisiejszych standardów, bardzo lichej, a manewrowość podstawy jego radaru była co najwyżej średnia. Zazwyczaj miał pociski raketowe AA-2 i AA-8 z kilkoma AA-7, naprowadzanymi radarem. Największym jego atrybutem było to, że decyzja o produkowaniu go w długich seriach uczyniła -23 jednym z najtańszych myśliwców a -27 jedną z najtańszych możliwych do zdobycia odmian do atakowania obiektów naziemnych. W porównaniu na przykład z *Fulcrum-29*, rosyjskim odpowiednikiem *F-16*, -23 kosztował mniej więcej połowę.

- *Tagi*, trzymajcie się blisko - i dwaj boczni skwapliwie przysunęli się bliżej.

Rozdział Dwudziesty Dziewiąty

Zatoka Perska. Lot dyżurny AWACS

03:47 czasu lokalnego (00:47 GMT)

- Panie pułkowniku, mam na linii kogoś z koreańskiej centrali w Seulu. - Pułkownik Stanford wstał i spojrzał na Jenningsa.

- Co oni mówią, Stan?

- Nic nie wiedzą. Jedyne częstotliwości na których pracują, to te standardowe dla powietrznego korytarza. Willis przeszukał wszystkie kombinacje, ale stale nic.

- Wspaniale. Powiedz im, żeby starali się mieć wolną linię. I powiedz im, że jeżeli cokolwiek się tu wydarzy, to przyślemy cały zespół śledczy dla ustalenia dlaczego kapitan jednego z ich lotów zdecydował wyłączyć swoje radia!

- Tak jest, panie pułkowniku. Dwa *Flogery* są około trzydziestu mil od Koreańczyka i zbliżają się.

Stanford usiadł i przyjrzał się swoim monitorom. - Cholerne chmury. Gdyby nie ich pokrywa, to może zobaczyliby sami, jak daleko zesli z kursu.

- Panie pułkowniku?

- Tak, Jack.

- *Tagi, jeden, dwa i trzy* są w drodze, w okolicy Cieśniny, gotowe do przechwycenia Migów, plus dwa *Tomcaty* z *George Washingtona*, idące w kierunku Koreańczyka.

- Jak długo?

- *Tomcaty* powinny być w pobliżu w ciągu dziesięciu minut.

- Czy przekazałeś im już najświeższe informacje?

- Tak jest, sir. - Właśnie kiedy pułkownik Stanford miał połączyć się z O'Grady'm, irlandzki akcent pilota zadzwijał mu w uszach.

- Panie pułkowniku?

- A, O'Grady. Musimy utrzymać obserwację sytuacji, która rozwija się nad *Bazą Gonzo*.

- W porządku, panie pułkowniku. Połączyłem się, by powiadomić pana, że może będziemy musieli pociągnąć podwójną szychę; bardzo na to

wygląda. W momencie, kiedy to się wszystko zaczęło, wysłany został KC-135. Będzie towarzyszyć osłonie myśliwców i będzie naszym uzupełnieniem, jeżeli będziemy tego potrzebować.

- Masz jakieś rozeznanie przyczyn, Mike?

- Nie jestem pewien, panie pułkowniku. - 21 stwarzał jakiś problem po znalezieniu się w hangarze a drugi miał jakiś defekt głównych generatorów.

- No a dwa pozostałe?

- 20 jest ciągle w remoncie a 25 został wysłany, żeby zastąpić nas bardziej na północ.

- W porządku, dziękuję, Mike. Być może to dobrze. Tak czy inaczej, będziemy chcieli zobaczyć co się tu będzie działo i prześledzić sprawę do końca. - Stanford skierował swoją uwagę z powrotem na swój zespół.

- Słuchajcie wszyscy. Wygląda na to, że możemy tu pozostać nieco dłużej niż zwykle, więc jeżeli uważacie, że musicie się nad czymś zastanowić albo wziąć kanapkę z pojemnika, zróbcie to w następnych kilku minutach. Jeżeli już *Migi* naprawdę zbliżą się do Koreańczyka, to wtedy chcę, żeby każdy z was był przyklejony do swojego miejsca. - Pułkownik Stanford siedział wpatrzony w swój monitor, obserwując, jak wiele kontaktów pędziło teraz w kierunku Koreańczyka. Jakby z jakiejś ukrytej ciekawości, która pochodziła zresztą z głębin jego doświadczenia, nacisnął na swym terminalu przycisk drukowania. W ciągu kilku chwil szerokie arkusze ruszyły na swoich wałkach, wypływając użyteczne informacje o wszystkich, monitorowanych w tej chwili kontaktach. Stanford wydarł wydruk z maszyny, wyciągnął z kieszeni okulary do czytania i przejrzał dokładnie informację:

AWACS 24 DOWODZĄCY - PUŁKOWNIK ROBERT STANFORD

CZAS: 00:52 GMT WYSOK.: 20,300 STÓP SZYBKOŚĆ: 353 WĘZŁY

DATA: 1:10::91 KURS: 1-0-1

POZYCJA: DŁUG. 26:15 / SZER. 55:58

SKRĘT: « «

WZNOSZENIE / OPADANIE?

SZYBKOŚĆ ZMIANY: 110 STÓP / MIN.

POZOSTAŁO PALIWA: 62,254 FUNTÓW

KONTAKTY: KURS: POZYCJA: IDENTYFIKACJA:

747 KOREAN PASAŻ 0-9-6 26:08 / 59:09 KN2CHQG
MIG-23 IRAN L WOJSK 1-7-1 27:20 / 57:30 IRA1M23L
MIG-23 IRAN L WOJSK 1-7-1 27:20 / 57:30 IRA1M23L
F-16C L WOJSK USA 0-8-9 25:88 / 54:60 USBM 15V
F-16C L WOJSK USA 0-8-9 25:88 / 54:60 USBM 15V
F-16C L WOJSK USA 0-8-9 25:88 / 54:60 USBM 15V
F-15A IRAN L WOJSK 2-7-2 30:05 / 57:12 IRAOM 15L
KC-135C L WOJSK USA 0-9-2 26:02 / 57:15 USB7-100
MIG-23 IRAN L WOJSK 1-1-5 29:69 / 52:58 IRAM23L
MIG-23 IRAN L WOJSK 1-1-5 29:70 / 52:57 IRAM23L
S-3G MAR WOJ. USA 2-0-3 24:41 / 61:02 US6MS2-
S-3G MAR WOJ. USA 3-4-92 24:40 / 61:01 US6MS2-
E-2C MAR WOJ. USA 2-8-8 24:45 / 60:44 US6ME2-
F-14DMAR WOJ. USA 1-3-5 24:30 / 59:12 US6M14-
F-14D MAR WOJ. USA 1-3-5 24:30 / 59:12 US6M 14-
A-320 INDIA PASAŻ 2-3-6 25:87 / 65:04 INDĆ32L
MIG-29 IRAN L WOJSK 1-3-6 27:20 / 54:00 IRAM29+
MIG-29 IRAN L WOJSK 1-8-4 27:20 / 54:01 IRAM29+
MIG-23 IRAN L WOJSK 1-9-2 26:05 / 60:15 IRAM23L
MIG-27 IRAN L WOJSK 1-9-2 26:05 / 60:18 IRAM23L
MIG-23 IRAN L WOJSK 1-9-2 26:04 / 60:18 IRAM23L
MIG-23 IRAN L WOJSK 1-9-2 26:04 / 60:17 IRAM23L

Podczas gdy taśmy kontynuowały zapisywanie wszystkich aspektów operacji AWACS, daleko poza zasięgiem baczego oka wielkiego talerza miało miejsce parę innych wydarzeń. Trzy tankowce z dwiema eskortującymi je fregatami miały właśnie wchodzić do cieśniny Ormuz. W cieśninie znajdowały się dwie irańskie kanonierki, po jednej z każdej strony kanału, a pod powierzchnią wód cieśniny dwie grupy pletwonurków zbliżały się do skalistego wybrzeża Iranu. *Grupa Szósta* przerwała swoje krążenie i szła teraz na północ, w głąb Zatoki Omańskiej. Bardziej na zewnątrz, trzysta stóp pod powierzchnią wody, znajdowało się pięć łodzi podwodnych, cztery rosyjskie i jedna amerykańska.

Choć ta ostatnia informacja nie została zapisana przez rejestrator kontaktów AWACS, została jednak uwzględniona w procesie gromadzenia poufnych informacji wywiadowczych, które były zbierane i zestawiane przez służby Głównodowodzącego w Bahrajnie, Generała Majora Larry'ego Pulmanna, który przez *NAVCOM II* przekazał wszystkie te istotne informacje

wywiadowcze do Waszyngtonu. Wszyscy z zainteresowanych, w czasie końcowego omówienia, w tydzień po incydencie w *Bazie Gonzo*, na podstawie badania danych z rejestratora kontaktów z *AWACS 24* wraz z wydrukami *GPS*, dokonywanymi dnia 9 października od godziny za ośmiem pierwszą rano, uznali, że decyzje i działania oficerów będących na służbie mogły być zupełnie inne, gdyby wiedzieli co miało się wydarzyć. Ale na ostatnich stronach raportu z tego dnia uznano także, że ocena całej sprawy jest z perspektywy czasu jednoznaczna i że nie można winić nikogo za to, co się stało, jak też nie można nikomu udzielić nagany za brak dokładniejszego zbadania sytuacji. Zauważono jednakże, że gdyby jakimś szczęśliwym trafem któryś z uczestników tych wydarzeń zdołał przewidzieć wypadki z następnych dziewięćdziesięciu minut, to można było jeszcze tym wypadkom zapobiec.

Ale teraz, kiedy ten splot pecha i intryganckich knowań, przygotowanych przez wrogów Stanów Zjednoczonych, miał uderzyć w *USS George Washingtona* i w inne nawodne okręty, tworzące *Grupę Szóstą*, ten sposobny czas już minął. A jest uważany przez wielu uczestników wdrożonego później dochodzenia za tą resztkę minut, pozostałych jeszcze siłom sojuszniczym, w czasie których, gdyby wcielono w życie taktykę obronną, to przy jej użyciu można jeszcze było zapobiec jednemu z najbardziej niszczących i wykonanych z największą premedytacją ataków, jakich kiedykolwiek doświadczyła Marynarka Wojenna Stanów Zjednoczonych.

Rozdział Trzydziesty

Wybrzeże Iranu. Lot 534

04:53 czasu lokalnego (00:53 GMT)

Wysoko ponad chmurami i piaszczystymi wydhami teatru działań w rejonie Zatoki, trzydzieści dwa tysiące stóp ponad rzeźkimi zapowiedziami brzasku, salka klubowa na górnym pokładzie -747 była pełna ruchu. Pomieszczenie wypełnione było sporą ilością złotych galonów i bohaterских opowieści, jako że pracownicy wyższego szczebla lubili popisywać się przed najemnymi śmiertelnikami. Szklaneczka kapitana Mantu Lu, może najgłośniejszego i najbardziej czynnego uczestnika tych klubowych wydarzeń, była właśnie ponownie napełniana przy barze, kiedy niespodziewanie steward oblał mu cały rękaw sokiem pomarańczowym. Lu odwrócił się i warknął jakąś uwagę, ale nagle zdał sobie sprawę, że to nie niezgrabność stewarda spowodowała to zdarzenie, ale nagła zmiana wysokości lotu. Przez chwilę samolot leciał prosto i w poziomie, z nieco uniesionym dziobem, a następnie silnie przechylił się w prawo. Lu rozkazał wszystkim powrócić na swoje miejsca i rzucił się ku drzwiom kabiny. Zobaczył swojego technika, Denny Typi, trzęsącego się w zimnym pocie i drugiego pilota w podobnym stanie, ciągle na tlenie, przechylającego samolot w prawo. Lu miał właśnie wrzasnąć do załogi jakąś mniej znaną koreańską nieprzyzwoitość, kiedy drugi pilot odwrócił głowę, ukazując bladą ze strachu twarz.

- Kapitanie, kapitanie, proszę spojrzeć! - krzyczał Don Lee, zrywając maskę i wskazując za okno. - Proszę spojrzeć, odrzutowce, irańskie jak sądzę. Chcą nas zestrzelić!

- To absurdalne - krzyknął kapitan, wbijając się w fotel pierwszego pilota. - Typi, gdzie jesteśmy? Nie powinniśmy przecież być nigdzie w pobliżu Iranu.

- *INS* musiał poprowadzić nas przez ich granicę, ale oni nie mają przecież powodu, żeby podejść aż tak blisko - odkrzyknął Lee.

- No cóż, uważają, że mają - Kapitan Lu przywrócił kurs jeden-siedem-zero. - Lee, na jakim kursie byłeś, zanim zacząłeś skręcać?

- Nie jestem pewien, ale myślę że jeden-sześć-pięć - odpowiedział Lee, usiłując wyciągnąć chustkę z kieszeni.

- Jeden-sześć-pięć? - Lu spojrział w lewo przez okno i ujrzał sylwetkę *Miga* i jego światła pozycyjne, mrugające do niego przez chwilę, a później drugiego *Miga*, który pojawił się tuż za pierwszym. Najwyraźniej osaczali go, spychając go w prawo. Opuścił prawe skrzydło jeszcze bardziej, a później ponownie przywrócił samolot do poziomu, ale *Migi* ciągle były na swym miejscu spychając go coraz bardziej w prawo. Za każdym razem, kiedy skręcał bardziej na zachód i wyrównywał, *Migi* osaczały go jeszcze ciaśniej. Za piątym razem, kiedy skręcił na kurs jeden-osiem-pięć, o ponad dwadzieścia stopni od swego pierwotnego kursu, niebo w końcu wydało się puste. Dokonał bardzo krótkiego przeglądu kabiny i zauważył ustawienie radia.

- Co to radio...? - przerwał w pół zdania. - Kto zmienił ustawienie radia? - Zarówno Lee jak i Typi zaprzeczyli, by dotyczyli radia, ale Lu nie uwierzył im. Zanim ktokolwiek z załogi miał okazję wyrzeć przez okno, by zobaczyć czy *Migi* nie powróciły, ich uwagę zwrócił nagle głośny dzwonek alarmu. Powyżej, na głównej tablicy kontrolnej silników, czerwone światło migotało swój alarm pożarowy dla silnika numer jeden.

- Pożar! Mamy pożar na pokładzie - wrzasnął Lee.

- Zamknij gaz na numerze pierwszym - odkrzyknął Lu, a Lee chwycił dźwignię przepustnicy i pociągnął ją w tył, do zera. Kapitan sięgnął w górę, chwycił pulsującą na czerwono pokrywę włączników gaszenia, odsunął ją w dół i wcisnął przycisk. - Gaśnica już pracuje na numerze pierwszym - powiedział, starając się uspokoić, kiedy wyłączał alarm.

Głos Lee był ciągle przygnębiony. - Czy oni do nas strzelali? Gdzie dostaliśmy?

- Nie wiem - powiedział Lu. - Opanuj się i zabierz się do radia. Dowiedz się, gdzie jest najbliższe lotnisko.

Właśnie kiedy Lee sięgał po książkę częstotliwości używanych w tej części świata, zadzwieczał następny alarm.

Lee krzyknął znowu. - Pożar, mamy następny pożar! Silnik numer cztery!

- Słyszę - odkrzyknął Lu. - Sięgam do gaśnicy numeru czwartego - i zaczął ponownie wykonywać rutynową procedurę. - Zamknij przepustnicę. Czy muszę ci wszystko mówić? - Lee przesunął w tył dźwignię, leżącą najbliżej niego. - A teraz zabierz się do tego radia, zanim skończą się nam silniki.

- Ale panie kapitanie, jestem pewien, że do nas strzelają - powiedział nerwowo Lee.

- Czy czułeś coś?
- Eh, nie.
- Wyrzuj przez okno. Czy widzisz jakieś uszkodzenia? Czy światło pozycyjne na prawym skrzydle ciągle świeci?
- Widzę światło, ale jest za ciemno, żeby dostrzec jakieś uszkodzenie, panie kapitanie.
- Lee, zrób wreszcie jak powiedziałem.
- Panie kapitanie - krzyknął technik Typi. - Tracimy paliwo.
- Ile i w jakim tempie?
- Właśnie staram się sprawdzić, sir.
- Więc oblicz na ile lotu nam wystarczy. Lub może ja mam tam przyjść i zrobić to sam?! - warknął Lu.
- Eh, na ten czas, zanim dolecimy do najbliższego portu, powinno wystarczyć.
- Czemu te twoje kalkulacje zupełnie mnie jakoś nie cieszą? Ta cała sprawa będzie przedmiotem dochodzenia ze strony naszych przełożonych i mam zamiar dopilnować, żeby ten z was, który wpakował nas w tę sytuację, złożył zeznania, które oczyszczą mnie z wszelkiej winy.
- Lee usiłował przedstawić swoje argumenty. - Panie kapitanie, samolot był na automatycznym pilocie, nie mogłem mieć...
- Bądź cicho i zabierz się do tego radia, a ja sprowadzę nas w dół na piętnaście tysięcy. Mamy ciągle dwa dobre silniki, co wystarczy do lądowania, a więc uspokój się i wykonuj swoje obowiązki. - Lu obniżył dziób 747 i obserwował jak wysokościomierz zaczął przewijać się w dół.
- Ja wiedziałem, ja wiedziałem - mamrotał do siebie Lee, rozpaczliwie kartkując strony informacyjnego przewodnika. - Strzelili do nas i trafili w nasze silniki.
- Zachowaj swoje komentarze dla siebie - powtórzył Lu.
- Już mam: częstotliwość jeden-jeden-dwa, przecinek trzy.
- Więc ustaw nas na niej i połącz się z kimś, dobrze? - Jak tylko liczby zostały wprowadzone uszy obydwu pilotów wypełniły się gwarem.
- Koreański pasażer, koreański KA 534, czy mnie słyszysz, odbiór?
- Tak, tu mówi kapitan Lu z Koreańskich Linii Lotniczych, KA 534. Mamy kłopoty.
- Nareszcie! - Ogromne westchnienie ulgi zabrzmiało w uszach kapitana. - Jesteście na siedemdziesiąt mil wewnątrz irańskiej przestrzeni powietrznej.
- Co takiego?! - wrzasnął Lu.

- Utrzymujcie tylko wasz obecny kurs. Czy wszystko u was w porządku?

- Nie, nie wszystko u nas w porządku. Mamy pożary w silnikach pierwszym i czwartym i tracimy wysokość. Musimy szybko dotrzeć do lotniska.

- Jak duże macie uszkodzenia?

- Układ sterowania jest w porządku. Skręty możemy wykonywać powoli, ale powinniśmy być w stanie wylądować bezpiecznie, jeżeli będziemy mieli gdzie. Kim jesteście?

- Lotnictwo Wojskowe Stanów Zjednoczonych. A teraz proszę słuchać uważnie. Nawiązaliśmy kontakt z lotniskiem w Muscat i oni przygotowują się do waszego przyjęcia. Będziecie musieli utrzymać kurs jeden-osiem-pięć, wytracając wysokość aż do sześć-zero w ciągu następnych trzydziestu minut. Czy mnie rozumiecie?

- Tak, dziękuję. Kurs jeden-osiem-pięć przez trzydzieści minut, schodząc do sześć-zero.

- Tak jest - potwierdził Willis.

- Czy te *Migi* odeszły? - głos Lu ciągle był spięty.

- Tak jest, kapitanie Lu. *Migi* wracają do swojej bazy. Czy wie pan czy do was strzelali czy nie?

- Nie wiem - odpowiedział Lu. - Nie czuliśmy żadnego uderzenia.

- W porządku. Teraz wprowadzamy do akcji dwa samoloty *Tomcat* z Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, żeby eskortowały was do Muscat, więc pozostaniecie na obecnej częstotliwości. Skontaktują się z wami za kilka minut.

- A co z wami?

- Będziemy nadzorować całą łączność radiową do i z waszego samolotu, więc niech pan po prostu weźmie głęboki oddech, skoncentruje się na kursie i wysokości i sprowadzi swój samolot na dół do Muscat w jednym kawałku. Dobrze?

- Tak, dziękuję! Bardzo dziękuję.

Lu poprawił się na fotelu i ocenił sytuację. Był dumny z siebie. Pozostał chłodny i opanowany, bez okazania jak bardzo w rzeczywistości bał się, żeby nie zostali zestrzeleni. Zachował kontrolę nad samolotem i załogą i z dwoma sprawnymi silnikami nic nie powinno mu przeszkodzić w bezpiecznym sprowadzeniu pasażerów na ziemię. I co jeszcze ważniejsze, istniała możliwość, że jego świetne od tej chwili zachowanie może przeważać nad możliwością nagany, szczególnie gdyby mógł uzyskać od kogoś

z załogi, zanim wylądują, przyznanie się do jakiegoś nagannego postępku.

Lu zdał sobie nagle sprawę, że zapomniał zapiąć pas kiedy usiadł w fotelu, więc uczynił to teraz i podniósł interkom, łączący z przednim stanowiskiem stewarda.

- Tak, panie kapitanie? Co się dzieje, my...? - powiedział pospiesznie steward.

- Bądź cicho i przynieś mi szklankę soku pomarańczowego i filiżankę czarnej kawy. - Lu, bez czekania na odpowiedź, przełączył się na głośniki w pomieszczeniach pasażerów.

- Koledzy kapitanowie, panie i panowie. Pokornie prosimy o wybaczenie za niepokojenie was w tej formie, ale mieliśmy niewielką awarię dwóch z naszych systemów. Wkrótce będziemy lądować w porcie lotniczym Muscat, więc proszę o natychmiastowy powrót na wasze miejsca i o zapięcie pasów. Jeszcze raz przepraszamy za przerwę w locie, ale Koreańskie Linie Lotnicze uczynią wszystko co można, aby wszyscy państwo mogli kontynuować podróż najszybciej jak tylko to będzie możliwe. Dziękuję.

Wszedł steward z napojami dla kapitana Lu. Zarówno Typi jak i Lee skorzystali z tej wizyty, by także zamówić coś odświeżającego. Lu, tak jak go o to proszono, utrzymywał swój nowy kurs, przygotowując się w myślach do podjęcia ryzyka, związanego z próbą wylądowania swoim -747 w nocy, na dwóch silnikach, na lotnisku w Muscat. Wiedział, że obcokrajowcy musieli borykać się z omańskimi celnikami, a ich zwiększone, surowe środki bezpieczeństwa, przepisy i regulaminy, szczególnie uciążliwe dla osób pochodzenia wschodniego lub azjatyckiego, były szarpiącym nerwy doświadczeniem.

- Kapitanie Lu, mówi komandor porucznik Dailey z Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych.

- Słyszę pana, komandorze.

- Jesteś tu, żeby eskortować was do Muscat.

- Czy inne maszyny, *Migi*, odleciały?

- Tak. Czy stale ma pan odpowiednią kontrolę nad samolotem?

- Tak, ale muszę bardzo uważać przy skrętach. Pozostały mi tylko dwa silniki.

- Czy strzelano do was?

- Tak sądzę, ale niczego nie jestem pewien, komandorze.

- Będziemy z wami do około pięciu minut po waszym powrotnym przekroczeniu linii irańskiego wybrzeża. Dokonamy kontroli wzrokowej i sprawdzimy, czy możemy zlokalizować jakieś zewnętrzne uszkodzenia.

Lu był zdziwiony. - Jesteśmy stale nad terytorium Iranu?

- Tak, ale obecnie już tylko około 5 mil. Utrzymujcie tylko wasz obecny kurs, a wkrótce będziemy przy was. Jak tylko upewnimy się, że nie macie jakichś poważniejszych uszkodzeń zewnętrznych, damy wam namiary na Muscat, dobrze?

- Dobrze - westchnął Lu.

- Wasze radio pracuje dobrze, nieprawdaż, kapitanie?

Twarz Lu stała się jaskrawoczerwona.

Rozdział Trzydziesty Pierwszy

Zatoka Omańska. Lot dyżurny AWACS

04:06 czasu lokalnego (01:06 GMT)

Pułkownik Stanford stał za swoim pulpitem w przedniej części pomieszczenia, reagując na różne sygnały swojego zespołu.

- Wydaje się, że dwa *Floggery* kierują się na *Fulcrumy* - powiedział sierżant Jennings, studiując pilnie swój monitor.

- Co to znaczy, „kierują się”? - zapytał Stanford spoglądając szybko na swój.

- 23 są około 100 mil za dwoma -29, lecącymi w stronę Cieśniny, ale zawsze, kiedy tylko prowadząca dwójka zmienia kurs, pozostałe dwa idą za ich przykładem, jakby próbowały zmniejszyć dystans.

- Dobra, zauważone należycie. Może próbują utworzyć wspólnie jakąś większą formację, co mogło by znaczyć, że mają coś w zanadru. Czy tamte *Tomcaty* przejęły już obowiązki eskortowe?

- Prawie, sir.

- Dobrze. Co z tymi dwoma *Migami*, które podeszły blisko do -747, bo on chyba coś mówił, że mogły go ostrzelać?

- Nie sądzę, żeby kapitan -747 był już obecnie czegokolwiek pewien.

- Więc gdzie się te *Migi* podziały?

- Skierowały się na północny wschód, więc wygląda na to, że wróciły do bazy.

- No dobrze. A co do tego drugiego lotu, schodzącego w dół by się do nas przyłączyć, to będziemy się przyglądać, jak będą się tu zabawiać. Ważniejsze jest to, że Koreańczyk przelatuje wreszcie nad linią wybrzeża w towarzystwie sił marynarki. Czy dostaliśmy jakieś potwierdzenie z podczerwieni, że *Migi* otworzyły do niego ogień?

- Nic, sir, ale były tak blisko niego, że mogły użyć ostrej amunicji.

- Cóż, dzięki Bogu, nie osiągnęli pożądanego celu. Mogliśmy tu mieć w zasięgu ręki coś naprawdę paskudnego.

- Panie pułkowniku?

- Tak, Willis?

- Muscat ciągle by wolało, żebyśmy zawrócili Koreańczyka do Dubaju.

- Powiedz im, że Koreańczyk jest bliski utraty sterowności, traci tony paliwa i będzie tam wkrótce lądował. Powiedz im też, że jeżeli spróbują zamknąć lotnisko lub zrobić coś podobnie głupiego, dwa *Tomcaty* z Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, eskortujące Koreańczyka, otworzą je ponownie. Następnie złap naszego ambasadora w Omanie, powiedz mu krótko o tym, co tu się dzieje z tym -747 i poproś go o natychmiastowe wywarcie odpowiednich nacisków, żeby Koreańczyk mógł spokojnie wylądować bez poważniejszych reklamacji. Ostatecznie to są przecież nasi domniemani sprzymierzeńcy.

- Tak jest, sir. Tylko że oni mogli już mieć wcześniej jakieś kiepskie doświadczenia z Koreańskimi Liniami.

- Panie pułkowniku, wygląda na to, że dwie irańskie kanonierki znów się ruszyły - powiedział nagłaco sierżant Jennings.

- Mam je. - Stanford przyjrzał się kontaktom migoczącymi przed nim i było jasne, że dwie fregaty płynęły do punktu na samym środku kanału. - Willis, powiadom natychmiast kapitana Fultona.

- Panie pułkowniku, nasłuch radiowy chwyta jakąś paplaninę pilotów, która, jak sądzę, może być dla pana interesująca - powiedział Jennings.

- Dobra, włącz mnie - rozkazał Stanford. Do jego uszu doszło mnóstwo irańskich krzyków i wrzasków. - Dobry Boże, ależ to niezdiscyplinowana banda, prawda? Czego ja tu mam słuchać, Frank?

- Proszę po prostu posłuchać tonu ich głosów.

Stanford słuchał paplaniny, która płynęła bez przerwy od jednego pilota do drugiego. - To brzmi dla mnie jak długa seria przekleństw. Nagrywasz to wszystko, Salter?

- W całości, panie pułkowniku.

- Co oni mówią?

- To jest pokręcone, sir. Nie używają swojego normalnego żargonu. Coś o wielkiej sprzeczce. Trudno powiedzieć, ich akcent jest dość bełkotliwy.

- Nie przerywaj nasłuchu. Chcę wiedzieć o czym oni tam gdadzą.

- Tak jest, sir. - Taśmy pracowały dalej, pracował też dalej AWACS

Rozdział Trzydziesty Drugi

Washington D.C. Pentagon

19:08 czasu miejscowego (01:08GMT)

Komandor John Latchkey spojrział ukradkiem na swój zegarek stojąc cierpliwie przed biurkiem swojego szefa. Admirał Swanson odłożył na biurko najnowszy komunikat, poprawił się w swoim fotelu i spojrzął na komandora.

- Cztery łodzie? Co oni na litość boską wyprawiają? Zwykle to my musimy ich wyszukiwać, a nie odwrotnie. - Swanson wstał od biurka i podszedł do terminalu komputerowego na sąsiadującym biurku. Po kilku sekundach od wprowadzenia danych system przedstawił listę i potwierdził, że w ostatnich dwóch latach było trzydzieści pięć raportów o czterech lub więcej kontaktach z łodziami. - Tak właśnie, jak myślałem, wszystko, od szkolenia do manewrów. Oni spędzają naprawdę wiele czasu na poszukiwaniach i akcjach ratunkowych, nieprawdaż?

- Tak jest, sir. Ale po co mieliby dawać nam możliwość tak bliskiej obserwacji? - powiedział Latchkey kiedy admirał powrócił do swego biurka. - Przecież ograniczają większość tych manewrów do okolic rosyjskich wybrzeży

- Dobrze pytanie, John. Jakikolwiek jest powód, miejmy nadzieję, że Davidson zdobędzie tak dużo materiału, jak tylko będzie mógł. Ile czasu zajmie *Nebrascę* dotarcie *Stacji Gonzo*?

- Jeszcze kilka godzin, sir. Powiadomiliśmy *Nebraskę* zaraz po wykryciu obecności Rosjan.

- Połącz się także z *Cleveland* i przekaz im, żeby płynęli na najwyższych obrotach do *Gonzo*. Nie powinno im to zabrać więcej niż sześć godzin. Powiadom admirała Lodgersa, że pomoc jest w drodze i że akceptuję jego przesunięcie się do wejścia do Zatoki Omańskiej. Tak czy inaczej powinniśmy otrzymać wkrótce pozwolenie na jego wejście do wnętrza Zatoki. Pozostawię to Gerry Tysonowi, żeby sprawdził co o tym wszystkim ma do powiedzenia rosyjski ambasador.

- Tak jest, sir.

- Jeszcze jedna rzecz, John. Muszę wiedzieć czy oni ostatecznie strzelali do tego Koreańczyka czy też nie. Połącz się z biurem generała Wilsona i sprawdź czy możesz otrzymać kopie taśm. Jeżeli dotrą do Muscat, świetnie. Ale jeżeli rąbną w wodę, wówczas będę potrzebował całego materiału dowodowego, jaki tylko będziemy mogli uzyskać. Ostatnim razem kiedy coś dużego się wydarzyło, wyszliśmy wszyscy na durniów i przyrzekłem wtedy Ministrowi Obrony, że dopóki jestem szefem operacji w Zatoce, będziemy wydawać jedynie takie oświadczenia, które są prawdziwe i oparte na faktach. Nawet gdyby prasa miała poczekać jeszcze jeden dzień, chcę mieć wszystko zapięte na ostatni guzik. - Swanson zwracał już kopię komunikatu swemu asystentowi, kiedy zmienił zdanie. - Po zastanowieniu, John, może lepiej sam się tym zajmę. Robi się późno i jestem pewien, że masz jeszcze inne plany.

- Jest niedziela, sir. Mogę je anulować, jeżeli uważa pan, że to konieczne - odpowiedział.

- Nie, w porządku. Zawsze mogę przecież zadzwonić do ciebie na komórkę.

- Tak jest, sir. Mogę być tutaj w przeciągu piętnastu minut. Przegryzę coś naprędce i ruszę do klubu.

- Dobrze, John. Przyjemnej gry - powiedział szczerze Swanson.

- Dziękuję, sir - odpowiedział z uśmiechem Latchkey i powrócił do swego gabinetu żeby, zanim chwyci za kapelusz i płaszcz, wykonać jeszcze kilka szybkich telefonów.

Admirał Swanson siedział spoglądając przez chwilę na drzwi, które zamknęły się za komandorem. Następnie, jakby na skutek podświadomego życzenia, jego spojrzenie zaczęło wędrować wokół ścian jego gabinetu, zatrzymując się w końcu na dużej, obramowanej fotografii jego żony, która stale zajmowała honorowe miejsce w narożniku jego biurka. Wyglądała młodo i pięknie, ale była już tak bardzo daleka. Pat Swanson spojrzał na jej ciepły, przyjazny uśmiech i gorąco zapragnął by on się poruszył, by nagle ożył. Chociaż minął dopiero ponad rok od czasu, kiedy owej nocy w pokoju szpitalnym, jej miękka dłoń wysunęła się po raz ostatni z jego dłoni, wydawało mu się, że to już dziesiątki lat. Jak to jest, pomyślał, że wspomnienia mogą tak długo przynosić tyle cierpienia, kiedy w tym samym czasie wytracają przecież samo sedno odczucia bólu czy przyjemności? To było tak, jakby narastający w nim smutek miał spowodować, żeby zanikła wszelka pamięć o tym poczuciu komfortu i bezpieczeństwa, jakiego

doświadcział wtedy, kiedy ona była w pobliżu, ale pamięć ta i tak była potwierdzana, ot, choćby tak jak teraz, małą łzą, spływającą mu zdradziecko po policzku. Gdyby czas naprawdę leczył wszystkie rany, rozmyślał, to czemu nie może także uleczyć świadomości winy, którą skrywał pod szlachetnym poczuciem odpowiedzialności, zrodzonym z dumy i obowiązku? Jakże to wszystko, na co tak ciężko pracował, mogło wyślizgnąć mu się z rąk tak szybko, jak to właśnie uczyniła Diana tego fatalnego wieczoru.

Jej długie palce zacisnęły się, kiedy zwróciła ku niemu głowę.

- Pat - wykrztusiła z trudem.

Pochylił się, aby nie uronić jednego słowa - Słucham, Annie? - powiedział, oddając uścisk jej dłoni w nieporadnej próbie dodania jej otuchy.

- Pat, poradzisz sobie. - Jej głos był teraz tylko słabym szeptem. Jej bujna radość, rysy żywioowości, będące dziedzictwem jej południowego pochodzenia, wszystko to prawie zanikło, kiedy zbierała każdy okrucieństwo energii, by móc jeszcze mówić do tego, który był miłością jej całego życia. W odpowiedzi człowiek, będący od trzydziestu pięciu lat jej mężem, wstrzymał oddech w obawie, że jego szmer może zagłuszyć tą resztkę głosu, która jej została.

- To nie twoja wina, Pat. Nie chcę odchodzić wiedząc, że sądzisz, że to wszystko twoja wina. Tak nie jest. Nasz Pan przez tak wiele lat opiekował się nami i naszymi dziećmi. Podziękujmy mu za to. Nie pozwól żeby poczucie winy niszczyło te wspaniałe lata, jakie przeżyliśmy. - Jej głos zaczął cichnąć i zanikać w długim tunelu pustki. Obawiał się tego momentu przez ostatnie trzy miesiące, od kiedy rozpoznano raka. Była w supermarkecie i w chwili, kiedy wzięła do ręki słoik ulubionych przez admirała korniszonów, odezwał się artretyzm jej dłoni, uniemożliwiając utrzymanie chwytu. Słoik upadł na podłogę i roztrzaskał się, a ona, pragnąc uniknąć rozpryskującego się szkła, poślizgnęła się na zawartości słoika i upadła. Diana Swanson nie złamała sobie ani jednej kości, a doznawszy jedynie nieprzyjemnego stłuczenia uda sądziła, że po paru dniach odpoczynku wszystko będzie dobrze.

Nie było. Stłuczenia ustąpiły i jej życie pozornie powróciło do normy, ale po paru tygodniach zaczęła czuć się dziwnie rozdrażniona. Apetyt zniknął i Pani Diana Swanson, na przestrzeni kilku krótkich tygodni przeszła drogę od cudownej gwiazdy, świecącej w życiu jej admirała, do ciemnej chmury, mającej dolać kilka ostatnich łez swojej materii do jego długiej i znaczącej kariery. W jakiś sposób upadek ten zmobilizował tłące się

gdzieś raka, który mógł może pozostać w tym stanie przez następne lata, do skoku w stan swej śmiertelnej aktywności. Tak szybki i zabójczy był jego postęp, że cała pomoc medyczna, którą mogła zapewnić Marynarka Wojenna, okazała się w tym przypadku bezsilna. Z osoby wyposażonej poprzednio przez naturę w sto czterdzieści funtów wagi, został obecnie jedynie leżący bezsilnie szkielet, zmuszający się do wykrztuszenia ostatnich słów otuchy jednemu człowiekowi, którego zawsze kochała.

- Dałeś mi najlepsze lata z tych, o które mogłaby prosić każda kobieta. Dziękuję ci. A teraz powiedz, że dasz sobie radę i pocałuj mnie.

Pat Swanson spojrział w jej oczy i powiedział łagodnie: - Będę sobie radził, Annie, moja kochana. - Pocałował ją delikatnie w usta, dojrzał próbę uśmiechu i poczuł, że jej dłoń wyslizguje się z jego dłoni. Kiedy siedział w bezruchu przy jej łóżku, pragnąc, żeby za dotknięciem jakiejś czarodziej-skiej różdżki do tego sterylnego, szpitalnego pokoju wpłynęła z powrotem ciepła fala jej życia, uśmiechu i miłości, zastanawiał się nad tym, jak bardzo była w błędzie. Spędzał tyle czasu na morzu, tyle czasu z dala od San Diego po to, żeby umocnić swoją pozycję, że faktyczny czas, który obydwoje spędzili razem, ciesząc się wzajemnie swoim towarzystwem, był w rzeczywistości nieskończenie krótki.

Jego kariera miała zawsze pierwszeństwo i teraz, kiedy przejście na emeryturę było już kwestią tylko paru lat, jego prawdziwy cel w życiu nagle go opuścił. Czemu nie spędzał z nią więcej czasu, kiedy tylko miał taką sposobność? Czemu podejmował dodatkową służbę, kiedy ją proponowano? Ponieważ Annie powiedziała, że tak może być. Powiedziała, że później będą mieli czas na wspólne podróże i że jest kobietą cierpliwą, która chętnie poczeka. A teraz tylko on był tym, który będzie czekał. Ale poczeka tylko na zakończenie swojej służby, nie czekając już na nic w przyszłości.

W czasie miesięcy, które nastąpiły po pogrzebie, wiceadmirał Patrick Swanson otrząsnął się z depresji i zdecydował, że jeśli jego żona mogła poświęcić swe życie dla niego, to on zamierzał poświęcić ten czas, który mu pozostał, na najlepsze, jak tylko potrafił, wykonanie swojej pracy. Nie dla Annie, nie dla Marynarki, ale dla siebie. Jakkolwiek samolubnie mogło by to brzmieć, pomyślał, musi teraz zebrać całą swą determinację, jaką tylko mógł z siebie wykrzesać i skupić ją na bieżącym zadaniu.

Kiedy wkładał chusteczkę na powrót do kieszeni, zadzwonił telefon.

- Tak?

- Sir, tu major Hughes.

- Tak, majorze, właśnie miałem dzwonić do generała - powiedział Swanson odchrząkując.

- Otrzymałem wiadomość od komandora Latchkey'a, że życzył pan sobie wszystkie ściśle dane na temat tej koreańskiej sprawy?

- Tak jest.

- A więc, panie admirale, przed chwilą zakończyłem rozmowę z panem generałem Wilsonem w Med, i wiadomość jest taka, że właściwie, to niczego istotnego nie wiemy. Koreański pilot nie odczuł niczego i właśnie otrzymaliśmy informację, że nie ma widocznych uszkodzeń na zewnątrz samolotu z wyjątkiem dwóch silników, które się zapaliły.

- Które dwa?

- Jeden i cztery.

- Proszę dać mi znać, kiedy nasz dyżurny nadzór potwierdzi bezpieczne lądowanie.

- Oczywiście, panie admirale. Czy to wszystko?

- Hm, nie. Kiedy następnym razem będzie pan rozmawiał z generałem, proszę zapytać, czy zechciałby przysłać paru lokalnych śledczych do Muscat, żeby zbadać całą rzecz już na ziemi. Jeżeli sprawa pójdzie przewidzianymi kanałami, uzyskanie zezwolenia Departamentu Stanu będzie się ciągnąć w nieskończoność, a nie chcemy marnować na tą sprawę ani chwili czasu więcej, niż to absolutnie konieczne.

- Czy macie jakiś zespół w tej okolicy, sir?

- Mamy - powiedział Swanson.

- Powiadomię pana generała, panie admirale.

Swanson odłożył słuchawkę i wyciągnął z biurka czysty blankiet rozkazu.

Rozdział Trzydziesty Trzeci

Cieśnina Ormuz. Żłota Foka

05:14 czasu lokalnego (01:14 GMT)

Canny doprowadził Dingy i jej pasażerów tak blisko brzegu, jak to było możliwe bez wynurzania się na powierzchnię, ale przy ograniczonej głębokości i wirującym prądzie, zaczynającym kręcić ich w koło, nadszedł czas, by wyłączyć silniki. Na sygnał Canny'ego nurkowie uwolnili się z pasów i czekali, aż łódź osiadzie na dnie. Bill i Phil zajęli się linami kotwicznymi, podczas gdy reszta wyładowała cztery worki sprzętu i przepłynęła parę jardów pozostałych do brzegu. Urwisko brzegowe, nieco cofnięte w głąb zatoczki i przesłonięte mgłą i pyłem wodnym, wznosiło się przed nimi, wysokie i proste, jak ściana fortecy. Zespół, trochę przejęty wrażeniem przytłaczających rozmiarów uskoku i litej gładkości jego ściany, zaczął zdejmować z siebie zbiorniki powietrza, maski i płetwy, zamieniając je na swoje zwykłe ubiory i rozdając sobie nawzajem sprzęt wspinaczkowy. Buddy spojrział w nocne niebo i zauważył przez moment serie migocących światła, lecących na zachód na wysokości około piętnastu tysięcy stóp. Zastanawiał się przez chwilę, dlaczego dwa wojskowe samoloty lecą w tak dziwnym szyku, tak blisko wielkiego odrzutowca, ale po chwili, wzruszając ramionami, wrócił do swych obowiązków. Mokry piasek chrząścił pod jego stopami kiedy ruszył w górę pod skalną ścianę i zaczął badać ją dotykem w poszukiwaniu dziur i szczelin, niezbędnych jako chwytów, ale im bardziej przyglądał się ścianie, tym bardziej niemożliwa wydawała się wspinaczka. Następnie podszedł do Fielding, która sięgnęła do pasa i stojąc tuż przed nim, zdjęła dolną część swojego ubioru.

- Co ty robisz? - powiedział cicho, razem z miękkim szmerem przyboju, niepewny w którą stronę ma patrzeć.

- Szykuję się do wspinaczki. A ty myślisz, że co? - Sięgając po „suchy” worek kończyła wyciągać stopy ze zdejmowanego ubioru i zaczęła nakładać parę grubych rajstop, podczas gdy Buddy odwrócił twarz w kierunku kanału, czyniąc wszystko, żeby ukryć swoje pełne podziwu spojrzenia. - No dobrze, dobrze, Buddy. Sięgnęła do klamerci błyskawicznego zamka na szyi i jednym pełnym ruchem pociągnęła go prosto w dół. Ale

zanim jego spojrzenie mogło uchwycić wszystkie krągłe kształty, pyszniące się poniżej jej dwóch silnych ramion, czarna, bawełniana koszulka z krótkimi rękawkami opadła w dół. Zdjęła wszystko spod koszulki i szybko założyła lekkie szorty.

- Czy to jest wszystko, co zamierzasz mieć na sobie? - kontynuował niezrażony Buddy.

- Wydostanie tego wszystkiego do góry będzie już i tak wystarczająco trudne, bez dźwigania masy niepotrzebnej odzieży - odparła Fielding ściągając w pasie swą uprząż. Popatrzył na nią w dół, jak sięgała po parę wspinaczkowych botków i odwrócił się kręcąc głową, by spojrzeć z kolei na skalną ścianę. Fielding podniosła wzrok, kiedy Buddy w końcu klęknął przy niej. - Co jest, Buddy? - zapytała poważnie.

- To jest cholerny kawał skały, Charlie. Czy jest coś, co ja mógłbym zrobić?

- Tak, jest - powiedziała Fielding. Wstała, podeszła kilka stóp do jednego z worków rozłożonych na piasku, wyciągnęła duży pas i założyła go w tali. Zwisła z niego taka ilość różnych narzędzi, że wystarczyło by jej, pomyślał Buddy, do otwarcia własnego specjalistycznego sklepu. Posortowała leżące przed nią różnej długości liny i zadowolona, że znalazła właściwą, zrobiła węzeł i pętlę, wpinając ją w karabinek głównego zawieszenia uprząży. Podniosła noktowizor i odwróciła się do Buddy'ego.

- Słuchaj - powiedziała do niego chłodno. - Wspinając się dostatecznie dużo, żeby wiedzieć czego ja tu na dole potrzebuję: kogoś, kto będzie wiedział co zrobić z linami, jeżeli odpadną. Ile ważysz, sto osiemdziesiąt? - zapytała pozwalając, by uśmiech wymknął się wreszcie spod jej zdecydowanego wyrazu twarzy.

- Sto dziewięćdziesiąt pięć - odpowiedział Buddy, także lekko się uśmiechając.

- Dobrze, więc nie powinieneś mieć kłopotów. - Odwróciła się i przeszła kilka kroków w kierunku cofniętego uskoku.

Buddy pobiegł za nią i niemal chwycił ją za ramię. Hej, nie powiedziałś mi, ile ty ważysz.

- Wiem.

- No więc? - Buddy zaczął się znów uśmiechać.

- Sto pięćdziesiąt pięć - powiedziała Fielding, odwracając się, by ponownie przyjrzeć się ścianie skalnej przez noktowizor.

Buddy popatrzył na jej smukłą talię, schowaną pod pasem, a później nieco niżej, na czarne rajstopy i powiedział - Chyba żartujesz!

Fielding zignorowała kiepskie wyliczenia Buddy'ego i zaczęła szukać drogi wejścia. Nie ustalono jakiegoś szczególnego limitu czasu dla tej operacji, ale biorąc pod uwagę, że słońce powinno wzejść za jakieś dwie godziny, wiedziała, że zegar nie był po jej stronie. - Tak, sądzę że tyle mam - odpowiedziała w końcu, wręczając Buddy'emu noktowizor. - Wiem, że wyznaczysz kogoś, kto będzie oczekiwał na przybycie Diggera i Doug'a, ale potrzebuję też kogoś, kto nie będzie się rozpraszał tym, co dzieje się za nim i stale będzie miał na mnie oko przez ten noktowizor. Kiedy dotrę na górę, to chcę, żebyście czekali na mój sygnał, zanim przywiążecie sprzęt do drugiego końca tej liny. Kiedy będę już miała linę dobrze zamocowaną na rolce, zaświecę w dół mini latarką, a wtedy dawaj tu wszystkim na górę tak szybko, jak tylko będzie można. Mam nadzieję, że Digger przybędzie w czasie, kiedy będziemy już mieli naszego pierwszego ochotnika na górze i wtedy wyciąganie będzie można kontynuować z dołu. Reszta należy do ciebie.

- Możesz założyć jedną z naszych słuchawek?

- Tak, ale nie w tej chwili, Buddy. Będzie mi wystarczająco trudno z tym, co mam. - Fielding podeszła pewnie do północnego krańca plaży i wyciągnęła w górę rękę.

Buddy znalazł się tuż za nią. - Powodzenia, Charlie - wyszeptał.

- Dzięki. Będę go potrzebowała. - Trzema szybkimi ruchami uniosła się z piasku. Jej buciki były już ponad głową Buddy'ego. Wisiała na tej skalnej ścianie, jakby wspinała się po drabinie. Choć on sam nie mógł dojrzeć niczego na powierzchni skały, Fielding jakimś sposobem wynajdywała małe chwytaki i stopnie.

Buddy pobiegł do Billa i Phila. - Bill, masz tu noktowizor. Zajmij pozycję jak najbliżej wody i czekaj na jej sygnał. - Bill odszedł by zająć swoje stanowisko. - Phil, chcę żebyś rozglądał się za Diggerem i Doug'iem. - Odwrócił się do ściany uskoku i zobaczył, że Chancey zajął się już końcem liny Fielding. Buddy podeszedł i przejął ją od niego. Uporządkuj te liny za mną, dobrze?

- Jasne - odpowiedział Chancey. - O rany, ale jest szybka! Czy poczułeś, jaka mokra od tej całej mgły jest dolna część tej bryły łupku?

- Tak - powiedział Buddy, nie odrywając oczu od odległego cienia, majaczącego nad nim w powietrzu.

W zespole zapadła cisza, bo każdy spokojnie i sprawnie wykonywał przydzielone zadania. Buddy mógł tylko podziwiać odwagę znajdującego

się nad nim wspinał. Siła jej palców rzucała się w oczy. Była w stanie wspinać się po ścianie przy niewielu małych chwytach do wykorzystania, a do tego, kiedy wielu zatrzymywałoby się często, by spędzić cenne minuty na biciu haków co kilka stóp i zakładaniu karabinków, ta dziewczyna używała ich oszczędnie i posuwała się w górę w niezwykłym tempie. Od czasu do czasu wyglądało na to, że kiedy usiłowała odnaleźć jakiś chwyt czy stopień, jej stopy były wyżej niż głowa, a było też oczywiste, nawet dla przygodnego obserwatora, że długość liny pomiędzy nią a ostatnim punktem asekuracyjnym była chwilami znaczna. Chociaż pozwalało to zaoszczędzić czas, z pewnością wydłużało ogromnie drogę ewentualnego jej upadku. Lina od jej pasa biegła w dół przez linię zwisających punktów asekuracyjnych i dalej aż do miejsca, w którym stał Buddy, trzymając ją wokół barku i pasa, gotów do natychmiastowej, dynamicznej asekuracji, gdyby odpadła. I ona faktycznie odpadła.

Fielding była już na wysokości około osiemdziesięciu stóp, przesuwając się ku środkowej części ściany, kiedy jakiś chwyt zawiódł. Zawdzięczała niewiarygodnie mocnym, wyćwiczonym palcom z krótko jak u chirurgów przyciętymi paznokciami, że nie zdarzyło się to wcześniej. Miała już około dwudziestu stóp wolnej liny nad ostatnim karabinkiem, kiedy lina w rękach Buddy'ego gwałtownie szarpnęła. Asekurował miękko, płynnie, hamując linę najlepiej jak mógł i na moment został nawet nieco uniesiony w powietrzu, by poczuć jedynie podobne miękkie szarpnięcie od tyłu. To Chancey, który dodatkowo trzymał koniec liny, wybrał luz. Nawet z tej wysokości, kiedy kołysała się po upadku w poprzek ściany, Buddy mógł usłyszeć szuranie i skrobanie ciała po skale i odgłos darcia kiedy usiłowała zatrzymać ten bolesny ruch wahadłowy. Nie było jednak wrzasku cierpienia, nie było okrzyku bólu, jedynie krótka przerwa w napięciu liny, a następnie, jakby grawitacja została wyłączona, lina w rękach Buddy'ego zwiotczała, a Fielding odzyskała równowagę, by ponownie kontynuować swoją wspinaczkę.

Porucznik Fielding miała później odpaść jeszcze sześć razy i za każdym razem, chociaż Buddy wiedział że on i Chancey poradzą sobie ze sporadycznym szarpnięciem liny, wiedział też, że jej bezpieczeństwo zależało od tego, na ile solidnie zabezpieczony jest ostatni karabinek. Pamiętał aż za dokładnie wydarzenie w czasie treningu, kiedy szarpnięcie było wystarczająco mocne, by wyrwać hak z podstawy powodując, że wspinacz, jeden z jego kolegów z treningowego zespołu, spadał przez całą wysokość aż do poprzedniego haka i dalej w dół. Nabral takiej szybkości upadku, że

następny hak także wyskoczył ze skały. W ośmiu potężnych szarpnięciach liny i w tyłuż sekundach, jego przyjaciel był martwy. Być może, przy jego wadze, haki nie zostały wbite do odpowiedniego oporu i nie „śpiewały” przy wbijaniu tym charakterystycznym, coraz wyższym tonem, jak powinny, ale kiedy zaczął już spadać, nie można już przecież było nagle wrócić i wbić je porządnie.

Może Fielding tej nocy nie pobiła żadnych rekordów szybkości w swej wspinaczce na szczyt tej irańskiej skały, ale dokonanie tego tak cicho, na mokrym łupku, kiedy trzeba było robić wszystko na wyczucie, bez pomocy pięknego, słonecznego dnia, to było dla Buddy'ego i pozostałych imponujące. Buddy pomyślał sobie, że nigdy przedtem nie miał powodu, by być szczególnie dumnym z jakiejś kobiety, z wyjątkiem tego dnia, kiedy jego siostrzyczka, kilka lat temu, zrobiła dyplom w Yale. A tu oto mieli do czynienia z kobietą, która była inteligentna, silna, sprawna i jak widać, mogła ich niejednego nauczyć. Kiedy jeszcze raz wyciągnął szyję, by spojrzeć w górę na swego nowo odkrytego towarzysza, szeroki uśmiech ukrył fakt, iż zaczynał akceptować pogląd, że, być może, to tak odradzane podnoszenie wzroku na kobietę nie jest w końcu taką złą rzeczą.

Rozdział Trzydziesty Czwarty

Cieśnina Ormuz. Fregata USNS Stork FF-36

04:28 czasu lokalnego (01:28 GMT)

Konwój przed trzydziestoma minutami wszedł do Cieśniny kursem zero-pięć-zero i przygotowywał się do wykonania długiego zwrotu o sto dwadzieścia stopni w prawo, w stale zwężający się kanał, biegnący wokół koniuszka terytorium Omanu. Dwie przestarzałe irańskie fregaty zajęły pozycje w połowie tego zakrętu i chociaż wszyscy uważali takie zachowanie za agresywne, to i tak przecież nie mogły one zapobiec dalszemu posuwaniu się pięciu statków. Dowódca operacji w Zatoce Perskiej, admirał Tandy, musiał na pokładzie *Independence* zdecydować, czy zatrzymać konwój, lokując go na środku przesmyku, z niewielką lub żadną kontrolą nad dryfowaniem po tych płytkich wodach, czy pozwolić mu na kontynuowanie drogi. Dla tego drugiego przypadku admirał rozważał różne scenariusze ewentualnego dalszego przebiegu wydarzeń. Po pierwsze, najprawdopodobniej Irańczycy nie zrobią niczego, kiedy trzy tankowce przejdą wolno obok nich. Napięcie pomiędzy dwoma państwami zmniejszyło się zasadniczo i zaatakować teraz, bez żadnej istotnej przyczyny, no, to mogło być przyjęte za niepotrzebny, ale jasny akt wojenny. Po drugie jednakże, nie mógł odrzucić możliwości jakiejś formy niedorzecznej konfrontacji. Chociaż kanał miał w tym miejscu około dwudziestu pięciu mil szerokości, dwie małe fregaty mogły wywierać znaczny wpływ na przebieg ruchu statków, wchodzących i wychodzących z Zatoki. Grając niebezpieczną grę blefu, skręcając na tor wielkich tankowców, które nie mają tu miejsca do manewrowania i znów schodząc z niego, Irańczycy przepłoszyliby wystarczająco wielu lojalnych kapitanów towarzystw naftowych, którzy zaczęliby błagać swoich właścicieli, by całkowicie unikali Zatoki. Strzały ostrzegawcze obydwu jednostek miałyby ten sam efekt. Ale jak daleko i do jakiego finału mogło by to prowadzić? To były pytania wymagające przeanalizowania. Dawano już odpowiednie sygnały kolejnym ambasadorom Iranu w Waszyngtonie, by ostrzec ich, żeby w takich sytuacjach zachowywać spokój, ale tu i teraz czas właśnie mijał i trzeba było podjąć jakąś decyzję. Kiedy admirał miał już wysłać do Fultona rozkaz zwolnienia do pięciu

węzłów, nadeszła wiadomość, że dwa *Fulcrumy* rozdzieliły się. Jeden szedł prosto w kierunku zakrętu w Cieśninie Ormuz, fregaty *Stork* i jej podopiecznych, podczas gdy drugi zwrócił się w kierunku Zatoki Omańskiej. Czy leciały podrażnić lotem koszącym zarówno *Grupę Szóstą* jak i konwój tankowców, czy może nie, zapytywał sam siebie Tandy, badając ostatnie raporty. Jeżeli teraz zatrzyma tankowce, będą one łatwym celem. Czy *Stork* będzie dostatecznie uprzedzony o ataku, by zestrzelić napastników, zanim znajdą się w okolicy kanału? A gdyby nawet Fulton miał odpowiednią ilość czasu, samoloty te będą ciągle jeszcze w irańskiej przestrzeni powietrznej. Bez jakiegś prowokacji, zanim na przykład nie wystrzelą *Exocetów*, jak mógłby kapitan otworzyć do nich ogień? Tak... Admirał Keith Tandy podjął wreszcie decyzję i wysłał wiadomość do kapitana Fultona.

Na pokładzie *Storka* Fulton przybył właśnie do centrum dowodzenia, gdzie komandor Lemke wręczył mu sygnał z *Independence*.

- Dać sygnał: „Na stanowiska bojowe”! - szczechnął Fulton, zapoznawszy się z jego treścią.

- Tak jest, sir. Stanowiska bojowe! - potwierdził Lemke, sięgając do sygnalizatora.

- Czas zbliżenia się kontaktów?

- Siedem minut, sir - odpowiedział technik radarowy Porter.

Fulton chwycił słuchawkę i nacisnął przycisk mostka. - Don, wykonaj skręt w lewo i daj mi pełną szybkość. Musimy podejść obok *Mishtosh* i przygotować się na odpieranie ataku od lewej burty. - Fulton odłożył słuchawkę. W tyle, za centrum dowodzenia, turbiny rozkręciły się do pełnej mocy a *Stork*, sterujący już w lewo, ale bezwładem idący jeszcze w prawo, zaczął przechodzić obok dziesięciu milionów galonów ropy naftowej w ładowniach *Shkirto*. - Dick, połącz się kolejno z każdym tankowcem i upewnij się, że ich załogi są na nogach i gotowe do walki z pożarami.

- Tak jest, panie kapitanie.

- Kontrola ogniowa, załadować i uzbroić wszystkie harpuny i *Phalanx*.

- Zaczęto ładować przednie i rufowe stanowiska harpunów, obracając je szybko w kierunku północnym, a pojedynczy *Phalanx Vulcan*, umieszczony tuż za przednią nadbudówką, także obrócił się szybko i płynnie, by im towarzyszyć, choć zakończenie fazy wstępnego rozruchu jego mechanizmów wymagało jeszcze paru minut.

Technik radarowy Porter rozpoczął ustaloną procedurę bieżącego informowania kapitana. - Sir, jeden obcy samolot stale utrzymuje kurs jeden-siedem-pięć, odległość trzydzieści mil.

- Dobra - powiedział Fulton i zajął swoje miejsce za głównym pulpitem kontrolnym.

- Dwa *Flogery*, odległość sześćdziesiąt mil, stale lecą za *Fulcrumem*, plus jeszcze trzy *Migi*, zbliżające się do drugiego *Fulcruma* i do *Grupy Szóstej* - raportował Porter.

- Czy jest dosyć miejsca, żeby przedostać się do przodu? - zapytał Fulton.

- Mnóstwo - odpowiedział Lemke.

Fulton siedział przyklejony do swego kolorowego monitora, kontynuując dialog z komandorem Lemke. - Jest już jakaś podczerwień albo radar samonaprowadzający?

- Tak jest, sir. Ślad samonaprowadzającego radaru pojawia się teraz na fregatach, pojawia się uzbrojenie.

- Radaru z fregat? - zapytał Fulton.

- Tak jest, sir, a teraz, w odpowiedzi, także i z *Fulcruma*.

- Co to jest, jakieś ćwiczenia? Czy fregaty celują do nas?

Porter wtrącił się. - Jeszcze nie, sir, kierują wszystkie swoje systemy obronne na nadlatującego *Fulcruma*.

- Co oni robią, planują zdmuchnąć swoich kolesiów z nieba? Melduj w chwili, kiedy obróć swój radar na nas.

- Tak jest, sir. Konwój rozpoczyna skręt w prawo. *Sahand* się ruszył.

- Dziękuję, Porter. Są jakieś inne kontakty?

- Tylko dwa *Tomcaty* z *Washingtona* oraz Koreańczyk i trzy *Falcons*, idące z północy prosto na *Fulcruma*.

- Bardzo dobrze.

- Kontakt stale utrzymuje kurs jeden-siedem-pięć, odległość dwadzieścia pięć mil - powiedział głośno Porter.

Komandorowi Lemkemu dostarczono następny sygnał. - Trałowiec *Lip-ton* melduje, że *Sahand* zaczął cofać się w kanale!

- Może wreszcie mają zamiar zrobić nam miejsce, żebyśmy przepłynęli bez zmiany kursu - powiedział Fulton, wycierając z brwi małe krople potu.

- Teraz w odległości dwudziestu mil i stale się zbliża - poinformował Porter.

- Dick, jak daleko do fregat?

Komandor Lemke, który przez cały ten czas pilnował kursu *Storka* i przygotowywał dolne stanowisko sterowe, zerknął szybko na zasięgi.

- Pięć mil. Steruje trzydzieści stopni, teraz zero-osiem-dwa.
- Ile mamy miejsca, żeby ściąć kąt?
- Około mili mil - odpowiedział Lemke.
- Powiedz tym tankowcom, żeby wykonały ostrzejszy skręt i skierowały się prosto na marker w środku kanału. Myślę, że mamy dość czasu, żeby przeciąć drogę tym pływającym kupom złomu na przesmyku. - Fulton ponownie podjął interkom na mostek. - Opuścić mostek. - Wysoko ponad centrum dowodzenia cały personel wyznaczony do pozostania na mostku zbiegał teraz po schodach. - Stanowisko na dolnym mostku, macie ster.
- Tak jest, sir. Mamy ster - odpowiedział dodatkowy sternik.
- Zatrzymać okręt! Maszyny wstecz! - rozkazał Fulton.
- Maszyny wstecz, tak jest. - Dudnienie turbin natychmiast ucichło a następnie ponownie narosło do dużej szybkości, kiedy śruby znów zaczęły wwiercać się w wodę.

Kapitan Fulton przełączył się teraz na ekran radaru krótkiego zasięgu, pokazujący wszystkie kontakty w promieniu pięćdziesięciu mil. - Kontrola ogniowa, nie chcę żadnych tych omyłek z szybszym otwarciem ognia. Strzelacie tylko na mój rozkaz i nie wcześniej.

- Tak jest, sir.
- *Fulcrum* jest teraz o osiemnaście mil i zbliża się - głos Portera zaczął zdradzać jego świadomość krytycznej sytuacji.
- Ciągłe aktywny?
- Tak jest, panie kapitanie. Włączyli wszystko co mają.
- W naszym kierunku?
- Nie, sir. W kierunku swoich własnych fregat.
- Obie jedna trzecia wstecz.
- Obie jedna trzecia wstecz, tak jest - odpowiedział sternik.
- *Fulcrum* teraz o dwie minuty od nas.
- Jakiś radar namierzający z fregat?
- Tak jest, sir, ale na *Miga*, nie na nas. *Sahand* płynie nadal przez kanał, zupełnie poza naszym kursem, panie kapitanie.
- Dobrze. Mamy już dwie rundy, zostały jeszcze cztery.
- *Fulcrum* teraz szesnaście mil.

Fulton jeszcze raz chwycił interkom.

- Słuchajcie teraz wszyscy. W następnych paru minutach może nic się nie wydarzyć, ponieważ oni nie wystrzelili niczego do nas, a my także nie popełniliśmy błędu przedwczesnego działania uprzedzającego. Ale niektórzy

z was, chłopaki, nie znaleźli się jeszcze dotychczas pod ogniem, a tak się może zdarzyć już za pięć minut. Jeżeli jednak nic się nie wydarzy, nie kombinujcie, nie zgadujcie i nie martwcie się na zapas. Wszystko co macie do zrobienia, to wykonywać sprawnie rozkazy i robić to wszystko, do czego zostaliście odpowiednio przygotowani. Więc bądźcie gotowi do działania, ale tylko na moje rozkazy. To wszystko.

- *Mig* wystrzelił! - krzyknął Porter. - Jedna rakietka, idzie do celu.

Komandor Lemke rzucił się w kierunku stanowiska kontroli ogniowej.

- Jeszcze nie, Dick - powiedział twardo Fulton, chwytając go za rękę.

- Namierzył nas, panie kapitanie! - krzyknął Porter a na całym okręcie zabrzmiały sygnały ostrzegawcze. Rufa *Shkirto* wyprzedziła dziób *Storka*.

- Obie cała naprzód.

- Obie cała naprzód, tak jest.

- Odpalić *FLESZ*.

- Odpalam *FLESZ*.

- Ster ostro w prawo - szczerknął Fulton.

- Ster ostro w prawo, tak jest - odpowiedział sternik. W czasie kiedy zaczął się zwrot, wyrzutnie i *Phalanx* połączyły się w zgodnym piruecie, zachowując swoje czujne oczy skierowane na nadlatujący obiekt, w sposób widoczny nieświadomy zwrotu, jaki *Stork* dokonywał z tyłu za *Shkirto*.

- Nadlatujący obiekt, czterdzieści sekund do uderzenia - głos był bliski krzyku.

- *Phalanx* czynny - zameldowała kontrola ogniowa.

- Coś jeszcze nadlatuje? - krzyknął Fulton.

- Nie, panie kapitanie, tylko ten jeden.

- Odpalić *FLESZ* dwa.

- Odpalam *FLESZ* dwa.

- Steruj dwa-cztery-zero - rozkazał Fulton.

- Dwadzieścia pięć sekund do konwoju.

- Steruję dwa-cztery-zero.

- Odpalić *FLESZ* trzy. Na moją komendę macie wyłączyć każdy radar łącznie z radarem *Phalanxa*. Dajcie mi odliczanie.

- Piętnaście sekund do konwoju. Trzynaście. Dwanaście. Jedenaście. Dziesięć. Rufa jest teraz na kierunku nadlatującego, panie kapitanie. Osiem. Siedem. Sześć. Pięć. Cztery. Trzy...

- Teraz! Wyłączyć!

Radar nadlatującego *Exoceta* próbował właśnie skierować raketę w kierunku rozbłysku *FLESZ* dwa, torem odchodzącym od kadłuba *Storka*, kiedy nagle tracił kontakt z radarem *Storka*. *Phalanx* znieruchomiał w momencie wyłączenia swego radaru. Nadlatujący *Exocet* skręcił teraz w prawo i leciał dalej prosto ku rozbłyskowi następnego *FLESZA*, przelatując w odległości osiemdziesięciu stóp od rufy *Storka* i pięćdziesięciu stóp ponad nią. Fulton odliczył dwie sekundy. W ułamek sekundy później *Exocet* eksplodował a siła wybuchu rozrzuciła jego szczątki, które wpadły do zatoki, nie powodując szkód.

To było świetne posunięcie, no, może nie z podręcznika marynarki, omawiającego procedury obronne fregaty, niemniej jednak takie, które było później podziwiane przez admirała Tandy. Swoje działanie Fulton znakomicie rozłożył w czasie. Odwrócenie *Storka* w kierunku nadlatującego obiektu rufą, przedstawiającą przez trzy do czterech sekund mały cel, to była standardowa procedura operacyjna. Ale wyłączenie radaru, choć odbierające *Phalanxowi* jego szansę na zestrzelenie nadlatującej rakiety, zapobiegło także posłużeniu się przez nadlatującą raketę własnym radarem *Storka*, żeby w niego trafić. Kiedy trafienie w cel zależało już tylko od słabego sygnału, stwarzanego przez rufę *Storka*, *Exocet* odkrył nagle wyraźniejszy cel, wysoko ponad tą rufą. Trzy wystrzelone *FLESZE* wystarczająco zmyliły nadlatującą raketę, by skutecznie odciągnąć ją od celu.

W momencie wybuchu kapitan Fulton podbiegł na lewą stronę pokładu mając wystarczającą ilość czasu, żeby dojrzeć latające wokół kawałki szczątków oraz *Fulcruma-29*, który zawył tuż nad głową, kierując się na północ, w górę Zatoki, by połączyć się z pozostałymi dwoma *Migami*. Nie było żadnych uszkodzeń i *Stork* dokonał na maksymalnych obrotach zwrotu o następne sto osiemdziesiąt stopni, zredukował szybkość i ustawił się za *Shkirto*. *Sahand* i *Sabalan*, trzymające się teraz razem w dalszej części zakrętu, pozostały spokojne, ale czujne. Kiedy *Stork* przepływał koło tych dwóch katalizatorów wydarzeń, Fulton zastanawiał się nad tym, jak ich załogi zareagowały na atak. Czy wiwatowały czy gwizdały? Nie wiedział, ale to go w tej chwili zupełnie nie obchodziło.

Rozdział Trzydziesty Piąty

Cieśnina Ormuz. Tagi

04:37 czasu lokalnego (01:37 GMT)

Trzy *F-16* zbliżyły się do swoich celów.

- *Tag jeden*, tu *Yankee-trzy*.
- Słyszę.
- Twój nowy wektor, zero-siedem-trzy do obiektu.
- Przyjąłem, zero-siedem-trzy - odpowiedział major Hinkley, wprowadzając koordynaty do swojego komputera nawigacyjnego.
- Cel, pojedynczy irański *Mig29 Fulcrum*.
- *Tag jeden*, naprowadzam.
- Wasz cel to maszyna prowadząca. Nie strzelajcie do dwóch pozostałych, jeżeli nie będzie zagrożenia z ich strony.
- Przyjąłem, *Yankee. Tag-jeden* do grupy, nasz obiekt to tylko prowadzący -29. Bierzcie na cel pozostałe dwa, ale czekajcie na mój rozkaz.
- O dziewięćset bliżej. *Tag-dwa*, przyjąłem.
- *Tag-trzy*, przyjąłem.
- Bandy ci po waszej jeden-sześć-pięć - beznamiętny głos dyżurnego z lotu *AWACS*, zawsze spokojny w ferworze walki.
- Słyszę.
- Trójka weźmie południowy - potwierdził *Tag-trzy*.
- Słyszę. - Hinkley zaczął oddychać głośniejsze, kiedy już podchodzili do celu.
- Przewidywany cel południe.
- Przyjąłem. Potwierdź, idź w górę.
- Dwójka weźmie wschodni - potwierdził *Tag-dwa*.
- Wyżej trójka.
- Dobra, Fink.

Na szklanym wyświetlaczu systemu HUD w maszynie Hinkley'a, monitor celujący obramował *Miga*. Kwadratowa ramka widniała przed nim nieprzerwanie, posuwając się nad Zatoką prosto w jego kierunku. Dotknął przycisku celu i kwadracik przesunął się troszkę w prawo, odległość plus pięć. Dotknął go po raz drugi i kwadracik skoczył wyżej. Hinkley ułożył

palec na spuście, gotów wystrzelić *AIM-120A AMRAAM*, bo odległość do celu zmniejszyła się teraz do pięćdziesięciu mil. Kiedy obserwował małą białą ramkę, stale obejmującą nadlatujący obiekt, czekał teraz na pojawienie się pewnego miękkiego, jęklowego tonu. Kiedy przygotowywał się do odpalenia swej rakiety, zastanawiał się przez chwilę, czemu *Fulcrum* nie szukał teraz bezpieczeństwa w szybkim uniku. Z pewnością przecież radar *Miga* mógł dostrzec, że go bezpośrednio atakują. Może przygotowywał się do otwarcia ognia. Ale *Fulcrum* nie włączył swego radaru ataku; zabrzmiały by przecież jego ostrzegawcze tony. Pewnie uzbraja pocisk termolokacyjny, ale czemu teraz, kiedy idziemy już na siebie łeb w łeb? Zdecydował się podejść jeszcze bliżej.

- Czterdzieści mil - potwierdził *Tag-dwa*.
- Przyjęcie celu. Sygnał dobry.

Włączył się łagodny kobiecy głos komputera: „Paliwo tylko na powrót do bazy”.

- Trzydzieści mil - powiedział beznamiętny głos.

Hinkley podniósł pokrywkę i kciukiem przycisnął spust. - Odpalam. *Fox* jeden. *Fox* jeden. - Kwadracik obejmujący cel zaczął gwałtownie skręcać w prawo.

- Przyjąłem, *Fox* jeden.

- Zbliży się teraz - powiedział z niecierpliwym oczekiwaniem głos dyżurnego.

- Dostał, dostał! - krzyknął *Tag-trzy*.

- Pilot katapultuje się! - wrzasnął *Tag-dwa*.

- Jedno wodowanie! - krzyknął Hinkley.

- Jesteście wolni.

- Przyjąłem, *Yankee-trzy*. *Tagi*, kończymy, wyłączamy się. Odchodzimy w prawo.

- *Tag-dwa*, przyjąłem.

- *Tag-trzy*, przyjąłem.

Linia celowania do pozostałych dwóch *Migów* odpadła w kierunku wschodnim kiedy trzy *F-16* odeszły w ostrym skrócie z zagrożonego terenu. Hinkley nie mógł wprost uwierzyć, że zadanie okazało się takie proste. To było jego pierwsze doświadczenie, dotyczące warunków walki przeciwko *Fulcrumowi* z całą jego nowoczesną awioniką, no i łatwo wyszedł z tego obronną ręką. Ich radar był z pewnością tak dobry, jak jego, jeśli nie lepszy i jeżeli *Fulcrum* był wyposażony w rakiety *AA-10 Alamos*, to mógł

przecież spuścić jedną z nich ze smyczy z odległości trzydziestu mil, a on niczego nawet nie uzbroidł. Musiał przecież wiedzieć, że został zaatakowany. Miał w kabinie podobne sygnały dźwiękowe, ostrzegające pilota przed nieprzyjacielskim radarem, jakie miał Hinkley. Jeżeli nawet wszystkie jego systemy zawiodły, czemu nie próbował ucieczki?

Te i jeszcze inne pytania chodziły Hinkley'owi po głowie, kiedy trzy *Falcons* wracały do domu. To były te same pytania, które wiceadmirał Pat Swanson będzie wkrótce zadawał swoim kolegom.

Rozdział Trzydziesty Szósty

Zatoka Omańska. Lot 534

05:45 czasu lokalnego (01:45 GMT)

- Jesteście teraz piętnaście mil od końca pasa startowego - powiedział uspokajający głos w słuchawkach kapitana Lu. - Skręt na kurs dwa-osiem-dwa.

- Muszę jeszcze skrócić o dalsze osiemdziesiąt stopni i nie jestem pewien, jak ciasny zakręt możemy wykonać - odpowiedział Lu.

- W porządku - odpowiedział spokojnie kapral Willis. - Lećcie po prostu nadal za samolotem przed wami. Odprowadziliśmy was wystarczająco daleko na południe, by zapewnić wam dość miejsca na wykonanie długiego, wolnego skrętu w prawo dla ustawienia się w jednej linii z pasem startowym.

- Widzę jakieś światła na dole przed nami, na Zatoce! - krzyknął nagle Lu.

- Spokojnie, te światła to amerykańska flota, którą mamy w pobliżu na wszelki wypadek. Kontynuujcie skręt w prawo. - Denny Typi przykucnął pomiędzy fotelami pilotów i czekał na komendę.

- Zmniejszyć trochę obroty numeru trzeciego. Zwiększyć trochę na numerze drugim - i Typi stosownie do tych poleceń delikatnie manipulował dźwigniami. Kiedy kapitan ponownie obniżył prawe skrzydło samolotu, podniósł wzrok i dostrzegł, że samolot przed nim schodzi jeszcze dalej w prawo.

- Wygląda to nieźle, panie kapitanie. Teraz proszę wyprostować na dwa-osiem-dwa. - Lu zmniejszył nacisk na ster, rozkazał wyrównać obroty i wyprostował poziom skrzydeł śpiewająco. Co jak co, ale latać, to już kapitan Lu potrafił.

- Trzydzieści mil od końca pasa startowego, idziecie trochę za wysoko i znosi was w lewo.

- Dajcie mi więcej klap. Klapy na czterdzieści stopni.

- Klapy czterdzieści - potwierdził Typi.

- Widzialność trzydzieści mil. Czy widzicie światła pasa startowego?

Lu spojrzął się uważnie przed siebie. - Potwierdzam. Światła prosto przed nami.

- Ustawcie radio na 123.232. Powodzenia.
- Dziękuję.
- W porządku. Przez cały czas będziemy was nadzorować.

Rozdział Trzydziesty Siódmy

Baza Gonzo. USNS George Washington CVN-90

04:53 czasu lokalnego (OJ:53 GMT)

Konradmirał Bill Lodgers drzemał w swojej kwaterze. Kapitan Brad Gumey dokonywał wizytacji z szefem służb lotniczych. Komandor Henry Reynolds miał służbę na mostku, a na dole, w centrum dowodzenia, szef operacyjny czekał na możliwość odwołania dwóch *F-14 D*, które wykonywały eskortowanie koreańskiego -747. Na pokładzie startowym dwa *Hornety* czekały w kolejce za *Hawkeye'm* i *Vikingiem S-3*, które szykowały się do startu w celu kontynuowania obserwacji rosyjskich łodzi, które podchodziły coraz bliżej do *Grupy Szóstej*. *SH-3 Sea King* wyruszył już dla ewentualnego podjęcia działań ratunkowych. Utrzymywano stałą łączność pomiędzy koreańskim samolotem pasażerskim, lotem dyżurnym *A W A CS* i lotniskowcem *George Washington*, aby zorientować się, czy koreańska załoga doleci do Omanu bez dalszych kłopotów. Kiedy tylko ustalono, że koreański pasażer zbliża się do Muscat, admirał Lodgers, w przygotowaniu do udzielenia pomocy w przypadku ewentualnego ich wodowania, dokonał zmiany kursu o dziesięć stopni, aby ulokować lotniskowiec i okręty wspomagające o wiele bliżej toru lotu samolotu pasażerskiego, zezwalając jednocześnie *Tomcatom* na kontynuowanie ich obowiązków eskortowych. Kiedy stało się jasne, że wodowanie nie będzie już konieczne, ubezpieczające zespoły ratownicze zostały zwolnione, a ci, którzy nie mieli służby, udali się na spoczynek na pozostałą jeszcze resztkę nocy.

Boeing 747 był w połowie skrętu w prawo, kiedy przeleciał w pobliżu *Grupy Szóstej* na wysokości około pięciu tysięcy stóp. Dwa *Tomcaty* odłączyły od Koreańczyka i pierwszy z nich podchodził już do lądowania na lotniskowcu, a drugi podążał tuż za pierwszym. Przestrzeń startowa przed *George Washingtonem* była pusta. *Hawkeye* i *Tracker* zostały właśnie kolejno wystrzelone z przednich katapult...

I to właśnie w tym momencie, na trzy minuty przed piątą według lokalnego czasu, rankiem 9 października 1994 roku, *USNS George Washington* i pięć innych okrętów, tworzących trzon *Grupy Szóstej*, nagle zamarło.

Szczerze mówiąc „zamarło” jest może określeniem nieco przesadzonym. Ale dla oficerów i załogi tego największego z pływających okrętów, tak to z pewnością wyglądało. Każdy pojedynczy ekran radaru, urządzenie obserwacyjne, monitor i terminal komputerowy - zamarły. Wyglądało to tak, jakby wszystkie włączniki energii zostały na całym statku jednocześnie wyłączone. W głębi okrętu, w strefie nuklearnej, wyłączyły się wszędzie światła i wszelkie sygnały dźwiękowe, a główne i dodatkowe urządzenia kontrolne wszystkich reaktorów oceniły sytuację jako *SCRAM*, superkrytyczną, zanurzając pręty na bezpieczną głębokość w chłodziwo i wyłączając całą siłownię. Automatyczne przełączenie na pomocniczy układ produkcji pary nie nastąpiło. Główne bojlerki nie włączyły się, co uniemożliwiło dalszą produkcję pary i pracę turbin. Ster znieruchomiał. Cała łączność przestała działać. Żadnego odbioru na jakimkolwiek kanale, bo każdy pojedynczy odbiornik i nadajnik przestały działać. Dysk *NAVSAT*, satelity marynarki wojennej, przestał wykonywać swoje niezależne ruchy, tracąc całą łączność w przestworzach. Wszystkie systemy informacyjne sterowania raketami i pokrewne systemy obronne wyłączyły się. W rzeczywistości, poza kilkoma małymi wyjątkami, niemal wszystko, co było zasilane elektrycznie, a było niezbędne dla utrzymania możliwości operacyjnych *George Washingtona*, po prostu przestało działać, wszystko w tym samym momencie. Jednakże oświetlenie, które migotało przez chwilę, powróciło, choć o połowę słabsze, a telefony aktywowane głosem zaczęły działać ponownie.

Kiedy okręt znieruchomiał na wodzie, ludzie zaczęli biegać, a telefony dzwonić. Komandor Henry Reynolds na mostku wcisnął przycisk alarmu „na stanowiska bojowe”, by nie tylko sprawdzić czy on w ogóle działa, ale żeby ostrzec całą załogę. Kiedy alarmowe gongi rozbrzmiały głośno na całym okręcie, nie przygłuszone już teraz przez różne buczenia i dudnienia głównych silników i ruchy samolotów, sięgnął po słuchawkę i wcisnął połączenie wewnętrzne z admirałem.

- Sir, mamy awarię głównych systemów. Potrzebujemy pana pilnie na mostku. - Admirał Lodgers nie odpowiedział. Już biegł wzdłuż korytarza.

Capitan Gurney przypuścił szturm mostek. - Co się do diabła dzieje, panie Reynolds?! - wrzasnął.

- Nie wiem, sir. Peterson przyjmuje tutaj telefony - powiedział komandor, odwracając się do poblądnętego porucznika ze słuchawkami na uszach. - Melduj, Peterson.

- Tak jest, sir - jego głos trząsł się ze zdenerwowania. - Czy mam nadal odbierać telefony, sir?

- Tak! Melduj Peterson - powtórzył Gurney.

- Siłownia nuklearna melduje, że wszystko jest zabezpieczone, ale doszło do wyłączenia się wszystkich systemów. Nie ma pary. Maszynownia melduje, że bojler pomocnicze nie włączyły się. Pomocnicze agregaty prądotwórcze zastartowały, żeby zaspokoić zapotrzebowanie, ale nie wytwarzają energii, a pojemniki parowe do katapult nie napełniły się, więc możliwości katapultowania są zerowe. Mostek - powiedział Peterson do mikrofonu.

Admirał Lodgers, trochę zdyszany, przybył na mostek. - Czy dobrze słyszałem, Brad, nie ma pary?

- Tak jest, sir. Proszę kontynuować, poruczniku.

- Tak jest, sir. Eh.... - Peterson, przerywając na chwilę, starał się uporządkować informację według stopnia ważności.

Lodgers uspokoił go. - Powiedz nam po prostu wszystko co wiesz, Peterson.

- Tak jest, sir. Mostek! - Peterson kontynuował. - Radar melduje, że wszystkie, powtarzam, wszystkie systemy przestały działać. Łączność melduje, że całkowicie przestaliśmy odbierać transmisje. Mostek! - przerwał na chwilę, bo odbierał następny telefon. - Zaczęli wywoływanie na częstotliwościach alarmowych, ale komandor Treedle po wstępnym sprawdzeniu sądzi, że my niczego także nie wysyłamy. Mostek! - Z każdym wypowiedzianym słowem twarze tych, którzy słuchali porucznika Petersona, pokrywały się głębokim odcieniem błądki. - Ster przestał działać, sir. Komandor porucznik Otis poszedł z kimś na rufowe stanowisko sterowe. Mostek! Telefony aktywowane głosem działają. Dział lotnictwa melduje, że dwóm *Hornetom* oczekującym na start wysiadła cała elektronika i wszystkie loty zostały zawieszane. Wszystkie kontakty z dwoma *Tomcatami*, na ich podejściu do lądowania, zostały przerwane i staramy się sygnałami ręcznymi wysłać ich z powrotem w powietrze. Szef służb lotniczych melduje, że ma kłopoty z przestawieniem katapult na obsługę ręczną, ale gdyby nawet mu się to udało, to nie mamy pary, żeby je uruchomić. Całe wyposażenie pomocnicze do lądowania nie działa, a *Tomcatom* pozostało jeszcze paliwo na około cztery minuty lotu. Mostek!

Admirał Lodgers najwyraźniej usłyszał wystarczająco wiele.

- Komandorze Poole, pan zajmie się tym, co jeszcze działa na mostku. Brad, pójdziesz ze mną. Peterson, weź kartkę i zapisuj wszystkie meldunki,

które otrzymujesz. Panie Reynolds, czy megafonowy system nagłaśniający ciągle jeszcze działa na całym okręcie?

- Nie jestem pewien, sir.

- Więc proszę to sprawdzić. Jeżeli w międzyczasie ktokolwiek będzie nas szukał, będzie musiał poczekać. Będę łączył się z Petersonem tak często, jak będę mógł. Kapitan i ja idziemy dokonać pełnego przeglądu. Jasne?

- Tak jest, sir.

- Brad, złap kogoś od roboty papierkowej z notatnikiem, żeby nam towarzyszył i powiedz pozostałym z tego działu, żeby podzielili się na osiem grup i notowali wszystkie informacje. Chcę mieć od nich pełny raport na piśmie za trzydzieści minut na mostku.

- Tak jest - powiedział Gurney, podnosząc na krótko słuchawkę. W ciągu kilku chwil starszy marynarz z notatnikiem przybył na mostek i ruszył za admirałem i jego szefem sztabu w ich obchód inspekcyjny. Choć właściwie, przy tempie kroków admirała, powinno się to raczej nazwać obiegami. Widoczne wszędzie słabe oświetlenie awaryjne wydawało się jedynie akcentować martwość, odczuwaną teraz na okręcie. Lodgers posuwał się przez serce okrętu, nie zwracając uwagi na różne działy, które mijali, wołąc zamiast tego kierować się wprost do łączności. Kiedy weszli do głównego pomieszczenia radiowego, Lodgers nie stanął wobec normalnego gwaru dyżurnych operatorów radiowych, ale wobec krzyków i wrzasków wielu członków załogi, próbujących wywołać kogokolwiek na swych słuchawkach. Sześć aparatów radiowych, wyciągniętych ze swej obudowy, było badanych i sprawdzanych przez różnych techników. Komandor John Treedle był właśnie głęboko pochylony nad własnym odbiornikiem, kiedy admirał dotknął jego ramienia.

- Panie admirale, co się stało? - zapytał szybko Treedle.

- Jeszcze nie wiem. Ma pan coś?

Treedle starał się bardzo, by nie czynić wrażenia podenerwowanego. - Nie, sir. Nic. Sprawdziliśmy każdy aparat. Każde stanowisko zostało obsadzone ludźmi, którzy właśnie starają się połączyć się z kimś, z kimkolwiek.

- Czy możemy usłyszeć odpowiedź, gdyby taka była?

- Nie mogę tego potwierdzić, panie admirale. Mam nawet specjalistę od sygnałów łącznościowych, który pracuje nad naszą czarną skrzynką, ale wciąż bez skutku. Nie słyszymy nawet naszych własnych sygnałów Morse'a, więc kto wie? Może wszyscy nas słyszą, a nam po prostu wysiadły

wszystkie odbiorniki. Ale mogę powiedzieć, panie admirale, że nigdy poprzednio nie spotkałem się z czymś takim.

- Ani ja, Harry. Poślij kogoś ponad pokład z lampą błyskową, żeby przekonać się czy tylko nas to spotkało. Jeżeli jest jakieś sprawne radio w *Grupie Szóstej*, chcę o tym wiedzieć.

- Już się tym zająłem, sir.

- Obserwatorzy na oku?

- Na wszystkich narożnikach; powinni już docierać na miejsca. Musiałem postać z nimi gońców. Przenośne radia też nie działają.

- Świetnie. Nie szcędź wysiłków, Harry.

- Tak jest, panie admirale.

- Jeżeli coś usłyszysz, daj znać Petersonowi na mostku.

- Tak jest, sir - potwierdził Treedle. - A na marginesie, sir, czy wie pan, która jest godzina?

Admirał spojrzął na Treedle'a, jakby zamierzał zakwestionować ważność takich drobiazgów w takiej chwili. Ale zastanowiwszy się nad tym przez moment, spojrzął na zegarek. - No, myślałby kto; mój zegarek także stanął.

Treedle skinął głową. - Tak jak mój, sir.

Lodgers przyjął informację. - Bardzo dobrze, komandorze, proszę kontynuować.

- Dokąd teraz, panie admirale? - zapytał Gurney.

- Wiesz tyle, co i ja - odpowiedział Lodgers kiedy wyszli z pomieszczenia radiowego. - Ale cokolwiek zrobimy, musimy mieć parę.

- Tak jest. - Gurney teraz prowadził na rufę, Lodgers szedł tuż za nim, a marynarz Moody zamykał pochód. W każdej sekcji, którą mijali, ludzie biegali, a rozkazy krzyżowały się w powietrzu, kiedy starano się uruchomić różne elementy wyposażenia kontrolnego. Dwie minuty później admirał Lodgers otworzył ogromne drzwi z napisem „Maszynownia”. Wszystkie pomieszczenia biurowe były puste i dopiero kiedy zaczęli schodzić na dół, na teren głównych bojlerów, spotkali się z komandorem Robertem Medlockiem. Był tam w otoczeniu pięciu inżynierów, wszystkich z podwiniętymi rękawami, ganiających wte i wewte, w miarę, jak padały różne rozkazy. Sam Medlock leżał pod jedną z głównych pomp paliwa.

- Admirał w maszynowni! - krzyknął ktoś i wszyscy zamarli na sekundę, przyjmując postawę zasadniczą.

- Kontynuujcie - rozkazał stanowczo Lodgers.

Medlock, z Maine, przypuszczalnie najstarszy członek załogi na pokładzie *George Washingtona*, wysunął się na płaskim wózku spod pompy. Cieszył się opinią człowieka nie trzymającego się zbyt protokołu, a polegającego bardziej na swojej dewizie, że aby coś zostało zrobione, to „zamiast gadać o tym, rób to”. Leżąc dalej na plecach otarł smar z twarzy. - Dzień dobry, panie admirale. Chciałbym móc przekazać panu jakieś dobre wiadomości. Wygląda na to, że może jakieś będą.

- O co chodzi, Bob?

- Wszystko co wiem, to to, że kiedy wysiadła nam nukleonika, ja, podobnie jak wszyscy inni, oczekiwałem, że choć jeden z naszych głównych bojlerów zaskoczy i zacznie pracować. Ale nie zaskoczyły. Tkwiły tu sobie i tyle. Ani pracy, ani ciśnienia, nic.

- Ile potrwa naprawa? - zapytał Lodgers, schylając się, by lepiej widzieć swojego mechanika.

- Chciałbym móc to panu powiedzieć, sir. Uruchomiliśmy generator dla produkcji ograniczonej ilości energii elektrycznej, ale oprócz tego... - pokręcił głową.

- Czy jest para w komorach trzeciej i czwartej?

- Przykro mi, Bill, nie miałem czasu, żeby się z nimi łączyć. Przypuszczam, że przyszliście od razu prosto tutaj. Ale powinniście mieć wystarczającą ilość w numerach jeden i dwa na jeden start w każdym. Chyba, że... - ale odjęło mu mowę na widok wyrazu twarzy admirała Lodgersa w odpowiedzi na jego wątpliwości.

- Komandorze, nie muszę panu mówić, że bez pary nie możemy posuwać się do przodu, nie możemy katapultować żadnego samolotu, w gruncie rzeczy nic nie możemy.

- Wiem o tym, sir - powiedział Medlock z frustracją w głosie. Po prostu nie wiem ile to zajmie czasu. Będziemy mieli pełne zaopatrzenie w energię elektryczną za około pięć minut, a w ten czy inny sposób, będzie pan miał parę w ciągu trzydziestu minut, choćbym miał tu zbudować bojler gołymi rękami.

- Trzydzieści minut? - zapytał Lodgers. - Aż tak długo?

Medlock wsunął swój wózek z powrotem pod pompę. - Czy chce pan, żeby zrobiło się z tego czterdzieści minut, panie admirale?

- Na pewno nie - powiedział Lodgers spokojnie, prostując się. Lodgers, Gurney i Moody opuścili maszynownię i kontynuowali obchód w kierunku rufy. Pomiędzy ciężkimi pompami i rurami parowymi tylniej

przestrzeni maszynowni mieściło się rufowe stanowisko sterowe. Tutaj, kiedy we trójkę weszli na mały pomost, mieszący się wysoko ponad ślimakowymi wałami napędowymi i przekładnią steru, stało dwóch mężczyzn, słęczących nad ręcznymi korbami.

- Komandor Otis?

- Tak jest, sir. Nie oczekiwałem, że zobaczę pana tu na dole, panie admirale.

- Ani ja.

- A więc, wszystko wygląda względnie dobrze. Ten oto marynarz Perkins jest w stałym kontakcie z mostkiem, no i mamy nareszcie sterowanie.

- Tak, ale nie mamy z tego wielkiej korzyści, kiedy nie możemy posuwać się naprzód.

Lodgers odwrócił się do Perkinsa i powiedział - dajcie mi na moment słuchawki, dobrze? Admirał założył je na czapkę i na drugim końcu linii usłyszał Petersona. - Są jakieś wiadomości dla nas?

- Tak, sir. Sygnaliści meldują, że podobne awarie wystąpiły na *Charlton*, *Lansing* i *Norwich*.

- Radia też nie mają, poruczniku?

- W tej chwili nie, sir.

- Co z resztą floty?

- Próbujemy teraz zebrać od nich informacje, sir.

- Czy coś jeszcze?

- Nie, sir, z wyjątkiem tego, że obydwa *Tomcaty* doznały przed lądowaniem kompletnej awarii elektroniki i wylądowały tylko na hydraulicie. Jeden z nich, sądzę, że *Shadows pięć*, doznał rozległych uszkodzeń podwozia.

- Świetnie! - wymamrotał Lodgers. - Można go ruszyć?

- Tak jest, sir. Został teraz przecignięty na stanowisko numer trzy. *Hawkeye* i *Viking*, które wystartowały tuż przed uderzeniem, także doznały uszkodzeń i starają się obecnie wrócić na pokład, ale trudno im operować ręcznie instalacjami. Szef lotnictwa ma wszystkich dostępnych ludzi na górze, ale jest paskudnie, sir; jego słowa, nie moje.

Admirał Lodgers oddał słuchawki Perkinsowi, spojrzął na Otisa, powiedział: - Proszę nie szczędzić wysiłków, komandorze - i wyszedł, by wspiąć się po schodach do głównych hangarów. Admirał, pomimo swoich lat, wbiegał pewnie po schodach przed Gumeylem i Moody'm. - No dobrze, nie możemy wysyłać ani otrzymywać wiadomości, ale możemy mieć parę w

ciągu trzydziestu minut. Zobaczmy, czy możemy wysłać coś w powietrze. - Kiedy weszli na teren stanowisk dolnego hangaru, nadbiegł komandor porucznik Ingrams.

- Jest już coś?

- Przykro mi, panie admirale. Wygląda na to, że wysiadło wszystko, co jest związane z elektroniką lotniczą. - Ingrams dotrzymywał kroku tym trzem, kiedy szli szybko pomiędzy licznymi drabinkami i stopniami wokół zaparkowanego samolotu, w kierunku przedniego wyjścia, odległego o dwieście jardów. Cały hangar był pełen techników, pełen ruchu, pełen problemów. W tym momencie światła zaświeciły jaśniej, a z tyłu za nimi *Stanowisko Pierwsze* zaczęło zjeżdżać w dół, wypełniając hangar dźwiękiem pracy wyciągarek i podmuchem zimnego, porannego powietrza.

- Bob rozruszał główne generatory - powiedział głośno Gourney.

- Szkoda, że nie można nimi latać - ripostował Ingrams, dotrzymując kroku admirałowi.

- Żadne helikoptery, radia, zupełnie nic nie działa?

- Nic, sir - potwierdził Ingrams.

- Komandor Davies jest na górze, panie admirale, jeżeli pan go potrzebuje.

- Nie, w porządku. Co w szczególności mógłby mi pan powiedzieć?

- Niewiele. Sprawdził trzy *Hornety* i jednego *Tomcata*, ale cała elektronika nie działa. Sprawdza teraz *Sea Kinga* i *A-6*.

- A pan?

- To samo tu na dole, sir. Pracujemy nad wszystkim, co działało w nocy i w tej chwili mamy taką samą sytuację. Wygląda na to, że cała elektronika przestała działać. Hydraulika w starszych samolotach jest w porządku, ale dopóki nie ma się ochotnika, który chciałby spróbować startu jedynie w oparciu o zwykłą siłę, sir...?

- Nawet gdybym ja się zgłosił, czego nie zrobię, to i tak nie możemy.

- Co takiego, sir? Nawet z przednich katapult?

- Nie.

- O rany, co za pech.

- To, czego potrzebujemy, to trochę szczęścia. Więc niech pan działa dalej i znajdzie go trochę, komandorze - powiedział miękko Lodgers.

- Tak jest, sir - potwierdził Ingrams i odwrócił się, by pobiec z powrotem do *F/A-18*. W chwilę później Ingrams kontynuował już kontrolowanie samolotów, aż do ostatniego i rzeczywiście spotkało go w tym trochę szczęścia.

Opuściwszy hangar trójka poszła do miejsca, gdzie honorowe miejsce zajmowały czerwone znaki ostrzegawcze i napisy „wstęp wzbroniony”.

- Zapisujesz to wszystko, Moody? - zapytał Lodgers nie odwracając się.

- Tak jest, sir. Czy mam wejść za panem do środka, sir?

- Czemu nie? I tak nic nie pracuje.

Marynarz wystąpił naprzód i otworzył duże, opancerzone drzwi zewnętrzne, a następnie drzwi wewnętrzne do działu nuklearnego. Normalnie rejon ten był utrzymywany w stanie nieskazitelnie czystym, uporządkowanym i świetnie zorganizowanym, ale dzisiejszy dzień nie był normalny. Na podłodze leżały wokół płytki obwodów drukowanych, widać było wszędzie pootwierane skrzynki z narzędziami i dziewięciu oficerów wraz z załogą, pracujących gorączkowo przy sprawdzaniu wyposażenia i części zamiennych.

Kapitan Gurney wywołał dowódcę działu. - Komandor Huffman?

- Jestem - doszedł ich stłumiony głos ze środka obudowy. Para nóg zaczęła przesuwając się do tyłu i młody komandor, dojrzawszy admirała Lodgersa i kapitana Gurney'a zerwał się na równe nogi,

- Komandor Huffman obecny, sir.

Lodgers popatrzył na komandora, przypominając sobie zdjęcia tego technika z zawodów koszykówki w college'u, które pokazano mu pierwszego dnia pobytu Huffmana na okręcie. - Spocznij, Mike.

- Tak jest, sir - odpowiedział Huffman, poprawiając swój krawat.

- Żadnego wycieku?

- Nie, sir. Meldowałem już wcześniej, że wszystko jest bezpieczne.

- Wiem. Co o tym myślisz?

- No cóż, sir, przykro mi, że nie mogę dać panu w tej chwili żadnego grzania, panie admirale, ale wydaje się, jakby większość naszych obwodów elektrycznych wysiadła.

- Co to znaczy wysiadła, dokładnie? - zapytał admirał.

- Cóż, naprawdę nie jestem pewien, sir. Trudno jest diagnozować, kiedy program, jakiego używa się do ostatecznego ustalenia diagnozy także wysiadł. Wszystko, co próbowałem zrobić, to zamontować niektóre części zamienne, które pozwolą nam znów ruszyć.

- Zrobiłeś to? - powiedział kapitan.

- Właśnie o to chodzi, sir. Nie, nie zrobiłem - powiedział Huffman, odwracając się na krótko do Gurney'a.

Lodgers kontynuował. - Co to znaczy, nie zrobiłeś? Mamy przecież

magazyny, które powinny mieć kompletne zespoły części zamiennych dla wszystkiego co tu jest wokoło!

- Dokładnie tak, sir. Więc najpierw próbowaliśmy. Ale tak jak elementy podstawowe, tak części zamienne dla nich nie wypadły wcale lepiej.

- Chcesz powiedzieć, że zastartowały i wtedy wysiadły?

- Nie, sir. Były już martwe, zanim je zainstalowaliśmy.

Lodgers nie mógł uwierzyć własnym uszom. - Wszystkie?

- Tak, sir. Każda pojedyncza sztuka.

- To co teraz zrobimy?

- Paru moich chłopaków próbuje ustalić, które części obwodów wysiadły, a które nie, ale tak jak powiedziałem uprzednio, sir, to jest prawie niemożliwe.

- Czy możecie wziąć jakieś sprawne części jednego obwodu i użyć ich jako uzupełnienie za uszkodzone kawałki drugiego?

- To nie jest takie proste, sir, ale rozważamy inną możliwość.

Lodgers odwrócił się i powiedział do nikogo w szczególności - wynosimy się stąd.

- Sir? - zawołał Huffman kiedy wychodzili.

- Tak? - Lodgers odwrócił się na chwilę.

- Czy był pan już w centrum dowodzenia, panie admirale?

- Idę tam teraz.

- Chciałbym wiedzieć czy oni mają te same problemy z ich zapasami.

- Zadzwoimy do ciebie, jak tylko będziemy wiedzieli.

Trio pozostawiło Huffmana jego urządzeniom i szybko udało się na górę, do bojowego centrum informacyjnego.

Tutaj ponownie, to była ta sama historia. Zamiast przygaszonych świateł, jaskrawych ekranów i przyciszonych rozmów, pokój był pełen światła z widoczną wszędzie dezorganizacją.

- Panie admirale? - powiedział komandor Wooten, pozdrawiając trzech wchodzących.

- Jest jakiś sukces? - zapytał Gurney.

- To po prostu niewiarygodne, sir. W jednej minucie wszystko działa, a w następnej już nic.

- Zapasy zawiodły także? - Lodgers na tyle stwierdził co i pytał.

- Tak jest - potwierdził Wooten, posyłając admirałowi lekko zdziwione spojrzenie. - Skąd pan wie?

Lodgers zignorował pytanie. - Którą masz godzinę?

Wooten podwinął rękaw. - No więc jest... ee...

- Nie jesteś pierwszy, z którym dzisiaj rozmawialiśmy, Frank.
- No cóż, tak czy inaczej, sir, użyliśmy wszystkich części zapasowych, jakie mieliśmy i ciągle nic. Mam tutaj siedemnastu specjalistów cywilnych, wszyscy z nich pracują w firmach, które wszystko to instalowały i żaden z nich nie potrafi niczego uruchomić ponownie. Równie dobrze mógłby pan przerobić to miejsce na poczekalnię na wszelkie ich osiągnięcia.

- To nie ich wina, Frank.

- Wiem - przyznał Wooten.

- To wszystko wydaje się wprost nieprawdopodobne - zauważył Gurney.

- Wiem, sir, ale się wydarzyło. Nie możemy rozpoznać kierunku, w jakim się przesuwamy, nie możemy z nikim rozmawiać i płączemy się po Zatoce, jak kawałek dryftowego drewna.

- Jak daleko do brzegu?

- Być może dziesięć mil.

- Czy istnieje niebezpieczeństwo wejścia na mieliznę?

- Nie sądzę, sir. W czasie kiedy to się wydarzyło szliśmy w kierunku północno-wschodnim. Jest lekka bryza i odpływ, który mógłby nawet pomóc. Chwilowo jednak wszystko co możemy zrobić, to mieć nadzieję, że nie zdryfujemy zbyt blisko jakiejś innej jednostki w *Grupie*, panie admirałe.

- Słusznie. Masz połączenie z mostkiem? - Wooten wręczył admirałowi słuchawkę. - Peterson, jest coś?

- Tak jest, sir. Obserwatorzy donoszą o czterech do pięciu obcych samolotach dostrzeżonych z lewej burty.

- Zaraz tam będę. Odszukajcie komandora Davisa i niech spotka się ze mną na mostku.

Admirał Lodgers odłożył słuchawkę i trójka wyszła na mostek, a Gurney zanotował, żeby zadzwonić do Huffmana.

Na dole, w łączności, porucznik Tom Forest podszedł do swego szefa.

- Sir? - powiedział nagle.

- Tak, o co chodzi? - powiedział Treedle, spoglądając znad jakiejś zębaki, którą był zajęty.

- Proszę spojrzeć na to - powiedział Forest, podając mu do obejrzenia dwa małe zestawy słuchawek z mikrofonami.

- No co - przecież to stare, dwukierunkowe radia, których mieliśmy zwyczaj używać w nagłych przypadkach. Co z nimi?

- One działają, sir. Wszystko z nimi w porządku.
- Żartujesz! - wykrzyknął Treedle, chwytając słuchawki i włączając je.
- Nie, sir. Kiedy upewniłem się, że nic z zapasów nie działa, zacząłem przeszukiwać nasz sprzęt awaryjny i znalazłem te małe cudeńka, leżące sobie na półce i gromadzące kurz. Chwyciłem kilka baterii i - bingo!

- Mamy tego więcej, Forest?

- Tak, sir. Michaels je teraz przegląda. - W tym momencie podszedł porucznik Peter Michaels, niosąc następnych osiem. - Czy one wszystkie działają, Michaels? - zapytał z nadzieją Treedle.

- Tak jest, sir. Każda sztuka.

- Dobra! Michaels, zanieś cztery z nich na górę do obserwatorów.

- Tak jest, sir - powiedział Michaels, kładąc pozostałe na biurku w pobliżu i skierował się do drzwi.

- Forest, ponieważ ty je znalazłeś, zanieś jedno z nich do admirała Lodgersa na mostek i jedno do komandora Wootena w centrum informacyjnym. Następnie ściągnij z góry gońców i ustaw się na pokładzie, gdzie jest najlepszy odbiór. Gdybyś potrzebował jednego lub dwóch gońców dla siebie, użyj kogoś z tych czterech marynarzy, których posłałem na górę. Ostatnie radio ja zatrzymam tutaj.

- Tak jest, sir - powiedział Forest, biorąc jeszcze jedno.

- Zrób próbę, a następnie łącz się ze mną jak tylko zajmiesz pozycję.

- Tak jest, sir! - potwierdził Forest i ruszył w stronę drzwi.

- Aha, Tom? - powiedział Treedle, zatrzymując swego porucznika w miejscu.

- Sir?

Komandor Treedle uśmiechnął się przelotnie i powiedział - dobra robota.

Admirał Lodgers i kapitan Gurney dotarli na mostek.

- Billings? - powiedział Lodgers zdejmując marynarkę i oddając ją swemu pomocnikowi. - Przynies panu kapitanowi i mnie filiżankę świeżej kawy, dobrze? Mam nadzieję, że ekspres do kawy jeszcze działa. - Billings skinął głową, a admirał zwrócił się do porucznika. - Peterson, no to co tu ostatecznie widziano?

- Sygnalista Price melduje się, sir - powiedział Price, występując na przód. - Nasze przednie posterunki obserwowały cztery do pięciu *Migów* z lewej burty.

- Zobaczmy. - Lodgers wziął noktowizor od Price'a i spojrział przez

odchylone od pionu okna po lewej. Trwało kilka sekund, zanim jego oczy przystosowały się do względnych ciemności, ale nawet wtedy nie dojrzał niczego.

- To ich maszyny, sir - wykrzyknął Price, wskazując na prawo od siebie.

Zanim Lodgers ponownie podniósł noktowizor do oczu, uchwycił gołym okiem dalekie, migocące światła. Wyostrzył obraz i miał teraz widok pięciu *Migów*, lecących na wysokości trzech tysięcy stóp z prędkością około dwustu węzłów.

- Skąd znasz ich *Migi*, Price?

- Kiedy je widzieliśmy po raz pierwszy, przelatywały wprost nad *Grupą Szóstą*, sir. Nie pomylę się, kiedy chodzi o *Miga*, sir.

- Jest już jakaś identyfikacja?

- Przypuszczam, że irańskie, sir - odpowiedział Price.

- Panie admirale?

- Tak, Peterson.

- Komandor porucznik Ingrams melduje, że ma jednego dobrze działającego *F/A-18*, sir.

- Co takiego?! - krzyknął Lodgers.

- Całkowicie sprawnego? - wtrącił się Gurney.

- Nie wiem, sir.

- Połącz mnie z Ingramsem - ponaglił Lodgers.

- Tak jest, sir. - Wszedł Billings z dwiema filiżankami kawy, które zostały kolejno wręczone.

Lodgers pociągnął ze swojej i jakby odświeżony jej zawartością i trochę pod wrażeniem, że coś jednak na *GW* ciągle działa, przyjął bardziej władczą postawę. - No, nareszcie do czegoś doszliśmy. Price, czy są jakieś wiadomości o reszcie floty?

- Sir, wygląda na to, że każdy okręt ma ten sam rodzaj problemów, co my. Nie ma napędu, nie ma radia, nie ma niczego.

- Odległości?

- Grupa wydaje się być w dobrym stanie, sir, z wyjątkiem *Norwich*. Ona zdryfowała ku *Ticonderoga* na odległość w granicach tysiąca stóp.

- Cholera.

- Komandor Davis melduje się na służbie, panie admirale - doszedł głos z tyłu.

- A, komandor. Proszę zameldować się na moim mostku. Będę tam za chwilę.

- Tak jest, sir. - Davis natychmiast udał się na pokład admiralski.
- Komandor Ingrams na linii do pana, panie admirale - powiedział Peterson.

Lodgers sięgnął po słuchawkę. - Ingrams, *Hornet*, powiadasz?

- Tak jest, sir - odpowiedział Ingrams.

- Jak to się stało?

- Nie jestem jeszcze pewien, sir.

- Helikoptery?

- Nie, sir.

- No dobra, daj tego *F/A-18* na górę tak szybko, jak możesz.

- Sprawa w toku, panie admirale. Powinien być gotów do drogi w siedem lub osiem minut. Czy katapulty już działają?

- Nie. Słuchaj. Chcę, żeby wszyscy dostępni członkowie załogi usunęli z tego *Horneta* wszystko co się da z wyjątkiem pary AMRAAM. I nie lejcie do baków więcej niż na parę godzin lotu. Wszystko inne ma być usunięte, także *Vulcan*, a macie na to sześć minut, nie osiem.

- Tak jest, sir.

Odezwał się Peterson. - Na linii szef służby lotniczej do pana, sir.

- Tak?

- *Hummer* wraca, sir.

- Co to znaczy?

- Prowadził tam obserwację *Migów*. Kiedy nie odpowiadaliśmy, wrócili żeby na nas zerknąć. Zbliżają się teraz do *Grupy*.

- Pomachajcie mu na pożegnanie. Chcę, żeby na razie pozostał w powietrzu. Utrzymujcie go w powietrzu i utrzymujcie z nim kontakt z pomocą radia. Ile pozostało im paliwa?

- Bardzo dużo, sir. Ale żaden z naszych aparatów radiowych nie działa, sir.

- Wiem. Więc użyjcie sygnalizacji świetlnej Morse'a - rozkazał Lodgers, wykazując oznaki irytacji.

- Ale nie jestem pewien czy ktokolwiek, tam na górze, w *Hummerze*, zna alfabet Morse'a, sir.

- Co pan chce przez to powiedzieć, komandorze?

- Chcę przez to powiedzieć, sir, że już od dłuższego czasu nie nauczyło się alfabetu Morse'a nikogo w marynarce, poza służbą sygnalizacyjną.

- No cóż, to dla mnie coś nowego - zawołał Lodgers i spojrzął w koło na stojących przy nim. - A co z ich radiooperatorem?

- Spróbujemy, sir, ale nie jestem pewien czy on jest przy oknie, chyba że przeszedł gdzieś do przodu.

- No to sprowadźcie ich na pokład tak szybko jak można i ściągnijcie kogoś z łączności żeby złapał za ich radio i zaczął robić piekło.

- Tak jest, sir. - Lodgers odłożył słuchawkę i zwrócił się do Gurney'a.

- Poinformowano mnie właśnie, że nie uczymy już w ogóle alfabetu Morse'a, jako warunku zasadniczego przy wstępowaniu do marynarki!

- To prawda, sir. W tych czasach przerabia to tylko służba sygnalizacyjna.

- Wspaniale, Brad! A przy okazji, możliwość, którą omawialiśmy idąc tu na górę, może być właśnie realna. Zejdź na koniec pokładu rufowego i upewnij się czy są gotowi. - Gurney wyszedł z kawą w ręku, by zejść na pokład. - Komandorze Pool, zostawiam panu, eh, mostek.

Na górze, na mostku admirałskim, komandor Brian Davis obserwował światła pięciu odległych samolotów, kiedy wszedł admirał Lodgers i podszedł do szafki, żeby nalać sobie drinka.

- Chcesz jednego, Brian?

- Nie, dziękuję, panie admirałe. Wygląda na to, że mamy towarzystwo, sir.

Lodgers spojrział na krótko w stronę okna, a następnie zmienił temat.

- Posłuchaj, Brian. - Ton jego głosu pobrzmiwał śladem desperacji. - W tej chwili posiadam najbardziej kosztowną jamę w wodzie, jaką kiedykolwiek zbudowano. Na zewnątrz jest sześć okrętów, które prawie dotykają się nawzajem kolanami pod stołem. Cztery rosyjskie łodzie podwodne podkradają się coraz bliżej nas, a teraz jeszcze pięć *Migów* tłucze do naszych tylnych drzwi. Muszę mieć w powietrzu jakiś czynnik odstraszący.

- Lodgers pociągnął łyk i usiadł przy biurku. - Normalnie, jak wiesz, ciągle jeszcze mógłbym cię wystartować przy użyciu katapult, zakładając oczywiście, że dysponujemy czymś sprawnym. Jednakże, przez zwykły pech, katapulty trzecia i czwarta przechodziły właśnie konserwację, a dwie przednie zostały rozładowane na kilka sekund przed tym, jak wszystko się wyłączyło. Mają trochę ciśnienia, ale to nie wystarczy do katapultowania. - Lodgers pociągnął jeszcze jeden łyk swego drinka i pochylił się do przodu, a światło stojącej na biurku lampy wyjawiało pewne oznaki strapienia na twarzy admirała. - A oto czego chcę się od ciebie dowiedzieć. W tej właśnie chwili z *F/A-18* usuwa się wszystko, także i *Wulcana*. Z wyjątkiem pary sto dwudziestek i ćwierć baku paliwa, będziesz goły. A co ważniejsze, nie

będziesz miał przecież ciśnienia w katapulcie. Ale mając do dyspozycji najdłuższy pływający pas startowy, wyłączając tylne dysze nad końcem pokładu rufowego i używając tylko dopalaczy *Horneta*, czy możesz uzyskać na trzystu trzydziestu jardach odpowiednią prędkość, żeby bezpiecznie wystartować?

Przez moment Davis wyglądał na zaszokowanego.

- Sir, pan chce żebym wystartował bez pomocy katapult?
- Zgadza się - powiedział Lodgers, odchylając się do tyłu na swym fotelu. - W czasie Drugiej Wojny Światowej katapultowałem 30 B-25 z pokładu o wiele krótszego niż ten bez problemów, a te maszyny były załadowane bombami. A teraz jestem tu z najdłuższym pływającym pokładem na świecie i nic. Ale nie spiesz się. Dam ci dwie minuty. Wszystko co masz do zrobienia, to obliczyć wagę i tempo przyspieszania opróżnionego samolotu, i prędkość startową, biorąc pod uwagę długość pokładu startowego.

- W San Diego nigdy nawet nie próbowaliśmy tego, panie admirale.

- Wiem. Ale czy to się da zrobić? Pomyślałem, że jeśli ktokolwiek może, to właśnie ty.

- Czy mogę wykonać szybki telefon?

- Oczywiście - powiedział Lodgers i obydwaj drgnęli na głos brzęczyka jednego z telefonów admirała. Podczas gdy Lodgers odbierał telefon, Davis podniósł drugą słuchawkę i odszukał Huntera, zajętego jakimiś własnymi problemami.

Kiedy obydwie te rozmowy zostały zakończone, Lodgers kontynuował.
- Odrobina dobrych wiadomości. Znaleźliśmy jakieś stare, dwukierunkowe radia, które działają i Brad usiłuje porozumieć się lampą błyskową z *Lansingiem* żeby się dowiedzieć, czy oni mają również takie same. Jeżeli mają, to możemy mieć łączność między okrętami. No więc, jak brzmi twoja opinia?

- To samobójstwo, sir. Bez około trzydziestu węzłów, na które możemy normalnie liczyć, zadanie jest po prostu niewykonalne. Poza tym, nasze dopalacze zamocowane w dyszach, osiągają zwykle pełną moc zanim wystartujemy. A z kolei, kiedy maszyna stoi luzem na pokładzie, same nasze hamulce nigdy nas nie utrzymają. No i zanim zbliżymy się do pełnej siły ciągu, będziemy już w połowie pokładu i mamy pewną kąpiel.

- Rozumiem co masz na myśli.

- Żeby utrzymać jakąkolwiek szansę powodzenia, dopalacze muszą osiągnąć pełną moc, zanim ruszymy do przodu choćby o cal, ale same

klocki pod kołami niewiele nam tu dadzą. Czy on jest zupełnie opróżniony?

- Na tyle, na ile było można.

W tej właśnie chwili odgłos pięciu odrzutowców, przelatujących nisko nad głowami, zmusił Lodgersa i jego gościa do wybiegnięcia na zewnątrz, do relingów.

- Znów te *Migi!* - krzyknął Davis.

- Założę się, że wyglądamy im strasznie głupio - zauważył z zażenowaniem Lodgers.

- Tak - zgodził się Davis. - Dobrze, że mamy zapalone choć światła pozycyjne.

- No i mogli nie zauważyć, że siedem najlepszych okrętów marynarki Stanów Zjednoczonych kręci się na wszystkie strony i robi po dwa węzły jedynie dzięki odpływowi! - wykrzyknął Lodgers.

Davis spojrział na admirała, dosłyszał ton desperacji w jego głosie i spróbował pokrzepić swojego szefa.

- Ale możemy to wszystko zmienić, kiedy tylko będziemy mogli wystać coś w powietrze. W jakim czasie będziemy mieli parę?

Lodgers spojrział na swój zegarek, ale przypomniał sobie, że nie chodzi.

- Stary Medlock powiedział mi, że za trzydzieści minut, to jest za dwadzieścia dwie minuty od tej chwili, nawet jeżeli zmieści się w tym czasie. Jeżeli nie zdąży, to kto wie, kiedy to nastąpi.

Lodgers popatrzył w górę na cichnące w oddaleniu *Migi*, a później z powrotem na Davisa, ale komandora już nie było. Admirał oparł się o poręcz i spojrział na kilka małych smug porannych szarości, podkradających się ze wschodu. Kiedy pięć kompletów błyskających światełek zniknęło z jego pola widzenia, kierując się ku północy, Lodgers poczuł się nagle bardzo samotny.

Chociaż w tym momencie admirał był głęboko zaniepokojony tym, że teraz cały Iran będzie wiedział o ich problemach, nie był świadom tego, że tak samo będzie tym zaniepokojonych parę innych osób, wliczając w to admirała Pata Swansona, lot dyżurny *AWACS*, oraz pilota *Harriera II*, będącego już w drodze do lotniskowca.

Rozdział Trzydziesty Ósmy

Przedmieścia Bahrajnu. Ulica Afdaal

05:19 czasu lokalnego (02:19 GMT)

Ulice tego względnie dobrze utrzymanego przedmieścia Bahrajnu były czyste i dobrze oświetlone i kiedy koła ciemnoniebieskiej *Toyoty* cicho skręciły w ulicę Afdaal, nikt się nawet nie obudził. Kierowca zatrzymał swój pojazd przed małym, skromnym domkiem, wyłączył światła i silnik, a dwaj oficerowie marynarki wojennej w pełnym umundurowaniu wysiedli i podeszli równym krokiem do drzwi wejściowych domku. Po kilku sekundach dzwonienia drzwi otworzyły się.

- Kapitan Sanders i porucznik Edin do komandora Danfortha - powiedział Sanders do stojącej w drzwiach nastolatki.

- Jest na tarasie i piecze hamburgery na grillu. Zapraszam do nas - uśmiechnęła się i wprowadziła ich do wnętrza.

- Nie, dziękujemy, musimy tylko zobaczyć się na moment z panem komandorem, - odpowiedział Sanders, wchodząc za nią do dużego pokoju. Na jego końcu zobaczył szeroko otwarte drzwi na taras, a zapach pieczonych specjalów wypełniał całe pomieszczenie.

- Tato, ktoś do ciebie.

Danforth wszedł do pokoju. - Tak, a kto? - Zanim córka zdążyła odpowiedzieć, Sanders odezwał się pierwszy.

- Sir, chcieliśmy się z panem połączyć, ale pański pager chyba nie działa.

- No dobrze. Z jakiej przyczyny przynosicie mi wiadomość we dwójkę?

- Ee... sir, - Sanders mówiąc to ciągle salutował - „Wygrał pan pierwszą nagrodę w zakładach pieniężnych admirała Rickenbackera”.

- Zaraz idę - Danforth zaczął spieszenie odpinać w pasie fartuch, jaki miał na sobie.

- Dziękuję, sir - odpowiedział starszy z przybyszów, zamykając drzwi wejściowe.

- Czy pan wie cokolwiek w tej sprawie, panie kapitanie? - zapytał Danforth.

- Nie, sir. Tylko tyle, że to jest *Czarny Alert*.
- Czy wie pan co to oznacza?
- Tak naprawdę, to nie, sir.
- I pewnie najlepiej będzie, jak tak zostanie. Czy powiadomiono resztę mojego zespołu?
 - O ile wiem, to tak, sir. W samochodzie jest telefon do pana dyspozycji. - Komandor Jack Danforth, teraz w pełnym umundurowaniu, wyszedł z łazienki. Kapitan, który nigdy przedtem nie spotkał komandora, spojrzał na trzymany w ręku identyfikator i zadowolony, że obraz i postura pięciu stóp i dziesięciu cali oraz stu osiemdziesięciu funtów pasuje do jego rozmówcy, zapytał:
 - Czy mogę wziąć pańskie bagaże, sir? - wsuwając plastikowy identyfikator z powrotem do kieszeni.
 - Oczywiście, tą brązową, przy tamtych drzwiach. - Danforth wziął czapkę i szeroką ale cienką metalową walizkę i pośród uwag: „Czy to nie może poczekać do jutra” i „Czy masz ze sobą...” pospiesznie uściskał i ucałował w policzek wszystkich członków rodziny i wysunął się przez drzwi za przybyłymi oficerami.
 - Dobra, jedźmy. Mam przecucie, że paru marynarzy czeka na mnie.
- W przeciągu dwudziestu minut cały zespół był już w powietrzu, kierując się na południe.

Rozdział Trzydziesty Dziewiąty

Cieśnina Ormuz. Żłota Foka

06:28 czasu lokalnego (02:28 GMT)

Wprowadzenie zespołu na szczyt uskoku przebiegło dobrze. Wszyscy członkowie zespołu, każdy wyposażony w mikrosluchawki, znali się dobrze na posługiwaniu się wielokrążkowym systemem rolek i kiedy Fielding osiągnęła szczyt urwiska, do końca jej liny przywiązano jeden z dwóch worków ze sprzętem. Następnie zmontowano komplet dolnej rolki. Było w nim kółko, umieszczone wewnątrz niedużej, ale mocnej ramy. Ramę tą kotwiczyło się przy pomocy dźwigni z zębatką i urządzeniem blokującym, biegnącym przez ramę pod kątem czterdziestu pięciu stopni od jej przedniej dolnej do tylnej górnej krawędzi. Teren u podstawy uskoku został uprzątnięty, a w ścianie skalnej wywiercono silną wiertarką akumulatorową niewielki, ale głęboki otwór, skierowany w górę pod takim samym kątem, jak urządzenie blokujące. Równoległe do ściany skalnej i tuż przy niej rozłożono i wcisnięto w mokry piasek cienką, ale mocną płytkę z włókien węglowych. Następnie przyniesiono ramę i ustawiono ją stabilnie na miejsce pod skałą, przy wywierconym otworze, gotowym pomieścić wystający górny pręt blokujący ramy. Kiedy zaczęto powoli pompować dźwignią, górny pręt ruszył skośnie w górę, w kierunku otworu, a dwie oddzielne podpory, przymocowane do dolnego pręta, zaczęły wciskać się w płytkę. Już po ośmiu pchnięciach dźwigni całe urządzenie rolki zostało solidnie zamocowane. Sto osiemdziesiąt stóp wyżej praca była o wiele prostsza. Zdjęcia lotnicze ujawniły obecność kilku małych drzew, rosnących o dwadzieścia jardów od krawędzi uskoku, więc po szybkim śmignięciu w dół lekkiej, nierozciągliwej linki, następna rolka wraz z obudową zostały wciągnięte z dołu i stabilnie umocowane w przewieszanej pozycji na krawędzi uskoku. Fielding przewlekła linę przez rolkę a następnie rzuciła obydwie końce liny zespołowi na dole. Jeden koniec Buddy przywiązał do jednego z czterech dużych worów, podczas gdy drugi koniec liny został przeciągnięty przez kółko dolnej rolki, u podstawy skały, a stąd dalej, na plażę. Wykonano jeszcze jeden końcowy ruch pompujący dźwignią, a Bill, Phill, Canny i

Chancey ujeli koniec liny i zaczęli pociągać ją w dół plaży, w kierunku przyboju. Przywiązany do liny wór ruszył teraz w górę, posuwając się gładko i szybko po ścianie uskoku.

Ponieważ światło poranka zaczęło już wędrować po skałach, grupa mogła łatwiej dostrzec kiedy zaprzestać wciągania. Fielding włożyła swoją uprząż do pustego worka i przerzuciła go przez krawędź. Kiedy opadł na dół, Buddy wyjął z niego uprząż, założył ją, zwinął worek i przypiął go do pasa. Zespół ciągnący też wpiął się do liny w ustawieniu jak do zawodów w jej przeciąganiu i naciągnął ją. Kiedy stopy Buddy'ego miały już unieść się z ziemi, najpierw podskoczył nieco i opadł na linie, żeby wypróbować jej pracę na rolkach i uznawszy, że wszystko wygląda bezpiecznie, dał sygnał do startu. Odchylony mocno do tyłu przebierał teraz nogami po ścianie i w czasie, który jest potrzebny, by policzyć do sześćdziesięciu, Buddy dotarł do szczytu uskoku. Raz czy dwa ktoś z ciągnącego zespołu stracił równowagę na mokrym piasku, ale nie na tyle, by zaburzyć tempo, w jakim Buddy przesuwiał się ku górze. Na szczycie uskoku Buddy mocno uchwycił rolkę, przewinął się przez krawędź na bezpieczny płaski teren, wstał, wyprostował się, i uwolnił się z uprzęży

- Dobra robota, Charlie.
- Chyba prosiłam cię, żebyś zajął się sprawami na dole?
- Owszem, ale oeniłem, że ty, tu na górze, bardziej potrzebujesz pomocy. - Zauważył teraz skaleczenia na jej ramionach i nogach. - O rany, wyglądasz jak nieboskie stworzenie. Czujesz się dobrze?
- No pewnie. Jak myślisz, kiedy będzie tu Digger? - powiedziała Fielding, oklejając lewe kolano prestoplastem.

Buddy spojrział na zegarek. - Może za jakieś dziesięć minut, mamy czas.

- Po co czekać?
- Ponieważ dla trzech z nich taka podróż w górę o własnych siłach nie będzie wystarczająco bezpieczna.
- Rozumiem. A gdyby tak pięciu?
- Co masz na myśli? - powiedział z zaciekawieniem Buddy, wkładając uprząż z powrotem do worka.
- Możemy mieć tu wszystkich na górze zanim przybędzie Digger. Właśnie dlatego, na wszelki wypadek, mamy podwójną rolkę w górnej ramie - powiedziała Fielding z ufnością. - Włącz to swoje radio i powiedz jednemu z chłopaków, żeby wyjął z worka zapasową uprząż i założył ją.

Buddy rzucił Fielding krótkie, pytające spojrzenie, ale sięgnął po radio, żeby wydać rozkazy. Fielding najpierw chwyciła kilka kamieni i wrzuciła je do worka, potem sięgnęła do własnego i wyciągnęła krótszą linę, przywiązała jeden koniec do worka z kamieniami i trzymając drugi jej koniec opuściła worek w dół na plażę.

Na dole Chancey był już zapięty w uprzęż kiedy worek z dwiema przywiązanymi linami wylądował u podstawy. Wpiął obydwie liny w uprzęż i powiedział „start”. Bill, Phil i Canny napięli linę z dołu, a Buddy i Fielding upewnili się, że każda z lin przesuwają się lekko po rolkach. Przy trzech ludziach, ciągnących od dołu i Buddy'm i Fielding, ciągnącymi od góry, Chancey przebył ścianę nawet szybciej, niż zrobił to Buddy. Cała procedura została powtórzona dla Billa, z Chancey'em ciągnącym teraz od góry. Teraz i Phil poszedł w ślady kolegów, podczas gdy Canny zwolnił napięcie blokady, rozmontował ramę, złożył ją i włożył do jej czarnego pokrowca i właśnie chował ją za skałą, kiedy na plaży pojawili się Digger i Doug. W dziesięć minut później, kiedy Fielding przebrała się, Digger dokonał oceny całej sytuacji. Było oczywiste, że pozostawienie ich towarzyszek tutaj, z minimalną przecież osłoną, mogło być niebezpieczne. Tak więc, ukrywając sprzęt, rozdzielając miny, broń i słuchawki, sprawdzając mapy i kompas, z Doug'iem, niosącym ich główny aparat radiowy, ruszyli wszyscy ostrożnie w głąb lądu.

Rozdział Czterdziesty

Baza Gonzo. USNS George Washington CVN-90

05:38 czasu lokalnego (02:38 GMT)

Davis, ubrany do lotu, przeprowadzał ostatnie procedury kontrolne. Dla komandora Davisa, *F/A-18 Hornet* był zawsze stosunkowo małym samolotem, ale radzącym sobie z łatwością ze wstrząsami i uderzeniami, związanymi ze startami z lotniskowca. Ale teraz, kiedy spoglądał w górę, na kabinę pilota w tym swoim wiernym wierzchołku, zaparkowanym niebezpiecznie blisko rufowego końca pokładu startowego lotniskowca, to wydawał się on wypiętrzać się nad nim do całkiem dużych rozmiarów. *Hornet* tkwił jak biały gołąb, który przysiadł wysoko na platformie, z kołami zablokowanymi od tyłu i z przodu klinowymi podstawkami, ogołocony z wszelkiego niepotrzebnego obciążenia i z ilością paliwa, wystarczającą jedynie na godzinę lotu. Szef obsługi technicznej samolotu obchodził maszynę z Davisem, podczas gdy kapitan Brad Guraey deptał im po piętach.

- Wszystko jest w porządku, sir. Ograniczona ilość paliwa, zgodnie z rozkazem, nie ma działek, tylko dwie *AMRAAM* dużego zasięgu i dwa krótkodystansowe *Sidewinder*. Aparatura automatycznego startu i kołowania została odłączona, a zaczep zwrotny został usunięty zgodnie z pańskim życzeniem.

Davis kontynuował swój obchód. - Odnotowałem problem *HUD-a*. Czy jest z nim źle?

- Ta maszyna była w remoncie z powodu sporadycznych przerw w pracy *HUD-a* i problemu zacinania się elementów kontroli lotu. Poprzednia załoga meldowała, że przy ciągu 5 G lub więcej, *HUD* zaczynał przerywać i że działanie elektronicznego układu sztucznej stateczności i sterowania zaczynało bardziej przypominać działanie liny. Nie mieliśmy jeszcze możliwości żeby to ostatecznie ustalić.

- W takim razie mam nadzieję, że nie będę musiał mieć ciągu większego niż trzy - powiedział pogodnie Davis.

Komandor porucznik Hunter podbiegł do Davisa i potrzasał jego ręką tam i z powrotem.

- Wyliczenia prawie się zgadzają. Potrzebujesz stu dwudziestu żeby

być bezpiecznym, a jeżeli dostaniesz chociaż jeden sprzyjający podmuch, to może to załatwić sprawę.

Davis odwrócił się i obserwował, jak dopełniano ostatnie krople paliwa. Nie było wycia wiatru, żeby go przekrzykiwać, żadnych hałaśliwych silników odrzutowych, latających wokół, jedynie niecodzienne kołysanie się okrętu, który poddaje się falom, zamiast je przebijając.

Kapitan Gurney przyłączył się do nich.

- Jeszcze bardziej zredukowałem twój ładunek paliwa, aż do poziomu pół godziny lotu.

- Ale tam jest pięć *Migów* - wykrzyknął Davis.

- Wiem, ale mam nadzieję, że potraktowanie ich porcją radaru wystarczy, żeby ich odstraszyć.

- A jeśli nie?

- No właśnie? - powiedział śmiejąc się Hunter.

- Słuchaj, a co oni mówią o parametrach ciągu? - zapytał nerwowo Davis.

- Hamulce nie utrzymają cię przy pełnej sile, a jeżeli z przodu podłożymy klocki, żeby cię utrzymać, to oni nie będą w stanie ich usunąć, kiedy już włączą się dopalacze. - I nagle przez twarz komandora przemknęła iskierka nadziei.

- Chcesz powiedzieć, że założyłeś do wyliczeń, że nie będziemy mieli pełnej siły ciągu na starcie?

- Oczywiście! Na pełnym gazie hamulce puszcza, a zanim dopalacze osiągną pełną moc, miniesz już czterdzieści stóp pasa.

Głos Davisa w podnieceniu podniósł się prawie do krzyku kiedy wspinał się po stopniach.

- Niech ktoś znajdzie trzy mniejsze klocki, podłoży je z przodu i powie wszystkim, żeby trzymali się z daleka.

- Ale kto je wyciągnie? - krzyknął mechanik, który wspinał się za nim po drabince.

- Nikt. Ale założę się, że z takim twardym podwoziem i przy pełnej sile ciągu, ja je po prostu przeskoczę. - Davis wspiął się na swój fotel, przyjął pomoc w mocowaniu pasów i pasków i zabrał się do pracy.

- Powodzenia, panie komandorze - powiedział jego mechanik, schodząc w dół, by usunąć drabinkę i przygotować się do przedstartowych czynności kontrolnych.

Choć procedura ta jest przeprowadzana kiedy samolot jest jeszcze zaparkowany, szczupłość wyznaczonego czasu oddaliła ten wymóg.

Davis zażądał uruchomienia *APU*, generatora wspomagającego uruchamianie silnika i odpalił silnik numer dwa. Potwierdzone. Odpalił silnik numer jeden. Potwierdzone: oba gotowe do startu. Mechanik stał teraz przed nosem maszyny i prowadził procedurę kontrolną wszystkich ruchomych płaszczyzn lotu, korzystając z sygnałów ręcznych. Davis poruszał dźwigniami i pedałami w miarę jak mechanik prosił kolejno o otwarcie klap: w porządku. Stateczniki poziome: w porządku. Zamknij klapy: w porządku. Otwórz klapy do połowy, pełne klapy, trzymaj: w porządku. Mechanik skierował w dół trzy palce, prosząc o tylny hak zaczepowy, pręt zaczepowy katapultowania, hamulec, próbę tankowania poziomego: wszystko w porządku. Teraz wycofać wszystko: w porządku. Mechanik sprawdził komputer na prawej burcie, zamknął pokrywę i dał sygnał „gotowy do startu”.

Kontrolerzy końcowi dokonali jeszcze jednych oględzin maszyny i załoga pokładowa była gotowa. Wszyscy z wyjątkiem Huntera i oficera startowego wycofali się do „rzędu sępów”. Zaparkowany samolot przesunięto tak daleko w prawo jak się tylko dało, usuwając wszystko z linii wzroku Davisa, aż do końca pokładu. Chociaż trwał wschód słońca, zapalono przed nim rzędy czerwonych świateł, znaczących lewy i prawy brzeg jego toru startowego z sześcioma światłami zaznaczającymi dziób. Przynajmniej, gdyby spadł prosto w wodę, nie było tego ryzyka, że lotniskowiec przejdzie po nim. Poniżej wyciągarki umieściły na wodzie trzy zespoły z pontonami dla przeprowadzenia ewentualnej akcji ratunkowej, ale Davis nie miał zamiaru się kąpać. Spojrzał w dół i w lewo. Oficer startowy, niezbyt pewien co ma zrobić w tych okolicznościach, czekał na gest Davisa. Davis uczynił go. Oficer startowy przykląkł i dotknął krótko pokładu na znak katapultowania, ale ponieważ Davis nie oczekiwał przecież, że katapulta wypuści go zwalniając urządzenie zaczepowe, przystąpił do pracy nad swym własnym systemem startu.

- Przekonamy się teraz ile może wytrzymać ten stary ptaszek. - Przejrzał wszystkie przełączniki w kierunku wszystkich czterech narożników i sprawdził krótko radio, żeby się zorientować, czy był ktoś, z kim mógłby rozmawiać, ale radio nie działało. Chwycił za regulator dysz wylotowych i przygotował się do drogi.

Ta wersja *Horneta* została wyposażona w najnowszy typ ruchomego obudowy silników, dające większą zwrotność samolotu, a dla Davisa stanowiące możliwość posłużenia się rodzajem ciągu kierunkowanego. Przez ustawianie przełącznika w pozycji pośredniej pomiędzy „naprzód” i „wstecz”, Davis

miał nadzieję zaburzać pracę zespołów silnikowych wystarczająco długo, by móc włączyć dopalacze zanim zasilacze elektryczne zaprzestaną pracy. Przesunął przepustnice na pełną moc. Z mocno zaciśniętymi hamulcami i nawet z klockami pod przednimi kołami, samolot zaczął napierać do przodu. Dwie obudowy w tylnej części każdego z silników były tak zaprojektowane, żeby, kiedy się je przełączy na ustawienie wsteczne, przymykały się nad torem odrzutu, zawracając się ciągu. Kiedy Davis kontynuował manipulacje przełącznikami, kadłub samolotu zaczął szarpać się na boki. Brian Davis zaczął się pocić. Za mocno wstecz i mógł przetoczyć się przez tylne klocki i runąć do wody. Nadal włączał i wyłączał przełącznik, usiłując ustawić obudowy w pozycji pośredniej, tak żeby połowa strumienia odrzutu wylatywała normalnie tyłem, a połowa kierowała się do przodu. Davis wierzył, że uda mu się spowodować przemieszczenie się paliwa do spalin i podnieść w ten sposób siłę ciągu o około trzydzieści procent zanim samolot zacznie się toczyć, co da mu równowagę dodatkowych czterdziestu stóp rozbiegu przy maksymalnym gazie. Pchnął dźwignie przepustnic aż do górnego ogranicznika i następnie delikatnie obniżył je na wysokość podziałki dopalaczy. Wskaźniki kontrolne ruszyły się gwałtownie, dziób samolotu zaczął podskakiwać, a wskaźniki temperatur zaczęły osiągać czerwone linie. Silniki zaczęły ryczeć, a cała maszyna zaczęła szarpać się na boki. Hamulce zaczynały już tracić przyczepność, kiedy Davis postawił wszystko na jedną kartę. Pchnął dźwignie przepustnic do końca i sądził, że znalazł ustawienie pośrednie kiedy, w momencie gdy miał zwolnić hamulce, *Hornet* podskoczył i przeskoczył ponad przednimi klockami. Zanim koła łupnęły ponownie w pokład, Davis zwolnił hamulce i schował przesłony odwracające ciąg. I oto *Hornet* robił już trzydzieści węzłów. Kiedy pokład lotniskowca zaczął powoli przesuwac się pod jego kołami, Davis zapragnął nagle poczuć to dodające otuchy pchnięcie katapulty o sile czterech G, ale niczego takiego nie było. 40 węzłów... 50...60 ...

- No dalej, staruszko. Pospiesz się! - wrzasnął Davis. Już mijał nadbudówkę. - Cholera, jaki ten pas jest krótki! - wrzasnął ponownie, usiłując zapanować nad pragnieniem wzniesienia się w powietrze.

- Trzymaj się pokładu, trzymaj się pokładu. Im mniejszy opór, tym lepiej. - Davis był przyzwyczajony do startów automatycznych, „bez rąk”, jakich dokonywali wszyscy piloci *F/A-18*, kiedy byli wystrzeliwani z katapulty, ale teraz to był wysiłek szczególny, jednorazowy, a jego łomocące serce przynosiło mu do wykorzystania całe jego lotnicze doświadczenie.

W jednej i tej samej chwili oczy jego upewniały się co do trasy do końca pokładu i były wlepione w prędkościomierz. - Dziewięćdziesiąt, sto, sto dziesięć. - Szybkie spojrzenie wyżej i oto pędziło już na niego sześć końcowych, czerwonych świateł, by go powitać. - Moment prawdy - wykrzyknął Davis. Spróbował drażka, ściągając go odrobinę.

- Trochę tu już jest, ale niewiele. No to uwaga! - Szybkie spojrzenie w dół. - Sto piętnaście! ŁUP! - Koła *Horneta* opuściły pokład z łomotem. Natychmiast zabrzmiały głośno sygnały przeciągnięcia. - Do góry! - Davis mocno ściągnął drażek do tyłu. Dziób uniósł się szybko na sekundę. Rzut oka na wskaźnik wznoszenia odkrył liczbę ujemną. Zaczęło dzwięczeć więcej sygnałów, sygnalizując wysokość poniżej sześćdziesięciu stóp. Podwozie czyniło wszystko, by podnieść się na swoje miejsce, ale tymczasem złapało masę słonych rozprysków wody. Pociągnął twardo za drażek, stawiając *Horneta* na ogonie pod kątem prawie trzydziestu stopni. Przez kilka chwil maszyna jakby zawisła w powietrzu, z dziobem do góry, z ogonem o cale od powierzchni fal, z silnikami syczącymi w zetknięciu z morską pianą. Prędkość spadła do dziewięćdziesięciu węzłów i Davis wstrzymał oddech, starając się nie słyszeć sygnałów, które ostrzegały o zbliżającym się nieuchronnie nieszczęściu i przygotował się na najgorsze. Wydawało się, że wszystko zaczyna dziać się teraz w zwolnionym tempie. Jego myśli zaczęły skakać na wszystkie strony. Czy będzie miał czas, by obniżyć dziób maszyny przed katapultowaniem się czy też, w przyspieszonym trybie, znajdzie się z powrotem na pokładzie lotniskowca, odbijając się boleśnie od niego? Morze wyglądało zimno i ponuro.»Może Spreg będzie mógł przysłać mu kopię taśmy z tego koncertu podczas jego nieuchronnie zbliżającego się pobytu w szpitalu...

Nagle jeden z dwóch zestawów sygnałów zaprzestał swego nieustannego dzwonięcia. Jego prędkość nadal wahała się wokół dziewięćdziesięciu, ale jego wysokość wzrosła do stu dwudziestu i rosła nadal. Lekko odepchnął drażek i skrzydła zaczęły dawać więcej siły nośnej. Samolot był bliski przeciągnięcia, ale przeciągnięcia kontrolowanego i stale się wznosił. Davis wyrzucił z siebie głośne „Yahoo!” Nie mógł się powstrzymać i roześmiał się razem z ogromnym westchnieniem ulgi, kiedy jego prędkość zaczęła wzrastać powyżej stu pięćdziesięciu, kierując dziób maszyny prosto ku przodowi i wspierając się odczuciem pierwszej porządnej siły nośnej, jaką skrzydła dały mu wreszcie po raz pierwszy od opuszczenia pokładu. Sygnały przeciągnięcia maszyny ustały. Przechylił samolot w lewo.

- No to gdzie są te *Migi*? Zredukował wychylenie klap o kilka stopni, przeszedł do lotu poziomego, spojrzął w dół, do tyłu, na lotniskowiec i po raz pierwszy zauważył, że cała flota unosi się na wodzie w stanie zupełnego bezładu. Ustawił radar ataku i natychmiast zabrzmiały jego sygnały. Cztery *Floggery* i *Fulcrum* krążyły w odległości dziesięciu mil na północ. Davies mógł łatwo ruszyć za nimi, ale działał z rozwagą. Obserwował ich migające światła, oddalające się po czystym nocnym niebie i czekał by zawróciły gniewnie w jego kierunku.

Ale *Migi* tego nie zrobiły. Wykonały skręt i oddalały się, kilkakrotnie kontrolując linię wybrzeża, a później zniknęły na wschodzie, na kierunku ku własnej granicy. Pomijając samolot pasażerski, lądujący w Muscat i dyżurnego *AWACS-a* wysoko nad nim, Davis nie zaobserwował niczego więcej i przesunął dźwignie przepustnic na pełne minimum. To było dla niego dziwne uczucie, znaleźć się wysoko w górze, tak blisko nieprzyjacielskiego terytorium, bez normalnej masy uzbrojenia na pokładzie. Czuł się obnażony i bezbronny i miał czuć się tak nadal, dopóki wśród owacji całej lotniczej braci nie dotknął ponownie kołami pokładu *George Washingtona*.

Rozdział Czterdziesty Pierwszy

Baza Gonzo. USNS Philadelphia 721

05:49 czasu lokalnego (02:49 GMT)

Przez ostatnią godzinę kapitan Davidson i jego załoga kontynuowali kontrolę różnych manewrów, dokonywanych przez nieproszonych rosyjskich gości, ale chociaż ich dziwaczne wyczyny były nieco niekonwencjonalne, nic z tego, czego Davidson był świadkiem, nie zasługiwało na jakieś większe działanie konfrontacyjne. Rosjanie nadal podążali w kierunku Grupy Szóstej, z *Philadelphia* idącą tuż za nimi. Trzy *Foxtroty* zaczęły w pewnym momencie zwalniać i schodzić głębiej, za rufę *Philadelphia*. Po wykonaniu tego manewru zaczęły ustawiać swój szyk. Łódź płynąca niżej utrzymywała głębokość dla uzyskania górnej pozycji, podczas gdy pozostałe zeszyły głębiej, dla wypełnienia formacyjnej luki. Im głębiej schodziły, tym bliżej siebie płynęły. Po dziesięciu minutach utrzymywania tego ciasnego szyku, zaczynała się ponowna wymiana pozycji. A kiedy Davidson kontynuował baczna obserwację stojącego przed nim trójwymiarowego ekranu, łódź kapitana Dubrownego, *Pietrow*, zaczęła wypływać na powierzchnię.

- Mostek, tu Sonar.
- Tak, Beagle?
- Wygląda na to, że ich formacja zaczyna jakieś manewrowanie i schodzi niżej, a prowadzący *Typhoon* zaczyna się podnosić, sir.

Davidson przerwał na chwilę, czekając, aż jego ekran potwierdzi obserwacje Beagle'a.

- Bardzo dobrze - powiedział Davidson, odwracając się do swego pierwszego oficera. - Mike, zostań przy nim.

Od pierwszego momentu, w którym na ścianie pomieszczenia mostka pojawiło się graficzne przedstawienie sytuacji na żywo, obraz sytuacji taktycznej na monitorze przed Davidsonem stał się na mostku czynnikiem dominującym. Ale poza obrazem trzech *Foxtrotów*, co rusz zamieniających naprzemiennie swoje pozycje, temu nowemu systemowi obserwacyjnemu nie dano jeszcze właściwie możliwości zademonstrowania swojej wielofunkcyjności. Ale teraz pole widzenia obserwatora zaczęło znakomicie

pokazywać przestrzeń za *Philadelphia*, podążającą za *Pietrowem*.

Davidson sięgnął ponownie do przycisku.

- Sonar, czy możesz potwierdzić, że trzy *Foxtroty* zwalniają?

- Dokładnie tak, sir. Zwalniają, ale schodzą niżej. I stale utrzymują kurs na *Grupę Szóstą*.

- Bardzo dobrze. - Davidson obserwował sondę w miarę, jak *Philadelphia* zbliżała się do głębokości peryskopowej. - Beagle, jak blisko jest *Grupa Szósta*? - Odpowiedź kaprała spóźniła się. - Sonar, jak blisko jest *Grupa Szósta*?

- Aa... nie mogę uzyskać kontaktu, panie kapitanie.

- Czemu, kapralu?

- Przykro mi, sir, ale chyba nie potrafię ich zlokalizować.

- A w czym jest problem?

- One tam są, sir, ale wszystkie śruby przestały pracować!

- Kurs?

- Zero - jeden - zero, sir.

- Odległość?

- Trochę mniej niż dwie mile, sir.

- Wyrzucenie!

- Dziesięć stopni w górę na sterach dziobowych - wrzasnął chief Danwall, zajmując swoje miejsce za sterem.

- Mike, wywołaj *Washingtona* przez radio. Potwierdź ich pozycję, cokolwiek, po prostu połącz się z kimś. Kiedy to zrobisz, chcę z nimi mówić, ktokolwiek by to był - powiedział Davidson z pewną niecierpliwością. - Jego zastępca już wykrzykiwał serię rozkazów.

- Mike, wyprzedź tego *Typhoona* przesuń nas do *Grupy Szóstej* zanim oni tam dojdą i ustaw nas dziobem do tego Rosjanina. Chcę mieć pod ręką rozwiązanie tej sytuacji i być gotów do strzału.

- Tak jest, sir - odpowiedział Young i wrzasnął, - Ster lewo dziesięć, cała naprzód, uwaga na boki! - Rozkazy zostały rutynowo przekazane dalej.

Na mostek wszedł marynarz i przekazał coś Youngowi, który z kolei zwrócił się do Davidsona.

- Nie ma odpowiedzi z *Washingtona*, panie kapitanie.

- Próbujcie dalej i niech ktoś zadzwoni do kraju i powie im, co tu się dzieje.

Rozległ się głos Beagle'a. - Kadłuby przed nami, sir. Żadne śruby nie obracają się, po prostu zamarły w wodzie!

Davidson ciągle spoglądał na monitor, który pokazywał teraz, że *Philadelphia* znalazła się przed i ponad *Pietrowem*.

- Odległość?
- Najbliższy o dziewięćset jardów, sir. Wprost przed nami.
- Więc jesteście właśnie tam - powiedział do siebie Davidson. - Mike, łap za tubę! Chief, przejmuj ster!

Chociaż *Philadelphia* waliła w fale kiedy pokład się wynurzył, w czasie kiedy Davidson kończył wspinać się po drabinie, Danwall podprowadził *Philadelphię* wystarczająco blisko do *Grupy Szóstej*, a wystarczająco daleko od *Typhoona*, żeby obrócić ją teraz szybko w lewo i ustawić dziobem do nieproszonego gościa.

- Panie kapitanie, właz na powierzchni, *Typhoon* się wynurza - zabrzmiało przez głośniki właśnie w chwili, kiedy zatrzymały się silniki i ustał dźwięk uderzeń fal o kadłub łodzi.

Ani Harry Davidson ani Mike Young nie widzieli przedtem czegoś takiego. Oto w prawo od nich stał niszczyciel sterowanych pocisków rakietowych *Norwich*. Z tyłu, dalej na północ, stał *George Washington* i widać też było światła siedmiu innych okrętów, a wszystkie one bezładnie dryfujące i zwrócone w różnych kierunkach, niedawni dumni członkowie *Grupy Szóstej*, leżący teraz na deskach i wyliczeni.

- Panie kapitanie, proszę spojrzeć! - krzyknął Young, wskazując prosto przed siebie. Davidson odwrócił się i zobaczył rosyjskiego *Typhoona*, płynącego niewielkim kątem w ich kierunku, rozbijającego fale o około pięćset jardów przed ich dziobem. Davidson zadzwonił na mostek.

- Dobra robota, chief.
- Czy mam przygotować jakieś rozwiązanie dla przednich wyrzutni? - zaproponował Danwall.

- Tak, dla wszystkich z nich. I otwórzcie wyloty. Chcę, żeby wiedzieli, że nie żartujemy. A jeżeli dotychczas nie zaalarmowaliśmy nikogo na pokładzie *Washingtona*, przyslijcie tu na górę sygnalistę z lampą błyskową. No i połączcie się z lotem dyżurnym AWACS lub z Bahrajnem albo z kimkolwiek innym i powiedzcie im, co tu się dzieje, jeżeli jeszcze o tym nie wiedzą.

Kiedy Young sięgał po interkom, kapitan Davidson ocenił całą sytuację. „Co mogło by przypuszczaćalnie tak uderzyć w grupę bojową, by spowodować takie spustoszenie?” - zapytywał sam siebie. „W jakim celu rosyjska

Łódź podwodna wynurza się i zatrzymuje tak blisko obezwładnionej floty? Żeby uderzyć w nas, kiedy mamy spuszczone portki? A ponieważ prawdopodobieństwo, że pojawiają się po to, żeby rzeczywiście udzielić pomocy, było bardzo wątpliwe...”

Sygnalista Watts przerwał rozmyślenia Davidsona, podchodząc do niego ze swą lampą i zajmując pozycję z widokiem na *Norwich*. Davidson miał właśnie zacząć przekazywać wiadomość, kiedy wydało mu się, że słyszy jakiś niezwykle dziwny dźwięk, dobiegający ze znajdującego się przed nim *Typhoona*.

- Wszyscy cisza, słuchać - syknął Davidson głośnym szeptem. Young i Watts odwrócili głowy jakby włączając jakąś wewnętrzną wrażliwość na dźwięki. - Teraz znowu - wyszeptał.

- Watts, poświęć no na Rosjanina. - Watts przejechał lampą wokół. Potężny snop światła strzelał tam i z powrotem nad wodą przez kilka sekund, aż zatrzymał się na górnej części *Typhoona*. Tam, twarzą ku znieuruchomiałej flocie, rysującej się wyraźnie w porannej mgle, stała postać wielkiego mężczyzny w mundurze.

- On się śmieje, sir - powiedział Watts.

- Widzę to, kapralu - powiedział Davidson z niesmakiem. - Skierujcie tą lampę na *Norwich* i spróbujcie nawiązać z nimi kontakt. Daj mi tą tubę - rozkazał, wyciągając rękę i Young podał mu ją. Przed podniesieniem tuby do ust obserwował, jak Watts skierował lampę ponownie w kierunku niszczyciela. Lampa, z przesłoną obejmującą cały obiektyw, zaczęła błyskać swym światłem w kierunku nadbudówki niszczyciela. Nawet z tej odległości Davidson mógł dostrzec krąg światła, odbijający się od powierzchni mostka. Niemal natychmiast równie potężna lampa zaczęła błyskać w odpowiedzi.

- Czy ze względu na obecność *Typhoona* wszystkie wiadomości powinny być kodowane, sir? - zapytał sygnalista.

- A po co? Przecież oni też mają oczy. A poza tym, nie sądzę, żeby z tego kąta mogli dostrzec światło lampy. Watts, powiedzcie im przede wszystkim, że z tyłu prawej burty mają rosyjskiego *Typhoona*, tak na wypadek, gdyby byli ślepi.

- Tak jest, sir, - odpowiedział Watts.

- Zapytajcie ich w jakim stanie jest flota i powiadomcie ich, że wezwaliśmy pomoc przez radio. Watts kontynuował swoje ciche wystukiwanie lampą, a Davidson odwrócił się w kierunku Rosjanina.

- Kapitanie Dubrownij, w jakim celu jest pan tutaj?

Nastąpiło kilka chwil ciszy, zanim znajomy już głos kapitana Dubrownego odbił się echem nad wodą.

- Po prostu, zaczerpnąć świeżego powietrza, panie kapitanie.
- Czy miałby pan coś przeciwko zaczerpnięciu go gdzie indziej, panie kapitanie?

- Nie, zupełnie nic. Jak powiedziałem uprzednio, my nie jesteśmy tutaj po to, żeby wam zaszkodzić, chociaż mocno wygląda na to, muszę stwierdzić, że ktoś tu był przed nami.

- A więc nie ma pan nic przeciwko temu, żeby opuścić teraz ten obszar?!

- Jedną chwilkę, kapitanie. Proszę mi pozwolić upewnić się u mojego mechanika.

Young pochylił się ku Davidsonowi. - Watts melduje, że GW i cała grupa zostały czymś zaatakowane i że bardzo się na nasz widok ucieszyli.

- A co się do diabła stało?

- Nie wiemy. Powiedzieli tylko: „Dobrze, że mamy do dyspozycji wasze radia”.

- Radia?! - krzyknął Davidson. - Powiedzcie im, że zostaniemy tu, dopóki nie dostaniemy innych rozkazów i że w razie potrzeby będziemy przekazywać dalej wszelkie wiadomości.

Davidson odwrócił się ponownie w kierunku *Typhoona* i jeszcze raz podniósł tubę.

- Kapitanie Dubrownij, nie ma potrzeby, żeby pan pozostawał tu dłużej. Proszę pana i pańskich towarzyszy o natychmiastowe opuszczenie tego obszaru.

- Bardzo dobrze Harry, zrobimy to o co prosisz. Ale muszę powiedzieć, że była to bardzo zajmująca wycieczka.

- Dla dokumentacji, kapitanie, jaki pan przyjmie kurs, kiedy pan już zawróci?

- Oh, nie wiem. A gdyby tak prosto na południe?

- Bardzo dobrze. Jakikolwiek odchylenie od tego kursu na pierwszych dziesięciu milach będzie uznane za działanie wrogie i stosownie na to odpowiemy.

- Proszę się nie martwić, kapitanie. Widać, że macie tu huk roboty. Zostawimy pana dla posprzątania tego bałaganu.

- Dziękuję.

- Nie ma sprawy. Gdybym był w pana sytuacji, też byłbym chyba trochę poirytowany. Życzę dobrego dnia, kapitanie.

Mike Young odłożył interkom i zaszeptał coś do ucha Davidsona.

- Ja tobie także, Michaił - Powiedział Davidson przed wyłączeniem tuby. Posłyszał jeszcze jeden, odległy ryk śmiechu. Mike Young śmiał się także, kiedy odbierał od niego tubę.

- Dzięki, Mike, to była dobra szpileczka.

- No cóż, kiedy posłyszałem, że rozgryzł sprawę pańskiego imienia, pomyślałem, że możemy przynajmniej odwdzińczyć się tym samym.

Hałas wody, burzącej się teraz przed nimi, ściągnął ich uwagę. *Typhoon*, już w ruchu, zaczynał dokonywać zwrotu w lewo.

- Mike, idź na dół i trzymaj nasz dziób w kierunku tego Rosjanina.

- Tak jest, sir - powiedział Young, schodząc.

Rozdział Czterdziesty Drugi

Baza Gonzo. USNS George Washington CVN-90

06:77 czasu lokalnego (03:17 GMT)

Większość operatorów ustąpiła teraz miejsca całym zastępom cywilnych techników z licznikami i urządzeniami kontrolnymi, którzy wymontowali ze statku dosłownie wszystko, co się dało, rozkładając to na podłodze i próbując znaleźć coś działającego. W międzyczasie, na pokładzie startowym, czerwona kurtka, który obserwował *Norwich*, odwrócił się do swego kolegi.

- Słyszysz coś, Dick?
- Tak, ale skąd to dochodzi? - Obydwaj zaczęli przeszukiwać wzrokiem przestrzeń od prawej burty, ale poza *Norwich* i widoczną nieco dalej błyskającą lampą z *Philadelphii*, niczego nie dostrzegli.
- Słysząc to dość blisko, ale gdzie to jest?
- Łap za telefon i powiedz szefowi.
- Dobra - powiedział kolega, odbiegając do telefonu.
- Czy widzisz coś? - powiedział inny głos z tyłu za nim.
- Nie - powiedział sierżant Woods - a ty?
- Myślę, że to zbliża się do rufy. - Jak gdyby obserwując mecz tenisa, spoglądali tam i z powrotem, starając się umiejscowić źródło dźwięku. W niezdecydowanej próbie uzyskania lepszej widoczności, obydwaj podeszli kilka kroków bliżej do krawędzi pokładu.

Ktoś wrzasnął - po lewej! - W odległości około pięćdziesięciu stóp od lewej burty zjawiła się przyczyna słyszalnego teraz nagle ryku silnika. Wyruszający się gdzieś z dołu, spod poziomu pokładu, z wysuniętym podwoziem, stabilny jakby był podnoszony dźwigiem, zawisł oto przed nimi jasno świecący *See Harrier 4-AB/2*, noszący znaki Brytyjskiej Królewskiej Marynarki Wojennej. Maszyna włączyła światła pozycyjne i światła lądowania. Cały pokład rozjarzył się nagle powodzią świateł. Kiedy samolot przesunął się nad lotniskowiec, wszyscy dyżurni obserwatorzy odbiegli na boki, a skierowany w dół odrzut z jego czterech silnikowych dysz wypalał ślad w warstwach oponowej gumy, pokrywających nawierzchnię lądowiska. W

końcu, kiedy główne koła i wysięgniki jej dotknęły, jego zespół silnikowy *Pegasus* przesunął *Harriera* ku prawej burcie, a w chwilę później jego ryk ścichł i zamarł całkowicie. Sierżant Woods obserwował, jak pilot wydobywa się z kabiny, odnajduje stopą kilka wbudowanych stopieńków i jak do boku maszyny podjeżdża ruchoma drabinka. Pilot wszedł na jej stopnie i zszedł na pokład, gdzie Woods czekał już na niego z kolegami, którzy podbiegli na powitanie przybysza.

- Melduje się kapitan Markham Hawksworth. Proszę zapytać kapitana Gurney'a czy mam zezwolenie na wejście na pokład. Nie mogłem się z nikim połączyć przez radio.

Zanim Woods mógł odpowiedzieć, kapitan Gurney wynurzył się z cienia i wyciągnął rękę.

- Zezwolenie udzielone, panie kapitanie. Jak dobrze, że pana widzę.

- Tak mi się zdaje. Pewien wysoki oficer w Waszyngtonie słyszał, że mieliście tu mały problem, a ponieważ byłem w okolicy, wysłali mnie, żeby zorientować się, o co chodzi.

- Wejdzmy do środka. Jestem pewien, że admirał chciałby zamienić kilka słów. Dlaczego nie miał pan włączonych świateł pozycyjnych, panie kapitanie?

- Polecono mi, abym ich nie włączał na podejściu do was, dopóki nie zobaczę jakiegoś ruchu na pokładzie, na wypadek, gdyby wasze okręty zostały jakimś sposobem zaatakowane i opanowane. Gdybym został w jakiegokolwiek formie zaatakowany, miałem natychmiast opuścić ten rejon i meldować o sytuacji. Kiedy dostrzegłem wasze mundury, wyłąkowałem.

Kiedy szli do góry na mostek, obserwatorzy wrócili na stanowiska, podczas gdy Woods klinował koła *Harriera*.

- Kapitan Hawksworth, Królewska Marynarka Wojenna. Miło mi pana poznać, panie admirale - powiedział Hawksworth, wchodząc na mostek. Zasalutował.

- Na spocznij, panie kapitanie - powiedział Lodgers. - Czy ma pan jakieś pojęcie, co się dzieje?

- Chciałem zapytać pana o to samo, sir. Jak tylko wasze chłopaki z *E-2* stracili kontakt z wami i zobaczyli że łamiecie formację i zatrzymujecie się, wysłali wiadomość przez *AWACS* do Bahrajnu i stamtąd dalej.

- Tak, zorientowaliśmy się trochę w tym wszystkim, kiedy zaczęliśmy korzystać z łączności *Philadelphii*. Nasz *Hummer* jest ciągle w powietrzu,

ale nie mamy z nim łączności, - powiedział Lodgers z nutką desperacji w głosie.

- Aha, tak jest, sir. I od tego czasu wasz lot dyżurny AWACS zaczął bombardować fale radiowe.

- Jakże były pana rozkazy?

- Przylecieć tu najprędzej, jak będę mógł i powiadomić moich przełożonych, czemu nagle staliście się tak nietowarzyscy.

- To nie będzie już teraz konieczne, dziękujemy - powiedział Lodgers.

- Mamy teraz do dyspozycji pełną łączność radiową przez *Philadelfię*.

- Czy jest na pokładzie cokolwiek, co jest sprawne, panie admirale? - zapytał Hawksworth prawie przepaszająco.

- Nie, nic, może z wyjątkiem dzbanka do kawy i mechanizmu usuwania odpadków - odpowiadał admirał, kiedy zadzwonił telefon. Wszyscy się odwrócili i dostrzegli szeroki uśmiech na twarzy Petersona.

- Sir, komandor Medlock przepasza za spóźnienie i melduje, że główne bojlerki teraz już działają i że za kilka minut powinniśmy mieć trochę pary i minimum napędu.

Każda osoba na mostku wydała jeden czy dwa okrzyki radości z wyjątkiem Lodgersa, który osobiście sięgnął po telefon.

- Medlock, powiedziałeś mi trzydzieści minut, a to była ponad godzina - powiedział apodyktycznym tonem. - Ale, oczywiście, nie ma o czym mówić, Robercie. Upewnię się czy w twojej następnej kopercie z poborami jest jakiś mały dodatek. Powiedz mi czy jest coś takiego, co zrobisz, co mogło być pomocne dla *Norwich* i pozostałych? - Słuchał uważnie przez chwilę i powiedział - dobry pomysł, idź do centrum dowodzenia i rozmawiaj z nimi bezpośrednio... Nie, ale mamy przenośne, które mają odpowiedni zasięg. - Lodgers odłożył słuchawkę. - A więc - powiedział odwracając się z powrotem do Hawkswortha, - możemy spokojnie odechnąć. Będziemy mieli wreszcie sterowność. Brad, wyślij to do *Philadelphii* i sprawdź, czy nie znaleźliśmy jeszcze czegoś, co może latać. Kiedy będziesz już przy tym, pospiesz trochę szefa lotnictwa. Davis może już teraz lecieć prawie na spalinach. I jak tylko ten *Hornet* wyląduje, zamontujcie w nim ponownie jak najwięcej wyposażenia. Może będziemy musieli polegać jeszcze przez jakiś czas tylko na jego osłonie powietrznej. - Gurney skinął potwierdzająco głową i opuścił mostek.

- Czy spieszy się pan, Markham?

- Nie, sir.
- Przykro mi, że nie mogę zaproponować panu jakiejś herbaty.
- Wszystko w porządku, sir. Ja i tak nie pijam herbaty poza granicami Zjednoczonego Królestwa. Może być kawa. - Billings skinął głową i poszedł po filiżankę kawy. - Czy ma pan jakiś pogląd na to, co spowodowało tą awarię, jeżeli tak to mogę nazwać, panie admirale?

- Może pan, a odpowiedź niestety brzmi: „nie”. Byłem przez cały czas zaabsorbowany głównie znalezieniem sposobów na odzyskanie gotowości bojowej, ale mogę powiedzieć tyle, że dotknęło to całą *Grupę*, wszystkich w tym samym momencie, więc zakładam, że było to coś z zewnątrz.

- No więc, sir, może zainteresuje pana wiadomość od admirała Swansona, który prosił poinformować pana o tym, że w momencie, kiedy dowiedział się o tych wydarzeniach, zarządził Czarny Alert.

- Byłem pewien, że to zrobi.

- W istocie jest to zespół przygotowany na wypadek takiej ewentualności, stacjonujący w Bahrajnie i jest już w drodze, sir. Przewidywany czas przybycia - powiedział Hawksworth spoglądając na zegarek - zero-osiem-zero-zero, lub coś około tego.

- Wszyscy?

- Tak jest, sir, pełny zespół. Rozkazano mi połączyć się z moim dowódcą w chwilę po wylądowaniu. Zanim więc spróbuję zaparzonej kawy, panie admirale, proszę pozwolić mi zadzwonić i upewnić mojego szefa, że wszystko jest tu bezpieczne i pewne i że w krótkim czasie będziecie mogli poruszać się o własnych siłach. Jestem pewien, że ucieszą się z tej wiadomości.

- Bardzo dobrze, Hawksworth .

Kiedy Hawksworth opuścił mostek, zadźwięczały od steru serie dzwonek, sygnalizujących osiągalność ruchu okrętu w przód, a szeroki uśmiech zagościł na bladej i zmęczonej twarzy admirała Lodgersa. W kilka chwil mostek przybrał bardziej znajomy wygląd, kiedy kolejny sternik, z jednym okiem utkwionym w kompas, a drugim we wskaźnik obrotów silnika, założył słuchawki, żeby rozmawiać bezpośrednio ze stanowiskiem sterowym na rufie.

- Maszynownia melduje, że osiągalna jest szybkość pięciu węzłów, panie admirale.

- Bardzo dobrze. Czy mamy już jakąś wiadomość z *Philadelphii*?

- Tak jest, sir - wtrącił się Peterson. - Otrzymane sygnały potwierdzają bezpieczny kurs odejścia od wybrzeża na zero-dziewięć-zero, sir.

- Radar pracuje na bieżąco?

- Jeszcze nie, panie kapitanie.

- No dobrze, sterniku, ster zero-dziewięć-zero na pięciu węzłach.

- Steruję zero-dziewięć-zero na pięciu węzłach, tak jest - potwierdził sternik.

- Sir - powiedział Peterson. - Kontrola lotów potwierdza ciśnienie w przednich komorach. - Po raz pierwszy w tym, co wydawało się Lodgersowi ciągiem bardzo długich dni, *George Washington* był teraz z powrotem w akcji.

Rozdział Czterdziesty Trzeci

Washington D.C. Pentagon

21:26 czasu miejscowego (03:26 GMT)

Pomieszczenie pełne było gwaru rozmów. Admirał Swanson rozmawiał przy biurku przez telefon, Latchkey siedział przy terminalu admirała, a reszta personelu wykonawczego Swansona stała pochylona nad różnymi dokumentami, rozłożonymi na stole sali posiedzeń. Swanson odłożył słuchawkę i poprosił wszystkich o uwagę.

- No dobrze, siadajcie wszyscy. Rozmawiałem z Gregiem Buntly'm - kontynuował Swanson poprzez szuranie krzesel. - Domaga się, żeby w krótkim czasie odbyło się spotkanie Rady do Spraw Bezpieczeństwa Narodowego i chce wszystkiego co mamy. - Swanson podszedł wzdłuż stołu do ściany i nacisnął jakiś włącznik. Trzy duże drewniane tablice odsunęły się, odkrywając mapę zajmującą całą ścianę, utworzoną nie na papierze, ale przy użyciu wyświetlacza *video*. - John, daj nam południowo-zachodni azjatycki teatr operacji, dobrze? - Latchkey nacisnął kilka klawiszy i ekran ożył widzianym z góry obrazem całego regionu Zatoki Perskiej, z Syrią, Afganistanem, Morzem Arabskim i Jemenem w czterech narożnikach. - Tak. Teraz dodamy samą tylko amerykańską część składową ugrupowań lotniskowców. - Kilka następnych światełek pozaczyło ekran kropkami. - Te światełka przedstawiają bazy dla lotniskowców i krążowników, jakie posiadamy w tym regionie. Możecie teraz zobaczyć, że nie otrzymujemy żadnych danych *GPS* z *George Washingtona* i jego grupy wsparcia w *Bazie Gonzo*. O pierwszej pięćdziesiąt siedem czasu Greenwich *Grupa Szósta* została zaatakowana przez coś, co rzuciło całą flotę na kolana. Nie znamy pełnych rozmiarów szkód, ale mogę wam powiedzieć, że oni stracili napęd, produkcję pary, a w następstwie, możliwość startowania samolotów. Stracili też całą łączność radiową i radar. Jeden z ich *E-2* dał nam znać, że nie może połączyć się z *Washingtonem*. - Swanson opuścił swoje stanowisko przy ekranie i zaczął przechadzać się wokół stołu.

- Sir, a co z tymi łodziami podwodnymi? - zapytał kapitan Hayden, oficer łącznikowy Swansona dla Floty Pacyfiku.

- Do tego zmierzam, Pete. Po pierwsze, koreański 747 zszedł z kursu i znalazł się w irańskiej przestrzeni powietrznej. Dwa irańskie *Floggers* przechwyciły go, zepchnęły z powrotem w kierunku Cieśniny, a w czasie tego manewru, w dwóch silnikach Koreańczyka pojawił się ogień. Dwa *Tomcaty* z *George Washingtona* podjęły zadanie eskortowania Koreańczyka i towarzyszyły mu w jego schodzeniu do lotniska Muskat. Po drugie, mieliśmy konwój tankowców, który przechodził właśnie przez Cieśninę, kiedy został ostrzelany przez irańskiego *Fulcruma*. Nie zanotowano żadnych trafień i nikt nie został ranny. Na pierwszy sygnał o tych kłopotach wysłano z Bahrajnu trzy *Falcons* z rozkazem przejechania się po sprawie. Na szczęście dla nas udało się go strącić, zanim zdołał przekroczyć z powrotem ich granicę i kiedy tu rozmawiamy, *La Salle* jest już w drodze, żeby go odnaleźć. Przy pewnej dozie szczęścia będziemy mogli podnieść tego *Miga* na powierzchnię zanim Irańczycy zdołają się temu przeciwstawić. Po trzecie, Koreańczyk przelatywał bezpośrednio nad *Grupą Szóstą* i właśnie kiedy to czynił, *George Washington* i inne okręty w *Grupie Szóstej* zostały ugodzone przy pomocy jakiegoś urządzenia, które je wprost zno-kautowało. Cała *Grupa* zamarła na wodzie. - I wreszcie, jakby tego wszystkiego było mało, jeden rosyjski *Typhoon* i trzy *Foxtroty* przybliżyły się do *Bazy Gonzo* w celu, jak to oni ujęli, odwiedzenia tego rejonu i przeprowadzenia pewnych manewrów. Przesunęliśmy flotę dalej na północ, już przez Zwrotnik Raka, wewnątrz Zatoki Omańskiej, aby zwiększyć nieco odległość od Rosjan, ale oni kontynuowali zbliżanie. O godzinie drugiej jedna z rosyjskich łodzi, będąca już nie dalej jak sto jardów od *Grupy*, wynurzyła się na powierzchnię, żeby zerknąć wokoło. Chociaż byli oni niebezpiecznie blisko, znajdująca się przy nich *Philadelphia* potwierdziła, że żadna z rosyjskich łodzi nie otworzyła ognia.

Wszyscy obecni siedzieli bez ruchu, słuchając z niedowierzaniem.

- A więc panowie, tak się sprawy mają - powiedział na koniec Swanson. - Wszystkie bieżące raporty rozłożone są przed wami.

- Jakie działanie podjęto dotychczas, panie admirale? - zapytał komandor porucznik Patrick Allen.

- Wprowadzono natychmiast *Czarny Alert* i zespół inżynierów komputerowych, który stacjonowaliśmy w Bahrajnie, jest teraz, kiedy rozmawiamy, w drodze do *Washingtona*. *HMS Connington* był w tym rejonie, więc mieliśmy tam *Harriera*, który podleciał i rozejrzał się w sytuacji, chociaż pełna łączność została już przywrócona poprzez *Philadelphię*. Utrzymujemy w tym rejonie lot dyżurny *AWACS*, aż do odwołania. Wiem, że jest

późno i że jest weekend - powiedział Swanson, wracając do swego biurka - ale wszyscy musicie teraz nad tym popracować. Potrzebuję raportów z pełnymi danymi z *AWACS*, od czasu kiedy tankowce weszły w Cieśninę, aż do chwili obecnej. Potrzebuję pełnego raportu z *Philadelphii* co do rodzaju działań podjętych przez Rosjan i tego, czy nie pozostawili tam czegoś bez naszej wiedzy i potrzebuję też najnowszych wiadomości od *Falconów*, *Wendal* i *La Salle*. Pete, jak prędko możesz podesłać im jednostkę remontową?

Hayden rozważał pytanie przez moment i powiedział - *Wendal* jest z *La Salle* w Zatoce. Nie jestem pewien, jak bardzo jest obciążona, ale może ona tam dotrzeć w sześć godzin, może mniej.

- Więc zrób to, nawet gdyby *Grupa Szósta* miała rozgrabić ją do cna. Dobra, bierzcie się wszyscy do roboty. - Spotkanie zostało zakończone.

Rozdział Czterdziesty Czwarty

Południowe wybrzeże Iranu. Złota Foka

07:34 czasu lokalnego (03:34 GMT)

Ten rejon linii zachodniego wybrzeża południowego Iranu, swego czasu porośnięty bujną roślinnością, teraz, po wyschnięciu obecnego tu kiedyś podziemnego źródła, miał tak pustynny wygląd, jak reszta terytorium tego kraju. A choć nawet te nieliczne, przetrwały jeszcze drzewa i listowie, były zaledwie cieniem swej własnej, bujnej przeszłości, ciągle jeszcze zapewniały wystarczającą osłonę umieszczonym między nimi dwóm wyrzutniom. Na szczęście, te same ich właściwości, które służyły do ukrycia *Silkwormów*, były także przydatne *Złotym Fokom* i kiedy wczesne poranne słońce zaczęło już dosięgać górnych gałęzi, pod drzewami panowała wciąż ciemność.

Około stu stóp na południe od pierwszej polany, członkowie zespołu, z poczerwionymi twarzami i ze słuchawkami na uszach, zebrali się wokół Phila i Billa, którzy wrócili właśnie z rozpoznania. Wszyscy przykucnęli blisko siebie.

- Czy Barrow nie powiedział nam, że tu są tylko dwie wyrzutnie? - zapytał z pewnym niepokojem Phil.

Digger odgadł jego przyczynę. - A co, jest tu ich więcej niż dwie?

- Są dwie i ładowarka.

- Ładnie. No to ruszajmy

- Są dwa namioty, wszyscy jeszcze śpią, z wyjątkiem paru strażników: jeden, w ciężarówce, prawie drzemie, a drugi przygotowuje śniadanie przy stole między namiotami - powiedział cicho Phil.

- Czy ci tak zwani strażnicy nie powinni już być dawno na chodzie?

- Właściwie, to chyba nie - odpowiedziała Fielding. Większość z tych żołnierzy obijała się tu beczynniami całymi tygodniami, no a noce są przecież do picia.

- Między drzewami, po północnej stronie, zaparkowana jest ładowarka - dodał Bill. - Nikogo wokół. Możemy bez problemów mieć na muszce namioty i stół. Jest tylko około czterdziestu stóp do ciężarówki, która jest jednak trochę odsłonięta.

- No i mamy szczęście - kontynuował Phil. - Cały rejon ma dobra okrywą roślinną, a przy podchodzeniu od północy, widok z namiotów jest przesłonięty przez tylną część wyrzutni, więc wszystko co musicie zrobić, to trzymać się poza zasięgiem wzroku tego drzemiącego kierowcy, a wszystko będzie dobrze.

- To brzmi nieźle - powiedział Digger. - Czy wszystkie słuchawki działają? - zapytał lustrując wzrokiem potakujące głowy. - No to w porządku. Bill, Phill, idźcie sprawdzić pozostały teren, a reszta niech się rozproszy i kryje nas. - Grupa rozdzieliła się, a Digger i Fielding, zataczając koło w lewo, pomiędzy drzewami, podsuwali się coraz bliżej polany. Tak jak opisał to Bill, mała ładowarka, wypełniona zapasem *Silkwormów*, została tu wprowadzona tak daleko między drzewa, jak na to pozwalały zarośla.

- Krytyczny moment - szepnął Digger.

- Zgadza się - powiedziała Fielding, sięgając po detonator. Digger położył dłoń na jej pokrwawionym ramieniu i potrząsnął głową. - Pozwoliłem ci dotrzeć z nami tak daleko tylko dlatego, że tam, przy skale, nie było żadnej poważniejszej osłony, ale odtąd powinnaś trzymać się od wszystkiego z daleka.

- Słuchaj, Digger - powiedziała miękko, z lekką frustracją w głosie. - Wyrzutnia jest tutaj, miny są tutaj i ja jestem tutaj. Więc możesz to zrobić, jeśli chcesz, ale ja to zrobię szybciej i z mniejszym ryzykiem. Jedyne, co masz do zrobienia, to uważnie rozglądać się wokół. Więc pozwól mi zabrać się do roboty, dobrze?

Digger zawałał się przez moment, popatrzył na Fielding i powoli skinął głową. Obserwował jak włącza zasilanie, wkłada cylinder w korpus miny i delikatnie go obraca. Przykucając, zbliżyli się powoli między drzewami do przedniej części transportera, wyładowanego do pełna *Silkwormami*. Kiedy położyła się na plecach, aby przedostać się pod przednimi kołami, Digger podczołgał się do boku pojazdu, żeby przyjrzeć się dobrze wyrzutni, stojącej na środku polanki. Chociaż kilka wgnieceń i marna farba na całej jej powierzchni, wskazywały na jej wiek i brutalne obchodzenie się, jakiemu była poddawana, ta zbudowana w Rosji maszyna, choć podobna w kształcie ale znacznie mniejsza, niż *SS-1 SCUD Carrier*, bezprzegubowa wyrzutnia *Silkwormów*, z jej napędem na osiem tylnych kół i ruchomą platformą, była ciągle jeszcze potężną bronią.

Digger doceniał ciemność i mrok, które zapewniał im ten słaby jeszcze świt i pomyślał, że Bill słusznie ocenił osłonę, jaką stanowiła wyrzutnia

przed resztą mieszkańców obozu. Kierowca wydawał się teraz czujny i aktywny. Digger poczuł rękę na swoim ramieniu i odwrócił się, by zobaczyć uśmiechniętą twarz Fielding.

- Jesteś gotowa do następnej? - zapytał.

- Jasne - odpowiedziała Fielding z pewnością w głosie, a kiedy skinęła przy tym głową, duży pęk jej włosów wysunął się spod czapki i pokrył jej twarz.

Digger został nagle przeniesiony wspomnieniem do swej dawnej miłości, którą namawiał na piknik pod jakimś drzewem, ale wspomnienie rozplynęło się nagle, kiedy Fielding chwyciła swe niesforne włosy i wepchnęła je powrotem pod czapkę. Bliskość niebezpieczeństwa przekształciła natychmiast ten jego przelotny ślad pożądania w świadomość konieczności opieki i zapewnienia bezpieczeństwa swojej towarzysze i sobie.

- Posuwaj się blisko za mną - powiedział - i trzymaj się z daleka od lusterka na drzwiach.

- Jeżeli jesteście gotowi, to ruszajcie - usłyszał głos Buddy'ego, wyraźny i czysty. Digger szybko wyszedł na polanę, a Fielding tuż za nim. Stąpali przez wysokie zieliska szybko, ale miękko, kierując się na miejsce, położone tuż z tyłu drzwi pasażerskich z ich wysokim stopniem wejściowym i tam wtoczyli się pod spód. Fielding, leżąc twarzą do góry, wzięła od Diggera jego torbę i wyjęła podobną do cegły kostkę materiału wybuchowego i detonator. Nastawiła go na cyfrę cztery, wprowadziła go do kostki, sięgnęła wysoko ponad skrzynię biegów do ramy podwozia i delikatnie pozwoliła minie chwycić podłoże.

Oboje, Digger i Fielding, posłyszeli głos Buddy'ego w słuchawkach.

- Wszystko dobrze. Kierowca stale na swoim siedzeniu.

Obydwoje wytoczyli się spod wyrzutni, podnosząc z powrotem za sobą wysoką trawę, na ile tylko mogli.

- Ruszajcie - powiedział głos w słuchawkach i obydwójce wrócili szybko po swoich śladach w zacisze drzew. Znaleźli tu Douga i Buddy'ego, ochraniających ich powrót.

- Wszystko gotowe? - powiedział Buddy, witając ich obydwójce uśmiechem.

- Tak - odpowiedziała Fielding.

- Kiedy je wypróbujemy? - zapytał Digger.

- W czasie naszego odejścia - odpowiedziała Fielding.

- Dobra, Phil, jesteśmy gotowi - powiedział Digger do mikrofonu.

- To chodźcie - odpowiedział Phil. - Spotkamy was po stronie zachodniej. - Grupa ruszyła gęsiego, z Diggerem na czele. Po przejściu kilkuset stóp Phil pojawił się przed nimi i kucnął.

- Nie za dobrze, Digger - powiedział, kiedy pozostali uklękli przy nim. - Ten sam układ co poprzednio, z jednym pichącym facetem, ale jest też dwóch mechaników, pracujących na szczycie drugiej wyrzutni, a z ich miejsca widzą wszystko wokół.

- Masz jakiś pomysł? - zapytał Digger.

- Być może - kontynuował Phil. - Ci dwaj mechanicy stoją przed stojakami, twarzami do tylnej części wyrzutni. Ich skrzynki z narzędziami stoją na szczycie szoferki, w jej przedniej części. Kiedy oni wyszukują w skrzynkach narzędzia, wtedy będziecie całkiem na widoku, ale kiedy wrócą na swoje miejsca, to te skrzynki zasłaniają im pole widzenia do przodu, na tą trawę. A chociaż kucharz z kolei, stojąc na otwartej przestrzeni, ma pełną widoczność całego terenu przed szoferką, jego zapasy są ulokowane w namiocie, już trochę za pojazdem.

- To brzmi nieźle - powiedział Digger. - Gdzie mieści się ich magazyn *Silkwormów*?

- To następny problem. Bill teraz to sprawdza. Wszystkie *Silkwormy* zostały z jakiejś przyczyny wyładowane i umieszczone tuż przy brzegu polany. Dostęp do nich jest łatwy, ale jeżeli z jakiegoś powodu zostaną one ruszone, to wszystko, co tam zostawimy, na pewno zostanie odkryte.

- Dobra, wszyscy na stanowiska. Doug, zostań tutaj z Fielding, a my z Philem rozejrzemy się - powiedział Digger wstając. Phil prowadził ich między drzewami ku wschodniej części polany, a chociaż panował wszędzie spokój, Phil zatrzymał się w połowie drogi, przykucnął i odezwał się do mikrofonu.

- Buddy, przechodzimy teraz przez ścieżkę.

- Tu wszędzie czysto - nadeszła odpowiedź i Phil ponownie wstał, przeszedł ścieżkę i poprowadził Diggera do miejsca, gdzie przy końcu drzew leżała duża sterta pocisków rakietowych *Silkworm*, do połowy przykryta brezentową plandeką.

Phil wskazał jakieś ślady opon, odchodzących od sterty.

- Wygląda na to, że je rozładowali i po prostu odjechali tą przesieką, którą wycięli aż tam, do drzew po stronie północnej. Czy sądzisz że mieli jakieś kłopoty z samym pojazdem i zabrali go gdzieś do naprawy?

- Może - odpowiedział Digger - ale ponieważ, jak się wydaje, mają tu

sporo narzędzi, to musiał to być dla nich jakiś większy problem, kiedy nie starali się usunąć go na miejscu, chyba, że... Chancey, słyszysz mnie?

- Tak, Digger.
- Ile rakiet może przewozić ta ciężarówka?
- Około dwunastu.
- Czy policzyłeś przypadkiem ile ich jeszcze było na niej?
- Osiem.
- Dzięki. No więc nie musimy niczego tutaj podkładać.
- Pewnie, co za korzyść z posiadania rakiet, kiedy nie można ich użyć?
- Doug, zabierz Fielding na stronę zachodnią i poproś ją, żeby przygotowała jedną dla mnie. Następnie przygotuję już samodzielnie. - Digger i Phil przeszli z powrotem ścieżkę i spotkali Fielding i Douga pośrodku drzew, dokładnie naprzeciwko przodu wyrzutni. Fielding wręczyła Diggerowi *Porky*, już przygotowaną.

- Tylko dwie rzeczy, Digger - powiedziała szybko. - Nie muszę ci mówić, żebyś to umieścił poza zasięgiem wzroku, ale kiedy już będziesz ją zakładał, wyciągnij rękę i pozwól, żeby najpierw dotknął podłoża jeden jej koniec, a później jeden bok, stosując przy tym taki opór sile jej przyciągania do ramy wozu, na ile to tylko możliwe. Jeżeli pozwolisz, by przywarła od razu pełną powierzchnią, to spowoduje całkiem głośne łupnięcie. Poza tym, kiedy nawet są nastawione na niską czułość, dopuszczenie do tego, żeby magnetyczna podstawa uderzyła w ramę, może spowodować detonację.

- Dzięki - powiedział Digger z kwaśnym uśmiechem i odszedł powoli w kierunku polany. Ponieważ wczesne poranne niebo było już rozjaśnione wystarczająco, żeby wyraźnie ukazać każdego intruza, wchodzącego na otwartą przestrzeń, Digger nie spieszył się. Stanął dokładnie w środku najbliższego długiego cienia i obserwował głowy dwóch mechaników, zaledwie widoczne, kiedy tak pracowali wysoko w tylnej części wyrzutni. Po swojej prawej stronie wyraźnie widział kucharza, majstrującego przy swej prymitywnej kuchence. Po dwóch minutach jeden z mechaników odwrócił się i zrobił kilka kroków do przodu, gdzie na dachu szoferki znajdowały się trzy skrzynki z narzędziami. Irańczyk przeglądał narzędzia przez chwilę, zdecydował się na jedno z nich i odwrócił się, by powrócić do tylnej części. W tym samym momencie kucharz postanowił zostawić swoje uciążliwe obowiązki i począł w kierunku namiotów. Reszta zespołu otoczyła teraz polanę i obserwowała jak Digger szybko i cicho przebył bez wysiłku

odległość czterdziestu stóp do przedniej części wyrzutni, znikając z pola widzenia pod jej przednią osią.

Aż do tego momentu wszystko szło tak gładko, jak można było tylko oczekiwać. Digger nie miałby żadnego problemu z powrotem pod bezpieczne drzewa, gdyby nie niezdarne poszukiwacze narzędzi, pracujący gdzieś powyżej. Właśnie, kiedy Digger delikatnie umieszczał urządzenie na skrzyni biegów, mechanik przeszedł do przodu, żeby znaleźć inny klucz i wybrał taki, który mu odpowiadał, wyciągnął go ze skrzynki, ale w następnym momencie pozwolił mu wyslizgnąć się z ręki. Klucz stoczył się hałaśliwie po konstrukcji za szoferką i upadł z miękkim, głuchym pacnięciem tuż przy Diggerze, o mało nie powodując, że pozwoliłby on przyciąganiu magnetycznemu przysnąć gwałtownie do skrzyni biegów metalową obudowę podkładanego urządzenia. Ale Digger zamarł w bezruchu, ściskając *Porky* tak mocno jak tylko mógł, trzymając ją na długość ramienia i pozwalając, by urządzenie delikatnie przywarło do obudowy.

- Zatrzymaj się! - zabrzmiał w słuchawkach rozkaz Buddy'ego.

- Rychło w czas - poruszył bezgłośnie ustami Digger. Ale zamiast pozostać w bezruchu, Digger zrobił coś przeciwnego. Podniósł upuszczony klucz, rzucił go poza lewą przednią oponę i przesunął się do tyłu, w głębszy mrok. Mechanik, klnąc i wyrzekając na swoją nieuwagę, zaczął wołać coś do kucharza, który wracał właśnie do swojej kuchenki.

- On mówi kucharzowi, żeby przyszedł i znalazł mu klucz - powiedziała Fielding do swego mikrofonu, podczas gdy Doug i reszta zespołu wymierzyła swoją broń w wybrane cele. - Kucharz się spiera. Zbyt zajęty. Jest kucharzem, a nie mechanikiem - kontynuowała, posuwając się cał po calu ku polanie, ażeby usłyszeć z tych krzyków możliwie jak najwięcej.

Digger pozostał w bezruchu ponieważ wiedział, że kucharz odzyskał teraz ponownie pełną widoczność pola przed wyrzutnią. Cały ten hałas i poruszenie zaczynały teraz docierać do śpiącej załogi i jeden po drugim, rozspani, na wpół ubrani żołnierze zaczęli pojawiać się na zewnątrz namiotów, pokrzykując na mechanika i kucharza za przeszkadzanie im w śnie. W czasie zaledwie kilku chwil wokół kucharza zebrał się tłumek, węsząc zapach pożywienia i nalewając kawę, wszyscy najwyraźniej niepomni tego, że mechanik ciągle wołał, aby ktoś znalazł mu ten klucz. Chciał najwyraźniej, żeby oszczędzono mu osobistego schodzenia i poszukiwań.

Cała sytuacja zaczęła się stawać niebezpieczna. Jeden z żołnierzy, napelniwszy blaszany kubek naparem, zdecydował się zakończyć te potyczki słowne, podchodząc do wyrzutni i sprawdzając, czy coś znajdzie. Pomachał wolną ręką, jakby trzymając w niej czarodziejską różdżkę i przekleństwa nagle ustały. Mechanik zaczął wskazywać mu miejsce gdzie upadł klucz i chociaż ton jego głosu wyraźnie zmiękł, stale kontynuował gadaninę typową dla zmęczonego, przepracowanego i zbyt nisko opłacanego pracownika, próbującego zyskać nieco współczucia. Nie wiedzieli, że sześć pistoletów automatycznych było wymierzonych w różne części ich mundurów. Ochotnik pochylił się by zbadać grunt, ale zanim miał czas zauważyć cokolwiek niezwykłego pod pojazdem, sięgnął i odnalazł błyszczące narzędzie, leżące w trawie. Prostując się, pomachał nim, żeby wszyscy widzieli, a kolejka zgromadzonych do posiłku powitała to niemrawym aplauzem.

Zamiast wspinać się na bok pojazdu, rzucił narzędzie beztrasko w górę do czekającego mechanika, który jednak lekko się potknął, chwytając powietrze w daremnej próbie zapobieżenia ponownemu upadkowi feralnego klucza na ziemię. Ale chwyt był ostatecznie chybiony i narzędzie ponownie upadło z głośnym dźwiękiem gdzieś pomiędzy elementy konstrukcji wyrzutni. Tłumek zaczął ponownie wołać i wykrzykiwać kiedy mechanik patrzył w dół, wokół siebie, ale nagle jaskrawy odbłask trzymanej w jego ręce, odzyskanej zguby, uciszył ten hałas, który zdążył już wyciągnąć na otwartą przestrzeń wszystkich dotąd śpiących żołnierzy irańskich.

Fielding odepchnęła mikrofon od ust, odwróciła się szybko do Doug'a i wyszeptwała nagle:

- Radio, daj mi radio.

Doug spojrział na nią z niedowierzaniem. Odsunęli się od polany, a Fielding szybko wyciągnęła z kieszeni małą czarną książeczkę i zaczęła ją kartkować.

- Doug, nie będę wzywać pomocy, ale mam zamiar jej trochę udzielić.
- Obróciła go i otworzyła jego plecak. Chwyciwszy słuchawkę z mikrofonem zmieniła częstotliwość, maksymalnie wyciszyła głośnik i włączyła własne słuchawki. Wskazała kciukiem kierunek dalej w głąb drzew, chwyciła ramię Doug'a i odciągnęła go o pięćdziesiąt stóp od polanki. - Na ziemię - powiedziała włączając zasilanie. - Digger, mam zamiar zadzwonić do ich lokalnego radia, żeby ściągnąć ich uwagę. Mam tylko nadzieję, że radio w ciężarówce jest także włączone.

- Co myślisz, Buddy? - powiedział Doug.
- Potrzebujemy czegoś i to teraz, zanim te zbiry dobiorą się do wyrzutni - przyszła jego odpowiedź.

- Buddy, powiedz mi, jak tylko zobaczysz jakąś reakcję.

- Dobra.

Fielding zaczęła mówić w słuchawkę w irańskim dialekcie, jej głos brzmiał miękko i kusząco.

- Jeszcze nic - powiedział Buddy.

Fielding zamknęła oczy i przysunęła słuchawkę bliżej ust. Mówiła dalej w formie rozmowy, która brzmiała płynnie i niezwykle zajmująco.

- Ktoś wyszedł z namiotu z torbą. Sądzę, że to jest radio - powiedział Phil. - Wykrzykuje coś do faceta, który znalazł klucz.

Podczas gdy Fielding kontynuowała swą rozmowę, Phil nadal prowadził relację.

- Przynieśli radio na stół i ktoś tam kręci gałkami. Słyszę właśnie głos, dobiegający spośród tłumu zgromadzonego przy stole. To jest głos kobiety. Sięgają po słuchawkę, myślę, że chcą nawiązać kontakt. Nawet ci dwaj mechanicy złążyli na dół, żeby zobaczyć co się dzieje. Wszyscy patrzą na radio.

- Teraz, Digger, teraz! - rozkazał głos Buddy'ego ponad słowami Phila.

Fielding podniosła nieco głos, jakby się czemuś sprzeciwiając. Oczy miała zamknięte. Jej głowa zaczęła kołysać się na boki przy każdym nowym fragmencie dialogu. Jej twarz była wykrzywiona w grymasie zdecydowania.

Buddy krzyknął - Wydostał się! Wydostał się!

- Jestem bezpieczny - doszedł cichy szept Diggera.

Fielding stale kontynuowała swoją jednostronną rozmowę, a Phil nadal prowadził relację.

- Wszyscy po kolei próbują rozmawiać przez radio, ale bez większych sukcesów.

- Jesteśmy z Fielding po stronie zachodniej - powiedział Doug.

- Uwaga wszyscy, wynosimy się stąd - powiedział autorytatywnie Digger.

Głos Fielding zaczął ponownie łagodnieć i uśmiech powrócił na jej twarz. Powoli otworzyła oczy i sięgnęła do tunera. Pozostali członkowie zespołu, każdy z wyrazem uznania na twarzy, otoczyli Fielding, czekając aż skończy. Przyjęła ich pełne podziwu spojrzenia skinieniem głowy i

pięknym uśmiechem i skrzyła tuner nieco bardziej. Kiedy jej ostatnie słowa przeszły w szept, pojawił się Digger. Przetawiła radio na poprzednią częstotliwość, odłożyła słuchawkę na jej podstawę i zamknęła plecak Doug'a.

- Dobra robota, Fielding - odezwał się Digger z pierwszymi prawdziwymi słowami zachęty, przekazanymi jej od czasu ich pierwszego spotkania. - Chcę usłyszeć co mówiłaś tym facetom, ale pomówimy później o twoim podejściu do pacjentów. Podkrećmy te *Porkies*.

- To już zrobione, Digger - powiedziała od niechcienia, zaciągając zamek swojej saszetki przy pasie i dołączając do grupy, powracającej do swej formacji gęsiego.

- Co takiego?! - powiedział Digger z tyłu, potykając się o jej pięty.

- Mam przenośne urządzenie. Wszystkie są włączone i gotowe do zadziałania.

- Jakie ustawienie?

- Otrzymałam rozkazy ustawienia ich na zapobieżenie wystrzeleniu rakiety. - Digger skinął aprobuszując głowę i przeszedł na czoło szeregu. Gdyby *Złote Foki* zajęły się tym terenem o dzień później, wystrzelenie *Silkwormów* tego wieczora byłoby miażdżące dla żeglugi tankowców w tej okolicy, ale w tej sytuacji, cała ta irańska placówka została w praktyce unicestwiona.

Rozdział Czterdziesty Piąty

Zatoka Perska. USNS La Salle C-430

06:51 czasu lokalnego (03:51 GMT)

La Salle, chociaż dysponująca nieco ograniczonym wyposażeniem ratowniczym, była jedynym okrętem w Zatoce, który mógł dokonać podniesienia ładunku tej wielkości i dlatego otrzymała rozkaz udania się w kierunku południowego końca Zatoki i to jeszcze zanim *Fulcrum* uderzył w powierzchnię wody. Podczas gdy zespół nurków szykował *URPS* do zwozowania, na pokładzie krążownika zabrzmiał sygnał: „Na stanowiska bojowe” i wszyscy wolni marynarze przygotowali dźwig na lewej burcie. Sygnał nadesłany do kapitana Tima Connolly'ego ostrzegał przed możliwymi manewrami irańskimi, podjętymi dla przeszkodzenia w pracach wydobywczych, wystawiono więc posterunki, żeby prowadziły obserwację wszelkich, nawet niewielkich, lokalnych zagrożeń, a także możliwych prób ratowania pozostałej ewentualnie przy życiu załogi. Kiedy porucznik Bob Greenman, ubrany w lekką koszulkę i szorty, zszedł do podwodnego statku naprawczo-ratowniczego *URPS*, żeby przyłączyć się do grupy swoich przyjaciół - nurków i rozpocząć procedurę kontrolną przed zanurzeniem, hak pomocniczej wyciągarki został opuszczony za rufę, w gotowości do wodowania. Greenman ułożył się w pozycji na brzuchu obok porucznika Victora Manninga i założył na głowę słuchawki.

- Dajcie mi próbę audio - powiedział, sprawdzając pomiary ciśnienia.
- Przyjąłem Bob, słyszymy cię - odpowiedziano z kontroli.
- Gotowy do listy numer jeden - potwierdził Greenman i zaczęły się różne procedury kontrolne. Kapitan Connolly nadal spieszenie prowadził *La Salle* zgodnie ze wskazaniami *AWACS* do punktu, gdzie *Mig* uderzył w wodę, przekazując wiadomość zarówno do Greenmana jak i do Manninga, że przewidywany czas przybycia na miejsce to dziesięć minut i żeby byli gotowi do zanurzenia natychmiast po przybyciu.

Rozdział Czterdziesty Szósty

Baza Gonzo. USNS George Washington CVN 90

06:55 czasu lokalnego (03:55 GMT)

Wszyscy na pokładzie *George Washingtona* pracowali gorączkowo nad przywróceniem działania głównych systemów i chociaż okręt miał już ponownie zasilanie wraz z możliwością katapultowania, każdy dział pracował intensywnie nad przywróceniem sprawności wszystkich urządzeń. Technicy wyczerпали wszystkie magazynowe zapasy, a jako że odbudowa lub łączenie części było prawie niemożliwe, z ociąganiem pogodzili się z koniecznością czekania na przybycie posiłków. Posługiwanie się radiem krótkiego zasięgu było już wykonalne, ale nie było żadnej podstawowej łączności, radaru, nukleoniki ani systemów obronnych. Chociaż samotny *Hornet* pozostawał na stanowisku ponad *Grupą Szóstą*, jego możliwości obrony swych podopiecznych były w praktyce bliskie zeru. Obszerny raport o obecnej sytuacji był stale uzupełniany nowymi danymi, przesyłanymi teraz do *Philadelphii* za pomocą dwukierunkowego aparatu radiowego krótkiego zasięgu, bo podobny aparat został dostarczony na *Philadelfię* przez paru marynarzy łodzią, opuszczoną na wodę z rufy *George Washingtona*. Raporty te były retransmitowane dalej via *NAVSAT* do Pentagonu. Okręty *Grupy Szóstej*, odzyskawszy część napędu, zajęły swoje właściwe pozycje wokół lotniskowca.

Na zewnątrz, na pokładzie startowym lotniskowca, Hawksworth szykował się do wejścia na pokład *Harriera*.

Gurney uściskał rękę Hawkswortha.

- Proszę podziękować kapitanowi Smithowi ode mnie. Jesteśmy wdzięczni za jego zainteresowanie.

- Podziękuję, panie kapitanie. Jestem pewien, że w podobnych okolicznościach zrobilibyście to samo dla nas - odpowiedział Hawksworth. - Przykro mi raczej, że muszę odlatywać tak wcześnie, ale mój szef życzy sobie mojego natychmiastowego powrotu. Poza tym, gdybym pozostał tu dłużej, moja staruszka mogłaby zarobić tu jakiegoś kopniaka za zbyt długie parkowanie. Mam jedynie nadzieję, że zdołacie odkryć, co spowodowało to wszystko zanim ktoś, ktokolwiek to był, dobierze się i do nas.

- I ja ją mam - zgodził się Gurney.
- Jeśli wolno mi to powiedzieć, panie kapitanie, wygląda pan teraz o niebo lepiej, niż kiedy pierwszy raz zszedłem na pokład - powiedział pogodnie Hawksworth.

- No cóż, kiedy się czuje tą bryzę, toczącą się wzdłuż pokładu, to może to zdziałać cuda.

Hawksworth odwrócił się i wspinał się po stopniach do kabiny, *Pegasus 103* obudził się do życia, klocki zostały odciągnięte i po sygnale od kierownika startów jednomiejscowy *Harrier* przeleciał w rejon startu i uniósł się łagodnie w poranne powietrze, zwracając się na północ z powrotem w kierunku *HMS Conningtona*.

Kapitan Gurney zszedł z powrotem w dół do głównych pomieszczeń łączności, przylegających do C/Ci znalazł komandora Treedle, siedzącego przy biurku, przy jasnym świetle, oglądającego przez mikroskop płytkę obwodu drukowanego.

- Czy jest coś interesującego, John? - zapytał Gurney siadając na rogu biurka Treedle'a.

- Niespecjalnie - odpowiedział Treedle odchylając się do tyłu w swym fotelu i ścierając zmęczenie z oczu. - Wszystko co wiem to tyle, że każda pojedyncza sztuka z naszych dwudziestu ośmiu aparatów radiowych wysiadła, włączając w to, co martwi mnie najbardziej, aparat Morse'a. Nasi cywilni koledzy rozdłubali już te płytki na drobinki i powiedzieli mi, że wszystko jest w zasadzie nienaruszone. Jediną rzeczą, która różni tą tutaj płytkę od tej funkcjonującej normalnie jest, że jej pamięć wzięła urlop, a jej programy kręcą się po prostu w kółko bez końca, jakby ich świadomość została ogłuszona. Jednakże, co ciekawe, w zespole obwodów elektrycznych aparatu Morse'a nie ma ani jakiegokolwiek pamięci, ani płytek obwodów drukowanych, a on wysiadł także.

- Może zawiódł z innego powodu? - powiedział Gurney.

- Być może, ale jeżeli nie, to cokolwiek czy ktokolwiek to zrobił, wiedział z pewnością jak nas kompletnie unieruchomić. Czy wiedział pan, że nawet kuchenki mikrofalowe w kambuzie wysiadły także? - powiedział Treedle, spoglądając wreszcie na Gurney'a, by dostrzec jego zmartwioną twarz.

- Nie wiedziałem.

- No cóż, wszystko co mogę powiedzieć, to tyle, że jeżeli nie odkryjemy przyczyny tego wszystkiego i nie odkryjemy jej szybko, to ten, ktokolwiek to zrobił, może po prostu zrobić to samo w Bahrajnie i zupełnie

unieruchomić naszą osłonę powietrzną lub pozbawić nas możliwości ochrony strefy zakazu lotów na północy. *Independence*, na przykład, może być następny.

- Wiem. Jakie w tej chwili podejmujesz kroki? - zapytał Gurney, przygotowując się do wyjścia.

- Mam tu trójkę naszych najlepszych chłopaków, pracujących nad zmontowaniem zestawu, który będzie mógł nawiązać łączność może choć z *Hammerem*, jeśli nie bezpośrednio z *NAVSAT*.

- Żeby być szczerym, John, nie bardzo mogę pojąć, jak to może być, że przy całym naszym zaawansowaniu i wszystkich tych systemach rezerwowych, musimy od zera montować jakiś zestaw, żeby odzyskać łączność z dowództwem - zauważył nieco lekceważąco Gurney, zarówno stwierdzając to, jak i zadając pytanie.

- Każdy zestaw jest obecnie konstruowany z użyciem różnych rodzajów pamięci, które służą do zarządzania częstotliwościami i ich łączenia, klarowania dźwięku i monitorowania systemów. Stały się one taką integralną częścią obecnych aparatów radiowych wszelkiego rodzaju, że kiedy one zawiodą, cały aparat zawodzi także. To tyle o nowoczesnej technologii.

- Uważasz, że nowoczesna technologia jest zła?

Treedle uśmiechnął się. - Stare urządzenia, które mieliśmy na *Sarze*, były uzależnione, podobnie jak wszystko inne, od pary, która utrzymywała je w ruchu. Nie posiadały żadnych układów scalonych, żadnego silikonu, tylko kilka rurek i parę kondensatorów. Jeżeli taka maszynka zostałaaby zaatakowana w ten sposób, mogłaby zakaszleć i charczeć przez chwilę, ale później nabrałaby powietrza i działałaby dalej tak, jakby się nic nie stało. W ostateczności dział łączności byłby zdolny utrzymywać działania nawet wtedy, gdyby inna część okrętu ucierpiała.

- I przypuszczam, że nie mamy już na okręcie żadnego z tych starych aparatów radiowych? - zapytał Gurney, pocierając kark.

- Zgadza się, odeszły razem z Arką Noego, choć, jak słyszę, mamy istotnie od lat jakieś stare typy słuchawek z mikrofonami, które dla nas przetrwały. Ale, mówiąc poważnie, nasze nowe zestawy są najlepsze na świecie i każde pojedyncze czułe pole, które może być wrażliwe na atak, jak wiesz Brad, jest przecież zabezpieczone przed wydarzeniem się czegoś takiego.

- No cóż, John, to w tym przypadku, jak widać, tak nie jest.

Rozdział Czterdziesty Siódmy

Zachodnie Wybrzeże Iranu. Rhinestone

08:03 czasu lokalnego (04:03 GMT)

Minęło już kilka godzin, od kiedy major Barton opuścił główną drogę i zwolnił do około trzydziestu mil na godzinę, a dziesięć minut, od kiedy zaczęło ponownie błyskać światelko ostrzegawcze. To czym jechał, a co trudno było nawet nazwać drogą, zamieniło się teraz w wąskie pasemko niewyraźnych śladów, a liczne wyboje i dziury jeszcze bardziej zwolniły tempo jego jazdy. Wszystko co mógł uczynić, to utrzymywać napiętą uwagę, ale też był przynajmniej już niedaleko celu. Jego wewnętrzny system nawigacji, jak i dokonywane w przybliżeniu obliczenia, mówiły Bartonowi, że ma jeszcze ciągle do przejechania około pięćdziesięciu mil żeby dostać się do linii brzegu. Major zaczął się zastanawiać, czy w ogóle powinien kierować się do tej linii. Jakakolwiek akcja zabrania go stąd, która mogłoby przecież być zorganizowana, z pewnością zwróciłaby jednak na siebie uwagę. Miał jedynie nadzieję, że dopóki miejsce jego pobytu będzie nadal nieznane irańskim siłom zbrojnym, zanim zareagują one na podjętą dla niego akcję ratunkową, będzie już poza ich zasięgiem. Jednakże obecnie, kiedy został już właściwie zdemaskowany, nie będzie trwało długo, zanim całe siły irańskiej obrony narodowej nie zaczną wysyłać helikopterów i zwiadowców, żeby go wytropić. Im głębiej Barton przemyślał swoje perspektywy, tym bardziej akceptował konieczność posłużenia się procedurami nadzwyczajnymi.

- Jeżeli kiedykolwiek potrzebna była nagła akcja ratunkowa - wypowiedział głośno - to właśnie teraz!

Ponownie spojrzął w lusterka, ale ciągle niczego nie dostrzegał. Minęła co najmniej godzina od momentu, kiedy wyłączył światła reflektorów i poza dużą chmurą piasku i kurzu, która była jego stałym towarzyszem, nie pozostawiał za sobą czegoś więcej, co można by dostrzec. Ponownie zwiększając szybkość do ponad pięćdziesięciu mil i jednym okiem patrząc na drogę, a drugim zerkając w lusterko, zdjął z prawej ręki rękawiczkę, sięgnął pod deskę rozdzielczą i zaczął szukać dotykiem. Gdzieś za szybkościomierzem ulokowany był przełącznik aktywujący jego GPS. Ostatnim

razem był on sprawdzany tuż przed jego wjazdem na cichą, ale ryzykowną przełęcz, stanowiącą tylne wejście z Iranu do Pakistanu, ale po tych wszystkich uderzeniach i walnięciach, które otrzymał *jeep* od czasu przyjazdu, było wątpliwe czy *GPS* w ogóle będzie działał. Kiedy jego palce odnalazły kontur małego włącznika, ukrytego pomiędzy przewodami, nacisnął go. Kiedy to zrobił, system przystąpił do działania, sygnalizując to jasnym błyskiem ostrzegawczego światła wskaźnika poziomu oleju.

Nerwy Burtona były nadszarpnięte, żołądek pusty, a jego powieki stale już walczyły z tym ciepłym uczuciem senności, która nachodzi każdego, kto jedzie zbyt długo bez snu. Sięgnął do wnętrza bluzy i wyciągnął małą brązową buteleczkę. Odkręciwszy nakrętkę pociągnął długi, porządny łyk i schował ją z powrotem do kieszeni. W takich jak te okolicznościach ten smak, pasujący bardziej do kantyny aniżeli do tych piasków, działał zarówno dla przypomnienia mu partnerów do kielicha jak i dla poderwania go ze snu. Przyjmując, że los jego był prawdopodobnie, tak czy inaczej, przesądzony, zmusił swój umysł do skupienia się na tych kilku desperackich momentach jazdy w konwoju i widoku *Migów*, przelatujących nisko nad głową. Wyobraził sobie ciężarówkę i żołnierzy wychylających się z jej tyłu. Odtworzył taśmę pamięci tego nagłego ryku silników odrzutowych nad głową i krótkiego mignięcia dwójki *Fulcrumów* bez świateł pozycyjnych. I nagle Barton zawołał.

- Ależ byłem idiota. Oczywiście! Dlaczego nie uświadomiłem sobie tego wcześniej?! - Jego myśli przyspieszyły gwałtownie. Być może, cały jego trening i doświadczenie umieściły go tu w Iranie właśnie po to, żeby był świadkiem wydarzenia, które mogło zmienić bieg historii całego regionu. - A ja to prawie przegapiłem! - wrzasnął. Sięgnął po radio.

- *Rhinestone* wzywa *Top Hat*, *Rhinestone* wzywa *Top Hat*, zgłóście się.

Na pokładzie *AWACS 21*, o jakieś czterysta mil na południowy zachód, taśmy nagrywające zaczęły się obracać.

- Tu *Top Hat*, dwadzieścia-dwadzieścia, słuchamy.

- Pilne dla *Cherry-Red*. Podejrzane są dwie nowe burze idące na południe, powtarzam podejrzane. Rozpoczęły się przed dwiema godzinami. Chociaż burze są silne, ich pochodzenie jest podejrzane, powtarzam podejrzane. Potrzebujemy zezwolenia. Jak mnie słyszycie?

- Tak, podejrzane, a zezwolenie gotowe i już w drodze. Przewidywany czas przybycia zero-dziewięć-trzydzieści.

- Dziękuję. Zero-dziewięć-trzydzieści. Koniec.

Rozdział Czterdziesty Ósmy

Południowe wybrzeże Iranu. Żłota Foka

08:10 czasu lokalnego (04:10 GMT)

Chociaż cały zespół był tak samo ostrożny w drodze powrotnej jak wtedy, kiedy tu przybywał, powrót zajął im daleko mniej czasu. Kiedy dostali się pod osłonę krzaków, blisko nadbrzeżnego uskoku, Digger zaczekał na Fielding.

- Co miałaś na myśli mówiąc, że już je włączyłaś? - zapytał.
 - Uzbroiłam je i sprawdziłam, kiedy ty czekałeś na możliwość ucieczki spod tej wyrzutni - powiedziała Fielding, skupiając uwagę na leżącej przed nią ścieżce.
 - Ale powiedziałaś, jak mi się wydawało, że masz zamiar je sprawdzić, kiedy opuścimy już ten teren? - kontynuował Digger.
 - Kłamałam. Wszystkie są sprawdzone i gotowe do działania.
 - Ale to mogło oznaczać, że gdyby mnie tam złapali, lub kierowca zdecydował się ruszyć pojazdem, mogłoby mnie tu już nie być, żeby słuchać tego wszystkiego.
 - To prawda, ale możliwość takich wydarzeń była całkiem nikła. Poza tym, gdyby one nie zadziałały właściwie, mogłabym tam ciebie potrzebować do wykonania jakichś poprawek, kiedy jeszcze stałe byłeś pod wozem.
 - Świetnie, dzięki że mi o tym mówisz - powiedział Digger sarkastycznie. - A tak między nami, w jakim ustawieniu pozostawiłaś przekaznik?
 - Dziewięć.
 - Dziewięć? - powiedział nerwowo Digger, podnosząc równocześnie głos i rozglądając się wokół, jakby chciał zobaczyć, czy ktoś go usłyszał.
- Fielding zajrzała w brązowe oczy Diggera i uśmiechnęła się. - Takie rozkazy, bo teraz chcemy być przecież pewni, że nic z tej wyrzutni już nie wyleci. - I Digger uśmiechnął się także.

Phil już poszedł przodem i sprawdził okolicę zanim zespół dotarł na brzeg uskoku. Wyciągnięto worki spod krzaków, zabezpieczono linę do zjazdu i Bill szybko zniknął z pola widzenia za krawędzią uskoku. Kiedy

Phil, Chancey i Doug poszli za jego przykładem, Digger i Buddy przygotowali długą linę, przekładając ją luźno wokół pnia najbliższego drzewa rzucając oba jej długie końce w dół na plażę. Digger sięgnął do worka, wyjął jakąś puszkę i zaczął rozpylać jej zawartość na pokryty korą pień drzewa, po którym miałyby prześlizgiwać się lina. W ciągu około dwóch minut rozpylana ciemna mgła miała zamienić nieco chropowatą korę w świecąca, śliską powierzchnię, pozwalającą z obydwu końców ściągać swobodnie linę. Kiedy Fielding i reszta zespołu zjeżdżali po ścianie, Digger i Buddy spuścili na dół worki i sprzęt i przygotowali się do opuszczenia tego miejsca. Buddy napiął linę owiniętą wokół drzewa, a Digger zjechał na plażę. Następnie z dołu Phil i Chancey uchwycili się Diggera, a Buddy, zwolniwszy napięcie liny, dowiązał do niej dodatkową długość i zjechał w dół uskoku. Ściągnąwszy resztę liny, której koniec powędrował najpierw z plaży w górę, następnie wokół drzewa i z powrotem w dół, zespół ubrał się i przygotował do wyruszenia w drogę.

Cofający się odpływ poszerzył znacznie teren ich kryjówek, a w pierwszych promieniach wschodzącego słońca *Złote Foki* mogły być teraz znacznie łatwiej zdemaskowane w czasie przechodzenia do brzegu wody. Na szczęście skalna ściana uskoku, która niedawno jeszcze mogła uniemożliwić przeprowadzenie całej akcji, teraz okrywała drogę zespołu długim cieniem, bo wczesne słońce nie było jeszcze na tyle wysoko, żeby oświetlić piaski plaży aż do jej styku z wodą. Canny wchodził już na płyciznę żeby uwolnić *Dingy* z kotwic i wciągnąć linki. Zanim Chancey wszedł do wody, odszukał zdemontowane urządzenie dolnej rolki i zapakował je razem z innym sprzętem, a kiedy już Buddy zakończył pełną kontrolę terenu, wszyscy założyli swe ubiory do nurkowania, sprawdzili ciśnienie i weszli, z workami trzymanymi przed sobą, w zimne wody Cieśniny Ormuz. Kiedy tylko poziom wody znalazł się powyżej ich kolan, miękko opuścili głowy pod wodę i zniknęli.

Rozdział Czterdziesty Dziewiąty

Zatoka Perska. HMS Connington 833

07:19 czasu lokalnego (04:19 GMT)

Przez megafony rozległo się: „przygotować się do przejścia z prawej burty, przygotować się do przejścia z prawej burty”. *Connington*, który zaledwie przed kilkoma dniami wszedł do Zatoki Perskiej, stacjonował na jej południowych wodach i przeprowadzał tam manewry, kiedy nadszedł rozkaz dla Hawkswortha, by niezwłocznie sprawdził sytuację na *George Washingtonie*.

HMS Connington był całkiem nową jednostką; został oddany do użytku zaledwie przed trzema miesiącami i wielu uważało, że w przyszłości zastąpi tradycyjne lotniskowce w wykonywaniu wielu ich zadań. Rozmiarami odpowiadający małemu krążownikowi, chlubił się dwoma ośmiocalowymi działami, dwiema wieżyczkami działek *Phalanx* oraz parą wyrzutni pocisków raketowych *Harpoon*. Z tyłu za główną nadbudówką, przed szerokim polem lądowiska, które rozciągało się przez całą szerokość okrętu, mieścił się hangar, zapewniający osłonę i przestrzeń remontową ośmiu *Harrierom* Królewskiej Marynarki Wojennej. Pod wszystkimi innymi względami *Connington*, w porównaniu do innych podobnych nawodnych platform pionowego startu, został rozplanowany tradycyjnie z wyjątkiem dwóch bardzo widocznych dodatków. Umieszczone po obydwu stronach pokładu przy hangarze i wyglądające bardziej jak niewłaściwie ułożone maszty, dwa wielkie ramiona, przypominające dźwigi, wyciągały się wysoko w poranne niebo. Chociaż dźwigi te, które w brytyjskiej marynarce nazywano „hakami”, nie zawierają w rzeczywistości żadnych haków, działają w sposób bardzo do nich podobny. Końcówka każdego dźwigu jest zaopatrzona w cztery proste, ruchome „palce”, wyciągające się ku dołowi i na zewnątrz, a każdy z nich długi na sześć stóp. Na końcu każdego z tych palców umieszczona jest miseczka z gumy syntetycznej, skierowana do wewnątrz. Pośrodku znajduje się sam „hak”, zwisający z dźwigu, z mocnym urządzeniem chwytającym na końcu. Reflektory oraz videokamera, zamontowana tuż ponad „palcami” i obserwująca urządzenie chwytające, asystują całej operacji. Kierowane przez wysokiej klasy oprogramowanie

komputerowe, dźwigi te mają zdolność przestawiania się z wersji pracy „Orientacja Statek” na „Orientacja Przestrzeń”, pozwalającego na takie ruchy sterującym chwytakiem, by ustawić go precyzyjnie aż do czterdziestu stóp poza obrysy okrętu i utrzymywać go w obrębie cała czy dwóch od określonego z góry punktu, niezależnie od wzdłużnego kołysania się czy ruchów bocznych okrętu.

Hawksworth cofnął już przepustnice z pełnych do wolnych obrotów, schodząc z ośmiu do czterech tysięcy stóp, kiedy otrzymał odpowiednie zezwolenie od oficera lotów, porucznika Brookingsa z kontroli startów.

- *Javelin* trzy, tu kontrola *Snatch*. Jak mnie słyszysz?

- Dobrze, *Snatch*, Tu *Javelin* trzy, gotów do lądowania. - Brookings przypatrywał się uważnie trzem monitorom. Ekran po jego lewej stronie, nadzorowany przez jego asystenta, porucznika Morgana, pokazywał te same dane telemetryczne jak *HUD* w zbliżającym się *Harrierze*. Główny monitor, wprost przed nim, miał bezpośrednie połączenie z videokamerą, zamontowaną na szczycie ramienia dźwigu. Porucznik Nick Brookings przygotował swoje wrażliwe i precyzyjne palce do pracy na dwóch zespołach przycisków kontrolnych, które sterowały ruchami ogromnego ramienia, nacisnął przycisk „Otworzyć” i utrzymując skrupulatną kontrolę nad jednym z pięciu włączonych wcześniej programów komputerowych, kierującym manewrami stustopowego dźwigu, dokonywanymi wysoko nad burcią *Conningtona*, przygotował się do dostrojenia się do lokalnej częstotliwości. Ogromne ramię, wyciągnięte nieco niepewnie na zewnątrz, było stale zablokowane z pokładem, kołysząc się w górę i w dół oraz z boku na bok, w miarę jak *Connington* kołysał się na łagodnych falach Zatoki.

- *Javelin*, tu *Snatch*, przechodzę teraz na „Przestrzeń” - powiedział Brookings, sięgając do przycisku z napisem „Przestawienie” i silnie go naciskając. Kiedy półtonowy żyroskop zaczął się kręcić, cztery silniki, po jednym przy każdej z podstaw dźwigu, zmieniły ustawienie haka w stosunku do linii wodnej. To działanie tak ustawiło podstawę dźwigu, że cała konstrukcja zaczęła stać zdecydowanie prosto, pozornie niezależnie od ruchów okrętu, pozostając całkowicie bez ruchu, z pełnym uwzględnieniem ustalonej żądanej wysokości nad poziomem morza. Główne komputery, które oceniają wysokość położenia podstawy dźwigu, wspomagane przez żyroskopy w zakresie stabilizacji poziomej, utrzymujące doskonałą kontrolę ramienia dźwigu, współdziałają zgodnie po to, żeby hak mógł działać całkowicie niezależnie od poruszeń fregaty na wodzie.

Brookings zajął się przełącznikami, dostroił położenie chwytaka i dotknął okrętowego interkomu.

- Nurkowie na stanowisko przy prawej burcie i przygotować się do przejścia.

Ponad linią wodną, tuż przed rufą, na prawej burcie, otworzyły się wielkie drzwi, ukazując jedną z dwóch skierowanych do tyłu wyrzutni pontonów. Trzech nurków weszło do pontonu, gotowych na wypchnięcie ich do ciepłej wody w przypadku przymusowego wodowania samolotu. Awaria silnika bywała rzadkością w krytycznym momencie chwytania samolotu i chociaż od czasu pierwszych prób *Conningtona* na morzu utracono niejednego *Harriera*, nurkowie byli zawsze w pogotowiu, by rzucić się do wodującego samolotu i wyciągnąć pilota z tonącej maszyny. Królewska Marynarka Wojenna była naprawdę dumna ze swego rekordu, wynoszącego jedynie osiemdziesiąt dziewięć sekund, liczonych od momentu zadziałania wyrzutni do momentu wciągnięcia pilota do bezpiecznego pontonu.

- *Javelin*, tu *Snatch*. Jesteśmy ustawieni na „Przestrzeń”. Gotowi do przejścia. Przełącz się na częstotliwość lokalną.

- Przyjąłem, *Snatch*, przechodzę na lokalną. Hawksworth krótko dotknął swego radia. - *Snatch*, tu *Javelin* na podejściu.

- Potwierdzamy, *Javelin*. Jesteśmy gotowi przyjąć cię na prawej burcie - powiedział Brookings. - Nasza prędkość... trzydzieści węzłów, nie ma bocznego wiatru. Przekazniki włączone, możesz teraz włączyć *Hedges*.

- Przyjąłem. Włączam *Hedges*. - Hawksworth obserwował jak jego *HUD* ożywa, z dwiema jasno podświetlonymi poziomymi strzałkami *Systemu Użycia Haka*. Cofając przepustnicę do poziomu siedemdziesięciu procent, przesunął wewnętrzną regulację pracy dysz z 0 do 30 stopni. *HUD* pokazał na ekranie stałe linie, poziomą i pionową, ułożone w postaci krzyża, oraz dwie jasnozielone strzałki, które pojawiły się po obydwu stronach i pozostawały nieruchome, dopóki odległość nie zbliżyła się do tysiąca jardów. Kiedy tylko *Hedges* zaczął pracować, im bliżej Hawksworth podchodził do chwytaka, tym bardziej końce każdej z tych strzałek zbliżały się do siebie, by się wreszcie zetknąć, co wskazywałoby idealną pozycję do kontaktu z chwytakiem. Wszystko, co pilot miał do zrobienia, to tak ustawiać swój samolot, żeby w momencie, kiedy końcówki strzałek zetkną się, przesłaniały one linię poziomą krzyża, wskazując jednocześnie dokładnie na jego linię pionową. W tym momencie chwytak jest gotów do wejścia w kontakt z kulą, mieszczącą się na specyficznym występie, który wystaje z kadłuba za kabiną pilota, w środku ciężkości samolotu. Właśnie ten występ

czyni tę wersję :H; samolotu *Harrier* tak rozpoznawalną nawet dla najbardziej przygodnego obserwatora.

Jeżeli samolot porusza się poza strefą aktywacji chwytaka, strzałki nałożą się na siebie i zmienią swój kolor na czerwony, co wymaga od pilota, by zwolnił lot *Harriera* i pozwolił, żeby okręt przesunął się do przodu w stosunku do położenia samolotu. To przywróci uprzednie ustawienie strzałek w jednej linii, czubkami do siebie i potwierdzi ponowną gotowość chwytaka. W warunkach idealnych, tak jak określili to instruktorzy, elementy zadowalającego wejścia w okienko lądowania są następujące:

1. Twoja prędkość liniowa powinna spaść do prędkości okrętu-matki dokładnie w momencie zetknięcia się dwóch strzałek, przy utrzymywanej wysokości 100 stóp.

2. Skrzydła w poziomie, dziób lekko wzniesiony, strzałki powinny przesłaniać poziomą linię krzyża.

3. Czubki strzałek powinny zetknąć się z sobą i środkiem krzyża równocześnie.

4. Cała ta procedura powinna być dopełniona za pierwszą próbą.

Dwie strzałki ruszyły wolno ku sobie. Zaczęły wspólnie zbaczać w lewo, wskazując, że powinien przesunąć ster nieco w lewo. Strzałki powędrowały z powrotem ku środkowi, opadły poniżej linii centralnej i przechyliły się w prawo, kiedy lewe skrzydło nieco opadło. Hawksworth skierował dziób i prawe skrzydło w dół, a jego lewa ręka, sama w sobie oburęczna, kontynuowała ustawianie dysz kciukiem i pociąganie za przepustnice pozostałymi palcami.

Dwie strzałki podsunęły się jeszcze bliżej ku sobie i choć uwaga Hawkswortha była skupiona na znajdujących się przed nim wskaźnikach, rzucił jeszcze kątem oka na *Conningtona*. Ze swym lewym dźwigiem, właśnie wynoszącym innego *Harriera* ponad burtą na zewnątrz, w przygotowaniu do jego startu, dźwig na prawej burcie, jakby w przeciwieństwie, trwał nieruchomo, oczekując przyjęcia. Prędkość liniowa spadła teraz do czterdziestu pięciu węzłów, a osiemdziesiąt procent siły ciągu silnika *Pegasus* zostało skierowanych przez dysze w dół, przy ich ustawieniu na 70 stopni i wybijało cztery duże dziury w ciepłych wodach, leżących jedynie o sto stóp poniżej.

- Wygląda nieźle, *Javelin*. Pięćset stóp - powiedział Brookings, rozpoczynając rutynową procedurę instruowania. - Przystaw na wysoką.

- Przetawiam na wysoką - potwierdził Hawksworth, ustawiając czułość swojego HUD-a. Strzałki rozsunęły się nieco i zaczęły wykonywać bardziej wydadne ruchy.

Brookings zaczął teraz prowadzenie głosem.

- Czteryśta. Trochę za wysoko. - Hawksworth sprowadził strzałki z powrotem ku linii środkowej. - Ster w lewo. Trzysta. Wygląda dobrze. Trochę za szybko. - Hawksworth zmienił ustawienia kątowe dysz na 80 stopni.

- Trochę za wysoko, zmniejsz moc. - Zwiększony kąt ustawienia dysz w dół zwiększył jego wysokość, ale Hawksworth już to kontrolował.

Kiedy piloci są po raz pierwszy trenowani do latania w dywizjonach *Harrierów*, bardzo szybko staje się dla nich jasne, że z każdą zmianą ustawienia dysz konieczne jest równoczesne korygowanie siły ciągu. Niejeden z nowicjuszy, próbujących swego pierwszego symulowanego lądowania, przekonał się, że niezależnie od tego ile procedur przedyskutowano w sali lekcyjnej, nic nie może zastąpić rzeczywistości. Dla zwolnienia prędkości, nadawanej przez czterdzieści procent siły ciągu unijnego, obniżany jest kierunek wyrzutu dysz, ale w tej sytuacji czterdzieści procent siły ciągu nie wystarcza do przejścia całej wagi samolotu. Kiedy tracona jest bowiem siła nośna, *Harrier* zaczyna tracić wysokość i wówczas, dla kontroli sytuacji, potrzebna jest większa siła ciągu. Z dyszami ustawionymi na 50 stopni i przy zbyt dużej prędkości Unijnej, zwiększa się pochylenie dysz aż do ustawienia pionowego, ale przy ustawieniu na 75 stopniach, większy procent siły ciągu skierowany jest w dół i wówczas, w miarę jak samolot zwalnia, uzyskuje wysokość. I na odwrót, w stanie bliskim zawiśnięcia w miejscu, zmieniając kierunek ustawienia dysz o jakieś pięć stopni w tył, samolot uzyskuje pewną szybkość liniwną, ale traci siłę nośną.

- Dwieście. Wygląda dobrze - kontynuował Brookings.

Hawksworth ustawił dysze na 85 stopni i nieznacznie zmniejszył siłę ciągu, by utrzymać wysokość.

- Sto. Wygląda dobrze. Wszystkie systemy gotowe.

- Rozumiem, *Snatch* - odpowiedział Hawksworth przez ryk *Pegasus*.

- Pięćdziesiąt stóp... czterdzieści... trzydzieści... dwadzieścia... dziesięć... - odliczał Brookings. Na monitorze przed nim ukazał się najpierw przód dziobu, a następnie kabina pilota. - Włączam światła - powiedział, włączając reflektory umieszczone tuż nad kamerą, dla lepszej widoczności. - Pięć stóp. - Brookings zaczął manipulować chwytkiem tak, że znalazł się

on na jednej linii ze zbliżającym się występem za kabiną. Samo uchwycenie było szybkie i pod pewnymi względami łatwe dla pilota. Z szybkością zręcznością, w momencie kiedy występ pojawił się w polu widzenia, Brookings obniżył chwytak na wysokość paru stóp od zwalniającego swą szybkość kadłuba. - Przygotuj się do przejścia.

- Kula na końcu występu, wypuklającego się w górę z za kabiny *Harriera* była trochę za nisko, nieco z lewej i stale posuwała się do przodu z szybkością około trzech węzłów. Szybkim i sprawnym ruchem przegubów chwytak obniżył się i sięgnął do kuli, a w momencie uzyskania kontaktu silne uchwyty na końcu pręta mocno ją złapały. W przeciągu dwóch sekund cztery palce dźwigu zacisnęły się na kadłubie samolotu, dwa po każdej stronie jego garbu, ściskając go w sposób wystarczający dla jego pełnej stabilizacji.

- Mamy kontakt - powiedział z pewnością siebie Brookings.

Po usłyszeniu sygnałów „dobra blokada” Hawksworth odpowiedział:

- Przyjąłem, kontakt. Ustawił dysze w pozycji dla zawiśnięcia, żeby uzyskać możliwości pełnego manewru w stosunku do lądowiska w wypadku jakiejś awarii ramienia dźwigu i ażeby zmniejszyć ogólne obciążenie chwytaka i samego dźwigu.

- Przesuwamy cię do wewnątrz, przygotuj się na ruch - powiedział Brookings i ogromne ramię dźwigu zaczęło przenosić samolot z ponad wody nad statek, a wielkie silniki pracowały ciężko nad jego własną, niezależną równowagą.

- Zmieniam teraz na „Orientacja Statek” - stwierdził Brookings i wprowadził odpowiednie informacje do komputera, zarządzającego działaniami dźwigu. Żyroskopy zaczęły się zatrzymywać, a silniki zaczęły przesuwac nogi dźwigu na pozycje ich stałego parkowania, równoległe do osi pokładu okrętu, zaprzestając tego przesuwania, kiedy *Harrier* znalazł się już stosunkowo blisko miejsca lądowania, a także, żeby zmniejszyć do minimum pociągnięcia i szarpnięcia dźwigu, powodowane przez samolot.

- Włącz sprzęt do lądowania - kontynuował Brookings.

- Sprzęt włączony. - Dwa główne zespoły podwozia wysunęły się razem z dwoma wysięgnikami. - I zablokowany - potwierdził Hawksworth, kiedy poddał się nienaturalnemu ruchowi kabiny.

- Dwadzieścia stóp. - kontynuował Brookings, wpatrując się w trzeci monitor, który pokazywał mu profil momentu lądowania. Lądowanie komputerowe zapewniło kadłubowi najdelikatniejsze z uderzeń, kiedy koła

odnalazły swoje miejsce i ugięły się miękko pod obciążeniem. - Jest zektnięcie, *Javelin*. Wszystko bezpieczne.

- Dzięki za przejazdzkę, Nick, kończę i wyłączam się - powiedział Hawksworth z wdzięcznością, kiedy silniki zatrzymały się. Choć był on jednym z najbardziej doświadczonych pilotów *Harrierów* w Marynarce Wojennej, przyznawał, że zajmie to mu jeszcze trochę czasu, zanim przyzwyczai się do korzystania z „haka”.

- No, jesteś, mój stary - powiedział kapitan lotnictwa Chris Booker. Ubrany w ryszunek pilota wspiął się po drabince, aby powitać Hawkswortha i wsadził głowę pod podnoszącą się pokrywę kabiny. - Zaczynałem się już zastanawiać, jak wyglądasz. - Hawksworth uśmiechnął się do Bookera i skończył rozpinać się z klamer. - Więc jak tam jest, w wielkim, szerokim świecie? Słyszę że całkiem cicho?

Kiedy Hawksworth wyszedł z kabiny, Booker zrobił mu miejsce i podążył za nim na pokład.

- Tak, ale już się pozbierali i są już teraz na chodzie.

- To dobrze, sir. Kapitan w tej chwili rozprawia o czymś na mostku. Powiedział, że chciałby z tobą rozmawiać za około piętnaście minut. - Kiedy obydwaj odchodzili w kierunku hangaru, przy *Harrierze* pojawiły się już zespoły do uzupełnienia paliwa i kontroli samolotu.

- No więc, kiedy ty będziesz się kręcił wokół śniadanka z naszymi szychami, ja wezmę tą zabawkę z powrotem na następny wypad.

- Wiesz, że dziś w południe jest odprawa, Booker? - zapytał Hawksworth zdejmując hełm.

- Tak jest, sir. Będę na niej.

- To będzie coś nowego - powiedział Hawksworth, zostawiając Bookera z jego guzikami i klamrami. Poszedł do swojej kwatery na szybki prysznic i przebranie się przed spotkaniem z kapitanem Smithem. Po spotkaniu wolno mu było przeznaczyć jakiś czas na zjedzenie solidnego śniadania, które zresztą zjadł tak, jakby to było ostatnie w jego życiu.

Rozdział Pięćdziesiąty

Washington D.C. Pentagon

22:32 czasu lokalnego (04:32 GMT)

John Latchkey wiedział gdzie odbywa się spotkanie i czekał przy telefonie około dziesięciu minut zanim jego szef zdołał się z niego wyrwać.

- Tak, John, o co chodzi? - Swanson robił wrażenie zmęczonego.
- Przepraszam, że przerywam, sir, ale mieliśmy właśnie wiadomość z irańskiej ambasady. Zaprzeczają jakiegokolwiek uczestnictwa w incydencie i powiedzieli, że to jeszcze jeden wyczyn, uknuty przez ich sąsiadów.
- No cóż, przypuszczałem, że taka może być ich odpowiedź. Czy ta informacja wspomina cokolwiek o poszukiwaniach?
- Nie, sir. Tylko tyle, że prowadzą własne dochodzenia i że powiadomią nas we właściwym czasie. Czy mogę być w czymś przydatny, sir?
- Nie, dziękuję. Czy będziesz później stale w biurze?
- Jeżeli uważa pan to za potrzebne, sir.
- Uważam. Spotkanie będzie się niedługo kończyło. Wrócę tak prędko, jak będę mógł.

Rozdział Pięćdziesiąty Pierwszy

Zatoka Perska. USNS La Salle C-430

07:35 czasu lokalnego (04:35 GMT)

Zaraz po przybyciu okrętu na miejsce, porucznicy Greenman i Manning poprowadzili swój stateczek w głąb oleistych i mętnych wód Zatoki, odnajdując dno na głębokości około stu siedemdziesięciu stóp. Greenman, dokonawszy w ich zanurzalnym pojeździe URPS wszystkich czynności sprawdzających, ściśle według listy, otrzymał zgodę na dalszy ruch po kursie odpowiednim dla odszukania pozostałości strąconego samolotu. Już w kilka minut później, dokładnie tam, gdzie być powinny, pojawiły się przed nimi ciemne, niewyraźne szczątki, oświetlone reflektorami ich URPS-a.

- Znaleźliśmy go - powiedział Greenman do wielu uszu niecierpliwie oczekujących na powierzchni na wiadomości. - Wygląda też, że jest w stosunkowo dobrym stanie.

- Wspaniała robota, chłopaki - odpowiedział dowodzący nurkowaniem. - Wyciągarka jest już w drodze.

Przez zamglony iluminator Manning zlustrował wzrokiem całą scenę. Część skrzydła została oderwana, część sekcji ogonowej była zdmuchnięta eksplozją, dziób był zmiażdżony i brakowało osłony kabiny, ale w polu widzenia znalazł się oto charakterystyczny kształt jednego z czołowych rosyjskich samolotów bojowych.

- Nieźle to wszystko wytrzymał - powiedział Manning.

- Tak. No dobra, zabierajmy się do roboty. - Greenman zwiększył obroty i skierował stateczek bliżej wraku. - Jak mamy zamiar zabrać się do tego, Vic?

- Podsuń nas trochę bliżej, może jest jakieś dogodne uszkodzenie, które możemy wykorzystać. - Greenman przysunął pojazd bliżej, unosząc się łagodnie nad kadłubem wraku.

- Tam, tuż zaabiną. - Z tyłu, tuż za miejscem, w którym zwykle znajduje się osłona kabiny, wielka dziura ukazywała część wewnętrznej konstrukcji.

- Czy to wytrzyma cały ciężar?

- Nie powinno być problemu. Jest na tyle wystarczająco blisko środka ciężkości, że jeśli będziemy mogli założyć hak pod tą belkę, powinniśmy móc podnieść go w jednym kawałku i w jednym ciągu.

- Wyciągarka nadjeżdża - potwierdził dowódca nurkowania. Greenman wyjrzał przez iluminator. - Jest tam. - Pociągnął delikatnie za przełączniki sterujące, przesuwając *URPS* w górę, w kierunku liny. Kiedy zbliżył się do dużego haka, Manning wysunął na zewnątrz jedno z ramion *URPS* i jednym szybkim ruchem chwycił mocno ten hak szczękami ramienia.

- Tu wszystko gotowe, panie komandorze. Dajcie nam jeszcze trzydzieści stóp luzu - powiedział Manning.

- Trzydzieści stóp, rozumiem - nadeszła odpowiedź i lina wyciągarki poluzowała się. Greenman zwiększył napęd i przesunął ich w stronę *Miga*, a Manning wysunął ramię, trzymające hak. Kiedy zbliżyli się do wyrwy w kadłubie, Manning przekreślił uchwyt do pozycji jakby wielkiego znaku zapytania, ustawionego do góry nogami tak, jak miał opaść na kadłub. Tonacja pracy małych silniczków zaczęła drżeć pod napięciem, kiedy Manning prowadził hak do wyrwy.

Manning połuźnił uchwyt szczęk na haku. - Wybierzcie luz.

- Wybieram luz - potwierdził głos. Kiedy Greenman odsunął *URPS* od samolotu, lina zaczęła się naprężać.

- Wygląda na to, że trzyma - powiedział Greenman, kiedy hak uczepił się czegoś pod powłoką *Miga*. - Wyciągaj.

- Wyciągam - potwierdził głos. Wrak zaczął podnosić się z morskiego dna, najpierw dziobem. Greenman odsunął ich stateczek o około dwadzieścia stóp i zaczął wypompowywać wodę z dwóch głównych komór balastowych, żeby rozpocząć wznoszenie się wraz z *Migiem*.

Kiedy porucznik Bob Greenman spoglądał przez małe okienko na dość porozbijaną sylwetkę *Miga 29 Fulcrum*, podnoszonego coraz wyżej, zauważył po raz pierwszy koliste znaki identyfikacyjne emblematów Irańskich Sił Powietrznych wzdłuż kadłuba, tuż za skrzydłem. Część zewnętrzna znaków była zielona, pośrednia biała, a środkowa czerwona. Teraz, pomyślał Greenman, będziemy mieli nieodparty dowód, że ci Irańczycy próbowali zdmuchnąć nas z wody. Ale coś zaczęło niepokojąco kielkować w świadomości Greenmana, kiedy obserwował *Miga*, podciąganego stale do góry, jakieś odczucie, że coś nie jest całkiem w porządku. *Fulcrum*, znajdujący się teraz około stu stóp od powierzchni, nagle zaprzestał wędrówki w górę, a ich uszy wypełnił głos komandora Clarke'a.

- Mamy tu kilka nie rozpoznanych, szybko zbliżających się samolotów. Nie ruszajcie się, będziemy informować was o całym rozwoju wypadków - i lina znieruchomiała.

- Wygląda na to, że właściciele tego wraka przybyli go odzyskać - powiedział Manning kiedy, nawet w tym słabym oświetleniu, zauważył zaniepokojony wyraz twarzy swego przyjaciela.

- *Migi?*

- Któżby inny?

- Świetnie, tylko tego nam brakowało - odpowiedział Greenman. - My tu właśnie staramy się odnaleźć ten właśnie samolot, który nas zaatakował, a ci Irańczycy decydują się wpaść tu też na chwilę i poprosić o zwrot jednej ze swoich zabawek.

Rozdział Pięćdziesiąty Drugi

Cieśnina Ormuz. USNS Stork FF-36

07:44 czasu lokalnego (04:44 GMT)

Na lądowisku dla śmigłowców komandor Tom Carlton trzymał mocno swoją czapkę kiedy śmigła *Sea Hawk'a* zaczęły nabierać rozpędu. Przed nim, ubrany w jasnoczerwony, mokry ubiór i pełne oporządzenie podwodne, stał porucznik William Zanowski.

- Słuchaj, Willy - krzyknął Carlton poprzez hałas silników. - Wszystko co masz zrobić kiedy już damy ci sygnał, to opuścić się na około sześćdziesiąt stóp i czekać. Przed twoim zejściem w dół podamy ci kierunek do nawiązania kontaktu. W ciągu trzydziestu sekund zapalasz świetlne rakiety, dobrze?

- Tak jest, sir. - Wymieniono saluty i Zanowski wspiął się na pokład. Uniósł kciuki w górę, w kierunku kabiny pilota i chwycił się mocno kiedy rotory *Sea Hawk'a* zmieniły ton i zaczęły walczyć o wzniesienie maszyny w powietrze. *Stork* odpłynął z pola widzenia, a pilot przeleciał teraz nad jego dziobem i ruszył naprzód, ponad trzema tankowcami, znalazłszy się na jakieś sto jardów przed brytyjskim trałowcem przechylił się w prawo i obniżył się aż do poziomu kilku cali nad powierzchnią wody.

- Gotów! - zabrzmiał głos z tyłu i Zanowski poczuł rękę na swym ramieniu. - Kierunek wschód, dwie minuty. - Zanowski podszedł do drzwi i usiadł na progu. Kiedy tylko usłyszał syk po otwarciu zaworu swego aparatu tlenowego, napluł na swoje gogle i rozsmarował ślinę na szklach. Wkładając ustnik i oddychając przezeń na próbę, ciasno umocował płetwy wokół kostek i uniósł kciuki w górę. Woda wyglądała na ciepłą i zachęcającą.

Zanowski, stosunkowo młody oficer, dowodzący nurkami na pokładzie *Storka*, od czasu swego przeniesienia na okręt przed około sześcioma miesiącami, nie miał zbyt wielu możliwości odpowiedniego spożytkowania swego dotychczasowego treningu. Ale teraz, kiedy spoglądał w dół na zapraszającą go wodę, nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie zajmie się wykonaniem swego zadania. Kiedy *Hawk* zwolnił do kilku węzłów, przesuwał się nieco w prawo, otrzymał mocne klepięcie w butlę.

- Ruszaj! - krzyknął głos, a on znalazł się w powietrzu, zsuwając się miękko do wody leżącej o kilka stóp niżej.

Chłodny dreszcz był odświeżający i Zanowski popłynął w dół na głębokość sześćdziesięciu stóp, gdzie zwolnił, sprawdził podwodny kompas zawieszony na szyi i spojrzął na zegarek. Kiedy oznaczenie trzydziestu sekund przybliżyło się, sięgnął do pasa, wyciągnął dwie rakiety i wyrwał zawleccki. Jasne zielone światło nie rozeszło się zbyt daleko w tłustych, oleistych wodach, ale spełniło swoją rolę. Nagle w mroku pojawiła się wielka, niewyraźna masa, a następnie wyłonił się przed nim duży dziób podwodnego pojazdu. Nurek na przedzie pojazdu zauważył sygnały świetlne, wskazał palcem w kierunku Zanowskiego i zmniejszył prędkość do minimalnej. Jeden z jego współtowarzyszy puścił uchwyt pontonu i podpłynął do Zanowskiego, który podniósł mu do twarzy szkolną tabliczkę i wskazał ręką na jej powierzchnię.

- „*Złote Foki* - rozkazy w trybie pilnym - wynurzenie natychmiastowe - wszyscy nurkowie i sprzęt” - odczytał nurek i natychmiast powrócił do swego pojazdu. Jego pasażerowie szybko rozdzielili się i zaczęli wznosić się ku powierzchni z wyjątkiem kierującego, który poprowadził teraz cały pojazd ku górze.

Po wypłynięciu na powierzchnię Zanowski zdziwił się nieco tym, co zobaczył. Dwa *Jolly Green Giants* wisiały w powietrzu blisko siebie, zaledwie stopy od powierzchni wody, a *Hawk ze Stork'a*, trzymał się nieco dalej na zachód. W ciągu kilku sekund duży kosz, zwisający z najbliższego *Jolly*, dotknął powierzchni wody, zapełnił się szybko czterema płetwonurkami i zaczął wciągać ich do środka. Kiedy tylko ponton pokazał się na powierzchni, pozostający w nim nurek zostawił wszystko i popłynął, by dołączyć do pozostałych. Opuszczono ponownie kosz i reszta zespołu dostała się na pokład. Nawet bez czekania aż windowany kosz dotrze do drzwi, *Jolly* zwrócił się na zachód, obniżył dziób i odleciał na zachód w kierunku wybrzeża.

Zanowski spędził jedynie kilka sekund obserwując, jak znika on w oparach mgły, kiedy dźwięk rotorów drugiego *Jolly*, rozlegający się nad głową, przykuł jego uwagę. Dwaj nurkowie skoczyli do wody i weszli na ponton. Ustawiono odpowiednio wyciągarkę i nagle cała łódź pneumatyczna huśtała się już wysoko ponad Zanowskim, oddalając się na północ. Teraz *Hawk* zawisł nisko z tyłu za *Jolly* i zrzucił uprząż stopę od miejsca, gdzie czekał Zanowski. Ten przełożył ramię przez pierścień uprząży i poczuł

szarpnięcie, kiedy *Hawk* przynosił go z powrotem na *Storka*. Cała operacja zabrała dokładnie trzy minuty od momentu, kiedy Zanowski wrócił na powierzchnię wody i była nieco osłonięta od wschodu przez trzy wielkie tankowce, kontynuujące swoją powolną podróż ku Zatoce Omańskiej.

Rozdział Pięćdziesiąty Trzeci

Zatoka Perska. USS La Salle C-430

07:51 lokalnego czasu (04:51 GMT)

- Greenman, jesteśmy gotowi kontynuować podnoszenie.
- Najwyższy czas - westchnął Manning. - Co się stało?
- Nic takiego. Parę irańskich *Migów* przeleciało kilka razy nad nami i wokół nas, ale to nic poważnego. Wszyscy zachowaliśmy spokój.
- Świetnie - powiedział Greenman, - zaczynaliśmy się tu już zastanawiać, co dalej. - Popatrzył na Manninga i uśmiechnął się. - Tu wszystko gotowe.
- W porządku. Podnosimy - przyszła odpowiedź. Resztki *Fulcruma* ponownie ruszyły i Greenman złapał za stery, żeby utrzymać bliską, czujną obserwację ich wspólnej wędrówki ku powierzchni. Chociaż wszystko przebiegało gładko, coś go ciągle niepokoiło.
- Vic, czy jesteś pewny, że nie dostrzegasz w tym *Migu* niczego dziwnego, albo niezwykłego?
- Słuchaj, poczekajmy aż będziemy go mieli na pokładzie. Wtedy możesz dokonać swoich rutynowych dochodzeń śledczych, dobrze?
- Jasne, ale ja po prostu wiem, że mam tu to coś i to wprost przed nosem.

Ponad nimi, na *La Salle*, przygotowywano pokład rufowy. Relingi zostały zdemontowane a kilka platform, z których zazwyczaj korzystał *URPS*, zostało odsuniętych od rufy. Potężny dźwig, którego ramię zwisało ponad burtą, wybijał swój rytm gdzieś głęboko w samym sercu okrętu. Głośnik ogłaszał tym, którzy znajdowali się z tyłu dźwigu, że mają „Uprzątnąć pokład, powtarzam, uprzątnąć pokład”. Ci, którzy pracowali w rejonie rufy podbiegli do poręczy ochronnych na prawej burcie, a każdy, z nich starał się być tym, który pierwszy, z tak bliska, zobaczy strąconego *Fulcruma*.

I oto nagle pojawiła się część dziobu samolotu i rozległy się radosne okrzyki. W polu widzenia ukazał się hak i zatrzymał się. Czterech pletwonurków przepłynęło z liną do przedniej części wiszącego samolotu i szybko ją tam zamocowali. Dali sygnał machaniem i dźwig zaczął ponownie taszczyć go wyżej, unosząc swoje ciężkie brzemień ku górnej części nadburcia,

a woda tryskała przez uszkodzone miejsca kadłuba. Kiedy rozbity dziób znalazł się na wysokości relingów, na prawej burcie ruszyła wyciągarka i zaczęła przeciągać go do wewnątrz, nad pokład, przygotowany do tego, by w poprzek niego ułożyć cały wrak. Następnie, przy pomocy kilku delikatnych ruchów zarówno dźwigu jak i wyciągarki, samolot został ułożony na rufie w taki sposób, że żadna ze stron statku nie była obciążona bardziej niż druga. Kiedy *Fulcrum* dotknął pokładu i liny nośne poluźniły się, rozległa się następna owacja.

- Pamiętajcie, żadnych łowców pamiętek. Dobra, umocujcie go. Nie chcemy, żeby ześlizgnął się z powrotem do zatoki. Załoga *URPS* na prawą burtę - kontynuował głośnik, usiłując pozostać słyszalnym ponad hałaśliwym entuzjazmem załogi. Kilku ociągających się marynarzy opuściło tą odkrytą trybunę i przygotowali się na przybycie na pokład Greenmana i Manninga. Przyjęcie na pokład pojazdu *URPS* przebiegło tak gładko, że jeżeli istniał jakiś rekord czasowy dla umocowania tego pojazdu i wyłączenia jego całej aparatury, to został on pobity. Niebo było wolne od chmur i *Migów* i każdy, kto nie był w tym czasie bezpośrednio zatrudniony przy obsłudze okrętu, mógł wyjść i uczestniczyć w grupowej fotografii. Przerzucono liny ponad kadłubem wraka, a paru techników sprawdzało jego pozostałe uzbrojenie żeby upewnić się, że nie będzie w przyszłości zagrożenia dla czyjegoś życia i zdrowia.

Jedną rzeczą było zdobycie samolotu, zaś całkiem inną zdobycie takiego, który strzelał do waszych przyjaciół z okrętu. A już pozyskanie względnie nowego, bojowego rosyjskiego *Miga-29 Fulcrum A* i to prawie nietkniętego, no, to zdarzyło się po raz pierwszy i załoga *La Salle* chciała to maksymalnie wykorzystać. I zrobiła to. Ale kiedy wszyscy gromadzili się wokół wraku dla jego bliższego obejrzenia, porucznik Greenman podszedł aż do *Phalanxa* na lewej burcie, żeby z dalszej odległości bardzo szczegółowo przyjrzeć się ich nowej zdobyczy.

Rozdział Pięćdziesiąty Czwarty

Stacja Gonzo. USNS George Washington CVN-73

08:56 czasu lokalnego (04:56 GMT)

„Przygotować się do przyjęcia! Cały potrzebny personel ma przygotować się do przyjęcia helikopterów na lewej burcie!” - wykrzykiwał szef lotów przez głośniki na pokładzie startowym. Pięć *SH-3H Sea Kings* nadleciało od strony rufy, by usadowić się łagodnie na pokładzie w nienagannym szyku. A kiedy ich wielkie drzwi przesunęły się do tyłu, aż do odbojników, pokład zapełnił się nagle krótkimi białymi kurtkami, wyładowującymi ze swych transportowców walizki i wiele dużych kufrów. Ta grupa trzydziestu jeden białych kurtek, które następnie podbiegły do przodu, by uformować się w trzy szeregi po dziesięć osób, tak jaskrawo kontrastująca z całą szarością i czernią na pokładzie lotniskowca, wydawała się pozostałym członkom załogi obiektem wręcz klinicznej czystości w porównaniu z oleistą atmosferą paliwa do silników odrzutowych. Jedna z białych kurtek pozostawiła grupę i zniknęła w bocznych drzwiach u podstawy wieży, poprzeczana przez marynarza, wskazującego drogę na mostek.

- Melduje się komandor Jack Danforth, panie admirale. Pozwolenie wejścia na pokład dla mojego zespołu, sir?

- Witam na pokładzie, Jack, dobrze widzieć cię ponownie. Życzyłbym sobie tylko, żeby to było w lepszych okolicznościach - powiedział Lodgers.

- I ja podobnie, sir. Przydzieliłem już moich ludzi do reszty jednostek Pana grupy bojowej i jeżeli moglibyśmy ich natychmiast tam przekazać, sir, to będziemy mogli zaraz zabrać się do pracy, żeby przywrócić *Grupie Szóstej* pełną sprawność - powiedział nieco przyciężko Danforth.

- Oczywiście - zgodził się Lodgers. Helikoptery zabiorą twoich ludzi zgodnie z twoimi instrukcjami. Komandor Reeves zaprowadzi was do waszych pomieszczeń. Czy potrzebuje pan czegoś jeszcze, komandorze?

- Nie, sir, chyba że ma pan jakieś informacje o przypuszczalnym czasie przybycia *Wendel*?

- Chyba z tysiąc godzin. Ale kiedy będziemy już mogli rozmawiać z *Wendel* bezpośrednio, będziemy ich mogli w tej sprawie przycisnąć nieco

mocniej - powiedział Lodgers z pewnym sarkazmem.

- Przywieźliśmy dla was przenośną łączność do tymczasowego użytku, sir, ale zrobimy wszystko, żeby przywrócić wam całkowitą sprawność tak szybko, jak tylko będziemy mogli. Czy możemy wykorzystać wasze pomieszczenie dowodzenia lotami na odbycie w ustalonym terminie naszego spotkania? - zapytał Danforth.

- Oczywiście.

- Dziękuję, sir - powiedział Danforth, jakby nie spodziewał się żadnej innej odpowiedzi, następnie odwrócił się i wyszedł. Na mostku zapadła cisza i choć nawet nieco nadgorliwa postawa Danfortha wydawała się zbyt sztywna przemęczonemu personelowi, mającemu właśnie za sobą sporo okropnych godzin, to jednak Danforth pozostawił po sobie jakąś atmosferę ulgi. Ulgi, że oto grupa najwyżej kwalifikowanych techników, z których niektórzy uczestniczyli w pracach nad rozwojem i wyposażenia na pokładzie *George Washingtona*, nareszcie przybyła, aby poświęcić się osiągnięciu celu, jakim było ponowne uczynienie okrętu zdolną do działania i sprawną częścią składową Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. Na zewnątrz, po kilku słowach Danfortha, trzy białe paski ludzi złamały swoje szeregi. Dziesięciu ponownie zajęło się sprzętem, pozostającym jeszcze na pokładach obydwu *Sea Kings*, podczas gdy reszta, z pomocą niektórych marynarzy, chwyciła swoje torby i kufry i zniosła je w dół do ich miejsc przeznaczenia. Osiemnastu mężczyzn i trzy kobiety udali się do pracy na *George Washingtonie*, a dziewięciu mężczyzn i jedna kobieta odlecieli najpierw na *Norwich*.

To był pierwszy *Czarny Alert* na pełną skalę od czasu, kiedy w następstwie zawieszenia się scentralizowanego komputera na lotnisku Johna F. Kennedy'ego w 1993, utworzono ten zespół, a komandor Jack Danforth i jego cała grupa palili się wręcz do zrobienia użytku ze swej znajomości przedmiotu.

Główne cele, stojące przed Danforthem i jego zespołem, były trojaki. Po pierwsze, uruchomienie siłowni jądrowej dla uzyskania pary, możliwości sterowania okrętem i do sprawnego odbywania lotów, po drugie, radar, systemy obronne i elektronika lotnicza i po trzecie, łączność. Danforth razem z trzema kolegami założyli osobiste kontrolki promieniowania oraz plakietki identyfikacyjne i czekali ze swym wejściem do działu techniki jądrowej na otwarcie się wielkich, stalowych drzwi.

Pojawił się Huffman, zmęczony i znużony. - Komandor Danforth, komandor Huffman. Cieszymy się, że pana widzimy - powiedział wyciągając rękę.

Danforth uścisnął ją krótko. - Czy ma pan paru ludzi, którzy mogliby przenieść tu na dole trochę sprzętu?

- Natychmiast. - Huffman wywołał kilka nazwisk i czterech ludzi poszło za jednym z ludzi Danfortha do miejsca, gdzie zniesiono kufry.

- To, czego potrzebuję od pana, panie komandorze, to dokładny i precyzyjny opis tego co się stało - powiedział słuźbiście Danforth.

- No cóż, mieliśmy wszystko na środkowym rejestrze, dokładnie w granicach wymaganych parametrów, kiedy wskoczył nam stan krytyczny, *SCRAM*. Żadnego ostrzeżenia, kompletnie niczego. Gdy chodzi o wyłączenie reaktorów, to one obydwaj poszły zaraz spokojnie spać. Po ośmiu sekundach od zainicjowania procesu odnotowano wskaźniki pełnego bezpieczeństwa. To wszystko. Natychmiast zlokalizowałem awarię w obrębie głównych i dodatkowych urządzeń sterowniczych, tu na górze, w *FCS*. Całe zestawy paneli sterowniczych uległy awarii, wszystkie razem, w tym samym czasie.

- Jeżeli wszystko uległo awarii, skąd pan wiedział, że po ośmiu sekundach wszystko było bezpieczne? - zapytał Danforth.

- Chociaż doszło do wielu uszkodzeń tu wyżej, większość głównej ramy i te rejestratory poniżej są na chodzie w stopniu wystarczającym przynajmniej do dostarczenia mi pewnych informacji. Dziwne w tym wszystkim jest to, że kiedy wyciągnąłem odpowiednie płytki z zapasów, tak jak zrobiły to inne działy, przekonaliśmy się, że wszystkie z nich, z kilkoma pomniejszymi wyjątkami, uległy także awarii. Cały dział zapasów na pokładzie *GW* został oskubany do czysta, tak więc cokolwiek spowodowało nasze wyłączenie, zniszczyło także nasze zapasy.

- Dziękuję. Zostawię tu wszystko pod opieką komandora Ricka Normana. Czy będzie pan mógł mu pomóc?

- Absolutnie tak - powiedział Huffman.

- Świetnie. Kiedy pan jadał ostatnio?

Huffman zamarł na sekundę wobec takiej nagłej zmiany tematu. - Około dziesięciu lat temu.

- No dobrze, w takim razie proponuję, żeby wziął pan sobie dwadzieścia minut przerwy, poszedł coś przegryźć, wziąć prysznic i przebrać się, dobrze?

- Dziękuję, panie komandorze, przydałaby mi się przerwa - uśmiechnął się Huffman, ale uśmiech nie został odwzajemniony.

- Widzę to - powiedział Danforth i bez dalszej wymiany zdań wyszedł do centrum dowodzenia. Kiedy tam przybył, pozostali członkowie jego zespołu wnosili tam właśnie dużą walizę. Załoga opuściła swoje miejsca i stała na środku pomieszczenia centrum, obserwując działania przybyszów.

- Komandor Treedle do pańskich usług, panie komandorze - powiedział Treedle.

- Jakież wnioski, panie komandorze? - zapytał Danforth, kiedy już zlustrował wzrokiem pomieszczenie.

- Żadne, poza tym, że wszystko, czego próbowaliśmy dla odzyskania jakiejś łączności, zawiodło.

- Co z Morse'em?

- To właśnie jest bardzo dziwne. Jedna sprawa to mieć do czynienia z całkowitą awarią elektroniki na pokładzie okrętu, a inna, kiedy włącza się w to aparat Morse'a.

- Jest pan pewien?

- Tak. Próbowaliśmy wszystkiego, żeby go uruchomić, ale nadaremnie.

- Przypuszczam, że w czasie prób na morzu działał?

- O tak - odpowiedział Treedle z przekonaniem. - Działał bez zarzutu, a było to jedynie przed kilkoma miesiącami. Wiem to, bo zajmowałem się tymi aparatami osobiście. Po prostu, nie mogę dojść do tego, co właściwie się zepsuło.

- No to będziemy najwyraźniej musieli zająć się tym w następnej kolejności - powiedział Danforth rzeczowo. - Nawet gdyby się miało zbudować taki aparat od zera, można by mieć jednak coś działającego. Komandor Hoover zajmie się tutaj sprawami. Jeżeli coś przyjdzie panu na myśl, proszę się z nim kontaktować.

Zanim Treedle mógł coś wtrącić, Danforth wyszedł z centrum dowodzenia do działu maszynowego. Treedle ugryzł się w język i usiadł z powrotem na swoim krześle. Obserwował jak Hoover wyciągnął z jednostki radaru krótkiego zasięgu wszystkie siedem głównych płytek obwodów drukowanych, otworzył walizę, którą właśnie przywleczono i po wybraniu spośród jej starannie ułożonej zawartości siedmiu nowych płytek, wsunął je do urządzenia, jedną po drugiej. Jak tylko ostatnia płytka została wprowadzona, włączył zasilanie i ekran rozjaśnił się tym znanym wszystkim, lekko

niebieskim odcieniem. Załoga, stojąca nieco z tyłu i obserwująca tą scenę, podniosła radosne okrzyki. Hoover wstał i podniósł głos ponad ten zgiełk.

- Zachowajmy tu, proszę, trochę ciszy. Ja jedynie uruchomiłem ponownie zakres, nie ma jeszcze żadnego odbioru. - Hoover odwrócił się do Treedla. - Jeżeli ci ludzie cały ten czas byli na stanowiskach bojowych, to muszą być nieźle wykończeni. Kiedy przychodzi następna zmiana?

- Za parę godzin.

- Więc czemu by nie pozwolić tym ludziom odpocząć, a wezwać następną zmianę nieco wcześniej?

- Dobry pomysł, panie komandorze.

- I niech pan sobie też zrobi z dziesięć minut przerwy i zabierze ze sobą wszystkich cywilów, panie komandorze. Zanoszą się na to, że to trochę potrwa.

- Ruszajcie wszyscy i powiadomcie wszystkich swoich zmienników, że powinni tu być za dziesięć minut, rozumiano?

Odkrzyknęli chórem: - Tak jest, sir - i szybko opuścili pomieszczenie.

Na pokładzie startowym dwóch członków *Czarnego Alertu* wspięło się na pokład pary *Tomcatów* zaparkowanych przed wieżą i było zajętych instalowaniem nowych płytek obwodów drukowanych. Jeden z nich wychylił się z kabiny i krzyknął do komandora Poultera, czekającego niecierpliwie. - Czy jest tu gdzieś jakiś pilot, panie komandorze?

- Tak, właśnie tutaj - odkrzyknął Poulter. Biała kurtka zszedł na dół do miejsca, gdzie stał Poulter i powiedział - proszę go uruchomić, sir. Proszę dokonać pełnego sprawdzenia wszystkich układów i proszę dać mi znać, co pan stwierdził. Będę w jednym z *Hornetów*.

- Bardzo dobrze - odpowiedział Poulter, wspinając się na pokład samolotu. Kiedy się obejrzał, dostrzegł innego technika z zespołu Danfortha, biegnącego tam, gdzie na stanowisku drugim podnoszono na pokład *F-14D*.

Poniżej kapitan Danforth wszedł do maszynowni, a dokładniej, do pokoju komandora Medlocka. Z za biurka Medlocka wstał marynarz i zsalutował.

- Kapral Tetmyer, sir.

- Spocznijcie kapralu. Gdzie jest szef?

- Na dole, w pomieszczeniu bojlerów, sir. Czy mam go do pana sprowadzić?

- Nie, odszukam go. - Danforth przeszedł krętą drogą w dół po różnych

schodach na poziom pomieszczeń technicznych. Tutaj, na starym drewnianym krześle, z dłońmi założonymi na karku i podtrzymującymi głowę, siedział główny inżynier Medlock.

- Spodziewałem się pana, panie komandorze - powiedział Medlock bardzo niemrawo, nie wstając.

- Zły dzień? - zapytał sarkastycznie Danforth.

- Aha. Mamy trochę pary, wystarczająco by się poruszać i sporo energii elektrycznej na całym okręcie. - Tu zrobił celową przerwę. - Ale bez części zamiennych nie było możliwe zrobić wiele więcej.

- Jeżeli straciliście całą kontrolę nad komputerami, to dziwię się że i tyle uzyskaliście.

- Mamy szczęście. Działacie samodzielnie? - zapytał Medlock rozglądając się.

- Na pewno nie. W tej chwili koncentrujemy się na sprawach zasadniczych, a ponieważ wy ostatecznie poradziście już sobie z uruchomieniem bojlerów, nie jesteście pierwsi na naszej liście.

- O, w porządku, panie komandorze. Będziemy dla was gotowi, kiedy tylko będziecie mieli czas.

- Proszę mi powiedzieć czy zawiodło całe oprogramowanie komputerowe czy tylko jego część?

- Większość - powiedział Medlock, powstając z wysiłkiem. - I jeżeli mogę tak powiedzieć, nigdy nie miałem tego problemu na *Iowa*, kiedy znalazła się pierwszy raz na morzu.

- Nie było tam komputerów, co? - powiedział Danforth, okazując pewne oznaki rzeczywistego zainteresowania rozmową.

- No cóż, ten okręt jest całkiem nowy, miesiąc czy dwa od uzyskania gotowości bojowej. W czasie prób wszystko działało, upewniłem się co do tego, a teraz oto zamarliśmy tu na wodzie. Spędziłem na *Iowa* siedem lat i jedyny komputer, jaki mieliśmy, to był taki mały *jak-mu-tam*, który stał na moim biurku żeby mi pomóc w sporządzaniu harmonogramu dyżurów. Jeżeli *Iowa* zostałaby trafiona takim sygnałem elektronicznym jak ten, który trafił w ten okręt, bojlerzy nawet nie straciły by rytmu.

Danforth pokiwał głową. - Zbyt wyrafinowane, jak na pański gust, co?

- No pewnie. To wszystko jest dobre i fajne, potrafi kontrolować napływ paliwa, szybkość pracy silnika, temperaturę zaworów i tak dalej, tylko że kiedy czujniki, które podają ci te informacje, zawiodą, całe urządzenie wyłącza się i cała operacja wchodzi w fazę kompletnego zamieszania.

Powiedziałem to wszystko tym dęciakom już dawno temu, kiedy pozwolono mi uczestniczyć w jednym z tych wstępnych spotkań projektowych, ale nie byłem już więcej zapraszany. Za stary, powiedzieli, ma zbyt dużo sztywnych nawyków, powiedzieli. No cóż, tak czy owak, nie jest mi do śmiechu, bo niech pan tylko spojrzy, kto to teraz ugrzązł w tych tarapatach. Chciałem tylko być na miejscu, kiedy przylecicie i teraz będę miał trochę czasu na kąpiel, zanim złapię się za jakieś żarcie. Jeżeli będziecie czegoś potrzebować, Nat Freemont może wam pomóc. Jestem pewien, że komandor zrobi wszystko, co będzie mógł, żeby pomóc wam doprowadzić to nasze cudo do porządku.

Medlock ruszył prosto przed siebie i przeszedł koło Danfortha w kierunku wyjścia, bez czekania na jego odpowiedź, pozostawiając go rozmyślającego nad jego uwagami.

Rozdział Pięćdziesiąty Piąty

Washington D.C. Pentagon

23:08 czasu lokalnego (05:08 GMT)

Zgiełk, panujący wśród członków społeczności wywiadu wojskowego, zaproszonych na to spotkanie, był znaczny. Było wiele pytań bez odpowiedzi i wiele informacji, które trzeba było dopiero zgromadzić.

Admirał Pat Swanson odłożył słuchawkę telefonu, wstał zza swego biurka i podszedł do stołu sali posiedzeń, a w pomieszczeniu zapanowała cisza.

- A więc, panowie, oto sytuacja, według tego co o niej wiemy. - Odślaniając wielkie tablice z drewna tekowego, znajdujące się przed nim na ścianie, ukazał ponownie ogromną mapę elektroniczną świata i jego oceanów. - Przyczyna dla której jesteśmy tu wszyscy, to potrzeba przedyskutowania różnych wydarzeń, które towarzyszyły kompletnemu unieruchomieniu *George Washingtona* i reszty *Grupy Szóstej* o czwartej pięćdziesiąt siedem rano, lokalnego czasu. Na miejsce przybył już właśnie *Czarny Alert*, a znając Danfortha i jego zespół jestem pewien, że będą w pełni efektywni lub przynajmniej bardzo bliscy tego, żeby szybko postawić ich wszystkich na nogi. Swanson spojrział w kierunku miejsca, gdzie przed ekranem komputera siedział Latchkey i skinął głową. - Przede wszystkim rzućmy bliżej okiem na rejon Zatoki.

Wielki ekran przestawił się teraz na powiększony obraz okolic, otaczających Zatokę. - Przy pomocy *GPS* dodamy tu jeszcze główne grupy bojowe. - Na mapie pojawiła się seria niebieskich światełek. - Jak możecie zobaczyć, mamy tu lokalizację ich wszystkich z wyjątkiem jednej. A teraz dodamy resztę naszych sił zbrojnych. - Seria białych światełek została dodana do niebieskich. Najbardziej były teraz zauważalne dwa pulsujące czerwone światełka, jedno zlokalizowane w Zatoce Omańskiej a drugie na północy, tuż u wybrzeża Iranu. Kiedy Swanson odwrócił się powtórnie ku mapie, wyglądał na zdziwionego. - John, co to jest, tu na górze? - powiedział, wskazując na pulsujące czerwone światełko na północy.

- Nie wiem, sir - powiedział Latchkey. - Czy mam zadzwonić?

- Zrób to. Jeżeli to jest to, co sądzę, będziemy musieli działać bardzo szybko.

- Tak jest, sir - odpowiedział Latchkey, podnosząc najbliższą słuchawkę.

Swanson kontynuował. - Kiedy urządzenie *GPS* ulega awarii lub zostaje użyte do wysłania sygnału zagrożenia, to pokazuje się tu na czerwono. Tak więc, wygląda na to, że możemy tu mieć sygnał o zagrożeniu od jednego z naszych agentów na północy. Tu na dole, w *Bazie Gonzo*, widzimy jeszcze jeden, oznaczający zagrożenie w *Grupie Szóstej*. Kiedy tylko zostali zaatakowani, zdaliśmy sobie sprawę, że coś się tam wydarzyło, a kiedy nie mogliśmy się z nimi połączyć drogą satelitarną ani przez *NAVSAT* ani *DEFSAT*, zdecydowaliśmy wysłać *Black Alert*.

Latchkey odłożył słuchawkę. - Powinniśmy mieć odpowiedź za około pięć minut, panie admirale.

- Fazę drugą tego systemu mamy już na bieżąco, więc możemy cofnąć się i dokonać przeglądu danych. John, cofnijmy się i zacznijmy od około wpół do piątej czasu lokalnego.

John Latchkey zaczął borykać się z instrukcją, a reszta zebranych przyglądała się temu. Członkowie *NEC*, Rady Sytuacji Kryzysowych Marynarki, jak Swanson nazywał grupę swoich starszych doradców, czekali wszyscy z niecierpliwością na mającą za chwilę ukazać się przed nimi powtórkę tych momentów, które poprzedzały uderzenie w *Grupę Szóstą*. Na lewo od pustego krzesła, stojącego u szczytu stołu, siedzieli: zastępca szefa wywiadu marynarki wojennej kontradmirał Don Walters, John Bradley z agencji wywiadowczej Ministerstwa Obrony, Dr Frederick Chandler, twórca zespołu *Black Alert*, a na końcu siedział kapitan Ronald Leemer, szef operacyjny u Swansona. Po drugiej stronie stołu zasiedli: komandor Bill Travers, oficer łącznikowy sił połączonych, kontradmirał Harold Mitchell z Pentagonu, szef wywiadu Marynarki, kontradmirał Donald Peterson, szef Działu Badań i Rozwoju Marynarki, oraz William Crow, łącznik Pentagonu z *CIA*.

Obraz widoczny przed nimi drgał przez chwilę, a następnie mapa z tarczą zegara w górnym prawym rogu, wskazującą czas uniwersalny *GMT* i czas lokalny, ponownie ruszyła w czasie. W sąsiedztwie każdego światełka umieszczony był numer, odpowiadający liście umieszczonej w lewo od ekranu, opisującej nazwę każdej pozycji. Na północ od *Grupy Szóstej* widoczne były dwa małe, niebieskie światełka, oznaczone jako dwa *F-14D* z *George Washingtona* i lista szła dalej. *AWACS 24* na południe od Cieśniny,

trzy *F-16* przylatujące z Bahrajnu, dwa samoloty *ASW* na południe od *Grupy Szóstej* i *Hummer* w bliskim wsparciu. Żółte światelka oznaczały, jak przekazywał to *AWACS*, niezidentyfikowany obcy samolot. Samolot koreański był wyraźnie widoczny w przestrzeni powietrznej Iranu. Jeden *Fulcrum* zbliżał się od północy z towarzyszącymi mu dwoma *Floggerami F*. Na wschodzie cztery następne *Floggery* i jeszcze jeden *Fulcrum* łączyły swe siły i przesuwają się w kierunku *Grupy Szóstej*, a nieco dalej *Airbus*, przekraczający granicę Pakistanu i wchodzący nad Iran; dalej, na północ, irański *F-15A* i dwa inne *Floggery* na rozpoznaniu.

Wszyscy obserwowali jak obraz przesuwał się na ekranie z szybkością dziesięć razy większą od normalnej i ponownie przedstawił w komplecie cały bieg wydarzeń, które miały miejsce na Zatoce. Swanson posłużył się laserowym wskaźnikiem, by wskazać *Bazę Gonzo*.

- Pamiętajcie panowie, że każdy ruch nieprzyjacielskiego samolotu jest tu brany jedynie z ich transponderów i nie trafiają tutaj także dane o aktywności łodzi podwodnych na południe od *Grupy Szóstej*, chyba że łodzie te pojawią się na powierzchni lub przejdą nad stanowiskami *SOSUS*.

Każdy z siedzących przy stole pochylił się ku przodowi, by skoncentrować się na funkcjonowaniu ekranu. Byli świadkami, jak koreański -747 został zawrócony przez *Migi 23 Flogger* i obserwowali, jak skierował się w stronę lotniska Muscat, przelatując bezpośrednio nad *Grupą Szóstą*. Prawie równocześnie zielone światelko, oznaczające lokalizację *George Washingtona* i towarzyszących mu okrętów, zamieniło się w czerwone. Pięć *Migów*, depczących po piętach koreańskiemu 747, także przeleciało nad *Grupą*. Następnie, kiedy trzy *Falcony* zbliżyły się do Cieśniny, *Fulcrum*, z dwoma *Floggerami* na ogonie zbliżył się do konwoju od północy. Żółte światelko, oznaczające *Fulcruma*, błysnęło krótko, potwierdzając, że atak jest w toku. Kiedy *Fulcrum* pojawił się nad Zatoką, leciał prosto, czołowo na *F-16* i w ciągu kilku chwil jedno żółte światelko znikło, podczas gdy zielone zawróciły do domu.

- Sir, czy ma Pan chwilę? - powiedział Latchkey.

Swanson podszedł do swego biurka. - Przepraszam, panowie - powiedział, podchodząc do miejsca, gdzie jego asystent kończył sporządzać notatkę.

Latchkey mówił cichym głosem. - Sir, to *Rhinestone*. *CIA* próbuje zorganizować jego wyratowanie przy użyciu śmigłowca, ale on jest kawał drogi

w głębi ładu i oni nie są pewni, czy nie będzie to nic innego, jak misja samobójcza.

- Czy są pewni, że on chce ewakuacji?

- O, tak, sir. Próbowali połączyć się z nim na częstotliwościach awaryjnych, ale nie było odpowiedzi. Każde użycie *GPS* w tych okolicznościach jest jednoznacznym wołaniem o pomoc i ratunek.

- Bardzo dobrze. Połącz się z nimi ponownie i dowiedz się co zamierzają z nim zrobić i ile czasu im to zajmie. Jeżeli odpowiedź będzie jakkolwiek inna niż „natychmiast”, mam zamiar pociągnąć parę sznurków. Potem połącz mnie z Byronem Davisem.

- Tak jest, sir - powiedział Latchkey i Swanson powrócił do ściennego ekranu, który obecnie przedstawiał znów czas bieżący.

- Przepraszam. Powiedz mi Will, jakie są ostatnie reakcje na górze?

William Crow z *CIA* pochylił się ku przodowi. - Prezydent jest bardzo zaniepokojony atakami i jest gotów poczekać na nasze komentarze zanim poleci Sekretarzowi Obrony przedstawienie czegoś w rodzaju publicznego oświadczenia. Irańczycy uparcie twierdzą, że poszukują u nas pokoju i pomocy i że taki rodzaj ataku przeciwko naszej flocie został zakazany. Uparcie twierdzą, że nie mają z tym nic wspólnego. Według nich to albo nasza informacja o typie wmieszanego w incydent samolotu i jego przynależności państwowej jest błędna, albo był w to wplątany jakiś samowolny, łajdacki pilot. - Crow wyprostował się w krzesło.

- No cóż - powiedział dumnie Swanson - a my właśnie możemy ostatecznie udowodnić im, że to był ich samolot. Otrzymałem potwierdzenie, że *La Salle* zlokalizowała wrak tego *Miga* na dnie Zatoki i właśnie kiedy tu rozmawiamy, podnoszą go na powierzchnię. To będzie rzeczywiście przyjemna odmiana, podnieść tego *Miga*, który zawinił i pomachać nim przed ich nosem. Ale co ważniejsze, Bill, czy masz jakieś informacje w związku z atakiem na *George Washingtona*, jeżeli to był atak? Czy inne incydenty, atak na konwój oraz wizyta Rosjan, mogą być z tym związane?

William Crow ponownie pochylił się do przodu. - Jest jeszcze za wcześnie, żeby to powiedzieć. Otrzymaliśmy ostatnio dokument, rzekomo od rządu irańskiego, sugerujący, że byliby oni zainteresowani jakimś rodzajem układu ze Stanami Zjednoczonymi w zamian za pomoc. Byliśmy właśnie w trakcie próby ustalenia autentyczności jego pochodzenia, kiedy to wszystko się wydarzyło.

- A ty, Harry - zapytał Swanson, spoglądając nieco dalej, wzdłuż stołu.
- Jakies pogłoski z twoich źródeł?

- Nic - odpowiedział Mitchell. - Jak wiesz, cała nasza energia została ponownie skupiona na Iraku. Choć ostatnio otrzymaliśmy tą prośbę, skoncentrowaliśmy wszystkie nasze oczy i uszy na północy.

- No dobrze, czy ktoś ma jakies uwagi na temat tego, co się wydarzyło, nawet jeżeli są to zwykłe spekulacje? - kontynuował Swanson, stając się trochę niecierpliwy.

Dr Chandler zdjął okulary.

- Sir, obawiam się, że na tym etapie nie mam zbyt wiele do powiedzenia. Oczywiście, jak tylko kapitan Danforth nadeśle swój wstępny raport, będę w stanie poinformować was wszystkich dość obszernie, ale na razie parę rzeczy przychodzi mi jednak do głowy. Po pierwsze, cokolwiek uderzyło w *Grupę Szóstą*, musiało być ogromne, wystarczająco wielkie, by zniszczyć tyle systemów, ile zniszczyło, co sugerowało by uderzenie za pomocą urządzenia nuklearnego. Ale nie wiemy o żadnym takim urządzeniu, które by zostało tam zdetonowane. Jeżeli to był atak przy użyciu jakiegoś innego urządzenia, to musiało by ono zostać tam dowieszone i zrzucone lub inaczej dostarczone przez jakiś zewnętrzny transport. Chyba, że...

- Proszę mówić dalej.

- Chyba, że mogło być załadowane na jakiś okręt *Grupy Szóstej*, zanim opuściła ona port, a następnie zdetonowane od środka.

- Czy sugeruje pan sabotaż? - wtrącił się Walters z leciutkim odcieniem drwiny.

- Sir, ja tylko wskazuję oczywiste możliwości. Proszę posłuchać: utrzymywanie w tym czasie, w tej okolicy, czterech rosyjskich łodzi podwodnych jest sprawą bardzo podejrzaną, ale *Philadelphia* informuje, że z żadnej z nich nie odpalono takiego urządzenia. Mamy *Migi* latające nad głowami, ale jestem przekonany, że one są o wiele za małe do przenoszenia urządzenia, zdolnego do zadania takiego uderzenia. Mamy także 747 w pobliżu i tu wybór sam się narzuca. Gdyby to zależało ode mnie, rzuciłbym okiem na ten samolot i zrobiłbym mu porządną przeglądkę.

- To dobry pomysł. Panie admirale, a co z Rosjanami? - zapytał Travers. - Czy oni nie mogliby nam trochę więcej powiedzieć o celach swojej obecności?

Crow nie czekał na reakcję Swansona.

- Po pierwsze, Oman działał w tym przypadku bardzo spokojnie i zaoferował nam wszelką niezbędną pomoc, jakiej moglibyśmy potrzebować, oczywiście odpowiednimi kanałami. Pasażerowie są już w drodze do Delhi. Jeżeli chodzi o Rosjan, to połączyliśmy się z ich ambasadą kiedy tylko po raz pierwszy usłyszeliśmy o ich bliskim sąsiedztwie z *Grupą Szóstą* i chociaż potrwało trochę zanim nadeszła odpowiedź, to zapewnili nas, że przeprowadzane tam ich działania były ściśle bierne. Przepraszali, jeżeli dowódca grupy był nieco nadgorliwy i upewniali nas, że po jego powrocie zostaną podjęte przeciwko niemu odpowiednie kroki.

- Will, czy sądzisz, że Rosjanie mogli mieć z tym coś wspólnego? - zapytał Swanson, zajmując swoje miejsce u szczytu stołu.

- Myślę, że w świetle ostatnich wydarzeń trudno w to uwierzyć, ale instynkt mi mówi, żeby na tym etapie sprawy nie wykluczać żadnych możliwości. Ostatnia przechwycona informacja donosiła, że te ich cztery łodzie podwodne otrzymały rozkaz natychmiastowego powrotu, by stanąć przed postępowaniem dyscyplinarnym.

- Czy mogli oni wystrzelić coś w naszym kierunku bez wiedzy *Philadelphii* - zapytał Travers.

- Nie - powiedział Mitchell. - *Philadelphia* szła przy nich przez sporo mil i z ich łodzi nie wystrzelono zupełnie niczego.

- No dobrze - powiedział Swanson - jedynymi samolotami, będącymi w tym czasie blisko *Grupy Szóstej*, były cztery *Migi-23 Flogger*, *Fulcrum*, dwa *Tomcaty*, *Hummer* no i koreański 747. Nie mogę przekazać wam zbyt wielu informacji o *Migach*, ale możemy przynajmniej zbadać tego *Boeinga*. Jest wystarczająco duży, żeby przenieść ciężki ładunek dla takiego ataku, a był wystarczająco blisko, żeby przyjąć, że mógł stanowić zagrożenie. Pójście tym tokiem rozumowania oznacza, że akceptujemy założenie, że takie urządzenie zostało faktycznie zbudowane, działa i zostało użyte przeciwko nam.

Tu przerwał Travers. - Może ten samolot sam był jednym wielkim urządzeniem blokującym, a awaria silników była tylko podstępem?

- Niemożliwe; zablokowałyby też siebie samego. No i co by to dało i komu? - zapytał Bradley, odzywając się po raz pierwszy. - Jeżeli to był naprawdę atak, dokonany przez kogoś, to kto odniósł korzyść? Jeżeli to Irańczycy próbowali obezwładnić naszą fregatę, żeby spowodować pewne tarcia między naszymi krajami, no to się im udało. Ale wtedy ich prośba o pomoc byłaby udawana. Gdyby to był ich zamiar, czemu nie posłużyli się

jakimś urządzeniem na swojej fregacie, żeby zademonstrować, że kontrolują Cieśninę? Ale jeżeli ich prośba i najnowsze oświadczenia są rzetelne i to faktycznie był jakiś samowolny pilot, to irańskie twierdzenie jest prawdziwe. Udział Rosjan jest chyba dokładnie taki, jak powiedzieli, czyli żaden, wracam więc do tego, od czego zacząłem, usiłując wyobrazić sobie, kto na tym wszystkim zyskał. I jeżeli to faktycznie byli Irańczycy, którzy zrzucili coś z *Miga*, to czemu mieliby robić to teraz, kiedy usiłują załagodzić napięcie między nami? Czemu by nie użyli tego na przykład przeciwko Irakijczykom? Cały ten scenariusz wygląda na całkiem nieproduktywny dla każdego, chyba, że jakiś sadystyczny idiota znalazł sobie nową zabawkę i po prostu chciał się zdrowo pośmiać.

- Jak na przykład Rosjanie - powiedział cierpko Walters - bo kupa śmiechu to jest dokładnie to, co oni tam mieli, a powinienem dodać, że naszym kosztem. - Na moment zapanowała cisza, kiedy każdy rozważał tą kwestię.

- A może ten niekarny łajdak to nie był *Mig* tylko *Typhoon!* zapytał kapitan Leemer. - To by pasowało do tych faktów, które znamy.

- Tak - powiedział Walters - ale to by sugerowało, że rosyjski komandor zdołał załadować do swej łodzi wysoce tajną broń bez wiedzy swojego wyższego dowództwa, przepłynąć całą tą drogę i zdetonować ją wewnątrz łodzi. Gdyby to zrobił, jego własny sprzęt komputerowy zostałby także ugodzony i musiałby wracać całą drogę do domu martwą łodzią. Wysoce nieprawdopodobne. A gdzie on się teraz udaje? W ramiona tych w Moskwie, ale nie witających, to pewne. Oczywiście, Rosjanie mogli zbudować takie urządzenie i zapragnęli wypróbować je na nas, co też zrobili i byli zachwyceni rezultatem.

- Chyba, że - wtrącił się Mitchell - broń została załadowana dla wypróbowania przeciwko jakimś statkom handlowym, a w ostatniej chwili on wziął na siebie decyzję wypróbowania jej przeciwko grupie naszego lotnikowca.

- Will - wtrącił Swanson. - Czy dysponujesz jakimiś innymi raportami o Rosjanach, wychodzących w morze tak dużą ilością jednostek?

- Nie, sir. W rzeczywistości to powiedziałbym, że liczba rosyjskich okrętów i łodzi podwodnych, znajdujących się akurat teraz poza portem macierzystym, jest jedną z najniższych od czasów jeszcze przed II Wojną Światową. A ponadto, wzięwszy pod uwagę nasze bieżące stosunki wzajemne, sądzę, że jeśli ten ich komandor istotnie okazał się być jakimś

nieodpowiedzialnym łobuzem, to oni powinni przyznać się do tego bez zwłoki i odpowiednio nas uspokoić. Jelcyn nie ma chyba zamiaru pozwolić, żeby następny Czernobyl zawisł nad rosyjskimi głowami.

Minęło kilka następnych chwil zastanowienia, zanim Bradley ponownie zabrał głos.

- Jeżeli weźmiemy pod uwagę drugą stronę medalu i założymy, że wszyscy się mylą i że była to ostatecznie sprawka Irańczyków, to rozważcie, czemu te *Migi*, które, jak rozumiem, były odpowiednio załadowane w czasie kiedy przelatywały nad *Grupą Szóstą*, nie wykończyły nas i nie zatopiły większej części naszych walecznych sił morskich w tej okolicy, kiedy nie byliśmy zdolni wystrzelić do nich ani razu w odwetowej odpowiedzi? Cała ta flota mogła przecież pójść na dno w przeciągu pięciu minut i nie moglibyśmy nic na to poradzić.

Swanson wstał z fotela i podszedł do ekranu by go zamknąć. Ten gest, który miał w zamiśle dać odpocząć członkom zespołu od dręczących ich myśli, przyniósł pożądaną skuteczną zmianę. Sprawdziwszy czas, postanowił dokonać podsumowania.

- Słuszna uwaga, John. Na tym etapie to wszystko są przypuszczenia, ale to jest dokładnie to, czego potrzebowałem. To nie mogli być Rosjanie, jako że *Philadelphia* stwierdziła kategorycznie, że ani razu nie wystrzelili czegokolwiek. To nie mogli być Irańczycy, bo nie mieli w tej okolicy samolotu wystarczająco dużego dla przeniesienia takiego urządzenia. Atak na konwój, jeżeli wierzyć irańskiemu konsulatu, mógł być jakimś nieodpowiedzialnym wybrykiem, ale czemu mamy zmienić nawyk całego życia i teraz nagle zacząć im wierzyć? Wydaje się, że atak na fregatę nie był powiązany z *Grupą Szóstą*, ale nastąpił tuż przed tym, jak -747 przeleciał nad tą grupą ekspedycyjną, co uczynił po zejściu z kursu i wejściu w irańską przestrzeń powietrzną. - Swanson przerwał, ale nikt się nie odezwał. - Fred, kiedy otrzymasz pierwszy raport z *GW*?

- Za około piętnaście minut.

- Bardzo dobrze, daj mi znać, jak tylko grupa z częściami zamiennymi przyjdzie im z pomocą. Don, gdzie jest teraz *Wendal*?

- O około godzinę drogi - powiedział Walters, spoglądając na zegarek.

- Świetnie. To będzie długa noc. Harry, Bill, chcę mieć wszystko co macie gdy chodzi o dziwne albo zagadkowe informacje z tego rejonu w przeciągu ostatnich pięciu dni. Reszta może pozostawać w pogotowiu. Bądźmy w kontakcie, bo będziemy musieli spotkać się ponownie w trybie

doraźnym. - Swanson podszedł do miejsca, gdzie jego asystent czekał przy biurku ze słuchawką w ręku.

- Byron Davis - powiedział Latchkey, kiedy wszyscy pozostali wychodzili z pokoju. Swanson ujął słuchawkę, przykrył mikrofon ręką i powiedział cicho. - John, już widzę, że mogą być trudności z *CIA*. Przygotuj mi rozkazy dla *Złotej Foki*. Chcę żeby byli gotowi ruszyć do Muscat tak szybko, jak to tylko możliwe i skontrolować ten samolot.

Latchkey skinął głową i wyszedł do swego gabinetu, a Swanson usiadł przy biurku.

- Byron, dziękuję że czekałeś. Powstała tu trudna sytuacja i żeby ją rozwiązać, potrzebuję twojej pomocy.

Rozdział Pięćdziesiąty Szósty

Zachodnie wybrzeże Iranu. Rhinestone

09:13 czasu lokalnego (05:13 GMT)

Major Leonard Barton prawie zasypiał za kierownicą. Jego stała prędkość sześćdziesięciu mil na pustynnych drogach utrzymywała zarówno napływ adrenaliny jak i chmurę kurzu, a chociaż wiedział, że zmontowanie akcji ratunkowej potrwa pewien czas, zaczął się niepokoić, bo jego ciało dawało mu znać, że czas się już kończy. Poranne światło poprawiło widoczność i chociaż zdołał przebyć już znaczną część zaplanowanej trasy i zbliżyć się na odległość około dwudziestu mil od wybrzeża, dla Bartona zaczęło być jasne, że dalszy postęp na drodze do linii brzegowej stawał się coraz trudniejszy. Po natrafieniu na jedną z głównych dróg szybkiego ruchu, Barton skierował się na południe, mając nadzieję na tą odrobinę szczęścia, która przeprowadzi go przez tych kilka pozostałych mil na zachód, ale nie znalazł ani szczęścia, ani kurzu czy mgły, które pomogłyby mu uciec przed swoimi prześladowcami. Nie było zbyt wielu dróg w kierunku wybrzeża Zatoki, przecinających pierwsze linie irańskiej obrony, a te, które były, były bacznie strzeżone. Stawało się też oczywiste, kiedy spojrzał jeszcze raz na wskaźniki, że zaczynał narastać inny problem. Choć jego szczególnie pojemne zbiorniki paliwa wystarczały do przejechania czterystu mil, zużycie paliwa przez potężny V-8 utrzymywało się w najlepszym razie w dolnych wartościach kilkunastu litrów, a ponieważ w ciągu ostatnich kilku godzin znacznie forsował wóz, wiedział, że wskaźnik paliwa wkrótce do niego przemówi. Ponieważ jednak ostrzegawcze urządzenie zbliżeniowe dawało mu sygnał świetlny cztery czy pięć razy w ciągu ostatnich trzydziestu minut, więc wiedział, że jeśli zwolni tempo, nie tylko jego prześladowcy nadrobią znaczny dystans, ale skróci się też czas, dostępny jego przyjaciołom dla uzyskania powodzenia akcji ratunkowej bez narażenia się na ogień z lądu. Działaj ostrożnie albo idź na całość. Barton rozważał możliwości. Byłby w stanie nadrobić trochę czasu, ale dopóki nie natrafi na odpowiednią, całonocną irańską stację benzynową, jego możliwości przybycia na ratownicze spotkanie będą poważnie ograniczone. Zmniejszył

niecو nacisk stopy i obserwował jak wskazania szybkościomierza opadają do pięćdziesięciu mil. Właśnie wtedy doznał ponownie na karku nerwowego uczucia niewielkiego mrowienia. Coś jeszcze było nie tak. Co to było takiego, co widział lub słyszał, a co nie pasowało do tego normalnego trybu, w jakim sprawy zwykły się układać w tej części świata? Nowa porcja pytań i nowa porcja odpowiedzi zaczęły drażnić tą część jego umysłu, której jego pusty żołądek pozwalał jeszcze być sprawną. Jeżeli naprawdę próbowali go zdemaskować, to czemu nie wysłali w powietrze jakiegoś ptaszka? Czemu nie było żadnej obserwacji z powietrza? A może nie chcieli go dogonić, tylko doprowadzić go wprost w zęby pułapki?

Po prawej stronie mignęło mu nagle przed oczami coś, co można by opisać jedynie jako królicza ścieżka, prowadząca na zachód, ale pojechał nią. Wciskając hamulec skręcił na nią w prawo i skupił swoją uwagę na omijaniu wielkich rowów, które były dostatecznie głębokie, żeby pochłonać całego jeepa. Niektóre były tak głębokie, że gdyby wpadł do jednego z nich, jeep mógł nawet przeokożółkować. Barton zaciągnął pasy siedzeniowe i przestał się spieszyć. Miał szczęście. Wjechał na pole minowe.

Rozdział Pięćdziesiąty Siódmy

Zatoka Perska. HMS Connington 833

08:24 czasu lokalnego (05:24 GMT)

Poranne słońce pchnęło już rtęć w termometrze, przytwierdzonym do jednej ze ścian zewnętrznych hangaru na *HMS Connington*, poza kreskę oznaczającą 70 stopni Fahrenheita. Choć rozedrgane gorącym powietrzem płynące z lądowiska wystarczało, by większość ludzi pobiegła po izolujące skarpety ochronne, mężczyźni i kobiety, służący na pokładzie tego jednego z najnowszych brytyjskich okrętów wojennych, nie zważali na to zupełnie, kiedy najnowszy typ dwumiejscowego *Harriera* wytoczył się na światło dzienne. Właściwa lokalizacja jego podwozia na lądowisku była czynnikiem decydującym. Ponieważ samolot ten nie mógł obracać się wokół dźwigu, *Harriery* musiały być przed startem ustawione na lądowisku w taki sposób, żeby, kiedy zostają przeniesione poza pokład, były już od razu ustawione dziobem pod wiatr, równoległe do kadłuba okrętu.

Kiedy podłożono klocki pod koła i podtoczono drabinkę do kabiny, kapitan Markham Hawksworth, ponownie w pełnym rynsztunku pilota, wyszedł z ciemności hangaru i napotkał dowódcę okrętu, kapitana Dicka Smitha.

- Chce pan się do mnie przyłączyć, kapitanie? - powiedział Hawksworth.

- Nie byłoby już miejsca dla naszego gościa - odpowiedział Smith.

- Żartowałem.

- Oczywiście - powiedział Smith i obydwaj rozpoczęli kontrolę naziemną.

- Czy jakieś ostatnie instrukcje, panie kapitanie? Zapytał Hawksworth sprawdzając podwieszane elementy.

- Nie, nic specjalnego Mark - powiedział Smith postępując za nim.

- Wiesz, że możesz zmienić decyzję.

- Tak jest. Gdybym to zrobił, musiałby pan tylko pstryknąć palcami i już podbiegłoby tu dziesięciu innych. Poza tym, jaki byłby ze mnie admirał, jeżeli byłbym dobry jedynie w proszeniu innych, żeby wzięli na siebie ryzykowne obowiązki? powiedział żartobliwie Hawksworth.

- Gdzieś słyszałem, że pan takie wykonywał na Falklandach, sir?

- Posłuchaj teraz uważnie - powiedział Smith, nie reagując na zmianę tematu. - Jock podniósł standard twojego radaru krótkiego zasięgu za pomocą przyrządu, który potrafi połączyć się z nadajnikiem *GPS* i wskazać jego lokalizację. Możesz po drodze wychwycić kilka takich, ale tam dokąd lecisz będzie tylko jeden, a z tego co sądzę, to ktoś bardzo ważny!

- Musi być, kiedy Biały Dom zgodził się na użycie tej zabawki - powiedział Hawksworth podchodząc do ogona maszyny.

- W okolicznościach ekstremalnych i ten samolot można poświęcić, ale ciebie nie. Gdy chodzi o wartość, zainwestowaliśmy prawie tyle w twój trening i doświadczenie ile kosztowało wybudowanie *Pegasus*, ale możemy ciągle wybudować sobie następnego *Harriera*, jeżeli rozumiesz o co mi chodzi. - Hawksworth przez moment uśmiechnął się do siebie. - Posłuchaj, to bez sensu, żebyś dał się sprzątnąć w czasie tej akcji. Przywieź go za wszelką cenę i to dotyczy także samolotu.

- À propo - powiedział Hawksworth, dopasowując swój osprzęt.

- Przypuśćmy, że on ma towarzystwo? Jeśli ten facet jest ubrany jak irański pułkownik, to skąd będą wiedział, za którego gościa mam się zła-pać?

- Przede wszystkim, Mark - odpowiedział Smith - ma być podobno sam. Jeżeli nie będzie, to przypuszczalnie jest martwy. Jeżeli żyje, wtedy miejmy nadzieję, że to będzie jedyny, który nie będzie próbował cię zabić. Daliśmy ci jego dokładny rysopis, plus minus broda albo broda z wąsami, no i znasz jego zaszyfrowane nazwisko. Poza tym, jeżeli on nie siedzi w swoim samochodzie, szanse na odnalezienie go będą dość nikłe.

- Tak jest, panie kapitanie. Czy są jakieś wiadomości o wspomagającej pozoracji? powiedział Hawksworth, podchodząc do lewego skrzydła.

- Tak, ale trochę niedokładne. Dwa *Hawks* i jeden *Jelly Bean* ruszyły już w kierunku wybrzeża, jakieś sto mil na południe od miejsca, gdzie przekroczysz granicę. Mają zamiar zrobić tyle hałasu wzdłuż linii brzo-gowej, ile tylko potrafią i na tak długo, jak tylko będą mogli i mamy nadzieję, że dadzą sporo zajęcia irańskim chłopakom od radaru. W razie potrzeby będzie im towarzyszyło jeszcze parę *Eagles* z Bahrajnu. Ich AWACS dostał polecenie dania tej wyprawie najwyższego pierwszeństwa, więc będzie monitorować pozycję każdego wokół, kiedy będzie się z tobą łączyć.

- Łączyć się ze mną? - zapytał Hawksworth, wracając do dziobu.

- Tak, wyznaczyli specjalnego operatora, żeby ci dotrzymywał towa-rzystwa przez całą drogę.

- Czy to wszystko? - powiedział Hawksworth, stawiając stopę na drabince.

- Tak, to wszystko. Powodzenia.

- Z jakiego powodu życzy mi pan powodzenia, kapitanie? Ktoś mógłby pomyśleć, że to może być trochę ryzykowne.

- Bez powodu poza tym, że nikt nie jest pewien czy ta pozoracja zadziała. Teren jest stosunkowo płaski, więc jeśli nawet będziesz się trzymał nisko nad ziemią, nie będziesz miał żadnej osłony przed ich radarem i nie jest też powiedziane, że kiedy już dotrzesz na miejsce, on tam będzie, żywy czy nie. Możesz po prostu trafić w pułapkę - powiedział Smith z uśmiechem.

- Niech pan nie owija w bawełnę, panie kapitanie, niech pan przejdzie do spraw naprawdę niebezpiecznych.

- Staraj się nie porozwalać za bardzo maszyny. To jedyny egzemplarz jaki tu mamy - powiedział Smith, wyciągając rękę. - No i jak powiedziałem, powodzenia.

- Dzięki - powiedział Hawksworth, odwzajemniając pożegnalny gest i wspiął się do kabiny.

- Oho, tu jest o wiele więcej miejsca niż jestem przyzwyczajony, kapitanie. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, to czy mógłbym wypożyczyć go na sobotni wieczór?

Smith roześmiał się i odszedł. Hawksworth sprawdził tylne siedzenie, żeby upewnić się, czy wszystkie jego pasy są właściwie zamocowane i wślizgnął się za stery. Zapiawszy pasy podłączył się do dopływu powietrza, założył słuchawki i uruchomił radio.

- Tu *Javelin*, gotów do startu.

- Przyjąłem, *Javelin*. Rozpoczynaj start. - Nieco większy i silniejszy *Pegasus 5C* zaczął się rozkręcać, a Hawksworth realizował z załogą lądowiska szybką procedurę kontrolną. Kiedy osiągnięte zostały temperatury eksploatacyjne, pchnął do przodu dźwignię przepustnicy.

- Czterdzieści procent - zabrzmiało mu w uszach, a maszyna zaczęła dzielić wraz z hakiem, na którym była zawieszona, część swego ciężaru. - Siedemdziesiąt procent. - Zmniejszające się obciążenie podwozia było wyraźnie widoczne dla szefa lądowiska, kiedy *Harrier* zaczął równoważyć swą siłę ciężenia. - Dziewięćdziesiąt procent, masz zezwolenie na przemieszczenie. Czy możemy kontynuować?

- Przyjąłem, wykonujcie przemieszczenie - potwierdził Hawksworth.

- Rozpoczynamy podnoszenie. Tu kontrola interwencyjna, teraz wy-
noszenie na zewnątrz.

- Przyjąłem.
- Przechodzimy na „Przeźren”.
- Przyjąłem, przechodzę na „Przeźren”.

Uczucie delikatnego kołysania zupełnie opuściło kabinę, kiedy hak przejął swój obowiązek i obrócił *Harriera* ponad balustradą i w pierwszej kolejności ustawił go pod wiatr. Palce jego lewej ręki pchnęły przepustnicę do przodu, podczas gdy kciuk powoli ustawiał dysze tak, żeby uzyskać pewien ciąg do przodu, zmniejszając też obciążenie dźwigu.

- Tu interwencyjna. Ratownicy na stanowisku, podnoś podwozie.
- Podwozie podnosi się.
- Wyrównaj do trzydziestu węzłów. Zwiększ ciśnienie do stu procent.
- Zwiększam do stu. Dodaję trzydzieści węzłów. - Hawksworth posu-
nął przepustnicę dalej niż dla prostego unoszenia się w powietrzu i opuścił
dysze do 80 stopni.

- Gotów do startu. Styk z hakiem słabnie.

Hawksworth spojrział szybko na parametry pracy silnika i wydał rozkaz.
- Start, start, start. Cztery miseczki odskoczyły od boków kadłuba, chwytak
zwolnił swój uchwyt kuli, a cały hak zamasyżycie przesunął się szybko w
górze i poza *Harriera*.

- Jest cały twój, *Javelin*. Hak zwolniony. Przełącz się na jeden-dwa-
jeden przecinek jeden-siedem. Powodzenia. Wyłączamy się.

Hawksworth zwiększył siłę ciągu i przesunął dysze na 70 stopni i wi-
bracja kadłuba ustąpiła miejsca znajomemu gwizdowi powietrza nad osłoną
kabiny. Dwumiejscowy *Harrier* wyprzedził teraz *Conningtona*, a następ-
nie, ze sterem lekko zwróconym w prawo, zaczął się oddalać, nabierając po
drodze wysokości. Kilka chwil później, kiedy Hawksworth wznosił się w
kierunku północnym, skorygował trym, aby zrównoważyć brak pasażera i
dostroił radio. Natychmiast wypełnił mu uszy nieznamy głos.

- *Javelin*, tu *Sentry*, lot dyżurny AWACS. Czy mnie słyszysz? *Javelin*,
tu *Sentry*. Czy mnie słyszysz? Odbiór.

- Słyszę cię *Sentry*, tu *Javelin*. Słucham.
- Witamy na pokładzie, *Javelin*. Dobrze że jesteś w tym z nami. Czy
mógłbyś włączyć swój koder sygnałów?

Hawksworth spełnił prośbę. - Koder włączony.

- Dziękuję, *Javelin*. Admirał Swanson polecił przekazać wyrazy

wdzięczności za przyłączenie się do nas w tej akcji, która powinna pójść gładko. Jaki masz odbiór?

- Doskonały - odpowiedział Hawksworth.

- Jesteś trochę za wysoko, zejdź na razie na dwa-zero. Powiemy ci kiedy zejść nisko. Hawksworth pchnął dźwąg do przodu, zastanawiając się, co to dla nich oznacza „nisko”.

- Kurs trzy-pięć-trzy. Jestem operatorem wyznaczonym do tego zadania, więc nie powinno być żadnych przerw. A przy okazji, na tym dyżurze nie będę stosował się do normalnego protokołu ruchu lotniczego i nazywam się Willis, ale możesz mnie nazywać Dave. Kiedy zbliżymy się do wybrzeża, przez większość drogi tam i z powrotem będę z tobą sporo rozmawiał. To pomoże ci skupić się bardziej na wykonywaniu lotu, a mniej na jego celu. Niestety, prognoza pogody jest dobra, z przeciętną widocznością do dziesięciu mil. W tej chwili z urwisk brzegowych zwisa niewielka mgła, ale to nie będzie nas dotyczyło. Nasz obiekt znajduje się o jakieś dziesięć mil w głąb lądu i dotarcie tam, podjęcie go i wydostanie stamtąd nie powinno zająć więcej niż dziesięć minut. Wydaje się, że obecnie aktywność w rejonie docelowym jest niewielka albo żadna. Główna część *Bad Bag*, jak nazwaliśmy tę naszą małą imprezę pozorującą, odbędzie się około dziewięćdziesięciu mil na południe od ciebie i będzie prezentować wszelkie rodzaje hałasów. Zajęcie przez wszystkich odpowiednich pozycji, zanim ty wejdiesz do akcji, zajmie nam trochę czasu, więc możesz jeszcze na jakiś czas usiąść wygodnie. Nasi chłopcy powinni być wystarczająco głośni, żeby utrzymywać ich uszy z dala od twojego zadania i to, jak mamy nadzieję, wystarczająco długo, żebyś mógł znaleźć się w drodze powrotnej, zanim *Nannies* połapią się w całej rozróbie. Masz, jak dotąd, jakieś pytania, *Javelin*?

- *Nannies, nianie?* - zapytał Hawksworth, kiedy już wyrównał lot na dwóch tysiącach.

- Przepraszam, to nasze pieszczotliwe przezwisko Irańczyków.

- A jak nazywacie Irakijczyków?

- *Rookies, koty*. Jeżeli z jakiejś przyczyny nasza rozmowa się urwie, powiedz tylko słowo „*Sentry*” i już będę z tobą. Gdyby nie, na przykład z powodu nieprawidłowej pracy twojego radia lub jakichś innych kłopotów, wtedy przełącz się na częstotliwość awaryjną. To dotrze do mnie lub do kogoś tutaj. To tak jak u nas w domu numer dziewięć-zero-zero. Dobra?

- Przyjąłem, *Sentry*.

- Dobrze. Zmniejsz prędkość do 350 węzłów, zmień kurs na trzy-trzy-zero i zejźdź o paręset stóp, powiedzmy do jeden-zero, dobrze?

- Przyjąłem, *Sentry*. - Hawksworth starał się zachować jakieś elementy protokołu.

- A teraz, ponieważ mamy trochę czasu w zapasie, poinformuję cię na bieżąco o naszym planowanym rejonie docelowym. Po pierwsze, dobra wiadomość. Są trzy główne stacje radarowe, z którymi będziemy mieli do czynienia. Pierwsza z nich, na północy, to Bandar-e Khomeyni. Obsługują tam system *Hawk-Dopplera* z zasięgiem do stu dwudziestu pięciu kilometrów. Podobna stacja jest zlokalizowana na południu, w Bushehr. Obydwie te stacje są używane łącznie z wyrzutniami ziemia-powietrze *S.A.-6 Gainful* oraz - *12 Gladiator SAM*. Te -6 posługują się starym radarem pulsacyjnym oraz sterowaniem nakazowym, mają średni zasięg trzydziestu kilometrów przy szybkości 2,8 Macha i niezłą zwrotność. Natomiast -12 posługują się nowoczesnym radarem *Phased-array Doppler*. Mają średni i długi zasięg, do stu pięćdziesięciu kilometrów, przy szybkości Mach 3 i także niezłą zwrotność.

- To jest ta dobra wiadomość? - wtrącił się Hawksworth.

- No dobrze. Więc tak się składa, że punkt w którym wlatujesz na teren Iranu znajduje się w połowie drogi pomiędzy tymi dwiema stacjami. Przy pełnym zasięgu ich radaru pozostaje tam pas o szerokości około pięciu mil, który można uważać za leżący poza ich normalnym zakresem działania. A fakt, że te obydwie, to są radary dopplerowskie, daje nam pewną szansę. Jak wiesz, *Javelin*, Doppler najlepiej działa wtedy, kiedy monitoruje samolot lecący prosto na radar, a najgorzej, kiedy samolot leci po stycznej do jego obwodu. Z radarem pulsacyjnym jest odwrotnie. Na szczęście dla nas, planowana trasa twojego lotu prowadzi nas pomiędzy dwoma emiterami i w połączeniu z małą wysokością lotu i tą pozoracją, odwracającą uwagę, możemy się tamtędy przedostać nie zauważeni przez żaden z nich.

- No to jaka jest ta zła wiadomość, *Sentry*?

- A więc, zła wiadomość jest podwójna. Po pierwsze, żeby przelecieć tym przejściem pomiędzy dopplerowskimi radarami, musisz przelecieć bardzo blisko wyspy Karq. Oni też mają tam w użyciu Dopplera i chociaż jest on znacznie mniejszy, nie ma sposobu, żebyś się tamtędy przedostał bez wykrycia.

- A po drugie?

- Po drugie, zaobserwowaliśmy siły nieprzyjacielskie, zbliżające się

niebezpiecznie do rejonu, przeznaczonego do zabrania obiektu. Mówiąc ściślej... - Hawksworth usadowił się wygodniej kiedy jego nowy rodak zaczął długi, szczegółowy opis celu, nadbrzeżnych urwisk, obniżającego się, ale otwartego terenu wewnątrz łądu i widoku różnego rodzaju otwartych szczelin, powszechnie występujących w tym rejonie. Willis kontynuował, a ponieważ jego opis był tak szczegółowy, Hawksworth zdał sobie sprawę z tego, że zaczął wyobrażać sobie leżącą przed nim drogę, jakby oglądał film, pokazywany w czasie lotu. A kiedy pokazano napisy końcowe filmu, Willis powtórzył całą trasę jeszcze raz.

W momencie, kiedy *Javelin* miał już dotrzeć do granicy, wiedział dokładnie czego można oczekiwać. Niefortunnie dla *Javelina* i Willisa, ich oczekiwania okazały się jednak niewystarczające.

Rozdział Pięćdziesiąty Ósmy

Baza Gonzo. USNS George Washington CVN-73

08:39 czasu lokalnego (05:39 GMT)

Przez ostatnie trzy i pół godziny *George Washington* był sklasyfikowany jako „Ciemny”. W każdym dziale i w różnych aspektach prac naprawczych sporządzano rejestry podjętych procedur i odnotowywano ich rezultaty. Poza sześcioma samolotami, które zostały uznane za zdolne do działania w pełnym zakresie, reszta okrętu pozostawała w chaosie o różnym stopniu nasilenia. Każdy członek grupy *Czarny Alert* systematycznie sprawdzał każdy etap swojej pracy, aby upewnić się, że części zamienne, które przywieźli z sobą na pokład, nie przepała się ponownie w podobny sposób. W każdym egzemplarzu sprzętu nawigacyjnego badano każdą płytkę obwodów drukowanych i wprowadzano programy kontrolne, żeby uzyskać pełną diagnostykę ich działania. Za przegrodami, owiewane podmuchem wentylatorów, leżały beczynnie ogromne komputery, czekające na swoją kolej do uruchomienia i kontroli.

W samym *CIC*, centrum dowodzenia, pomieszczenie było wypełnione szesnastoma parami rześkich, czujnych oczu, które przypatrywały się ustawicznej pracy pani porucznik Carol Chambers, która po raz setny wkroczyła w ciszę niecodziennie rozjaśnionego pomieszczenia bojowego centrum informacji. Była średniego wzrostu, miała łagodne, błękitne oczy i nieco okrągłą twarz z kilkoma kosmykami naturalnych blond włosów, wyglądających spod czapki. Miała ten szczególny wygląd zawodowca, nawet myśliciela, kogoś przyzwyczajonego do działań eksperckich, a choć jej obserwatorzy rodzaju męskiego wyczekiwali przede wszystkim rezultatów jej pracy, większość z nich poczuła się też nieco odświeżona, widząc nieznaną kobietę z tak bliska. Długi, biały płaszcz, który ukrywał jej wszelkie, przypuszczalne kształty i miał pełne, głębokie kieszenie, wypchane narzędziami z jej branży, w połączeniu z zupełnym brakiem kontaktu wzrokowego z panią porucznik, nie pozostawiły jednak nikomu wątpliwości, że poświęca się ona w pełni wykonaniu swego zadania.

Usiadła przy jednym z terminali i załogowała się. Komandor Wooten chwycił krzesło i obrócił je, stawiając przy niej.

- Jak idzie, poruczniku? - zapytał.

Jej oczy pozostały wpatrzone w ekran, a palce nie przestawały tańczyć po klawiaturze.

- Nie tak źle, jak się obawialiśmy, panie komandorze - powiedziała Chambers. - Jest jeszcze ciągle pewien problem z jednym z głównych urządzeń buforowych, ale udało się nam ominąć je na razie i teraz, ponieważ ten terminal jest znowu podłączony, będziemy przynajmniej w stanie udostępnić wam efekty wizualne krótkiego i dalekiego zasięgu. - Po zakończeniu serii wprowadzeń sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła małą słuchawkę. - Chambers do Wallingforda, zgłoś się.

- Słucham, Carol - nadeszła odpowiedź.

- Tu wszystko ustawione. *FPD* są włączone i zakończyłam test logujący. Wszystkie układy działają i teraz czekam na twoje potwierdzenie, że wszystkie terminale są podłączone.

- Stąd wygląda to dobrze. Jack właśnie skończył swój obchód od głównego komputera i informuje, że odbiorniki kręcą się dobrze, z dobrą ostrością. Idź dalej i zakończ uruchamianie.

Palce Chambers nacisnęły kilka następnych klawiszy.

- Uruchamiam. - I nagle w drugim końcu pomieszczenia pojawił się niebieski błysk. Jeden z ogromnych monitorów *FPD* zamigotał przez chwilę i potem zaświecił jasno na pokój swoją niebieską barwą. Następnie pojawiły się szczegóły mapy regionu i listy różnych danych, dotyczących wszystkiego, co się wokół ruszało. Widok ten ściągnął na siebie wzrok wszystkich obecnych, którzy podnieśli radosny okrzyk kiedy zielona dioda operacyjna potwierdziła zdolność urządzenia do działania. Zanim wiwaty miały możliwość umilknąć, ożyło pięć następnych ekranów i wokół rozległy się oklaski. Chambers, stale trzymająca słuchawkę przy uchu, wstała i odwróciła się, by spojrzeć obok komandora na ekrany na drugim końcu pomieszczenia.

- Jak to wygląda? - powiedział głos.

- Po mojemu dobrze - odpowiedziała Chambers.

- W porządku. Jestem tu ciągle trochę zajęty. Powiedz komandorowi Wootenowi, żeby przeprowadził pełną sekwencję uruchomień i jeżeli wszystko pójdzie dobrze, to może wznowić działalność.

- Tak jest, sir. - Chambers włożyła z powrotem radio do kieszeni i odwróciła się ku Wootenowi. - Pańscy ludzie mogą zająć ponownie swoje stanowiska, panie komandorze. Chcielibyśmy, żeby każdy z operatorów, przed powrotem do swych standardowych obowiązków operacyjnych,

przeprowadził własną sekwencję prób i powiadomił mnie, jeżeli wydarzy się coś niezwykłego.

- Dziękuję pani, poruczniku, uczynimy to z przyjemnością - odpowiedział Wooten, próbując zachęcić Chambers do uśmiechu. Żaden się jednak nie pojawił.

- Popracuję nad kapitańskim urządzeniem wizualnej symulacji dowodzenia - powiedziała i podeszła do dużego monitora, umieszczonego na końcu pomieszczenia, usiadła w fotelu obrotowym i rozpoczęła swą pracę.

Wooten odwrócił się twarzą ku środkowi pomieszczenia i podniósł głos ponad hałaśliwy gwar swojego zespołu.

- Dostyc tego. Wszyscy mieliśmy dostyc emocji jak na jeden dzień. Chcę żebyście teraz wszyscy ruszyli na swoje miejsca i wykonali swoje podstawowe testy uruchomienia. Kiedy otrzymacie od swego terminalu potwierdzenie pełnej zdolności operacyjnej, podnieście prawą rękę i czekajcie, aż dam wam zgodę na podłączenie głównego systemu. Jeżeli wasze testy się nie powiodą, podnieście lewą rękę i czekajcie na instrukcje. Dobra, ludzie, do roboty.

Każdy sięgnął po krzesło i ustawił je przed swoim sprzętem, a Wooten spojrział w kierunku, gdzie siedziała Chambers. Ponownie rozmawiała przez radio a duży ekran *FDP* kapitana, rozjaśniony już kolorami i kształtami ciągu kontrolnych prezentacji, potwierdził Wootenowi, że może nie będą musieli czekać zbyt długo, zanim to Centrum *George Washingtona* będzie mogło znów podjąć czynności dowodzenia. Sięgnął po telefon i nacisnął guzik.

- Czy jest tam kapitan Gurney? Tu Wooten w *CIC*.

Kilka chwil przerwy. - Tak, komandorze?

- Przeprowadzamy właśnie teraz testy połączeń wszystkich ważniejszych systemów radaru. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, odzyskamy nasz wzrok za kilka minut.

- Dobra wiadomość. Proszę mnie powiadomić, kiedy tylko będziecie już na bieżąco, dobrze?

- Tak jest, panie kapitanie - powiedział Wooten i odłożył telefon. Jedno po drugim, prawe ramiona unosiły się w górę. Podeszedł do najbliższego operatora, sprawdził monitor potwierdzając, że wszystko było gotowe i powiedział mu, żeby podłączył główny system. Moment później wielki, okrągły wyświetlacz, znajdujący się przed nimi, ożył, wywołując szybkie „w porządku” u obydwu z nich. Wooten ruszył wzdłuż szeregu, w którym

każdy ekran kolejno rozświetlał się wszelkimi istotnymi informacjami, niezbędnymi operatorowi dla wypełnienia jego zadania. Na końcu szeregu lewa ręka uniosła się ku niebu.

- Co jest, Greg? - zapytał Wooten kiedy się zbliżył.
- Nie wiem, sir, nie wybiera właściwie. - Wooten podszedł do miejsca, gdzie Chambers zajęta była stukaniem w klawisze.
- Poruczniku, idzie nam świetnie. Wszystko jest w porządku z wyjątkiem jednego z *Honeywell 3500*, który zdaje się stawiać opór.

Chambers spokojnie wstrzymała własne działania kontrolne i podeszła wraz z Wootenem do operatora, stojącego teraz przy swoim krześle. Usiadła przy terminalu, oczyściła ekran i wystukała na klawiaturze „RAD-SYSCHK1”. Ekran ściemniał na chwilę a później pojawiło się „RAD-SYSCHK1...NON OPERATIONAL”. Chambers ponownie załadowała program i wystukała „DANSEQTEST”. Ekran pokazał teraz listę nazwisk i haseł zupełnie Wootenowi nieznanych. Lista zatrzymała się, kiedy ukazało się „CCK FNTN 3 SX...UNABLE”. Chambers sięgnęła po radio i po krótkiej dyskusji i ponownym załadowaniu, ekran powrócił do obrazu pojedynczego białego znaku kursora. Ponownie wpisała „DANSEQTEST” i lista ponownie zaczęła się przewijać, ale tym razem przewijanie było kontynuowane aż do osiągnięcia napisu, który brzmiał „DANSEQTEST...COMPLETE”.

Chambers wstała i zwróciła się do Wootena.

- No dobrze, czy mógłby pan spróbować ponownie?

Wooten skinął głową operatorowi, który usiadł i zaczął działać jak poprzednio. Test przebiegał pomyślnie. „SCANNING RATE, SPEED, FOCUS, KEYM, KEY 2, UPSTREAM DATA MIX, DOWNSTREAM LOGIC CONTROL, FINE SCAN, X-TEL REFS, INTROS, CALLERS, DISPLAYS i w końcu KEYBOARD TEST i ERROR ANNOUNCERS”...TEST COMPLETE»»...YOU ARE „GO” FOR START UP...”. Zanim komandor mógł wyrazić Chambers swoje uznanie, ona coś mu wręczyła.

- Panie komandorze, muszę iść na spotkanie. Ta rzecz, wyglądająca jak karta kredytowa, jest w rzeczywistości pagerem. Bylibyśmy wdzięczni, gdyby zechciał jej pan użyć jeżeli będzie pan miał jakiś poważniejszy problem, a kiedy taki się pojawi, proszę nacisnąć ten odcisk kciuka i wtedy dotrę do pana tak szybko, jak tylko będę mogła.

Kiedy oczy Wootena spojrzały na kawałek plastiku, który trzymał w ręku, nie mógł powstrzymać się od zerknięcia na dwa guziki na białym

płaszczu, znajdującym się przed nim. Wooten nigdy nie zbaczał z tak zwanej „drogi obowiązku” i sam, w wielu przypadkach, udzielał swoim ludziom odpowiednich pouczeń, kiedy ich myśli zwracały się zbyt ku sprawom towarzyskim. Był bardzo szanowany za swój profesjonalizm i dobry przykład, jaki stanowił dla innych. Ale kiedy wsuwał kartę do kieszeni i zagłębiał się głęboko w tamte błękitne oczy, rozważał sobie, że może, kiedy to wszystko się skończy, mógłby podjąć ją towarzysko filiżanką kawy.

- Dobrze, poruczniku, solidnie się tym zaopiekuję.
- Proszę o to, one są trudne do zdobycia. - Odwróciła się i opuściła

CIC.

Wysoko ponad pokładem, jakieś pięćdziesiąt stóp wyżej niż sam mostek, zabezpieczony liną, przykucnął specjalista od systemów globalnych, Bull. Przy nim, z pokrywą usuniętą z urządzenia kontrolnego, tkwił talerz anteny satelitarnej, dostarczający danych łącznościowych z każdego z geosynchronicznych satelitów *NAVSAT* i *DEFSAT*. Zostały one rozmieszczone w tym regionie dla bezpiecznych i bezpośrednich transmisji z Pentagonem i resztą floty. Ze słuchawkami na uszach Bull przejrzał sterowniki kierujące płytą, na której umieszczony był talerz. Umieścił poziomicę na płycie i obserwował ją uważnie kiedy silniki zablokowały i utrzymywały punkt, w jakim talerz był wycelowany w niebo. - Wygląda mi, że jest dobrze. A jak u ciebie?

Odpowiedź była równie entuzjastyczna. - Tu na dole wygląda także, że jest w świetnej formie. Odbiór jest czysty i głośny! Wszystkie sto dwadzieścia osiem na głównych sieciach dochodzą piątka po piątce. Linie awaryjne są otwarte, nawet rezerwowe są czyste jak dzwon. Dobra robota, Mark. Czy możesz pójść na dół do awioniki i pomóc im? Zostawiam tu Alana, żeby skończył audio.

- Będę tam za kilka chwil. Bull wyłącza się. - Chwycił swoją poziomicę, umieścił pokrywę z powrotem na urządzeniu kontrolnym, podniósł torbę z narzędziami i ruszył w dół do hangarów właśnie w momencie, kiedy megafonowy system nagłaśniający wrócił hałaśliwie do życia.

- „Przygotować się do przyjęcia jednostki naprawczej, wszyscy marynarze przygotować się do przyjęcia jednostki naprawczej”.

Nagle setki par butów wypełniły ciche korytarze i schody, udając się na swoje właściwe stanowiska. *USNS Wendal* zajął pozycję o dwieście jardów przed dziobem *George Washingtona*, od jego prawej burty, ze stałą

szybkością dziesięciu węzłów. Lotniskowiec przybliżał się aż *Wendal* znalazł się obok niego. Odezwały się megafony.

- „Dzień dobry kapitanie Austin i członkowie załogi na pokładzie *USNS Wendal*. To prawdziwa przyjemność mieć was obok siebie w taki piękny poranek. *Wendal*, bądźcie gotowi do przejścia rzutek z przodu i na śródokręciu”.

Na pokładzie *George Washingtona*, po odpowiedniej wymianie zdań i sygnałów, marynarze przerzucili rzutki na przód i śródokręcie przybysza.

Na przestrzeni około pół godziny przetransportowane zostało całe niezbędne zaopatrzenie, potrzebne do utrzymania zdolności operacyjnej lotniskowca, łącznie z kilkoma dodatkowymi elementami, zamówionymi przez Danfortha. Trochę sprzętu komputerowego, zapakowanego na tą okazję w skrzynki, zostało przeciągnięte z pokładu na pokład, a wysoko rozpięte liny przeniosły nawet na pokład lotniskowca jakiegoś oficera, przetransportowanego w czymś w rodzaju klatki. Cała ta operacja poszła tak gładko jak sam jedwab, ale co ważniejsze, w świadomości większości ludzi na pokładzie okrętu oznaczała, że *George Washington* i pozostałe okręty, które *Wendal* obsłużył tego ranka, były ponownie gotowe do akcji.

Megafony odezwały się jeszcze raz i tym razem był to szef służby lotniczej z krótkim zawiadomieniem o gotowości.

- „Cały personel pokładowy przygotowuje się w umundurowaniu właściwym dla pokładu startowego, z założonymi hełmami, opuszczonymi goglami i spuszczone rękawami i sprawdzi klocki blokujące. Pozostały personel, chwilowo nie zatrudniony, zamelduje się natychmiast na pokładzie, przejrzy pas startowy oraz sprawdzi i usunie obce przedmioty i odpadki. Reszta sprawdza sprawność samolotów i przygotowuje się do podjęcia czynności startowych, rozpoczynających się za dziesięć minut. Ruszamy!”

Rozdział Pięćdziesiąty Dziewiąty

Washington D.C. Pentagon

23:56 czasu lokalnego (05:56 GMT)

Komandor John Latchkey wrócił do gabinetu Swansona i znalazł go ciągle zajętego telefonowaniem. Zespół spotykał się ponownie, ale tym razem, zamiast przyjść z pustymi rękami, uczestnicy rozłożyli przed sobą różne dane, które, jak mieli nadzieję, pomogą rozwikłać całą sytuację. Latchkey podszedł do biurka i położył przed admirałem jakiś komunikat.

- Dobrze, Sam - powiedział Swanson. - Wrócę do ciebie, jak tylko zakończy się spotkanie. Jak długo to potrwa? - Nastąpiła przerwa i Swanson zakończył, mówiąc - dobrze, będę gotów - i odłożył słuchawkę.

Swanson przeczytał notatkę, którą dał mu Latchkey, wstał i podszedł by usiąść w swoim fotelu.

- Panowie, nie mamy zbyt wiele czasu. Mam wkrótce następne spotkanie, więc spróbujmy się skrać. Zacznijmy od ciebie, Peter.

- Obecnie mam niewiele dla pana, panie admirale. Wygląda na to, że nie mieliśmy ostrzeżenia o ataku na *Grupę Szóstą* czy na *Storka*. Wszystko, co zdołaliśmy uzyskać od *Philadelphii* to tyle, że cztery rosyjskie łodzie podwodne uparły się przeprowadzić jakieś manewry w pobliżu *Bazy Gonzozo*, zmuszając *Grupę Szóstą* do przesunięcia się dalej na północ, do Zatoki Omańskiej. Ich łódź prowadząca, *Typhoon*, po oddzieleniu się od pozostałych trzech *Foxtrotów*, wynurzyła się blisko *Grupy*, gdzie rosyjski kapitan stanął sobie na samej górze i zrywał boki ze śmiechu tak głośno, że słyszała to załoga *Philadelphii*. Otrzymał twarde ostrzeżenie od kapitana Davidsona i wówczas zszedł na dół, zanurzył *Typhoona*, dołączył do pozostałych łodzi i opuścił ten rejon. Kapitan Davidson prosił o zezwolenie na pójście tuż za nimi na ich odejściu, ale Lodgers odmówił, żeby zachować możliwości bezpiecznej obrony. - Pruitt usiadł, a włączył się teraz admirał Walters.

- Otrzymałem potwierdzenie, że zespół *Czarny Alert* przybył na pokład *George Washingtona* i dokonuje szybkiej naprawy na nim i na pozostałych okrętach *Grupy*. Choć zapasy zespołu były dość *znaczne*, jest jeszcze parę elementów, z którymi trzeba będzie poczekać na przybycie *Wendal*.

On powinien już być, jak to mówimy, na końcowym zbliżeniu do nich, ale jestem pewien, że Fred będzie miał za chwilę więcej na ten temat. Kapitan Fulton, na pokładzie *Storka*, potwierdził, że nie było ofiar w ludziach, ani bezpośrednich trafień. Dzięki dość niekonwencjonalnemu sposobowi postępowania kapitana Fultona, końcowy rezultat ataku został sprowadzony do minimum. Zgodnie z poleceniem pańskiego biura, Bahrajn pomagał w podjęciu z wody zespołu *Fok* Marynarki Wojennej, wycofującego się z cieśniny Ormuz, a konwój znalazł się teraz bezpiecznie w Zatoce Omańskiej. I na koniec, a tu mam nareszcie jakąś lepszą wiadomość, *La Salle* właśnie zakończyła wyciąganie na pokład szczątków irańskiego *Fulcruma*, chociaż kilka razy przeleciały nad nimi irańskie *Migi*. - Pomruk gratulacji przeszedł wokół stołu. Swanson był jednak wciąż nachmurzony.

- Czy jesteśmy pewni, że odnaleźliśmy właściwą maszynę? Nie chcemy chyba oddać to do druku po to tylko, żeby się przekonać, że wyciągnęliśmy jakiegoś *Fulcruma*, zestrzelonego kilka miesięcy temu?

Walters podjął temat.

- Będziemy mieli potwierdzenie, jak tylko na niego porządnie zerkniemy. Wkrótce otrzymamy pierwsze zdjęcia i szczegółowe dane o torze jego lotu. Co do *Philadelphii*, to pozostawiam to Johnowi.

John Bradley pochylił się do przodu i położył ręce na stole.

- Jak na obecną chwilę, nie możemy jeszcze niczego ustalić jednoznacznie. A co do łodzi podwodnych: jeżeli Rosjanie wystrzelili cokolwiek, Davidson wiedziałby coś o tym. Z drugiej strony, Irańczycy uparcie twierdzą, że żaden z ich samolotów nie strzelał do konwoju.

Zadali sobie nawet trud prowadzenia swojego własnego śledztwa i nawet powiedzieli, że jeżeli znajdziemy coś pewnego, co do przyczyny, to proszą, żeby dać im znać. No tak. A my tu mamy teraz dowód, że samolot, który zaatakował *Storka*, był irański. Gdy chodzi o *Bazę Gonzo*, to chyba nie mamy wyboru: Irańczycy.

Bradley odchylił się do tyłu w swoim fotelu, a zaczął mówić Dr Frederick Chandler, rzuciwszy szybko okiem na zegarek.

- Za około dziesięć minut na pokładzie *George Washingtona* odbędzie się pierwsza grupowa dyskusja dla ustalenia rozległości i przyczyny uszkodzeń. Jak wcześniej powiedział Don, przywrócili oni okręt przynajmniej do stanu zdolności do żeglugi i nieco później otrzymam pełny raport od komandora Danfortha. Krótka rozmowa, jaką odbyłem z nim tuż przed tym spotkaniem, była pierwszą bezpieczną rozmową, dokonaną z okrętu od

czasu tej blokady. Potwierdził, że uszkodzenia zostały spowodowane jakąś formą ataku elektronicznego. Każdy z osobna element oprogramowania komputerowego na pokładzie lotniskowca, a na potrzeby tej dyskusji założę, że także na pokładach całej reszty floty, przestał działać o około trzy minuty przed piątą czasu lokalnego. Atak został spotęgowany tym, że w tym samym czasie i w ten sam sposób uderzył on również w dział zaopatrzenia na lotniskowcu tak, że operatorzy i technicy nie mieli możliwości do przeprowadzania jakichkolwiek napraw. Cokolwiek uderzyło w okręt, musiało mieć potężną siłę. Jedno teraz mogę powiedzieć: chciałbym mieć to coś. - Wokół stołu podniosło się kilka dociekliwych spojrzeń. - Mam na myśli to, panie admirale, że musimy zdobyć wszystko, cokolwiek pozostało z tego urządzenia i zabrać to do domu, żeby solidnie na to zerknąć. Może będziemy mogli dojść do tego jak to działa albo przynajmniej określić jego pochodzenie. Gdybyśmy mogli dać *Philadelphii* pewną swobodę, żeby mogła przeszukać okolicę, to może mielibyśmy trochę szczęścia. A wiercie mi panowie, że potrzebujemy tego szczęścia szybko. Jeżeli ktokolwiek, kto to zrobił, zdecyduje się uczynić to ponownie, na przykład przeciwko *Independence*, będziemy niezdolni do reakcji przez znacznie dłuższy okres czasu, ponieważ własne zapasy magazynowe *Black Alert* w tym regionie zostały zredukowane do zera i pozostaną w tym stanie co najmniej przez parę dni.

Admirał Swanson spojrzął na komandora Billa Traversa i skinął głową.

- No cóż - powiedział Travers, lekko odchrząkując. - Jego teksański akcent był jak zwykle, bardzo wyraźny. - Byliśmy w stanie ustalić kilka interesujących szczegółów, uzyskanych od sił powietrznych. Po pierwsze, raporty AWACS potwierdzają z naciskiem, że było niezwykle, by *Floggery* w taki sposób leciały za *Fulcrumami*. Tuż przed atakiem na *Storka Floggera* wydawały się śledzić *Fulcruma*, który prowadził atak. To wyglądało tak, jakby goniły własny samolot. Problem z tym jest taki, że jeżeli mamy wierzyć bieżącym raportom, mówiącym, że Irańczycy nie wydali rozkazu dokonania takiego ataku i że to był istotnie jakiś akt samowoli, to czemu, natychmiast po odpaleniu przez niego rakiety, nie próbowali sami ten samolot zestrzelić? No, może ich sprzęt był wadliwy lub odległość trochę za duża, ale przebieg tego incydentu, tak jak został on prześlędzony przez urządzenie rejestrujące, nie wygląda, przynajmniej na pierwszy rzut oka, na zgodny z ich bieżącymi oświadczeniami. Po drugie, wywiadowi sił powietrznych wydało się także dziwne, że z dwóch *Fule rumów* jeden

oddzielił się, by otworzyć ogień do konwoju, a drugi skierował się na południe, żeby przelecieć nad *Grupą Szóstą*. Ten fakt jest pierwszym twardym dowodem na to, że te dwa incydenty są ze sobą powiązane. Nie tylko to było dziwne, bo samolot, który zaatakował *Storka*, czekał z tym tak długo, że bliskość konwoju nie pozostawiła już czasu odpalonej rakiecie na manewrowanie do celu. I w końcu, dla czterech innych *Migów 23* było także niezwykle to dołączenie do *Fulcruma* i przelot nad *Grupą Szóstą* w sposób, w jaki to zrobiły. To był pierwszy taki przelot, jaki mógł zaobserwować któryś z naszych lotników, od kiedy zakończyła się wojna w Zatoce. Jak tylko *Flogery* uniosły się w powietrze z ich bazy w Barn, w południowej prowincji, wydawały się kierować prosto na miejsce pobytu *Grupy Szóstej*. Ale tym, co czyni ten przelot szczególnie zajmującym, jest fakt, że moment ich startu nastąpił około trzydzieści minut przed atakiem na flotę, co według mnie wskazuje, że oni wiedzieli z wyprzedzeniem o ataku. - Travers usiadł, a w pomieszczeniu zapadła cisza, kiedy wszyscy rozważali jego uwagi. - Aha, jeszcze jedna rzecz - powiedział Travers - dopóki pamiętam. *Fulcrum*, który przeleciał nad Grupą, nie leciał już dalej w ciasnym szyku z pozostałymi *Migami*. Straciliśmy go z oczu, kiedy zszedł nisko, wracając do Iranu i to bardzo nisko. Musiał zejść poniżej dwustu stóp, zanim dotarł do bazy, a nie mieliśmy raportów, że ktokolwiek tam się rozbił.

- Harry? - powiedział Swanson.
- W tym momencie nie mam niczego do dodania, Pat.
- Ani ja - zauważył Peterson.
- No dobrze, ja muszę tu zgłosić jedną uwagę - powiedział Crow. - Przed około rokiem admirał Swanson wystąpił z pomysłem wykorzystania raportów wywiadowczych, wychodzących do nas z Iranu. Natrafił na komandora, który utrzymywał swoje drzewo genealogiczne w pewnym sekrecie. Był on z urodzenia Irańczykiem i znał płynnie ten język. Przy pewnej zachęcie ze strony Pata, zgodził się przybyć do nas na pewien trening, po którym przekazaliśmy go wywiadowi wojskowemu do pracy na tyłach wroga, a on przez ostatnie sześć miesięcy był w stanie zapewnić nam dobrą informację o raportach wywiadowczych i rozkazach, wychodzących z Teheranu. Kilka godzin temu otrzymaliśmy wiadomość, że znalazł się w trudnej sytuacji i musiałby się stamtąd wydostać, czym admirał uprzejmie zaoferował się zająć. Ale po tym kontakcie on ponownie złamał ciszę radiową

i postawił się w trochę niebezpiecznej sytuacji, przesyłając nam drugą wiadomość. Wynika z niej, że wiedział on te dwa *Fulcrumy* o których mowa, jak przelatowały nad konwojem wojskowym, za którym się posuwał i kierowały się do granicy z Irakiem i że mieliśmy nie przyjmować żadnych przypuszczeń ich dotyczących tylko na podstawie tego co widzimy. Wskazał ze szczególnym naciskiem, że z samolotami było coś nie tak i że w żadnym razie nie możemy przypuścić, że one są tym, za co się podają. Wiadomość, co oczywiście, była krótka, więc sama istota informacji, jej dokładne znaczenie, pozostaje w tej chwili niejasne. Ale życzył pan sobie informacji o każdym przykładzie niecodziennego elementu w raportach i obserwacjach, więc wydaje się, że ta sprawa tu się właśnie kwalifikuje.

- Dziękuję - powiedział szczerze Swanson. - Doceniam ciężką pracę każdego z was w tej sprawie. Pozwólcie mi dodać do tego wszystkiego, że czynimy energiczne starania o wyciągnięcie tego agenta z miejsca jego pobytu i jak tylko wejdziemy z nim w kontakt, jego uwagi zostaną przekazane naszemu zespołowi. Czy ktoś ma jakieś inne uwagi?

William Crow ponownie zabrał głos. - Tak, panie admirale. Chcę wrócić do niektórych wniosków, którymi podzielił się z nami komandor Travers - powiedział, zwracając się w kierunku komandora. Czy lotnictwo wojskowe na podstawie swoich informacji przedstawiło jakąś hipotezę, Bill?

- Przedstawiliśmy kilka uwag cokolwiek ze sobą sprzecznych, sir. Zrozumiałe jest, oczywiście, że wszystkie one są bardzo wstępne. Dwaj oficerowie śledczy orzekli, że omawiane tu zachowania pilotów są możliwe do przyjęcia. Dowodzili oni, że być może jeden z nich był autentycznym przestępcą, wyłamał się z szyku i otworzył ogień. Dodawali przy tym, że choć nawet ten *Fulcrum* nie był nowy, mógł mieć jakieś trudności z wystrzeleniem więcej niż raz, źle oceniając odległość i przelatując nad konwojem zanim miał szansę uzbroić się ponownie. Mieli też takie odczucie, biorąc pod uwagę fakt, że nasze siły też znajdowały się na tym terenie, że goniące go *Floggery* zademonstrowały w tym dużym napięciu rozsądną rozważę. Nie chcąc, przy swoim ataku na *Fulcruma*, chybić i trafić omyłkowo w nasze nadlatujące *Falcony* i groźnie zaostrzać naszych opinii, które mogliśmy przyjąć w wyniku oceny całej sytuacji, trzymały się one z tyłu. Sugestia alternatywna, wysuwana przez innych, mówiła, że Irańczycy wydali rozkaz ataków przede wszystkim po to, żeby mogli w jakiś sposób zablokować kanał z tankowcami. Irańskie fregaty ruszyły się przecież tuż przed

atakami i przyjęły coś w rodzaju ustawienia blokującego. Na nieszczęście dla nich atak się nie udał i teraz próbują się wycofywać.

- Ale po co blokować Cieśninę teraz, kiedy próbują nawiązać z nami dialog i kiedy my czynimy im taką przysługę, przyciskając ich odwiecznego wroga, Irak? - zapytał Bradley.

- Być może przestępca był pilotem, który przeszedł z Iraku, i próbował zwrócić naszą uwagę z powrotem na Iran.

- No cóż, jeżeli tak właśnie jest - powiedział Swanson - to z pewnością odnieśli sukces.

- Ale nasze raporty wskazują, że ich własne fregaty włączyły swoje mechanizmy obronne wobec nadlatujących *Migów*. Z pewnością nie zrobiłyby tego wiedząc, że to są ich własne samoloty.

- Słusznie - kontynuował Travers - ale przypuśćmy, że była to operacja jawna, tyle, że zapomnieli powiadomić fregaty co się dzieje, albo też wiedzieli, że możemy przechwycić ich przekazy radiowe i może nie chcieli podjąć ryzyka, że ich z tym połączymy i ze strachu, że wtedy będziemy na ich tropie.

- W takim razie, jeżeli te fregaty nie wiedziały, czemu nie otworzyły ognia? - zapytał Bradley.

- Najwyraźniej zainstalowali na fregatach własne wyposażenie częstotliwości średniego zasięgu *IFF*, które pozwoliło im wprowadzić dane nadlatujących odrzutowców i potwierdzić ich dane. Kiedy zorientowali się, że to są istotnie ich własne samoloty, usunęli się z drogi tak szybko, jak tylko mogli.

- A co z *Grupą Szóstą*? - zapytał Mitchell. - Czy te *Migi* mogły nas po prostu sprawdzać?

- Oczywiście - mówił dalej Travers. - Ale w przeszłości kontrolowanie nas nie oznaczało nigdy podchodzenia bliżej, niż na pięć mil. Przelot prosto nad głowami jest uznawany za akt wojenny i oni o tym wiedzą. To zresztą przypomina mi, że w chwili obecnej niewiele wiemy o locie koreańskiego samolotu, jako że i pilot i załoga zdecydowali się być trudnymi rozmówcami i odmówili nam jakichkolwiek informacji. Rząd Omanu pomaga nam na tyle, na ile może, ale działanie odpowiednimi kanałami zabiera sporo czasu. Dodam jeszcze, że nikt tu nie może mieć nadziei, że ich ochrona lotniska nie wlezie już na wszystkie dowody, zanim sami dostaniemy szansę zbadania tego pasażerskiego samolotu. Jeżeli chodzi o Kair, to samolot opuścił go załadowany do pełna dwustu trzydziestoma pięcioma pasażerami

na pokładzie. Tak więc, wszystko co możemy przyjąć w tym momencie to to, że jeżeli zrzucono jakieś urządzenie, zostało ono zrzucone przez Irańczyków.

- Więc próbujecie powiedzieć - wtrącił się Walters - że wielkie urządzenie, zdolne zwalić z nóg całą elektronikę na pokładach pięciu okrętów, zostało zrzucone albo ze starego *Miga-23 Flogger* albo z *Fulcruma-29*?

- Nie usiłujemy twierdzić czegokolwiek, panie admirale - odpowiedział spokojnie Travers. Tylko że w oparciu o wstępne raporty na ten temat, będące pod ręką, koncepcja z *Migami* jest jedyna, która ma sens, jeżeli Koreańczyk jest „czysty”.

Admirał Swanson, który po cichu robił własne notatki, aby porównać je z notatkami Latchkey'a, wstał i podszedł do okna.

- A więc, panowie, mówimy, że ponieważ Iran chciał zablokować Cieśninę, to z tej przyczyny oni otworzyli do nas ogień. Ale to uderza w ich własne zamiary, by zezwolić nam na wchodzenie i wychodzenie z Zatoki po to, byśmy kontynuowali nacisk na Irak. A jeżeli był to jakiś samotny przestępca, to gdzie on jest? Znaleźliśmy samolot, ale bez pilota. A jeżeli oni naprawdę zrzucili coś z *Miga* na *Grupę Szóstą*, co wydaje mi się trochę naciągane, to czemu nas nie wykończyli, kiedy mieli taką szansę? I ten *Fulcrum*, który przecież wystrzelił do nas i zamiast skierować się prosto do domu, pozostawał nad Zatoką wystarczająco dla nas długo, żebyśmy się do niego dobrali. I to wszystko zaledwie w parę godzin po przesłaniu do nas powiadomienia, że pragną rozmów pokojowych! - Swanson odwrócił się twarzą do swoich gości i potrząsnął głową z niedowierzaniem.

Peter Pruitt zdecydował się złagodzić napięcie.

- Wydaje mi się, panie admirale, że biorąc pod uwagę plan lotu *Floggerów*, albo były one częścią pierwotnego ataku na *Grupę Szóstą*, albo wiedziały, że zostaliśmy trafieni. Przeleciały nad nami, żeby zobaczyć, czy możemy coś wypuścić w górę. Jakimś sposobem Lodgers wysłał jednak coś w powietrze, żeby je odgonić, ale uważam, że oni wiedzieli, co się stało.

- Być może - powiedział Bradley - ale oni na pewno orientują się w naszych częstotliwościach radiowych i być może podsłuchali *Hummera*, usiłującego skontaktować się z nami po uderzeniu, a nie słysząc naszej odpowiedzi, *Migi* podeszły bliżej, żeby nas sprawdzić.

- No to mam coś dla pana - powiedział Pruitt. - Muszę przyjąć, że Koreańczyk był w to wmieszany. Spójrzmy prawdzie w oczy, to był w tym

momencie jedyny samolot w powietrzu zdolny, o ile wiemy, do przeniesienia tak ciężkiego ładunku. Otrzymałem raport kontroli ruchu lotniska w Kairze potwierdzający, że koreański -747, o którym mowa, musiał wykorzystać cały pas startowy, żeby wystartować. Może to stanowić potwierdzenie, że coś wyjątkowo ciężkiego znajdowało się na pokładzie. Tylko czemu oni mieliby zbłądzić wprost na terytorium Iranu, żeby prawie odstrzelono im skrzydła, kiedy ich cel był przecież zupełnie blisko ich pierwotnego kursu? Wszystko co mieli zrobić, to pozostać na ich prawidłowym kursie i wtedy mogliby zrzucić to z trzydziestu tysięcy stóp, a my moglibyśmy wtedy nigdy niczego nie podejrzewać. Chociaż samolot ten jest w tej chwili trzymany pod kluczem w Omanie, będziemy mieli w końcu możliwość jego sprawdzenia. Wcześniej czy później odkryjemy prawdę. Ale na razie sądzę, że te dwa ataki są ze sobą powiązane i że za tym wszystkim stoją Irańczycy.

- No więc, co z tym wszystkim robimy? - zapytał Walters. - Prasa będzie nas naciskać jak tona cegieł.

Swanson wykonał ruch w kierunku swego biurka.

- Mamy zespół dochodzeniowy, który jest teraz w drodze do Omanu. Jak tylko będziemy mieli potwierdzenie ich wniosków, zapoznamy was oczywiście z nimi. Tymczasem musimy powstrzymać wszelkie oświadczenia z obawy przed jakimś fałszywym oskarżeniem. A więc, dziękuję wam za wasze uwagi, a następne spotkanie będziemy mieli za około dwie godziny. John was powiadomi.

Spotkanie zakończyło się i zebrani opuścili biuro Swansona, a Latchkey przywrócił coś w rodzaju porządku wśród papierów na stole.

- John, kiedy skończysz porządkowanie, złap dla mnie Lodgersa, dobrze? Chcę się dowiedzieć, jak mu idzie, a do tego potrzebujemy go, żeby *Philadelphia* dokonała szczegółowych poszukiwań tego przedmiotu, cokolwiek by to nie było.

Rozdział Sześćdziesiąty

Baza Gonzo. USNS George Washington CVN-90

09:22 czasu lokalnego (06:22 GMT)

Pomieszczenie przeznaczone dla załóg lotniczych było pełne wzmoczonej aktywności, ale nie załóg lotniczych. Nie tylko wchodziła tu właśnie grupa dwudziestu techników, stacjonowanych na *George Washingtonie*, ale były tu także nowe białe kurtki, które właśnie wróciły z pozostałych okrętów. A czekając na rozpoczęcie spotkania i na wezwanie do uciszenia się, wszyscy gromadzili się w grupki, wymieniając informacje i porównując notatki. Na dwóch stołach ustawionych na przedzie rozłożone były, na całą ich długość, tabele układów logicznych, przytrzymywane kilkoma porostawianymi filiżankami kawy, a za stołami stał pojedynczy rząd krzeseł, których oparcia dotykały niemal czarnej tablicy.

Komandor Danforth, który rozmawiał w sąsiednim rogu pomieszczenia z kilkoma członkami zespołu, spojrzął na zegarek i podszedł do miejsca, w którym stykały się dwa zestawione stoły.

- Uwaga wszyscy, proszę znaleźć sobie miejsca siedzące. - Obecni przerwali grupowe rozmowy i porozmieszczali się w rzędach małych składanych krzeseł. - To spotkanie będzie prowadzone jako otwarte forum, tak więc włączajcie się swobodnie kiedy tylko macie coś do dodania. Choć początkowo będę was prosił o ograniczenie waszych uwag do typu i lokalizacji uszkodzeń, przejdziemy nieco później do przyczyn. Przygotowałem własne wrażenia na temat tego co się stało, ale najpierw posłuchamy was. Bebe, może ty rozpocznesz?

Bart Bull, który usiadł w pierwszym rzędzie, wstał i odwrócił się twarzą do zebranych.

- No cóż, w zasadzie znalazłem tylko jeden typ uszkodzeń. W każdym przypadku, nad którym pracowałem, każdy chip na okręcie został, by użyć starego kantynowego wyrażenia „wysmażony”. Ogólnie biorąc, *presety* i inne podobne były sprawne i nadal działały, ale pamięć została zniszczona. *Mikrochipy*, faktycznie wszystkie rodzaje, od *P3* do nowych *ZZ*, wypaliły się w swoich gniazdkach. Poza jednym czy dwoma wyjątkami, żadne stanowisko nie pozostało nietknięte. Ze wstępnych badań wydaje się, że sam

silikon pozostał nie naruszony, ale nie było wątpliwości, że powstała wystarczająca ilość zmarszczek, żeby wymusić zapętlanie na każdym etapie. A jak wszyscy dobrze wiemy, kiedy raz utworzyła się autentyczna pętla, jest prawie niemożliwe zmusić ją do powrotu do normy. - Bell usiadł.

- Dziękuję, Bart - powiedział Danforth. - Teraz słowo od Ricka, który nadzorował nukleonikę.

Wszystkie oczy właśnie odwracały się, by skierować się na środek pomieszczenia, kiedy drzwi otworzyły się i weszli do środka admirał Lodgers i kapitan Gurney.

- Przepraszam, panowie - powiedział Lodgers - mam nadzieję że nie macie nic przeciw temu najściu, ale kapitan i ja jesteśmy zainteresowani waszymi wnioskami.

- Oczywiście, panie admirale - powiedział Danforth. - Prosimy przyłączyć się do nas.

- Dziękuję - powiedział Lodgers. - Niemal przed chwilą, panowie, dowodziłem tu najbardziej kosztowną i sprawną dziurą w wodzie, jaką świat kiedykolwiek oglądał i bardzo chcielibyśmy zapobiec temu, żeby obecna sytuacja wydarzyła się jeszcze kiedyś ponownie.

- Tak, panie admirale, my także - odpowiedział Danforth. Kapitan Gurney zamknął za sobą drzwi, przeszedł za admirałem przez przednią część pomieszczenia i usiadł obok niego przy końcu stołu.

- Dobrze. A teraz, Rick, kontynuuj, proszę.

- Tak, no cóż, moje wnioski są bardzo podobne do wniosków Barta, z jednym ważnym wyjątkiem. Po złożeniu sprawozdań komandorowi potwierdziłem jego wnioski, że dwa piętra działu nukleoniki doznały uszkodzeń w różnym stopniu. Zaraz wam to pokażę.

Norman przeszedł na przód pomieszczenia, chwycił rulon jednego z wykresów, stojący pod czarną tablicą, rozwinął go tak, żeby wszyscy widzieli i z pomocą Danfortha przymocował go do niej. Wykres, który wybrał, był to profilowy przekrój środkowej części lotniskowca, od podstawy wieży w dół kadłuba. Biorąc laserowy wskaźnik odsunął się nieco od rysunku i skierował czerwony punkt wskaźnika na środek wykresu.

- W tym miejscu, jak wiecie, są rozmieszczone instalacje reaktora z ich urządzeniami pomocniczymi - kontynuował Norman, zakreślając jasną czerwoną kropką trzy główne pola. - Tu wyżej są dwa piętra, zawierające większość wyposażenia kontrolnego. Na piętrze górnym, gdzie umieszczone

są urządzenia podstawowej kontroli dla personelu, wysiadły wszystkie *dramy*, tak jak to opisał Bart. Udało mi się uruchomić je ponownie, ale wszystko się zapętlilo. Całkowicie zablokowane, z niewielką szansą na wyprostowanie. - Przeniósł wskaźnik na drugie piętro. - Tutaj, na niższym piętrze, zostało uszkodzonych tylko kilka płytek obwodów drukowanych. W rzeczywistości, gdyby można było przywrócić sprawność systemów kontrolnych, myślę, że dałoby się osiągnąć pewien stopień sprawności. Na szczęście dla wszystkich na okręcie, awaryjne systemy kontrolne *SCRAM*, awaryjnego zanurzenia prętów reaktora w chłodziwo, są umieszczone na tym piętrze. Pozostały one nieuszkodzone i wyłączyły cały system bez ryzyka. - Norman uśmiechnął się krótko do zgromadzonych i wrócił na swoje miejsce.

- Dziękuję, Rick. Przejdźmy teraz do łączności. Co masz dla nas, Alan? - zapytał Danforth, spoglądając ku lewej stronie pomieszczenia.

- Tu zupełnie podobnie - powiedział Sorbeth. - Wszystkie *chipy* odeszły w przeszłość. Był jednakże pewien zasadniczy wyjątek, który może trochę zagmatwać cały problem. Na pokładzie *George Washingtona* są czterdzieści dwa sieciowe aparaty radiowe, które obsługują wszystko, od ruchu samolotów do kontaktów z ptakami. Używane są do rozmów bezpośrednich, tak z Waszyngtonem jak i z oddziałami liniowymi. Każdy z tych aparatów, przeznaczonych do prowadzenia ważniejszych połączeń, może operować na wszelkich dostępnych kanałach. W czasie ich sprawdzania stwierdziłem, że chociaż wszystkie pasma pracowały, włączając w to *VHF*, *UHF*, pasma dodatkowe i tak dalej, nic nie docierało. Operatorzy nie mogli się włączyć w ich użytkowanie, ponieważ ich filtry wsteczne wysiadły w ten sam sposób, jak opisany wcześniej. Wprawdzie większość aparatów sieciowych pracuje na *presetach*, ale lokalizatory, kompensatory i wzmacniacze, wszystko się przepaliło. Nikt nie mógł z tym czegokolwiek zrobić bez użycia części zamiennych, a jak wiemy, przecież ich nie było. Nawet te odbiorniki w samolotach wyłączyły się z tych samych powodów. One ciągle pracowały, ale nic przez nie nie docierało, ani w jedną ani w drugą stronę. W obecnych czasach nasze warunki eksploatacji stały się tak wyrafinowane i tak wymagające stałej opieki żeby utrzymać intensywność ich eksploatacji na minimalnym, oszczędnym poziomie, że wpakowaliśmy masę roboty, ładując w nie urządzenia zabezpieczające. I w większości, to były te właśnie uproszczenia dla użytkowników, które się powylaçały.

- Proszę mi wybaczyć - powiedział Lodgers. - Ponieważ jestem tylko starym żeglarzem z czasów gumowych recepturek i radia z napędem parowym i ponieważ jakaś część tego elektronicznego języka jest dla mnie niezrozumiała, może ktoś tu zechce powiedzieć to wszystko w takiej odmianie angielskiego, którą mógłbym zrozumieć?

- Oczywiście - powiedział Danforth. - Są zasadniczo dwa rodzaje pamięci, na których pracują wszystkie komputery. Pamięć, *chipy* albo *dramy*, jak je nazywamy, to są małe, silikonowe wyściółki, na których umieszczona jest pamięć. Ta pamięć to albo *preset*, typ, który ma swoją pamięć umieszczoną trwale w *chipie*, układzie scalonym, albo inny typ, taki, który potrzebuje źródła energii z zewnątrz, żeby utrzymać działanie swojej pamięci. Nawet wtedy, gdy sprzęt jest wyłączony, małe baterie, wprowadzone do płytek, podobne do tych które może pan znaleźć w korpusie aparatu fotograficznego ze światłomierzem, utrzymują pamięć w stanie ciepłym, to znaczy aktywnym. To co my tu znajdujemy to to, że wszystkie *dramy* i niektóre z *presetów* były wręcz usmażone, przepaliły się. I chociaż część sprzętu mogła ciągle pracować, dostęp do programów, posługujących się tymi *dramami* był niemożliwy. Wasze radia sieciowe, na przykład, ciągle jeszcze działały, ale głos, który został przetworzony na impulsy elektryczne, nie mógł dojść do aparatu dlatego, że powierzchnie, używane przez tą pamięć i urządzenia sterujące, zostały uszkodzone.

- Dziękuję panu, kapitanie. Proszę kontynuować - powiedział Lodgers.

- Tak jest, sir - odpowiedział Danforth i zwrócił się twarzą do zebranych. - Posłuchajmy teraz komandora Lelliota, zajmującego się radarem.

Wstała teraz biała kurtka w środku sali.

- Jesteśmy teraz znów na pełnym biegu dzięki pomocy Jima i jego załogi. Mieliśmy poważniejsze uszkodzenia, dokładnie takie same jak te, opisane przez innych członków zespołu, jednakże przy użyciu urządzeń pomocniczych, które przywieźliśmy ze sobą, zdołaliśmy ponownie uruchomić wszystkie systemy.

- Miło to słyszeć. Czy jest ktoś jeszcze, kto ma coś do dodania do opisu uszkodzeń? - powiedział Danforth, spoglądając wokół pomieszczenia. - No, dobrze. Nie sądzę, żeby było zbyt wiele wątpliwości co do tego, gdzie powinniśmy szukać. Na rzecz pana admirała przedstawię wstępne uwagi

na ten temat, podsumowując nasze dotychczasowe możliwości. - Zebrani odprężyli się nieco, a Danforth zaczął mówić.

- Kiedy cofniemy się do czasów, gdy komputery były użyte po raz pierwszy do opracowania danych z naszych wczesnych testów nuklearnych, choć były one umieszczane w bezpiecznych bunkrach, o mile od wybuchu, stale się psuły i to w obrębie milisekund od inicjacji wybuchu. Tą energię, pochodzącą z testów, która wypaliła nam *chipy* w naszych komputerach, określiliśmy jako Impuls Elektro-Magnetyczny, *EMP*. Wysokie poziomy *EMP*, wytwarzane w czasie eksplozji nuklearnych, dawały nam powód do zachwytu. Gdybyśmy kiedykolwiek zrzucili coś takiego na siły przeciwnika, rozumowaliśmy, to cała ich elektronika zostałaby zniszczona i to na obszarze znacznie większym, niż zasięg samej siły wybuchu. Jednakże uczucie to było krótkotrwałe, bo uświadomiliśmy sobie z kolei, że gdyby role zostały odwrócone, nasze siły zbrojne i nasza zdolność do komunikowania się między sobą byłby tak samo narażone. Takie uderzenie w jakikolwiek rejon Stanów Zjednoczonych mogłoby spowodować niewiarygodny wręcz poziom uszkodzeń, nie tylko z powodu samego wybuchu czy wysokiego poziomu promieniowania, ale także z tego powodu, że każdy pojedynczy *chip*, którego właśnie używamy do sterowania naszą obroną i systemami łączności, niezbędnymi dla zwalczania ataku wroga, zostanie przecież spalony przez ten *EMP*. Tak więc, pierwszą rzeczą, którą musieliśmy zrobić, to było zaprojektowanie i zbudowanie urządzenia, które mogłoby wytwarzać *EMP* tak, byśmy mogli ustalić kombinację materiałów niezbędną dla takiej osłony naszego sprzętu wojskowego, która by zapewniała utrzymanie jego dalszej pracy w warunkach ataku jądrowego. Zrobiliśmy to. Największy generator, jaki obecnie istnieje, jest aktualnie eksploatowany przez Centrum Badawcze Departamentu Obrony w San Antonio, oraz dowództwo *AFEWC*, elektronicznego centrum działań bojowych lotnictwa wojskowego. Odkryliśmy, że przy pomocy dużych pulsacyjnych pól magnetycznych można wytwarzać *EMP* podobne do tych, emitowanych przez urządzenia nuklearne. Podjęte w wyniku tego ustalenia testy dowiodły, że substancje takie jak złoto, ołów, stal a nawet żeliwo, były w różnym stopniu nieprzepuszczalne dla takich impulsów i wówczas przystąpiliśmy do okrywania tymi materiałami całego naszego czułego wyposażenia w całych naszych siłach zbrojnych tam, gdzie dyktowały to nam stopień czułości sprzętu i stopień jego narażenia, a pozwalały na to koszty. Aż do teraz

utrzymaliśmy dane o tych materiałach w ścisłej tajemnicy, by ustrzec się przed wszelkim takim atakiem.

W tym miejscu Danforth zaczął mówić wolniej, jakby dochodząc do sedna.

- Teraz, jak mi się wydaje, zostaliśmy zaatakowani i ugodzeni przy pomocy impulsu, który przedostał się przez nasze osłony i usmażył nasz sprzęt tak, jakby nasze urządzenia nie miały żadnej ochrony. To, panowie, jest w najwyższym stopniu niepokojące. Jeżeli ktoś odkrył sposób dowolnego pokonywania naszych technik osłonowych, to każdy pojedynczy okręt, samolot i w rzeczywistości każda sztuka naszego sprzętu wojskowego, aż do zwykłego radia polowego, będą teraz bezbronne wobec takiego ataku. Jest to zagrożenie masowe i niszczycielskie i jeżeli nie znajdziemy szybko jakiegoś rozwiązania, to wszyscy będziemy gorączkowo szukali miejsca, gdzie można by się schronić. Jediną moją wątpliwością jest to, że jeśli użyto *EMP*, to wydaje mi się trudne do przyjęcia, że można było zbudować tego typu urządzenie tak małe, by można je transportować samolotem po to, żeby nas kompletnie wyłączyć, nie mówiąc już o tym, że również tak lekkie, żeby można je było załadować do samolotu. - Danforth przerwał na chwilę, jakby próbując wyobrazić sobie taki przyrząd. - Czy ktoś z członków tego zespołu posiada jakąkolwiek informację, która w jakiś sposób staje w sprzeczności z tym scenariuszem *EMP*?

- Ja - powiedział Norman. - Jak już wspominałem wcześniej, w przeciwieństwie do innych działów okazało się, że uszkodzenia w dziale nukleoniki ograniczały się w większości do pierwszego piętra. Na drugim piętrze, gdzie działa większość głównych programów, uszkodzenia były, delikatnie mówiąc, minimalne. W moim przynajmniej rozumieniu, ochrona zapewniona całemu działowi jest jednolita na obydwu piętrach, górnym i dolnym. Czemu więc niższe piętro było mniej narażone?

Bull odezwał się ponownie, ale tym razem pozostał na swoim miejscu. - Ja też muszę tu wspomnieć o pewnych anomaliach. Tam w górze, gdzie obrotnica *Sperry'ego* reguluje stabilność talerza anteny, odkryłem bardzo mało uszkodzeń. Wyłączniki automatyczne wyłączyły się, kiedy główny nadzór zaprzestał nasłuchu. Jak tylko połączenia zostały przywrócone, włączyłem go i wszystko powróciło, czyste i głośne.

- Moje zastrzeżenie jest poważne - powiedział Sorbeth, niemal przezywając. Cała rzecz, gdy chodzi o układy zapasowe *back-up* jest w tym, że powinny one działać nawet przy kompletnej awarii zasilania i czarna

skrzynka, w jaką marynarka wojenna stale wyposaża nawet najnowocześniejsze lotniskowce, takie jak ten, jest jednym z takich urządzeń. Nazywamy ją tak, ponieważ na końcu rzędów aparatów radiowych, umieszczonych w sercu departamentu łączności, znajduje się właśnie taka mała czarna skrzynka. W jej środku znajduje się zwykły aparat nadawczy *Morse'a*. Nie ma *chipów*, wzmacniaczy, filtrów, które pod wpływem takiego ataku mogłyby uniemożliwić jej działanie. Jest to ściśle standardowa sztuka wyposażenia, dokładnie taka sama, w jakie wyposażano statki budowane przed wojną. Kiedy dyżurny komandor zdał sobie sprawę z całkowitej niesprawności swojego działu, wziął doświadczonego sygnalistę i włączył urządzenie alfabetu *Morse'a*, właśnie tak, jak i ja to zrobiłem. I nic. Zupełnie nic. Używając przycisku „przesłuchanie” mogli słyszeć sygnał pochodzący ze słuchawki telefonicznej, ale nic w ramach programu nie powróciło. Ponieważ wzmacniacze także ucierpiały w czasie ataku, więc on je ominął i z pomocą zasilania bateryjnego przeszedł do sygnału prostego. Ciągłe nic. Kiedy po raz pierwszy przybyłem do stanowiska *Morse'a*, natychmiast sprawdziłem, czy ktoś w nim nie grzebał. Porobiłem zdjęcia rurek kablowych i wałków. Nie znalazłem jednak powodów, by cokolwiek podejrzewać. Klucz był sprawny. Poprosiłem operatora, by wysłał coś otwartym tekstem do któregoś z radioamatorów w okolicy. Uczynił to. Nic. Wysłałem nawet prosty *S.O.S.*, i choć mogłem odebrać z zewnątrz masę różnego śmiecia, nie dostałem żadnej odpowiedzi. Mogę wam powiedzieć, że to co mnie najbardziej martwi to to, że jeżeli *EMP* może rozwalić nawet zwykły aparat *Morse'a*, to będziemy wszyscy musieli wrócić do deski kreślarskiej.

- W tym momencie podniosła się młoda kobieta.

- Tak, poruczniku - powiedział Danforth.

- Byłam skierowana na *Norwich* i choć mieli tam uszkodzenia podobne do tych, *Morse* był w pełni sprawny. Jak tylko zostali zaatakowani, zaczęli wysyłać zaszyfrowane wezwanie pomocy i otrzymali natychmiastowe potwierdzenie, że pomoc jest w drodze. Żaden z operatorów nie usłyszał czegokolwiek na używanych kanałach, ale *Morse* przysyłał odpowiedzi w całości i czysto. - Porucznik usiadła.

- Bardzo interesujące. Czy ktoś jeszcze? - zapytał Danforth, spoglądając na tyły pomieszczenia. Po kilku chwilach przerwy, głęboki głos spowodował, że wszyscy się ku niemu odwrócili.

Garry Sharp, oficer łącznikowy zespołu, stał oparty o tylną ścianę. Był wysoki, szczupły, z tą aurą kogoś, kto przez większość życia nauczał na

uniwersytecie. Jego głęboki głos z łatwością wypełnił cały pokój. - I mnie trudno utrzymać pogodę ducha przy rozważaniu przyczyny tych zniszczeń. Rozmiary i kształt tego urządzenia zajmują mnie ogromnie, ale obawiam się, że jakakolwiek hipoteza, którą mógłbym na ten temat wysunąć, byłaby na tym etapie zwyczajnym domysłem. Mógłbym jednak rzucić trochę światła na kilka z zauważalnych w naszej dyskusji sprzeczności, skupiając się szczególnie na kilku dziwnych nieprawidłowościach.

Po pierwsze. Bart wspomniał, że w polu antenowym znalazł kilka obwodów, które pozostały nienaruszone, choć były przecież na zewnątrz okrętu, a więc bardzo wystawione na każdy atak. Jak rozumiem, tych kilka *chipów* było umieszczonych w skrzynce sterującej, zamontowanej bezpośrednio pod obrotnicą, wyjątkowo blisko miejsca, gdzie ulokowane są silniki ją napędzające. Otóż kilka lat temu pracowałem nad projektem Stanforda, kiedy to spędziliśmy ogromną masę czasu, usiłując znaleźć inne materiały, które mogłyby obronić się przed dużymi dawkami *EMP*. I faktycznie kilka znaleźliśmy. Jednakże były one jeszcze trudniej osiągalne, cięższe, bardziej niewygodne i jeszcze droższe niż te, których używamy obecnie. Ale jednym z naszych ubocznych odkryć było to, że jeśli silne pole magnetyczne w fazie zbieżnej było aktywowane w pobliżu tych urządzeń kontrolnych, które zostały przez nas okryte warstwą ochronną, choć samo przez się pole to groziło spowodowaniem uszkodzeń, to takie pola rzeczywiście, w jakiś sposób, rozpraszały nasze testowe impulsy atakujące i powodowały, że niektóre z nich stawały się wręcz nieszkodliwe. Przede wszystkim wyglądało na to, że *EMP* trudniej było przedostać się przez inne lokalne pola niż wtedy, kiedy by ich tam nie było. Sądzę, że mogliśmy wtedy stwierdzić, że pola magnetyczne, wytwarzane przez silniki pracujące blisko urządzeń kontrolnych, mogły w rzeczywistości raczej pomóc uratować je od awarii, aniżeli zwiększyć siłę destrukcyjną atakującego impulsu. - Kapitan Danforth, słuchający uważnie, usiadł. - Te badania na nieszczęście zostały przerwane z powodu ówczesnego braku pieniędzy, choć sądzą, że profesor Adams z Instytutu Technologii w Massachusetts pracuje obecnie nad dalszym badaniem tego odkrycia. - Po drugie - ciągnął Sharp - praca Ricka w dziale nukleoniki pokazała, że reaktory zostały wyłączzone z powodu awarii głównych urządzeń kontrolnych na pierwszym, górnym piętrze, ale awarii takiej, która pozostawiła większość głównych sterowników na drugim, dolnym piętrze w stanie nieuszkodzonym, co na

szczęście dla nas wszystkich pozwoliło im kontynuować ich działanie. No cóż, nie jestem całkowicie przekonany o słuszności swoich wniosków i nie jestem tu po to, by wysuwać wątpliwości wobec któregośkolwiek członka naszego zespołu, szczególnie Ricka, jako że jest on osobą stosunkowo nową w naszej grupie. Ale jeśli sobie dobrze przypominam, w czasie budowy *George Washingtona* było tu kilka uzupełnień projektowych, które zostały skreślone w ostatniej chwili. Jedno z tych uzupełnień, poza i tak już wzmocnioną ochroną ścian, otaczających reaktory na pokładzie tego okrętu, przewidywało dodatkowo podwójną grubość obydwu podłóg bezpośrednio nad reaktorem. Podczas gdy grubość normalna ściany wynosi dwie stopy, dla ścian bezpośredniej strefy ochronnej proponowano pełną grubość czterech stóp, z wyściółką ołowiową i stalowymi wzmocnieniami. Oryginalna dokumentacja przewidywała wbudowanie takich zabezpieczeń jedynie na drugim piętrze. W ostatniej chwili, ponieważ preliminarz wydatków był możliwy do skorygowania, ta wzmocniona strefa ochronna miała zostać rozszerzona na górne piętra. Jednak wprowadzenie tego uzupełnienia, po pierwsze, mogło opóźnić wodowanie, po drugie, ponieważ strefa ochronna była już prawie w połowie ukończona, postanowiono pominąć proponowaną zmianę i budować, zgodnie z podstawową dokumentacją, niższe piętro z pełną ochroną, bo tan jest siłownia, natomiast górne piętro już tej dodatkowej ochrony nie dostało. No i jak możecie teraz zobaczyć, impuls, jeżeli to on był sprawcą, miał właśnie trudności w przeniknięciu do wnętrza dolnego piętra. A z powodu tych pomniejszych środków ochronnych, otaczających górne piętro, może stać się jasne, czemu ono poddało się tak łatwo. Cichy pomruk przeszedł przez pokój.

- I na koniec - powiedział Sharp, zmieniając nieznacznie swą pozycję - ostatnia moja uwaga, która powinna jednak być rozpatrywana jako oparta jedynie na przypuszczeniach, panie admirale. Ja mam tu swój pogląd co do przyczyn awarii aparatu Morse'a.

Admirał Lodgers, który dotychczas służył wszystkiego z pilną uwagą, zdołał po tych słowach Sharpa podnieść nawet jeszcze bardziej poziom swojej koncentracji.

- Wiem że Bart brał wszystko pod uwagę, ale mam dla was pewną myśl. Wiedzieliśmy już od pewnego czasu, że im bardziej te nasze radary stają się czułe i im wyższej są klasy, tym bardziej są podatne na ingerencje z zewnątrz. Emitery i anteny, od których roi się na pokładach okrętów

powierzchniowych wszystkich krajów, są świadectwem tych nieustannie rosnących umiejętności, które każdy może zaobserwować na własnym podwórku i w obrębie działalności wielu innych osób. Nie sądzę, żeby istniał taki technik radarowy, któremu by nie polecono, żeby kompletnie rozebrał swoje urządzenie i wyjaśnił, czemu jego odbiornik stale zamazuje i zdwaja obraz, nawet wtedy, kiedy ten sprzęt jest zupełnie nowy i niedawno zainstalowany. To może również wpływać niekorzystnie na ludzi, ponieważ ich cywilni odpowiednicy, którzy siedzą tylko o parę stóp od nich i nic absolutnie nie robiąc przez cały dzień, otrzymują pensje trzy albo cztery razy wyższe niż otrzymują oni. Tak naprawdę, to wielu z tych techników było kiedyś w Marynarce Wojennej. Myśmy ich wyszkolili, a sektor prywatny ich wykrada. Ten awans do sfery cywilnej ze stałym dalszym pobytem na pokładzie okrętu wojennego, ale już bez podlegania rozkazom czy konieczności noszenia munduru, nie wpływa dobrze na morale. W tej sytuacji, niektórzy operatorzy sprzętu są już tylko po to, żeby podrzucać tym cywilom każdy problem ze swoim urządzeniem, żeby te nieroby zarobiły uczciwie na swoje pobory. Natomiast inni operatorzy uważają, że kiedy tylko mogą sami coś naprawić bez zwracania się o pomoc do swojego cywilnego nadzorca, skwapliwie korzystają z tej szansy, niezależnie od ryzyka. Chociaż sytuacje takie jak te trudno czasami określić ilościowo, było kilka raportów o radarach, zaczynających tracić kontrast, jakby błąd tkwił w samych tych urządzeniach. Nawet cywilni technicy mieli czasem powód do skrobania się w głowę, próbując ustalić przyczynę, szczególnie wtedy, kiedy ci sami cywile mieli swój udział w testowaniu tych urządzeń u producenta a później osobiście nadzorowali ich instalowanie. Tylko że te testy wstępne przeprowadzane są w sterylnym wręcz środowisku, będącym zupełnym przeciwieństwem tego, w którym te urządzenia muszą później podejmować rywalizację ze swoimi sąsiadami, rozmieszczonymi w panelach o parę cali od nich. W tych nowych warunkach personel niektórych okrętów zabiera się do stosowania różnych niekonwencjonalnych, nieoficjalnych procedur ulepszających, by poprawić działanie swojego sprzętu. I sądzę, że nie jest to pierwszy przypadek w tym rejonie, w którym można sugerować ingerencję człowieka.

- Przepraszam, panie Sharp - wtrącił admirał - ale nie dostrzegam, co to ma do czynienia z mechanizmem alfabetu *Morse'a*.

- Zmierzam do tego, sir. Były też dwa inne raporty, w których operator z tak zwanymi najlepszymi intencjami wbił sobie do głowy, że wykona

nawet takie prace, których przeprowadzenie zostałyby przez z nas ocenione jako wręcz karygodne. W rzeczywistości, w jednym z tych przypadków, jednym z dwóch tylko, o których faktycznie doniesiono, starszy oficer dyżurny nie tylko sam pojawił się z takim właśnie pomysłem poprawek, ale polecił swemu najmłodszemu i najbardziej bystremu rekrutowi, żeby to on właśnie, ten rekrut, te prace wykonał. W czasie testów kontrolnych z symulatorami i masztami umieszczonymi na lądzie, posyłamy przecież tam po to odpowiednich techników, żeby właściwie ustawić całe szeregi anten, które mogły zostać uszkodzone przez wiatr, lub uległy jakiejś innej awarii. Kontrolując realizację całej serii wymogów technicznych, które postawiliśmy, szczególnie na okrętach oddawanych ostatecznie do użytku, odkryliśmy, że wiele urządzeń radarowych nie pracowało w obrębie wymaganych parametrów i to z następstwami bardzo podobnymi do zaburzeń, wywołanych warunkami atmosferycznymi. Wynikające stąd dociekania często prowadziły wprost do osoby jakiegoś ochotnika-amatora, dokonującego tych „napraw” poza normalnymi procedurami eksploatacyjnymi. - Jeżeli zgodzimy się z tym, że na pokładzie tego okrętu zaczęło się powszechnie pojawiać zdwojenie obrazu, to jedyną rozsądną rzeczą jest przyjąć, że mogły tu mieć miejsce podobne wydarzenia. Kiedy większość okrętu jest uspiona, operator radaru, z zezwoleniem lub bez zezwolenia na to, żeby samodzielnie ruszył głową, mógłby w czasie jakiejś spokojnej nocnej zmiany cicho opuścić swoje stanowisko, wspiąć się na maszt anteny i ustawić emiter po swojemu. Ale mógłby też przy tym odkryć, że antena używana do przesyłania sygnałów alfabetu *Morse'a* jest umieszczona w taki sposób, że zakłóca potencjał operacyjny jego radaru, bo albo jest umieszczona zbyt blisko, albo w taki sposób, że powoduje odbicia obrazu. I teraz, wszystko co ma do zrobienia nasz spostrzegawczy marynarz, wyposażony w parę kombinerek, to ciachnąć kable anteny *Morse'a* i całkowicie ją oderwać. Bo spójrzmy prawdzie w oczy: kiedy aparat *Morse'a* będzie w ogóle ponownie użyty? A poza tym, to nie jest nawet urządzenie z jego działu. Jeżeli łączność chce sobie utrzymać właściwą sprawność swojego *Morse'a*, to powinna stale go sprawdzać. Kiedy po cichu i rozglądając się wokół, wróci chyłkiem na swoje stanowisko, odkryje z uciechą, że wszystkie jego problemy zniknęły. Zgłaszanie tego problemu w okresie próbnym miało niewielki skutek, lub nie miało go w ogóle, bo efekt zdwajania się obrazu wydawał się występować

jedynie raz na jakiś czas, co już udowodnił Murphy. Ale oto nagle, pewnego dnia, *George Washington* ogłasza alarm „Na stanowiska bojowe” i nasz marynarz zostaje też zablokowany na swoim stanowisku. Kiedy okręt stracił wszelki kontakt, to on wiedział dobrze, że teraz będą na pewno próbowali użyć aparatu *Morse'a*, ale w sytuacji alarmu bojowego nie było sposobu na to, żeby bez opuszczenia tego swojego stanowiska mógł umieścić na swoim miejscu tą wyrwaną przez siebie antenę. No więc trzyma całą sprawę w tajemnicy, szczególnie że nie ma przecież dowodu, że to był właśnie on. Po co się do tego przyznawać? W międzyczasie, w niedalekim oddziale łączności, sfrustrowany dowódca bębni w klucz aparatu *Morse'a* i dochodzi do wniosku, że ponieważ awaria tego aparatu pojawiła się w tym samym czasie jak i we wszystkich innych aparatach radiowych, no to przyczyna awarii musi być ta sama. Jeżeli się nie mylę, panie admirale, to w tej chwili, gdzieś na okręcie albo na dyżurze, albo leżący w swojej koi, jest taki operator radaru, trzęsący się ze strachu, z bardzo długim kawałkiem przewodu antenowego wetkniętym pod materac.

Kapitan Gurney okazał pewien pesymizm. - Czy do tej pory nie mógł się już tego pozbyć?

Gary Sharp był na to pytanie przygotowany. - Mógł nie mieć żadnej szansy. Po pierwsze, mógł on zrealizować swój głupawy pomysł bardzo niedawno, a nawet jeśli nie, to co miał zrobić? Zostać złapany na tym, jak wyrzuca to za burtę? Nie sądzę.

Wśród gwaru, który ogarnął pomieszczenie, wstał kapitan Danforth.

- Bardzo dobrze, Gary, jestem pewien, że możemy znaleźć kogoś, kto pobiegnie na maszt i doraźnie sprawdzi tą teorię pana *Sharpa* - powiedział, rzucając krótkie spojrzenie w kierunku admirała. - Czas wracać do pracy. Jeżeli nie ma innych uwag, to wracajcie, proszę, na stanowiska, a ja będę obchodzić was wszystkich oddzielnie z wizytą przed podjęciem decyzji o dalszym sposobie naszego postępowania. Dziękuję wszystkim, dobra robota.

Danforth zabrał się do zgarniania z powrotem do swej aktówki sterty porozrzucanych przed nim papierów, a reszta zespołu, prowadząc między sobą rozmówki i idąc gęsiego, opuściła pokój.

- Komandorze Danforth - powiedział *Lodgers*, podchodząc wolno do niego. - Czy mogę zadać panu parę pytań?

- Oczywiście, panie admirale.

- Ciągłe jeszcze nie rozumiem, dlaczego wszystkie nasze zapasy uległy także zniszczeniu.

- No cóż, widzi pan, panie admirale, *chipy*, które były nam potrzebne, w większości nie były *presetami*, które muszą być stale zasilane, żeby zachować swoją pamięć. Jak my to określamy, powinny być stale „ciepłe”. Płytki obwodów drukowanych, znajdujące się w pańskim dziale zaopatrzeniowym, były dokładnie takie same. Posiadały małe bateryjki, wprowadzone do tych płytek, żeby zachować ich pamięć, nawet w okresie magazynowania. One zostały ugodzone i zniszczone tak samo, jakby były w użyciu.

- Czy ma pan na myśli to, że komputer może zostać uszkodzony nawet wtedy, kiedy nie jest włączony?

- Dokładnie tak.

- Więc dotyczy to również naszych samolotów? - zapytał Lodgers.

- Z całą pewnością. Ten fakt, że samolot znajdował się na dole w hangarze, niczego nie zmienia. Gdyby znajdował się w nim jakiś *chip*, a przecież wszystkie samoloty je mają, w radiach, radarach, elektronicznych układach sztucznej stateczności i sterowania, to po tym ataku nie miałyby już także zdolności operacyjnej.

- W takim razie - powiedział Lodgers, sądząc że znalazł słaby punkt w tym rozumowaniu - jak udało się nam znaleźć *Horneta*, który działał normalnie?

- Spodziewałem się, że będzie pan tego dochodził, sir. Sam się nad tym zastanawiałem. Otóż, po zbadaniu dokumentacji napraw w warsztacie odkryłem, że jeden z pańskich *Hornetów* przechodził właśnie badanie głównych układów elektronicznych z powodu jakiegoś ich wadliwego działania, zgłaszanego przez pilota. Domyśla się pan zapewne, że to był *Hornet* wyposażony w układ sztucznej stateczności i sterowania. Ponieważ praktycznie cały samolot posługuje się *chipami* do utrzymania swojej zdolności do latania, wszystkie rodzaje płytek są łatwo dostępne i wymienne. Z powodu zgłaszanych przez pilota kłopotów wszystkie pamięci operacyjne zostały z samolotu usunięte dla ich sprawdzenia, a samolot pozostał zupełnie „goły” i pozbawiony wszystkich płytek. Kiedy zmiana zakończyła pracę, wszystkie te płytki zostały odłożone do przewidzianego na takie okazje sejfu, chronionego bardzo grubą warstwą ołowiu, no i to było w sposób oczywisty korzystne dla całej sprawy. Po dokonanym ataku rozkazano waszym technikom sprawdzić wszystkie samoloty. Otworzyli więc sejf,

wsunęli płytki z powrotem na swoje miejsca w *Hornecie* i stwierdzili, że z wyjątkiem urządzeń radiowych, które pozostały na pokładzie samolotu, wszystkie układy natychmiast zadziałały. Początkowo zgłaszany problem z ich działaniem nadal nie został skorygowany, ale w tych okolicznościach został on potraktowany jako drugorzędny.

- Rozumiem. - Lodgers skinął głową z uśmiechem.

- A nawiasem mówiąc, żeby po prostu rozszerzyć to zagadnienie, gdyby miał pan na pokładzie parę starych *Swordfish*, jeszcze z drugiej wojny światowej, pozostałyby one w pełni sprawne przez cały czas i po tym ataku i mogłyby wystartować bez użycia katapult.

- Wiem, ale nie przydałyby się na wiele przeciwko *Migom* - powiedział Lodgers. - A co z przenośnymi aparatami radiowymi, które znaleźliśmy?

- Nieuszkodzone, prosta trwała robota, tylko same *presety*.

- Może powinniśmy dostać ich więcej.

- Być może. A przy okazji - powiedział Danforth - byłbym w równym stopniu zafascynowany tym, by dowiedzieć się, jak udało się panu wystartować tego *Horneta* bez żadnego napędu parowego?

- Poznam pana z naszym bohaterem zanim pan nas opuści. Jak na razie, mamy zamiar wszcząć poszukiwania tego nerwowego technika radaru, a później na chwilę walnąć się do wyrka. Czy będzie się pan kontaktował z admirałem Swansonem z najnowszym raportem o tym wszystkim?

- Tak jest, sir, jak tylko wszystko tu zakończę.

- Dobrze, w takim razie pozostawiam pana z tym.

Lodgers i Gurney poszli na mostek i rozkazali straży morskiej przeprowadzić pełną inspekcję wszystkich pomieszczeń mieszkalnych.

Rozdział Sześćdziesiąty Pierwszy

Port lotniczy Muscat. Złota Foka

09:49 czasu lokalnego (06:49 GMT)

W kierunku wschodnim, już za ostatnimi markerami pasa startowego, około mili od głównego terminalu, na zewnątrz granicznego ogrodzenia, wiła się droga gruntowa. Chociaż miejscami ogrodzenie, mieszanina drewna i drutu kolczastego, wznosiło się wysoko, było oczywiste, że utrzymanie w odpowiednim stanie granic terytorium portu lotniczego nie znajdowało się na czele listy priorytetów jego ochrony. Ten opłakany wygląd ogrodzenia był w dużej mierze spowodowany pełnym samozadowoleniem Omanu do swoich przyjaznych sąsiadów po tej stronie Zatoki. Chociaż państwo to godziło się na to, by lądowały tu samoloty, lecące bezpośrednio z Iranu, umiejętność skrupulatnego nadzorowania przybywających turystów była tak pełna, że spraw grodzienia rejonu hangarów nie uważano już za ważne.

Pośród kurzu i podmuchów piasku, który tego ranka wirował gęsto nad drogą, dobrze zamaskowany autobus szkolny skręcił w prawo i skierował się na południe, ku wielkim hangarom, które zaczęły się teraz przed nim wyłaniać. Za kierownicą tego zakurzonego i steranego pojazdu siedział piętnastoletni chłopiec. Zmagał się z układem sterowania i czuwał jednocześnie nad tym, żeby silnik demonstrował nieprzerwanie swój łomot i kolejne wystrzały. Młody kierowca czynił to nie poprzez delikatne i wprawne manewry ssaniem i pedałem gazu, ale kopniakami i okrzykami w języku arabskim. Jego ciągłe wrzaski były na tyle zabawne dla tych, którzy ukrywali się między siedzeniami, na ile były też denerwujące. Dla tych pasażerów hałas był zdracją, wskaźnikiem miejsca ich pobytu i poruszeń. Ale dla tego chłopca, jak przed około trzydziestu minutami zaopiniował to ich łącznik, była to jedyna metoda, w którą zresztą dzielny młodzieniec święcie wierzył, by nie dopuścić do ostatecznej już dewastacji tego nieszczęsnego pudła, jego jedyne źródła utrzymania.

Autobus wydawał się pusty, ale chłopca podnosił na duchu jego ładunek zatłuszczonych kombinezonów, ukrywających się między siedzeniami. Po raz pierwszy w ogóle wioził kogoś, kto wydawał się być gotowy pomóc

odbudować silnik, gdyby on gdzieś po drodze wyleciał w powietrze. Ale podczas, gdy on był w swoim żywiole, jego ładunek bynajmniej tak się nie czuł. Pasażerowie, drzemący pośród tych wrzasków w obcym języku, wypełniających wnętrze autobusu już tak długo, że wydawało się to wiecznością, zostali nagle ocuceni pewną zmianą. Bo oto, w tym głośnym i pełnym napięcia monologu kierowcy, który pośród swego zaciekłego słownego szturmowania ani na moment nie zająknął się ani zawahał, co Digger opisywał później z przejściem jako najdłuższe, nieprzerwanie trwające arabskie przekleństwo, jakie udało mu się usłyszeć w życiu, nagle zrozumieli wypowiedziany w zwykłym, prostym angielskim języku wyraźny rozkaz: „Czas wysiadać”. Wrzaski powróciły do rodzimego dialektu, a autobus zatrzymał się gwałtownie tuż przy ogrodzeniu, dokładnie w środku rozległego cienia, rzucanego przez hangar.

Digger wetknął w wyciągniętą rękę chłopca zwitek banknotów i członkowie zespołu *Złotej Foki*, tym razem bez Fielding, wysiedli. Zanim jeszcze ostatnia stopa zdołała opuścić smętną resztkę schodków, autobus zaczął znów kaszleć i charczeć, ruszając w swą drogę w pyłe i zostawiając za sobą wielką chmurę niebieskiego dymu.

- Musieliby być ślepi, żeby nie wiedzieć, że tu jesteśmy - mruknął Bill, kiedy przebiegali kilka jardów do ogrodzenia. Ale zanim wskazówka sekundnika zdołała wykonać pełny obrót wokół tarczy, przecięli drut, przeczołgali się pod nim i znaleźli schronienie w tylnych drzwiach hangaru.

Digger zajrzał do środka i dostrzegł wewnątrz parę małych samolotów. Potrząsnął głową, podszedł do tylnej ściany, zerknął za narożnik i pobiegł wzdłuż przejścia pomiędzy ścianą i ogrodzeniem, a reszta deptała mu po piętach. Odległość do następnego hangaru wynosiła około dwudziestu stóp i łatwo ją przebyli. Nie było drzwi z tyłu tego budynku, więc Digger poprowadził zespół wokół jego drugiego końca i do pierwszego napotkanego wejścia. Przez szybę w drzwiach rzucił szybkie spojrzenie do wewnątrz. Tam, zajmując każdy cal przestrzeni, z dziobem już poza hangarem, wypiętrzający się takim ogromem, że wydawał się dotykać dachu, usadowił się *Boeing 747*, z wymalowanymi na kadłubie ogromnymi literami, które tworzyły napis: KOREAN AIRWAYS. Digger pokazał reszcie zespołu kciuki uniesione w górę i spojrzał na zegarek.

- Pięć minut - powiedział.

Dave spojrzał badawczo przez okno, by dostrzec oznaki ruchu. - Czy wiesz może czy to będzie śmigłowiec?

- Nie. Wiem tylko tyle, że zapewnią nam stąd jakiś rodzaj transportu.
- Nie widzę w środku żadnego ruchu - powiedział Buddy.
- Ani ja - zgodził się Digger. - Przydałoby się, żeby światła były zapalone. No dobra, Buddy, wchodźcie z Dave'm do środka i zobaczcie czy mamy warunki do pracy.

Delikatnie otworzyli drzwi i zanim jeszcze weszli do środka, każdy z nich znalazł schronienie za jakimiś wolno stojącymi stojakami. Buddy spojrzął szybko wokół i dostrzegł część biurową. Wewnątrz hangaru, tuż przy głównych drzwiach wejściowych, siedział za biurkiem mechanik, czytając jakiś magazyn. Buddy nie dostrzegł nikogo więcej, więc dał znak Dave'owi, żeby reszta weszła także. Właśnie kiedy rozchodzili się pomiędzy półkami, zadźwięczał dzwonek, nad głowami rozbłyły światła i przez główne wejście zaczęli do hangaru wchodzić ludzie. *Złote Foki* wycofały się w cień i przygotowały do obrony swoich pozycji. Powyciągali z kieszeni większe i mniejsze sztuki broni automatycznej, a Bill i Phil zajęli stanowiska strzeleckie. Digger dostrzegł, zerkając pomiędzy dwiema skrzynkami, że jeden z mechaników zaczął iść w ich kierunku. Bill ukląkł za jakimiś dużymi pudłami, a pozostali poszli w jego ślady. Kroki, stawiane niedbale na twardej cementowej podłodze, stawały się coraz głośniejsze i Bill położył swoją broń na półkę przed sobą. Mechanik stanął na chwilę przy stojaku, po drugiej stronie miejsca gdzie stał Bill, a następnie, stale przeszukując półki, przeszedł naokoło w prawo, za stojak, by zobaczyć nagle przed sobą pochylającego się nad półką Billa. Mechanik otworzył usta, jak gdyby do krzyku, ale nie rozległ się żaden dźwięk, a kiedy mężczyzna osunął się już na ziemię, Phil odłożył na bok kantówkę, grubości dwa na cztery cale. Digger naciągnął na biedaka koc i okrył nim jego ciało, podczas gdy Bill przesunął kilka przedmiotów na dolnej półce, wepchnął na nią nieprzytomnego mechanika i z pomocą Diggera poprzesuwał pudła tak, żeby ukryć ich robotę. Phil był już z powrotem na przedzie, gotowy na przyjęcie następnego gościa, ale na szczęście nikt już nie przyszedł.

W górze, na sześciu tysiącach stóp, dziesięć mil na zachód od lotniska w Muscat, kapitan Robinson odpowiednio przygotowywał swój zupełnie zaściemniony, dwusilnikowy samolot. Pomalowany na kolor wojskowej ciemnej zieleni, nie miał siedzeń pasażerskich poza paroma specjalnymi, w górnej części, tuż za kabiną pilota.

- Puść trochę dymu z lewej burty - powiedział pilot.

- Wypuszczam dym - potwierdził jego drugi pilot, a Robinson włączył lokalną częstotliwość.

- Kapitan Robinson z Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych wzywa Muscat. Odezwijcie się, proszę. - Głośnik trzeszczał przez chwilę, a następnie odezwał się dość służbisty głos, którego angielski przedstawiał co nieco do życzenia.

- Proszę bardzo, Amerykanin, słuchamy.

- W czasie naszego lotu do Bahrajnu zaczął się przegrzewać silnik. Mamy czterech pasażerów i prosimy o zezwolenie na lądowanie.

- Nie, Amerykanin, nie mamy zezwolenia żeby ci dać do lądowania w tym czasie.

Po twarzy Robinsona przemknął uśmiech. - Jesteśmy tylko na jednym silniku, żądamy natychmiastowego zezwolenia na lądowanie.

- Nie, Amerykanin, nie mamy zezwolenia żeby dać ci do lądowania. Ty urażasz nasz wzorzec i musisz opuścić ten teren.

- Czy my wylądujemy na pasie startowym czy rąbniemy w wasz terminal, to zależy od was, a wasze lotnisko jest tu jedynym bezpiecznym terenem do lądowania, więc lądujemy, czy chcecie nas czy nie - powiedział pilot tak gniewnie, jak tylko potrafił.

- Łamiecie przestrzeń powietrzną, którą my ograniczamy. Nie macie zezwolenia do lądowania! - Głos przybierał wyraźny ton desperacji. - Moment, proszę, podczas gdy ja sprawdzę z moimi przełożonymi.

- Słuchaj, Muscat. Nie wylądujemy w pobliżu żadnego z budynków waszego terminalu. Wszystko, czego potrzebujemy, to wylądować, dokończyć kilku drobnych napraw, które możemy przeprowadzić sami i natychmiast ponownie wystartować.

- Naprawić sami?

- Tak, naprawić sami.

- A jak długo by ta naprawa zabierała? - powiedział głos, odrobinę się odprężając.

- Około dziesięciu minut. To przeciek oleju. Musimy tylko wymienić uszczelkę olejową i wracamy na naszą trasę. Jeżeli chcesz wysłać kilka wozów, żeby nas popilnować, to nie ma sprawy. No więc, czy wreszcie dostaniemy to zezwolenie czy nie?! - Robinson podniósł na końcu głos do krzyku. Czekał na odpowiedź radiową, wypuścił wydłużone podwozie i ustawił maszynę w jednej linii z pasem, leżącym najbliżej głównych budynków.

- Amerykanin, tu port lotniczy Muscat. Możesz lądować w prawym

pasie. Nasz samochód, co ma specjalne znaki, będzie przewodził wam do okolicy napraw. Naprawicie i wtedy znowu będziecie startować, tak?

- Absolutnie tak. Powiedz tylko swoim ludziom, żeby trzymali się w pewnej odległości od samolotu. Silnik jest bardzo rozpalony i w każdej chwili może eksplodować.

- Pan naraża na zagrożenie ognia, kapitanie?

- Nie, jeżeli tylko zostawicie nas w spokoju - powiedział Robinson, próbując zademonstrować własną odmianę uczucia ulgi. Dym wydobywał się z lewego wylotu powietrza, a pilot sprowadzał swoją maszynę w kierunku pasa, czyniąc to z bardzo widocznymi trudnościami. Obydwa wirniki stale się obracały, ale lewe skrzydło opadło, podniosło się i znów wyrównało. Następnie lewe skrzydło opadło ponownie, a wahania te trwały przez całą drogę w dół do betonowego pasa. Długie, rozbudowane podwozie dotknęło pasa raz i drugi, następnie osiadło w końcu pełnym ciężarem, włączone zostały hamulce, a ogromne łopaty zaczęły zwalniać, aż do biegu jałowego. Przed nimi pojawił się samochód z wielkim, czerwonym, pulsującym światłem i Robinson skierował maszynę w prawo, posuwając się za samochodem z powrotem, w kierunku rzędu hangarów na południowo-wschodnim końcu lotniska.

Zanim ten samolot pasażerski krótkiego zasięgu, z dymem stale wydobywającym się spod osłony silnika, zatrzymał się przed ogromnymi drzwiami, większość personelu technicznego, zatrudnionego wewnątrz hangarów, wyszła na zewnątrz, by obserwować całą akcję. I wtedy właśnie *Złota Foka* skorzystała z okazji. Digger i Buddy, mając stale na oku stojące z przodu biurko, podeszli szybko do stopni, prowadzących do tylnego wyjścia *Boeinga*. Obydwaj pospiesznie wspięli się po schodkach, zajrzeli do wnętrza by sprawdzić czy nie ma nikogo na pokładzie i ruszyli dalej, do klasy turystycznej. Przeszukanie samolotu zajęło im dwie minuty. Ani sekcja kuchenna ani cały samolot nie były sprzątane od czasu, kiedy byli tu ostatnio pasażerowie i obsługa. Resztki papieru, kartony mleka, małe puszki napojów bezalkoholowych i serwetki zaśmiecały fotele i podłogę. W kabinie pierwszej klasy było jeszcze gorzej. Kiedy Digger zaczął przechodzić z powrotem w kierunku drzwi, Buddy właśnie zszedł na dół z saloniku.

- Ależ tam na górze jest bałagan - powiedział Buddy.

- Wyobrażam sobie. Widziałeś uszkodzenia od ognia, kiedy tu weszliśmy?

- Tak. - Digger wyszedł za Buddym przez tylne drzwi i zszedł po

schodkach ponownie na beton. W ciemnościach, na obrzeżach samolotu, ich koledzy obserwowali przód i tył hangaru. Wszyscy z wyjątkiem jednego. Chancey, całkowicie teraz widoczny od strony głównych drzwi, stał w połowie drabinki, badając dotykiem wnętrze luku konserwacyjnego prawego wewnętrznego silnika. Buddy odnalazł schodki, stojące pod największym wejściem do luku bagażowego. Wielkie drzwi ponad nimi były otwarte i zablokowane, więc weszli do wewnątrz. Wszelkie bagaże i ładunek, które mogły być w samolocie, zostały zabrane. Podzielone ściankami przedziały bagażowe były na całej długości puste.

- Sprawdź tu wszystko, cokolwiek znajdziesz - powiedział Digger patrząc na boczną ścianę tuż przy drzwiach. Zrobił kilka kroków do przełącznika na ścianie, który od wewnątrz sterował ruchami drzwi, a Buddy przeszukiwał powierzchnię podłogi. Pokrywa przełącznika została usunięta i tu, pomiędzy dwiema końcówkami przewodów założony był mały kawałek miedzianego drutu. Digger wyciągnął z kieszeni miniaturowy aparat fotograficzny i wykonał w zbliżeniu kilka zdjęć przełącznika. Ukląkł przy krawędzi drzwi i zaczął sprawdzać palcami miejsce, gdzie uszczelka drzwi wystawała poza krawędź ich ościeżnicy. Jakby wiedział gdzie szukać, Digger przesunął palce wokół dolnego narożnika uszczelki. Nagle natrafił na coś i spojrzał badawczo w dół, by zobaczyć co to było. Do wewnętrznego brzegu wyżłobienia, w które wsuwały się drzwi, przyklejony był kawałek taśmy. Digger wstał i dostrzegł Buddy'ego, gotowego już do wyjścia.

- Znalazłeś coś? powiedział Digger.

- Tylko oderwany kawałek koca, rączkę od walizki i mały kawałek pokręconego węża - odpowiedział Buddy, wyciągając rękę. - To mogła być część aparatu oddechowego.

- Świetnie, chłopie, a teraz zabierajmy się stąd. - Digger zszedł za Buddym po schodkach i zrobił kilka szybkich kroków w kierunku segmentów z półkami. Phil wynurzył się z cienia i podniósł kciuki właśnie w chwili, kiedy cicho i miękko podszedł do nich Chancey.

- Mamy towarzystwo - wyszeptał Chancey, bo właśnie kilku robotników, którzy zrezygnowali z interesującej obserwacji na zewnątrz, zaczęło wolno wracać do hangaru.

- Udało się? - zaszeptał Digger i Chancey wyciągnął ku niemu mały, okrągły cylinder z dołączonym urządzeniem sterującym.

- Dobra, idziemy. - Podbiegli do stołów warsztatowych i każdy z nich chwycił jakieś narzędzie spomiędzy setek, porzrzucanych wokół. Przegrupowali się na środku hangaru i zaczęli swobodnie i bez pośpiechu

wychodzić głównymi drzwiami, tuż obok miejscowych ludzi, w kierunku naprawianej dwusilnikowej maszyny. Jakiś członek załogi samolotu, stojący na zewnątrz na skrzydle, dostrzegł ich nadchodzących, wrócił do kadłuba i zaraz zaczęły startować obydwie silniki. Otworzyły się wielkie boczne drzwi. Grupa Diggera, powstrzymując swe pragnienie poderwania się do biegu, nadal szła w ich kierunku wolnym, niedbałym krokiem, kiedy z lewego silnika maszyny, do której się zbliżali, zaczął buchać dym. Dwa wielkie samochody ciężarowe pojawiły się nagle znikąd i zatrzymały się wprost przed i za samolotem, blokując go kompletnie.

- Jazda! - krzyknął głos w drzwiach, a silniki zaczęły wchodzić na coraz wyższe obroty.

Digger pierwszy rzucił się sprintem do sznurowej drabinki, a reszta poszła za jego przykładem. Wspiął się do góry i wrzasnął w kierunku niecierpliwych ramion, pomagających mu dostać się na pokład.

- Co do diabła teraz zrobimy? Jesteśmy całkowicie zablokowani.

- Wiem, ale świetnie, co? - nadeszła odpowiedź.

Reszta *Złotych Fok* szybko dostała się na pokład, z Buddym na końcu.

- Wszyscy na pokładzie, kapitanie - krzyknął w swój mikrofon członek załogi i następnie krzyknął do grupy - a teraz na ziemię i trzymać się mocno.

Zrobili to i chwycili się rozpórek ściennych. Digger ocenił sytuację, podniósł się na kolana, wyrzwał szybko przez jedno z okien, dostrzegł, że otaczające ich pojazdy są tuż, tuż i zrobił kilka kroków w kierunku kabiny pilotów. Teraz ogromne łopaty śmigieł zaczęły się rozkręcać na dobre, a cały samolot zaczął się trząść.

- Ja to rozumiem, Muscat - powiedział głośno pilot - ale myśmy skończyli już naprawę i nalegamy, żebyście dali nam zgodę na odlot.

- Mamy towarzystwo! - wrzasnął nawigator - broń szturmowa, całe podwórko!

- Dawaj dym! - rozkazał kapitan.

- Tak jest, dym - potwierdził drugi pilot. Digger wyrzwał przez lewe okienko. Chmury dymu zaczęły buchać gdzieś spod skrzydeł, ale ciężarówka nie poruszyła się. W niedużej już odległości pięć czy sześć uzbrojonych transporterów piechoty pędziło po trawie w ich kierunku, szybko się zbliżając. Digger sięgnął po broń. „Jeżeli te ciężarówki nie ruszą się w przeciagu następnych trzydziestu sekund”, pomyślał, „wtedy ta cała gimnastyka zamieni się w masakrę”. Poczul dłoń na swoim ramieniu.

- Wyluzuj się - powiedział głos. Digger odwrócił się i zobaczył czwartego członka załogi, uśmiechającego się do niego szeroko. - Panujemy w pełni nad tym kramem.

Digger ponownie wyrzał przez okno. Poprzez dym i opary spalin dostrzegł jak silnik, umieszczony na końcu skrzydła, zaczął nagle odwracać się ku górze. Wibracja i hałas zwiększyły się do ogłupiającego poziomu. Przeszedł na prawą burtę i zobaczył, że drugi silnik także odwrócił się i celował teraz prawie pionowo w górę. Ton pracy łopat zmienił się i samolot wyskoczył z pasa pionowo w górę, rzucając Diggera na kolana. Prawie natychmiast silniki zaczęły ponownie odchyłać się wolno od pionu, a samolot zaczął zdobywać wysokość i uzyskiwać ruch do przodu. Digger wstał i ponownie dołączył do załogi.

- Dziesięć węzłów. - Drugi pilot odczytywał głośno prędkość lotu i manipulował kątem ustawienia silników. - Dwadzieścia węzłów... trzydzieści... pięćdziesiąt... osiemdziesiąt. Silniki były teraz ustawione pod kątem czterdziestu pięciu stopni. - Sto węzłów. - Digger powrócił do okna żeby zobaczyć co się działo poniżej, ale wszystko, co mógł dojrzeć przez smugi dymu, stale tryskające spod skrzydeł, to kilka małych kropek, rozrzuconych nieregularnie na powierzchni lotniska, więc ruszył z powrotem do przodu.

- Tu *Eagle jeden do Fat Cat, Eagle One do Fat Cat*- powiedział pilot.

- Sto dwadzieścia - kontynuował drugi pilot.

- Zrozumiałem, *Fat Cat*. Mamy wszystkie osiem sztuk bagażu na pokładzie i opuściliśmy lotnisko. Przypuszczalny czas przylotu dwanaście-zero-zero.

Digger zwrócił się do nawigatora. - Nie wiedziałem, żeby któryś z *Osprey'ów* był już w gotowości bojowej - powiedział, usiłując przekrzyczeć hałas.

Nawigator spojrzął w górę i przesunął słuchawki na hełm. - My też nie - odpowiedział z uśmiechem. - W pewnym momencie przeprowadzaliśmy kilka ćwiczeń na Bliskim Wschodzie, mając nadzieję uzyskać kilka rozkazów dla tego cuda, a już w następnym polecono nam przylecieć tu po was.

- Ale nie myślałem, że *Osprey* może lądować konwencjonalnie!

- Zanim zaczęliśmy nasz lot po was, to chłopaki, jeszcze w domu, zamontowali takie wydłużone podwozie na wypadek, gdybyśmy musieli lądować bez odwracania silników.

- No cóż, to z pewnością zmyliło naszych przyjaciół w Muscat.
- No, myślę, że mogło.
- Ale wiesz, chłopie, mogło się zrobić naprawdę paskudnie - powiedział Digger.

- Nie, niespecjalnie. Omańczycy mogą zazdrośnie strzec swojej przestrzeni powietrznej, ale są z gruntu przyjaźnie nastawieni do Stanów Zjednoczonych i nie są tacy skorzy do otwierania ognia, przynajmniej tak nam powiedziano na odprawie. Nie wierzę, żeby w Pentagonie zaaprobowali tą misję, gdyby sądzili, że mogą stracić tą maszynę od ognia jakiejś drobnej broni. To jedyny egzemplarz, jaki mamy.

- No cóż, dla mnie ta mała impreza wyglądała na dość ryzykowną.

- Eee, to tylko ten stary rozrabiaka za sterami trochę się popisuje. Umierał z chęci zademonstrowania wam wartości tej maszyny.

Właśnie w tej chwili dołączyli do nich Buddy, Phil i pozostali.

- Hej, co za historia - powiedział Buddy, poklepując nawigatora po ramieniu. - I co powiesz, Dig, czy nie powinniśmy dostać takiej maszyny?

- Pewnie! - Digger odwrócił się twarzą do załogi i powiedział - Extra, chłopaki! - i *Złote Foki* zaczęły z zapalem bić im brawo.

Rozdział Sześćdziesiąty Drugi

Zatoka Perska. USNS La Salle C-430

10:31 czasu lokalnego (07:31 GMT)

La Salle zakończyła właśnie manewry dokowania w basenie portowym marynarki wojennej w Bahrajnie. Przeważająca większość załogi zgromadziła się na pokładzie rufowym. Trwały właśnie przygotowania do uniesienia wydobytego z dna *Fulcruma* i kilku marynarzy pokładowych szykowało liny, żeby opleść nimi kadłub rozbitej maszyny. Wielki dźwig portowy przesunął się właśnie nad rufę, kiedy jeden z marynarzy poślizgnął się. Przesuwał się po szczycie kadłuba od części ogonowej ku przodowi, w pewnym momencie stracił równowagę i spadł na znajdujące się poniżej skrzydło. Nie doznał poważniejszych obrażeń, ale w czasie, kiedy się nim zajęto, porucznik Greenman, który był świadkiem tego upadku, wspiał się na skrzydło i zaczął badać miejsce, w którym marynarz stracił równowagę. Ze zdziwieniem odkrył, że miejsce to nie było ani wilgotne ani zatłuszczone, miało natomiast nieco lepką konsystencję. Krzyknął, żeby ktoś podał mu szczotkę podobną do tych, które używa się do szorowania pokładu. Kapitan Connolly, który nadbiegł, żeby sprawdzić stan swojego marynarza, krzyknął do porucznika.

- Co pan tam robi, Greenman?
- Sprawdzam coś, co mnie cały czas niepokoiło, sir.
- Co to takiego, poruczniku?
- Nie jestem pewien, sir, ale sądzę, że mamy tu problem - odpowiedział Greenman. - Niepokoiło mnie to przez cały ten czas, ale teraz sądzę, że wiem już, co to jest.

Kiedy ofierze wypadku pomagano w zejściu ze skrzydła samolotu, pojawiła się żądana szczotka. Greenman chwycił ją i zaczął szorować powierzchnię kadłuba tuż przy podstawie skrzydła, gdzie namalowano symbol sił powietrznych.

- Sir - krzyknął do Connolly'ego - sądzę, że wiem już, na czym on się poślizgnął. To nie była morska woda czy olej, to farba! - I w miarę jak Greenman kontynuował szorowanie w okolicy kolistych emblematów Irańskich Sił Powietrznych, farba zaczęła złazić.

- Patrzcie - krzyknął - wiedziałem, że coś jest nie w porządku z tą kupą szmelcu. - Im więcej szorował, tym szybciej znikwały koliste znaki, odsłaniając znajdujący się pod spodem inny zestaw oznaczeń.

- Te znaki na wierzchu pokrywały będący pod spodem zestaw pierwotny. Wygląda na to, że ktoś tu pracował w pośpiechu. - Kiedy Greenman szorował dalej, koła zeszyły całkowicie, odsłaniając zielony trójkąt. Spojrzał w dół na kapitana, ale ten już zniknął. Był już z powrotem w dziale łączności, telefonując do swego głównodowodzącego.

- Tak jest, sir. Nie muszę sprawdzać w książce. W swoim czasie widziałem ich wystarczająco wiele. To prawdopodobnie z powodu kontaktu ze słoną wodą te emblematy zaczęły się złuszczać... Dziękuję, sir, ale to porucznik Greenman pierwszy zauważył tę niezgodność... Tak jest, sir. Nie ma wątpliwości, oryginalne emblematy właściciela znajdowały się pod spodem. To całkowicie jasne, sir. To jest iracki *Mig*, a nie irański.

Rozdział Sześćdziesiąty Trzeci

Washington D.C. Pentagon

01:40 czasu lokalnego (07:40 GMT)

Zespół doradczy marynarki wojennej spotkał się ponownie w biurze admirała Swansona, wszyscy z wyjątkiem gospodarza. Admirał Walters siedział u szczytu stołu, a omawiano treść najświeższych raportów.

Walters rozejrzał się wokół stołu.

- Pat proszę mnie, żebym przejrzał z wami nowości i zebrał wasze uwagi. Zakładam, że wszyscy wiecie już o odkryciach?

- Mały kawałek koca i gumowego węża?! - powiedział Crow, kręcąc głową. - Posyłacie zespół *Fok*, żeby się włamał do omańskiego portu lotniczego, ponosząc ryzyko, że cała ta sprawa wybuchnie nam w twarz i wszystko coście znaleźli, to kawałek koca i mały odcinek gumowej rurki?

- Spokojnie, Will - powiedział Walters - nic nam w twarz nie wybuchnie. A poza tym, to wszystko było uzgodnione z twoimi przełożonymi i ja osobiście sądzę, że nasi chłopcy spisali się świetnie. Ale zabierajmy się do roboty. Ktoś majstrował przy przełączniku. Założony był tam prosty mostek, który umożliwiał facetowi otwarcie drzwi w czasie trwania lotu. A rurka mogła pochodzić z przenośnego aparatu tlenowego. Chłopcy odkryli także obecność urządzenia wybuchowego wewnątrz jednego z silników. Zanim zajmiemy się tą sprawą bardziej szczegółowo, czy są jakieś wiadomości z Kairu, Will?

- Istotnie, były - powiedział Crow. - Koreański -747 faktycznie wyleciał z opóźnieniem około dziesięciu minut. Miał na pokładzie pełny stan załogi i dwustu trzydziestu jeden pasażerów. Choć nikt na stanowisku załadunkowym nie dostrzegł niczego niezwykłego, jeden z raportów kontroli ruchu sugerował, że w ich opinii samolot wykorzystał każdy cal pasa startowego i następnie jeszcze trochę, żeby wreszcie wznieść się w powietrze.

- No dobrze - powiedział Walters. - Przypuśćmy więc, że na pokładzie był ktoś z takim urządzeniem. Rozważmy przede wszystkim, dlaczego samolot miałby schodzić tak daleko z kursu, kiedy jego wyjściowy plan lotu prowadził go tak blisko *Grupy Szóstej*?

- Nie wiem - powiedział Bradley. - Ale, co więcej, jak on mógł dokonać takiego wyczynu?

- Nie rozumiem cię - powiedział Walters.

- Powiedzmy, że ten facet, lub faceci, zdołali załadować to urządzenie do samolotu i zabrać się na gapę bez zwracania czyjejkolwiek uwagi. I powiedzmy także, że udało się im umieścić jakieś urządzenia zapalające w którejś z silnikowych gondoli. W jaki sposób mogli się oni upewnić, że samolot przelatuje właśnie dokładnie nad okrętami floty? Mam na myśli to, że jakby nie dość trudno było w to wszystko uwierzyć, to jeszcze ewentualne przeciwności, jakie ich czekały przy próbie przelotu bezpośrednio nad *Grupą Szóstą* były w każdych okolicznościach zbyt duże, żeby można było przejść nad nimi do porządku, szczególnie, że nikt z nich nie mógł przecież z wyprzedzeniem wiedzieć, że *Grupa* przesunie się dalej na północ. I kiedy to wszystko porównacie z aktualną trasą lotu, to ta cała wersja nie może być już dalsza od prawdy. Samolot nie tylko nie zbliżał się do *Grupy Szóstej*, ale jeszcze zboczył nad ziemię niczyją i w konsekwencji o mało nie został zestrzelony.

- No cóż, jasne jest, że sprawy nie szły zgodnie z planem - powiedział sarkastycznie Pruitt.

- No dobrze - powiedział Leemer - więc przedyskutujmy ten plan. Skąd oni mieli wiedzieć, że są blisko *Grupy*? Jaki był sens pakować się w te wszystkie kłopoty, polegając jedynie na tak lichym planie? Przypuśćmy, że nigdy nawet nie zbliżą się do *Grupy*, co wtedy zrobią? Przerwą wykonanie zadania i spróbują innego dnia? Nadzieja, że uda się im obniżyć wysokość lotu samolotu o kilka tysięcy stóp przez podłożenie ognia do kilku silników jest dla mnie zbyt daleko posunięta. Zgadzam się z Bradem; cała rzecz wygląda absurdalnie.

- Jednej rzeczy nie mogę pojąć - powiedział Crow. - Jakim sposobem po tym wszystkim co poszło źle z samym lotem i tak udało im się ostatecznie osiągnąć swój cel. O rany, ci mieli szczęście!

- Nie wiemy na pewno czy -747 był w to w ogóle wmieszany - upierał się Walters.

- Jak powiedziałem, mieli szczęście.

Walters nie był przekonany. - Czy jest możliwe, że przedmioty znalezione na pokładzie leżały tam przypadkowo?

- Na pewno nie - odpowiedział Crow. - Ci faceci dobrze wiedzieli, co robią.

- No dobra, więc co robili? - zapytał Bradley.

- Wypchnęli to przez drzwi, a następnie, on albo oni, wyskoczyli - kontynuował Crow.

- Wyskoczyli? To by ich wpakowało prosto w sam środek floty!

Crow starał się teraz bardzo, żeby pozostać logicznym w swoich wywodach.

- Oni nie wyskoczyli od razu. Czekali, aż samolot minie flotę i zbliży się do brzegu.

Tu wmieszał się Pruitt. - Pamiętacie raporty o *Migach*, latających chwilę później w tą i z powrotem wzdłuż wybrzeża, oni mogli ich szukać ich właśnie.

- W *Migu*? - zapytał Walters.

- No nie, ale mogli przynajmniej ustalić ich położenie.

- Dość niebezpieczne, nie sądzicie? - zapytał Bradley. - Czy możecie sobie wyobrazić, jak ktoś otwiera drzwi przy tej szybkości? Turbulencja wdmuchnęła by go wprost w ogon. A zupełnie nie mogę sobie wyobrazić, jak wypychają to coś ręcznie przez drzwi.

- No dobra, to było ich czterech, albo pięciu - zgodził się Leemer.

- Co za różnica? Mogło być dla nich możliwe wypchnąć to przez drzwi, a później wyskoczyć.

- Chwileczkę - powiedział Bradley. - Jak zamknęli drzwi?

Crow kontynuował. - Zamykanie drzwi musi trwać przynajmniej dziesięć sekund, więc ostatni po prostu przekreślił przełącznik i wyskoczył.

- Ale otwarte drzwi musiały powodować straszny opór - nalegał Bradley. - Pilot musiał wiedzieć, że coś jest nie w porządku.

- Tak - powiedział Crow. - Ale samolot kierował się już i tak na lotnisko, a pilot i załoga byli tak zajęci radzeniem sobie z ogniem i panowaniem nad maszyną, że mogli nawet nie być w stanie dostrzec różnicy.

Właśnie w tym momencie na biurku Swansona zadzwonił telefon. John Latchkey wstał od swoich notatek i odebrał go.

- Wszystko co chcę powiedzieć - kontynuował Crow - to jedynie to, że jest to możliwe. To za duży zbieg okoliczności, żeby on przypadkowo znalazł się tam, dokładnie nad flotą i to w momencie, kiedy została zaatakowana.

Komandor Latchkey, skończywszy telefoniczną rozmowę, podszedł do admirała Waltersa.

- Proszę mi wybaczyć, że przerywam, sir, ale to był gabinet generała Wilsona.

- No i? - zapytał Walters, odwracając się ku niemu.
- Wydaje się, że powstał pewien problem z tym *Migiem*, który *La Salle* wyłowiła wcześniej dzisiaj.
- Tylko nie mów mi, że go straciliśmy? - wtrącił się Leemer.
- Nie, sir. Po prostu odkryliśmy, że farba tego *Miga* jest trochę podejrzana. Wygląda na to, że Irańskie Siły Powietrzne nie były jego prawdziwym właścicielem. Pod warstwą świeżej farby znaleźliśmy emblematy Sił Powietrznych Iraku.
- Chyba żartujesz! - wykrzyknął Walters. Reszta siedziała, słuchając z niedowierzaniem.
- Nie, panie admirale. To zostało potwierdzone - odpowiedział Latchkey.
- Czy Pat wie o tym?
- Nie sądzę, sir. To właśnie był cel tego telefonu.
- No to, gdziekolwiek jest, znajdź go i przekaż mu natychmiast tę informację.
- Tak jest, sir - powiedział Latchkey, wychodząc do swego gabinetu.
- Dobry Boże! - powiedział Bradley, pochylając się do przodu w swym fotelu.
- Wiecie co to oznacza, prawda? - powiedział Crow. - To znaczy, że przez cały ten czas robiono z nas durniów.

Leemer odpowiedział na to szybko, jakby chciał zagasić ogień.

- Niekoniecznie. Wielu irackich pilotów uciekało z własnego kraju, szukając politycznego azylu w Iranie i płacąc za to prezentem w postaci swojego *Miga*. Irańczycy dokonywali wtedy zamiany transponderów, radar określał, że ten nowy nabytek to samolot irański i w efekcie wychodziło na to, że mieli za darmo jeszcze jednego *Miga* do dyspozycji.

- A więc nie możemy przyjmować tej wiadomości jako przełomowy sukces wywiadu?

- Zgadza się.

Walters nie był przekonany.

- Czy to potwierdza wszystkie nasze dotychczasowe podejrzenia?

Leemer kontynuował: - Na to mi wygląda. Ale nie ma pewnego dowodu na to, że ta informacja może zmienić całkowicie nasz sposób myślenia.

- No dobrze, ponieważ przedyskutowaliśmy nasze wyjściowe zapatorywania na sprawę i nakreśliliśmy wnioski, z którymi praktycznie wszyscy się zgadzamy, przedyskutujmy jeszcze krótko następującą alternatywę:

przypuśćmy, że ten samolot jest rzeczywiście iracki. Przypuśćmy, że to Irakijczycy zaatakowali konwój. To co z *Grupą Szóstą*? - zapytał Walters. Crow rzucił swoje pióro na stół. - A może to właśnie dopiero teraz zaczyna się wszystko sensownie układać? Irańczycy przez jakiś czas lecieli za tymi dwoma *Fulcrumami*, ponieważ nie mogli ostatecznie ustalić, co to za jedne.

- Ale urzędnicy *IFF* wskazywały, że to były samoloty irańskie? - powiedział Walters.

- Tak. Irakijczycy przypuszczalnie dawno temu zwędzili takie urządzenie z zestrzelonego irańskiego *Miga*.

- No więc, jestem zadowolony, że rozważamy teraz i taką możliwość - powiedział Walters z pewną ulgą. - Natychmiast po ataku na *Grupę Szóstą*, Narodowa Rada Bezpieczeństwa nakazała, by eskadra *B-1C* poleciała z Niemiec do Bahrajnu, jako pokaz siły wobec Irańczyków, no, ale teraz tu ten pasztet. Może będziemy musieli przygotować się na to, żeby tu wrócić i w końcu wykończyć tych Irakijczyków.

John Latchkey wszedł ponownie do pomieszczenia.

- Sir, wysłałem wiadomość do admirała Swansona w związku z irackim *Migiem* i podczas kiedy byłem przy telefonie, przyszło to memorandum. Jest ono poufne, jedynie do wiadomości admirała.

- Proszę mi to dać. - Walters wziął zapieczętowaną kopertę, otworzył ją i czytał uważnie, a reszta grupy pochyliła się do przodu w oczekiwaniu. Po chwili ciszy oczy Waltersa czytającego dokument zaczęły się rozszerzać. I nagle admirał krzyknął.

- Co takiego?!

- Co jest? - zapytał niespokojnie Bradley.

Walters odchrząknął. - To jest część memorandum, wysłanego przez zastępcę szefa biura *CIA* w Connecticut do jego dyrektora, datowanego ponad miesiąc temu. Oto jego treść:

„W związku z projektem *EXEMPT* mogę teraz potwierdzić, że urządzenie to może przenikać materiały utwardzane obecnymi metodami i próby, których pan sobie życzył, będą realizowane zgodnie z planem. Dostawca tego urządzenia w Connecticut wypełnił pańskie wymogi bezpieczeństwa co do joty i oczekuje teraz trzeciej raty płatności”.

- Masz na myśli, że ta rzecz została opracowana w Stanach Zjednoczonych? - wykrzyknął zdumiony Bradley.

- Z pewnością na to wygląda - powiedział Walters, rzucając z obrzydzeniem papier na stół. - A co więcej, wiedzieliśmy już o tym od pewnego czasu! Panie Crow, o tym odkryciu poinformuję natychmiast Narodową Radę Bezpieczeństwa, zakładając, że oni jeszcze o tym nie wiedzą, a gdybym był na pańskim miejscu, odnalazłbym wszystko, co tylko pańska Agencja wie o tym urzędzeniu i dostarczyłbym to na moje biurko w czasie nie dłuższym niż czterdzieści pięć minut. No, rusz się pan!

- Tak jest, panie admirale - powiedział zmieszany Crow i pośpiesznie opuścił pokój.

- Reszta z nas spotka się tutaj ponownie na jeszcze jedno omówienie tej sprawy, zanim uda się nam chwilę przespać. John, połącz mnie telefonicznie z admirałem Moreheadem. Muszę zaraz spotkać się z nim. I połącz mnie z Pat'em. Musimy porozmawiać.

Rozdział Sześćdziesiąty Czwarty

Zatoka Perska. Baza lotnicza w Bahrajnie

10:56 czasu lokalnego (07:56 GMT)

Z wyjątkiem tych na służbie w dziale łączności, niemal wszyscy zebrali się na zewnątrz, w porannym słońcu, wokół różnych budynków, które składały się na bazę sił powietrznych w Bahrajnie. Na wysokości ponad trzech tysięcy stóp, o pięć mil w kierunku północno-wschodnim, nad Zatoką, można było dostrzec pierwszą ciemną kropkę, rozpoczynającą podejście do lądowania. Kiedy zaczęła się powiększać, w polu widzenia pojawiła się druga kropka. Prowadzący *B-1C* ustawił się w przedłużeniu pasa startowego, wypuścił podwozie i przygotował się do tego, by stać się pierwszym *Lancerem*, który kiedykolwiek wylądował na ziemi Bliskiego Wschodu. Jego dziób uniósł się nieco w górę, a wydłużone, skośne skrzydła z wysuniętymi w pełni klapami, zaczęły drgać na końcach. Kiedy *Lancer* przeleciał nad trawą, tylne koła sięgnęły pasa startowego i z piskiem dotknęły asfaltu. Przednie koło poszło w ich ślady a gondole czterech turboodrzutowych silników *F101-GE-102* otworzyły się i ryk ciągu wstecznego natychmiast zdominował wszelkie doznania dźwiękowe obserwatorów. Zanim lśniący bombowiec zwolnił i skręcił na pas kołowania, wylądował drugi, a następnie trzeci *B-1C*. Wszystkie trzy zbliżyły się do siebie, ustawiając się jeden za drugim, jak trzy modliszki, kołujące w kierunku drugiego końca lotniska. Kiedy znieruchomiały w tym ustawieniu, wiele wolnych od służby załóg lotniczych poszło je powitać.

Rozdział Sześćdziesiąty Piąty

Zatoka Perska. Lot dyżurny AWACS 24

11:12 czasu lokalnego (08:12 GMT)

Pułkownik Bob Stanford i jego załoga byli zmęczeni. Oczy i uszy Zatoki Perskiej pozostawały przecież czujne przez ostatnie piętnaście godzin, a kiedy kubki kawy zaczęły jeszcze raz krążyć po samolocie, nadnercza próbowały ponownie podjąć działanie.

Duży komputerowy obraz, znajdujący się przed Stanfordinem, przedstawiający północną linię brzegową Zatoki z Iranem, zaczął podświetlać pozycje *Harriera* i helikopterów. Stanford rzucił szybko okiem na cały teren operacji, ocenił najważniejsze problemy i usiadł.

- Willis, zmieniło się coś?

- Nie, panie pułkowniku. *Javelinowi* udaje się ciągle pozostawać poza zasięgiem radaru na wyspie Karq, ale oni go w końcu wykryją.

- Jak długo, zanim wyjdzie z zasięgu radaru na Karq?

Jennings sprawdził swoje dane. - Jeszcze około dwóch minut, lub coś koło tego.

- Może się okazać, że to będzie szczęśliwy dzień *Rhinestone'a*. Przewidywany czas przybycia *Javelina* za siedem minut. Zaczynamy.

Nieoczekiwanie ponownie odezwał się Jennings. - Zaczekajcie. Wygląda na to, że *Rhinestone* ma towarzystwo.

- No cóż, zabieramy się do roboty.

- Tak jest, sir.

Głos O'Grady'ego zadźwięczał w uszach Stanforda. - Panie pułkowniku, właśnie usłyszałem, że nasza zmiana jest już w drodze. Wracamy do domu?

- No pewnie. No dobra wszyscy, wracamy do domu, więc zanim przełożymy dyżur, mamy tylko tyle czasu, żeby doprowadzić *Javelina* na miejsce, a później wydostać go stamtąd.

Rozdział Sześćdziesiąty Szósty

Zatoka Perska. Javelin

11:16 czasu lokalnego (08:16 GMT)

- *Javelin*, przynęty są już na stanowisku. Masz jakieś sygnały?
- Nie - odpowiedział *Hawksworth*.
- To dobra wiadomość. Wygląda jednak na to, że grupa zwiadowcza zbliżyła się do lokalizacji podanej przez *GPS*.
- Jest tam jakaś broń?
- Nie wiemy, ale możemy przypuszczać, że będą mieli coś na pokładzie. Trzy mile do wybrzeża. Gotów do biegu?
- Przyjąłem, *Sentry*. Wszystko gotowe.
- Wysokość?
- Jeden-pięćdziesiąt.
- Zmień kurs na zero-cztery-trzy, wysokość tysiąc pięćset i zwiększ prędkość do maksymalnej.
- Przyjąłem, wchodzę na tysiąc pięćset - potwierdził *Hawksworth*, a jego wysokościomierz zaczął wspinać się, przekraczając podziałkę jeden-zero.
- Trzymaj wyłączone wszystkie urządzenia radarowe. Będziemy monitorowali dla ciebie wszelkie przejawy aktywności w tym rejonie.
- Wszystkie układy radaru ciągle wyłączone, przyjąłem. - Dwumiejscowy *Harrier* spisywał się dobrze pod jego ręką. Żadnych wibracji i bardzo niewielki hałas, z wyjątkiem cichego szumu *Rolls-Royce'a*, mrużącego za nim z tyłu, pęd powietrza ponad osłoną kabiny i dodający otuchy głos *Sentry*, dyżurnego *AWACS'a*. Jeżeli nawet dialog z nim był, jak na jego gust, zbyt swobodny, *Hawksworth* zachowywał wysoki stopień zaufania co do rezultatu misji. Pojawiły się przed nim nadbrzeżne urwiska, ale utrzymywał swoją wysokość.
- Od tej chwili nie ma potrzeby odpowiadania na nasze komendy chyba, że jest to szczególnie potrzebne, *Javelin*. Wykryliśmy obserwację o niewielkim nasileniu z kierunku północnego. Zmień kurs na zero-osiem-pięć. - *Hawksworth* przechylił samolot ostro w skręcie w prawo, aż wskaźnik *G* wzniósł się powyżej 4.

- Zmniejsz wysokość do tysiąca dwustu. Zmień kurs na zero-trzy-pięć. Odległość do celu piętnaście mil. Pogoda dobra z widocznością aż do dziesięciu mil, ale drganie gorącego powietrza ograniczają znacznie poniżej tego dystansu. Nie ma żadnego pułapu chmur, wartego wspomnienia. Zmień kurs na zero-dwa-pięć. Dwanaście mil do celu. Utrzymuj wysokość. Trwa zagłuszanie w kierunku północnym. Zmień kurs na zero-trzy-siedem. Idziesz dobrze, *Javelin*. Do celu dziesięć mil. Teren obniża się do pięciuset. Zmniejsz wysokość do siedmiuset. Pole celu przesunęło się o kilkaset jardów do głębokiej szczeliny w skale, której najgłębsza część ma około stu stóp długości. Cel o dziewięć mil. Zmień kurs na zero-trzy-dwa. W tej chwili nasze przynęty pomagają utrzymywać skupienie radaru z dala od twojego terenu. Monitorujemy teraz jakieś ruchy samolotów z Bandar Khomeyni, o sto dwadzieścia mil na północ. Do celu osiem mil. Zmień kurs na zero-dwa-cztery. Możesz aktywować twój lokalizator sygnałów *GPS*.

- Lokalizator *GPS* funkcjonuje - powiedział Hawksworth.

- Czy odbierasz dobry sygnał? Urządzenie wysyłające pracowało na bateriach przez dobrą chwilę i sygnał jest słaby.

- Odbiór przerywany.

- Jeżeli zawiedzie, potrafimy doprowadzić cię wystarczająco blisko. Zmień kurs na zero-dwa-siedem i zwolnij do dwustu węzłów. Odległość pięć mil. Stąd jest już wiele punktów orientacyjnych. Niezidentyfikowany samolot o sto mil na północ. Oczekiwany czas jego przybycia do ciebie około siedem minut. Jak z obserwacją *GPSI*

- Sygnał mocny.

- No to czas dać po hamulcach, *Javelin*.

- Przyjąłem. Zwalniam.

- Jesteśmy w pogotowiu, *Javelin* i powodzenia. Pamiętaj, że kiedy zaczniesz używać świateł, to będzie cię kusić, żeby trzymać je cały czas włączone, ale proszę, jak tylko go zlokalizujesz, staraj się polegać jak tylko można na instrumentach pokładowych

- Dziękuję, *Sentry*. - Migający sygnał świetlny na monitorze *HUD* Hawkswortha stał się bardziej stały i dochodził z punktu o trzy mile na wprost. Pchnął dziób *Harriera* nieco bliżej ziemi i zaczął bacznie przyglądać się powierzchni przesuwającego się pod nim terenu. Był wyraźnie połałdowany i gdzieś tam przedzielony odcinkami kopiastych wydm, a skały miały tu kilka głębokich pęknięć. Niektóre z nich były bardzo wąskie i niezbyt głębokie, ale parę z nich miało ze dwieście stop szerokości lub więcej i przynajmniej ze sto stóp głębokości.

- Dwie mile do celu - odezwał się *Sentry* i Hawksworth obniżył lot do pięćdziesięciu stóp, zwolnił całkowicie i ustawił wylot dysz na 40 stopni. Włączył wszystkie światła lądowania i nagle odniósł wrażenie, że gdzieś już prawie poza kątem prawego oka dostrzegł jakiś ruch. Rzucił tam szybkie spojrzenie i dostrzegł *jeepa* z co najmniej dwoma ludźmi w środku, rozpaczliwie usiłującymi uruchomić zamontowany na samochodzie karabin maszynowy. Zanurkował w prawo, a następnie wykonał zakręt w lewo, a migające światełko powróciło na środek obrazu w monitorze. Wtedy zobaczył po prawej stronie uzbrojony transporter piechoty.

- *Sentry*, tu *Javelin*. Sporo ludzi wążsa się tu na dole.
- Broń ciężka?
- Ogień z drobnej broni, nic większego jak dotychczas.
- Tysiąc stóp do celu.
- Oni są już chyba po wszystkim.
- Czy możesz potwierdzić obecność jakichś więźniów?

- Nie, *Sentry*. Jeszcze dwa *jeepy* ganiające w koło. Wchodzę teraz nad głęboki wąwóz. Cel wprost przede mną. Zwalniam. Jestem teraz nad wąwozem. Biegnie z południowego zachodu na północny wschód z wysokimi brzegami po obydwu stronach. Tam na dole jest masa pojazdów, otworzyli ogień! - Hawksworth dodał znacznie gazu, przechylił samolot w ostrym lewym skřęcie, starając się ominąć brzeg wąwozu i obrócił dysze tak, żeby uzyskać jakieś przyspieszenie. Wyczuł w bezpośredniej bliskości ogień z drobnej broni i położył się w prawy skřęt.

- Może Rhinestone opuścił miejsce zanim stało się zbyt zatłoczone.
- Dobra. Mogę pozostać nad północno-zachodnim brzegiem wąwozu.

Zajmie im to kilka minut zanim przejadą całą drogę na szczyt tego brzegu.

Wyjrzał przez osłonę kabiny na obydwie strony, nie dostrzegając żadnego zagrożenia, zatoczył ciasne koło w lewo z powrotem w kierunku wąwozu i ostro przekręcił dysze na 90 stopni. Ustawiony dziobem lekko ku górze, *Harrier*, jakieś sto stóp ponad skałami, zmniejszył teraz swoją prędkość aż do zera. Dysze zostały cofnięte na 10 stopni i symulator położenia, w stanie pełnego zawiśnięcia maszyny w powietrzu, wyrównał jej pozycję. Hawksworth, utrzymując wysoki poziom czujności, obracał samolot w lewo usiłując wykonać pełny obrót przeglądowy o trzysta sześćdziesiąt stopni.

- *Mig-25 Foxbat* teraz o pięć minut od ciebie.

Nagle, na kierunku północnym, zaczęła palić się na pustkowiu jasnoczerwona pochodnia

- Mam czerwoną pochodnię o pięćset stóp na północ! - krzyknął Hawksworth, odwracając dysze. - Tam na dole ktoś jest. Jest sam i macha koszulą, czy czymś takim. Schodzę w dół żeby sprawdzić. - Hawksworth zmniejszył obroty, wypuścił podwozie i sprowadził *Harriera* w dół, poniżej brzegu wąwozu. - On jest ranny. Będę musiał iść go sprowadzić. Wyłączam światła.

- Ale... - i to było wszystko, co usłyszał Hawksworth, bo nacisnął wyłącznik zamka osłony kabiny, odciął swój dopływ tlenu i zrzucił hełm, pozostawiając silniki na jałowym biegu. Wielka, jednoczęściowa osłona kabiny odskoczyła w górę i w bok, na prawą burtę. Przeszedł na tylne siedzenie, rozpiął klamerki pasków, spinających drabinkę sznurową, umieścił jej uchwyty na brzegu przedniej kabiny pilota i pozwolił drabince rozwinąć się aż na dół. W parę sekund stanął na pustynnej ziemi. Około czterdziestu stóp od niego, ściskając kurczowo swoje lewe ramię i kulejąc, niezdarnie i w cierpieniu, próbował iść ku niemu człowiek, noszący resztki munduru.

- Dalej, chłopie, ruszaj z kopyta! - Koszula, którą ten człowiek wymachiwał była rozdarta i porozrywana, a jej części obandażowane wokół lewego ramienia. Hawksworth podbiegł do niego. - No, chodź! Mamy około minuty zanim przybędą tu miejscowi.

Głos tego człowieka był zachrypły i kulał, poruszając się z wielkim trudem.

- Przepraszam - wykrztusił z trudem.
- Jak ramię?

Za każdym krokiem krzywił się z bólu. - Głównie powierzchownie. Najgorsza jest noga.

- Czy zniesiesz nacisk ciężaru ciała na pachy?
- Chyba tak.

Hawksworth puścił jego ramię i stanął przed nim, odwrócony tyłem do Bartona.

- Wyciągnij prosto ręce nad moimi barkami, dłońmi do góry.

Barton ułożył ramiona na barkach Hawkswortha i przekręcił dłonie do góry, wydając jęk, kiedy to czynił. Hawksworth sięgnął obydwoma rękami w górę i pociągnął ramiona Bartona w dół przed sobą. Barton wydał głęboki jęk. Wynikły z tego ustawienia manewr podniósł stopy Bartona z ziemi. Hawksworth szurał teraz nogami jak mógł najszybciej, drobiąc w kierunku podstawy przedniego koła *Harriera*.

- Wiem że to będzie trudne, ale muszę władować cię do kabiny.

- Hawksworth postawił delikatnie swojego pasażera na ziemi, położył rękę Bartona na drabince i krzyknął:

- Właż!

Barton dokonywał dramatycznych wysiłków by unieść się do góry, ale był niezdolnie powolny. Schylając się głęboko, Hawksworth włożył głowę między nogi Bartona i dźwignął go w górę.

- Dalej, staruszkule, musimy się stąd wynosić. - W jakiś sposób Bartonowi udało się podnieść zdrową nogę i położyć stopę na szczeblu. Hawksworth wspiął się teraz koło wlotu powietrza ponad swojego rannego kolegę i spadł raczej, niż wskoczył do kabiny.

- Dalej, *Rhinestone*, jeszcze tylko jedna przeszkoda! - krzyknął Hawksworth sięgając w dół i chwytając go za kołnierz. Jednym potężnym wysiłkiem, jakby to miał być jego ostatni, Barton wciągnął się rozpaczliwie na wysokość parapetu kabiny. Hawksworth chwycił go za pas.

- Teraz postaw ranną nogę tutaj, zdrową nogę tam i wciągnij się.

- Hawksworth pokazywał dwa oparcia dla stóp w burcie samolotu, ale to było bezużyteczne. Barton robił co w jego mocy, ale dla pilota to wszystko było o wiele za wolno. Hawksworth chwycił za jedno z ramion Bartona i pociągnął z całą siłą. Ranny krzyknął z bólu, ale przynajmniej był teraz już do połowy ciała w kabinie, niemrawo poruszając zranioną nogą w powietrzu. Hawksworth przepchnął jego nogi przez krawędź kabiny, aż wyczerpane ciało zważyło się tępo na tylne siedzenie. Kiedy stopy rannego dotknęły podłogi kabiny, Barton wydał jeszcze jeden, pełen męki krzyk.

- Zapnij migiem pasy i trzymaj się! - wrzasnął Hawksworth, wyrzucając drabinkę sznurową za burtę, naciągnął hełm, zaciągnął paski i pchnął dźwignię gazu do końca. *Pegasus* zaryczał i koła szybko uniosły się z ziemi, a osłona kabiny zamknęła się szczelnie nad nimi.

- *Javelin*, tu *Sentry*. Czy mnie słyszysz? *Javelin*, tu *Sentry*. Czy mnie słyszysz? - Głos był nagłący.

- Słyszę cię, *Sentry*.

- Ruszaj się, *Javelin*, masz towarzystwo! - Głos w jego uszach został stłumiony dźwiękiem nisko lecącego odrzutowca, przelatującego bardzo nisko i bardzo szybko, tuż nad ich głowami.

- Akcja *Bad Bag* wykonana w całości, a teraz wyprowadź mnie stąd.

- Kieruj się na wschód, zero-dziewięć-zero. W okolicy ogień przeciwlotniczy. - *Harrier* wzniósł się w bok od rozpadliny, skręcił w lewo

i ruszył w kierunku wschodnim, a Hawksworth zonglował optymalnymi kątami ustawienia dysz dla uzyskania maksymalnej prędkości liniowej.

- Twój nadgorliwy *Mig* zawraca teraz na zachód, próbując wrócić za tobą.

- Przyjąłem. - Nie było mowy o tym, jak wysoko, tam w dole, udało się żołnierzom wjechać z głębokiego wąwozu.

- Nie ma radaru, *Javelin*. Wyłącz swój lokalizator *GPS*. Skręć w prawo na kurs jeden-siedem-pięć. Zwiększ prędkość do maksymalnej. *Foxbat* usiłuje skierować się w twoją stronę. O rany, ale te chłopaki potrzebują jeszcze treningu. Do czasu, kiedy on wróci do miejsca gdzie byłeś, ty już dawno odleczisz.

- Może potrenujemy ich kiedy indziej, dobra?

- Aha, tak, *Javelin*. Skręć w prawo na kurs dwa-zero-zero. Utrzymuj wysokość. *Mig* jeden zacieśnia swój skręt, *Javelin*. Jego odległość od ciebie wynosi teraz pięć mil. Cztery minuty do wybrzeża.

- Słyszysz to? - krzyknął Hawksworth kiedy zaczęły rozlegać się ostrzegawcze sygnały.

- On jeszcze nie wystrzelił, *Javelin*.

- Przykro mi, *Sentry*, ale włączam mój radar i systemy obronne.

- Dobra, *Javelin*. Trzy minuty do wybrzeża. *Mig* jeden usiłuje się teraz zbliżyć, *Javelin*. Niezidentyfikowany samolot na południu. Zmień kurs w lewo, na jeden-dziewięć-zero. Zwiększ wysokość do jeden-zero. - Hawksworth krótko pociągnął drążek do tyłu, przechylił się w lewy skręt i uzbroił swoje rakiety świetlne. Sygnały przestały brzęczeć.

- Dwie minuty do wybrzeża. Zwiększ wysokość do trzy-zero-zero.

- Przyjąłem.

Pierwszy *Mig* namierzył *Javelina*, uruchamiając ponownie jego ostrzegawcze sygnały, a następnie wystrzelił. Nowe, głośniejsze sygnały zaczęły teraz przeraźliwie dźwięczeć w kabinie. Hawksworth wykonał unik i wystrzelił pierwszą porcję rakiet świetlnych. Przekręcił dysze w pozycję zawiśnięcia maszyny w powietrzu i ostro przechylił ją w prawo. Wydech spalin *Pegasusa* był teraz schowany z tyłu za *Harrierem* i nadlatująca rakietka namierzyła najgorętszy obiekt jaki potrafiła znaleźć, to znaczy rakiety świetlne, całkowicie ignorując samego *Harriera*. Sygnały ostrzegawcze umilkły.

- Obiekt nadlatujący eksplodował. Dobra robota, *Javelin*.

Hawksworth ustawił odrzut dysz z powrotem do pozycji wprost do tyłu, dał pełny gaz i rzucił *Harriera* w lewo, starając się maksymalnie wytracić wysokość.

- Zmień kurs na dwa-siedem-pięć. Pierwszy *Mig* stale się zbliża. Minuta do wybrzeża. *Mig dwa* na twoim tropie, czterdzieści mil. - W kabinie ponownie zabrzmiały sygnały ostrzegawcze, ale tym razem ostrzegały przed rakietańską namierzającą radar.

- Wystrzelił ponownie. Tropiąca radar. Daję po hamulcach.

- Co takiego? Gdzie chcesz się schować? Tam nie ma żadnych drzew.

- Hawksworth powtórzył całą poprzednią procedurę, ale tym razem wystrzelił dwa bloki folii zakłóceńowej.

- Jak wysoki jest uskok brzegowy przede mną?

- Około tysiąc pięćset stóp. Linia brzegowa na wprost przed tobą. Czas do uderzenia dwadzieścia sekund.

Hawksworth zwolnił do stu węzłów i z dyszami ustawionymi w pełnej pozycji do przodu, na 100 stopniach, uniósł dziób, zyskał dwieście stóp wysokości i przeciągnął maszynę w stan zawieszenia tuż nad skalistą linią brzegową. Po raz pierwszy głos *Sentry* przeszedł ze swej dotychczasowej chłodnej rezerwy, aż prawie do krzyku.

- Pięć sekund, *Javelin*! Cztery... trzy - głos kontynuował swoje liczenie, a Hawksworth poczuł, że siła ciężenia zaczyna ściągać zawieszony w martwym punkcie samolot. Z dźwignią gazu, pchniętą ponownie aż do oporu i dyszami skręconymi do tyłu, *Pegasus* usiłował poradzić sobie ze spadającym *Harrierem*. Maszyna przez moment osuwała się do tyłu, na ogon, wystarczająco, by opaść poniżej poziomu postrzępionej krawędzi nadbrzeżnego uskoku. Silnik, teraz na maksimum mocy, trząś się i wył, usiłując utrzymać samolot w powietrzu. Dokładnie w momencie, kiedy maszyna miała zwalić się na bok, Hawksworth obniżył dziób, skręcił dysze tak, że odzyskały pozycję poziomą wystarczająco szybko, by chwycić i utrzymać *Harriera* w pozycji pełnego zawiśnięcia w powietrzu. To był kapitalny manewr. Rakieta śmignęła tuż nad krawędzią uskoku i poszła dalej, nad Zatokę. Jakby pociągany jakimś sadystycznym pragnieniem, by być świadkiem masakry, w kilka sekund później w ślady rakiety poszedł *Mig*, tuż nad Hawksworthem i jego pasażerem.

- Co się stało, *Javelin*? Jesteś w porządku?

- Tak, *Sentry*. Wszystko w porządku.

- Ona przeszła dokładnie przez ciebie!

- Tak właściwie, to raczej nade mną. - Hawksworth włączył teraz do pracy wszystkie układy *Harriera*. Ponownie przyspieszył, skręcając bardziej na północ, w kierunku *Miga*.

- *Mig dwa* na południu. - Radary krótkiego zasięgu *Magics* włączyły się i potwierdziły przejście *Miga-25*. - *Javelin*, zmień kierunek, twój obecny kurs to jeden-dziewięć-pięć.

Hawksworth potrząsnął głową i postanowił nie odpowiadać.

- Przykro mi, *Javelin*. Nie jesteś już nad terytorium Iranu.

Hawksworth przechylił się w ciasny skręt w prawo i usłyszał sygnał gotowości jego nowego nabytku - rakiety *Magics*. Potem pojawił się inny sygnał, potwierdzający namierzenie celu i pilot nacisnął przycisk spustu.

- *Javelin*, czy mnie słyszysz? Przerwij atak na *Miga*!

Kiedy tylko rakietka opuściła swe miejsce pod lewym skrzydłem, zawrócił ostro i zgodnie ze wskazaniem kompasu wykonał zwrot o 180 stopni. Spojrzał w lusterka i dostrzegł na niebie wielką kulę ognia.

- *Javelin*, czy mnie słyszysz? Przerwij atak na *Miga*, to jest bezpośredni rozkaz!

Hawksworth zdecydował, że czas na odpowiedź.

- Przepraszam, *Sentry*, zgubiłem cię tu na chwilę.

- Przez całą drogę twoje radio pracuje dobrze. Zbliżasz się do *Miga* i nagle masz problemy z radiem? - w głosie Willisa nie było już teraz przekonania.

- No, przykro mi, *Sentry*.

- Dobrze, *Javelin*. Idź w górę do pięć-zero na kurs jeden-osiem-zero z przewidywanym czasem przybycia przed dziewięć zero zero. Poinformuj Bahrajn, żeby was oczekiwali.

- Aha, *Sentry*?

- Tak, *Javelin*?

- Dziękuję. Musimy kiedyś zjeść lunch.

- Dobra. - Ale sądząc po tonie głosu, nie był chyba o tym zbyt przekonany. - Jak się czuje *Rhinestone*?

- Nie wiem, ani pisałem od momentu, kiedy wdrapaliśmy się na pokład.

W dwadzieścia minut później kapitan Markham Hawksworth wylądował w Bahrajnie. W obecności dwóch medyków do boku kabiny przystawiono dwie drabinki. W czasie gdy Hawksworth odłączał słuchawki i przewody tlenowe, odpinał uprząż i przygotował się do spojrzenia za siebie, jego pasażer już otrzymywał pomoc. Po raz pierwszy Hawksworth zdał sobie sprawę, że jego ubiór, ręce i niektóre przyrządy w kabinie były pokryte krwią i sięgnął po jakąś ścierkę od jednego z pomocników, żeby się trochę wytrzeć. Odwracając się na swym siedzisku, żeby zobaczyć, jak jego

pasażer zniósł ten pełen wstrząsów lot, dostrzegł wszędzie krew, co przypomniało mu o ciężkich oddechach jego kolegi, o bandażu spowijającym to, co okazało się być raną postrzałową jego ramienia i o paskudnie wyglądającej ranie na nodze. Wyglądał na martwego. Był martwy. Martwy ze zmęczenia. Tak umordowany, że po prostu przespał to wszystko.

Rozdział Sześćdziesiąty Siódmy

Washington D.C. Pentagon

02:45 czasu lokalnego (08:45 GMT)

Komisja Swansona zebrała się ponownie, tłumnie jak uprzednio. Admirałowie Walters, Mitchell i Peterson a także Bradley, Chandler, Leemer, Travers i Crow, wszyscy oni zajęli swoje stałe miejsca, mając pod ręką kawę i zapalaną od czasu do czasu jedną czy drugą fajkę.

William Crow zakończył właśnie swój raport, ku ogólnej zresztą konsternacji, szczególnie admirała Petersona, który, chodząc po pokoju wyrażał teraz swoje niezadowolenie.

- Nie tylko zostaliśmy ugodzeni najbardziej niszczycielską bronią od czasów bomby atomowej, ale proces jej tworzenia był realizowany wewnątrz naszych własnych granic. Uważam to za naganne, że sprawa tego rodzaju dzieje się tuż pod naszymi własnymi nosami. Czy już zupełnie nie mamy kontroli nad takimi rzeczami?

- Rozumiem twój niepokój - powiedział Walters od szczytu stołu - ale zajmijmy się najpierw sprawą zasadniczą. Przekażcie mi teraz sprawnie i szybko wszystkie najświeższe wiadomości. No, to co mamy nowego?

Mitchell próbował nadać głosowi optymistyczne brzmienie. - Mamy przynajmniej nazwę i lokalizację producenta tego urządzenia, panie admirałe.

- Tak - powiedział Crow - i ludzie z Agencji Wywiadu Obronnego *DIA* usiłują w tej chwili skontaktować się z tą firmą, żeby uzyskać bieżące rozeznanie w sytuacji.

- No a co mamy zamiar zrobić z Irakiem, panie admirałe? - zapytał Mitchell.

- Nie jesteśmy pewni - odpowiedział Walters. - Teraz, kiedy zidentyfikowaliśmy związek Iraku z atakami na nasze konwoje w Cieśninie Ormuz i być może na *Grupę Szóstą*, Narodowa Rada Bezpieczeństwa może przedstawić Prezydentowi opinię, że uderzenia w głąbi terytorium Iraku mogą stać się wkrótce niezbędne.

- Czy nie byłoby jednak rozsądnie uderzyć natychmiast, dopóki żelazo jest stale gorące, panie admirałe? - nalegał Crow.

- Być może - powiedział Walters. - I rzeczywiście, kiedy tu rozmawiamy, oni tam spotykają się dla przedyskutowania tej właśnie sprawy. Ale teraz przejdźmy do rzeczy. Fred, rozkazaliśmy *Independence* utrzymanie najwyższego stopnia gotowości do wszelkiej możliwej obrony, ale czy masz jakieś sugestie co do działań, które moglibyśmy podjąć w międzyczasie, żeby chronić nas przed następnym atakiem?

- Nie, niespecjalnie. Nawet gdybyśmy próbowali potroić ochronne warstwy utwardzonego materiału wokół wszystkich naszych systemów komputerowych, co w tej chwili wydaje się być zadaniem niemożliwym do realizacji, nawet gdybyśmy mieli odpowiednie zapasy, których przecież nie mamy i zakładając dalej, że dla realizacji tego zadania znajdziemy odpowiednią ilość miejsca w naszych urządzeniach, miejsca, którego przecież nie ma, to w dodatku nie mamy ani jednego z egzemplarzy tej broni, żeby użyć go jako stanowiska pomiarowego dla ustalenia, czy cała ta robota mogłaby rzeczywiście coś zmienić. Chwilowo więc, wszystko co cały nasz wydział może sugerować, to tyle, żeby zrobić co tylko można dla upewnienia się, że żaden niezidentyfikowany samolot nie podejdzie bliżej niż na odległość dziesięciu mil od jakiegokolwiek ugrupowania naszych sił i żeby rozproszyć nasze jednostki lądowe i morskie grupy ekspedycyjne na tak szerokiej przestrzeni, żeby żadna pojedyncza broń tego typu nie mogła uderzyć na raz w więcej niż na przykład jeden okręt.

- Ależ to jest niemożliwe - powiedział Peterson.

- Dokładnie - powiedział Chandler.

- A więc, powiadasz - kontynuował Peterson - że jeśli oni zdecydują się zrzucić następny taki egzemplarz na nasze bazy w Arabii Saudyjskiej, to będą mogli ponownie wejść do Kuwejt lub nawet, dajmy na to, do Arabii Saudyjskiej, a my niewiele będziemy mogli zrobić, żeby ich zatrzymać?

Chandler pochylił się do przodu. - Gdyby uderzyli w jedną z naszych kluczowych baz lotniczych, to wtedy tak, panie admirale. A już co najmniej zrobił by się ogromny bałagan.

- Czy udało się wam skontaktować z admirałem Swansonem? - zapytał Pruitt.

- Tak - odpowiedział Walters.

- I jaka była jego rada?

- Miał pytanie i tylko jedno: czy znaleźliśmy pozostałości tego urządzenia.

- Ale nie znaleźliśmy - powiedział Leemer. - Z tego wszystkiego co wiemy, ono jest ciągle gdzieś niedaleko burty jednego z naszych okrętów. Mając na uwadze pytanie admirała, czy nie byłoby rozsądne dokonać szczegółowego przeszukania terenu wokół *Grupy Szóstej!*

- Tak, ale gdybyśmy nawet zaczęli poszukiwania bez zwłoki, mogą one potrwać wiele godzin. Poczekajmy, aż *Grupa Szósta* trochę się rozkręci. - powiedział Walters. - Nasi chłopcy mają tam dość zajęć, żeby się ponownie zorganizować i nie możemy rozbijać im teraz tych działań, przewracając im wszystko wewnątrz do góry nogami. Ale zgadzam się, to jest coś, co będziemy musieli wkrótce przeprowadzić. *Philadelphia* ma rozkazy rozpoczęcia szczegółowej inspekcji, ale jedynie terenu przyległego bezpośrednio do *Grupy Szóstej*, dopóki admirał Lodgers nie uzna za rozsądne pozwolić jej na rozszerzenie obszaru poszukiwań. Jak tylko dowiemy się czegokolwiek, panowie, damy wam znać. Do tej chwili, jak sądzę, możemy się trochę przespać. Ponownie tutaj o zero-siedem-zero-zero.

Rozdział Sześćdziesiąty Ósmy

Zatoka Perska. Baza lotnicza w Bahrajnie

11:57 czasu lokalnego (08:57 GMT)

Generał major Larry Pullman wrócił do swego biura, włożył trzymaną notatkę do szuflady biurka i zawołał dyżurnego. - Collins?

Młody kapral podbiegł do drzwi. - Tak jest, sir?

- Najpierw złap kapitana Brandena i jego załogę, a następnie połącz mnie z generałem Wilsonem, na podwójnej.

- Tak jest, sir - odpowiedział kapral i zniknął.

W tym momencie kapitan O'Grady zapukał do drzwi i wszedł. - Chciał pan mnie zobaczyć, sir?

- Tak, kapitanie. Cieszę się, że wrócił pan bezpiecznie. Proszę usiąść. Wiem, że miał pan długi lot, ale muszę najpierw zająć się kilkoma sprawami. Angol miał niezłą turę, co?

- Faktycznie, sir, ale o tym wszystkim więcej będzie wiedział pułkownik Stanford - powiedział O'Grady siadając na krzesło w rogu pokoju.

- Tak, dobrze, pułkownik powinien wkrótce dołączyć do nas. Jak się ma major? - zapytał Pullman, powracając do swego biurka.

- Biorąc pod uwagę całość, ma się całkiem nieźle. Z tego co słyszałem, irańscy żołnierze byli o jedną minutę od ujęcia go.

Następne pukanie do drzwi i wszedł pułkownik Stanford.

- Cieszę się, że wrócił pan bezpiecznie i zdrowo. Proszę siadać, pułkowniku. Zajmę tylko parę minut - powiedział, spoglądając na zegarek po raz drugi od chwili, kiedy wszedł O'Grady.

- Kapitan Branden do pana, sir - powiedział od drzwi kapral i do gabinetu generała wszedł dość młodo wyglądający pilot.

- Branden, ile masz godzin wylatanych na *stotrydziestkachpiątkach*?

- Około sześciu tysięcy, sir.

- Czy latałeś kiedy na *C-137*?

- Transportowiec generalski? Około czterdziestu godzin, sir, ale w tym czasie nie było żadnego generała na pokładzie.

- No cóż, to teraz będziesz miał szansę. Generał Wilson jest po drugiej

stronie, w Ad-Dammam i kilku ludzi z jego załogi zachorowało z powodu zatrucia pokarmowego, czy czegoś w tym rodzaju. Nie powinno to potrwać dłużej niż jeden dzień, zanim nie wydobrzeją na tyle, żeby mogli tu wrócić, ale niestety, to jest za długo dla generała. Tak więc, doraźnie zaproponowałem mu, że wyślę po niego naszą załogę i sprowadzę go tu już dzisiejszego popołudnia. Przygotuj swoich ludzi i zgłoś się za pięć minut przy *CH-3*.

- Tak jest, sir, czy to będzie wszystko? - zapytał Branden.

- Chwilowo, chociaż chcę, żebyś zgłosił się do mnie po twoim powrocie i przedstawił mi jak to wszystko poszło. Jeżeli spiszesz się dobrze, moglibyśmy rozważyć częstsze wykorzystywanie ciebie w takiej roli - powiedział Pullman.

- Tak jest, sir - odpowiedział Branden z nutą przejęcia w głosie.

- No więc, do roboty.

- Tak jest, sir - powiedział Branden. Pullman podeszedł do drzwi i uchylił je.

- Kapralu?

- Tak jest, sir? - przyszła odpowiedź.

- Nie chcę, żeby mi przeszkadzano.

- Tak jest, sir - odpowiedział kapral i generał Pullman zamknął drzwi do swojego gabinetu.

Rozdział Sześćdziesiąty Dziewiąty

New London, Connecticut. Ulica Farmington

03:08 czasu lokalnego (09:08 GMT)

Ciemnoniebieska, nieoznakowana furgonetka usadowiła się cicho w ciemnościach. Przed nią, tam, gdzie światła głównej drogi skrzyły się w deszczu, splukującym brud i błoto całodziennego podmiejskiego ruchu, błyskające czerwone światło, które chwiała się na wietrze nad skrzyżowaniem, kontynuowało swoje stałe pulsowanie, jak bicie serca. W ocenie czterech ubranych na ciemno pasażerów furgonetki wszystko przebiegało pomyślnie.

Na przedzie wozu zatrzeszczało radio: „Cel już idzie, właśnie teraz wychodzi z klubu. Stracił sporo szmalu, więc jest zmęczony i zatroskany”.

Przy oknie wozu pojawiła się ciemna postać. W odpowiedzi szyba zsunęła się niżej.

- Wszystko gotowe? - wyszeptał głos. Kierowca skinął głową potakująco. - Dobra. Bądźcie dokładni i zróbcie to czysto. Żadnego hałasu. Żadnego zamieszania.

- Tak jest - powiedział kierowca, zapalając silnik.

Radio zatrzeszczało ponownie. - „Dochodzi do rogu Farmington i skręca w waszą stronę... teraz”.

Przed nimi, pod światłami, pojawiła się na krótko sylwetka pieszego i zniknęła z pola widzenia w otaczających ciemnościach.

Radio znów przemówiło.

„Sześć długości wozu, szuka swoich kluczyków”. - Kierowca wysunął nieco samochód do przodu i sprawdził tyły. Żadnego ruchu z tyłu. - „Cztery długości wozu” - powiedział głośnik. - „Jasnoszary garnitur. Dobra, będzie miło i prosto. Jego samochód stoi jako czwarty od was. Czerwony *Porsche*”. - Kierowca skręcił kierownicę i wyjechał na jezdnię. - „Dwie długości wozu; nie spieszcie się”.

Furgonetka skradała się po ulicy, mijając dwa samochody. Radio zachrypiało jeszcze raz. - „Teraz wychodzi na jezdnię. Znalazł swoje kluczyki. Teraz, teraz, teraz!”

Kierowca wybrał odpowiedni moment. Po nadeptnięciu gazu i kopnięciu w hamulec samochód skoczył i zatrzymał się dokładnie przy mężczyźnie, przymierzającym klucz do zamka w drzwiach *Porsche*, a w tym samym momencie duże drzwi furgonetki otworzyły się, odsuwając się do tyłu. Dwóch ludzi wyskoczyło na zewnątrz i złapało mężczyznę za ramiona, obróciło go i wepchnęło do furgonetki. Następnie ci dwaj weszli z powrotem do środka, zamknęli drzwi a samochód ruszył do przodu o dwie długości wozu, gdzie ponownie się zatrzymał. Znow cię przy oknie i szyba ponownie uchyliła się w dół o cal lub dwa.

- Do zobaczenia w bazie - powiedziała postać.

Szyba podniosła się z powrotem, a samochód ruszył w kierunku głównej ulicy. Z tyłu furgonetki niewysoki, dobrze ubrany człowiek, z ustami zaklejonymi taśmą i w kajdankach zapiętych na nadgarstkach, siedział pomiędzy dwoma wielkimi garniturami. Mężczyzna po prawej odczytywał mu jego prawa, podczas kiedy drugi podniósł słuchawkę telefoniczną z jej podstawki.

- Baza, mówi bagażowy.
- Dobra, słuchamy.
- Odebraliśmy naszą paczkę i jedziemy.
- Stan dobry?
- O, tak.
- Baza wyłącza się.

W czasie pięciominutowej jazdy dołączyła do nich druga furgonetka. Opuszczając główny strumień ulicznego ruchu skręcili przez wysokie bramy na jakieś podwórze i wjechali do wnętrza wielkiego, opuszczonego magazynu. Kiedy dwie ciemne furgonetki zatrzymały się w dalszym końcu magazynowego pomieszczenia, wielkie drewniane drzwi zamknęły się za nimi. Z wyjątkiem biurka i kilku krzesel, oświetlonych reflektorami samochodów, reszta magazynu była ciemnym pustkowiem. Z drugiej furgonetki wysiedli trzej mężczyźni i stanęli na straży podczas, kiedy pierwszy samochód był opróżniany. Nie było dyskusji, ani niczych rozmów. Niski mężczyzna wyróżniał się w swoim jasnym garniturze z pośród ciemnych marynarek, garniturów i krawatów ludzi, którzy popchnęli teraz uwięzionego w kierunku biurka. Zanim podprowadzono go do jednego z twardych krzesel, stojących przed biurkiem, usunięto mu kajdanki i zerwano taśmę z jego ust. Jeden z mężczyzn z drugiej furgonetki podszedł i usiadł przy biurku, zapalił małą lampę, stojącą w rogu biurka, tuż przy samotnym aparacie

telefonicznym, kierując w dół jej jasne światło, z wnętrza swojej ciemnej, wełnianej marynarki wyciągnął portfel, otworzył go i położył otwarty na przedniej części biurka. Reflektory samochodów zostały wyłączone i w pomieszczeniu zapanowała cisza.

- Nazywam się Pimsleur, Frank Pimsleur - powiedział Pimsleur spokojnym, ale twardym tonem. - Pracuję dla państwowego wywiadu. Pan nazywa się Baker, David Baker i jest pan wiceprezydent Centrum Badań i Rozwoju Energetyki Tarnwella, w Hartford.

Baker, oświetlony od szyi w dół, siedział bez ruchu, nieco wytrącony z równowagi przebiegiem wydarzeń.

- Pańskie przedsiębiorstwo - kontynuował Pimsleur - opracowało urządzenie, które może przenikać poprzez różnego typu materiały ochronne, używane do osłony komputerów przed elektromagnetycznymi atakami. Proces tworzenia tego urządzenia był kontynuowany pod kierunkiem i nadzorem *CIA* i w tej sytuacji jesteśmy wdzięczni waszej firmie za sukces, jaki wasza organizacja odniosła, produkując to urządzenie. Ten oto pan Fuller - powiedział odwracając się w lewo - jest wysokim rangą urzędnikiem tej znakomitej agencji, a jego pełnomocnictwa przewyższają wszelkie z tych, jakie mógł przedstawić pan Brownwell, pański dotychczasowy kontakt z *CIA*. W rzeczywistości mieliśmy w planie zapewnić obecność pana Brownwella na dzisiejszym spotkaniu, ale, na nieszczęście, nie wydaje się, żebyśmy byli w stanie zlokalizować go w tym momencie. Jakkolwiek *CIA* nie posiada tutaj oficjalnej jurysdykcji, pan Fuller jest tutaj na moją prośbę, podobnie jak agent specjalny Gorni z *FBI*, który stoi za panem.

Z ciemności wstąpił w obręb światła następny ciemny garnitur i położył swój dowód tożsamości przy dokumencie Pimsleura. Złożony portfel gwałtownie się otworzył by odsłonić wielkie niebieskie litery dokumentu identyfikacyjnego *FBI* po jednej stronie i fotografią po drugiej.

- Jesteśmy przekonani, że będzie pan w stanie dostarczyć nam wszelkich informacji na temat lokalizacji każdego z tych urządzeń, które opuściło granice waszego obiektu w Hartford. - Baker siedział bez ruchu, spoglądając na otwarty portfel. - Choć pan osobiście nie jest teraz oskarżony o jakieś konkretne przestępstwo, to chciałbym zwrócić uwagę na to, że pan jak i pańska firma wciąż figurujecie jako oficjalny opiekun i strażnik tego projektu badawczego, oraz na to, że został popełniony akt zdrady. Jedno z waszych urządzeń znalazło w jakiś sposób drogę do rąk obcego rządu i

zostało ostatnio użyte przeciwko amerykańskim siłom zbrojnym. Ustaliliśmy, że ślady tego urządzenia prowadzą z powrotem do waszej firmy i uważamy was za ostatecznie odpowiedzialnych za wynikłe stąd uszkodzenia, które wyceniamy na około dwieście milionów dolarów. Jeżeli nie powie pan nam natychmiast gdzie i komu pańska firma przekazała tą broń, będzie pan stąd zabrany i publicznie oskarżony o zdradę. Czy pan to rozumiał?

Kropelki potu, jakie pojawiły się teraz na czole Bakera, zaczęły lśnić w ciemnościach. - Tak - powiedział Baker.

- Ponieważ nie mamy zbyt wiele czasu, żeby zająć się elementami wyższej dyplomacji, więc mam zamiar poprosić pana, żeby był pan konkretny, szczegółowy i zwięzły. Całe to spotkanie jest nagrywane, więc niech się pan nie martwi o to, że może pan być błędnie cytowany. A teraz proszę o informacje.

Baker pochylił się do przodu, w jasne światło, ujawniające po raz pierwszy ziemistą cerę, bruzdy na czole i worki pod oczami człowieka głęboko strapionego. Jego głos był miękki, ale nerwowy.

- Ja zaraz wiedziałem, że coś się dzieje. Powiedziano nam, że ze względów bezpieczeństwa pan Brownwell jest naszym jedynym kontaktem i że wszystko, co dotyczy projektu *EXEMPT*, będzie szło przez niego. Wstępne próby zostały zakończone pomyślnie i potrzebowaliśmy dalszej wpłaty. Powiedział nam, że dyskutowane są właśnie cięcia budżetowe, więc musimy działać naprawdę szybko, jeżeli mamy otrzymać pozostałość należnych pieniędzy. W lipcu pan Brownwell powiedział mi, że jeżeli test naszego urządzenia w warunkach polowych będzie sponsorowany, to wówczas otrzymalibyśmy nie tylko resztę należności z ogromną premią w dodatku, ale także wielkie zamówienie na tysiąc takich urządzeń, poczynając od miliona dolarów za sztukę, w zależności od rozmiarów.

- Co pan rozumie przez „rozmiary”? - zapytał Pimsleur.
- Im są większe, tym większy mają zasięg i tym więcej kosztują.
- Chce pan powiedzieć, że może pan przygotowywać je według różnych wymogów?

- O, z całą pewnością - powiedział Baker. Pimsleur spojrział szybko w górę na Fullera. - No więc Brownwell powiedział, że jego szefowie nawiązali kontakty z wysokiej rangi funkcjonariuszami wojskowymi i test miałyby być przeprowadzony gdzieś na pustyni w stanie Nevada. Dzień, w którym dostarczylibyśmy urządzenie byłby dniem, w którym otrzymalibyśmy

czek na pozostałą należność i premię w dodatku. Ale ja zaraz wiedziałem, że dzieje się coś śmierzącego.

- Kiedy po raz pierwszy nabrał pan podejrzeń?

- Kiedy on powiedział, że *CIA* zajmie się już teraz wszelkimi aspektami dostawy i że nikt z naszego personelu nie będzie mógł wziąć udziału w tym wyjeździe.

- Dlaczego to nasunęło panu podejrzenia? - zapytał Pimsleur mniej oficjalnym tonem.

- No cóż, musimy te urządzenia naładować, zanim zostaną one użyte i jest też konieczne sprawdzić poziom ich naładowania, zanim można będzie zezwolić na rozładowanie. Nie żeby to było niebezpieczne, pan rozumie, ale po prostu, dla dobrego wyniku testu, chcielibyśmy mieć przedtem najwyższy możliwy poziom naładowania.

- I jak pan odpowiedział na te sugestie?

- Przekonywałem go, że powinniśmy być obecni przy testowaniu, ale on upierał się, że to *CIA* zaopiekuje się wszystkim. Wtedy powiedziałem mu, że im dłużej urządzenie czeka na rozładowanie, tym słabszy ogólny wynik jego zadziałania.

- No cóż, mogę upewnić pana, że urządzenie zadziałało naprawdę znakomicie - oświadczył Pimsleur. - Co pan uczynił następnie?

- Wszystko, co można było zrobić. Przeprowadziliśmy proces ładowania urządzenia przed umieszczeniem go w ciężarówce.

W tym momencie jakaś postać wkroczyła w krąg światła i szepnęła coś do ucha Pimsleura.

- Proszę pozostać na swoim miejscu, panie Baker.

- Pimsleur wyłączył lampę, stojącą na biurku. Z tyłu, poza Bakerem, otworzyły się wielkie drewniane drzwi i ciemnoniebieska limuzyna wjechała się do magazynu. Drzwi zamknęły się za nią, reflektory zostały wyłączone, lampę na biurku zapalono ponownie, a wszystkie oczy skupiły się na kierowcy, który podszedł do tylnych drzwi limuzyny i otworzył je. Nie-nagannie wyprasowany biały uniform oficera marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych ostro kontrastował z ciemnymi sylwetkami, które otaczały Bakera. Oficer przyjął oferowane mu drugie krzesło, stojące blisko biurka.

Pimsleur kontynuował, jakby nic się nie wydarzyło.

- A więc, panie Baker, mówił pan, że...?

- No więc, tak - podjął na nowo Baker z przygnębieniem jeszcze bardziej widocznym, niż uprzednio. - W końcu już nie protestowałem

przeciwko temu, żeby jego zespół przejął dostawę, ponieważ on faktycznie przyjechał z cukiernikiem, który, nawiasem mówiąc, bank gładko zrealizował. No i do tego miał naprawdę dużą obstawę.

- Co pan rozumie przez „obstawę”?
- No więc, była wielka ciężarówka, transporter opancerzony i trzy *jeepy*. Oni przyjechali z najbliższej placówki wojskowej.
- Czy byli obecni jacyś żołnierze?
- O, tak, ja nawet zostałem przedstawiony jednemu z nich, pułkownikowi Withersowi, jak sądzę.
- A jakie dokumenty przedstawili panu?
- Wszystkie były bardzo urzędowe, zapewniam pana. Były podpisane przez dyrektora Agencji kontrwywiadu i jego szefa operacyjnego.
- Czy zna pan ich nazwiska?
- Nie, ale mam te dokumenty w moim biurowym sejfie. Mogę je wam pokazać, jeżeli sobie życzyacie?
- Życzymy sobie. Co się działo następnie?
- No więc, wyciągnęliśmy podnośnik widłowy i zaczęliśmy proces załadunku.
- Jak duża jest ta rzecz? - zapytał Pimsleur.
- Ma wymiary około czterech takich biurków jak to, dwa na górze, dwa na dole, bok do boku. Poza tym, poszedłem zadzwonić do banku i potwierdzić ważność czeku, pozostawiając na miejscu mojego głównego inżyniera dla dopilnowania załadunku i wróciłem właśnie w chwili kiedy już odjeżdżali.
- I to wszystko?
- To wszystko. Proszę posłuchać, umowa przewidywała wypełnienie poleceń pana Brownwella co do joty i myśmy to uczynili. Nie zrobiłem nic złego. Mam odpowiednie dokumenty, żeby to udowodnić. - Baker przerwał na moment i potem dodał bardziej przeprasającym tonem. - Chcę zadzwonić do mojego prawnika.
- Będzie panu wolno zadzwonić do prawnika, jak tylko otrzymamy te dokumenty. - Baker sięgnął do kieszeni, wyciągnął chusteczkę i zaczął wycierać twarz. - A jak ta rzecz wyglądała, dokładnie? Owalna, kwadratowa, czarna, czerwona, czy jaka i ile ona waży?
- Baker zaczął się pocić jeszcze bardziej.
- Każdy *EXEMPT* waży około tony i jest umieszczony w wielkiej metalowej ramie ze stalowymi płytami umocowanymi wokół dla ochrony

urządzenia przed uszkodzeniami z zewnątrz. Wyglądało to dość imponująco, aż naprawdę szkoda.

- Co pan ma na myśli, mówiąc „szkoda”?

- No cóż, zgodnie z otrzymanymi poleceniami przygotowania do drogi, zostały one, każde z nich, pokryte drewnianą wykładziną, żeby wyglądały jak wielkie drewniane...

- One?! - wykrzyknął Latchkey, zrywając się na równe nogi. - Co to znaczy „one”?

- Oh. W takim razie pan najwyraźniej o tym nie wie. Polecenia żądały dostarczenia tego dnia dwóch *EXEMPT-ów*, a nie jednego.

- I dostarczyliście dwa?!

- Oczywiście.

Rozdział Siedemdziesiąty

Baza Gonzo. USNS George Washington CVN-90

12:37 czasu lokalnego (09:37 GMT)

SH-3 Sea King uniósł się właśnie z pokładu, kiedy katapulty pierwsza i druga zostały przygotowane do działania.

- Katapultuj *S-3*
- Gotów do katapultowania *S-3 Viking* - powiedział dowodzący katapultami do mikrofonu.

Dokonano kontroli wagi maszyny i parametrów katapultowania, zameldowano, potwierdzono sygnał do katapultowania, pilot zasalutował potwierdzająco, a maszyna była już w pełnej gotowości, z silnikami na pełnym ciągu i wtedy *Viking* został mocno pchnięty w kierunku dziobu okrętu. Następny samolot czekał, żeby powstała na moment przesłona ciepła opadła płasko w dół, a następnie i on z kolei podkołował do miejsca katapultowania.

Wdrożenie procedury sprawdzającej, że ciśnienie pary jest wystarczające, aby pchnąć tłok katapulty do przodu, w kierunku dziobu okrętu i wyekspediować samolot w powietrze, nie uruchamia jeszcze samego katapultowania. Samo ciśnienie pary, osiągnięte w katapultcie parowej, nie wystarcza oczywiście do wypchnięcia samolotu w powietrze. Do wykonania skutecznego katapultowania musi zostać zgodnie wykorzystane zarówno ciśnienie w parowym tłoku katapulty jak i siła maksymalnego ciągu silników katapultowanego samolotu. Tylko wtedy katapultowanie się powiedzie. A cały ciąg działań w tym procesie katapultowania nie jest uruchamiany tylko przez naciśnięcie odpowiedniego przycisku, ale przez działanie niewielkiego trzpienia, utrzymującego przednie, dziobowe koło samolotu w przygotowanym dla niego stanowisku urządzenia katapultującego. Trzpień jest tak zaprojektowany, że uchyla się jedynie wtedy, kiedy zadziała na niego odpowiednia, dokładnie określona siła nacisku. Ta siła jest różna dla różnych typów samolotów, tak więc w każdym indywidualnym przypadku rodzaj trzpienia musi być przed rozpoczęciem procedury katapultowania skrupulatnie dobrany. Pilot może sądzić, że silniki pracują już pełną mocą, ale

jeśli z jakichkolwiek przyczyn ciąg jego silników nie osiągnął wartości, przewidzianej przy katapultowaniu danego typu samolotu, to nawet przy wciśnięciu przycisku katapultowania, jeżeli osiągnięta siła nacisku na trzpień blokujący nie wystarcza, żeby go uchylić, proces katapultowania jest natychmiast przerywany. Taki samolot zostaje odholowany i poddany szczegółowemu przeglądowi technicznemu.

- Gotów do katapultowania *KA-6*.
- Katapultuj *KA-6*. - Silniki weszły na pełne obroty, pilot dał sygnał, para wypełniła urządzenie tłoczące katapulty, trzpień odskoczył i samolot-cysterna z rykiem ruszyła wzdłuż pasa.

- Gotów do katapultowania *E-2C*.
- Katapultuj *Hawkeye*.
- Gotów do katapultowania *EA-6B*.
- Katapultuj *EA-6*. - Teraz wtrącił się dowódca katapult trzeciej i czwartej.

- *A-6* gotowe do katapultowania. - Szef lotnictwa spojrział w kierunku końca pasa, gdzie na rufie przygotowywane były dwa załadowane do pełna *Intrudery*.

- Katapultować z katapult trzeciej i czwartej. - Pierwszy a później drugi *A-6* przetoczył się po odchylonym pasie startowym i wzniósł się w południowe słońce.

- Gotów do katapultowania *F-14*. - Na dziobie dwa *F/A-18* oczekiwały swej kolejki za *Tomcatami*.

Od momentu kiedy *George Washington* został przywrócony do stanu sprawności operacyjnej, admirał *Lodgers* dążył do odzyskania pełnej osłony z powietrza i załogi pokładowe nadrabiały stracony czas. W górze, na mostku, zarówno *Lodgers* jak i *Gurney* obserwowali z dumą, jak lotniskowiec ponownie rozbrzmiewa grzmotem dopalaczy.

- Melduje się komandor *Danforth, sir* - powiedział wchodząc *Danforth*.

- *A, jesteś, Danforth* - powiedział *Lodgers*, odwracając się od okien. - Chcemy wam wszyscy podziękować za sprawność i skuteczność, z jaką pan i pańscy ludzie wykonywaliście swoje zadania w *Grupie Szóstej*.

- Dziękuję, panie admirale - powiedział *Danforth*. - Właśnie je kończymy, *sir*.

- Świetnie. Jeżeli będzie pan kiedykolwiek potrzebował dodatkowego głosu za takim finansowaniem, które zapewni waszemu zespołowi dobre

wyposażenie, proszę tylko dać mi znać - powiedział Lodgers, potrząsając ręką Danfortha. - Czy pan i pańscy ludzie są gotowi do odlotu?

- Jesteśmy, sir. Zostawiam tu jednak kilku ludzi dla dokończenia paru jeszcze drobniejszych prac.

- Dobrze. Pomyślności i bezpiecznej drogi - powiedział Lodgers, wracając do okna. Danforth zszedł z powrotem na pokład, gdzie jego ludzie zgromadzili się wokół trzech *Sea King'ów*, stojących na lewej burcie, które rozgrzewały już silniki, szykując się do powrotnej drogi.

Rozdział Siedemdziesiąty Pierwszy

Zatoka Perska. Baza lotnicza w Ad-Dammam

12:46 czasu lokalnego (09:46 GMT)

CH-3, przewożący kapitana Brandena i jego załogę, wylądował blisko C-137, a jak tylko ich stopy dotknęły gruntu, generał Wilson i jego świta wyszli tłumnie z głównego budynku.

- O rany - powiedział Branden do wszystkich i nikogo. - On z pewnością wozi ze sobą zawsze masę ludzi, nieprawdaż?

- Jasne, że tak - odpowiedział jego drugi pilot.

- No, chodźmy, nie możemy pozwolić, żeby generał czekał - powiedział Branden, kwitując załodze naziemnej odbiór helikoptera i przechodząc do stopni prowadzących na jego pokład załogowy. Generał i jego ludzie podchodzili do tylnych drzwi, z wyjątkiem jakiegoś pułkownika, który poszedł za trójką załogi do kabiny pilotów i pojawił się tam właśnie, kiedy zajmowali swoje miejsca.

- Dzień dobry, panie kapitanie.

Branden rozejrzał się. - Sir?

- Witamy w locie generała Wilsona - powiedział pułkownik Klugge.

- Jesteśmy wdzięczni za możliwość służenia pomocą, panie pułkowniku.

- Pan generał jest zadowolony, że mógł pan przylecieć po tak doraźnym powiadomieniu. Potrzebujemy jedynie, żeby przewiózł pan nas do Bahrajnu tak szybko, a co ważniejsze, tak gładko, jak to tylko możliwe, dobrze?

- Tak jest, sir. Znamy tą część tego kraju jak własną dłoń.

- Jak długo to potrwa?

- Najwyżej około dwudziestu minut, panie pułkowniku.

- Dobrze. Gdyby pan z jakichś powodów potrzebował rozmowy ze mną, proszę tylko przycisnąć guzik linii interkomu z napisem „kabina” i ja tu podejść zobaczyć czego pan potrzebuje. Nie przeszkadzajmy generałowi jakimiś rutynowymi sprawami. Jakież pytania?

- Nie, sir, jesteśmy wszyscy gotowi.

- No więc nie będę wam przeszkadzał. Możecie startować jak tylko

będziecie przygotowani - i pułkownik opuścił kabinę pilotów. *C-137* wykołował, skręcił na główny pas i gładko uniósł się w powietrze.

- Hej, to jest proste - powiedział Branden. - Jesteśmy przyzwyczajeni do przewożenia trzystu tysięcy funtów ładunku i w porównaniu z tym, to jakbyśmy wieźli małego kotka.

- Aha - zgodził się drugi pilot. Założę się, że generał nie wiezie więcej niż kilka butelek szkockiej i torbę podróżną.

- Ale musisz wziąć pod uwagę tych wszystkich chłopców na posyłki, których zabiera ze sobą. Musi mieć co najmniej dziesięciu służbowych i kilku z piechoty morskiej na dodatek.

- No cóż, taki generał to ma wszelkie korzyści.

- Aha. Co za ciepła posadka, nie? Założę się, że piloci, którzy wożą go tam i z powrotem, nie cierpią głodu. Najlepsze żarcie i proste szychty. To musi być miłe powiedzieć trochę świata i co miesiąc lecieć do domu, żeby zameldować się żonie i dzieciakom.

- Powinieneś też wziąć pod uwagę - powiedział drugi pilot - że przy tych wszystkich podróżach, których dokonują, musieli się też przyzwyczaić do odpowiedniego jedzenia w tych wszystkich miejscach pobytu.

- Być może. Ale może jedzą zawsze jakieś generalskie resztki, aż tu raz poszli do miasta, napchali się miejscowego żarcia no i puścili pawia na te swoje ładne, czyste mundurki.

- Tak i może są właśnie teraz na czarnej liście u generała, a jeżeli my zrobimy dobrą robotę przewożąc go tam, to może zaproponują nam podjęcie się tej roboty na stałe!

- Ha, ha. Czy to nie byłoby właśnie to, co przepisał nam lekarz?

Rozdział Siedemdziesiąty Drugi

Granica Izraelsko-Jordańska. Na północ od Morza Martwego

12:58 czasu lokalnego (09:58 GMT)

Pomiędzy skalistymi wydmami, tam gdzie zaczynają się pola minowe, pięć mil od ostatnich znaków z napisem „Nie wchodzić”, dwa izraelskie *jeepy* toczyły się wolno przed siebie. Na mapach tego terenu stale jeszcze zaznaczone były stare jordańskie szlaki, które były w użyciu, kiedy jeszcze tą częścią kraju rządili Jordańczycy. Ci nieliczni, którzy odważyli się teraz wkroczyć na tą część pustkowia, czynili to na swoje własne ryzyko, bo Jordańczycy, wycofując się stąd, większość czasu spędzali na podkładaniu min. Na wschodzie, widoczne w oddali nadbrzeżne urwiska, których podstawa odpowiadała poziomowi morza, wznoszące się na wysokość 1600 stóp, wyglądały jak chiński Wielki Mur. Tu, na tym jednym z najniżej położonych miejsc na ziemi, gdzie stale przybywają turyści, chcący zwiedzić Masadę i tysiące innych, historycznych miejsc, których tak wiele w tym rejonie, panują pewne zasady: nie wyłamuj się z grupy, nie wysiadaj z pojazdu zanim nie znajdziesz się na sprawdzonym miejscu parkingowym i nie rozmawiaj z obcymi.

Po jordańskiej stronie granicy, przewodnik jadącego jako pierwszy pojazdu, stojący na przednim siedzeniu i przytrzymujący się przedniej szyby, miał oczy wlepione w dwa komplety śladów opon, ciągnących się przed nim na piasku. Ślady wiły się i skręcały pomiędzy skałami i wymagowanymi przeszkodami, co upewniało nawigatora, że ktokolwiek jechał tędy przed nim, wiedział dokładnie którędy powinien jechać. Dwa *jeepy* wjechały właśnie na szczególnie wysoki garb terenu, kiedy pasażer pierwszego wyciągnął rękę, zatrzymując pojazdy. Przed nimi, z osiami kół zagrzebanymi w piasku, tkwiła mała izraelska ciężarówka wojskowa. Sześciu ludzi chwyciło swoją broń, wyskoczyło z *jeepów* i wolno podeszło do pojazdu, rozglądając się badawczo na prawo i lewo w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak ruchu. Przewodnik prowadzący wyprawę podszedł wolno do boku ciężarówki, wszedł delikatnie na jej stopień i zajrzał do środka przez rozbite okno.

- Tu są dwa ciała - krzyknął do jednego z żołnierzy. - Wyciągnijcie je.

- Zszedł na dół i podszedł do tyłu. - Poruczniku, proszę sprawdzić pod spodem czy nie ma śladów jakiegoś majstrowania. - Jego kierowca zaczął sprawdzać wszystko pod pojazdem i wokół niego.

- Jest coś?

- Wygląda czysto - powiedział wstając żołnierz.

- Dobrze, zróbcie trochę miejsca - i pozostali poszukali sobie nawet najmniejszej możliwej osłony. Sięgnął do góry, chwycił klamkę i powoli przekręcił ją. Nic się nie stało. Pociągnął i otworzył drzwiczki na kilka cali. Pomacał górę i dół drzwiczek od wewnątrz i nie wyczuwając niczego niezwykłego, szeroko je otworzył.

- Dobra, zobacz czy możesz to uruchomić. - Odwrócił się i wrócił do *jeepa*. Kiedy obydwa ciała zostały usunięte z kabiny ciężarówki, a maska jej silnika została podniesiona, pułkownik sięgnął po słuchawkę.

- Trzecia grupa rozpoznania do centrali. Odbiór.

- Proszę mówić, pułkowniku - odpowiedział głośnik.

- Znaleźliśmy ciężarówkę.

- Czy jest pan pewien, że to ta sama?

- Jestem pewien. Na przedzie są jeszcze dwaj pasażerowie. Waśnie ich wydobywamy.

- A ładunek?

- Obawiam się, że zniknął. Najwyraźniej jego waga była za duża i ugrzązł im w piasku. Próba jego wyładowania musiała być dla nich mordęgą.

- Jakiegolwiek oznaki życia?

- Nie sądzę.

- Dziękuję, pułkowniku.

W tym momencie podbiegł do niego jeden z jego ludzi.

- Sir, jeden z nich jeszcze żyje.

- Chwileczkę - powiedział pułkownik w słuchawkę. - Jeden z tych ludzi może jeszcze żyje. Zgłoszę się do was - i odłożył słuchawkę na widełki. Chwycił leżącą w *jeepie* apteczkę i ruszył do miejsca, w którym położono ciało na piasku. Człowiek ten miał mundur izraelskiego pułkownika i był bardzo ciężko pobity. Jego oczy mrugały, a usta drżały i choć oznaki życia były widoczne, śmierć była już niedaleko.

- Próbuje coś powiedzieć, sir - powiedział kapral i pułkownik pochylił się nad ciałem oficera, a inni zajęli się jego ranami.

- Jesteś między przyjaciółmi - powiedział pułkownik po hebrajsku, wlewając nieco wody pomiędzy potłuczone wargi obolałego człowieka.

Jego usta zaczęły się poruszać. Otworzył oczy. - Kto to był, pułkowniku? Kto to panu zrobił? Może mi pan podać nazwisko?

- Agee... Agee... - wyszeptał głos ledwie dosłyszalnie.

- Tak, tak, mów dalej - prosił pułkownik. Usta podjęły ponowną próbę. - Trzeba...Trze...

- Tak? Tak? Czego ci potrzeba?

- Agee... Be... Be...Bron... - wykaszał głos.

- Tak, Tak, wiem. Broniliście się dzielnie. Powiedz jeszcze raz. Age... be...? - podpowiadał pułkownik.

- Trze... Age... Bez... Sss... - To niewielkie natężenie szeptu, na które jeszcze zdobyło się ciało, szybko słabło.

- Powtórz, powtórz! - powiedział pułkownik przysuwając ucho jeszcze bliżej jego warg. Ale tym razem nie było już odpowiedzi. Usta zadrgały po raz ostatni i choć oczy pozostały otwarte, stały się zimne i nieruchome. Pułkownik podniósł się i powrócił do *jeepa*, by przekazać wiadomości. Obydwa ciała ułożono delikatnie w tyle ciężarówki, uruchomiono silnik i umocowano linę holowniczą do zderzaka. W ciągu kilku minut ciężarówka wylazła z głębokich kolein, które sama wyryła i konwój, po wykonaniu zwrotu o sto osiemdziesiąt stopni, przygotował się do drogi powrotnej.

Rozdział Siedemdziesiąty Trzeci

Zatoka Perska. Baza lotnicza w Bahrajnie

13:05 czasu lokalnego (10:05 GMT)

Decyzja została podjęta, rozkazy wydane, a załogi lotnicze otrzymały odpowiednie instrukcje. Łączność radiowa potwierdziła tym, którzy znali żargon lotniczy, że lotnicze siły uderzeniowe w pełnej obsadzie wystartowały do lotu do Bagdadu z różnych baz w całej Arabii Saudyjskiej, włączając w to maszyny *F-15*, *-16*, *-117*, różnego rodzaju samoloty zagłuszające i samoloty-cysterny, do których miała wkrótce dołączyć trójka *B-1* z Bahrajnu, już lecąca na północ, w kierunku swych celów.

Te działania sił lotniczych, a także i morskich, nie były jednakże ograniczone jedynie do północnego krańca Zatoki. Na południu, w Bahrajnie, baza była także pełna ożywionej działalności. Sala kasyna została przekształcona w wielką salę konferencyjną. Przy głównym wejściu, na lewo od drzwi, w przedniej części sali, na podwyższeniu, mieściły się dwa główne stoły z krzesłami. W dalszym końcu sali, tyłem do drzwi, pojedynczy rząd stołów prezentował szeroki asortyment przystawek, podczas gdy z tyłu sali otwarty był w pełni zaopatrzonej bar. Rzędy krzesel, wypełniające pozostałą część sali, ciągnęły się aż do samotnego wyjścia ewakuacyjnego. Paru ordynansów kręciło się po sali, przygotowując jedzenie i serwując drinki pułkownikowi Bobowi Stanfordowi, kapitanowi Michaelowi O'Grady'emu i całej obsadzie *AWACS-a 24*, która postanowiła wcześniej zabrać się do poczęstunku. Co prawda załogi były zmęczone, ale nie miały zamiaru tracić takiej okazji do tego spóźnionego śniadania, połączonego z lunchem, szczególnie, że byli przecież gośćmi generała Sama Wilsona.

Grupa ludzi z korpusu amerykańskiej piechoty morskiej, ta sama jednostka, która poprzedniego wieczoru przejęła *Jardavian'a*, wkroczyła przez szeroko otwarte i podparte drzwi i natychmiast włączyła się do tego świętowania. Kilka minut później, razem z załogą *Osprey'a*, weszli na salę wolnym krokiem Digger, Buddy, Bill, Phil, Canny, Chancey i Doug, nie w żadnych tam kombinezonach czy mokrych ubiorach, ale w mundurach marynarki wojennej, z których byli tak dumni. Niezwykły widok bieli w tym kasynie był dla kapitana O'Grady'ego mile widzianą okazją do

zademonstrowania swoich umiejętności sprawiania, by każdy nowicjusz, przybyły, było nie było, do jego jadalni, czuł się jak u siebie w domu. Obserwował przez chwilę, jak nowoprzybyli gromadzą się przy podwyższeniu, jakby czekając na rezerwację miejsc i z kuflem piwa w ręku, pozostawiając swoje towarzystwo, podszedł by ich powitać.

- Kapitan Michael O'Grady, do waszych usług - powiedział O'Grady z irlandzkim uśmiechem. - Niech jako pierwszy powitam was w lokalu Pani O'Reilly, Pies z Gwizdkiem. Tu możecie jednocześnie głaskać waszego psa i używać gwizdka.

- Dziękuję panu, panie kapitanie - odpowiedział, śmiejąc się, Digger.

- Generał Wilson zaprosił nas dziś tutaj na spotkanie przy uroczystym lunchu, ale wygląda na to, że chyba przyszliśmy zbyt wcześnie.

- Ależ nie - powiedział O'Grady. - Jest pan we właściwym pomieszczeniu, panie komandorze. Niech pan nie bierze ograniczonej jeszcze ilości tu obecnych za wskaźnik braku zainteresowania zbliżającym się spotkaniem z panem generałem. To tylko większość załóg musiała zostać przekonana, żeby tu przyjść, ponieważ pożywienie jakie dostarcza się nam, co pomniejszym śmiertelnikom z lotnictwa wojskowego, ogólnie rzecz biorąc pochodzi z puszek. Słuchacz O'Grady'ego ponownie odwzajemnił uśmiech. - Jednakże dzisiaj wyjęliśmy naszą najlepszą porcelanę i wyczyściliśmy Pully'ego, to znaczy lodówkę generała Pullmana, więc przynajmniej nie powinien pan tu zostać śmiertelnie zatruty.

W tym momencie O'Grady dostrzegł kogoś, kto wchodził, kulejąc, przez drzwi.

- Proszę mi wybaczyć, moja pomoc jest potrzebna gdzie indziej - powiedział O'Grady przeciskając się do miejsca, gdzie stał ranny członek którejś z załóg, podtrzymywany przez brytyjskiego pilota. - Czy mogę w czymś pomóc?

- Ogromne dzięki, stary - powiedział Hawksworth. - Mój przyjaciel przeszedł właśnie okropne przeżycia, ale nalegał na swoją obecność na tym spotkaniu; jak sądzę ma to coś wspólnego z jego rozkazami.

Barton oparł się na chwilę o futrynę drzwi. - Dam sobie radę, dzięki - powiedział, ciężko oddychając.

- Oczywiście, że tak - powiedział O'Grady, wkładając rękę pod ramię Bartona. - Ale jeżeli już pozwolił pan Angolowi podpierać sobie skrzydło aż do tego miejsca, to może pan przynajmniej pozwolić poprowadzić się koledze rodakowi przez resztę drogi.

Barton skorzystał z propozycji O'Grady'ego i pokuśtykał w kierunku

najbliższego krzesła. - Czy ktoś byłby tak dobry, żeby przynieść mi drinka?
- stęknął Barton i siadając na krzesło wyciągnął przed siebie swoją ranną nogę.

- Dobry pomysł - powiedział Hawksworth, podchodząc do baru. - Tylko nie jestem pewien, czy w tym miejscu podają coś więcej niż tylko lemoniadę.

- O, zaraz, zaraz, chwileczkę - powiedział O'Grady, doganiając go. - Mamy tu jedną z najlepszych knajp na tym brzegu Missisipi i proszę, niech mi ktoś udowodni, że zamówi tu coś, czego nie będziemy mogli zmieszać.

- Markham Hawksworth - powiedział Hawksworth, kiedy podeszli do baru.

- Michael Patrick O'Grady - powiedział O'Grady, usiłując nadążyć za swym brytyjskim odpowiednikiem. - A kim jest ten nasz ranny członek załogi?

- Ten? O, to jest major Barton, do niedawna w waszej Marynarce Wojennej, jak przypuszczam.

- W Marynarce? To co on tu robi w mundurze lotnictwa wojskowego?

- Bo tylko taki mundur mogliśmy znaleźć. Jego poprzedni ubiór został zniszczony ogniem z broni palnej.

- Postrzelali mu bagaż?

- Nie, w czasie tej strzelaniny on miał ten mundur na sobie - powiedział Hawksworth, odwracając się do stewarda, oczekującego zamówień. - Jedna szkocka z wodą, lemoniada z lodem i - odwracając się do O'Grady'ego - pańska trucizna, panie kapitanie?

- O, ja wezmę jeszcze jedno piwo, dziękuję i można je wlać tutaj - powiedział O'Grady, wskazując kufel przed sobą. - Lemoniada? Sądziłem, że po tym, co pan mówił, ma pan zamiar zamówić coś mocniejszego.

- Niezupelnie, bo jestem stale na służbie i ruszę w drogę jak tylko to przyjęcie, ee, to znaczy, to spotkanie, zostanie zakończone.

Drinki zostały podane i Hawksworth, pozostawiając O'Grady'ego samemu sobie, zaniósł szkocką Bartonowi.

- Proszę bardzo, majorze. Mam nadzieję, że to będzie panu odpowiadało. - Barton przyjął szklaneczkę z wdzięcznością i pociągnął łyżeczek.

Skinął głową z aprobatą, a Hawksworth usiadł obok niego i przyglądał się nowo przybywającym. Mundury lotnictwa i marynarki przemieszały

się ze sobą. Niektórzy podchodzili do baru, inni do przekąsek, a wszystko, co Hawksworth mógł zrobić, to zaakceptować ten nieco egoistyczny zwyczaj jego amerykańskich odpowiedników, urządzania przyjęcia za każdym razem, kiedy zestrzelili jakiś samolot. Pomieszczenie wypełniło się wkrótce dźwiękiem głosów, brzękiem szkła i sporadycznymi wybuchami śmiechu. I kiedy Hawksworth rozglądał się wokół, rozważał z podziwem, że każdy z tych ludzi mógłby być wysłany przeciwko najlepszym, jakich mogła zaproponować reszta świata i każdy z nich mógłby okazać się lepszy. Ale zebrani razem, w jednym pomieszczeniu, wyglądali jedynie jak zwykła gromada facetów, urządzających wesołe przyjęcie dla jednego ze swoich kolegów.

W tym momencie jego uwaga została ściągnięta ponownie w kierunku głównych drzwi, bo do sali weszli dwaj generałowie i wstąpili na podium. Steward podszedł przyjmując od nich zamówienia, a trzech inni oficerowie zajęli swoje odpowiednie miejsca na lewym końcu podwyższenia. Podano kilka więcej drinków i wreszcie na podium wszedł jakiś pułkownik, zameldował się swoim przełożonym i przywołał zebranych do porządku.

- Panowie, zechciejcie zająć miejsca. - Z tac chwycono skwapliwie kilka ostatnich porcji drinków i przekąsek i tłum porozmieszczał się w sali, skupiając się w swoich grupkach. Rozkaz pułkownika dał także sygnał dwóm żołnierzom piechoty morskiej z jednostki ochrony bazy do zamknięcia drzwi. - Sierżancie, może pan teraz wprowadzić więźniów - i dwóch *Marines* rozstąpiło się na boki, kiedy czterech Irańczyków, w różnym stanie i pod strażą, przemaszerowało na tyły sali. - Teraz chciałbym przedstawić tym, którzy są tu nowi u nas w Bahrajnie, kierującego naszymi operacjami, pana generała-majora Larry'ego Pullmana. Panie generale?

Pullman, który siedział w środku obok generała Wilsona, wstał i odchrząknął. W sali zapanowała cisza.

- Dziękuję, pułkowniku. Wiem, że wielu z was zastanawia się czemu poprosiłem was o towarzyszenie mi w tym spotkaniu, jako że są tu niektóre załogi, które nie miały bezpośredniego związku z ostatnimi atakami na naszą flotę. Ale mamy to poczucie, że wszyscy działamy na rzecz tej samej wspólnoty i czy bezpośrednio czy też pośrednio, wszyscy byliście odpowiedzialni za tą dzisiejszą udaną obronę naszych operacji w Zatoce. Powinienem też dodać, że obecni tu czterej Irańczycy byli uczestnikami ustawicznych prób minowania tego rejonu, podejmowanych przez ich kraj

i dzięki członkom *Złotej Foki*, będących tu dzisiaj z nami, *Jardavian* i jego załoga nie będą już więcej utrudniać naszego przechodzenia przez te tory wodne. W sali odezwało się kilka pomruków.

- Powinienem także dodać, że ci więźniowie nie mówią ani słowa po angielsku i zostali tu zaproszeni przez naszych kolegów z Marynarki. Będziemy starali się być tak zwięzli jak tylko to możliwe, biorąc pod uwagę fakt, że właśnie rozpoczęliśmy ponownie działania przeciwko Irakowi, a więc wszyscy będziemy musieli wrócić na nasze stanowiska. Kończąc, chciałbym powitać wszystkich pozostałych gości uczestniczących w tym spotkaniu i przedstawić pana generała-porucznika Sama Wilsona, dowodzącego teatrem naszych działań w Azji tym, którzy nie mieli dotychczas przyjemności poznania go. Panie generale? - powiedział Pullman, zwracając się do swego przełożonego i następnie siadając.

- Dziękuję ci, Larry - powiedział Wilson wstając. - Czy mogę teraz poprosić, żeby wszyscy marynarze, którzy zechcieli uprzejmie, na ochotnika, serwować nam dzisiejszego popołudnia posiłki i napoje, oraz wszyscy inni, którzy nie otrzymali bezpośredniego rozkazu swojej obecności tutaj, z wyjątkiem *Marines*, zechcieli wyjść? - Siedmiu marynarzy szybko wyszło z sali, a kiedy opuścił ją ostatni z nich, drzwi zostały zamknięte przez jednego z uzbrojonych strażników.

- Niektórzy z was mogą przypuszczać, że przyczyną, dla której wszyscy zostaliście tu dzisiaj zaproszeni, jest świętowanie zestrzelenia i zdobycia *Miga-29*, który, jak większość z was wie, jest wystawiony na dole, na terenie stoczniowym. Ale kiedy rozważa się całą serię wydarzeń, jakie nastąpiły dzisiaj w rejonie Zatoki, dotyczących nie tylko fregaty *Stork*, ale także ataku na *Grupę Szóstą*, przeprowadzonego dziś wczesnym rankiem, a dokonanego nie przez tego *Miga*, to nie byłoby zbyt wiele do świętowania. Pierwszą rzeczą, którą chcę uczynić dla wszystkich jasną jest to, że wszystko, cokolwiek będzie tego popołudnia powiedziane w tej sali, musi być traktowane jako informacja objęta pełną tajemnicą. Wszyscy z was już wiedzą, że coś przydarzyło się *Grupie Szóstej*, więc dla zapobieżenia dalszemu rozprzestrzenianiu się komentarzy w tej sprawie, Pentagon rozkazał wszystkim tu obecnym, żeby potraktowali to spotkanie jako nadzwyczaj poufne i że nic z tego, co będzie tu dzisiaj omawiane, nie może być przekazane żadnemu koledze z załogi ani oficerowi. Co więcej, prosimy, byście oparli się wszelkim pokusom, jakie możecie mieć, dyskusowania tych

spraw nawet z tymi, którzy są tu obecni. Jeżeli ktokolwiek z was będzie przypadkiem usłyszany, kiedy po dzisiejszym dniu, z jakichkolwiek przyczyn, dyskutuje na temat treści tego spotkania, będzie uważany za osobę naruszającą warunki swego zatrudnienia i odpowiednio potraktowany.

Jeżeli do tej chwili ktokolwiek ze słuchaczy generała Wilsona nie poświęcał jego słowom odpowiedniej uwagi, to teraz uważali już pilnie wszyscy.

- A teraz, zanim będziemy kontynuować, żeby się po prostu upewnić, że wszyscy są obecni, chciałbym, żebyście wszyscy wstali i kiedy będę wyczytywał wasze nazwiska, niech odpowiedni dowódcy upewnią się, że nie siada nikt, kto nie jest ich bezpośrednim podkomendnym. Cała sala wstała a generał podniósł notatnik.

- Główny stół jest zaakceptowany - i czterej oficerowie lotnictwa i dwaj z marynarki usiedli. - Pułkownik Stanford i jego zespół na pokładzie AWACS-24. - Stanford i jego zespół usiedli. - Kapitan O'Grady i załoga lotnicza AWACS-24. - W miarę jak generał Wilson kontynuował odczytywanie swojej listy, właściwy dowódca sprawdzał swoich ludzi wokół siebie, a każdy z nich, w kolejności, zajmował swoje miejsce. - Kapitan Danforth i jego zespół. - Po każdym nazwisku Wilson robił przerwę, by pozwolić wywoływanym na zajęcie miejsc. - Komandor Davis i jego koledzy z marynarki, reprezentujący *Grupę Szóstą*. Kapitan Chuck Fulton ze *Stork'a*. Major Barton. Kapitan Hawksworth. Członkowie *Złotej Foki*. Kapitan Branden i jego załoga. Pułkownik Klugge i reszta mojego sztabu. Kapitan Dan Hinkley i ludzie z jego dywizjonu. I na koniec, kapitan Davidson z *USS Philadelphia*.

Generał Wilson zlustrował wzrokiem salę i dojrawszy, że wszyscy usiedli, rzucił okiem na swój zegarek, pociągnął mały łyk wody i podszedł do przedniej części podwyższenia.

- Teraz, kiedy upewniliśmy się, że jesteśmy tu wszyscy, czas wrócić do sprawy. Po pierwsze, pozwólcie mi dokonać dla was oceny interesującego rozwoju niektórych wydarzeń w związku z Irakiem i krótko omówić nasze obecne zamiary...

Rozdział Siedemdziesiąty Czwarty

Washington D.C N.S.A. (Agencja Bezpieczeństwa Narodowego)

04:17 czasu lokalnego (10:17 GMT)

Fort George G. Meade, rozmieszczony na tysiącu akrów pierwszorzędnej nieruchomości, w połowie drogi pomiędzy Baltimore i Waszyngtonem, rozsiadł się, jak zamknięty w klatce ptak, oczekujący swej codziennej porcji pożywienia. To co kiedyś było tylko jednoosobowym pomieszczeniem biurowym w małym budynku zaopatrzenia wojskowego, teraz rozrosło się, by stać się kwaterą główną największej społeczności wywiadowczej na świecie. Choć większe od ponad 130 innych miast w stanie Maryland, wypełnia się do prawdziwie wielkich rozmiarów, kiedy tylko rusza poranna fala dojeżdżających tu do pracy. Z zamkniętej dla ruchu ciężarówek alei, łączącej Baltimore z Waszyngtonem, tysiące miejscowych wlewają się tłumnie na ogromne tereny parkingowe, niemal dublując ilość osób z prawem stałego pobytu w tym mieście Narodowej Agencji Bezpieczeństwa. Miasto ma własną elektrownię, sklepy, autobusy, siły policyjne, biuro podróży, bank, przychodnię lekarską, bibliotekę, otwartą centralę telefoniczną, a nawet własnego fryzjera. Ale lokalizacji tego miasta nie znajdzie się na żadnej mapie. Jego działalności ani kosztów nie zapisano w jakimkolwiek budżecie rządowym. A co więcej, w ostatnich dziesięciu latach urzędnicy federalni potwierdzili jedynie samo istnienie tego *Pałacu Zagadek* i nawet dziś, pomimo jego rozmiarów i znaczenia, nie ustalono żadnych przepisów, które by wymieniały te formy działalności, w które Agencji Bezpieczeństwa Narodowego nie wolno się angażować.

Komandor John Latchkey i pułkownik Ken Trist wsiedli na tylne siedzenie nieoznakowanego *Forda* i przygotowali się do wyjazdu. Do tego zaplanowanego z wyprzedzeniem spotkania doszło przed dużym, czynnym przez całą dobę sklepem, jakieś cztery mile od głównych bram.

- Jaki jest wasz stan gotowości, panie pułkowniku? - zapytał Latchkey, zapinając pas bezpieczeństwa.

- Dyrektor Agencji zarządził pełny stan pogotowia i teraz, kiedy tu rozmawiamy, dwa tysiące naszych żołnierzy rozlokowuje się wokół całego obrzeża terenu.

- Możemy na to spojrzeć?
- Oczywiście. Kapralu - powiedział Trist podnosząc głos - z powrotem do biura.

Ford zawrócił w prawo, zmieszał się z ruchem ulicznym, dość intensywnym jak na tak wczesną porę ranka i skierował się w stronę pętli, która miała przeprowadzić ich pod autostradą i dalej, do Fortu Meade.

- Całe to urządzenie jest zaprojektowane w taki sposób, żeby uniemożliwić jakiegokolwiek nieupoważnione wejście - kontynuował Trist.

- Moje rozkazy mają utrzymać w Agencji najwyższy stopień bezpieczeństwa i przyłgną do pana jak klej. - Trist zaśmiał się, patrząc nieco z góry na to zbliżenie z kolegą z Marynarki. - Niezwykłe jest widzieć kogoś z Marynarki, noszącego broń boczną, panie komandorze...

- Dość niezwykła jest sama sprawa, panie pułkowniku.

- No, to na pewno. Sprawdziłem wszystko z personelem transportu i w ostatnich czterdziestu ośmiu godzinach nie było tu pojazdów wystarczająco dużych, by przewiozły do naszego kompleksu takie urządzenie, jakie pan opisał, więc jeśli ich celem jest NSA, to nie zrealizują swojego zadania tu, od wewnątrz.

- A co ma ich powstrzymać przed podjechaniem ciężarówką do bramy i odpaleniem urządzenia tam właśnie i w wybranym czasie? - zapytał Latchkey.

- Przesunęliśmy patrol od bramy aż do zewnętrznych granic naszego terenu.

- Jak to daleko od głównej bramy?

- Kilkaset jardów.

- Ależ my musimy ochraniać Agencję na odległość mili, może nawet dwóch!

Trist przewrócił oczami wobec takiej perspektywy.

- Czy ma pan pojęcie, czego będzie wymagała ochrona pasa terenu o szerokości dwóch mil?! Mówi pan o całkowitej ewakuacji placówek około czterdziestu typów różnej działalności handlowej i co najmniej trzystu prywatnych domostw, nie mówiąc już o kompletnym zablokowaniu alei dla ruchu w obydwu kierunkach! Będziemy tu mieli natychmiast tłumy dziennikarzy ze wszystkich możliwych stacji, od lokalnych aż po CNN!

- Jakiego rodzaju pojazdów macie tu w Meade? - zapytał Latchkey, wyciągając z wewnętrznej kieszeni mały notes.

- Panie komandorze, Fort Meade jest bazą o pełnej gotowości. Niech pan wymieni jakiś rodzaj pojazdu, a będziemy go mieli.

- Dobrze. Czy mógłbym uzyskać połączenie z tym numerem telefonu? Będziemy tu potrzebowali pewnej pomocy. Pułkownik podniósł słuchawkę telefonu, wykręcił numer i podał ją Latchkey'owi. Po krótkiej rozmowie Latchkey oddał słuchawkę Tristowi i kontynuował swój ciąg myśli. - A co z nalotem na niskim pułapie?

- Takiej możliwości również nie ma. Cała przestrzeń powietrzna jest tu zamknięta i nie wolno nikomu, w żadnych okolicznościach, przelatywać nad Agencją.

- Ale pułkowniku, my nie mówimy tu o robieniu zdjęć czy zrzuceniu bomby i wrywaniu stąd. Mówimy o samolocie wystarczająco dużym, by zabrał urządzenie wagi jednej tony. Pilot tego samolotu nie będzie martwić się o to, że może być zestrzelony albo wysłany do więzienia na resztę swego życia. Są pewni Irańczycy, którzy mają rozkaz uderzenia w Agencję i nie będą rozważać konsekwencji dla siebie, łącznie z własną śmiercią.

- Dwie eskadry *F-4* są już w górze i stale patrolują, więc nie sądzę, żebyśmy mieli tu jakiś problem - powiedział Trist z przekonaniem.

- Proszę mi wybaczyć, panie pułkowniku, ale kiedy po raz ostatni *NSA* była zagrożona z powietrza?

- No cóż, nie jestem pewien, czy w ogóle kiedykolwiek była zagrożona - odparł Trist.

- I o to mi właśnie chodzi. - Latchkey pochylił się do przodu. - Parę podstawowych pytań. Jaka jest odległość od najbliższego korytarza powietrznego?

- Są takie dwa, do i z lotniska *Friendship International*. Jeden na północ i jeden na zachód, a obydwie w odległości co najmniej siedmiu mil stąd.

- Skraj czy środek?

- Co pan ma na myśli?

- Niektóre korytarze mają szerokość do trzech mil. Więc czy są one o siedem mil stąd, licząc od ich skraju, czy ich skraj leży bliżej?

- Siedem mil do skraju - odpowiedział Trist szorstko.

- Czy jakkolwiek samolot zawędrował kiedykolwiek poza granice korytarza? - zapytał Latchkey tak, jakby znał już odpowiedź.

- Rozumiem o co panu chodzi, komandorze, ale co możemy na to poradzić?

- Nie jestem pewien, czy my możemy cokolwiek na to poradzić, ale kontrola ruchu powietrznego z pewnością może.

- I co pan zamierza teraz zrobić, John, zamknąć wszystkie lotniska w okolicy?

Latchkey usiadł głębiej w swoim fotelu i popatrzył na zewnątrz w migotliwą ciemność, towarzyszącą *Fordowi* w jego drodze. Zaczęło mżyć i łagodny deszcz, mieszający się ze światłem mijanych lamp ulicznych, dawał Latchkey'owi uczucie izolacji od wszelkich zagrożeń.

- Nie, to zwróciłoby zbyt wiele uwagi, ale może autorytet waszego dyrektora mógłby ich przekonać do tego, by nieco ograniczyć te korytarze, żeby dać nam chwilę wytchnienia. Ale nawet przy tej odległości samolot może opuścić korytarz i w parę minut znaleźć się znów w jego granicach, więc może nie warto nawet upominać się o to.

- Jak pan myśli, ile mamy czasu?

- Nie jesteśmy pewni. Admirał Swanson powiedział mi, by oczekiwać wszystkiego o każdym czasie, licząc już od teraz.

- To dość luźno powiedziane, nieprawdaż? - Czy nie posiadamy bardziej szczegółowych informacji?

- No cóż, ponieważ macie tu najsprawniejsze uszy świata, prowadzące przecież stały nasłuch, więc miałem nadzieję, że wy mi ich trochę udzielicie.

- Co pan chce przez to powiedzieć? Ja pracuję w ochronie, a nie w przechwytywaniu sygnałów. Pan przypuszczalnie wie znacznie więcej o tym, co tu się dzieje, niż ja. Z tego co wiem, nosi pan jeden z naszych urzędowych pagerów.

- To jest myśl. Ale nie. To zastępca dyrektora będzie miał kogoś, kto będzie do pana dzwonił.

- Ma w zasięgu wszystkie bazy, co? - wyszeptał Trist, kiwając z aprobatą głową.

- Mam nadzieję - powiedział Latchkey. - Admirał sądzi, że najbardziej prawdopodobny czas uderzenia to powinno być około zero-sześć-zero-zero, albo coś koło tego.

- Jak on to wylicza?

- To tylko przypuszczenie, a dwunasta-zero-zero *GMT* wydaje się równie dobra.

- To drugie brzmi nieźle. No cóż, to właśnie mogłoby dać nam wystarczającą ilość czasu na zwanie szeregów.

Ford skręcił na *Savage Road* i choć Latchkey spodziewał się zobaczyć

wielki kompleks, tych kilka świateł, które paliły się w głównym budynku, wystarczyło mu, żeby zdać sobie sprawę, że nie docenił ogromu pełnych rozmiarów i proporcji obiektów Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Już na pierwszy rzut oka łatwo było przypuścić, że dorównują one rozmiarami głównym budynkom administracyjnym Ubezpieczeń Społecznych a może nawet obiektom centrali CIA, ale nawet i te ostatnie, jak to Latchkey miał wkrótce odkryć, przegrywały to porównanie. Dziewięciopiętrowa konstrukcja była jedynie rodzajem atrakcyjnej dekoracji, umieszczonej pośrodku ponad 1,9 miliona stóp kwadratowych przestrzeni operacyjnej, stanowiącej główną siedzibę NSA. O tej porze nocy ocena perspektywicznej głębi była co najmniej trudna i Latchkey był zdziwiony odkrywając, że im bardziej zbliżał się do jasnobrązowej budowli z jej trzykondygnacyjną dobudówką w kształcie litery A, tym dalej wydawały się być pozostałe budynki.

Ford zatrzymał się w miejscu, które wyglądało na przypadkowe, ale trzech uzbrojonych strażników podeszło natychmiast do samochodu. Kierowca opuścił okienko, ale zanim zdążył sięgnąć po swój dokument tożsamości, wszystkie czworo drzwi zostały otwarte i zabrzmiało polecenie, żeby wszyscy wysiedli. Opad lekkiego deszczu był minimalny, ale ludzie na służbie byli ubrani tak, jakby oczekiwali burzy. Kaptury, rękawice i grube okrycia były, jak widać, w rozkazie dziennym. Cała trójka wysiadła.

- Przepraszam, sir - powiedział sierżant, który stanął przy boku Latchkey'a - będzie pan musiał zostawić u nas swoją broń boczną. - Latchkey uczynił to. - Będzie pan mógł ją od nas odebrać przy wyjeździe, sir.

- W porządku - powiedział Trist tonem odrzucającym to polecenie. - On jest ze mną.

Pojawili się czterej inni umundurowani i sprawdzili wnętrze wozu, otworzyli bagażnik i maskę i oświetlili nawet mocnymi lampami podwozie. Z boku, po stronie kierowcy, ktoś skinął głową. - Może pan jechać dalej, panie pułkowniku - powiedział sierżant i trójka wsiadła do *Forda*.

- Dobra robota, panie pułkowniku - powiedział Latchkey kiedy samochód już ruszył.

- Bezpiecznie musi znaczyć bezpiecznie, panie komandorze.

- Wie pan - zastanawiał się głośno Latchkey - jest jeszcze jedna grupa problemów, które musimy rozważyć.

- Co to takiego?

- No więc, jeżeli mają zamiar spróbować ataku z powietrza, wtedy to urządzenie z całą pewnością rozwalił całe wyposażenie komputerowe również na pokładzie atakującego samolotu. Nie ma sposobu, żeby uderzyli w nas, nie uderzając w siebie samych, chyba że zrzucą to z wysokości większej niż dziesięć tysięcy stóp.

- To co pan chce przez to powiedzieć?

- Oni albo wyrzucą to przez drzwi z dużej wysokości, albo, co bardziej prawdopodobne, mogą się zdecydować na użycie takiego samolotu, który nie musi za bardzo polegać na pracy komputerowych chipów, żeby pozostać w powietrzu. Mogą wtedy odpalić to urządzenie wewnątrz swego samolotu z nadzieją, że przy okazji uderzą w parę naszych *Phantomów*. W ten sposób mogą zredukować możliwości naszych pilotów do latania jedynie na hydraulicie i mają także szanse zachować całe urządzenie, żeby użyć je ponownie.

- Czy nasi piloci wiedzą o tym?

- Przypuszczalnie.

- W takim razie, lepiej się upewnić.

Rozdział Siedemdziesiąty Piąty

Zatoka Perska. Baza Lotnicza w Bahrajnie

13:28 czasu lokalnego (10:28 GMT)

Generał Wilson ponownie spojrzął na zegarek i pociągnął następny łyk wody.

- No więc, panowie, taka była kolejność wydarzeń, które dzisiaj miały miejsce, a teraz idźmy dalej. Pozwólcie, że podzielę się z wami paroma posiadanymi przez nas najświeższymi informacjami z dziedziny wojny elektronicznej. Jak większość z was wie, po rozpoznaniu problemu impulsów elektromagnetycznych *EMP*, środowiska naukowe zaczęły pracować nad stworzeniem urządzenia, które mogłyby wytwarzać te impulsy, mogące posłużyć do testowania naszych technik utwardzania materiałów osłonowych. Choć zadanie to było trudne i wymagało zaangażowania najlepszych naukowców, jakich można było zdobyć, kiedy już raz stało się możliwe wytwarzanie *EMP* na życzenie, to przeprowadzenie testów i ustalenie właściwego składu materiałów osłonowych, niezbędnych do ochrony naszego wyposażenia, było już sprawą prostą. Od tego czasu musieliśmy ponosić koszty zainstalowania tych utwardzonych osłon w całym wyposażeniu naszych jednostek pierwszej linii, bo trzeba przecież było utrzymać możliwość działania operacyjnego w polu ataku nuklearnego albo, co jak sądziliśmy mogło się też wydarzyć, pojedynczego ataku *EMP*, zastosowanego przez państwo zdolne do wyprodukowania takiej broni. Jedynym takim państwem z tego co wiemy, które w tej chwili posiada takie techniczne możliwości, jest Rosja, więc można z dużym prawdopodobieństwem przyjąć, że oni mają podobne urządzenie. Czy udało się im wytworzyć miniaturową wersję takiego trzydziestopięciotonowego mechanizmu, którego my używamy do wytwarzania *EMP*, czy też nie, to już inne pytanie.

W tym momencie drzwi zostały otwarte i wszedł admirał Swanson. Kiedy Wilson z lekką ale widoczną ulgą dostrzegł obecność admirała, uśmiechnął się do niego, ustępując mu miejsca.

- Panowie, pozwólcie mi przekazać tok dyskusji w ręce admirała Pata Swansona, który właśnie przyleciał wprost z Pentagonu, żeby wprowadzić nas w ostatnie wydarzenia.

Swanson wszedł na podium, przez kilka chwil słuchał uważnie cichego szeptu generała, a następnie, kiedy Wilson wrócił na swoje miejsce, wyszedł na przód podwyższenia.

- Dziękuję panu, panie generale. Przepraszam za moje wejście, które może się wydawać nie w porę, ale przylecieliśmy tu tak szybko, jak tylko mogliśmy. Lot z Waszyngtonu, w formie w jakiej miał miejsce, trwał jedynie dwie i pół godziny, ale oczywiście wołałbym jednak być tutaj od początku spotkania, prowadzonego pana generała Wilsona i - zwracając się na krótko twarzą ku generałowi - dziękuję mu za zastępowanie mnie w tym czasie.

Na kilku twarzach pojawił się wyraz niedowierzania kiedy zastawiano się, jakież to srodek transportu mógł dokonać tak błyskawicznego przerzutu.

- Ponieważ pan generał zaznajomił was na bieżąco z pierwszym i drugim etapem historii impulsów magnetycznych, powinienem rozpocząć od podobnego zaznajomienia was z etapem trzecim. - Swanson mówił wolno i z rozważą.

- Przed kilkoma godzinami zostałem powiadomiony, a mógłbym dodać, po raz pierwszy, że dokonany został następny krok w wykorzystaniu *EMP*. Otóż, zbudowano ostatnio urządzenie, które może wytwarzać impulsy elektromagnetyczne w takiej postaci, która jest zdolna przenikać prawie wszystkie rodzaje naszych materiałów osłonowych. Zostało ono jednakże wyprodukowane nie przez ekspertów wojskowych, pod nadzorem rządu Stanów Zjednoczonych, ale przez prywatną organizację, pod czujnym okiem jednej z naszych agencji wywiadowczych. Członek głównego zespołu projektantów, niejaki doktor Adams, który pracował przy pierwotnych testach, po przejściu na emeryturę zaczął pracować jako doradca u drobnego, ale bardzo aktywnego przedsiębiorcy w Connecticut. Pracownicy tej firmy zbudowali i ostatecznie dostarczyli do rąk wspomnianej agencji, dla przetestowania, nie jeden, ale dwa takie specjalne nadajniki impulsów elektromagnetycznych. Te urządzenia, znane jako *EXEMPT-y*, miały być zawiezione do Nevady, gdzie miały być testowane pod nadzorem paru wyższych rangą urzędników tej agencji. W rzeczywistości, jeden z tych *EXEMPT-ów* został zabrany do magazynów portowych w Nowym Londynie i umieszczony na małym statku towarowym, odpływającym do Izraela. Trzej osobnicy, którzy zaplanowali tą operację, polecieli do Tel Avivu na dzień przybycia tego statku, by otrzymać bardzo wysoką zapłatę, która, jak

sędzili Izraelczycy, miała być wpłacona na konto fikcyjnej spółki, utworzonej przez Agencję specjalnie dla prowadzenia delikatnych transakcji, takich jak ta właśnie. Musieliśmy niestety poinformować ich, że konto to jest w rzeczywistości kontem prywatnym, założonym jedynie w celu zapewnienia finansowego bezpieczeństwa tym trzem, byłym już, urzędnikom Agencji. Nie ma potrzeby mówić, że nie możemy jeszcze znaleźć jakiegokolwiek śladu tych trzech typów, jako że transakcja miała miejsce przed dwoma dniami. Izraelczycy, sądząc, że mają pełną aprobatę rządu Stanów Zjednoczonych dla wypróbowania tego urządzenia, zdecydowali przewieźć je na pustynię Negev i użyć je przeciwko jakimś czołgom, które miały być właśnie doposażone w nową technologię. Na nieszczęście, urządzenie to nigdy nie przybyło do miejsca swego przeznaczenia. W późnych godzinach ostatniej nocy, kiedy było ono transportowane na południe, ciężarówka wioząca *EXEMPT* została uprowadzona i to w centrum Tel Avivu. - Pomruk na krótko wypełnił salę i Swanson wykorzystał tą możliwość, by pociągnąć łyk wody. Właśnie kiedy ponownie napełniał swą szklankę, rozległo się pukanie do drzwi. Swanson skinął głową i drzwi zostały otwarte. W rękę jednego z *Marines* wetknięto notatkę i drzwi zostały ponownie zamknięte.

- O co chodzi, Sierżancie? - zapytał Swanson.
- Pilna wiadomość z Waszyngtonu dla pana, sir.
- Dobrze - odpowiedział admirał, biorąc ją od niego. Swanson czytał notatkę niecierpliwie, popijając swój napój, a następnie schował ją do wewnętrznej kieszeni.

- Tak. Sądźmy, że w jakiś tam sposób ten *EXEMPT* został zabrany do Kairu i załadowany do koreańskiego -747. Znajdująca się w tym samolocie grupa terrorystów, przez podłożenie ognia w dwóch jego silnikach, spowodowała sprowadzenie samolotu w dół, nisko nad *Grupę Szóstą* i wtedy odpaliła urządzenie.

Swanson podszedł teraz do samego brzegu podwyższenia i następnymi kilka słów wypowiedział jeszcze wolniej i z jeszcze większym rozmysłem. Chciałbym dodać, że ci sami osobnicy, którzy są odpowiedzialni za zrzućenie tego urządzenia na *Grupę Szóstą*, ci sami osobnicy, którzy byli częścią tej gigantycznej konspiracji, wynajęci przez tych, którzy pragnęli zobaczyć, jak doznajemy uszkodzeń w każdy możliwy sposób i w każdej możliwej postaci i formie i jak tracimy wiarygodność w całym świecie arabskim, w tej właśnie chwili znajdują się na tej sali!

Fala pomruków przetoczyła się przez salę i oczy zwróciły się na więźniów.

- I choć możemy przecież oddać tych sprawców w ręce sprawiedliwości - kontynuował Swanson, to bardziej przejmuję nas fakt, że gdzieś tam jest jeszcze jeden *EXEMPT* i musimy odzyskać go tak szybko, jak tylko będziemy mogli. Dopóki nie ustalimy miejsca jego dokładnej lokalizacji, będziemy musieli zakładać, że następne uderzenie może nastąpić w każdej chwili. W tym celu postawiliśmy nasze siły zbrojne w stan pełnego pogotowia i rozkazaliśmy wszystkim naszym dowódcom w terenie, by ograniczyli ruch powietrzny wokół naszych baz lądowych i morskich na tym obszarze. Notatka, którą właśnie otrzymałem, potwierdziła, że tylko jeden *EXEMPT* został przetransportowany statkiem do Izraela i że wiarygodne źródło zdołało ostatnio przekazać nam przypuszczalną lokalizację drugiego urządzenia.

Rozdział Siedemdziesiąty Szósty

Washington D.C. N.S.A. (Agencja Bezpieczeństwa Narodowego)

04:35 czasu lokalnego (10:35 GMT)

Po pełnym objeździe granic *Ford* zatrzymał się gwałtownie przy przezwie w ogrodzeniach.

- Dzień dobry, sir - przez opuszczone okno odezwał się jakiś głos z mgielki skondensowanej pary.

- Jak wyglądają sprawy, Len? - zapytał Trist, pochylając się do przodu.

- Sporo pracy. Właśnie skończyłem obchód ogrodzeń. Mamy już ośmuset ludzi, rozstawionych wokół ogrodzenia zewnętrznego i następnych pięciuset wokół wewnętrznego. Wystawiłem dodatkowo cztery starsze oddziały do pieszego patrolowania wokół zewnętrznego i cztery do wewnętrznego, włączając w to dodatkowe wsparcie, którego pan żądał.

- Czy łączył się pan z *FANX*?

- Tak jest, sir. Wysłałem tam kilka dodatkowych oddziałów, tak na wszelki wypadek.

- Zdobądźcie mi *jeepa*, dobrze? Zabieram pana komandora do mojego biura.

- Dobrze, sir - major wyprostował się i zsalutował. Okno zasunęło się.

- *FANX*? - zapytał Latchkey.

- „Dodatek Przyjaźni”, tam, w porcie lotniczym. Takie drobne urządzenie, bo musimy zabezpieczyć się przed wszelkimi możliwościami.

Ford wykonał kilka szerokich skrętów zanim zatrzymał się przy krawężniku głównego wejścia, a dwaj następni uzbrojeni wartownicy sięgnęli do klamek drzwi wozu. Trist i Latchkey podeszli po tuzinie stopni aż do szklanych drzwi.

- To jest portiernia numer jeden - powiedział Trist. - Chodźmy pana wpisać.

Kiedy dwaj strażnicy federalnej służby ochrony w niebieskich uniformach podeszli do nich, Trist wyciągnął coś spod swego munduru i strażnicy porównali twarz pułkownika z laminowaną plastikiem, oznaczoną kolorami,

perforowaną komputerowo oznaką ochroniarską. Zasalutowali i wskazali im kierunek w prawo. Trist i Latchkey przeszli następny zestaw szklanych drzwi i weszli do luksusowej poczekalni, w której pojawił się natychmiast młody człowiek z jakimiś papierami.

- Zrób to szybko - powiedział Trist. - Poręczam za niego, John, procedura rutynowa. Muszę wykonać kilka szybkich telefonów. Zaraz wracam.

Młody człowiek usiadł z Latchkey'em i wypełnił blankiet „Poręczyciel”. Po kilku chwilach Trist wrócił.

- Wszystko przygotowane? - zapytał Trist.

Młody człowiek wyciągnął plakietkę o wymiarach 4,5 na 2,5 cala, w biało-czerwone paski.

- Czy może pan podpisać dla pana komandora, panie pułkowniku?

Trist ujął plakietkę i podpisał ją w odpowiednich miejscach, a Latchkey przypiął ją do kłapy munduru.

- W porządku, chodźmy. - Latchkey poszedł za Tristem z powrotem przez szklane drzwi, by napotkać ponownie niebieskie uniformy. Powtórzyli czynności sprawdzające i tym razem, po stwierdzeniu zgodności i ważności plakietki Latchkey'a, pozwolili im przejść przez korytarz do hallu budynku siedziby głównej.

Latchkey był pod wrażeniem długiego malowidła ściennego, które rozciągało się wzdłuż jednej ze ścian, przedstawiającego różne typy pracowników, niektórych w słuchawkach na uszach, a innych, odbierających sygnały z satelitów. Po raz pierwszy od swego przybycia na teren tej siedziby był świadkiem takiej demonstracji charakteru miejsca w którym się znalazł, jako że nawet plakietka, którą nosił, miała tylko prosty napis „Jednodniowa”. Na końcu tego pasaży ogromna pieczęć Agencji zdominowała całą ścianę. Zawierająca ponad dwadzieścia tysięcy przykrawanych ręcznie kostek bizantyjskiego, wytapianego szkła, pieczęć o średnicy czterech stóp przedstawiała orła na niebieskim tle, trzymającego straż, ściskającego w szponach starodawny, uniwersalny klucz. Klucz do otwierania kodów sygnałowych z całego świata, przy czujnym chronieniu własnego. Wokół części zewnętrznej pieczęci tylko trzy słowa iskrzyły się w przyćmionym świetle: „AGENCJA BEZPIECZEŃSTWA NARODOWEGO”.

Skreśli w lewo i znaleźli się w hallu wieżowca, obwieszzonego portretami wszystkich poprzednich dyrektorów Agencji.

- Gdybyśmy mieli więcej czasu, mógłbym tu pana trochę oprowadzić - powiedział Trist, odpowiadając na salut następnego strażnika. - Te windy

mogą zabrać pana na dół do superkomputera *Cray* albo na górę, do *mahoniowych pomieszczeń*, gdzie rezyduje dyrektor *N.S.A.*

Szli dalej przez następny zespół szklanych drzwi, łączących wieżowiec z centrum operacyjnym, aż dotarli do miejsca, które można by opisać jedynie jako „główną ulicę”. Ten pasaż „C”, dłuższy niż trzy boiska do piłki nożnej, prowadził Latchkey'a obok punktów wszelkich możliwych usług, jakich miasto mogłoby potrzebować. Ale zanim miał szansę przejrzeć ten pasaż w całej jego rozciągłości, Trist skręcił w boczny korytarz i na zewnątrz, przez jednokierunkowe drzwi wyjściowe, gdzie czekał już kryty *jeep* z kierowcą.

Ta nagła zmiana atmosfery, z ciepła do wilgotnego chłodu, była dla Johna Latchkey'a przyjemnie odświeżająca. Zanurkował na tylne siedzenie jeepa, a Trist usiadł z przodu i burknął coś do kierowcy. Droga wiodła ich teraz od głównego wieżowca w kierunku szeregu budynków, bardziej przypominających koszary, szła dalej za rzędem ciężarówek i skręcała ostro w lewo w jakąś aleję. *Jeep* zahamował przed bardzo zwyczajnie wyglądającymi drzwiami. W kilka chwil Latchkey szedł już za Tristem wzdłuż krótkiego korytarza. Nie było tu ani cichej samotności ani też uzbrojonej straży. Trist, z Latchkey'em przy boku, skręcił w prawo i przez parę podwójnych drzwi wszedł do wielkiego centrum łączności. Latchkey poczuł się tak, jakby właśnie wszedł do centrum dowodzenia lotniskowca, tyle, że tu w jakiejś ogromnej skali. Pojawił się sierżant z notatnikiem i usiłował dotrzymać kroku pułkownikowi, który zmierzał do biura na drugim, odległym końcu pomieszczenia.

- Co nowego, Menkin?
- Sir, zgodnie z poleceniem, całe dowództwo jest w stanie pełnego pogotowia. Drugi posterunek kontrolny znajduje się w miejscu leżącym na drugim końcu *Savage Road*. Na granicach terenu jest spokój, a pięć samolotów stoi na stanowiskach. Zastępca dyrektora Agencji jest na miejscu i życzy nam sukcesów. Przeprasza, że nie jest tu obecny, żeby osobiście powitać pana, panie komandorze, ale wszystkie siły poświęca na koncentrowanie się na obecnym problemie i każda informacja, którą otrzymujemy z sekcji nasłuchu, mogąca pomóc wyjaśnić sytuację, zostanie panu przekazana bezpośrednio.
- Dobrze - powiedział Trist, zajmując stanowisko za swoim biurkiem.
- Czy było coś od admirała Swansona, Dick?
- Nie, sir. Ale dyrektor Agencji jest w locie powrotnym z Europy i powinien tu być we wczesnych godzinach rannych.

- Miejmy nadzieję, że do tego czasu będzie już po wszystkim. Powiedz, żeby Bren połączył mnie z generałem Painterem, to pilne. - Sierżant ruszył do wyjścia. - Aha, Dick, kawy panie komandorze?

- Tak, proszę, białą, słodką.

- Dwie kawy, a dla mnie zrób mocną.

Kiedy Trist usiadł, Latchkey poszedł obejrzeć jedną z fotografii grupowych, wiszących na ścianie. „Ale bałagan” - pomyślał. Patrzył na szczęśliwe, uśmiechnięte twarze, siedzące wokół znacznie młodszego Trista w ustawieniu podobnym do tego z paru zdjęć eskadry, które miał we własnym biurze i poczuł chłodny dreszcz, przebiegający mu po plecach. Wszystkie te wesołe, beztrudne dni wydały się Latchkey'owi tak bardzo odległe. A teraz, kiedy zagrożenie poważnymi zniszczeniami, które mogłyby przydarzyć się tej Agencji, było tak bliskie, Latchkey'owi trudno było nawet przypomnieć sobie wszystkie twarze z tych swoich zdjęć.

Jeden z dwóch telefonów stojących na biurku zadzwonił.

- Trist!

Latchkey podszedł do następnej fotografii i patrzył na nią przez chwilę, ale przedmiot jego obserwacji zniknął wkrótce z jego świadomości. Panie komandorze, to kapitan Erikson. Latchkey wziął słuchawkę.

- Tak, panie kapitanie, powiodło się? - Trist obserwował jak komandor ponownie wyciągnął z kieszeni notatnik i zaczął coś gryzmolić. - Ile to zabierze czasu? - Trist nadal przyglądał się Latchkey'owi przy pracy. Ten komandor przyznał się, że przez parę ostatnich lat przewracał papierki, ale wyglądał w rzeczywistości na opanowanego i kompetentnego. Dla tego marynarza prawdziwy stres nie był widać czymś obcym.

- Pułkowniku, wszystko jest ustalone. Potrzebujemy od pana jedynie *ETA*.

- *ETA*? - zapytał Trist, spoglądając na swój zegarek.

- Przewidywany czas wypadku.

- Aha. Zero-pięć-piętnaście?

- Panie kapitanie, powinien pan otrzymać telefon o zero-pięć-piętnaście lub coś około tego. Przy okazji, czy ma pan ze sobą komórkę? O, kanał drugi. Świetnie. No, to do naszego szybkiego spotkania.

Latchkey odłoży słuchawkę na miejsce i schował notatnik do kieszeni.

- On ma wszystko ustalone. Uważa, że najlepsza lokalizacja to sam wierzchołek mostu, gdziekolwiek to jest.

Telefon zadzwonił ponownie.

- Generał Painter jest dla pana na linii, sir.

Podczas gdy Trist ostrzegał generała przed zagrożeniem dla jego samolotów w tym obszarze, kolana Latchkey'a jakby na chwilę zwiotczały i nagle zdał on sobie sprawę z tego, jak bardzo jest zmęczony. To jeszcze tylko parę godzin. Jeszcze tylko dwie godziny, powtarzał sobie i będzie mógł mieć tyle snu, ile tylko potrzebuje.

- Dobrze - powiedział Trist, sięgając po drugi telefon i wciskając guzik. - Bainbridge, wskakuj w swoje ciuchy. Potrzebujemy cię w ogniodpornym komplecie, kasku, rękawicach i butach. Oczekuję cię za trzy minuty, w pełnej gotowości, za kołem pustej cysterny, na zewnątrz mojego biura! - Trist przysłonił dłonią mikrofon słuchawki, wstał i odwrócił się do Latchkey'a. - Mamy dwa samochody-cysterny, jeden jest pełny, a drugi w jednej trzeciej. Nie mamy faktycznie czasu, żeby je opróżnić.

- Nie potrzeba. Cokolwiek jest w środku, przyda się. Czy może pan przygotować doraźnie taki mały mechanizm zegarowy z głośnym hukiem na końcu?

- Dobra. Bainbridge, złap *Dodge'a* i parę gogli, będziesz ich potrzebował. - Trist włączył do pracy następną linię. - McBee, masz trzy minuty, żeby chwycić parę rakiet i zdalnego pilota i przyłączyć się do Bainbridge'a na zewnątrz, rozumiesz? Dobrze.

Spojrzenie Latchkey'a zatrzymało Trista w miejscu.

- Co jest?

- To muszą być dwie mile, albo wcale. Jeżeli nie będziemy mieli miejsca do działania, to oni ciągle mogą...

- Dobra, komandorze - odpowiedział Trist z nutką rezygnacji w głosie.

Menkin przyniósł dwa kubki kawy.

- Ile tu właściwie potrzebuje się czasu na zrobienie kawy?! - wrzasnął Trist do nikogo w szczególności. On i Latchkey pociągnęli duży łyk ze swoich kubków i ruszyli do drzwi. Nagle na twarzach obydwu, zarówno Trista jak i Latchkey'a, pojawił się grymas najwyższej odrazy. Zatrzymali się, odwrócili, spojrzeli pytająco jeden na drugiego, wylali zawartość swoich kubków do podręcznego pojemnika z odpadami i rzucili się do wyjścia.

- Sierżant Menkin! - ryknął Trist przez ramię. - Będziemy potrzebowali pomocy waszej i waszego plutonu.

- Tak jest, sir!

- Dwie ciężarówki i tuzin rakiet świetlnych, biegiem!

- Sir!

W korytarzu Trist odwrócił się na moment do Latchkey'a.

- Teraz jest czas, żeby raz wreszcie sprawdzić operatywność tej naszej bazy. - Wyciągnął słuchawkę z jej pojemnika przy pasie. - Połączcie mnie z majorem Franksem. - Przeszli przez zewnętrzne drzwi i wyszli w noc. - Majorze, ilu ma pan ludzi, którzy nie są w tej chwili na patrolu albo na służbie przy bramie?

W słuchawce zatrzeszczało.

- Sześciuset, jeżeli doliczy się wolnych od służby lub śpiących.
- Nie obchodzi mnie, gdzie są albo co robią. Niech pan postawi na nogi wszystkich wolnych ludzi i każe im ruszać się z życiem. Wie pan przecież, to jest stan gotowości na pełną skalę. Chcę, żeby wokół tej bazy ustawił pan ludzi w koło o średnicy dwóch mil.

Zapadło krótkie milczenie.

- Ależ, sir - powiedział niepewnie Franks. - To byłaby linia ludzi, ee...
- O długości dwunastu mil, wiem, majorze. Ale nie musimy pokrywać każdego cala ziemi a jedynie każdą drogę, ścieżkę i szlak.

- Tak jest, sir.

- Proszę przygotować pańskich ludzi i użyć wszelkich dostępnych pojazdów, włączyć ich w autobusy, jeżeli to będzie konieczne i mieć pierwszą grupę w przednim kompleksie budynków, gotową do wyruszenia na mój rozkaz w ciągu pięciu minut, jasne?

- Pięć minut, na pański rozkaz, tak jest, sir.

- Dobrze. - Trist odłożył radiotelefon. - Te pięć minut jest trochę ryzykowne, John, ale raz przynajmniej przekonamy się, czy ten nasz Fort potrafi sobie odpowiednio radzić.

W tym momencie wielki zielony wojskowy samochód-cysterna zatrzymał się przy *jeepie* pułkownika. Kierowca, wyglądający bardziej na strażaka, niż żołnierza, zeskoczył na ziemię.

- Aa, Bainbridge, jesteś - powiedział Trist, obchodząc go wokół i sprawdzając jego wyposażenie. - Bardzo dobrze, sierżancie.

- Rozkazy, panie pułkowniku?

- Tak. Twoje rozkazy, to wjechać na Aleję Parkową, rozpedzić tą starą rurę do maksymalnej szybkości i mieć wypadek na szczycie estakady.

- Sir?! - powiedział sierżant, przełykając z wrażenia.

- Nie martw się, Bainbridge, ta cysterna może sobie być stara, ale jest dobrze zabezpieczona. Chcemy tylko, żebyś ją trochę rozwalił, nic specjalnego.

Bainbridge uśmiechnął się.

- Przewrócić ją, sir?
- Zrób po prostu tak, żeby to wyglądało na wypadek. Będziesz miał pomoc. Pada, więc jezdnia jest przyjemna i śliska, a przy tych łysych oponach, na których wy chłopaki tak kochacie jeździć, będzie to dla ciebie zupełnie łatwe. Będziemy wszyscy w konwoju, więc nie będzie blisko ciebie żadnych cywilnych pojazdów. Sprawdź radio i bądź gotów do odjazdu. Jest to taktyka pozorowania i musimy zupełnie zablokować autostradę. Aha, Bainbridge?
- Sir?
- Widziałeś McBee?
- Tak jest, sir, jest w wozie.
- Dobrze, daj go tutaj. Nie chcę żeby też wyleciał w kłębach dymu w powietrze. Nie wylaż z wozu, dopóki do ciebie nie dotrzemy. Nasi chłopcy będą przy twojej cysternie w ciągu kilku sekund, więc trzymaj się twardo.
- Trzymać się twardo. Tak jest, sir.
- Zrób co możesz, żeby to wszystko wyglądało na jak największy bałagan. Zrób to najlepiej jak potrafisz, tylko nie zabij się, sierżancie. - Trist spróbował uśmiechnąć się. - Dobrych ochotników trudno znaleźć.
- Tak jest, sir - powtórzył Bainbridge i wsiadł z powrotem do cysterny. McBee wysiadł z miejsca dla pasażera i podbiegł, salutując.
- Starszy sierżant McBee melduje się ze sprzętem.
- Bainbridge, poczekaj na nas przy głównej bramie. - Sierżant odjechał, kiedy właśnie nadjechały trzy ciężarówki, wiozące żołnierzy.
- McBee, wsiadaj *do jeepa*, do tyłu.
- Wszystko przygotowane, panie pułkowniku! - krzyknął Menkin, wychylając się z okienka prowadzącego wozu.
- Wasz wóz przed Bainbridgem - odpowiedział lakonicznie Trist. - Następne dwa co najmniej pięćdziesiąt jardów za nim. Nie chcę żadnego cywilnego pojazdu, przepychającego się gdziekolwiek w pobliże tej cysterny, zrozumiano?
- Tak jest, sir.
- Dobrze, Bainbridge czeka na was przy bramie. - Ciężarówki odjechały. Zaskrzeczało radio w *jeepie*. Trist sięgnął i chwycił słuchawkę.
- Trist.
- Tu major Dover. Powinniśmy być gotowi do wyprowadzenia pierwszej fali za około dwie minuty. Jakie miejsca są najważniejsze?
- Startujcie na linii o dwie mile od początku *Savage Road* i następnie

działajcie zarówno w prawo jak i w lewo od tego miejsca. Chcę mieć pięciosobowe grupy rozmieszczone co dwadzieścia stóp w poprzek głównych dróg i każdej innej drogi, która jest zamknięta w obrębie tych wyznaczonych dwóch mil. Nie będzie wolno przejechać żadnym pojazdom cywilnym ani pojazdom wszelkiego innego rodzaju.

- W porządku - powiedział Dover, a Trist odłożył słuchawkę na widełki.

- Czas ruszyć, John, jesteś gotowy na to wszystko?

- Gotowy, jak zawsze - powiedział spokojnie Latchkey, wsiadając do tyłu. Kiedy pułkownik wszedł także, kierowca Trista uruchomił silnik i szybko pojechał do głównej bramy. Tam cztery pojazdy czekały na rozkazy.

Trist machnął ręką ponad pokrywą wozu i ciężarówki ruszyły za nimi.

- Pete - powiedział Trist, zwracając się do swego kierowcy. - Bądź bystry, bo będziemy mieli tylko jeden straż. Zawieź mnie teraz do majora Kuehna.

Szybki sprint wokół głównego szlabanu parkingowego i dalej na *Savage Road*, gdzie *jeep* zatrzymał się i gdzie powitały ich te same trzy znane twarze.

- Panie pułkowniku? - powiedział sierżant, obniżając głowę do poziomemu *jeepa*.

- Ruszamy stąd. - Pojawiły się nowe twarze. - Majorze, niech pan przesunie część swoich ludzi na nową pozycję. Dover powinien wkrótce być tu ze swoimi; formujemy dwumilowe koło. Od tej chwili nikt nie może tu wejść, dopóki nie wrócę, jasne?

- Tak jest, sir, nikt. Czy chce pan, żebyśmy ewakuowali wszystkich w tym rejonie?

- Nie, zanim nie dam takiego rozkazu. Mam nadzieję, że nie będzie to konieczne. Był jakiś wyciek chemikaliów i cały ten rejon musi zostać zamknięty aż do następnego komunikatu.

- Ale nie słyszeliśmy przez radio o żadnym wycieku, sir?

- To usłyszycie. Odgłos *diesla* wypełnił powietrze. - Ruszajmy, Pete.

Konwój ruszył i skierował się do wjazdu na autostradę.

Rozdział Siedemdziesiąty Siódmy

Zatoka Perska. Baza Lotnicza w Bahrajnie

13:48 czasu lokalnego (10:48 GMT)

Swanson odwrócił się i usiadł za głównym stołem. Wszyscy na sali słuchali w skupieniu jego słów.

- Pozwólcie, że przejdę teraz do sprawy tak zwanego ataku na nasz konwój. Jak wiecie, dla identyfikacji samolotów posługujemy się sprzętem *IFF* i *AVID* i w tym przypadku, urządzenia na pokładach *Migów* poinformowały nas, że były to *Migi* irańskie. Jednakże, dzięki spostrzegawczemu kadetowi marynarki na pokładzie *La Salle* wiemy teraz, że zestrzelony *Mig* to był *Fulcrum*, którym posługiwali się nie Irańczycy, a Irakijczycy.

Przez salę ponownie przeleciał szmer.

- Wypadki te nauczą nas przynajmniej, żeby może nieco mniej polegać na używanej dotychczas identyfikacji elektronicznej. W sposób oczywisty iracki *IFF* został zastąpiony irańskim i to właśnie ta zamiana, zgodnie z wyjściowymi zamierzeniami, skierowała nasze myślenie w nieprawidłowym kierunku. Jednakże, atak na naszą flotę w istocie przechylił dzisiaj, w nieco wcześniejszych godzinach, szalę w Waszyngtonie i jak może już wiecie, zostały już rozpoczęte bombardowania Bagdadu i są one obecnie prowadzone na pełną skalę. Naszym celem jest powstrzymanie irackiego rządu i zabezpieczenie całego regionu. Kilka godzin temu wysłane zostały *F-117* wspólnie z naszymi *B-1*. Nie matu dziś nikogo z *Independence*, jako że zażądano od nich nasilenia czujności w strefie zakazu lotów. Mają oni być przygotowani do ataku powietrze-ziemia na sześć batalionów czołgów, które trzymają w szachu bagniste tereny i do zwiększenia naszych możliwości obronnych. To nie był dla nas dobry dzień, ale przewidujemy, że naszymi ponowionymi atakami na Irak powinniśmy raz na zawsze skończyć z agresją w tym regionie.

Pomruk zgody popłynął echem ze strony słuchaczy Swansona i zapanaowała nieco swobodniejsza atmosfera.

- Żeby wyrażać się jaśniej na temat ataku na Grupę Szóstą, komuś udało się jakoś załadować się wraz z *EXEMPT-em* do luku towarowego koreańskiego -747. Plan przewidywał czekanie na odpowiedni moment

i zdetonowanie pewnych urządzeń rozpryskowych w dwóch z czterech silników, żeby spowodować utratę wysokości. Nie jesteśmy dokładnie pewni w jaki sposób chcieli oni sprowadzić samolot w dół, w pobliże *Grupy Szóstej*, jeżeli pilot nie był wciągnięty w to przedsięwzięcie, ale jednak zrobili to. Na szczęście dla nas, coś poszło nie tak. Albo z powodu awarii systemowej albo jakiegoś błędu pilota samolot znalazł się wewnątrz irańskiej przestrzeni powietrznej i miejscowi natychmiast wysłali kilka *Migów*, żeby go z niej odepchnąć. Przez chwilę wyglądało nawet na to, że te *Migi*, eskortujące *Boeinga* z powrotem na właściwy kurs, otworzyły do Koreańczyka ogień. Ale po zbadaniu silników -747 stało się jasne, że to nie miało miejsca, a kilka rzeczy, jakie znaleźliśmy w luku bagażowym, pomogły nam ustalić resztę.

A teraz o sposobie, w jaki, według naszego przekonania, wykonali oni to swoje zadanie. W każdym drzwiach bagażowych znajdują się dwa czujniki, które mają ostrzec pilota, kiedy któreś z tych drzwi nie są właściwie zamknięte. Po zdjęciu swego aparatu tlenowego, w samolocie który znalazł się na wysokości jakichś trzech tysięcy stóp, ktoś zmostkował drutem włącznik otwierający te drzwi tak, że kiedy włączył jego działanie, urządzenie ostrzegawcze w kabinie pilotów nie zostało uruchomione no i przygotował się na kilka bardzo ekscytujących chwil. Kiedy drzwi uniosły się i odchyliły w strumień aerodynamiczny, uderzenie powietrza oraz następowe turbulencje musiały być rzeczywiście niesamowite. Ten ktoś sięgnął w dół i okleił kawałkiem bardzo wytrzymałej taśmy drugi czujnik, który znajdował się przy progu drzwi. Następnie musiał jakoś przepchnąć urządzenie blisko drzwi i choć istotnie większość z tego brzmi dość arbitralnie, wypchnął je właśnie w momencie, kiedy przelatywał nad flotą. Koreański samolot zdołał dotrzeć do lotniska w Muscat na pozostałych dwóch silnikach, a co dokładnie stało się potem z naszym sabotażystą lub sabotażystami, nie jest to nam jeszcze teraz wiadome. Być może on, albo oni, wyskoczyli z samolotu jak tylko on wylądował, lub może opuścili samolot przy użyciu spadochronów, kiedy był on jeszcze ciągle nad wodami Zatoki i wodowali awaryjnie gdzieś niedaleko brzegu.

Wiele z tego wszystkiego, to przypuszczenia, wiele to coś w rodzaju podsumowania. Ale może chcielibyście wiedzieć, że uznajemy, jak już wielu z was do tego doszło, że nie mógł to być żaden z obecnych tu naszych irańskich gości, jako że w czasie ataku znajdowali się oni pod kluczem. Oni nie, ale informuję was wszystkich, a przyznaję, że czynię to z

sercem pełnym smutku, że ci sabotażyści, te indywidua, którym zlecono podstawowe zadanie zaatakowania *Grupy Szóstej* z tak niszczycielskim skutkiem, nie tylko są właśnie teraz w tej sali, ale noszą także mundury Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych!

To był grom z jasnego nieba! Jeżeli jakieś umysły w tej sali krążyły sobie myślami w beładzie, admirał Swanson na pewno odzyskał teraz ich uwagę. Wszyscy siedzieli w zdumieniu, spoglądając po sobie i usiłując odgadnąć, kim byli zdrajcy.

Potrwało kilka chwil, zanim poziom hałasu obniżył się aż do stanu ciszego.

- Panowie, wiem że to musi brzmieć dla was raczej niewiarygodnie, ale żeby zapewnić dziś, tutaj, ich obecność, musieliśmy upewnić się, że dołączą tu do nas pod pozorem okolicznościowej uroczystości. Generał Wilson naraził tu państwa na pewien rodzaj apelu nie po to, żeby się upewnić, że ci, którzy nie są zaproszeni, opuścili salę, ale po to, by potwierdzić, że wszyscy ci odpowiedzialni za ten atak są istotnie tutaj i są pod solidną kontrolą. Przy okazji, *Marines* nie są tu po to, żeby pilnować więźniów, chociaż trzymanie ich na oku jest konieczne. Otóż nie. Ich celem jest zagwarantowanie, że nikt nie wyjdzie już teraz z tej sali, zanim nasze spotkanie nie dobiegnie końca. Wcześniejsze postawienie uzbrojonej straży przy wyjściach mogło wzbudzić podejrzenia tych ludzi i spowodować, że spróbują wyjść, zanim rzeczywiście zaczniemy. Ale wobec obecności tu więźniów, ich aroganckie przekonanie o naszej nieudolności w wyśledzeniu ich uczestnictwa w tym wszystkim doprowadziło ich do upadku. Sierzancie, może pan teraz wprowadzić resztę swoich ludzi.

W tym momencie drzwi zostały otwarte i do środka weszło dziesięciu *Marines* z bronią w rękę, zajmując stanowiska wokół pomieszczenia, szczególnie przy głównych drzwiach i przy wyjściu awaryjnym w tylnej części sali.

Teraz wszystkie oczy zwrócone były na admirała. Każdy z obecnych na sali nie mógł się doczekać kiedy ujawni on sprawcę, ale Swanson nie spieszył się.

- Nie sądzę, żeby Irakijczycy mieli zbyt wiele czasu na zaplanowanie ataków. Być może jakiś Palestyńczyk, mając nadzieję, że podłoży świnie Izraelczykom i zaszkodzi im w naszych oczach, porwał w Tel Awiwie ciężarówkę i bardzo był zdziwiony, kiedy odkrył, że złapał znacznie większą rybę, niż oczekiwał. Nie jesteśmy pewni tego w jaki sposób odkryli oni sposób użycia tego urządzenia i jego możliwości, ale posłuszili się nim.

Pułkownik i jego kierowca, jadący tym pojazdem, zostali tak ciężko pobici, że ostatecznie zmarli na skutek odniesionych obrażeń - prawdziwa tragedia, tym bardziej niespodziewana, jeżeli weźmie się pod uwagę ich przekonanie, że wiozą jedynie nowy typ amunicji. No, ale jakimś sposobem sprawcy zdobyli wystarczające informacje o sposobie użytkowania urządzenia i przewieźli je statkiem do Kairu. Cała ta operacja była tak zaprojektowana, żeby sprowadzić nas do przekonania, że to Irańczycy otworzyli ogień do naszego konwoju i uderzyli w naszą flotę, kiedy w rzeczywistości sprawcami tego wszystkiego byli Irakijczycy. Powinienem jeszcze dodać, że kapitan Davidson i jego załoga na pokładzie *Philadelphii* przeprowadzili intensywne przeszukanie dna w rejonie *Bazy Gonzo*, ale poza kilkoma kawałkami porozrywanej stalowej blachy, nie znaleźli niczego. Być może urządzenie po zadziałaniu uległo samozniszczeniu zanim wpadło do wody, choć nikt w tym czasie nie słyszał tam jakiegokolwiek eksplozji. Możemy też mieć jedynie nadzieję, że drugie z tych urządzeń, które, jak sądzimy, zostało ulokowane w pobliżu dużego obiektu na południu, zostanie na czas odnalezione. I tak oto przypada mi polecić naszym uzbrojonym strażnikom aresztowanie czterech zdrajców, którzy umożliwili to wszystko: pilota i załogę samolotu-cysterny *KC-135*.

I nagle ci wszyscy, którzy siedzieli wokół kapitana Brandena i jego załogi, rzucili się na nich. Bill i Phil, którzy siedzieli najbliżej załogi, chwycili pilota i nawigatora. Pięciu *Marines* skoczyło do przodu, unieruchomili machające ręce, zatrzasnęli na nich wszystkich kajdanki, a kiedy kilka dobrze wymierzonych ciosów trafiło do swych celów, dało się słyszeć kilka jęków.

- Niczego nie zrobiliśmy - krzyknął Branden. - Panie admirale, robi pan jakiś koszmarny błąd!

Wszystkich czterech członków załogi wywleczono z ich krzesel i zaciągnięto pod ścianę sali, gdzie wszyscy mogli ich widzieć.

Swanson podniósł głos.

- W porządku, proszę, żeby wszyscy wrócili na swoje miejsca. Jak możecie dostrzec, nasi *Marines* całkowicie panują nad sytuacją.

Sala powróciła do pewnych pozorów spokoju.

- No cóż, Branden, jeżeli istotnie tak się pan nazywa, chcę wiedzieć tylko jedno: czemu?

Branden szarpnął się. - Czemu, co, panie admirale? Nie zrobiłem niczego! Byliśmy na dwudziestu pięciu tysiącach stóp, daleko od Koreańczyka!

- Nie, pana tam nie było, to pański drugi pilot prowadził samolot, podczas gdy pan był na pokładzie -747.

- To śmieszne, sir. Wszyscy wróciliśmy wczoraj z urlopu i wkrótce potem otrzymaliśmy rozkaz wylotu.

- Tak, pański podpis znajduje się w dzienniku, ale nikt nie pamięta, żeby pana tam widział.

- Byłem tu przez cały ten czas, proszę mi wierzyć, - panie admirale, to jest prawda.

- Niech pan posłucha, ponieważ sytuacja z Koreańczykiem i atak na *Storka* zajęły im w *AWACS-ie 24* większość czasu, to nie mają tam pełnego zapisu waszej lokalizacji, notowanej w każdym momencie waszego lotu, z wyjątkiem sytuacji, kiedy przeprowadzaliście procedurę tankowania w powietrzu, jakieś pięćdziesiąt mil na północ od lotniska w Muscat. Poza tym mamy bardzo niewiele z zapisu aktualnej trasy waszego lotu.

- Ale myśmy tam byli, panie admirale. Kapitan O'Grady może panu powiedzieć, że rozmawiałem z nim przynajmniej dwukrotnie w czasie przekazywania paliwa!

Kapitan O'Grady wykonał ruch, jakby chcąc coś powiedzieć, ale admirał gestem ręki nakazał mu pozostać na miejscu. Branden stawał się coraz bardziej nerwowo. Wystąpił nieco do przodu, jakby chciał stanąć twarzą w twarz ze swym oskarżycielem.

- Panie admirale, czemu tak jest, że nie może pan prześledzić wszystkich szczegółów naszej trasy w ciągu naszego dyżuru? Wszystko co ma pan do zrobienia to iść i poczytać raporty *GPS* i wtedy zobaczy pan, że myśmy nie poleciali dalej na południe jak tylko do jakichś dwudziestu mil na północ od Muscat.

- Już zapoznaliśmy się z nimi, ale wasze urządzenie *GPS* nie pracowało, lub był z nim jakiś inny problem i nie można nigdzie znaleźć zapisów całej trasy waszego lotu.

- Panie admirale, to śmieszne. Mówię panu, że to ja pilotowałem -135, kiedy nastąpiło uderzenie. Czekaliśmy żeby zatankować *AWACS-a*, i krążyliśmy na około dwudziestu pięciu tysiącach stóp.

- Skąd pan wiedział, że nastąpiło uderzenie, jeśli był pan na takiej wysokości?

- Ee.... dowiedziałem się od kogoś w bazie, po naszym powrocie.

- A gdzie miało miejsce tankowanie? - zapytał Swanson.
- Nie wiem dokładnie. Cały ten lot był dla nas zwykłą rutyną. Wszystko co mogę sobie przypomnieć, to ćwiartka księżycy i światła *Grupy Szóstej* poniżej.

Pozostali członkowie załogi Brandena zaczęli w tym momencie szarpać się ze swoimi więzami, ale nikt nie zwrócił na to uwagi. Ton głosu Swansona stał się nagle bardzo poważny.

- Skąd pan wiedział, że to ta flota?
- Poznaję *Grupę Szóstą*, kiedy ją widzę.
- Nawet z dwudziestu pięciu tysięcy stóp? - zapytał powoli Swanson.
- Tak, nawet z dwudziestu pięciu... - nagle Branden urwał w pół zdania, jego twarz zbladła i kropelka potu pojawiła się na czole.

Jeden z ludzi Brandena powiedział miękko, - Ty idioto!

- Słusznie się pan niepokoi, kapitanie - powiedział Swanson, siadając na narożniku stołu. - Powiedział pan nam wcześniej, że najdalszy punkt na południu, do którego dolecieliście, to było dwadzieścia mil na północ od lotniska w Muscat, a mimo to powiedział pan nam teraz, że widział pan światła *Grupy Szóstej*, płynącej poniżej. To oznacza, że miał pan rację, nie było pana w samolocie koreańskim, tylko pilotował pan samolot-cysternę, tak jak pan powiedział. Jednakże pomylił się pan mówiąc, że dolecieliście najdalej na południe do miejsca o dwadzieścia mil na północ od Muscat, kiedy przelecieliście wprost nad *Grupą Szóstą*. Otóż *Grupa Szósta* nie posunęła się dalej na północ, niż do wysokości dokładnie na wschód od Muscat. Mamy taśmy zapisów radarowych, żeby tego dowieść.

Branden zaczął szarpać się znowu, ale silne ręce *Marines* trzymały go na dystans.

- Ale to pan powiedział, że najdalszy punkt na południu, do którego dolecieliśmy to...

- Wiem co powiedziałem - warknął Swanson. - Powiedziałem panu, że nie mamy zapisu waszej trasy i że nie możemy udowodnić, że wasz samolot był gdzieś blisko *Grupy Szóstej* w czasie, kiedy została ona ugodzona, żeby podsunąć panu pewną okazję, ogólnie mówiąc, wybrnięcia z sytuacji i pan złapał się na tą przynętę. Ale pomylił się pan przyznając, że widział pan światła floty „poniżej”. Nie „w pewnej odległości na południu”, ale „poniżej”, co oznacza że jednak przelatywaliście nad flotą. Powiedziałem panu, że AWACS był zajęty i nie zdołał śledzić waszej pozycji, ale, no cóż, było to następne kłamstwo. Pułkownik Stanford zauważył, że wasza

jednostka *GPS* nie działała, więc wyznaczył jednego ze swojego zespołu do nadzorowania waszej trasy na radarze, właśnie dla jej zarejestrowania. Potwierdził on waszą obecność nad flotą dokładnie w momencie, w którym *Grupa Szósta* została zaatakowana i przekazał tą informację do generała Pullmana. Kapitanie Branden, mówił pan w sposób, który dowiódł, że jest pan kłamcą.

Wszyscy w pomieszczeniu zaczęli jakąś paplaninę, wszyscy z wyjątkiem Brandena, który stał z wyrazem niedowierzania na twarzy.

- Sądził pan, że dzięki unieruchomieniu jednostki *GPS* na pokładzie waszego *K-135* nie będziemy w stanie dokładnie udowodnić gdzie znajdowaliście się w takim a takim czasie, oczywiście, jeżeli was nie obserwowaliśmy. Nasze radary pokazywały i waszą pozycję w czasie całego lotu, ale miał pan nadzieję, że kiedy wszyscy mieli oczy wlepione w koreański samolot i ruchy *Miga* w tym rejonie, nikt nie powinien zauważyć, że byliście aż tak daleko na południu. A nawet gdyby ktoś zauważył, to byliście przecież częścią składową normalnego ruchu powietrznego, spodziewanego w tej okolicy. Ale w ciągu ostatniej godziny, kiedy przewoził pan tutaj generała Wilsona, generał Pullman miał okazję przeszukać z gęstym grzebieniem w rękę tego *-135*, którym lataliście ostatniej nocy i znalazł trzy rzeczy. Po pierwsze, dzięki dość zręcznej pomysłowości zdobył pan przydział jedyne samolotu-cysterny, który miał możliwość przewożenia ładunku. Może to nawet pan spowodował wycofanie z linii dwóch samolotów *AWACS*, a w następstwie przedłużenie czasu służby w powietrzu *AWACS-a 24*, żeby mieć pewność, że będzie pan do niego podesłany z benzyną. Tak czy inaczej, udało się panu otrzymać przydział *KC-135* z dużymi bocznymi drzwiami, idealnymi dla zrzutu takiego jak ten. Po drugie, rysy znalezione w pobliżu progów bocznych drzwi są świeże i dokładnie pasują do wymiarów naszego urządzenia. I po trzecie, już od długiego czasu nie używaliśmy tego waszego konkretnego samolotu do innych celów, jak tylko tankowanie w powietrzu. A choć nie było przecież żadnego powodu, by używać ich przy tankowaniu, obydwa mechanizmy otwierania drzwi i prowadnice tych drzwi były bardzo niedawno używane.

- To wszystko jest przypadkowe, panie admirale - krzyknął Branden. - Nic z tego, co pan powiedział, nie udowadnia czegokolwiek. Proszę mi uwierzyć, nie mieliśmy z tym nic wspólnego.

- No cóż, przykro mi, Branden. Chociaż zadał pan sobie wiele trudu, żeby to ukryć, awaria urządzenia *GPS* została spowodowana interwencją

z zewnątrz, a nie przez jakieś jej wadliwe działanie. Tak, otrzymał pan rozkaz przygotowania się na tankowanie zarówno *AWACS-a 24* jak i *Tag-ów* i powiedziano panu także, by trzymać się z daleka od obleganego rejonu nad Cieśniną. Ale wykonanie tak szerokiego omińnięcia tego rejonu i to tak blisko floty, wzbudziło nasze podejrzenia. Nie miał pan absolutnie żadnej potrzeby, by znaleźć się tak daleko na południu. Pułkownik Bob Stanford na pokładzie *AWACS-a 24*, który pierwszy odkrył nieprawidłowość pomiędzy odczytami jego radaru, a brakiem odczytów z waszego *GPS-u*, zadzwonił do generała Pullmana na jego bezpieczną linię. Odłączył pan swój *GPS*, bo nie mógł pan przecież podejmować ryzyka, by generał Pullman zauważył, że wskaźnik waszego *GPS* przesuwają się na jego mapie wideo tak daleko na południe i by rozkazał wam pozostać po tej stronie Cieśniny.

- Ależ panie admirale - krzyknął w odpowiedzi Branden. - Przecież pan sam nam powiedział, że ktokolwiek to uczynił, był na pokładzie koreańskiego samolotu, a ponieważ my byliśmy w tym czasie na pokładzie *KC*, nikt z nas nie mógł tego zrobić.

- Tak, żadnego z was nie było na pokładzie Koreańczyka, ponieważ ta cała heca z Koreańczykiem była tylko przykrywką. Nigdy nie było kogośkolwiek w luku bagażowym tego *Boeinga* i pan o tym wie.

- To śmieszne - krzyknął Branden. - Powiedział pan, że znaleźliście aparat tlenowy czy coś takiego, co dowodziło, że ktoś tam był.

Nastąpiła długa przerwa.

- Stajemy się nieuważni, Branden - powiedział Swanson, schodząc z podwyższenia. - Powiedziałem, że znaleźliśmy pewne rzeczy w luku i że jeżeli ktoś jednak był w tym luku, to musiał przecież używać tlenu, to wszystko.

- Ale skąd mógł pan wiedzieć, że on był na tlenie, kiedy nie znaleźliście niczego? - krzyczał Branden, zaczynając tracić głowę.

- A na czym miał być na trzydziestu trzech tysiącach stóp? - dorzucił Swanson, ścisząc swój głos niemal do szeptu. - A poza tym, pozostawienie kawałka przewodu oddechowego jest sprawą dość oczywistą, nie sądzi pan? To co zrobił, może wyciął kawałek zanim wyskoczył?

Głos Brandena stał się teraz spokojny i twardy, starając się dorównać głosowi admirała.

- Aa.... nie obchodzi mnie to wszystko. Niczego nie możecie udowodnić.

- Ależ tak, możemy, Branden, a poza tym, to jeszcze nie wszystko.

Sprawdzając nasze akta odkryliśmy, że wszyscy z was prosili o przydział do dywizjonu samolotów-cystern. Jest teraz wielką rzadkością, żeby ktokolwiek prosił o przydział do cystern, więc kiedy każdy z was ma być takim rzadkim wyjątkiem? Trudno chyba w to uwierzyć, że to zwykły zbieg okoliczności.

Swanson podchodził teraz coraz bliżej miejsca, gdzie stał Branden. Im bliżej podchodził, tym mocniej *Marines* trzymali Brandena.

- Do licha, musiał się pan naprawdę pospieszyć z powrotem na miejsce waszego spotkania z tymi *F-16*, nieprawdaż? No i ledwo pan zdążył na czas. No tak, zanim zażądam, żeby ci znakomici *Marines* wrzucili pana do celi na trzydzieści lat, proszę mi odpowiedzieć na jedno pytanie. Jednego nie rozumiem: czemu pan to zrobił? Może zaoferowano panu wiele pieniędzy za pańskie wyczyny?

- Pieniądze nie mają z tym nic wspólnego! - krzyknął Branden.

- A więc, czemu? - zapytał Swanson, podchodząc coraz bliżej.

Oczy Brandena były pełne wściekłości, ale ugryził się w język.

- Nie powiemy ani słowa.

- A kto to są, jeśli mogę zapytać, ci „my”, o których pan mówi? -

Swanson nadal zbliżał się do Brandena, jakby prowokując go do działania.

- Ci „my”?

- Tak, ci „my”?

Marines zaczęli wlec go w kierunku drzwi.

- Ja i załoga.

- Po prostu, pan i załoga? - powtórzył Swanson. - Nie, mnie chodzi o to, jaka to narodowość?

- Jak to jaka.... Irak.

- Zaczekajcie sierżancie, dajcie ich tu z powrotem. Nie sądzę, żebym już z nimi skończył. - *Marines* usłuchali.

- Posłuchajcie, wy zdrajcy. Chcę, żebyście to usłyszeli ode mnie. -

Swanson uśmiechnął się szeroko, niemal wybuchając śmiechem. Spojrzał na zegarek. - Za około dziesięć minut od tej chwili Bagdad będzie zrównany z ziemią, a wy stracie wszelką nadzieję, którą mogliście mieć, na kontynuację waszych małych, durnych gier i waszych małych, głupich ataków na nas. - Admirał podniósł głos pozwalając, by ukazała się cała jego nienawiść. - Raz na zawsze cały wasz naród zostanie zwalony na ziemię, a wasz wielki przywódca, ten wasz Saddam Hussein, będzie martwy. Martwy i pogrzebany i niczego nie możecie zrobić, żeby to zatrzymać, więc mogliście lepiej pogodzić się z faktem, że spędzicie resztę życia za kratami.

- Ciągłe jeszcze mamy asa w rękawie - powiedział spokojnie Branden z szyderczym uśmiechem.

- Ach tak? I co by to miało być? - powiedział Swanson, stając zaledwie o kilka stóp od Brandena. *Marines* chwycili go jeszcze mocniej, jeśli to było możliwe.

- Nie powiem panu gdzie, ale powiem panu kiedy. Zanim słońce znajdzie się w swoim najwyższym punkcie - powiedział zimno Branden.

- No więc wiemy kiedy. A gdzie, no to będzie Biały Dom.

- Biały Dom, co? - zapytał Branden z uśmiechem.

- Tak jest - odpowiedział Swanson z przekonaniem.

- Biały Dom! - krzyknął Branden, śmiejąc się w twarz Swansonowi. - To się pan grubo myli. Kiedy odpalimy następne urządzenie, to będzie największy z tych ataków na wasz rząd, jakie kiedykolwiek widziała historia.

Po raz pierwszy Swanson był najwyraźniej wstrząśnięty. - To nie Waszyngton?

- Nie i pan też nie może zrobić niczego, co zmusiłoby mnie do tego, żebym panu powiedział.

Głos Swansona opadł niemal do poziomu szeptu. - Ale gdzie, jeżeli nie Waszyngton? - Cały dynamizm biegu wydarzeń zaczął teraz w widoczny sposób przesunąć się na stronę Brandena.

- Blisko, ale cygara za to nie będzie, panie admirale - triumfował Branden.

Swanson odwrócił się i wolnym krokiem podchodził z powrotem do podium, potrząsając głową i szepcząc: - „blisko, ale cygara nie będzie... powiedziałem „nie Waszyngton” a ty powiedziałaś „tak”, a nie „nie”... i powtarzając to raz po raz do siebie.

Branden krzyknął za nim. - I to będzie coś wielkiego, naprawdę wielkiego!

- Wielkiego... Naprawdę wielkiego... - powtórzył Swanson odwracając się, by spojrzeć na kapitana.

- Tak. Zbudowały tą rzecz Stany Zjednoczone i miało to być użyte przeciwko nam. Teraz sytuacja została odwrócona i dostajecie odpłatę tą samą monetą. I jak się to panu podoba, panie admirale?

- Zbudowały tą rzecz..? Czy ma pan na myśli budowę tego urządzenia, czy budowę czegoś innego?

- Rzecz, urządzenie, niech pan nazywa to tak, jak pan tylko zechce.

- Czy można nazwać wielkim atak przy pomocy tego urządzenia,

Branden? Nie ma żadnej eksplozji, żadnych zniszczeń, tylko mały trzask i uszkodzenie paru komputerów?

Swanson chwycił się teraz wszelkich sposobów..

- Paru komputerów, tak? No to weźmy Waszyngton, ee.. - zająknął się na tym słowie - to znaczy lotniskowiec *George Washington*. Został tak ciężko uszkodzony, że kiedy z nim skończyliśmy, to była to już tylko kupa złomu.

- Powiedział pan „Waszyngton”. Czy to było tylko przejęzyczenie, Branden?

- Nie, powiedziałem „*George Washington*” i jak pan wie, po ataku był on już zupełnie bezsilny!

- Co za paradoks - Swanson znów zaczął się uśmiechać. Wybraliście *George Washingtona*, a nie *Independence*, który byłby przecież o wiele łatwiejszym celem, bo był przecież w środku Zatoki, tuż pod linią rutynowej trasy lotu -747. Ale nie, twoi przełożeni pomyśleli sobie, że będzie wspaniale uderzyć w obie te jednostki.

- Co pan ma na myśli?

I nagle na twarzy Swansona pojawił się wyraz ulgi, jak gdyby ostatni kawałek układanki trafił ostatecznie na swoje miejsce.

- Dziękuję, Branden, bardzo mi pan pomógł. Rozumiem. To jest faktycznie Waszyngton, ale nie Biały Dom. Potwierdził pan moje podejrzenia. A przy okazji, jeszcze z panem nie skończyłem.

Swanson zwrócił się teraz do sali.

- Wszyscy zostają na swoich miejscach. - Zwrócił się do swego towarzysza - Panie Generale Wilson, musimy pilnie wykonać kilka telefonów. Nikomu nie wolno opuścić tego pomieszczenia dopóki nie wrócimy. Generale Pullman, proszę także z nami - i wszyscy trzej w pośpiechu wyszli z sali.

Pomieszczenie kasyna wypełniło się rozmowami. Branden i jego koledzy zostali przyciśnięci do ściany i zrewidowani, podczas gdy kilku członków innych załóg zwróciło się do nich z drwinami i pogrózkami. Inni, najbliżsi tyłów sali, przeszli hałaśliwie do baru, żeby ponownie napełnić swoje szklanki.

Rozdział Siedemdziesiąty Ósmy

Washington D.C. N.S.A. (Agencja Bezpieczeństwa Narodowego)

05:08 czasu lokalnego (11:08 GMT)

Rozpoczęła się realizacja planu. Trist wykrzykiwał na wszystkie strony rozkazy przez radio, a kapral Smeed próbował odpowiednio manewrować wozem za cysterną. Menkin czekał na dołączenie paru maruderów, a następnie ruszył ostro do przodu. Bainbridge, jadący z szybkością około pięćdziesięciu mil, zajął pozycję w środku pomiędzy dwoma pasmami ruchu, z dwiema innymi ciężarówkami, jadącymi za nim w bezpiecznej odległości, każda na innym pasie, blokującymi wszelki ruch za sobą.

- Jak tylko dotrzesz do korony mostu, Bainbridge, rób swoje.

Konwój wjeżdżał na ostatnie kilka stóp łagodnego wzniesienia estakady, na jej najwyższy punkt, kiedy Trist wrzasnął.

- Teraz! Bainbridge, teraz!

Smeed nacisnął hamulce *jeepa*, bo cysterna Bainbridge'a nagle, gwałtownie skręciła w prawo. Trist wrzasnął coś nieprzyzwoitego kiedy cysterna jeszcze gwałtowniej skręciła z powrotem w lewo tak ostro, że uniosła się na trzy boczne koła, jadąc na nich przez kilka chwil jak w finałowych zmaganiach kierowców kaskaderów. Tuż przed roztrzaskaniem balustrady, ogromna cysterna przewróciła się jednak łagodnie na bok. Poleciały iskry, powietrze wypełnił dźwięk miazdzonego metalu, a cysterna zatrzymała się o cale od barier. Płomieni, jak na razie, nie było. Latchkey instynktownie spojrzął do tyłu przez plastikowe okienko, żeby zobaczyć czy dwie ciężarówki nie zbliżyły się zbyttnio, ale dostrzegł jedynie, że już się zatrzymały, blokując nadjeżdżające pojazdy.

Jak tylko *jeep* zatrzymał się, pułkownik wyskoczył na zewnątrz, McBee tuż za nim.

- Komandorze, proszę zostać tutaj.

Inne odgłosy kroków połączyły się w biegu w kierunku cysterny. Latchkey wysiadł i obserwował jak pułkownik wspiał się na szoferkę i podniósł drzwi. Z pomocą czterech następnych rąk, przybyłych na pomoc, bezwładny Bainbridge został wyciągnięty na zewnątrz. McBee podbiegł do

tyłu przewróconego pojazdu i zajął się mocowaniem swego urządzenia taśmą do jednej z rur wydechowych. Kiedy układano Bainbridge'a na ziemi, dostarczono pospiesznie nosze i teren wokół cysterny został uprzątnięty. McBee zaczął odkręcać jeden z zaworów spustowych i benzyna zaczęła wyciekać na zewnątrz. Żołnierze już wyskakiwali z prowadzącej ciężarówki i przebiegali przez ulicę, by skierować nadjeżdżające samochody w stronę bocznego podjazdu, łączącego się z mostem. Trist przybiegł bez tchu z powrotem do *jeepa* i podniósł słuchawkę.

- McBee, czy wszyscy się usunęli?
- Jeżeli pan zabrał swoich ludzi, to mamy tu czysto.
- No to dalej, McBee, idź na całość! - McBee nadal odkręcał zawór, aż wielki strumień benzyny buchnął z otworu spustowego, rozlewając się po ulicy i szybko spływając do studzienek odpływowych. - Wynoś się stamtąd człowieku - wrzasnął Trist. McBee nie potrzebował zachęty i puścił się biegiem w kierunku *jeepa*. Trist sięgnął do wnętrza *jeepa* i wyciągnął mały nadajnik.

- Teraz, sir - krzyknął McBee. Trist wyciągnął rękę w kierunku cysterny i rakiety świetlne wybuchły. Jasnoczerwony blask zalśnił i plunął żarem na całą jezdnię. Przez kilka pełnych niepokoju chwil dwie lotne substancje wybuchowe kontynuowały swoje niezyczliwe zachowanie i Pułkownik Trist posłał nawet McBee'emu pytające spojrzenie, kiedy właśnie jakaś iskra wreszcie złapała kontakt. Opary benzyny zapaliły się i ściana ognia pobiegła w kierunku napływającego z zaworu paliwa, zwiększając po drodze swoją moc i szybkość. Ryk ognia szybko narastał przy głowicy otworu spustowego, a płomień usiłował dosięgnąć następnych porcji paliwa, ale przy istniejącym stale od nowa zapłonie, pochłaniającym tak wiele tlenu, wyglądało przez chwilę, jakby cysterna mogła wyjść z tego bez szwanku. Ilość paliwa wewnątrz cysterny była już jednak niewielka i w leżącym na boku pojeździe otwór wylotowy znajdował się zbyt wysoko, by spuścić całą zawartość cysterny. Ilość wypływającego paliwa gwałtownie spadła i pomiędzy szczytem napływającej z wewnątrz fali płynu, a górną częścią otworu spustowego uformowała się wolna przestrzeń. Płonące opary rzuciły się teraz do wnętrza cysterny i wśród wielkiej eksplozji, której odgłos przypominał bardziej potężne pęknięcie niż huk, cysterna pękła właśnie, a w powietrze uniosła się ogromna kula ognia i chmura dymu.

Samochód-cysterna trzeszczał teraz i płonął, rozświetlając chłodny nocny mrok. Latchkey musiał cofnąć się o krok od tego morza ognia. Spojrzał

na zegarek oceniając czas, jaki powinno zająć powiadomienie służb ratunkowych, ale już dały się słyszeć syreny. Z tyłu za nim uczestnicy ruchu ulicznego robili co mogli, by przepuścić dwa wozy strażackie, wyjące gdzieś z tyłu na jezdni. Jedna z wojskowych ciężarówek usuwała się już z drogi, i za chwilę, dwa wozy strażackie były już przed nią. Strażacy pojawiali się zewsząd i w przeciągu sekund wszystko pokryli pianą. Poziom ich aktywności był imponujący.

- Komandor Latchkey, jak przypuszczam? - wykrzyknął za nim jakiś głos. Latchkey odwrócił się i zobaczył ogromnego mężczyznę w pełnym umundurowaniu ochronnym, uśmiechającego się i wyciągającego rękę.

- Kapitanie Erikson, dziękuję panu, że się pan tak pospieszył - odpowiedział Latchkey.

- No, niezupełnie, bo zanim nadeszło pierwsze wezwanie, byliśmy już w drodze. Po naszej wcześniejszej rozmowie zadzwoniłem do zastępcy dyrektora Agencji i poparł on wszystkie pańskie wymagania. Jest tu gdzieś pułkownik?

- Jest. Po drugiej stronie autostrady i jak sądzę, dyryguje ruchem.

- Dobrze, muszę się zameldować.

- Kapitanie - powiedział Latchkey, ujmując ramię Eriksona. - Im dłużej pozwoli pan tlić się temu wrakowi, tym lepiej.

Erikson ocenił postępowanie swoich załóg.

- A jak długo pan potrzebuje?

- No właśnie, tego nie wiemy. Musimy utrzymać zabezpieczenie terenu wokół Fortu Meade w promieniu dwóch mil przez co najmniej godzinę, pozornie żeby utrzymać ludzi z daleka od tego chemicznego wycieku, ale w rzeczywistości jest tu w toku o wiele niebezpieczniejsze zagrożenie, a my po prostu nie wiemy, kiedy ono minie.

- Podejmiemy taktykę powstrzymywania ognia.

- Pański oddział będzie tu oczywiście razem z panem przez cały czas. Jeżeli odjedziecie, nie będzie wam wolno wrócić. Przepraszam, kapitanie, ale pewne w tym wszystkim jest tylko to, co widać.

- Jak kierowca?

- W porządku, siedzi w jednej z tych ciężarówek.

- Jak mogę się z panem kontaktować?

- Proszę dzwonić do Trista. Będę w pobliżu.

- Mam nadzieję, że wkrótce będzie pan miał to wszystko zapięte na ostatni guzik. Muszę jakoś dogadać się z tymi ekspertami od transportu

materiałów niebezpiecznych z *Hazmat*, kręcącymi się z tymi swoimi kamerami po tym całym terenie, i usiłujących dojść, co tu się, do diabła, stało.

- Żołnierze mogą utrzymać kontrolę nad tłumem, a gdy chodzi o zainteresowanie się ludzi z *Hazmat*, to proszę im powiedzieć, że ludzie Armii chyba trochę przesadzili ze swoją władzą, bo rozkazali, że nikt nie może skontrolować tej cysterny, dopóki nie uzyska pan ich zgody.

- Ale oni zaczną mi cytować z list wymogów stanowych.

- Kapitanie, jest pan jedyną osobą, która jest w to wtajemniczona ze względu na uwarunkowania pańskiej służby wojskowej. Nie obchodzi mnie to, na jakie kłopoty narazimy się, łamiąc lokalne rozporządzenia, bo kary za to są niczym w porównaniu z problemem, który nam się tu szykuje. Daj pan nam po prostu tyle czasu, ile pan tylko może. I niech pan kieruje wszelkie pytania ze strony władz stanowych czy lokalnej policji wprost do Armii.

W tym momencie pojawił się Trist, czerwony na twarzy i spocony.

- Kapitanie, wydaje się, że pańscy ludzie mają wszystko pod kontrolą.

- Zgodnie z rozkazem, panie pułkowniku.

- Mam nadzieję, że pan komandor wprowadził pana trochę w nasze sprawy?

- Tak jest, sir.

- Niech pan wstrzymuje tu wszystko tak długo, jak tylko będzie pan mógł. Wszelkie pytania proszę kierować do Armii Stanów Zjednoczonych. Może pan się ze mną łączyć, jak zawsze, na mojej prywatnej linii, dobrze?

- Tak jest, panie pułkowniku. - Erikson wyglądał, jakby chciał zasalutować, ale po zastanowieniu się, zmienił zdanie.

- Chodźmy, John, mamy robotę do zrobienia.

Erikson odszedł wolno w kierunku kopających szczątków, jakby nie miał dokąd w szczególności pójść, podczas kiedy Latchkey i Trist dołączyli do McBee i kaprała w *jeepie*. Szybki skręt o sto osiemdziesiąt stopni wokół wozów strażackich i cała czwórka odjechała szybko autostradą pod prąd, obok ciężarówek, po dwustumetrowym odcinku utwardzonego pobocza i w dół wjazdem na autostradę. Trist zajął się ponownie radiotelefonem, wywrzaskując rozkazy i wysłuchując ostatnich meldunków o budowaniu ochronnego kręgu. Właśnie kiedy wykonywali okrągły zakręt, już na dole podjazdu, *jeep* znalazł się przed wielkim samochodem, blokującym wjazd. Ktoś zatrzymywał ich chorągiewką.

- Co jest, Jack? - wrzasnął Trist, kiedy *jeep* zatrzymał się.

Jakaś głowa wsunęła się do środka, pod pokrycie *jeepa*.

- Wiadomość od admirała Swansona dla komandora Latchkey'a, sir: „Wasz teren potwierdzony jako miejsce docelowe, z pewnością około południa GMT, powodzenia”.

- Gdzie jest pułkownik Langsford, Jack?

- Utknął w korku o dwie mile stąd z powodu eksplozji jakiejś cyster-
ny.

- Weź *jeepa* i jedź po niego. Rozpychaj się, jedź po trawie, rób cokol-
wiek, ale ściągnij go natychmiast. Zrozumiałeś?

- Wygląda tak, jakbyśmy siedzieli na krześle elektrycznym, pułkowni-
ku - powiedział Latchkey. - Kto to jest Langsford?

- Mój zastępca. Kiedy mnie nie ma, on jest na miejscu i odwrotnie.

Trist machnął ręką i grupa żołnierzy rozstąpiła się przed jeepem, a jego pasażerowie zapięli pasy i ruszyli na dalszą kontrolę pozostałych żołnierzy, tworzących teraz ochronny krąg wokół miasta Agencji Bezpieczeństwa Narodowego.

Rozdział Siedemdziesiąty Dziewiąty

Zatoka Perska. Baza Lotnicza w Bahrajnie

14:19 czasu lokalnego (11:19 GMT)

Kiedy wielu ludzi z sali podchodziło, żeby zaprezentować od siebie Brandenowi i jego załodze coś w rodzaju wyroku sądowego, admirał Swanson i generał Wilson powrócili do sali i weszli na małe podwyższenie. Ponownie zapanowała cisza, a wszyscy wrócili na swoje miejsca.

- No cóż, panowie, wydaje się, że kapitan Branden mógł dostarczyć nam zasadniczą wskazówkę co do miejsca, w którym należy szukać pozostałego urządzenia. Generałowie Wilson i Pullman podjęli obowiązki związane z prowadzeniem ataków na iracką infrastrukturę i komunikację. Jedy- nym elementem naszych informacji, co do którego nie mieliśmy pewności, było miejsce, w którym będzie odpalone to drugie urządzenie. Dzięki Brandenowi mogliśmy to rozgryźć. Mieliśmy już w tym miejscu zespół ochraniający, gotowy opanować sytuację, ale teraz będą na nią przygotowani w pełni. Nie mają zbyt wiele czasu, ale sądzę, że dadzą sobie radę. Branden, powiedział pan, że około południa, a to oznacza czterdzieści pięć minut od tej chwili. No i co, Branden? A może to Agencja Bezpieczeństwa Narodowego?

Branden był zbyt wstrząśnięty by ukryć swoją złość.

- Nigdy pan tego nie znajdzie, a poza tym, nawet jeśli pan tego dokon- a, admirał - warknął Branden, prawie wypluwając słowa - popełni pan największą gafę w swojej karierze. Pańskie imię przejdzie do historii jako imię kierującego wszystkim tym, co stanie się prawdziwym morderstwem w rejonie Zatoki Perskiej.

Swanson zszedł na dół i podszedł, by rozmawiać z Brandenem bezpo- średnio, ale tym razem jego oskarżyciel został potraktowany bardziej z uległością niż z pewnością siebie.

- Co pan ma na myśli, mówiąc „gafa”?

- Mam na myśli tylko to, że pan i wy wszyscy - powiedział Branden, lustrując wzrokiem resztę swoich oskarżycieli - popełniliście taką gafę, która spowoduje, że Stany Zjednoczone zyskają opinię na którą zasługujecie: gromady wielkich, przechwalających się głupców, którymi istotnie jesteście.

- Co pan ma na myśli? - nalegał Swanson, nieco zaniepokojony.
- Mniejsza o to. Ale zobaczycie. Wszyscy zobaczycie, jakimi jesteście głupimi durniami i podobnie będzie wyglądał cały wasz rząd. Jeżeli nawet wysadzicie całą naszą stolicę w powietrze to nigdy nie dostaniecie naszego nieustraszonego przywódcy. Odbudujemy wszystko ponownie, za każdą cenę, a wy odejdziecie z ogonami podwiniętymi pod siebie.
- Kiedy już skończymy z wami, nie będziecie mieli co odbudowywać.
- Swanson przechwalał się, powracając do swej zwyczajowej pewności siebie. - W czasie, kiedy tu rozmawiamy, cały rejon centrum miasta oraz wszystkie jednostki czołgów w regionie południowym i wschodnim są właśnie systematycznie unicestwiane.
- A główne składy amunicji i opału? - zapytał Branden nieco przybity.
- Już nie istnieją - powiedział Swanson z odcieniem dumy. - No i - odwrócił się tyłem do Brandena i spojrzął na zegarek - myślę, że mogę powiedzieć bez zbytejnej obawy o niezgodność ze stanem faktycznym, że poza kilkoma dywizjami daleko na północy, nasze połączone siły rzuciły po raz ostatni cały iracki rząd na kolana. Nie byłbym zdziwiony - kontynuował Swanson, wchodząc na podwyższenie - gdyby się okazało, że jeśli ktokolwiek z waszej administracji pozostał przy życiu, to usiłuje właśnie przez telefon, jeśli jakiś tam jeszcze pozostał, prowadzić mediacje na temat którejś z form kapitulacji. Powiem panu, co zrobię, Branden - powiedział Swanson, odwracając się by ponownie spojrzeć na kapitana. - Poproszę pułkownika, żeby zadzwonił z telefonu w tym kasynie do generała Pullmana i zdobył trochę najnowszych wiadomości o tym, jak przebiega ta, tak zwana, wojna. - Pułkownik wstał i podszedł do aparatu telefonicznego, wiszącego na ścianie w rogu sali. - Może kiedy zda pan sobie sprawę, że nie ma pan już domu, do którego mógłby pan wrócić, zakładając, iż sądził pan, że istnieje jakaś droga wyjścia z tego całego zamieszania, a mówię to bez zamierzonej gry słów, to może przyzna się pan do swojej zdrady. Kiedy tu teraz czekamy, może mógłby pan powiedzieć nam jak to się stało, że mógł pan sobie pomyśleć, iż może pan zaatakować naszą flotę z nadzieją, że ujdzie to panu na sucho?
- Nie powiem nic więcej. - Powiedział Branden spokojnie.
- No tak, Branden, może powiedział pan już i tak zbyt wiele. - Branden odwrócił się od Swansona i zaczął patrzeć w podłogę. - Mieliśmy pana na oku na długo przedtem, zanim przybył pan na to spotkanie - powiedział Swanson, powracając do swego tonu, pełnego pewności siebie. - Jak

uprzednio powiedziałem, gdyby nie chciał pan tak bardzo, żebyśmy uwierzyli, że to koreański samolot został użyty do zrzutu, to wówczas może pańscy ludzie nie byłiby tak niezręczni, żeby zostawiać nam do znalezienia takie dowody. A w dodatku było dość czasu, żeby przed wyskoczeniem usunąć z wyłączników drzwiowych i taśmę i mostkowanie. Tak więc doszliśmy do wniosku, że cała ta rzecz była przynętą. Ktoś chciał, żebyśmy koniecznie znaleźli dowody majstrowania. W jednym z silników odkryto nawet obecność niewykorzystanego irackiego urządzenia rozpryskowego. W rzeczywistości lot w irańskiej przestrzeni powietrznej był istotny, bo to prawdopodobnie jeden z waszych pilotów wywołał eksplozję tych urządzeń rozpryskowych przy użyciu nadajnika. Ale dla nas to pozostawienie dowodów było czymś albo bardzo nieudolnym, albo bardzo sprytnym. Nie byłem całkowicie przekonany do którejś z tych wersji, dopóki nie udało się nam przeszukać pańskiego samolotu. Żeby zrobić to bez pańskiej wiedzy musieliśmy usunąć pana z drogi na pewien czas. A więc generał Wilson i ja sfabrykowaliśmy tą małą historię o zatruciu pokarmowym. W rzeczywistości jego załoga była całkiem zdrowa i powinna tu wkrótce wylądować. Właśnie wtedy pułkownik odłożył telefon.

- Panie admirale? Jest prawie po wszystkim. Uderzyliśmy w nich z taką siłą, na tak krótkiej przestrzeni czasu, że cały iracki rząd jest w rozsypce. Czołgi irackie wycofują się z Kuwejtu, a teren miasta to jeden chaos. Straciliśmy istotnie dwa samoloty, ale reszta jest bezpieczna i wracają do domu. Pozostałe operacje naszego ataku są już bardzo zaawansowane.

- Dobrze - powiedział Swanson z dumą. - A więc ma pan, Branden. Pan i pańscy ludzie mogą teraz iść pod klucz z tą wiedzą, że wasze wysiłki, żeby nas spowolnić, przyniosły w rezultacie nasze uderzenia odwetowe, które zredukowały to co pozostało z Iraku do kupy gruzów na pustyni.

W tym momencie cała sala doznała wstrząsu, kiedy Branden i jego trzech koledzy wybuchnęli śmiechem. Swanson zareagował.

- Ludzie, co was tak śmieszy, na litość boską? Mam szczerą ochotę pozwolić naszym chłopcom powiesić was tu wszystkich i to zaraz! - krzyknął Swanson, a niektórzy z siedzących wykonali już nawet ruch w ich stronę.

- Admirale - powiedział Branden, spokojnie wysuwając się nieco do przodu. - Muszę się przyznać, że chcieliśmy się stąd wydostać po tym, jak siły zbrojne Stanów Zjednoczonych dokończą równanie Iraku z ziemią,

zakładając oczywiście, że wy wszyscy wpadniecie w naszą pułapkę. Ale na nieszczęście dla nas, wyprzedziliście nas o jeden krok, ale tylko o jeden.

Admirał Swanson szybko zszedł z podwyższenia i stanął przed Brandenem.

- Co pan ma na myśli, mówiąc o pułapce?

- Mam na myśli to, panie admirale, że wszyscy właśnie wpadliście w naszą pułapkę. Cokolwiek nam się teraz przydarzy, jest już obecnie nieistotne, ale to, co będzie się działo z naszym Narodem i z naszą Sprawą, to jest ważne i będzie kontynuowane dalej. Jeśli się nie mylę, nie macie możliwości, by powstrzymać to, co się już wydarzyło. Walczyliśmy okresowo z naszymi sąsiadami przez ostatnie sto pięćdziesiąt lat, a teraz oto pomogliście nam w osiągnięciu naszego celu, by wejść tam i przejąć władzę. - Rumieniec zaczął pojawiać się na twarzy admirała. - Wygląda pan na nieco zmartwionego, panie admirale i powinien pan tak się czuć. Moi przyjaciele i ja nie jesteśmy Irakijczykami, jesteśmy Irańczykami z urodzenia i jesteśmy z tego dumni!

- Co pan mówi? - powiedział Swanson, pocierając z niedowierzaniem czoło.

- Nie wierzyliśmy własnym oczom, kiedy Hussain zdecydował się przesunąć swoje czołgi bliżej granicy z Kuwejtem! To było właśnie to, czego potrzebowaliśmy dla przechylenia szali!

- Co takiego?! - krzyknął Swanson.

Branden starał się teraz opanować własne, narastające podniecenie.

- Mówię tylko, że kiedy powiedzieliśmy, że jesteśmy Irakijczykami, to podobnie jak pan, my także nie byliśmy całkowicie precyzyjni. Jesteśmy Irańczykami a wy wszyscy wpadliście w naszą pułapkę i wykończyliście właśnie Irakijczyków. Przy tej ilości wojsk, które zgromadziliśmy wzdłuż ich granicy nie byłbym zbyt zdziwiony, gdyby nasze samoloty już zrzuciły na ich stolicę naszych żołnierzy, którzy przygotowaliby przybycie naszych dywizji pancernych. Zanim zdążycie ponownie zaopatrzyć wasze samoloty w paliwo i uzbrojenie, będziemy już okupowali Bagdad i to raz na zawsze i niewiele możecie zrobić, żeby nas przed tym powstrzymać. Atak na waszą flotę był wystarczającym, ostatecznym katalizatorem, który zmusił was do ruszenia przeciwko Irakowi, bo braliście też pod uwagę ruchy ich wojsk i wszystkie pozostałe elementy. I choć ten nasz plan był tworzony w dużym pośpiechu, to myślę, że realizując go, wykonaliśmy kawał dobrej roboty. - Branden był wyraźnie bardzo z siebie dumny.

- A co z atakiem na nasz konwój? - powiedział cicho Swanson.

- No cóż, sądziliśmy, że gdybyśmy was zaatakowali samolotami ze znakami irackimi, moglibyście stać się podejrzliwi i uciec się do waszej normalnej formy dialogu, pełnego pogroźek i wykrętów i nie podjęlibyście jakiegokolwiek akcji. Ale gdybyście znaleźli samolot iracki, przemalowany na irański, to mogłoby was przekonać do ruszenia i to ruszenia szybkiego przeciwko irackiemu spiskowi. Sądziliśmy, że uwierzycie o wiele bardziej w plan, który odkryjecie sami, aniżeli w ten, który my wam podsunieśmy. Wierzyliśmy, że to co wyglądało na prawdę, przedstawione wam w formie waszego własnego odkrycia, będzie dla was o wiele bardziej przekonujące niż to, co usiłowalibyśmy wypracować bezpośrednio. Wasza próżność przekonała was do tej wersji planu, którą odkryliście pozornie samodzielnie i nastąpiło to o wiele łatwiej, niż gdyby chodziło o cokolwiek, co sami przygotowalibyśmy dla was z oddali. Mieliśmy nadzieję, że koreańska przynęta ułatwi nam kontynuację naszego działania, ale to już teraz nie jest ważne. Lubujecie się wszyscy w spiskach, no to podsunęliśmy wam taki jeden, a wy uwierzyliście we wszystko. Zachowaliście się zgodnie z naszymi przewidywaniami i planem i Irak jest teraz nasz!

Branden wrócił pod ścianę i oparł się o nią, jakby dzieło zostało dokonane i nie zostało już nic więcej do powiedzenia.

Niektórzy z obecnych zaczęli się niepokoić i wstawać, ale Swanson gestem wskazał im powrót na miejsca.

- No cóż, jestem pewien, że wszyscy są ci wdzięczni za twoją szczerść - powiedział Swanson, wracając do stołu po następny łyk wody. - Branden, miałeś całkowitą rację, kiedy powiedziałeś, że nie mamy żadnego dowodu. Prawie wszystko, co mieliśmy aż do tej chwili, to były zwykłe poszlaki, więc musiałem odegrać tu tą małą farsę, żeby wyciągnąć od ciebie kompletne zeznanie. Potrzebowaliśmy jakiegoś solidnego dowodu, więc pozwoliłem ci myśleć, że masz przewagę, a ty podałeś nam właśnie te wszystkie szczegóły całego planu, których potrzebowaliśmy i to w obecności, mógłbym dodać, dość sporej ilości świadków.

- Co?! - krzyknął Branden, wyrywając się ponownie tym, którzy go trzymali.

- I po to, aby uspokoić umysły wszystkich tu obecnych, niech mi wolno będzie powiedzieć, że nie wystrzeliliśmy dzisiajszego popołudnia ani jednego pocisku przeciw Irakowi, a w każdym razie, przynajmniej jeszcze nie.

- Ale przecież radio potwierdziło, że wybuchło prawdziwe piekło! - wrzasnął Branden.

- To prawda, potwierdziło. Ale tych kilka bardziej ożywionych audycji radiowych dodano do programu z myślą o tobie. Owszem, lecimy w siedem eskadr do Kuwejtu, ale tylko po to, żeby powstrzymać postępy, jakie w kierunku granicy poczyniły ostatnio irackie czołgi. I planujemy ponownie zbudować przeciwko Irakijczykom bardzo mocną siłę obronną. Ale przyczyny wzmocnienia naszej siły w tym regionie to nie tylko działanie na korzyść Kuwejtu. Oficjalnie musimy utrzymywać w tym obszarze wysoki potencjał militarny, żeby móc zwalczać każde następne głupie próby, które Saddam może podjąć dla zawładnięcia polami naftowymi Kuwejtu. Ale prawdziwą przyczyną rozwijania tu naszych sił jest potrzeba upewnienia się, że wy, Irańczycy, nie będziecie mieli najmniejszej szansy przekroczenia granicy ani teraz, ani kiedykolwiek w przyszłości, żeby przejąć kontrolę nad waszym odwiecznym wrogiem. Kiedy tylko zorientowaliśmy się, że atak na *Grupę Szóstą* to była robota Irańczyków, wiedzieliśmy, że musimy mieć was bacznie na oku. A cała reszta, no cóż, to wszystko była tylko audycja radiowa - powiedział Swanson z szerokim uśmiechem.

- Ty kanalio! - ryknął Branden. - Poczekaj tylko, za kilka minut rąbniemy was tak mocno, że pożałujecie, że nie zostaliście w domu!

- Dziękuję, Branden. A więc, nie skończyliśmy jeszcze wszystkiego. Zanim zostaniecie stąd zabrani do małej, miłej, ciasnej celi, gdzieś daleko od wszelkich możliwych prób waszych kolegów, żeby was uwolnić, zrobię wam tu przynajmniej krótkie podsumowanie tego, co odkryliśmy i w związku z tym, muszę się przyznać, jest parę rzeczy, o których chyba zapomniałem wspomnieć. Słuchajcie. Żeby wykonać taką robotę, musieliście się upewnić, że zdobyliśmy jeden z waszych samolotów. Zastanawiam się ilu mieliście ochotników do tego zadania?

Branden nie odpowiedział.

- Dokonałiśmy szybkich oględzin *Fulcruma*, którego odnaleźliśmy, no i odkryliśmy, że choć maszyna doznała poważnych uszkodzeń sekcji ogonowej, to pozostała część samolotu była względnie nienaruszona.

Stwierdziliśmy w jego wnętrzu, że większość urządzeń została z samolotu usunięta, włączając w to także radar. Trzeba przyznać, że byliśmy

nawet zdziwieni, że można było z niego w ogóle coś wystrzelić. Może miał uszkodzenia nie do naprawienia, więc zdecydowaliśmy się użyć go na lot w jedną stronę. Wasz pilot był bardzo dzielny. Uważaliśmy to wówczas za dziwne, że nie zawrócił do domu bezpośrednio po ataku, a zamiast tego wybrał kierunek wzdłuż Zatoki, wprost w paszczę naszych *F-16*. Ten manewr był jednym z pierwszych, które obudziły moją podejrzliwość. Fakt, że użyliście farby, która i tak sama zlałaby całkowicie gdybyśmy nie odkryli jej użycia tak jak to się stało, zwrócił zdecydowanie moją uwagę. - Swanson pokiwał głową na boki by podkreślić swój sarkazm. - Rzeczywiście, Branden, farba rozpuszczalna w wodzie, to już było trochę za wiele. Poza tym, po co coś zamalowywać, kiedy nie zakładaliście, że będziemy to dokładnie oglądać? Muszę natomiast przyznać, że włączenie przez wasze fregaty radarów ataku i nacelowanie ich na *Fulcruma* to było świetne pociągnięcie. Choć wydawało się to wówczas dziwne, mieliście nadzieję, że kiedy tylko pomyślimy, że ten *Mig* jest iracki, to wszystko nam zacznie pasować. Na szczęście jednak, nie na długo.

Swanson odwrócił twarz w stronę sali.

- A przy okazji, chciałbym wyrazić moje osobiste podziękowania panu majorowi Bartonowi - tu uczynił gest, wskazujący w kierunku zabandażowanej, wyciągniętej do przodu nogi w pierwszym rzędzie - który po tym, jak został wyrwany z rąk irańskich żołnierzy przez kapitana Hawkswortha z Królewskiej Marynarki Wojennej, potwierdził nam pewne nieprawidłowości. Dwa *Fulcrumy* były początkowo monitorowane przez nasze *AWACS-y* w irańskiej przestrzeni powietrznej, ale te *Migi* leciały tak nisko, że mieliśmy trudności z potwierdzeniem miejsca ich pochodzenia. Kiedy odkryliśmy irackie insygnia na burcie zatopionego samolotu, ponownie sprawdziliśmy taśmy z zapisem i doszliśmy do wniosku, dokładnie tak jak oni mieli na to nadzieję, że te maszyny przyleciały niedostrzeżone przez granicę z Iraku. W rzeczywistości jednak musiały one właśnie wlecieć niedostrzeżone do Iraku zanim wykonały pełny zwrot i wzniosły się w górę na tyle, żeby wyglądać oto jak kolejny lot z terenu Iraku, usiłujący uniknąć kontroli radarowej. Na szczęście dla nas mieliśmy tam kogoś na ziemi. Major Barton jechał swoim *jeepem* w tej okolicy na terenie Iranu, kiedy zobaczył dwa *Fulcrumy* przelatujące nad konwojem, za którym jechał i prosię poprawić mnie panie majorze, jeżeli podam to niedokładnie, dostrzegł, że lecą one od granicy z Irakiem w kierunku południowo- wschodnim. *Fulcrumy* te,

jak widać, miały rozkaz polecieć do granicy, wykonać zwrot o 180 stopni i zwiększyć wysokość, żeby pojawić się na naszych radarach. Nawet nasze AWACS-y mają trudności przy wykrywaniu obiektu, będącego w dużej odległości, a znajdującego się na wysokości mniejszej niż 200 stóp. Obserwowana przez nie trasa czyniła początkowo wrażenie ruchów irańskich odrzutowców, ale później potwierdziła nam, że w rzeczywistości nadleciały one z Iraku. Jednakże zapomnieliście o drugim *Fulcrumie*. Tuż przed atakiem na nasz konwój odłączył się on od swego partnera i przyłączył się do innej eskadry irańskich *Migów* na małe rozpoznanie *Grupy Szóstej*. No więc, jak mógłby to uczynić, gdyby on, podobnie jak i jego współnik w przestępstwie, naprawdę pochodzili z Iraku? To było głupie pociągnięcie.

Barton siedział bez ruchu, a Swanson pociągnął następny łyk ze swojej szklanki. Sala pozostała w zupełnej ciszy i czekano, by admirał kontynuował.

- Czynnikiem najbardziej oczywistym, który zwrócił moją uwagę na wątpliwe pochodzenie *Fulcrumów* było to, no i tu jest sprawa, którą jako pilot *KC*, samolotu-cysterny, powinienś był wyjaśnić swoim przełożonym, że obydwa one były tankowane nad Iranem. Nie, nie próbuj mi pan tłumaczyć, że irańskie samoloty-cysterny nie mogą rozpoznać kogo zaopatrują w powietrzu w paliwo, nawet jeżeli ten ktoś jest przemalowany.

Swanson popatrzył na Brandena jakby spodziewał się odpowiedzi, ale takiej nie było.

- Zapytacie przede wszystkim, po co było posyłać dwie maszyny. Nie mam tu pewności. Może *Fulcrum* był tak bardzo ogołocony ze sprzętu lub tak mocno uszkodzony, że oni nie byli pewni, czy jego *IFF* będzie działał prawidłowo. Może obydwie maszyny miały dokonać ataku, tyko że druga z nich stchórzyła w ostatnim momencie, ale niezależnie od przyczyny, to was zdemaskowało. Tylko że na długo, zanim *Migi-29* zostały wykryte na niebie przez nasze czujne oczy, major Barton już zdążył zakwestionować ich intencje i wysłać w naszym kierunku słówko ostrzeżenia. Major ten, zobaczywszy dwa *Fulcrumy* uzbrojone w pełni w *Exocety* i lecące nie w stronę Zatoki, ale właśnie od granicy z Irakiem, zdał sobie sprawę, że coś tu nie jest w porządku. Jeżeli to były samoloty irackie, to co one robiły w irańskiej przestrzeni powietrznej z uzbrojeniem przeciw okrętom, zamiast być wyposażone w sterowane rakiety powietrze-powietrze? Nie, na pewno nie:

powinny one wybrać raczej kierunek na Zatokę aniżeli lot w irańską przestrzeń powietrzną. Chyba, że to były samoloty irańskie. A no, jeżeli tak, to albo leciały one w złym kierunku, no bo po co lecieć nad lądem na południe, kiedy macie przecież bazy, leżące o wiele bliżej miejsca zamierzonego ataku, albo raczej, co bardziej prawdopodobne, maszyny te poleciały poprzednio w stronę Iraku dla skontrolowania irackiej aktywności w pobliżu granicy, a teraz właśnie wracały do domu. W takim znów razie, czemu były uzbrojone w *Exocety*! Na koniec, major wiedział przecież dobrze, że *Fulcrum* jest jednostką bojową dla zwalczania celów powietrznych, nie otrzymującą w normalnych warunkach zadań bojowych wobec okrętów. Następnie major Barton uświadomił sobie, że brakowało tu także pewnej procedury, zwyczaju, który był zawsze zachowywany, odkąd major przybył do Iranu. Procedury, która powinna mieć miejsce, ale nie miała. Bo kiedykolwiek nieprzyjacielski samolot zbliża się do konwoju, a mam tu na myśli każdy konwój, gdziekolwiek na świecie, większość dowódców konwoju byłaby poinformowana przez radio o ruchach nieprzyjacielskiego samolotu w okolicy. Pierwszą rzeczą, którą konwój zrobiłby w takich okolicznościach, to złamanie szyku i rozproszenie się, ale nic takiego nie nastąpiło. Konwój nadal toczył się dalej, jakby wszystko było w porządku, no bo było. To pomogło majorowi ustalić, że to były oczywiście *Migi* irańskie, a nie irackie. Ale też nie zabrało naszemu człowiekowi zbyt wiele czasu tam, w polu, by zdać sobie sprawę, że coś jeszcze nie było tu w porządku. Wiedział on, że kiedy tylko nad głowami setek żołnierzy, siedzących w ciężarówkach i nie mających nic innego do roboty, jak rozmyślanie nad swoim losem, przelatywał jakiś swój samolot, zawsze i bez wyjątków podnosili oni radosne okrzyki i wymachiwali bronią w powietrzu. Kiedy te dwa irańskie *Fulcrumy* przeleciały nad konwojem, nie tylko nie rozproszył się on, ale także nie było okrzyków. To mogło oznaczać, że dowództwo konwoju zostało poinformowane o będącej właśnie w toku ich misji specjalnej i o tym, żeby nie zwracać na nie żadnej uwagi. Żołnierzom przekazano więc wiadomość, żeby nie podnosili głów i kompletnie zignorowali samoloty. Konwój powinien się albo rozproszyć, albo podnieść radosne okrzyki. Kiedy nie uczyniono ani jednego, ani drugiego, to była to dla naszego majora prawdziwa czerwona flaga. Dla przeciętnego obserwatora mogło to wszystko wyglądać banalnie, ale dla wytrenowanego oka majora Bartona te dwa zdarzenia stanowiły niepokojącą sprzeczność, szczególnie

kiedy weźmie się pod uwagę, że są przecież irańskie bazy lotnicze, leżące bliżej granicy niż ówczesne miejsce jego pobytu. Jak tylko otrzymałem jego raport, zaplanowałem to spotkanie i udałem się do Bahrajnu najszybciej jak mogłem. Kiedy tylko nasi ludzie ze *Złotej Foki* przekazali mi raport o tym, co znaleźli w *Boeingu*, nie było już prawie wątpliwości, że został on użyty jako odwracająca uwagę pozoracja.

Swanson ponownie usiadł na stole i po raz pierwszy jego głos zabrzmiał zmęczeniem.

- Moim głównym problemem było to, w jaki sposób ktoś mógł narzucić samolotowi pasażerskiemu, żeby, działając w charakterze przynęty, przeleciał bezpośrednio nad naszą flotą. To nie mogłoby się udać, gdyby *George Washington* stale utrzymywał swoją pozycję w rejonie *Bazy Gonzo*, bo byłoby to o wiele za daleko od toru ich lotu. No i tu właśnie pojawiają się Rosjanie. Otóż ciągle nie jestem pewien czy dowiedzieli się oni o naszym planie albo zajęli się nawiązaniem jakiejś finansowej umowy z nami, żeby w zamian za nią móc rzucić okiem na tą broń. Wam, Irańczykom, bardzo teraz właśnie brakuje pieniędzy. Tak czy inaczej byli oni w to wmieszani i najprawdopodobniej zaoferowali odzyskanie urządzenia po tym, jak zostało ono odpalone tuż przed uderzeniem w powierzchnię wody. Być może, w rewanżu, zaoferowali nawet popchnięcie *Grupy Szóstej* nieco bardziej na północ, by pomóc *KC-J35* w dokonaniu zrzutu. Mówię to bez krytyki kapitana Davidsona, którego samotna łódź podwodna była pochłonięta daniem odporu *Typhoonowi* i trzem *Foxtrotom*. Ale kiedy prowadząca rosyjska łódź podwodna absorbowwała naszą łódź, utrzymując ją blisko *Grupy Szóstej*, jedna z pozostałych trzech łodzi zeszła na dno oceanu i odzyskała rozładowane i nieco uszkodzone urządzenie. Jestem pewien, że Rosjanie wygłaszają w tej chwili peany na cześć nowej, cudownej zabawki, którą mają obecnie w swoim posiadaniu. Ale przy pewnej dozie szczęścia będziemy mieli taką również. Dalej, samolot pasażerski, wybrany w tej całej sprawie na przynętę, musiał zostać skierowany w odpowiednie miejsce. To oznacza, że albo koreański pilot, albo też trzeci oficer był wmieszany w to działanie. Biorąc pod uwagę sprawy łączności radiowej założę, że to był ten drugi, który rozmyślnie ustawił niewłaściwie radia i wprowadził do *INS* wystarczające błędy, by być pewnym, że samolot wleci w irańską przestrzeń powietrzną. Nie byłbym zdziwiony dowiadując się, że koreański technik pokładowy doszedł właśnie do dużych pieniędzy, zrezygnował ze

swojej pracy i ma zamiar wyruszyć w podróż dookoła świata.

Swanson przerwał, a Branden wykorzystał ten moment, by się wtrącić i przerwać cały rozpęd admirała.

- I do tego wszystkiego doszedł pan sam, nieprawdaż? - powiedział Branden sarkastycznie.

Swanson odwrócił się na krótko, by spojrzeć w twarz zdrajcy.

- Kiedy gra się w brydża, może być tylko jeden układ kart, który mógłby umożliwić realizację kontraktu. Cała rzecz polega wtedy na tym, żeby założyć, że karty są rozłożone u przeciwników w sposób niezbędny do wygrania kontraktu i wtedy, ignorując oceny szans, zagrać z ręki odpowiednio do tego założenia. Tak więc, to co zrobiłem, to założyłem, że za tym wszystkim stoją Irańczycy i obserwowałem, dokąd to prowadzi. To mi pokazało, że Koreańczyk mógł zejść z kursu umyślnie, a pod pretekstem eskortowania koreańskiego -747 poza irańską przestrzeń powietrzną twój rodacy przeprowadzili całą tę akcję w jedyny sposób, który mógł gwarantować, że samolot pasażerski skieruje się prosto na *Grupę Szóstą*, ale jedynie wtedy gdyby grupa ta przesunęła się nieco dalej na północ, bliżej wejścia do Cieśniny. Dzięki Rosjanom, choć to my zachowaliśmy się defensywnie i rozważnie, decydując o przesunięciu *Grupy Szóstej* nieco na północ, mogła być w ogóle rozważana wersja, że to całe urządzenie mogło być zrzucone z koreańskiego *Boeinga*. Stworzenie pozorów, że *Migi* otworzyły ogień do -747 było sprytne; być może też, że to jeden z waszych pilotów odpalił rakiety świetlne, upewniające o dobrej lokalizacji do wodowania, jeżeli takie się odbyło. I jestem pewien, że żaden z waszych przywódców nie chciał być obwiniany o zestrzelenie -747, tak jak to było w przypadku Rosjan i lotu 007. Ale na szczęście dla nas, koreański samolot wylądował szczęśliwie. Gdyby zdetonował trzeci podłożony ładunek, spowodowana tym utrata ciągu przypieczętowałaby z pewnością jego los. Po ustaleniu tego ciągu myślowego, inne fragmenty układanki zaczęły już trafiać na swoje miejsca. Postępując za tym tokiem rozumowania musimy uznać, że nawiązanie kontaktu z naszym rządem w formie apelu o pomoc, jak to oni uczynili wczoraj, nie mogło być niczym innym, jak tylko zasłoną dymną. Jeżeli nie było to szczere, to jakiemu innemu celowi mogło służyć? Były też początkowo dwa *Fulcrumy* lecące razem, ale po nieco wątpliwym tankowaniu w powietrzu rozdzieliły się i poleciały w różne strony, jeden, by uderzyć w nasz konwój, a drugi, by sprawdzić *Grupę Szóstą*. Dwa *Floggery*

leciały tuż za tym pierwszym, usiłując w sposób pozorowany zademonstrować nam wątpliwości Irańczyków co do jego prawdziwego pochodzenia, a ich pisemna prośba o pomoc, przesłana wczoraj, z pewnością mogła dać nam powód do przyjęcia ich wymówki na temat jakiegoś nieodpowiedzialnego pilota. Ale to ten drugi *Fulcrum* was zdradził. - Jeżeli ten drugi *Fulcrum* był taki wątpliwy, to dlaczego nie był takim ten pierwszy? Kiedy okazało się, że ten pierwszy zmienił swoją identyfikację, przyjrzelśmy się temu drugiemu. Jestem pewien, że rozkazy polecały mu zbliżyć się po prostu do *Grupy Szóstej* i sprawdzić ją, ale wasz nadgorliwy irański dowódca, przypuszczalnie łamiąc wszelkie zasady, nie mógł się powstrzymać od przelotu nad *Grupą Szóstą* wkrótce po ataku. Mogli to zrobić tylko wtedy, gdy wiedzieli już uprzednio, że flota nasza nie jest zdolna do podjęcia czynności odwetowych. W rzeczywistości była to druga rzecz, która się w tym wszystkim wydarzyła, a która wydała się niezrozumiała, a ja, przypuszczalnie, niczego bym nie podejrzewał, gdyby te irańskie *Migi* nie podeszły tak blisko do *Grupy Szóstej*. Kiedy jednak stało się jasne, że nie tylko ten pierwszy *Fulcrum* dał nam dużo czasu, żeby go zestrzelić, ale że również nie otrzymaliśmy jakichkolwiek protestów co do naszego podniesienia go z dna Zatoki, zacząłem postrzegać to wszystko nieco jaśniej. Nawiasem mówiąc, pilot tego *Miga* został prawdopodobnie wyłowiony z wody przez jeden z tych pontonów, które widzieliśmy w tym czasie, ganiające tam i z powrotem po tej części Zatoki. Co się zaś tyczy urządzenia *EXEMPT*, nie mam wątpliwości, że ktokolwiek dostarczył je do rąk Izraelczyków, porozumiał się też z ich przeciwnikami i sprzedał im informację o tym, co to jest, jak się tym posłużyć i jakie ono ma możliwości. Na szczęście, jeden z mężczyzn, znaleziony w izraelskim pojeździe, przeżył bicie i tortury i żył jeszcze na tyle długo, żeby powiedzieć nam dokładnie, gdzie ma być użyty drugi *EXEMPT*. Moje domaganie się, żebyś to ty nam to powiedział, miało jedynie udowodnić, że użyto was do dostawy towaru.

Swanson, obecnie znów w swej pełnej, świetnej formie, odwrócił się teraz do sali.

- Żeby zakończyć już całą sprawę, przepraszam, jeżeli to spotkanie przedłużyło się ponad oczekiwania, ale, jak mogliście sami zobaczyć, było tu wiele do zrobienia. A jako że nie jesteśmy w stanie wojny z Irakiem, jeszcze nie, nie było też natychmiastowego pośpiechu. Jestem pewien, że

niektórzy z was myśleli sobie, iż jest to dziwne, że mogliśmy polecieć na Bagdad w pełnym świetle dnia i dziękuję tym z was, którzy coś tu podejrzewając, nie odezwali się jednak w tej sprawie. Wiem, że wszyscy macie już ochotę powrócić do swoich jednostek, ale chciałbym dodać, że istotnie wystaliśmy już niektóre z naszych jednostek do walki. Zostały wysłane, by kontrolować rejon granicy pomiędzy Irakiem i Kuwejtem, czekać na każdy samolot, który mógłby zabłądzić w naszą przestrzeń powietrzną, a także zademonstrować naszą tam obecność. Ruchy naszych jednostek mogą zostać zresztą niewłaściwie odebrane nie tylko przez Irańczyków, ale także przez ten cały cyrk medialny w naszym kraju, że oto w rzeczywistości nasze siły osłaniają Irak przed inwazją ze strony Irańczyków. Ale wiercie mi, że jeżeli ktoś się naprawdę ruszy, żeby zrobić porządek z Saddamem, to będziemy my. Branden, możesz być pewien co do jednego. Spędziliście, chłopaki wiele lat na obronie swych granic przed wszelkiego rodzaju iracką inwazją i jestem pewien, że doszłicie do przekonania, iż w czasie, kiedy my przychodzimy z pomocą Kuwejtowi, istnieje dla was najlepsza okazja, żeby wreszcie skorzystać na tym, że Irak walczy właśnie z nami a i my jesteśmy do was odwróteni plecami. Jeżeli jednak naprawdę ponownie wejdziemy do Iraku, to nastąpi to jedynie dlatego, że rząd Iraku ciągle jeszcze nie zastosował się do warunków porozumień o zawieszeniu broni, a nie dlatego, że jakiś przebiegły sąsiad chce nas podstępem do tego skłonić. Zabierzcie ich stąd. Sierżancie, odprowadzić ich.

Szarpiący się ze swymi opiekunami Branden i jego załoga zostali wyprowadzeni z sali wraz z postępującymi tuż za nimi pozostałymi więźniami irańskimi. Swanson zignorował pełne nienawiści spojrzenie Brandena i zwrócił się do sali.

- Zapamiętajcie wszyscy, że nie możecie nikomu wspomnieć o czymkolwiek z tego, co miało miejsce na tym dzisiejszym spotkaniu, nawet naszym bezpośrednim przełożonym. Kiedy będziecie o to pytani, powiedzcie jedynie, że za tym wszystkim stał tylko pewien bardzo pompatyczny admirał, który zażyczył sobie świętować strącenie i zdobycie *Miga*. Rozejść się.

Swanson usiadł na brzegu stołu i przetarł czoło, a cała sala wybuchła oklaskami i owacją. Kiedy uczestnicy hałaśliwie opuszczali pomieszczenie, kilku z nich, odchodząc, przekazywało admirałowi pełne uznania komentarze. Swanson zszedł ze sceny, podszedł do baru, wrzucił trochę lodu do szklanki i wlał sobie sporą porcję szkockiej. Generał Wilson szedł tuż za nim.

- Chcesz jednego? - zapytał cicho Swanson.
- Tak, proszę. - Ostatni pozostający jeszcze na sali maruderzy wychodzili grupkami, a Wilson wspiął się na barowy stołek i obserwował jak jego przyjaciel przygotowuje drinki.

- Pat, muszę powiedzieć, że był to jeden z najbardziej błyskotliwych popisów współczesnej pracy dochodzeniowo-śledczej, jaki kiedykolwiek widziałem w życiu. Wiem, wiem, powiedziałaś mi, żebym nie zważał na nic z tego, co dzisiaj mówiłaś, ale było kilka takich momentów, że byłem poruszony. W pewnym momencie pomyślałem nawet, że masz zamiar mu osobiście przyłożyć. Coś takiego! Co to była za kapitalna gra pod publikę.

Swanson podał generałowi jego trunek.

- To wprost niewiarygodne co może zdziałać wstrzymanie na pewien czas oddechu, żeby wyglądać na zdenerwowanego. Jestem jednak naprawdę zaniepokojony o ten drugi *EXEMPT*. Jeżeli nie znajdziemy go na czas...? - Swanson potrząsnął głową.

- No więc - powiedział Wilson - Pullman poinformował mnie właśnie, że Irańczycy trochę się stawiają. Kiedy zdali sobie sprawę, że nie dokonaliśmy w Iraku żadnych piekielnych bombardowań, posłali jakiś samolot w kierunku *Independence* i *La Salle*. Grożą nawet ponowną blokadą Cieśniny. Musimy być gotowi na pewne działania odwetowe.

- Martwi mnie - powiedział Swanson nalewając sobie jeszcze jednego drinka i ignorując w widoczny sposób komentarze Wilsona, - czy dotrzemy do tego drugiego *EXEMPT-a* na czas. To brzmiało tak, jakby oni planowali odpalić go już bardzo niedługo. Mam tylko nadzieję, że się nam uda

- Jeżeli nie Biały Dom, to gdzie? - zapytał łagodnie Wilson.

- No cóż, czyżbym się pomylił? - powiedział Swanson, pociągając następną łyk. - Informator, którego mieliśmy, zdołał jedynie wykrztusić kilka dźwięków zanim zmarł, a brzmiały one jak „Agee... Bez...”. Ale kiedy w czasie lotu wałkowałem w myślach te sprawy, przyszło mi do głowy, że jest jeszcze inne możliwe rozwiązanie i poleciłem memu adiutantowi, żeby zaczął działać. Dlaczego mieliby z tym lecieć lub jechać kawał drogi aż na Florydę, pomyślałem sobie, kiedy wiele przyszłych ciekawych celów mieli o wiele bliżej siebie? Gdybyś miał gdzieś na północnym wschodzie urządzenie, mogące na życzenie rozwalić wszystkie komputery, gdzie byś z tym poszedł? Jeżeli nie NASA to gdzie? Nasz informator, zanim zmarł, zdołał co do tej drogiej lokalizacji wydusić z siebie tylko kilka liter, które

brzmiały niewyraźnie, ale zaświtało mi, że mógł usiłować wymówić Agencja Bezpieczeństwa. Kiedy on się tak roześmiał na tą Florydę, wiedziałem że to tak właśnie może być, więc zadzwoniłem do Waszyngtonu, żeby byli przygotowani.

- O mój Boże - wyszeptał Wilson i pociągnął łyk ze swojej szklanki.

W głosie Swansona pobrzmiewało zmęczenie.

- Jeżeli uda się im uderzyć w te instalacje, uszkodzenia naszej ogólnoswiatowej sieci łączności będą katastrofalne, a ich naprawa będzie nas kosztować miliardy. Kłopot w tym, że jeśli nawet odnajdziemy to na czas, to nie mam pojęcia w jaki sposób moglibyśmy powstrzymać tych idiotów od odpalenia tego urządzenia. Wystarczy, że dostrzegą, że się zbliżamy, nacisną guzik i bach, wszystkie łącza komunikacyjne, na które liczą wszyscy od prezydenta w dół, zostaną zniszczone i to nawet bez najmniejszego dźwięku. Mam tylko nadzieję, że się nie spóźnimy. No to dokończmy, bo musimy wracać.

Wilson opróżnił pozostałość szkockiej i wyszedł ze Swansonem z mesy oficerskiej w kierunku głównego wyjścia na lotnisko.

Jaskrawy blask słońca, wlewający się przez drzwi, zmusił Wilsona do zmruczenia oczu.

- Mam nadzieję, że kiedy następnym razem John zadzwoni do mnie z jednym z twoich życzeń, to nie będzie ono dotyczyło użycia jakiejś nieznannej załogi do celów transportowych.

- Jestem pewien, że to był tylko ten jeden i jedyny raz, generale - powiedział Swanson poprawiając swój krawat.

- Czy jesteś pewien, że chcesz już teraz lecieć z powrotem? Wyglądasz na to, że przydałoby ci się trochę snu.

Wyszli na pas do kołowania i tam, w odległości około stu stóp, napęczniane paliwem i przygotowywane do lotu, tkwił biały *SR-71 Blackbird*, ozdobiony niebieskim pasem *NASA*.

- Pat! - krzyknął Wilson. - Myślałem, żeśmy się już ich pozbyli?

- I ja tak myślałem - powiedział Swanson zdobywając się na uśmiech.

- Ale kiedy generał Tupper postąpił o tej krytycznej sytuacji, powiedział mi, żebym się przygotował na lot życia no i taki też on był.

- Nieco sprzeczności w określeniach, nieprawdaż? - zauważył Wilson, uśmiechając się szeroko.

- Co masz na myśli, Willy?

Wilson odwrócił się by spojrzeć na Swansona, przekrzywił głowę na bok i powiedział powoli z pytającym wyrazem twarzy.

- Biały *Blackbird!* Biały Czarny Ptak!

Swanson uśmiechnął się. Do maszyny podbiegło trzech mężczyzn z fotelem i jasnoczerwonym ubiorem i zaczęło pomagać Swansonowi włożyć kombinezon.

- Ja też myślałem, że oficjalnie oddaliśmy je wszystkie na złom, ale, jak możesz zobaczyć, ktoś przewidujący, z nieco większą ilością galonów na czapce, zdołał uratować ten dwumiejscowiec dla programu badawczego NASA zanim maszyna ta została, razem z innymi, pocięta na kawałki. Jak ktoś mi ostatnio powiedział, została też trochę przerobiona i otrzymała nowe elementy wyposażenia, coś na wzór wczesnych, dwukabinowych *M-21*. Chociaż tylne siedzenie jest ruchome i w zasadzie przeznaczone dla oficera, zajmującego się będącym na wyposażeniu maszyny zdalnie sterowanym aparatem bezpilotowym, to przeważnie służy ono przewożeniu obserwatorów, takich jak ja. Mają w użyciu jeszcze sześć innych *Blackbirdów*, całych czarnych, ten natomiast ma wypróbować nową farbę w bardzo wysokich temperaturach.

Wilson pomógł mu w zapięciu niektórych zamków błyskawicznych. - No cóż, jestem pewien, że będziesz miał przyjemny lot - powiedział, wręczając mu wielki czerwony hełm kosmiczny.

- No tak, a poza tym, nie mam tu więcej niczego do zrobienia. Do zobaczenia Don i dzięki za wszystko. Bez ciebie nie moglibyśmy dokonać tego wszystkiego - i Swanson uściśnął rękę Wilsona.

- Nie ma o czym mówić, Pat - krzyknął Wilson kiedy Swanson odchodził w kierunku rozgrzewającej się maszyny. - Tylko że następnym razem zabiorę z sobą jakieś pigułki na serce.

Admirał Swanson dołączył do reszty załogi, która spędziła cały czas po wylądowaniu na przygotowaniach maszyny do drogi powrotnej i wszedł na pokład. W dziesięć minut później *Blackbird* zaryczał wzdłuż pasa startowego i zniknął na zachodzie, w kierunku punktu swego pierwszego tankowania w powietrzu.

Rozdział Osiemdziesiąty

Washington D.C. N.S.A. (Agencja Bezpieczeństwa Narodowego)

05:44 czasu lokalnego (11:44 GMT)

Nie było żadnych oznak ruchu pojazdów, idących pieszych, nawet szczekania psa. Obowiązywała godzina policyjna i to spowodowało, że myśli Latchkey'a odsunęły się od wszelkich spraw odwracających uwagę i wróciły do podstawowych realiów pytania o to, jaki może być ten drugi, jak dotąd, atak obcego kraju na amerykańską ziemię. Tym razem nie będzie to atak w postaci kilku pocisków z działka japońskiej łodzi podwodnej, ale z użyciem urządzenia, które może spowodować nieodwracalne uszkodzenia układów kontrolnych najkosztowniejszego w świecie skupiska sprzętu komputerowego. A zapewnienie, że to się nie wydarzy, było zadaniem Latchkey'a i Kena Trista.

Jeep zatrzymał się gwałtownie, ściągając uwagę Latchkey'a z powrotem ku szczegółom bieżącego zadania.

- Co tu się dzieje, do diabła? - wrzasnął Trist, sięgając ponownie po słuchawkę. - Dover, słyszysz mnie?

- Tu Dover.

- Dajcie trochę ludzi tu, na koniec Savage. Tu jest zupełnie goło.

- Ależ sir, powiedział pan...

- Nie obchodzi mnie co powiedziałem. Chciałem, żeby moja wyborowa jednostka znalazła się w terenie, a teraz chcę, żeby tu wszędzie byli żywi ludzie, szczególnie przy naszych głównych drzwiach, zrozumiano?

- Za pięć minut będę tam miał już parę drużyn.

- Teraz, zrozumiano? Wyłączam się. Dobry Boże, czy o wszystkim muszę myśleć sam? - Latchkey pomyślał sobie, że Trist chyba musiał, ale lepiej by zrobił, gdyby ten swój trochę krętacki umysł zatrudnił jedynie tak, na wszelki wypadek. *Jeep* zawiózł ich z powrotem do wyjścia w pobliżu Centrum Łączności. Trist i Latchkey weszli do środka, pozostawiając kaprala i McBee samym sobie.

- Dobra! - wrzasnął Trist wchodząc do pomieszczenia. - Co nowego?

Dość szczupła dziewczyna podbiegła z notesem w rękę i poszła za Tristem w kierunku jego gabinetu, odczytując mu po drodze wiadomości.

- Tak, Bren, dawaj nowości.

- Major Dover melduje, sir, że dwie trzecie całego terenu zostały już zamknięte, a zamykanie pozostałych jego części zostanie zakończone do zero-cztery-pięćdziesiąt. Major Kuehn potwierdził, że cały rejon mostu został zamknięty i że napływają prośby od policji stanowej i ośmiu agencji prasowych, które już się pojawiły na miejscu, o numery telefonów do władz wojskowych i wojskowego wywiadu. A pan ma telefon, który czeka na pana w pańskim... - nie mogła skończyć zdania, bo utknęła wraz z Tristem w drzwiach jego gabinetu.

- Dziękuję. Wiem już o tym wszystkim. Proszę dać mi świeżej kawy, dobrze? - Podniósł słuchawkę.

- Tu Trist.

Latchkey odwrócił się i w przyległej do gabinetu Trista głównej sali obserwowował grupę około trzydziestu osób, gorliwie wykonujących swoją pracę. Zostawił Trista i wyszedł, by przejść wokół dwóch dużych ciągów sprzętu łącznościowego. Nikt nawet nie spojrzął, by zobaczyć kim jest przechodzący, nikt nie odwrócił swej uwagi od wykonywanego właśnie zadania. Migwały światełka telefonów, terkotały brzęczyki, ale wyglądało na to, że wszyscy dobrze panują nad sytuacją. - „Gdyby tylko wiedzieli...”, pomyślał Latchkey.

Trist wyszedł ze swego gabinetu.

- To był generał. Pański szef właśnie do niego dzwonił i chciał się upewnić, że robimy wszystko co jest możliwe, żeby zapobiec całej sprawie.

- Obawiam się, że teraz możemy już zrobić niewiele więcej, jak tylko czekać - powiedział Latchkey.

- Chyba tak. Proszę wejść do mojego gabinetu i chwycić za jakiś świeży kubek, to może być długa noc.

Właśnie kiedy Latchkey miał ruszyć za Tristem, jedna z pięciu dziewcząt, siedzących przy rządzie telefonów, zawołała.

- Sir, nasza osłona powietrzna ma kontakt, informację przechwyconą z *Learjeta*.

- Przełącz - rozkazał Trist i pospieszył do gabinetu. Latchkey stanął w drzwiach i przysłuchiwał się rozmowie, płynącej z głośnika na biurku Trista. Rozmowa, ostra w swoim brzmieniu i nieco stłumiona, była jednak wyraźna i jakże znajoma dla uszu Latchkey'a.

- *Learjet, Learjet*, tu Lotnictwo Wojskowe Stanów Zjednoczonych, zgłoście się. - Żadnej odpowiedzi. - *Learjet, Learjet*, tu Lotnictwo Wojskowe Stanów Zjednoczonych. Czy mnie słyszycie, odbiór?

Trist spojrzął na Latchkey'a, ale komandor potrząsnął głową.

- Tu kapitan Freemont, słuchamy.
- Jaki samolot pilotujecie i dokąd lecicie, odbiór?
- Pilotujemy *Learjeta*, lecącego z Chicago do Nowego Jorku, odbiór.
- Jaki jest wasza planowana trasa lotu?
- Obecnie na dziesięć-zero, a idziemy na kurs zero-dziewięć-pięć.
- Dlaczego macie wysokość poniżej jeden-pięć-zero?
- Mamy planowany postój w Pensylwanii.
- Lecicie wprost w kierunku obszaru o ograniczonym dostępie. Zmieńcie kurs na...

Trist sięgnął i przyciszył głośnik.

- Tak będzie teraz przez ładną chwilę.

Głośnik obudził się ponownie do życia.

- Sir, coś tu jeszcze jest w ruchu. Radar usiłuje namierzyć coś dużego, nadlatującego nisko z południa. Nie było jak dotychczas żadnej odpowiedzi, więc leci tam parę *F-4*, żeby się temu przyjrzeć.

- Pułkowniku - powiedział Latchkey. Czy mógłbym wziąć jakiś radiotelefon i przejść się trochę na zewnątrz? Pan i chłopaki z lotnictwa macie wszystko zapięte na ostatni guzik, a ja miałbym ochotę przejść się i złapać trochę powietrza.

- Dokąd? - zapytał Trist, sięgając do szuflady i wyciągając słuchawkę z mikrofonem.

- Do punktu kontrolnego, sprawdzić ulicę *Savage*.

- Oczywiście, powiem moim chłopakom, żeby pana oczekiwali. - Latchkey wziął słuchawkę, wsunął ją do kieszeni i ruszył do głównego biura, gdzie zostawił uprzednio swoją latarkę.

- Dziękuję, pułkowniku. Znajdę drogę do wyjścia.

Latchkey opuścił pomieszczenie kontrolne, znalazł drogę do głównego wejścia i przez szklane drzwi wyszedł na zewnątrz. Jego oczy przyzwyczyły się wkrótce do nocnego nieba i choć było ciemno, przekonał się, że może widzieć całkiem dobrze bez używania latarki. Dwóch wielkich strażników, którzy otwierali drzwi jego *Forda* kiedy przyjechał tu po raz pierwszy, już czekało na niego.

- Dzień dobry, panie komandorze - powiedział jeden z nich.

- Dzień dobry - odpowiedział Latchkey.

- Proszę pozwolić mi towarzyszyć panu w drodze przez parking, panie komandorze.

- W porządku - powiedział Latchkey i obydwaj poszli do frontowej drogi dojazdowej, przez trawę i dalej w kierunku początku właściwej ulicy *Savage*.

- Czy są jakieś wiadomości o tym, co się dzieje, sir? - zapytał młody żołnierz, usiłując nadać głosowi tak bezceremonialne brzmienie, jak tylko potrafił.

- A co wiecie, kapralu? - zapytał Latchkey.

- Niewiele. Tylko tyle, że rozpętało się tu całe piekło i że spędzimy resztę naszego zawodowego życia przy łupaniu kamieni, jeżeli pozwolimy jakiemuś nieupoważnionemu pojazdowi zbliżyć się do tego miejsca.

- I tak to mniej więcej wygląda, żołnierzu - powiedział Latchkey, zdając sobie po raz pierwszy sprawę z tego, że jego nogi nie miały swojej normalnej sprężystości. - Nie tylko nie możemy tu nikogo wpuścić, ale nie możemy pozwolić nikomu zbliżyć się bardziej, niż na dwie mile.

- Czy mogę zapytać, sir, czy to jest coś nuklearnego?

- Tak, możecie zapytać, a odpowiedź brzmi „nie”. Niczyje życie nie jest w tym przypadku zagrożone, ale nasze życia nie będą wiele warte, jeżeli nie złapiemy ich przy ich pierwszej próbie.

- To brzmi całkiem niedobrze, sir.

- Tak, kapralu, tak właśnie jest. A nawet jeśli złapiemy tych facetów, następstwa ich próby będą sięgały bardzo daleko, co bez wątplenia zmieni cały kształt naszego potencjału obronnego.

- To dobrze czy źle, sir?

- Dobre pytanie. Obawiam się, że jeszcze przez jakiś czas nikt tego nie będzie wiedział. Istotą działań obronnych od samego początku dziejów było, jak się wydaje, zapobieganie nowym formom ataku. Kiedy już znaleźliśmy sposób zabezpieczenia się przed jakąś konkretną formą agresji, zjawia się jakiś palant i odkrywa nowy sposób przełamania naszej obrony. Więc wtedy my kulamy się dalej i znajdujemy nowe sposoby zwalczania tej najnowszej technologii, dopóki nie pojawi się jakaś następna, i tak dalej i tak dalej.

- Ale mamy przecież najlepszy system obronny na świecie, panie komandorze - powiedział z dumą kapral.

- Naprawdę? - Nie było odpowiedzi i kilka ostatnich kroków do małego domku przy bramie stawiano już w ciszy.

- Jest pan na miejscu, panie komandorze - powiedział kapral. - Czy

mogę zrobić dla pana coś jeszcze?

- Nie, dziękuję. - Z małego budynku na powitanie wyszedł sierżant.

- Sierżancie, to jest pan komandor Latchkey, na przechadzce.

- To wszystko, kapralu. Dziwny rodzaj nocy do odbywania spaceru, panie komandorze?

- Nie całkiem, sierżancie. To był długi dzień i nic innego nie mogę w tej chwili zrobić.

- Dokąd pan teraz pójdzie, sir?

- No więc, sądzę, że przejdę się na koniec *Savage*, żeby zobaczyć jak im idzie.

- Bardzo dobrze, zadzwonię do nich, żeby pana oczekiwali.

- Dziękuję, sierżancie, sądzę, że pułkownik już to zrobił.

- To możliwe, sir, ale my mamy swoje procedury. A przy okazji: proszę trzymać się drogi, panie komandorze, ogrodzenie jest zadrutowane.

Sierżant wycofał się w mrok, a Latchkey kontynuował swoją przechadzkę wzdłuż uliczki, w kierunku pierwszej blokady drogi. Wyłaniały się przed nim dużych rozmiarów kształty drugiego wejścia, którego nie widział w czasie swego objazdu. Po obydwu stronach drogi stały dwa wielkie słupy zwieńczone kamerami wideo. Stojące także po obydwu stronach ogrodzenie, wysokości dwudziestu stóp, wyglądało groźnie i było groźne. Kiedy przeszedł przez wejście, dostrzegł duży napis. Oświetlił go na krótko latarką i czytał:

„Ogrodzenie chronione drutem kolczastym. Nie wchodzić. Fotografowanie, wykonywanie szkiców lub sporządzanie wszelkich reprodukcji jest na tym terenie surowo wzbronione pod odpowiedzialnością karną”.

John Latchkey szedł dalej. Po przejściu około dwudziestu stóp natrafił na następne ogrodzenie, druciane, z drewnianymi słupkami, umieszczonymi w podłożu z kawałków zielonego asfaltu. I na koniec, po przejściu dalszych dwudziestu stóp, następne ogrodzenie, także zwieńczone drutem kolczastym, z rzucającymi się ponownie w oczy ostrzeżeniami. Usłyszał jakiś hałas za sobą, więc odwrócił się, zbyt szybko, by zostać zaskoczonym oślepiąco jasnym snopem światła i ogłuszonym szczekaniem bardzo złego i znajdującego się bardzo blisko psa. Ale w lewym kolanie poczuł rwący ból i zaczął nieco bardziej kuleć.

- Czy wszystko w porządku, panie komandorze?

- O, tak, dziękuję. Idę właśnie odetchnąć świeżym powietrzem.

- Tak jest, sir.

Lampa została wyłączona i w ciągu sekundy zarówno jej właściciel jak i pies zniknęli w ciemnościach.

John Latchkey wziął głęboki oddech i ruszył dalej, zdziwiony tym, jak bardzo ten patrol go zaskoczył. Musi się chyba starzeć, tracić wprawę i kondycję odpowiednią do tego rodzaju spraw. Oszczędzał nadal lewą nogę. Droga zaczęła teraz ostro skręcać w prawo, a on zastanawiał się nad tym, co jeszcze złego może czekać Agencję Bezpieczeństwa Narodowego. Czy było jeszcze coś, co mógłby uczynić? Jego szef dał mu odpowiednie rozkazy. Zatrzymać i zabezpieczyć. No tak, tu na ziemi zrobili wszystko co mogli, a reszta należała już do lotnictwa wojskowego.

Drzewa po obydwu stronach miały rzadkie gałęzie, ale rosły gęsto obok siebie i w miarę, jak droga się wiała, zauważał długie cienie, rozciągające się na trasie jego spaceru. Kiedy pokonał ostry zakręt, mignął mu wreszcie przed oczami zarys dużej ciężarówki, zaparkowanej w poprzek drogi, a kiedy podszedł bliżej, dostrzegł stojącą przed nią jakąś postać. Latarka zaświeciła w jego kierunku, a następnie zgasła. Po kilku chwilach zaświeciła ponownie, ale tym razem ruszyła w jego kierunku. Radio Latchkey'a włączyło mu się w kieszeni z brzęczykiem, który słyszało chyba całe sąsiedztwo. Wyciągnął je i nacisnął przełącznik.

- Tu Latchkey.

- Komandorze, tu Trist. Nakryliśmy ten niezidentyfikowany samolot. Ma teraz eskortę myśliwców, ale one ciągle nie mogą złapać jego załogi przez radio. Lecą prosto na nas. Jeżeli nie zmienią swego kursu zanim zbliżą się na odległość trzech mil, *F-4* mają rozkazy otwarcia ognia. Chce pan przyjść i przyłączyć się do tej zabawy?

- Nie, w porządku.

- No, cokolwiek się stanie, ten pilot będzie miał sporo do wyjaśniania, zakładając, że wyjdzie z tego z życiem.

- Jak on jest blisko?

- Dziesięć mil, pięć tysięcy stóp.

- Proszę pamiętać, minimum dwie mile!

- Tak, w porządku. Może ten idiota zapragnął śmierci.

- Jeżeli tak, to niech to lepiej nie będzie na nasz koszt.

- Racja, komandorze. Proszę do mnie zadzwonić w drodze powrotnej.

- Dobrze, pułkowniku, do zobaczenia wkrótce. - John Latchkey wsunął radio z powrotem do kieszeni. Nagle doznał uczucia czegoś dobrze znajomego. Czemu ten scenariusz był dla niego tak znajomy?

Usiłował właśnie z czymś to powiązać, kiedy latarka znalazła się przy nim.

- Kapral Porterfield, panie komandorze. Polecono nam oczekiwać pana.

- Przykro mi, że jestem takim utrapieniem. Wiem, że wy chłopaki nie lubicie pieszych, łażących po okolicy, kiedy obowiązują takie środki bezpieczeństwa.

- Ma pan rację, sir. Ale wiedząc, jak pan nam pomaga, sir, myślę, że sobie z tym poradzimy. Czy możemy zrobić dla pana coś w szczególności, panie komandorze?

- Naprawdę nie. Chciałem zobaczyć, jak sobie radzicie.

- W porządku, sir. - Obydwaj kontynuowali przechadzkę w kierunku przydrożnego bloku. - Mamy tu w toku wielką pozorację, panie komandorze?

- Macie na myśli ten ogień?

- Jak to, a czy mamy w toku więcej niż jedną dywersję?

- Nie, ale... - Umysł Latchkey'a zaczął skupiać się na czymś. Któreś z tych żarówek, o których profesor Bono zwykł wygłaszać całe kazania, zaczęły przeświecać przez mgłę w umyśle Latchkey'a. Sięgnął po radio.

- Pułkowniku Trist, tu Latchkey.

- Słucham, John.

- Czy twoi ludzie sprawdzali każdy pojazd w granicach tych dwóch mil?

- Nie, nie mieliśmy na to czasu. Mamy zespół, który teraz to właśnie robi, ale to zajmie...

- Nieważne. Byliśmy tak zajęci, przygotowując naszą własną pozorację, że mogliśmy sami dać się na jedną nabrać. Jakie nowe wiadomości o tym samolocie?

- Jest ciągle na kursie.

- Powiedz siłom powietrznym, żeby ściągnęły go na dół i aresztowali wszystkich, którzy w nim siedzą. Myślę, że to jest następna cholerna przyzęta.

- A od czego ma odwrócić uwagę?

- Koniec *Savage Road* musi zostać zupełnie zablokowany. Jeżeli te czubki ruszyły choć trochę głowami, to już dawno temu podjechali pojazdem z tym urządzeniem bardzo blisko stąd, a wszystko, co myśmy zrobili, to jedynie odwróciliśmy się do nich plecami. - Latchkey czekał na odpowiedź, ale nie było żadnej. - Pułkowniku?! - krzyknął.

- On się rozłączył, sir. - Latchkey miał właśnie ponownie krzyknąć w mikrofon, kiedy uszy jego wypełnił charakterystyczny odgłos wystrzałów. Latchkey chwycił Porterfielda za kark i pociągnął go w lewo pomiędzy drzewa.

- Porterfield do kontroli. Strzały jedyńka, powtarzam, strzały jedyńka! - wrzasnął Porterfield do swego mikrofonu.

- Strzały na jedyńce, zrozumiałem Porterfield, pomoc już w drodze.

- Jestem na drodze o pięćdziesiąt jardów w górę od stopu numer jeden i właśnie usłyszeliśmy cztery strzały. Chwileczkę. Teraz pracuje silnik ciężarówka. Ktoś nią rusza.

- Czy jest z tobą komandor Latchkey?

- Tak, jest właśnie tutaj.

- Dobrze, pozostaniecie tam, gdzie jesteście, tylko zejdźcie z tej drogi, pomoc już jedzie, wyłączam się.

Kapral odłożył radio. - Nic się panu nie stało, panie komandorze?

- Na pewno nie. Czy wasza broń jest naładowana?

- Oczywiście.

- Jakikolwiek pojazd nadjedzie, musimy przestrzelić mu opony. Stańcie za tym drzewem i kiedy nadjedzie, zużyjcie połowę magazynka na przednią oponę a resztę na tylną.

- Ale panie komandorze, skąd możemy wiedzieć..?

- Po prostu zróbcie to, kapralu. Nie czekajcie na mój sygnał, tylko otwórzcie ogień kiedy zdecydujecie. - Latchkey podciągnął go do drzewa, o niepełne dziesięć stóp od drogi. To powinno zapewnić wystarczającą osłonę. Ach., i., kapralu?

- Tak, sir?

- Nie spudłujcie! - Zanim kapral mógł coś jeszcze powiedzieć, Latchkey rzucił się przez drogę, pomiędzy drzewa na drugiej stronie ulicy, właśnie w momencie, kiedy para reflektorów oświetliła drogę w ich kierunku. Gang wielkiego silnika benzynowego stawał się stale coraz głośniejszy. Latchkey rzucił się na ziemię zgodnie z kierunkiem zbliżających się świateł, wyciągnął z futerału pistolet i odbezpieczył go. Był praworęczny, więc musiał za chwilę przemieścić się wokół drzewa przeciwnie do kierunku ruchów wskazówek zegara. Hałas narastał coraz bliżej kiedy silnik wył na kolejnych biegach. To była duża furgonetka z małymi kołami. Sto stóp, dziewięćdziesiąt, osiemdziesiąt, siedemdziesiąt. Miał dwanaście strzałów, więc mógł ryzykować tylko sześć w przód. Pięćdziesiąt, czterdzieści,

trzydzieści, dwadzieścia. Jasne światła reflektorów zmusiły go do zmrużenia oczu. TERAZ! krzyknął do siebie. Oddał sześć strzałów, jeden za drugim. Kolejny dźwięk zabrzmiał mu w uszach, kiedy broń Porterfielda odezwała się echem. Latchkey skupił się ponownie na tyle wozu. TERAZ! Zabrzmiały następne wystrzały. Rozległo się kilka głośnych uderzeń i następujący po nich potężny świszczący dźwięk, kiedy powietrze było wyciskane z przestrzelonych opon ciężarem pojazdu.

I nagle rozpętało się piekło. Gdzieś z przodu krzyknął jakiś głos. Z miejsca, w którym znajdował się Latchkey, mógł dostrzec dwie smugi światła błyskające w powietrzu i pociski uderzające czołowo w furgonetkę. Eksplozje były ogłuszające. Kula ognia rozświetliła niebo, ukazując wielkie kawały kabiny i przedniej części wozu, odlatujące we wszystkich kierunkach. Wybuch rzucił Latchkey'a na moment z powrotem za drzewo, ale kiedy przetrzymał uderzenie fali gorąca, wspiął się z powrotem na drogę. Przód furgonetki został całkowicie zniszczony. Tuzin żołnierzy pojawił się niewiadomo skąd i zaczął gasić płomienie gaśnicami.

- Porterfield, jesteś cały? - krzyknął Latchkey, kiedy kapral, odłożysz broń, podszedł by się do niego przyłączyć.

- Tak jest.

- Dajcie mi radio. - kapral podał je.

- Jeżeli chce pan mówić z pułkownikiem, proszę nacisnąć trójkę.

Latchkey zrobił to, ale odpowiedzi nie było.

- Tu Latchkey. Czy wszystko w porządku? Czy wszystko nadal działa? - Wciąż żadnej odpowiedzi. I nagle jakiś obcy głos odezwał się przez radio. Słowa były wypowiedane wolno i starannie dobierane.

- Panie komandorze, gdzie dokładnie pan się znajduje? Mówi podpułkownik Langsford, zastępca pułkownika Trista.

- Podchodzę do resztek ciężarówki.

- Proszę pozostać z dala od niej. Czy widzi pan tą grupę świateł między drzewami, panie komandorze?

Po drugiej stronie drogi, w niewielkiej odległości, między drzewami, Latchkey zauważył skupisko białych światełek, poruszających się w pośpiechu.

- Widzę je.

- Proszę przyjąć tu najszybciej jak można.

Latchkey ominął po prawej strażaków, węże i cysterny z wodą, które właśnie zajechały i pobiegł w kierunku zgrupowania świateł i ludzi.

Uwaga każdego z nich była skupiona na leżącej na ziemi postaci, częściowo zasłoniętej plecami trzech, czy czterech zajętych nią osób.

- Obawiam się, że to coś bardzo poważnego - powiedział Langsford, chwytając ramię Latchkey'a. Ten sierżant, który był z nim powiedział, że pułkownik Trist wyszedł spoza osłony kiedy pojazd zbliżył się do jego stanowiska i strzelał wielokrotnie w kierunku fotela kierowcy, aż opróżnił cały magazynek, ale ktoś z wewnątrz pojazdu odpowiedział ogniem. Moi ratownicy próbują mu pomóc.

W tym momencie jeden z pracujących przy Triście ratowników wstał, podszedł do Langsforda, skinął przecząco głową a następnie coś mu wyszeptał.

Langsford odwrócił się do Latchkey'a .

- Pyta o nas.

Zbliżyli się do leżącego ciała i przyklękli nad nim. Odzież Trista była w wielu miejscach nadpalona a jego porozdzierana koszula pokryta była krwią. Obydwaj przykucnęli teraz po obydwu stronach Trista i Latchkey zauważył, że jego ramiona drgnęły.

- Ken, słyszysz mnie? Ken, słyszysz mnie? - powiedział Latchkey i jeszcze bardziej pochylił się nad leżącym, by ten mógł z bliska zobaczyć jego twarz.

Usta Trista zaczęły się poruszać. Powoli i nieporadnie, ni to charcząc, ni kaszłąc, Trist wykrztusił: - Zatrzy...maliś...my... ich? U nas... wszy...stko... działa?

- Tak! - odpowiedział głośno Langsford. - Tak, zatrzymaliśmy ich i wszystko jest już bezpieczne. Nie ma żadnych uszkodzeń i to dzięki tobie..

- Do...brze.. - zabułgotała ledwo rozpoznawalna odpowiedź Trista. - Za bli...sko by...li... za bli...sko...

- Jeszcze trochę wytrzymaj, pułkowniku, wytrzymaj, karetka już zaraz tu będzie. Słyszysz?

Głowa Trista miękko opadła na bok. Oczy pozostały otwarte, ale zniechęczone.

Latchkey wstał i patrzył przez chwilę na Trista. Pojawiła się karetka i nosze, na które ratownicy przełożyli ciało pułkownika, żeby zawieźć je do punktu pomocy doraźnej, mieszczącego się w bazie.

Latchkey podszedł do najbliższego drzewa i oparł się o nie.

- Ma pan może papierosa, panie pułkowniku?

- Tak. - Pułkownik wyjął z kieszeni paczkę i podał ją Latchkey'owi,

który wyciągnął z niej jednego, zapalił od zapalniczki Langsforda i głęboko się zaciągnął. Zaraz też zaczął kaszleć.

- Nie wiedziałem, że palisz, John.

- Bo nie palę. Jak długo go znałeś?

- Od czasów, kiedy byłem jeszcze młodym porucznikiem. Twardy chłop, ale sprawiedliwy. Nigdy nie kładł się spać w niezgodzie, nigdy nie karał niezastuzenie.

- No cóż, ja znałem go tylko przez pół dnia. - Latchkey odrzucił papierosa, wyprostował się, sprawdził niedopałek i ruszył w kierunku drogi.

- Pułkowniku, proszę dać znać swoim ludziom na blokadach dróg, żeby zabezpieczyli wszystkie wyjścia i zatrzymywali każdy pojazd, próbujący opuścić ten teren. Niech strzelają żeby zabić, jeśli to konieczne. Sądzę, że może być tu gdzieś jeszcze jakiś szybki wóz, który pewnie właśnie stąd odjeżdża, choć prawdopodobnie już się spóźniliśmy.

Pułkownik wyciągnął radio i odszedł w kierunku wraku samochodu. Do Latchkey'a podszedł kapral Porterfield.

- Dobrze strzelanie, kapralu - powiedział Latchkey, ale jego głos nie brzmiał zbyt przekonująco.

- Zawsze do usług, panie komandorze - powiedział Porterfield, przyglądając się bacznie Latchkeyowi. - Czy wszystko w porządku?

Nadjechał tłum pulsujących świateł i syren. Dwie ciężarówki precyzyjnie się obok dymiących szczątków, przejechały szybko obok Latchkey'a i ruszyły drogą w kierunku blokady.

Za chwilę nadszedł Langsford.

- Jak on się tu przedostał? - Spojrzeli na uszkodzony wrak, leżący na brzegu drogi i zauważyli to, co zostało z napisu.

- *Ambulans*? - powiedział Langsford potrząsając głową. - Musiał już być wewnątrz tej dwumilowej granicy zanim wszystko zorganizowaliśmy.

- Kapralu - warknął Langsford, wyciągając palec w kierunku blokady drogi - zobaczcie czy możecie tam coś pomóc.

- Tak jest, sir. - Kilka migocących jeszcze, pomarańczowych płomieni zanikło, pozostawiając jasnym światłom wozu strażackiego oświetlenie terenu masakry. Langsford i Latchkey podeszli w kierunku szczątków ambulansu, a do tylnej jego części zbliżyło się pięciu żołnierzy-

Radio pułkownika zabręczało ponownie.

- Tu Langsford.

- Simmons, Reece i Lodner, sir. Są w ciężkim stanie. Rudy dostał w

ramię, ale udało mu się trafić w samochód, który stąd uciekał. Nasi ratownicy już się nimi zajęli.

- Dobrze. Upewnijcie się, że każdy, kto został zatrzymany przy próbie wydostania się z naszej strefy ochronnej, zostanie dostarczony do bazy. - Langsford wyłączył się.

Z drogi za nimi odezwał się głos.

- Tu wszystko zabezpieczone, panie pułkowniku. Znaleźliśmy dwa ciała; obydwaj nie żyją.

- W porządku, komandorze - powiedział Langsford, odkładając radio. - Zobaczmy, czy wygraliśmy pierwszą nagrodę.

Obeszli wóz i poszli ku jego tylnej części.

- Zaminowany? - zasugerował Latchkey.

- Wątpię, ale sprawdzimy na wszelki wypadek. Bowery! - warknął Langsford.

Nadbiegł porucznik.

- Sir?

- Mogli pokombinować przy tej furgonetce. Oczyszczyć teren i sprawdzić ją.

- Tak jest, sir. - Bowery krzyknął żeby opuszczono teren, a Trist i Latchkey odeszli pomiędzy drzewa.

- Ten wasz kapral Porterfield całkiem dobrze dawał sobie tutaj radę - powiedział Latchkey.

- Miło mi to słyszeć. Możemy dać mu szansę na następną naszywkę. Pan też dawał sobie bardzo dobrze radę, komandorze.

- Skąd znalazła się tu, do diabła, ta cała siła ognia?

- Miałem tu pewną samodzielną jednostkę, stacjonującą między drzewami, no, taką ostateczną rezerwę na wypadek, gdyby jednak coś się przedostało do środka.

Porucznik Bowery zbliżył się biegiem.

- I co, poruczniku? zapytał Langsford.

- Jestem pewien, sir, że wszystko jest czyste. Nie ma niczego szczególnego o czym miałbym zameldować, ale w tyle wozu jest jakiś duży ładunek. Dostał trochę, ale jest właściwie nietknięty.

- Dalej, John, chodźmy rzucić okiem.

Obydwaj wyszli spomiędzy drzew i podeszli do resztek uszkodzonych, częściowo odchylonych drzwi. Za nimi tkwiła, wysoka na pięć i szeroka także na pięć stóp, sięgająca aż tam, gdzie niedawno była szoferka.

- I co?

- Bingo - powiedział Latchkey. - Ciągle ma jeszcze na boku nazwę firmy.

- To co teraz robimy?

- Pierwszą rzeczą, jaką zrobimy, to przewiezenie tej skrzyni o więcej niż milę stąd tak szybko i tak ostrożnie, jak tylko można.

Langsford krzyknął do Bowery'ego i w kilka minut do tyłu wraku podprowadzono ciężarówkę. Do uchwytów skrzyni przymocowano wyciągarke i z pomocą paru podnośników i pewnej ilości mocnych rąk *EXEMPT* został niemal ręcznie przeciągnięty na tył ciężarówki.

- Weźcie dziesięciu ludzi i zabierzcie to na teren tego pola za barakiem numer trzy, obok boiska i pozostańcie z tym zanim nie przyślę kogoś, kto was zmieni. Nikt nie może się do tego zbliżyć, dopóki osobiście nie wyrażę na to zgody. Zrozumiano?

- Tak jest, sir.

- Dobrze.

Bowery odszedł.

- Boisko?

- To jest na terenie bazy, ma połowę wielkości normalnego. To będzie tam bezpieczne. - Dobra, co dalej? - kontynuował Langsford.

- Powiedz kapitanowi Ericksonowi, tam na miejscu „naszego” wypadku na estakadzie, że może iść do domu, wyślij samochód pomocy drogowej, żeby ściągnął tu z powrotem tą cysternę i ściągnij też swoich ludzi.

- Dobrze - odpowiedział Langsford i obaj zaczęli iść w kierunku blokady drogowej. Wyciągnął radio. - Langsford do kontroli. - Przerwał, oczekując odpowiedzi. - Langsford do kontroli - powtórzył głośniej. - To dziwne, moje radio nie działa.

Usłyszeli okrzyk porucznika. Langsford odwrócił się, by spojrzeć do tyłu.

- Co jest?

- Moje radio wyzionęło ducha, sir. - Powiedział porucznik, podbiegając z radiem w rękę.

- Dziwne, tak samo jak moje.

Spróbował radia Latchkey'a, ale ono także nie działało. Latchkey powoli skinął głową.

- Te radia były w bezpośredniej bliskości skrzyni.

Langsford wyglądał na zdezorientowanego.

- A więc?

- A więc ona najwyraźniej ma przeciek - powiedział komandor, próbując się uśmiechnąć.

Langsford obejrzał się na Bowery'ego. - Poruczniku, proszę zobaczyć czy ktoś z pańskich ludzi miałby dla mnie jakieś działające radio, dobrze? A kiedy pan mi je przyniesie, usuńcie stąd galopem ten „Ambulans”.

- Tak jest, sir - powiedział Bowery i odszedł.

- Dobry Boże - powiedział Langsford. - Ma przeciek?

- Z tego co wiem, mogę sądzić, że to urządzenie rozładowało się, kiedy furgonetka została trafiona, albo raczej zaczęło przeciekać w parę minut później, bo wasze radia jeszcze tutaj przez kilka minut pracowały. Czy wszystkie główne komputery są sprawne? Czy całe wyposażenie wewnątrz obiektu stale działa?

- Tak, John. Gdybyśmy mieli jakieś uszkodzenia, posłyszalibyś w całej Agencji głosy syren.

- Doskonale. W takim razie urządzenie ma tylko przeciek. A wiemy, że im dłużej pozostaje w stanie naładowanym, tym mniejszy ma zasięg działania.

Bowery wrócił z radionadajnikiem.

- Dobra robota, poruczniku. Znalazł pan jeszcze jakiś inny aparat na chodzie?

- Tak jest, sir.

- Dobrze, niech pan na nim pracuje. - Bowery wręczył mu aparat i odszedł. - Wygląda na to, że tak czy inaczej, mieliśmy dużo szczęścia. Mogli się przecież zatrzymać przy blokadzie drogi i tam je odpalić, a to jest tylko pół mili od głównej siedziby komputerowej *Cray* i kierownictwa *Platformy*.

- Z tego co wiem - kontynuował Latchkey - to urządzenie zostało naładowane tak dawno, że pomyśleli sobie, iż muszą przedostać się z nim na odległość głosu, bo inaczej cała ta ich wycieczka mogłaby stać się tylko stratą czasu.

- Myślisz, że nie mieli już wyboru?

- Tak. - Latchkey poczuł się nagle bardzo zmęczony.

- Zadzwonię, przekażę nowości i puszcę w ruch kilka trybików. - Podniósł do ust zapasowy aparat. - Langsford do kontroli.

- Tu kontrola. Słuchamy, panie pułkowniku.

- Przekażcie oficerowi dyżurnemu, żeby zadzwonił do generała a następnie do zastępcy dyrektora Agencji i powiadomił ich, że mamy już tą rzecz pod opieką. Niech im też przekaze, żeby zechcieli jak najszybciej

zadzwoń do mnie. Muszę zameldować im o pułkowniku Triście i o innych. Następnie zadzwonię do wszystkich pozostałych i powiedzcie im, że przedstawienie jest zakończone, ale nie odwołujcie w Agencji stanu pełnego pogotowia, dopóki nie otrzymacie takiego rozkazu.

- Wykonamy to, sir. Oh, panie pułkowniku?

- Tak.

- Dzwonił właśnie major Kuehn żeby powiedzieć, że jakiś pojazd na dużej szybkości chciał bez zezwolenia przebić się na zewnątrz, przez granicę naszego terenu.

- No i?

- No i on melduje, że kierowca jest właśnie wieziony na przesłuchanie.

- Świetna wiadomość. Wyłączam się.

- Langsford włożył radionadajnik do kieszeni.

- Słyszałeś? Mamy jegomościa, który próbował stąd nawiać.

- Może to tylko ktoś na gazie? Szkoda, że twój ludzie nie wyszli z tego bez szwanku.

Langsford nie odpowiedział. Podciągnął mankiet i sprawdził czas.

- Twój zegarek też pewnie wysiadł - powiedział spokojnie Latchkey. Obydwaj odwrócili i zaczęli iść powoli w kierunku głównego posterunku kontrolnego

- Coś takiego, nie do uwierzenia co za urządzenie! - powiedział Langsford idąc i oglądając się za siebie. - Nie chcemy chyba, żeby zbyt wiele z nich wpadło w niepowołane ręce, bo wtedy sytuacja może stać się zdecydowanie poważna.

- To prawda. A najdziwniejsze jest to, że ono na początku było we właściwych rękach - wyszeptał Latchkey.

- Chcesz powiedzieć, że to urządzenie jest nasze?

- Zgadza się. Niezła siła niszczenia, co?

- Co to znaczy „nasze”?

- Ciągle to badamy.

- Masz jakieś pojęcie jak to diabelstwo działa?

- Nie mam zielonego pojęcia.

- Co za urządzenie - powtórzył miękko Trist.

- Tak - zgodził się Latchkey przecierając senne oczy. - Na nieszczęście jednak, już nie jesteśmy jedynymi jego posiadaczami.

Obydwaj szli dalej drogą wolnym krokiem. Latchkey wyjął swój telefon komórkowy, ale tylko po to, by przekonać się, że on również, oczywiście, nie działa.

- Muszę zadzwonić do swojego szefa i przekazać mu najświeższe wiadomości.

- Jasne. Wracajmy do biura.

Latchkey spojrział w górę, na wczesny świt pojawiający się już na niebie i dojrzał księżyc na nowiu, który uśmiechał się w dół do niego, jakby przez cały czas wiedział, że wszystko tego dnia będzie dobrze.

„Owszem, - pomyślał Latchkey, - „tego dnia, ale co z dniem jutrzejszym?”

Epilog

Wszyscy, którzy tego popołudnia uczestniczyli w spotkaniu w bazie Lotniczej w Bahrajnie, wracali już do swoich jednostek. Charlie Fielding, jeszcze na długo, zanim Digger i jego koledzy zasiedli do kolacji w bazie, odbywała lot powrotny do domu, planując, że zaraz po powrocie zrobi sobie, w pewnym towarzystwie, dłuższe posiedzenie w jacuzzi.

AWACS 24 powrócił znów na niebo ze świeżą załogą, by kontynuować swoją czujną straż na północy. Major Barton poleciał z powrotem do Ohio, by złożyć odpowiednie sprawozdanie, a siły sojusznicze w rejonie Zatoki podjęły ponownie swoje rutynowe działania.

Rząd irański natychmiast wycofał swoją wcześniejszą ofertę rozszerzenia kontaktów i w przeciągu godziny, w środkowych godzinach popołudniowych, dwie irańskie fregaty podpłynęły, by zablokować Cieśninę Ormuz dla dalszej żeglugi i zrobiły to właśnie w momencie, kiedy wpłynął do niej konwój tankowców, prowadzony przez *Storka*.

W tym samym momencie *Pave-Hawk*, wracający na *Storka*, i dwa *F/A-18*, wracające na *George Washingtona*, zostały zaatakowane przez cztery *Migi-23 Floggers* i przez *Miga-29 Fulcrum Hornety*, do których dołączyły dwa *F-14D Tomcats* z lotniskowca, odparły *Migi*, ale przedtem jeden z *Hornetów* został trafiony. W czasie tej potyczki zestrzelone zostały dwa irańskie *Floggersy* i doniesiono też o trzech dużych eksplozjach, które nastąpiły w rejonie na wschód od Cieśniny, tam gdzie były rozlokowane dwie wyrzutnie *Silkwormów*, no a łódź podwodna Stanów Zjednoczonych klasy *Los Angeles*, przewidziana do dokonywania ataków nuklearnych, uzbrojona w dziesięć pocisków samosterujących dalekiego zasięgu *Tomahawk*, wynurzyła się powoli w Zatoce Perskiej. W chwilę później pozostałe *Migi* natychmiast przerwały swoją krótką potyczkę, a *Sahand* i *Sabalan* wycofały się pospiesznie z Cieśniny na bezpieczną odległość.

Chociaż pilot *Horneta* był poważnie ranny, maszyna pozostała na tyle sprawna, że kontynuowała swój lot powrotny do *George Washingtona*, gdzie dzięki nowemu pokładowemu systemowi lądowania, powróciła na lotniskowiec i wylądowała bezpiecznie.

Dziesięć godzin później, kiedy już wszystko w rejonie Zatoki Perskiej uspokoiło się, na pokładzie lotniskowca pewien starszy sierżant piechoty morskiej znalazł pod szafką jakiegoś technika radarowego długi kawałek anteny, w tym samym mniej więcej czasie, kiedy pewnym zakurczonym *Range Roverem* wyjeżdżano z Omanu.

W poniedziałek, 10 października, trafiła do gazet wiadomość o intensywnym zwiększaniu liczby żołnierzy amerykańskich w Kuwejcie, no a w styczniu 1995 jakiś przemawiający nieoficjalnie rzecznik ujawnił, że Republika Rosji rozpoczęła pracę nad całkiem nową bronią, która mogłaby spowodować chaos na Zachodzie i uniemożliwić działanie większości systemów łączności i obrony Stanów Zjednoczonych.

W kilka lat później, John Latchkey spotkał w końcu, po raz drugi, człowieka, który kiedyś uratował mu życie w Korei.

Słowniczek terminów

Black Alert: „*Czarny Alert*” - określenie używane w przypadkach rozległej awarii systemów komputerowych lub komunikacyjnych, stwarzającej konieczność posłużenia się specjalnie przygotowanym zespołem wysokiej klasy specjalistów informatyków, pozostających w stałym, całodobowym pogotowiu i gotowych do wylotu na każdy z kontynentów, na każde doraźne wezwanie, by przywrócić sprawność sprzętu w każdym przypadku poważnej awarii komputerów i powiązanego z nimi sprzętu pomocniczego.

Blue Thunder: *Niebieski Grom*. Określenia tego typu używane są do identyfikacji poszczególnych misji bojowych [np. Desert Storm (Pustynna Burza), Cover Charge, Silver Storm itd.].

„Bobbles: *Czapeczka* („*niech pan dobrze trzyma swoją czapeczkę...*”) rodzaj wełnianej czapeczki, zwykle robionej ręcznie, na drutach. Na szczycie takiej czapeczki umieszczony jest kłębuszek wełny w kształcie piłeczki. Czapeczka nosi nazwę „*Bobbly Hat*” („czapka z pomponem”).

Cats: system katapult, napędzanych parą, wystrzeliwujących samolot z pokładu lotniskowca. Nowoczesne lotniskowce, z zagiętymi pod kątem pokładami, posługują się czterema katapultami, dwiema na przedzie i dwiema przy zagiętej w swej osi części pokładu, po lewej burcie.

Chish and fips: (zamiast „fish and chips” t.j. „smażona ryba z frytkami”). Określenie powstałe w 1874 r., autorstwa Williama A. Spoonera (1844-1930), pastora i wychowawcy młodzieży w New College w Oksfordzie, głośnego z takich przejęzyczeń, który pewnej niedzieli pojawił się na ambonie i oznajmił: „Let us preal and nay, and confess the donges we have run” („to run the dong” można by - dość oględnie - przetłumaczyć np. jako „zajmowanie się penisem”). Szanowny pastor zamierzał zapewne powiedzieć „Let us lean and pray, and confess the wrongs we have done” t.j. „pochylmy się i wyznajmy zło, które uczyniliśmy” - przyp. tłum.) Począwszy od tego dnia, takie wzajemne przestawienie pierwszych liter wyrazów, użytych w łączności ze sobą, zwiemy spooneryzmem [vide: nasz sławny: „pradziadek przy saniach” (przyp. tłum.)]

CIC: *Command Incident Center*, centrum dowodzenia większości nowoczesnych okrętów bojowych. Z tego pomieszczenia, ukrytego głęboko w sercu okrętu, można posługiwać się i zarządzać wszystkimi jego systemami.

CINCARA: *Commander-in-Chief Arabian Ocean Forces* - Głównodowodzący Sił Morza Arabskiego.

Conn: część łodzi podwodnej wyznaczona do pełnienia funkcji kapitańskiego mostka. We wcześniejszych odmianach łodzi właściwy mostek kapitański był ulokowany wewnątrz tej jej części, która wznosiła się ponad pokładem, zwanej „conning tower” („kiosk”, „wieża dowodzenia”) lub „sail”. Choć kapitan może przebywać w każdym miejscu łodzi, przez cały czas na mostku musi znajdować się dyżurny oficer.

Cover Charge: patrz: **Blue Thunder**.

DEFSAT: *Defense Satellite* - satelita obronny.

DIRNSA: *Director of National Security Agency* - dyrektor Agencji Bezpieczeństwa Narodowego.

Doppler radar: radar dopplerowski - radar, w którym wykorzystywane jest zjawisko tzw. „przesunięcia dopplerowskiego”, wywołanego ruchem obiektów, od których odbija się wiązka promieni, wysyłanych przez nadajnik radarowy. Przy powrotnym odbiorze jej przez radar ją wysyłający, ocenia się m.in. natężenie odbieranej wiązki, czas jej powrotu, oraz jej częstotliwość, na podstawie której określa się prędkość obserwowanego obiektu. Można tym sposobem nie tylko wykryć obiekt, ale też określić jego położenie, zbliżanie się lub oddalanie i prędkość tego ruchu. Ale ruch np, samolotu w lewo lub w prawo w stosunku do radaru, przy zachowaniu tej samej odległości od niego, nie wywoła zjawiska Dopplera lub wywoła je w niewielkim stopniu, a operator radaru będzie miał trudności w jego wychwyceniu.

EXEMPT: *Extra-Electro-Magnetic-Pulse-Transmitter* - Specjalny Nadajnik Impulsu Elektro-Magnetycznego.

FLASH: *Flight-Levy-Alternative-System-Homer* - system używany do obrony statku atakowanego rakieta naprowadzaną podczerwienią i radarem. Są to serie pocisków, przypominających nieco benzynowe kanistry, które eksplodując, emitują bardzo silne i bardzo jasne światło, zaburzające proces naprowadzania rakiety przy użyciu jej podczerwieni czy radaru i odciągające tą raketę od celu.

FOD: *Foreign Objects and Debris* - przedmioty obce i odpadki. Rutynowa procedura przewiduje, że grupa od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu członków załogi pokładowej lotniskowca musi wzrokowo sprawdzić cały pokład i dokładnie pozierać wszystko, cokolwiek może zaburzyć proces startu lub lądowania samolotu. Zwykła podkładka lub śruba może być zassana razem z pobieranym przez silnik powietrzem i całkowicie go zniszczyć.

GPS II: pozwala dowódcom wyższej rangi utrzymywać sprawny kontakt z dowódcami poszczególnych jednostek przy pomocy ich lokalizacji systemem *GPS*, co jest odpowiednio przedstawiane obrazowo na elektronicznej mapie dowódczej w Kwaterze Głównej.

Hedges: *Hook Engagement System*. System komputerowy wspomagający działania pilota *Harriera* na zbliżaniu maszyny do punktu, w którym lądująca maszyna zostaje uchwycona przez urządzenie dokujące.

MUT: *Miniature-Underwater-Transport*. Miniaturowy środek transportu podwodnego, długi na 6 stóp a szeroki na 3 stopy, wyposażony w pojedyncze urządzenie napędowe, wykorzystujące siłę odrzutu strumienia wody, mogący poruszać się z prędkością 6 węzłów pod wodą i 20 węzłów na powierzchni. Nurek jest przymocowany do niego odpowiednią uprzężą i jest transportowany częściowo za nim, używając swoich nóg do sterowania.

Ouija-board: zasadniczo: tabliczka „*ouija*” (*wym, ujza lub ujdza*) do seansów spirytystycznych. Tu nazwa ta dotyczy miniaturowej wersji pokładu startowego lotniskowca z makietkami samolotów. Używana przez dział kierujący ruchem i obsługą samolotów do bieżącej i szczegółowej oceny i śledzenia sytuacji na pokładzie: który samolot ma przygotować się do kaptowania i gdzie zaparkować kolejno lądujący samolot.

Pass: próba lądowania.

Pave Hawk: *HH60G* jest unowocześnioną wersją wojskowego helikoptera *Black Hawk*. Wyposażony w nowoczesny radar, noktowizor i skierowaną do przodu podczerwień; ta wersja dla marynarki wojennej jest także standardowo wyposażona w składane śmigła wirnika nośnego.

Phalanx: 20 mm działko *M61A1 Vulcan*, zamontowane na samosterującej i samonaprowadzającej się na cel podstawie. Chronione wysoką, białą pokrywą, kiedy raz zostaje włączone, napełni powietrze powodzią ołowiu i zestrzeli bezkrytycznie i na oślep wszystko, cokolwiek znajdzie się w jego zasięgu, zarówno obiekt wroga jak i swój. W 1985 kapitan *Stark'a* był mocno krytykowany za to, że nie miał włączonego *Phalanxa* wtedy, kiedy jego okręt, pełniący służbę w Zatoce Perskiej, został zaatakowany przez wystrzeloną przez iracki samolot raketę *Exocet*, która uderzyła w bok okrętu. W tym jednak czasie Stany Zjednoczone nie były przecież w stanie wojny z jakimkolwiek państwem. Pozostałe okręty też nie miały rozkazu pozostawienia włączonych *Phalanx'ów* z obawy przed przypadkowym ostrzelaniem swoich. Zakładano jednak, że przy ośmiosekundowym okresie ostrzegawczym *Stark* będzie i tak w stanie obronić się przed *Exocetem*, tym jednym z najbardziej zaawansowanych dostępnych rodzajów broni przeciw okrętom. (Sam *Phalanx* potrzebuje około 10 minut rozruchu aby być gotów do działania).

Phased Array Radar: system radarowy, posługujący się raczej wieloma, aniżeli jednym tylko generatorem sygnałów. Ujemną stroną posiadania pojedynczego emitera radarowego jest to, że sygnał albo omiata pole o 360 stopni albo wędruje na kierunku tam i z powrotem, zależnie od zaprojektowanej metody poszukiwań. Dla przeszukania danego obszaru co do obecności np, samolotów wroga, operator radaru musi czekać, aż ruch omiatańia zostanie zakończony i wtedy dopiero może stwierdzić jakąś aktywność w obserwowanym polu. Phased Array Radar posiada w swym systemie do 100 emiterów radarowych, które włączają się kolejno działając na tym samym kierunku np, w przód od samolotu, jako że większość używanych w powietrzu radarów jest umieszczona w dziobie samolotu.

Porky: rodzaj miny, która wykorzystuje drgania podłoża do zdetonowania zapalnika. Próg siły odbieranych drgań, którego przekroczenie powoduje detonację, można ustawić zdalnie.

Pulse Radar: emiter radarowy, który może monitorować duże obiekty przelatujące (np, z lewa na prawo) przez jego pole celowania. Kiedy samolot leci wprost na emiter, wówczas niewielkie obrysy tego samolotu widziane w rzucie czołowym pozostawiają tak niewielki ślad na monitorze, że operator ma niewielką szansę jego odkrycia, zanim ten samolot nie przeleci nad nim. Systemy Pulse Radar mają zwykle mniejszy zasięg w porównaniu ze swymi dopplerowskimi odpowiednikami.

Ramp: tylna część lądowiska na rufie lotniskowca.

Sarnies: określenie przyjmowane jako skrót od „sandwiches” (kanapki).

SATCOM: *Satellite Communications*. Satelita telekomunikacyjny.

SCRAM: *Super-Critical-Axe-the-Manila*. W początkowym okresie przeprowadzania badań i eksperymentów w zakresie rozszczepiania jądra atomu, pręty uranowe były podnoszone i opuszczane w chłodziwo za pomocą linek plecionych z manili. Jeżeli po podniesieniu tych prętów, dokonywanym dla wytworzenia ciepła i następowej produkcji pary, reakcja jądrowa zaczynała wymykać się spod kontroli, a temperatury rosły powyżej czerwonej linii, w użyciu było właśnie określenie „SCRAM”. Był to okrzyk operatora, który miał oznaczać: „ciąć linki (z manili), sytuacja staje się superkrytyczna!”. Wtedy ktoś chwycił jakiś rodzaj ostrza, zwykle była to siekiera i przecinał linki. Pręty nuklearne zanurzały się z powrotem w chłodziwo i wszystko wracało do normy. *SCRAM-ed* jest tym samym określeniem, tyle, że użytym w formie czasownika w czasie przeszłym.

Trumpets: czułe określenie, nadawane przez fanów motocyklom *Triumph*, produkcji angielskiej.

URPS: *Underwater-Repair-and Salvagecraft*. Chociaż projekt tego stateczku i jego parametry zanurzenia pochodzą z lat siedemdziesiątych, ciągle jest on bardzo przydatny dla przeprowadzania operacji ratunkowych i prac naprawczych jednostek marynarki wojennej w czasie ich pobytu poza granicami kraju. Oprócz załogi, składającej się zwykle z dwóch osób, potrzebuje on lin cumujących go do statku-bazy, jako że nie może działać niezależnie, bez zaopatrzenia w powietrze i zasilania elektrycznego.

Vulture's Row: (rządek sępów). Jest to miejsce na otwartej części pokładu lotniskowca, przy wieży, gdzie wolni od służby członkowie załogi zwykli spędzać czas, obserwując wydarzenia na pokładzie lotniskowca. Nazywano ich „sępami”, gdyż przypisywano niektórym z nich nieco sadyistyczne rysy: ochotę na oglądanie ze swoich bezpiecznych miejsc ewentualnie wydarzających się wypadków.

Waypoint: miejsce w przestrzeni fizycznej, wykorzystywane do nawigacji. Jest to geograficzny punkt lokalizacyjny, stanowiący element zestawu danych nawigacyjnych Międzynarodowego Systemu Nawigacji (INS). Punkt ten wyznacza się nie tyle pod względem jego konkretnej lokalizacji na kuli ziemskiej, ale ze względu na położenie tego punktu w stosunku do punktu początkowego jakiejś określonej trasy, zwanego inaczej „punktem zero”.

Jeżeli, dla przykładu, trasa od punktu 0 do punktu 1 prowadzi w kierunku wschodnim na długości 150 mil, a od punktu 1 do punktu 2 - dalsze 150 mil w tym samym kierunku, oznacza to, że samolot musi lecieć 300 mil kursem na wschód, aby dotrzeć do swego miejsca przeznaczenia w punkcie 2. Jeżeli natomiast do komputera pokładowego wprowadzono koordynaty punktu 1 wraz z informacją, że od punktu 0 do punktu pierwszego jest 250 mil, wówczas prowadzony przez system INS samolot poleciał aż 400 mil na wschód, a pasażerowie będą się dziwili, czemu ich samolot minął ich docelowe lotnisko i poleciał o 100 mil dalej.

O Autorze

Urodzony, wychowany i wykształcony w Anglii, Julian zaczął pisać w wieku dwudziestu kilku lat. Przez 4 lata pracował jako projektant wnętrz. Ożenił się z Amerykanką i w roku 1979 przeniósł się do Stanów Zjednoczonych. Od najmłodszych lat był zafascynowany wojskowością (ojciec był w czasie II Wojny Światowej komandosem w jednostce specjalnej brytyjskiej piechoty morskiej), ale dopiero, kiedy amerykańska fregata rakietowa, *USS Stark*, eskortująca tankowce w rejonie Zatoki Perskiej, została w maju 1987r zaatakowana i trafiona dwiema raketami przeciwokrętowymi, wystrzelonymi przez iracki samolot, Julian postanowił poszukać odpowiedzi na pytanie, jak mogło dojść do takiego wydarzenia. Kiedy poświęcał cały swój czas, zbierając pracowicie odpowiedni materiał, amerykański krążownik rakietowy, *USS Vincennes*, zestrzelił w lipcu 1988r, nad cieśniną Ormuz, irański samolot pasażerski *A300*. Wszyscy pasażerowie i załoga samolotu zginęli. To następne, nieszczęsne wydarzenie, było dla Juliana kolejnym dowodem na dramatyczną złożoność sytuacji w rejonie Zatoki Perskiej i jej szerokie implikacje i spowodowało, że przez następnych 15 lat zbierał materiały jej dotyczące, a ten proces badawczy znalazł swą kulminację w książce *Czarny Alert w Stacji Gonzo*.

W czasie swych podróży po Stanach nakręcał filmy o narciarzach w górach Colorado, współzarządzał stacją telewizyjną, a w godzinach południowych prowadził na żywo w lokalnej stacji radiowej codzienne, 5-godzinne audycje. Nauczał w miejscowym college'u, pełnił też funkcję jednego z dyrektorów dużego centrum konferencyjnego, organizując tam wewnętrzną sieć telewizyjną. Przez 4 lata pracował dla firmy maklerskiej, zajmującej się terminowymi kontraktami na dostawę towarów, co dało mu możliwości odwiedzania i spędzenia pewnego czasu m.in. Szwajcarii, Austrii, i Włoszech, gdzie mógł wykorzystać wolny czas na jazdę na nartach i wycieczki po Morzu Śródziemnym, z odwiedzeniem Grecji, Egiptu i Izraela.

Zwykł mawiać, że częściej wychodził z sali w czasie projekcji filmu, niż zdołał w niej wysiedzieć. Przyjaciele mówili mu często, że jeżeli ciągle narzeka, że w scenariuszach tych filmów brakuje odpowiednio skonstruowanej intrygi i akcji, a zbyt wiele jest zbiegów okoliczności, które pozwalają bohaterowi na odniesienie sukcesu, to czemu sam nie usiądzie i nie

napisze tego lepiej? Czarny Alert jest więc także, w jakiejś mierze, odpowiedzią na te uwagi jego przyjaciół.

Autor *Czarnego Alertu* ma nadzieję, że spodoba się Państwu ta opowieść o wydarzeniach, które rozwijały się i znalazły swój finał w przeciągu jednej doby, a wszelkie informacje o nich zostały natychmiast, skutecznie wyciszone. Oto dlaczego nikt i nigdy nie znalazł w mediach jakiegokolwiek wzmianki o tym jednym z najbardziej zdumiewających zdarzeń, jakie kiedykolwiek dotknęły któryś z okrętów Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych Ameryki.